

**Aleksander Dumas**

**W 20 lat później**

**Część II**

Przełożyła Hanna Szumańska-Grossowa

Tytuł oryginału francuskiego: *Vingt Ans Apres*

Opracowanie graficzne Janusza Wysockiego

Redaktor Elżbieta Kwaśniewska

Redaktor techniczny Anna Kwaśniewska

Korektor Grażyna Henel

ISBN 83-207-1207-6

For the Polish edition © copyright by Państwowe Wydawnictwo "Iskry",

Warszawa 1957

## 1. Żebrak z kościoła Świętego Eustachego

D'Artagnan wiedział, co czyni, nie natychmiast udając się do Palais-Royal: dzięki tej zwłoce Comminges zdążył stanąć tam przed nim i zawczasu powiadomić kardynała o znacznych usługach, jakie on, d'Artagnan, i jego przyjaciel oddali tego ranka stronnictwu królowej.

Toteż i zostali niezwykle serdecznie przyjęci przez Mazariniego, który nie szczędził im komplementów i oznajmił, że obaj znaleźli się już bliżej niż w pół drogi do tego, czego każdy z nich pragnął, czyli d'Artagnan — do patentu kapitana, Portos — do baronii.

D'Artagnan wolałby od tego wszystkiego pieniądze, wiedział bowiem, że Mazarini przyrzeka łatwo, ale dotrzymuje z trudem; wiedział, że na obietnicach kardynała nikt się nie utuczy, ale wobec Portosa udał, że jest wielce kontent, bo nie chciał go zniechęcić.

Kiedy dwaj przyjaciele byli u kardynała, przysłała po nich królowa. Kardynał obmyślił sobie, że osobiste podziękowanie królowej podwoi zapal jego obrońców, skinął więc, żeby poszli za nim. D'Artagnan i Portos wskazali na swe odzienie, zakurzone i podarte, lecz kardynał potrząsnął głową:

— Ten strój — rzekł — więcej jest wart niż stroje większości dworzan, których zastaniecie u królowej, jest to bowiem strój z bitwy.

D'Artagnan i Portos usłuchali.

Dwór Anny Austriaczki był liczny i radośnie podniecony, bowiem wszystko razem wzięwszy, po odniesieniu zwycięstwa nad Hiszpanem odniesiono jeszcze jedno zwycięstwo — nad ludem. Broussel bez oporu dał się

wywieźć z Paryża i w tej chwili powinien już znajdować się w więzieniu w Saint-Germain, Blancmesnil zaś, aresztowany w tymże samym co i on czasie, ale bez hałasu i bez kłopotów, został już osadzony w zamku w Vincennes.

Comminges znajdował się przy królowej, która wypytywała go o szczegóły wyprawy, a kiedy wszyscy przysłuchiwali się jego opowiadaniu, ujrzał w drzwiach, za wchodzącym kardynałem, d'Artagnana i Portosa.

— Miłościwa pani — rzekł podchodząc do d'Artagnana — oto człowiek, który lepiej ode mnie ci o wszystkim opowie, bo jest to mój wybawca. Gdyby nie on, pewnie znajdowałbym się w tej chwili zatrzymany na stawidłach w Saint-Cloud, mieli bowiem najszczerzy zamiar wrzucić mnie do rzeki. Mów, d'Artagnanie, mów.

Odkąd d'Artagnan został porucznikiem muszkieterów, ze sto razy już chyba znajdował się w tej samej komnacie co i królowa, ale królowa nie przemówiła doń jeszcze ani razu.

— Mów, panie kawalerze. Jakże to, wyświadczyłeś nam tak wielką usługę i milczysz? — odezwała się Anna Austriaczka.

— Najjaśniejsza pani — odpowiedział d'Artagnan — nie mam nic do powiedzenia, chyba to jedynie, że moje życie należy do waszej królewskiej mości i że będę szczęśliwy dopiero w tym dniu, w którym je oddam za nią.

— Wiem o tym, panie, wiem o tym — rzekła królowa — i to od dawna. I wielce jestem rada, mogąc ci w przytomności wszystkich zebranych w tej komnacie dać dowody mojej estymy i mojej wdzięczności.

— Zechciej pozwolić, najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan — abym część tego przelał na mego przyjaciela, dawnego muszkietera z kompanii pana de Treville; jak i ja (wymówił te słowa nieco dobitniej), a który cudów dokazywał.

— Jakie jest nazwisko tego pana? — zapytała królowa.

— W muszkieterach — odparł d'Artagnan — nazywał się Portos (królowa zdrzała), ale jego prawdziwe nazwisko jest kawaler du Vallon.

— De Bracieux de Pierrefonds — dodał Portos.

— Te nazwiska są zbyt liczne, bym je mogła wszystkie zapamiętać, toteż tylko pierwsze zachowam w pamięci — rzekła łaskawie królowa.

Portos skłonił się. D'Artagnan cofnął się o dwa kroki.

W tejże chwili oznajmiono koadiutora.

Po otaczających królową przeszedł szmer zdumienia. Choć pan koadiutor jeszcze tego ranka wygłosił kazanie, wiedziano, że się mocno skłania ku Frondzie, Mazarini zaś, domagając się od arcybiskupa Paryża, aby jego siostrzeniec to kazanie wygłosił, bez wątpienia miał zamiar uraczyć pana de Retz jednym z tych włoskich orzechów, które ku swej uciecze tak często dawał ludziom do zgryzienia.

Rzeczywiście, wychodząc z Notre-Dame koadiutor dowiedział się o wydarzeniu. Był po trosze związany z najgłówniejszymi frondystami, ale nie aż tak, żeby się nie móc cofnąć, jeśliby dwór ofiarował mu korzyści, których w swej ambicji łaknął i ku którym zmierzał poprzez koadiuturę. Pan de Retz chciał być arcybiskupem na miejscu wuja i kardynałem, jak Mazarini. Otóż stronnictwu ludowemu trudno byłoby go tak iście po królewsku nagrodzić. Udał się więc do pałacu, żeby złożyć królowej powinszowania z okazji bitwy pod Lens, zdecydowany z góry, że się opowie za dworem albo przeciw dworowi w zależności od tego, czy jego powinszowanie zostanie dobrze czy źle przyjęte.

Oznajmiono więc koadiutora; wszedł, a na jego widok cały triumfujący dwór wyteżył ciekawość, żeby usłyszeć, co powie.

Koadiutor miał sam jeden co najmniej tyleż dowcipu co wszyscy, którzy się tu byli zebrali, żeby z niego zakpić. Toteż i przemawiał tak zgrabnie, że choć słuchający tak szczerą mieli chęć go wyśmiać, nie znaleźli po temu okazji. Zakończył oświadczając, że oddaje swoje słabe siły na usługi jej królewskiej mości.

Wyglądało, że królowa przez cały czas z przyjemnością przysłuchuje się przemowie pana koadiutora, lecz skoro ją zakończył tymi słowy — jedynymi,

jakie mogły dać okazję do kiepskiej kpiny — Anna odwróciła się i spojrzeniem dała znak swym faworytom, że im wydaje koadiutora. Natychmiast też dworscy dowcipnisie zaczęli się prześcigać nawzajem w uszczypliwościach. Nogent-Beautin, znany ze swych błazeństw, zawołał, że wielkie to szczęście dla królowej, iż otrzymała pomoc religijną w tak trudnej dla siebie chwili.

Wszyscy parsknęli śmiechem.

Hrabia de Villeroy powiedział, że nie pojmuje, jak można było choćby przez chwilę żywić jakiegokolwiek obawy, skoro dla obrony dworu przed parlamentem i mieszczanami Paryża był przecież pan koadiutor, który jednym skinieniem może wystawić armię z proboszczów, kościelnych i zakrystianów.

Marszałek de La Meilleraie dodał, że jeśliby doszło do bitwy, w której wzięłyby udział i pan koadiutor, wielka szkoda, że w ścisku walki nie będzie można poznać pana koadiutora po jego czerwonym kapeluszu, jak niegdyś króla Henryka IV po białym piórze w bitwie pod Ivry.

Gondy ze spokojem i powagą zniósł tę burzę, którą łatwo mógł uczynić śmiertelną dla szyderców. Królowa zapytała wreszcie, czy chciałby jeszcze coś dodać do swojej tak pięknej przemowy.

— Tak miłościwa pani — rzekł koadiutor — chciałbym prosić cię, byś się raczyła dobrze zastanowić, zanim rozpętasz w królestwie wojnę domową.

Królowa odwróciła się i śmiechy znów wybuchnęły.

Koadiutor skłonił się i wyszedł z pałacu, posławszy kardynałowi, który nań patrzył, jedno z tych spojrzeń, jakie są zrozumiałe tylko dla śmiertelnych wrogów. Spojrzenie było tak jadowite, że przeniknęło aż do serca Mazariniego. Kardynał, czując, że jest to wypowiedzenie wojny, schwycił d'Artagnana za ramię i rzekł mu:

— W potrzebie potrafi pan poznać tego człowieka, który dopiero co stąd wyszedł, prawda?

— Tak, eminencjo — odparł d'Artagnan.

Po czym szepnął do Portosa:

— O do diabła, kiepska sprawa, nie lubię kłótni między duchownymi. Gondy wyszedł, rozdając po drodze błogosławieństwa i czerpiąc złośliwą uciechę z tego, że nawet i sługi jego wrogów musiały przed nim w tych warunkach klękać.

— O! — szepnął przekraczając pałacowy próg — niewdzięczny dworze, zdradziecki dworze, podły dworze! Jutro cię nauczę śmiać się, ale na inną nutę.

Tymczasem kiedy w Palais-Royal nie posiadano się z radości i każdy robił, co mógł, żeby jeszcze bardziej rozweselić królową, Mazarini, człek roztropny i jak każdy tchórz — przezorny, nie tracił czasu na puste i niebezpieczne żarty. Po wyjściu koadiutora i on wyszedł, zabezpieczył swoje rachunki, schował złoto i sprowadziwszy zaufanych majstrów, kazał porobić skrytki w ścianach swych pokoi.

Wróciwszy do siebie, koadiutor dowiedział się, że jakiś młody człowiek przyszedł po jego odjeździe i że czeka. Zapytał o nazwisko młodzieńca i zadrzał z radości, dowiadując się, że jest to Louvieres.

Pośpieszył do swego gabinetu. Rzeczywiście, czekał tu syn Broussela, jeszcze wściekły i okrwawiony po walce z królewskimi ludźmi. Jedyłą ostrożnością, jaką przedsięwziął, było, że idąc do arcybiskupa, zostawił swoją rusznicę u przyjaciela.

Koadiutor podszedł do niego i wyciągnął rękę. Młodzieniec spojrzał nań tak, jakby chciał zajrzeć mu do wnętrza serca.

— Drogi panie Louvieres — rzekł koadiutor — wierz mi, że szczerze współczuję z tobą w nieszczęściu, które na cię spadło.

— Czy to prawda, czy pan to mówi serio? — zapytał Louvieres.

— Ze szczerego serca — odpowiedział Gondy.

— W takim razie, wasza wielbność, skończył się ów czas słów, nadeszła godzina czynów. Jeśli pan zechce, za trzy dni mój ojciec wyjdzie z więzienia, a za sześć miesięcy pan będzie kardynałem.

Koadiutor zadrzał.

— Tak, porozmawiajmy szczerze — rzekł Louvieres — i wyłożmy karty na stół. Nie wyrzuca się trzydziestu tysięcy talarów w ciągu pół roku na jałmużnę — jak to pan uczynił — z czystego chrześcijańskiego miłosierdzia. To byłoby za piękne. Jest pan ambitny, rzecz to całkiem zrozumiała: jest pan wielkim człowiekiem i zna pan własną wartość. Ja nienawidzę dworu i w tej chwili pragnę tylko jednego — pomsty. Pan nam da duchowieństwo i lud, które pójdą za panem, ja dam panu mieszczaństwo i parlament. Z pomocą tych czterech czynników w ciągu tygodnia Paryż będzie nasz i wierz mi, panie koadiutorze, że dwór da ze strachu to, czego nie dałby z dobrej woli.

Z kolei koadiutor popatrzył przenikliwie na Louvieres'a.

— A czy zdajesz sobie sprawę, panie Louvieres, że mi tu proponujesz całkiem po prostu rozpętanie wojny domowej?

— Szykujesz ją, wasza wielbność, od tak dawna, że chyba sam jej sobie życzysz.

— Mniejsza o to — rzekł koadiutor. — Pojmujesz, że rzecz wymaga namysłu.

— Ile godzin panu trzeba?

— Dwunastu, panie Louvieres. Chyba nie za dużo?

— Jest południe, będę u pana o północy.

— Jeślibym jeszcze nie wrócił, niech pan na mnie zaczeka.

— Świetnie. Do północy, wasza wielbność.

— Do północy, drogi panie Louvieres.

Po odejściu Louvieres'a Gondy zawiązywał do siebie wszystkich proboszczów, których znał. W dwie godziny potem stawilo się u niego trzydziestu wikariuszów z najludniejszych, a więc i najruchliwszych parafii Paryża.

Gondy opowiedział im o zniewadze, jaka go spotkała w Palais-Royal, powtórzył kpiny Beautina, hrabiego de Villeroy i marszałka de La Meilleraie. Księża zapytali, co należy uczynić.



— Rzec jest nietrudna — rzekł koadiutor. — Do was należy rząd dusz, a więc podważajcie w nich marny przesąd o strachu przed królami i szacunku dla królów. Powiedzcie waszym owieczkom, że królowa jest tyranem, i powtarzajcie tak długo i tak głośno, żeby każdy musiał się dowiedzieć, że przyczyną nieszczęść Francji jest Mazarini, jej kochanek i gorszyciel. Weźcie się do dzieła, już od dziś, już w tej chwili, a za trzy dni przyjdźcie zdać mi sprawę z wyników. Jeśliby zaś któryś z was miał dla mnie jaką dobrą radę, niech zostanie, chętnie go posłucham.

Zostali trzej: proboszcz od Świętego Merri, proboszcz od Świętego Sulpicjusza i proboszcz od Świętego Eustachego. Inni wyszli.

— Sądźcie więc, że jesteście w stanie pomóc mi jeszcze skuteczniej niż wasi koledzy? — zapytał Gondy.

— Tak się spodziewamy — odparli trzej proboszczowie.

— Więc proszę, wy, wikariuszu od Świętego Merri, mówcie pierwsi.

— W mojej parafii, wasza wielbność, mieszka człowiek, który mógłby ci się niezmiernie przydać.

— Cóż to za człowiek?

— Kupiec z ulicy des Lombards, który trzęsie całym drobnym handlem w swojej dzielnicy.

— Jak się zowie?

— Zwie się Wiórek. Sam jeden bez niczyjej pomocy narobił nie lada zgiełku, będzie już ze sześć tygodni temu, ale ponieważ chciano go w związku z tym powiesić, znikł.

— A wy go odnajdziecie?

— Tak się spodziewam. Sądzę, że nie został aresztowany, a że jestem spowiednikiem jego żony, jeśli ona wie, gdzie on jest, i ja będę wiedział.

— Pięknie, proboszczu, szukaj tego zucha i jeśli go odnajdziesz, przyprowadź mi go.

— O której godzinie, wasza wysokość?

— O szóstej, zgoda?

— Będziemy o szóstej u waszej wysokości.

— Idź, mój drogi, idź i niech Bóg cię wspiera.

Proboszcz wyszedł.

— A ty, proboszczu? — rzekł Gondy, zwracając się do proboszcza od Świętego Sulpicjusza.

— Ja, wasza wielbność — odrzekł ów proboszcz — znam człowieka, który oddał znaczne usługi pewnemu bardzo popularnemu księciu, który byłby doskonałym wodzem rebeliantów i którego przyprowadzę do waszej wielbności.

— Jak się ów człowiek nazywa?

— Pan hrabia de Rochefort.

— Ja też go znam. Niestety, nie ma go w Paryżu.

— Wasza wysokość, jest, mieszka przy ulicy Cassette.

— Odkąd?

— Już od trzech dni.

— Czemuż więc nie przyszedł do mnie?

— Bo mu powiedziano... niech mi wasza wielbność wybaczy...

— Wybaczę na pewno, mów.

— Że wasza wielbność właśnie układa się z dworem.

Gondy zagryzł wargi.

— Powiedziano mu nieprawdę. Przyprowadź mi go o ósmej, księżu proboszczu, i niech Bóg cię błogosławi, jak ja cię błogosławię.

Drugi proboszcz uklonił się i wyszedł.

— Twoja kolej, proboszczu — rzekł koadiutor zwracając się do tego, który ostatni został w komnacie. — Mów, co masz dla mnie. Czy twój dar będzie tyleż samo wart co dary tamtych panów, którzy się pożegnali z nami?

— Mam coś lepszego dla waszej wielbności.

— O, do licha, zważ, co mówisz, zważ, do jak trudnej rzeczy chcesz się

zobowiązać: jeden dał mi kupca, drugi dał mi hrabiego, czyżbyś miał dla mnie księcia?

— Ja dam waszej wielbności żebraka.

— Ho, ho! — rzekł Gondy po namyśle — masz słusność, księżu proboszczu. Kogoś, kto by postawił na nogi armię biedaków, których pełno na paryskich ulicach, i kto by umiał ich nauczyć krzyczeć tak głośno, żeby cała Francja usłyszała, że to Mazarini puścił ich z torbami.

— Mam człowieka, jaki jest potrzebny waszej wielbności.

— Brawo! Cóż to za człowiek?

— Zwyczajny żebrak, jak już waszej wielbności powiedziałem, który prosi o jałmużnę podając święconą wodę na schodach kościoła Świętego Eustachego, będzie już od sześciu lat.

— I powiadasz, że ma mir wśród żebractwa?

— Wasza wielbność wie zapewne, że żebractwo jest zorganizowanym ciałem, że jest to coś na kształt stowarzyszenia tych, którzy nie mają, przeciwko tym, którzy mają, stowarzyszenia, do którego każdy wnosi swoją część i które jest posłuszne jednemu zwierzchnikowi?

— Tak, słyszałem o tym — odparł koadiutor.

— Otóż człowiek, którego daję waszej wielbności, jest najstarszym ich cechu.

— Co wiesz o tym człowieku?

— Nic, wasza wielbność, tyle tylko, że go trapią jakieś wyrzuty sumienia.

— Z czego tak wnioskujesz?

— Dwudziestego ósmego dnia każdego miesiąca daje mi na mszę za spokój duszy osoby zmarłej gwałtowną śmiercią. Odprawiłem taką mszę nie dalej jak wczoraj.

— Jak on się zwie?

— Maillard, ale nie sądzę, żeby to było jego prawdziwe nazwisko.

— Jak myślisz, proboszczu, czy o tej porze zastaniemy go przy zajęciu?

— Na pewno.

— Więc chodźmy, pogadamy z pańskim żebrakiem. A jeśli to, coś mówił o nim, potwierdzi się, okaże się, że miałeś słuszość, księżu proboszczu, i że to ty znalazłeś prawdziwy skarb.

I Gondy przywdział strój do konnej jazdy, włożył stosowny kapelusz z czerwonym piórem, przypasał długą szpadę, przypiął ostrogi do butów, owinął się w szeroki płaszcz i podążył za księdzem.

Koadiutor wraz ze swym towarzyszem szli przez ulice prowadzące z arcybiskupstwa do kościoła Świętego Eustachego, pilnie przypatrując się nastrojom ludu. Lud był niespokojny, ale jak spłoszony rój pszczół zdawał się nie wiedzieć, na jakie by miejsce spaść, i było jasne, że jeśli się temu ludowi nie da wodzów, skończy się na szemraniu.

Wchodząc w ulicę des Prouvaires proboszcz wskazał ręką na placyk przed kościołem.

— O proszę — rzekł — jest, siedzi na swoim miejscu.

Gondy spojrzał w tę stronę i ujrzał żebraka. Siedział na stołku, opierając się plecami o jeden z gzymsów. Obok niego stało wiaderko, w ręku trzymał kropidło.

— To miejsce to jego przywilej cechowy? — zapytał Gondy.

— Nie, wasza wielbność — odparł proboszcz — miejsce podawacza święconej wody odkupił od swojego poprzednika.

— Odkupił?

— Tak, te miejsca się sprzedaje. Zdaje mi się, że nasz żebrak zapłacił za swoje sto pistolów.

— Czyżby hultaj był bogaty?

— Niektórzy z tych ludzi zostawiają, umierając, po dwadzieścia, dwadzieścia pięć, trzydzieści tysięcy liwrów, nieraz jeszcze więcej.

— Ho, ho! — roześmiał się Gondy — nie sądziłem, że tak dobrze lokuje się moje jałmużny!

Tak rozmawiając doszli do placyku. Kiedy proboszcz i koadiutor postawili stopy na pierwszym stopniu kościelnych schodów, żebrak wstał i podsunął im kropidło.

Zobaczywszy idącego razem z proboszczem kawalera, drgnął lekko i wyraźnie się zdziwił.

Proboszcz i koadiutor dotknęli końcami palców kropidła i przeżegnali się. Koadiutor wrzucił sztukę srebra w leżący na ziemi kapelusz.

— Maillardzie — rzekł proboszcz — ten pan i ja przyszliśmy, żeby z tobą chwilkę porozmawiać.

— Ze mną! — odparł żebrak. — Taki wielki honor dla ubogiego podawacza święconej wody!

W głosie żebraka zabrzmiała ironia, której nie udało mu się całkowicie opanować. Koadiutor zdziwił się.

— Tak — mówił dalej ksiądz, przyzwyczajony, jak widać do tego tonu — tak, chcielibyśmy się dowiedzieć, co sądzisz o dzisiejszych wypadkach i co mówią o nich ludzie wchodzący do kościoła i wychodzący z kościoła.

Żebrak pokiwał głową.

— Są to smutne wypadki, proszę wielbnego proboszcza, a jak zwykle, najwięcej ucierpi przez nie biedny naród. Jeśli się zaś rozchodzi o to, co ludzie mówią, ano, wszyscy są niezadowoleni, wszyscy się skarżą. Ale kto mówi “wszyscy”, ten mówi “nikt”.

— Wyraż się jaśniej, przyjacielu — rzekł koadiutor.

— Powiadam, że te wszystkie wrzaski, skargi i przekleństwa dadzą tylko burzę z błyskawicami i nic więcej. Bo piorun nie uderzy, chyba żeby się znalazł wódz, który by nim pokierował.

— Przyjacielu — rzekł Gondy — wydaje mi się, żeś jest człowiekiem obrotnym. Czy miałbyś chęć przyłączyć się do, ot, takiej niedużej wojny domowej, gdybyśmy ją przypadkiem mieli, i oddać pod rozkazy tego wodza, który się być może znajdzie, twoje własne siły i mir, jakiś sobie zyskał wśród

swoich kamratów?

— Chętnie, wielmożny panie, byleby ta wojna była pochwalona przez Kościół i mogła mnie dzięki temu doprowadzić do celu, ku któremu zmierzam, czyli do zmazania moich grzechów.

— Kościół nie tylko pochwali tę wojnę, ale nawet osobiście nią pokieruje. Jeśli zaś chodzi o odpuszczenie twoich grzechów, mamy tu arcybiskupa Paryża, który jest pełnomocnikiem Rzymu, albo choćby i pana koadiutora, który ma prawo dawania odpustów specjalnych. Polecimy im ciebie.

— Zważ, Maillard — rzekł proboszcz — że to ja cię poleciłem temu panu, który jest panem wielce możnym, i że poniekąd zaręczyłem za ciebie.

— Wiem — odparł żebrak — że wielbny ksiądz proboszcz był zawsze dla mnie bardzo łaskawy; toteż i ja postaram się zadowolić wielbnego księdza proboszcza.

— Czy sądzisz, że naprawdę masz tak wielki mir wśród swoich kamratów, jak mi o tym mówił przed chwilą ksiądz proboszcz?

— Sądzę, że mnie, owszem, szanują — odparł dumnie żebrak — i że nie tylko zrobią wszystko, co im każe, ale że i pójdą za mną wszędzie, gdzie ja pójdę.

— A czy możesz się podjąć dostarczenia mi pięćdziesięciu śmiałych ludzi, poczciwych próżniaków ożywionych zacnym animuszem, tęgich krzykaczy, którzy by się tak głośno darli: „Precz z Mazarinim”, że mury Palais-Royal runęłyby, jak niegdyś mury Jerycha?

— Sądzę — rzekł żebrak — że się mogę podjąć trudniejszych i ważniejszych zadań. Tamto, to fraszka.

— Proszę, proszę — rzekł Gondy — może mógłbyś się podjąć wystawienia dziesięciu barykad w ciągu jednej nocy?

— Podejmuję się wystawić ich pięćdziesiąt i obronić je w dzień.

— Do kaduka! — rzekł Gondy — śmiało mówisz, to mi się podoba. A ponieważ ksiądz proboszcz za ciebie ręczy...

— Ręczę za niego — potwierdził proboszcz.

— Masz tu sakiewkę, jest w niej pięćset złotych pistolów. Zarządź, co należy, i powiedz mi, gdzie będę cię mógł zastać dziś wieczorem o godzinie dziesiątej.

— Powinno to być miejsce znajdujące się tak wysoko, żeby sygnał z niego dany mógł być widziany we wszystkich dzielnicach Paryża.

— Chcesz, to ci dam list do wikarego Świętego Jakuba koło Rzeźni? Zaprowadzi cię do jednej z izb na wieży — rzekł ksiądz.

— Bardzo dobre miejsce — odparł żebrak.

— Zatem — rzekł koadiutor — dziś wieczorem o dziesiątej, a jeśli będę kontent z ciebie, dostaniesz drugą sakiewkę, zawierającą drugie pięćset pistolów.

W oczach żebraka zabłysła chciwość, lecz poskromił w sobie to uczucie.

— Do wieczora, wielmożny panie, wszystko będzie gotowe — odpowiedział.

Wniósł swój stołek do kościoła, obok stołka ustawił wiaderko i kropidło, zanurzył palce w kropielnicy, jakby własnej święconej wodzie nie ufał, i wyszedł.

## 2. Wieża Świętego Jakuba koło Rzeźni

Za kwadrans szósta pan de Gondy wrócił do arcybiskupstwa, załatwiwszy wszystko, co miał do załatwienia na mieście. O szóstej oznajmiono proboszcza od Świętego Merri. Koadiutor spojrzał i zobaczył, że ksiądz nie przyszedł sam.

— Prosić — rozkazał.

Wszedł proboszcz, a za nim Wiórek.

— Wasza wielbność — rzekł proboszcz od Świętego Merri — oto osoba, o której miałem honor panu wspomnieć.

Wiórek uklonił się z miną człowieka, który nieraz bywał w dobrych domach.

— Czy chcesz służyć sprawie ludu? — zapytał Gondy.

— Ja myślę — odparł Wiórek. — Jestem całą duszą frondystą. Tak jak mnie tu wasza wielbność widzi, jestem skazany na szubienicę.

— A z jakiejż to okazji?

— Wyrwałem z łap pachołków Mazariniego szlachetnie urodzonego pana, którego odwozili do Bastylji, gdzie siedział już od pięciu lat.

— Jakie jest jego nazwisko?

— O, wasza wielbność je dobrze zna: to pan hrabia de Rochefort.

— Prawda — rzekł koadiutor — słyszałem o tej hecy. Mówiono mi, żeś całą dzielnicę postawił na nogi.

— Mniej więcej — rzekł Wiórek z wielce zadowoloną z siebie miną.

— A jesteś ze swego stanu?

— Cukiernikiem, przy ulicy des Lombards.

— Wyjaśnij mi, jak to być może, że wykonując tak pokojowe zajęcie, taką masz skłonność do wojaczki?

— A jak to być może, że wasza wielbność będąc duchownym przyjmuje



mnie w rycerskim stroju, ze szpadą u boku i z ostrogami u butów?

— Na honor, rezolutna odpowiedź — rzekł Gondy śmiejąc się — ale jak wiesz, ja, pomimo mojej sutanny, zawsze miałem zamiłowanie do wojaczki.

— A ja, wasza wielbność, nim zostałem cukiernikiem, przez trzy lata byłem sierżantem w piemonckim pułku, a nim zacząłem służyć w piemonckim pułku, przez osiemnaście lat byłem służącym pana d'Artagnan.

— Porucznika muszkietarów? — zapytał Gondy.

— Tak, wasza wielbność, jego właśnie.

— Ale o nim powiadają, że to zażarty mazarinista?

— Hmm... — mruknął Wiórek.

— Co chciałeś powiedzieć?

— Nic, wasza wielbność. Pan d'Artagnan jest w służbie: pan d'Artagnan spełnia swój obowiązek broniąc Mazariniego, który mu płaci, a my, mieszczanie, spełniamy nasz obowiązek walcząc z Mazarinim, który nas okrada.

— Jesteś sprytnym chłopcem, przyjacielu. Czy można liczyć na ciebie?

— Zdawało mi się — odparł Wiórek — że ksiądz proboszcz zaręczył za mnie waszej wielbności.

— Owszem, ale chciałbym, żebyś to potwierdził sam, własnymi ustami.

— Wasza wielbność może na mnie liczyć, przynajmniej, jeśli chodzi o wywołanie ruchawki w mieście.

— O to też i chodzi. Jak sądzisz, ile ludzi będziesz mógł zebrać w ciągu nocy?

— Dwieście muszkietów i pięćset halabard.

— Jeśli się w każdej dzielnicy znajdzie jeden chwyt, który tyle zdoła, będziemy mieli jutro całkiem grzeczną armię.

— Z pewnością.

— Zobowiązujesz się słuchać rozkazów hrabiego de Rochefort?

— Pójdę za nim do piekła; a to znaczy niemało, bo wiem, że on jest zdolny i tam zejść.

— Brawo!

— Po jakim znaku będzie można jutro odróżnić przyjaciół od wrogów?

— Każdy frondysta może sobie przyczepić do kapelusza słomiany wiecheć.

— Dobrze. Niech wasza wielbność wyda rozkaz.

— Trzeba ci pieniędzy?

— Pieniądze jeszcze nigdy nie zaszkodziły żadnej sprawie, proszę waszej wielbności. Jeśli się ich nie ma, można się bez nich obejść, jeśli sieje ma, wszystko idzie szybciej i sprawniej.

Gondy podszedł do skrzyni i wyjął z niej sakiewkę.

— Masz tu pięćset pistolów — rzekł. — Jeśli wszystko pójdzie dobrze, liczę jutro na taką samą sumę.

— Skrupulatnie wyliczę się waszej wielbności z tej sumki — rzekł Wiórek wkładając sakiewkę pod pachę.

— Dobrze, polecam ci kardynała.

— Niech wasza wielbność będzie spokojny, jest w dobrych rękach.

Wiórek wyszedł, proboszcz został jeszcze.

— Czy jest pan zadowolony, wasza wielbność? — zapytał.

— Tak, ten człowiek wygląda mi na tęgiego chwata.

— Zrobi więcej, niż obiecał.

— To świetnie.

Ksiądz wyszedł, żeby dogonić Wiórka, który na niego czekał na schodach. W dziesięć minut później oznajmiono proboszcza od Świętego Sulpicjusza.

Kiedy drzwi gabinetu Gondy'ego otwarły się, wszedł przez nie szybkim krokiem jakiś mężczyzna. Był to hrabia de Rochefort.

— Więc wreszcie cię widzę, kochany hrabio! — rzekł Gondy podając mu rękę.

— Więc się wreszcie wasza wielbność zdecydowałeś? — odrzekł Rochefort.

— Zawsze byłem zdecydowany — odparł Gondy.

- Nie mówmy już o tym. Rzekłeś — wierzę; urządzimy Mazariniemu bal.
- Ano... spodziewam się.
- Kiedy się zaczną tańce?
- Zaproszenia rozesłano na tę noc — odparł koadiutor — ale skrzypce zaczną przygrywać dopiero jutro rano.
- Może pan liczyć na mnie i na pięćdziesięciu żołnierzy, których mi obiecał dać kawaler d'Humieres, jeśli ich będę potrzebował.
- Pięćdziesięciu żołnierzy?
- Tak; robi zaciąg, więc mi ich pożyczą. Jeśli którego zabraknie po skończonej zabawie, oddam mu na to miejsce innego.
- Dobrze, mój drogi Rochefort, ale to nie wszystko.
- A co by pan więcej chciał? — zapytał z uśmiechem Rochefort.
- Coś zrobił z panem de Beaufort?
- Jest w Vendómois i tam czeka, póki mu nie napiszę, żeby wracał do Paryża.
- Napisz, już pora.
- Jest pan więc całkiem pewny swego?
- Tak, ale książę musi się pośpieszyć, bo ledwie lud paryski zbuntuje się, od razu będziemy mieli dziesięciu księciów na jednego mieszczanina, którzy będą chcieli stanąć na czele ruchawki. Jeśli się spóźni, zostanie miejsce zajęte.
- Czy mam go wezwać w pańskim imieniu?
- Tak, oczywiście.
- Czy mam mu napisać, że może liczyć na pana?
- Naturalnie.
- I odda mu pan całą władzę?
- Co się tyczy wojny, tak. Co się zaś tyczy polityki...
- Wie pan, że polityka to nie jego rzecz.
- Zostawi mi wolną rękę w pertraktacjach o mój kardynalski kapelusz.
- Tak bardzo panu na nim zależy?

— Skoro mnie zmuszono do noszenia kapelusza, który mi nie odpowiada kształtem — rzekł Gondy — chcę, żeby był to przynajmniej kapelusz czerwony!

— Ano, kolor, jak wiadomo, rzecz gustu — rzekł śmiejąc się Rochefort. — Ręczę za zgodę księcia.

— I jeszcze dziś napisze pan?

— Lepiej zrobię — pošlę umyślnego.

— W ile dni może tu książkę stanąć?

— W pięć dni.

— Niech przyjeżdża, a zastanie wszystko odmienione.

— Tego bym pragnął.

— Ręczę za to.

— A więc?

— Zbierz, hrabio, swoich pięćdziesięciu ludzi i bądź gotów.

— Na co?

— Na wszystko.

— Czy jest jakiś umówiony znak?

— Słomiany wiecheć u kapelusza.

— Dobrze. Do widzenia, wasza wielebność.

— Do widzenia, mój drogi Rochefort.

— O, monsignore Mazarini, monsignore Mazarini — rzekł Rochefort wychodząc razem ze swoim proboszczem, który nie zdołał ani słówka wtrącić do tego dialogu — przekonasz się, czy jestem za stary na czyny. Pokażę ci, co jeszcze potrafię.

Było wpół do dziesiątej, a na drogę z arcybiskupem do wieży Świętego Jakuba koło rzeźni potrzeba właśnie pół godziny.

Będąc już u celu koadiutor spostrzegł, że w jednym z najwyższych okien wieży pali się światełko.

— Ślicznie — rzekł sobie — nasz król żebraków jest na posterunku.

Zapukał, drzwi otwarły się. Wikary czekał na niego i osobiście

zaprowadził, świecąc mu po drodze, aż na sam szczyt wieży. Tam wskazał mu niewielkie drzwiczki, postawił świecę w załomie muru, żeby ją koadiutor miał na powrotną drogę i zeszedł.

Choć klucz tkwił w drzwiach, koadiutor zapukał.

— Wejdźcie, panie — odpowiedział mu znajomy głos.

Gondy wszedł. Podawacz święconej wody z kościoła Świętego Eustachego rzeczywiście czekał, leżąc na nędznym wyrku. Na widok wchodzącego koadiutora wstał. Wydzwoniła dziesiąta.

— No co — rzekł Gondy — dotrzymałeś słowa?

— Nie całkiem ściśle — odparł żebrak.

— Jakże to?

— Wasza wielbność zażądał pięciuset ludzi, prawda?

— Tak, więc co?

— Mam dla waszej wielbności dwa tysiące.

— Nie przechwalasz się?

— Chcesz wasza wielbność dowodu?

— Chcę.

W izbie paliły się trzy świece, po jednej w każdym oknie. Jedno okno wychodziło na Cite, drugie na Palais-Royal, trzecie na ulicę Saint-Denis.

Żebrak w milczeniu podchodził do każdej świece i wszystkie trzy po kolei zdmuchnął.

Koadiutor znalazł się w ciemnościach, bo izba była teraz oświetlona tylko bladą poświatą księżyca uwieczłego między wielkimi, czarnymi chmurami, którym srebrzył brzegi.

— Coś zrobił? — zapytał koadiutor.

— Dałem znak.

— Jaki znak?

— Znak tyczący barykad.

— O!

— Kiedy wyjdiesz stąd, wielmożny panie, zobaczysz moich ludzi przy robocie. Tylko uważaj, żebyś sobie nogi nie złamał, bo mógłbyś po ciemku zawadzić o jaki łańcuch albo wpaść do dziury.

— Dobrze, masz tu sakiewkę z taką sumą jak tamta, którą ci przedtem dałem. Tylko pamiętaj, że jesteś wodzem, i nie upij się.

— Od dwudziestu lat pijam tylko wodę.

Żebrak wziął sakiewkę z rąk koadiutora. Rozległ się brzęk złota — widać zanurzył dłoń w worku i obmacywał pieniądze.

— Jak słyszę, lubisz złoto — odezwał się koadiutor.

Żebrak westchnął i odrzucił worek.

— Czyżbym miał na zawsze zostać taki sam? — rzekł. — Czyżbym nigdy nie miał się pozbyć dawnych przywar? O, nędzne, marne złoto!

— Ale je jednak bierzesz.

— Biore, ale ślubuję w twojej, panie, obecności, że wszystko, co mi zostanie, oddam na pobożne cele.

Twarz miał bladą, skurczoną. Taka bywa twarz człowieka, który stacza walkę z samym sobą.

— Dziwny człek — szepnął Gondy.

Wziął kapelusz i chciał wyjść, ale kiedy się odwrócił, zobaczył, że żebrak zastąpił mu drzwi.

Drgnął, bo mu się wydawało w pierwszej chwili, że ten człowiek ma jakiś zły zamiar.

Lecz okazało się, że jest inaczej: żebrak złożył dłonie i uklęknął.

— Wasza wielbność — rzekł — nim wyjdiesz, pobłogosław mnie, proszę.

— Wasza wielbność! — zawołał Gondy. — Przyjacielu, bierzesz mnie za kogoś innego.

— Nie, wasza wielbność, biore cię za tego, kim jesteś, czyli za wielbnego koadiutora; poznałem cię od pierwszego wejrzenia.

Gondy uśmiechnął się.

— I chcesz mego błogosławieństwa? — zapytał.

— Tak, potrzebuję go.

Żebrak wyrzekł te słowa tonem tak pokornym i tak rozpaczliwie błagalnym, że Gondy wyciągnął nad nim rękę i pobłogosławił go z całym namaszczeniem, na jakie go było stać.

— Od tej chwili — rzekł koadiutor — łączy nas duchowy związek. Pobłogosławiłem cię, więc osoba twoja jest dla mnie tak samo święta jak moja dla ciebie. Powiedz, czy popełniłeś zbrodnię ściganą przez sprawiedliwość ludzką, przed którą ja mógłbym cię uchronić?

Żebrak potrząsnął głową.

— Zbrodnia, którą popełniłem, wasza wielbność, nie ludzkiej podlega sprawiedliwości i jeśli chcesz mi ulżyć, panie, często błogosław mnie tak jak przed chwilą. Tylko tyle możesz dla mnie uczynić.

— Powiedz szczerze — rzekł koadiutor — nie przez całe życie byłeś żebrakiem?

— Nie, wasza wielbność, jestem nim od sześciu lat dopiero.

— A coś robił przedtem?

— Byłem w Bastylii.

— A zanim trafiłeś do Bastylii?

— Wyznam ci to, wasza wielbność, w tym dniu, w którym mnie zechcesz wypowiedzieć.

— Dobrze. Wiesz, że o jakiegokolwiek porze dnia czy nocy zgłosiłbyś się do mnie, jestem gotów dać ci rozgrzeszenie.

— Dziękuję waszej wielbności — odparł głucho żebrak — ale jeszcze nie jestem tego godny.

— Jak chcesz. Bywaj.

— Żegnaj, wasza wielbność — odpowiedział żebrak, otwierając drzwi i pochylając się nisko przed prałatem.

Koadiutor wziął świecę, zszedł na dół i zamyślony głęboko, wyszedł z wieży.



### 3. Zamieszki

Było już gdzieś koło jedenastej w nocy. Gondy, nie uszedłszy nawet i stu kroków, spostrzegł, że ulice Paryża dziwnie się zmieniły.

Rzekłbyś, że to miasto zamieszkują jakieś fantastyczne stwory: milczące cienie wyrywały kamienie z bruków, ciągnęły i wywracały wozy, kopały rowy, tak wielkie, że mogłyby połknąć całe szwadrony jazdy. Te tak bardzo zajęte istoty chodziły, biegały, mrowiły się, podobne do tworzących jakieś tajemnicze dzieło demonów: to żebracy z Dziedzińca Cudów, to agenci podawacza święconej wody z kościoła Świętego Eustachego szykowali barykady na jutrzejszy dzień.

Gondy nie bez lęku przyglądał się tym ludziom ciemności, tym nocnym robotnikom i zastanawiał się, czy potrafi zmusić do powrotu do nor te wszystkie nieczyste stworzenia, które jego rozkaz z nor wyprowadził. Kiedy któraś z tych istot zbliżała się do niego, miał chęć przeżegnać się.

Dotarł do ulicy Saint-Honore i poszedł nią w kierunku ulicy de la Ferronnerie. Tu ujrzał inny widok: tu od sklepu do sklepu przebiegali kupcy, drzwi i okiennice robiły wrażenie zamkniętych, w istocie były tylko przymknięte, otwierały się i natychmiast zamykały; przepuściwszy do wnętrza ludzi, którzy najwidoczniej woleli nie pokazywać, co niosą. Owymi ludźmi byli kramarze mający broń, którzy ją pożyczali tym, co jej nie mieli.

Jakiś człowiek szedł od drzwi do drzwi, uginając się pod ciężarem szpad, rusznic, muszkietów, wszelkiego rodzaju broni, którą rozdawał w miarę potrzeby. W świetle latarni koadiutor poznał Wiórka.

Ulicą de la Monnaie doszedł koadiutor do bulwaru. Na bulwarze stały nieruchome grupy mieszczan w płaszczach czarnych i szarych, zależnie od tego, czy należeli do wyższego czy też do niższego mieszczaństwa, a między grupami

krażyli pojedynczy ludzie. Spod tych wszystkich czarnych i szarych płaszczy wystawały z tyłu czubki szpad, a z przodu lufy rusznic albo muszkietów.

Dochodząc do Pont-Neuf koadiutor natknął się na wartę; jakiś człowiek zaczepił go:

— Kim jesteś? — zapytał. — Chyba do nas nie należysz, bo nie poznaje cię.

— Więc nie poznajesz własnych przyjaciół, mój kochany panie Louvieres — odparł koadiutor uchylając kapelusza.

Louvieres poznał go i skłonił się.

Gondy szedł dalej, aż do wieży Nesle. Tu ujrzał długi sznur ludzi, którzy się przesuwali pod ścianami. Rzekłbyś, że to procesja duchów, bo wszyscy byli owinięci w białe płaszcze. Doszedłszy do pewnego miejsca, ludzie ci przepadli gdzieś, jeden po drugim, jakby się im ziemia rozstępowała pod nogami. Gondy przystanął za węglem i patrzył, jak po kolei znikają wszyscy, od pierwszego do przedostatniego.

Ostatni obejrzał się, niewątpliwie po to, żeby sprawdzić, czy nikt jego i jego towarzyszy nie śledzi, i choć było ciemno, spostrzegł Gondy'ego. Zawrócił i przyłożył mu pistolet do gardła.

— Hola, panie de Rochefort — roześmiał się Gondy — nie żartujemy z bronią palną.

Rochefort poznał głos.

— Więc to pan, wasza wielbność? — zapytał.

— Ja, we własnej osobie. Cóż to za ludzi wprowadzasz do wnętrza ziemi?

— Moich pięćdziesięciu rekrutów od kawalera d'Humieres, którzy byli przeznaczeni do lekkiej jazdy i dostali tylko białe płaszcze za cały ekwipunek.

— Dokąd idziecie?

— Do pewnego rzeźbiarza, mego przyjaciela, ale wchodzimy przez piwnicę. Tędy wnoszą mu do pracowni marmur.

— Świetnie — rzekł Gondy.

Uściskał dłoń Rocheforta, po czym i ten też z kolei zszedł i zamknął za sobą klapy.

Koadiutor wrócił do arcybiskupstwa. Była pierwsza nad ranem. Otworzył okno i wychylił się, żeby słuchać.

Po całym mieście szedł szmer, dziwny, nieznany, nowy. Czuć było, że w tych wszystkich ulicach, ciemnych jak czeluści, dzieją się jakieś rzeczy niezwykle i groźne. Od czasu do czasu rozlegał się pomruk, podobny do pomruku nadciągającej burzy albo narastającej fali; ale wszystko to było jeszcze niejasne, niewyraźne, niewytłumaczalne, jak owe tajemnicze, podziemne huki, które poprzedzają trzęsienie ziemi.

Przez całą noc szykowano się do buntu. Nazajutrz rano Paryż, budząc się, rzec by można, że zadrżał na własny widok. Wyglądał jak miasto obleżone. Na barykadach stali zbrojni ludzie i patrzyli groźnie i zadziornie, trzymając w pogotowiu muszkiety. Przechodzień co krok słyszał słowa hasła, napotykał patrole, oglądał aresztowania, nawet i egzekucje. Zatrzymywano wszystkie kapelusze z piórami i pozłacane szpady, każąc im, żeby krzyczeli: “Niech żyje Broussel!”, “Precz z Mazarinim!” A ten, co by się przed tą ceremonią wzbraniał, narażał się na wrzaski, obelgi, nieraz i na pobicie. Jeszcze nie zabijano, ale czuło się, że ochoty po temu nie brak.

Barykady podeszły aż po sam Palais-Royal. Między ulicą des Bons-Enfants i ulicą de la Ferronnerie, między ulicą Saint-Thomas-du-Louvre i Pont-Neuf, między ulicą Richelieu i bramą Saint-Honore znajdowało się przeszło dziesięć tysięcy zbrojnych ludzi, a ci z nich, którzy stali najbliżej, głośno urągali gwardzistom, rozstawionym na wartach dookoła całuteńkiego Palais-Royal, którego kraty były szczelnie zamknięte za ich plecami. Wskutek tej ostrożności położenie gwardzistów było zaiste kiepskie. Wśród tego wszystkiego, w gromadach po stu, po stu pięćdziesięciu, po dwustu, krążyli mizerni, bladzi, obdarci ludzie, niosąc coś niby sztandary, na których były wypisane słowa: “Oglądajcie nędzę ludu”. Wszędzie, gdzie się tylko pojawili, rozlegały się

frenetyczne okrzyki. A tak wiele było takich gromad, że wszędzie krzyczano.

Anna Austriaczka i Mazarini wielce byli zdumieni, kiedy im, po wstaniu, doniesiono, że Cite, które jeszcze wieczorem poprzedniego dnia było takie spokojne, przebudziło się wzburzone i rozgorączkowane. Toteż ani królowa, ani kardynał nie chcieli uwierzyć w przyniesione im wieści, mówiąc, że w tym względzie dadzą wiarę tylko własnym oczom i uszom. Więc im otworzono okno: ujrzeli, usłyszeli i przekonali się.

Mazarini wrzucił ramionami, jakby tylko gardził tym motłochem, ale wyraźnie zbladł i drżąc na całym ciele, udał się spiesźnie do swego gabinetu, pochował złoto i klejnoty do skrytek, a najpiękniejsze diamenty powkładał na palce. Królowa zaś była wściekła i nie naradzając się z nikim, wezwała marszałka de La Meilleraie i rozkazała mu, żeby wziął sobie tyle ludzi, ile uzna za stosowne, i pojechał przekonać się, co właściwie mają znaczyć te żarty.

Marszałek był z natury wielki ryzykant i bardzo pewny siebie, tym bardziej, że — jak większość szlachty — z całej duszy gardził motłochem. Wziął stu pięćdziesięciu ludzi i chciał przejechać przez most przy Luwrze, ale spotkał tam Rocheforta na czele pięćdziesięciu lekkiej jazdy, którym towarzyszył tłum złożony z co najmniej pięciuset osób. Nie sposób było przebić się przez tę przeszkodę. Marszałek nawet tego nie próbował i posunął się bulwarem w górę rzeki.

Ale przy Pont-Neuf spotkał Louvieres'a i jego mieszczan. Tym razem marszałek spróbował natarcia, ale przyjęły go strzały z muszkietów, a kamienie posypały się jak grad ze wszystkich okien. Zostawił tu trzech ludzi.

Cofnął się ku dzielnicy Hal, ale tu spotkał Wiórka i jego halabardników. Halabardy pochylły się, grożąc. Chciał przejść po brzuchach tym wszystkim szarym płaszczom, ale szare płaszcze wytrzymały natarcie i marszałek cofnął się w ulicę Saint-Honore, zostawiając na placu czterech gwardzistów, zabitych białą bronią.

Wszedł tedy w ulicę Saint-Honore, ale tu spotkał barykady żebraka od

Świętego Eustachego. Pilnowali ich nie tylko zbrojni mężczyźni, ale także i kobiety, i dzieci. Mistrz Friquet, posiadacz pistoletu i szpady, które dał mu Louvieres, zebrał sobie doborową kompanię z takich samych jak i on łobuziaków i hałasowali jak opętani.

Marszałek ocenił, że to miejsce jest słabiej od innych pilnowane, i postanowił natrzeć. Kazał dwudziestu ludziom zsiąść z koni, uderzyć i rozgrodzić barykadę, on sam zaś, wraz z resztą konnego oddziału, miał ubezpieczać nacierających. Dwudziestu ludzi podeszło pod przeszkodę, ale tu, zza belek, spomiędzy kół wozów, znad kamieni, przywitała ich mordercza salwa, zaś na odgłos strzelaniny zza rogu cmentarza Świętych Młodzianków wyłonili się halabardnicy Wiórka, a zza rogu ulicy de La Monnaie mieszczenie Louvieres'a.

Marszałek de La Meilleraie był wzięty w dwa ognie.

Marszałek de La Meilleraie był odważny, więc też postanowił zginąć tam, gdzie stał. Na strzały odpowiedział strzałami i jęki bólu zaczęły się rozlegać w tłumie. Gwardziści, lepiej wyćwiczeni, strzelali celniej, ale mieszczenie, liczniejsi, miażdżyli ich prawdziwym huraganem żelaza. Dokoła marszałka ludzie kładli się pokotem, tak jak się kładli pod Rocroi czy pod Leridą. Fontrailles, jego adiutant, miał strzaskane ramię, koń marszałka dostał kulą w szyję i z największym trudem udawało mu się utrzymać w ryzach oszalałe z bólu zwierzę. Aż wreszcie kiedy nadeszła dlań ta ostatnia chwila, w której i najodważniejsi czują dreszcz w żyłach i pot im występuje na czoło, tłum rozstał się nagle koło wylotu ulicy Suchego Drzewa, krzyząc: "Niech żyje koadiutor!", i ukazał się Gondy, w komży i pelerynie biskupiej, obojętnie idący wśród strzałów i rozdający na prawo i na lewo błogosławieństwa z takim spokojem, jakby prowadził procesję na Boże Ciało.

Wszyscy poklękali.

Marszałek poznał go i podbiegł doń.

— Na litość boską, wyciągnij mnie stąd, wasza wielbność — rzekł. — Bo

ani ja, ani żaden z moich ludzi nie ujdzie żyw.

Tumult stał się tak wielki, że gdyby spadł piorun z nieba, też by go nikt nie usłyszał. Gondy podniósł rękę i nakazał ciszę. Uciszyli się.

— Dzieci — rzekł — oto pan marszałek de La Meilleraie. Pomyliliście się co do jego intencji, bowiem zobowiązuje się, wróciwszy do Luwru, zażądać od królowej w waszym imieniu wolności dla naszego Broussela. Prawda, że się do tego zobowiązujesz, marszałku? — dodał Gondy zwracając się do La Meilleraie.

— Do kroćset! — zawołał marszałek — pewnie że tak. Nie spodziewałem się, że mi się uda tak tanim kosztem stąd wywinąć.

— Marszałek daje wam na to swój szlachecki parol — rzekł Gondy.

La Meilleraie podniósł rękę na znak, że potwierdza.

— Niech żyje koadiutor! — krzyczał tłum. Gdzeniegdzie odezwały się nawet głosy: “Niech żyje marszałek!”, wszędzie jednak podjęto chórem: “Precz z Mazarinim!”

Tłum rozstąpił się, czyniąc im przejście najkrótszą drogą, czyli ulicą Saint-Honore. Rozgrodzono barykady i marszałek wycofał się z resztkami swojego oddziału, a przed nim kroczył Friquet i jego koleżkowie, jedni udając, że bębnią, drudzy udając, że trąbią.

Marsz był więc niemal triumfalny, ale barykady zamykały się za gwardzistami; marszałek palce sobie gryzł ze złości.

Przez ten czas, jak już powiedzieliśmy, Mazarini był w swoim gabinecie i porządkował swoje interesy majątkowe. Kazał wezwać d’Artagnana, ale w tym całym zamieszaniu nie spodziewał się go ujrzyć, d’Artagnan bowiem nie miał służby. Aliści już po dziesięciu minutach porucznik zjawił się w progu, a wraz z nim nieodłączny Portos.

— Proszę, wejdz, wejdz, panie d’Artagnan! — zawołał kardynał. — Rad cię widzę. Co też się dziś dzieje w tym zatraconym Paryżu?

— Co się dzieje, eminencjo? Nic dobrego — odparł potrząsając głową d’Artagnan — miasto zbuntowało się i przed chwilą, kiedym przechodził ulicą

Montorgueil razem z tu obecnym panem du Vallon, oddanym sługą waszej eminencji, pomimo mojego munduru, a może właśnie z przyczyny mojego munduru, chciano zmusić nas, żebyśmy wołali: “Niech żyje Broussel”, i czy mam powiedzieć, eminencjo, co jeszcze?

— Powiedz, koniecznie powiedz.

— I “Precz z Mazarinim”. Na honor, hasło zostało rzucone.

Mazarini uśmiechnął się, ale bardzo zbladł.

— I wołaliście? — zapytał.

— Na honor, nie, nie byłem przy głosie — rzekł d’Artagnan. — Pan du Vallon ma chrypkę i też nie wołał. Wobec tego, eminencjo...

— Wobec tego co? — zapytał. Mazarini.

— Spójrz na mój kapelusz i płaszcz.

I d’Artagnan pokazał cztery dziury od kul w płaszczu i dwie w kapeluszu. Portos zaś miał płaszcz rozcięty z boku halabardą, a u kapelusza strzał z pistoletu obłamał mu pióro.

— Diavolo! — rzekł przeciągle kardynał, patrząc z naiwnym podziwem na obu przyjaciół. — Ja bym wołał.

W tej chwili zgiełk wzmógł się.

Mazarini tarł czoło, rozglądając się po komnacie. Miał wielką chęć podejść do okna, ale bał się.

— Zobaczże, co się święci, panie d’Artagnan — rzekł.

D’Artagnan ze zwykłą sobie beztróską podszedł do okna.

— O! o! — rzekł — a to co znowu? Marszałek de La Meilleraie wraca, bez kapelusza. Fontrailles ma rękę na temblaku, gwardziści poranieni, konie całe we krwi... Zaraz... cóż, u licha, robią warty? Podnoszą muszkiety, będą strzelać.

— Mają rozkaz strzelać do tłumu — zawołał Mazarini — jeśli się tłum zbliżył do Palais-Royal!

— Ależ jeśli otworzą ogień — wszystko będzie stracone! — zawołał d’Artagnan.

— Mamy kraty.

— Kraty! Wytrzymają, daj Boże, pięć minut. Kraty! Wyłamią je, wyrwą, rozniosą... Nie strzelać! do kaduka! — krzyknął d'Artagnan otwierając okno.

Mimo tego wezwania, którego zresztą nikt nie mógł usłyszeć wśród zgiełku, trzy czy cztery muszkiety wypaliły i zaczęła się ostra strzelanina. Było słychać, jak kule uderzają w fasadę Palais-Royal. Jedna z nich przeszła d'Artagnanowi pod pachą i rozłukła lustro, w którym Portos przeglądał się z upodobaniem.

— Oh! — zawołał kardynał. — Weneckie lustro!

— O, eminencjo — rzekł d'Artagnan, spokojnie zamykając okno — nie płacz jeszcze, nie warto, bo jest wielce możliwe, że za godzinę w Palais-Royal nie będzie już ani jednego z twoich luster, czy weneckich, czy paryskich.

— Ale co robić, panie d'Artagnan, co robić? — zapytał kardynał, cały drżąc.

— A oddać im Broussela, do licha, skoro się go tak domagają. Na diabła ci, eminencjo, radca parlamentu. Takie nicpotem.

— A ty, panie du Vallon, czy też jesteś tego zdania? Co byś zrobił?

— Oddałbym Broussela — rzekł Portos.

— Chodźcie, panowie, chodźcie! — zawołał Mazarini. — Pomówię w tej sprawie z królową.

Na końcu korytarza zatrzymał się:

— Mogę na was liczyć panowie, czy tak?

— Mamy tylko jedno słowo — rzekł d'Artagnan — i daliśmy je waszej eminencji. Rozkazuj — usłuchamy.

— W takim razie — rzekł Mazarini — wejdźcie do tego gabinetu i zaczekajcie.

Sam cofnął się na korytarz i wszedł do sali innymi drzwiami.



## 4. Zamieszki zmieniają się w bunt

Gabinet, w którym się znaleźli d'Artagnan i Portos, oddzielony był od sali, w której się znajdowała królowa, jedynie kotarami. Wątlność tej przegrody pozwalała więc słyszeć, co mówiono w sali, zaś szpara między dwiema częściami kotary, choć wąska, pozwalała widzieć.

W sali królowa była blada ze złości, lecz tak świetnie potrafiła się opanować, że można by przypuścić, iż nie nurtuje jej żadne wzruszenie. Za królową stali Comminges, Villequier i Guitaut; za panami — damy.

Przed królową stał kanclerz Segurier, ten sam, który dwadzieścia lat temu, tak bardzo ją prześladował, i opowiadał, że jego kareta została połamana, że go ścigano, że się schronił w pałacu markiza d'O, że w ślad za nim wtargnął tam motłoch, grabiąc i pustosząc. Na szczęście zdążył dopaść do tajnego gabinetu, ukrytego za obiciem, gdzie go jakaś starszka ze służby zamknęła, razem z jego bratem, biskupem Meaux. Tam niebezpieczeństwo wydawało się tak nieuchronne, rozwścieczony lud był tak blisko gabinetu i takie ciskał groźby, że kanclerz, pewien, że nadeszła jego godzina, wyspowiadał się przed bratem, żeby być gotowym na śmierć, skoro go znajdą. Na szczęście ich nie znaleźli; motłoch, sądząc, że się wymknął jakimiś tylnymi drzwiami, opuścił pałac i pozwolił mu uciec. Przebrał się więc w suknie markiza d'O, i wyszedł z pałacu, przeskakując przez ciała dowódcy swojej straży i dwu wartowników, którzy broniąc bramy od ulicy, zostali zabici.

Kiedy kanclerz opowiadał, wszedł Mazarini, bezszelestnie przysunął się do królowej, stanął i słuchał.

— Więc co? — zapytała królowa, skoro kanclerz skończył. — Co pan o tym wszystkim myśli?

— Myślę, że sprawa jest bardzo poważna, najjaśniejsza pani.

— A co mi pan radzi?

— Miałbym radę dla waszej królewskiej mości, ale nie śmiem powiedzieć.

— Powiedz, panie, powiedz śmiało — rzekła królowa uśmiechając się cierpko. — W innej okazji starczyło ci śmiałości.

Kanclerz poczerwieniał i z trudem wykrztusił kilka niezrozumiałych słów.

— Nie mówmy o przeszłości, mówmy o terażniejszości — rzekła królowa. — Więc masz pan dla mnie radę? A cóż to za rada?

— Najjaśniejsza pani — odezwał się niepewnie kanclerz — taka, żeby wypuścić Broussela.

Królowa, choć bardzo blada, zbladła jeszcze bardziej i twarz jej się ściągnęła.

— Wypuścić Broussela! — rzekła. — Nigdy!

W tejże chwili usłyszano kroki w sąsiedniej sali i marszałek de La Meilleraie pojawił się w drzwiach, bez oznajmienia.

— No, jesteś wreszcie, panie marszałku! — zawołała radośnie Anna Austriaczka. — Spodziewam się, żeś nauczył tę hołotę rozumu.

— Najjaśniejsza pani — rzekł marszałek — straciłem trzech ludzi koło Pont-Neuf, czterech w Halach, sześciu na rogu ulicy Suchego Drzewa i dwóch u bram twojego pałacu, czyli razem piętnastu. Mam dziesięciu czy dwunastu rannych. Mój kapelusz został, sam nie wiem gdzie, zerwany przez kule, a wedle wszelkiego prawdopodobieństwa i ja byłbym został tam, gdzie mój kapelusz, gdyby nie pan koadiutor, który się zjawił i wydobył mnie z opresji!

— Racja! — rzekła królowa. — Nie zdziwiłabym się, gdyby ten krzywonogi jamnik był w to wszystko zamieszany.

— Najjaśniejsza pani — rzekł La Meilleraie śmiejąc się. — Nie wyrażaj się o nim zbyt nieprzychylnie w mojej obecności, bo usługa, jaką oddał mi, jeszcze nie ostygła.

— Ależ proszę — rzekła królowa — bądź mu, marszałku, ile tylko chcesz, wdzięczny, ale mnie to nie wiąże. Witam pana i wielce jestem rada, że wracasz

żywy i zdrowy.

— Owszem, najjaśniejsza pani, lecz wracam żywy i zdrowy pod warunkiem, że przekażę waszej królewskiej mości żądania ludu.

— Żądania! — rzekła Anna Austriaczka marszcząc brwi. — Ho, ho! panie marszałku, widzę, żeś istotnie był w wielkim niebezpieczeństwie, skoroś się podjął tak niezwykłego poselstwa.

Ironia, z jaką te słowa wymówiła, nie uszła uwagi marszałka.

— Wybacz, najjaśniejsza pani — rzekł — nie jestem adwokatem, jestem żołnierzem i być może, za mało ważę słowa. Powinienem był powiedzieć nie żądania, lecz pragnienia ludu. A z odpowiedzi, jaką raczyłaś mnie zaszczyścić, rozumiałem, że chciałaś rzec, najjaśniejsza pani, że mnie obleciał strach.

Królowa uśmiechnęła się.

— Dowiedz się więc, najjaśniejsza pani, że tak, że się zląkłem. Zdarza mi się to trzeci raz w życiu, a przecież brałem udział w dwunastu regularnych bitwach i sam nie zliczę ilu potyczkach i utarczkach. Tak, zląkłem się i wolę znajdować się ~w obliczu waszej królewskiej mości, której uśmiech nie wróży mi nic dobrego, niż w obliczu tych szatanów, sam nie wiem skąd, jeśli nie z piekła rodem, którzy mi towarzyszyli aż tutaj.

— Brawo! — szepnął d'Artagnan do Portosa. — Dobrze gada.

Dworzanie popatrzyli po sobie ze zdumieniem, a królowa zagryzła wargi.

— Słucham więc — rzekła. — Jakież jest to pragnienie mego ludu?

— Żebyś im oddała Broussela, najjaśniejsza pani — odrzekł marszałek.

— Nigdy! — odpowiedziała królowa. — Nigdy!

— Wasza królewska mość jest tu panią — rzekł La Meilleraie, skłonił się i cofnął o krok.

— Dokąd idziesz, marszałku? — zapytała królowa.

— Idę oddać odpowiedź waszej królewskiej mości tym, którzy na nią czekają.

— Zostań, marszałku, nie chcę, żeby wyglądało, że się wdaję w układy z rebeliantami.

— Najjaśniejsza pani, dałem słowo — rzekł marszałek.

— Co to znaczy?

— To, że muszę do nich wyjść, chyba że mnie zaaresztujesz.

Oczy Anny Austriaczki zajarzyły się.

— To się może stać — rzekła — większych niż ty kazałam aresztować.

Guitaut!

Mazarini wtrącił się żywo:

— Najjaśniejsza pani — rzekł — pozwolę sobie i ja przedstawić ci moje zdanie...

— Czy też żeby wydać Broussela, kardynale? Jeśli tak, możesz sobie oszczędzić słów.

— Nie — rzekł Mazarini — choć być może nie byłaby to najgorsza rada.

— Cóż więc mi radzisz?

— Radzę wezwać pana koadiutora.

— Koadiutora! — zawołała królowa — tego podłego warchoła. To on zrobił ten rokosz.

— Tym bardziej należy go wezwać — rzekł Mazarini. — Jeśli on go zrobił, on go może odrobić.

— O, spójrz, najjaśniejsza pani — rzekł Comminges, który stał w pobliżu okna i patrzył w nie — spójrz, w sam raz nadarza się okazja, bo właśnie jest na placu przed Palais-Royal i rozdaje błogosławieństwa.

Królowa rzuciła się ku oknu.

— Prawda — rzekła — jest ten mistrz obłudy, spójrzcie.

— Widzę — rzekł Mazarini — że wszyscy klękają przed nim, choć jest zaledwie koadiutorem. Gdybym zaś ja się na jego miejscu znalazł, rozdarliby mnie na sztuki, choć jestem kardynałem. Obstawę więc, najjaśniejsza pani, przy moim pragnieniu (Mazarini dobitnie podkreślił to słowo), żebyś raczyła przyjąć

koadiutora.

— A czemuż to i ty także, kardynale, nie mówisz, że obstajesz przy swoim żądaniu? — odpowiedziała cicho królowa.

Mazarini skłonił się.

Królowa zamyśliła się na chwilę, po czym podniosła głowę.

— Panie marszałku — powiedziała — pójdź po koadiutora i przyprowadź mi go.

— A co mam odpowiedzieć ludowi? — zapytał marszałek.

— Żeby miał cierpliwość — odparła Anna Austriaczka. — Ja ją mam.

Głos dumnej Hiszpanki zabrzmiał tak rozkazująco, że marszałek nie odezwał się więcej. Skłonił się i wyszedł. D'Artagnan zwrócił się do Portosa:

— Jak to się skończy? — szepnął.

— Ano, zobaczymy — odparł spokojnie Portos.

Anna Austriaczka podeszła tymczasem do Commingesa i coś mu mówiła po cichu.

Mazarini niespokojnie spojrzał na kotarę, za którą znajdowali się d'Artagnan i Portos.

Inni znajdujący się w sali rozmawiali po cichu.

Drzwi otwarły się i wszedł marszałek, a za nim koadiutor.

— Najjaśniejsza pani — rzekł marszałek — oto pan de Gondy śpieszy na rozkazy waszej królewskiej mości.

Królowa wyszła mu naprzeciw i postąpiwszy kilka kroków, stanęła, chłodna, surowa, nieruchoma, wysuwając wzdorliwie dolną wargę. Gondy ukłonił się z szacunkiem.

— Co sądzisz, panie, o tych zamieszkach? — zapytała królowa.

— Że to już nie zamieszki, najjaśniejsza pani — odpowiedział koadiutor — ale bunt.

— Bunt dla tych, którzy myślą, że mój lud może się zbuntować! — zawołała Anna, niezdolna udawać wobec koadiutora, którego uważała, być

może nie bez racji, za główną sprężynę zaburzeń. — Tylko ci, co pragną buntu, mogą tak nazwać zamieszanie, które sami wywołali. Ale zaczekajcie, zaczekajcie, powaga króla przywróci porządek.

— Czy zaszczycałaś mnie swym wezwaniem, najjaśniejsza pani, tylko po to, żeby mi to powiedzieć?

— Nie, drogi panie koadiutorze — rzekł Mazarini — królowa wezwała cię po to, żeby cię zapytać o radę w tej przykrew okoliczności, w jakiej znaleźliśmy się.

— Czyżby to była prawda, że wasza królewska mość wezwała mnie po to, żeby mnie o radę zapytać? — rzekł Gondy udając zdziwienie.

— Tak — rzekła królowa — chciano tego.

Koadiutor skłonił się.

— Więc wasza królewska mość życzy sobie...

— Żebyś jej, koadiutorze, powiedział, co byś uczynił na jej miejscu — odpowiedział szybko Mazarini.

Koadiutor spojrział na królową. Przytaknęła skinieniem głowy.

— Na miejscu jej królewskiej mości — rzekł chłodno koadiutor — nie wahałbym się, oddałbym Broussela.

— A jeżeli go nie oddam?! — zawołała królowa. — Sądysz pan, że co się wtedy stanie?

— Sądzę, że do jutra z całego Paryża nie zostanie kamień na kamieniu — rzekł marszałek.

— Nie pana pytam — powiedziała sucho królowa, nawet nie odwróciwszy się. — Pytam pana de Gondy.

— Jeżeli mnie pytasz, najjaśniejsza pani — odparł z takim samym spokojem koadiutor — odpowiem, że ze wszech miar zgadzam się ze zdaniem pana marszałka.

Królowej krew uderzyła do twarzy, piękne niebieskie oczy mało nie wyszły z orbit, karminowe usta, porównywane przez wszystkich poetów owych czasów

do kwiatów granatu, zbieleły i drgały z gniewu. Sam Mazarini niemal przestraszył się jej widokiem, a przecież był przyzwyczajony do domowych awantur w tym burzliwym stadle.

— Oddać Broussela! — zawołała wreszcie z przerażającym uśmiechem. — Piękna rada, daję słowo. Widać, że od księdza.

Gondy nie drgnął. Dzisiejsze obelgi spływały po nim jak wczorajsze drwiny, ale nienawiść i chęć zemsty gromadziły się potajemnie, kropla po kropli, w jego sercu. Popatrzył chłodno na królowę, królowa zaś trąciła Mazariniego, chcąc, żeby i on się z kolei odezwał.

Mazarini jak zwykle myślał dużo, mówił zaś mało.

— Cóż — rzekł — to niezła rada, rada przyjaciela. Ja bym też go oddał, tego poczciwego Broussela, żywego czy martwego, i wszystko by się skończyło.

— Jeślibyś go oddał martwego, eminencjo, wszystko by się skończyło, jak sam rzekłeś, ale w inny sposób, niż to rozumiesz.

— Powiedziałem: żywego czy martwego? — przerwał Mazarini. — Źle się wyraziłem. Wiesz przecie, panie koadiutorze, że słabo znam język francuski, którym ty tak pięknie władasz w mowie i w piśmie.

— Widzisz? Oto rada stanu — rzekł d'Artagnan do Portosa. — Ale myśmy niewali nie gorsze w La Rochelle, z Atosem i Aramisem.

— W bastionie Świętego Gerwazego — rzekł Portos.

— Tam i gdzie indziej.

Koadiutor puścił słowa kardynała mimo uszu i z niezmaconą flegmą odezwał się:

— Najjaśniejsza pani, jeśli ci się moja rada nie podoba, wynika to niewątpliwie stąd, że wasza królewska mość sama wiesz lepiej, jak postąpić należy. Zbyt dobrze znana mi jest roztropność królowej i jej doradców, bym mógł przypuścić, że się nie ułagodzi szybko w stolicy królestwa wrzenia, które może sprowadzić rewolucję.

— A więc, pańskim zdaniem — rzekła szyderczo Hiszpanka, która wargi

sobie zagryzła ze złości — wczorajsze zamieszki, które dziś są już buntem, jutro mogą się stać rewolucją?

— Tak najjaśniejsza pani — odparł poważnie koadiutor.

— Czyżbyś sądził, panie koadiutorze, że lud całkiem wyzbył się bojaźni bożej?

— Rok jest zły dla królów — rzekł potrząsając głową Gondy. — Spójrz na Anglię, najjaśniejsza pani.

— Tak, ale na szczęście my nie mamy we Francji Olivera Cromwella — odparła królowa.

— Kto to wie? — rzekł Gondy. — Ci ludzie są podobni do gromu: dają się poznać wtedy dopiero, kiedy uderzają.

Wszyscy obecni w sali zadrżeli i na chwilę zrobiło się cicho. Królowa przyłożyła obie ręce do piersi. Widać było, że usiłuje stłumić przyśpieszone bicie serca.

— Portosie — szepnął d'Artagnan — przypatrz się dobrze temu księdzu.

— Owszem, widzę go — rzekł Portos. — Bo co?

— Bo to nie byle kto.

Portos popatrzył ze zdziwieniem na d'Artagnana; najwidoczniej nie bardzo zrozumiał, co właściwie chciał powiedzieć jego przyjaciel.

— Wasza królewska mość — ciągnął bezlitośnie koadiutor — przedsięwzięcie tedy stosowne środki. Ale przewiduję, że będą okrutne i że jeszcze bardziej rozdrażnią buntowników.

— Wtedy ty, panie koadiutorze, ty, który masz tak wielką władzę nad nimi i który jesteś naszym przyjacielem — rzekła ironicznie królowa — uspokoisz ich rozdając im błogosławieństwa.

— Może już będzie za późno — odparł Gondy, wciąż lodowato spokojny — może i ja utracę swój wpływ. Natomiast oddając im Broussela, wasza królewska mość odcina korzeń rokoszu i zyskuje prawo przykładowego ukarania tych, co by się jeszcze odważyli buntować.



— Czyżbym nie miała tego prawa?! — zawołała królowa.

— Jeśli je masz, najjaśniejsza pani, użyj go — odparł Gondy.

— Do kroćset! — rzekł d'Artagnan do Portosa — to mi natura, jakie lubię.

Czemuż nie jest ministrem i czemuż nie jest jego d'Artagnanem, a nie tego łajdaka Mazariniego! A do pioruna, dokonalibyśmy razem pięknych rzeczy.

— Tak! — rzekł z przekonaniem Portos.

Królowa skinieniem ręki pożegnała dwór, zatrzymując tylko Mazariniego. Gondy skłonił się i chciał wyjść, jak wszyscy.

— Zostań, panie — rzekła królowa.

Dobrze — rzekł sobie w duchu Gondy. — Ustąpi.

— Każe go zabić — rzekł d'Artagnan do Portosa. — Ale w każdym razie nie ja to uczynię. Odwrotnie, przysięgam Bogu, że jeśli tu wpadli którzy w tym zamiarze, ja na nich spadnę.

— Ja też — rzekł Portos.

— Ślicznie — mruknął Mazarini biorąc sobie krzesło. — Teraz wreszcie pogadamy.

Królowa odprowadzała wzrokiem wychodzące osoby. Kiedy ostatnia zamknęła za sobą drzwi, odwróciła się. Było widać, że się zdobywa na niesłychane wysiłki, żeby poskromić w sobie wściekłość; wachlowała się, wdychała woń palącego się w wazie kadzidła, chodziła po sali. Mazarini siedział na swoim krześle i udawał, że rozmyśla. Gondy, który zaczynał się niepokoić, badał wzrokiem wszystkie fałdy kotar, dotykał pancerza, który nosił pod powłóczystą suknią, i od czasu do czasu sprawdzał, czy zacny sztylet hiszpański, ukryty pod peleryną biskupią, znajduje się w zasięgu jego dłoni.

— Więc porozmawiajmy — rzekła królowa zatrzymując się wreszcie. — Teraz, kiedy jesteśmy sami, powtórz, panie koadiutorze, jaka jest twoja rada.

— Oto ona, najjaśniejsza pani: udać namysł, publicznie przyznać się do popełnienia błędu, co jest siłą silnych rządów, wypuścić Broussela z więzienia i oddać go ludowi.

— O! — zawołała Anna Austriaczka — ja miałabym się tak upokorzyć! Jestem królową czy nie jestem? A ten rozwrzeszczany motłoch czy jest, czy nie jest tłumem moich poddanych? Czyż nie mam przyjaciół, straży? A, na Matkę Boską, jak mówiła królowa Katarzyna — ciągnęła podniecając się własnymi słowami — ja miałabym oddać im tego niecnego Broussela? O, nie, raczej go zaduszę własnymi rękami.

I zacisnąwszy pięści podbiegła do Gondy'ego, którego w tej chwili nienawidziła zaiste nie mniej niż Broussela.

Gondy stał nieruchomo, ani jeden mięsień nie drgnął mu w twarzy i tylko jego zimne spojrzenie skrzyżowało się jak miecz z rozwścieczonym spojrzeniem królowej.

— Oto człowiek, którego ostatnia chwila nadeszła, jeśli na dworze jest jeszcze jakiś Vitry<sup>1</sup> i jeśli ów Vitry w tej chwili wejdzie — rzekł Gaskończyk. — Lecz nim dobiegnie do tego zacnego prałata, ja go zabiję, owego Vitry, i na miejscu. Pan kardynał Mazarini będzie mi za to nieskończenie wdzięczny.

— Pst! — rzekł Portos — lepiej posłuchaj.

— Najjaśniejsza pani! — krzyknął kardynał, chwytając Annę Austriaczkę i odciągając ją w tył. — Najjaśniejsza pani, co czynisz?

Po czym dodał po hiszpańsku:

— Czyś oszalała, Anno? Kłócisz się jak przekupka, ty, królowa! Czyż nie widzisz, że w osobie tego księdza masz do czynienia z całym ludem paryskim, który niebezpiecznie byłoby w tej chwili znieważyć, i że jeśli ten ksiądz zechce, stracisz koronę w ciągu jednej godziny? Uspokój się, później, w innej okazji, będziesz twarda i nieustępliwa, ale dziś nie pora na to. Dziś musisz pochlebić i ugłaskać albo okaże się, że jesteś tylko pospolitą kobietą.

Przy pierwszych słowach kardynała d'Artagnan schwycił Portosa za ramię i przez cały czas przemowy coraz silniej je ścisnął. Kiedy Mazarini umilkł, szepnął:

---

<sup>1</sup> Markiz (później diuk) de Vitry — kapitan gwardii Ludwika XIII, zabójca Conciniego.

— Portosie, nigdy nie zdradź mnie przed Mazarinim, że rozumiem po hiszpańsku, bo zgubiłbyś i mnie, i siebie.

— Dobrze — rzekł Portos.

Nagana była ostra i wyrażona z dobitnością, która cechowała Mazariniego, ilekroć mówił po włosku lub hiszpańsku, a którą, mówiąc po francusku, całkowicie tracił. Lecz oblicze kardynała było przy tym tak spokojne i nieprzeniknione, że Gondy, choć świetnie umiejący czytać z ludzkich twarzy, domyślił się tylko, że prosi królową, aby się, pomiarkowała.

Zbesztana królowa od razu zmiękła; rzec by można — zdjęła żar z oczu, krew z policzków i gniewne słowa z warg. Usiadła i głosem wilgotnym od łez, ze znużeniem opuściwszy ręce, rzekła:

— Wybacz mi, panie koadiutorze, i zechciej przypisać tę gwałtowność temu, że cierpię. Żem kobietą, podległą słabościom mojej płci, boję się wojny domowej; żem królową, nawykłą do rozkazywania, unoszę się, natrafiwszy na pierwszy opór.

— Najjaśniejsza pani — rzekł kłaniając się de Gondy — wasza królewska mość ma tylko powolnych sobie i pełnych szacunku poddanych. Lud nie do królowej ma żale, lud domaga się Broussela i niczego więcej i będzie szczęśliwy pozostając pod rządami waszej królewskiej mości, pod warunkiem jednak, że wasza królewska mość odda mu Broussela — dodał z uśmiechem.

Mazarini, który przy słowach: “Lud nie do królowej ma żale”, już nastawił uszu spodziewając się, że koadiutor wspomni o okrzykach: “Precz z Mazarinim”, uczuł wdzięczność do Gondy'ego za to przemilczenie i rzekł swym najbardziej jedwabistym głosem i z najbardziej ujmującym wyrazem twarzy:

— Najjaśniejsza pani, daj posłuch radzie koadiutora, który jest jednym z najrzęczniejszych naszych polityków; pierwszy wakujący kapelusz kardynalski w sam raz będzie pasował na jego szlachetną głowę.

A, widzę, że ci jestem potrzebny, chytry szelmo — rzekł sobie de Gondy.

— A co nam przyobieca w dniu, w którym go będą chcieli zabić? — rzekł

d'Artagnan. — Do kroćset, jeśli tak rozdaje kapelusze, szykujmy się, Portosie, i zażądajmy co najmniej po pułku, zaraz od jutra. Dalibóg, jeśli wojna domowa potrwa tylko rok, każę wyzłocić dla siebie szpadę konetabla.

— A dla mnie? — rzekł Portos.

— Dla ciebie? Tobie sprokuruję buławę marszałkowską pana de La Meilleraie, który jakoś nie w łaskach, jak mi się widzi.

— Więc poważnie się obawiasz, panie, publicznego poruszenia? — zapytała królowa.

— Poważnie, najjaśniejsza pani — odparł Gondy zdziwiony, że jeszcze nie zaszedł dalej. — Obawiam się, że potok, raz zerwawszy tamy, mógłby dokonać wielkich spustoszeń.

— Ja zaś sędzę — rzekła królowa — że trzeba by go w takim razie powstrzymać za pomocą nowych tam. Możesz odejść, koadiutorze, zastanowię się.

Gondy ze zdziwieniem popatrzył na Mazariniego. Mazarini zbliżył się do królowej, chcąc z nią pomówić. W tym momencie z placu przed Palais-Royal buchnął straszliwy zgiełk.

Gondy uśmiechnął się, królowej oczy zapalały, Mazarini wyraźnie pobladł.

— Cóż to znowu? — zapytał.

W tej chwili wpadł do sali Comminges.

— Wybacz, najjaśniejsza pani — rzekł do królowej, wchodząc — ale motłoch przyparł warty do krat, rozniósł je, a teraz wyważa bramy. Co rozkazujesz?

— Posłuchaj, najjaśniejsza pani — rzekł Gondy.

Ani szum fal, ani huk gromu, ani ryk wulkanu nie da się porównać z burzą wrzasków, która biła w niebo w tej chwili.

— Co rozkazuję? — odezwała się królowa.

— Tak, czas nagli.

— Ile macie ludzi w Palais-Royal, tak mniej więcej?

— Sześciuset ludzi.

— Zostawcie stu ludzi przy królu, a z resztą uprzątnijcie mi ten cały motłoch z placu.

— Najjaśniejsza pani! — zawołał Mazarini. — Co czynisz?

— Idź! — powiedziała królowa.

Comminges, z biernym posłuszeństwem żołnierza, wyszedł. W tej chwili rozległ się straszliwy trzask. To jedna z bram zaczynała ustępować.

— Ej, najjaśniejsza pani — rzekł Mazarini — gubisz nas wszystkich, króla, siebie i mnie.

Na ten głos, który się wyrwał z duszy przerażonego kardynała, Anna Austriaczka też się wreszcie przelekkła i przywołała Commingesa.

— Za późno! — zawołał Mazarini rwąc sobie włosy — za późno!

Brama ustąpiła, usłyszano radosne wycie tłuszczy. D'Artagnan wziął szpadę w rękę i dał znak Portosowi, żeby to samo uczynił.

— Ratuj królową! — zawołał Mazarini zwracając się do koadiutora.

Gondy rzucił się do okna i otworzył je. Poznał Louvieres'a na czele zbrojnego tłumu trzech do czterech tysięcy ludzi.

— Ani kroku dalej! — krzyknął. — Królowa podpisuje.

— Coś ty im powiedział, koadiutorze?! — zawołała królowa.

— Prawdę, najjaśniejsza pani — rzekł Mazarini podając jej pióro i papier — tak trzeba.

I dodał:

— Podpisz, Anno, proszę o to, żądam tego.

Królowa upadła na krzesło, ujęła pióro i podpisała.

Lud, powstrzymany przez Louvieres'a, nie posunął się ani o krok dalej, ale groźny pomruk oznaczający gniew tłumu wciąż trwał. Królowa napisała:

*Dozorca więzienia w Saint-Germain puści wolno radcę Broussela.*

I położyła podpis.

Koadiutor, który każdy jej ruch pożerał oczyma, skoro podpis został położony, schwycił papier, wrócił do okna i potrząsając trzymaną w ręku kartą, krzyknął:

— Oto rozkaz!

Jakby cały Paryż wydał jeden wielki okrzyk radości, po czym zagrzmiały wołania: “Niech żyje Broussel! Niech żyje koadiutor!”

— Niech żyje królowa — rzekł koadiutor. Odpowiedziało mu kilka głosów, ale były nieliczne i nieśmiałe. Koadiutor, być może, po to tylko wzniósł ten okrzyk, żeby dać odczuć Annie Austriaczce jej słabość.

— A teraz, skoro już macie, czegoście chcieli, odejdźcie, panie de Gondy — rzekła.

— Jeśli będę potrzebny waszej królewskiej mości — rzekł koadiutor kłaniając się — wiedz, pani, że czekam na twoje rozkazy.

Królowa skinęła głową, Gondy wyszedł.

— A, przeklęty klecho! — zawołała Anna Austriaczka wyciągając rękę ku drzwiom, które ledwie zdążyły się zamknąć — już ja cię napoję pewnego dnia resztką tej zólci, którą mi dziś kazałeś wypić.

Mazarini chciał do niej podejść.

— Zostaw mnie pan — rzekła. — Nie jesteś mężczyzną.

I wyszła.

— To ty nie jesteś kobietą — szepnął Mazarini.

Chwilę stał zamyślony, po czym przypomniał sobie, że d’Artagnan i Portos są ukryci w gabinecie i że wobec tego wszystko widzieli i słyszeli. Zmarszczył brwi, podszedł szybko do kotary i podniósł ją. Gabinet był pusty.

Przy ostatnich słowach królowej d’Artagnan wziął Portosa za rękę i wyprowadził go do galerii.

Mazarini też z kolei wyszedł do galerii i zastał tam dwóch przyjaciół, którzy się przechadzali.

— Panie d’Artagnan, dlaczego wyszliście z gabinetu? — zapytał kardynał.

— Bo królowa rozkazała, żeby wszyscy wyszli — odparł d'Artagnan — więc pomyślałem, że ten rozkaz tyczy się także i nas.

— Zatem jesteście tu już od...

— Od co najmniej kwadransa — rzekł d'Artagnan, patrząc na Portosa i dając mu znak, żeby przypadkiem nie zaprzeczył.

Mazarini przechwycił ten znak i nabrał przeświadczenia, że d'Artagnan wszystko widział i słyszał, ale był mu wdzięczny za to kłamstwo.

— Stanowczo jesteś człowiekiem, jakiego szukałem, panie d'Artagnan, i możecie liczyć na mnie, ty i twój przyjaciel.

Po czym, pozdrowiwszy obu przyjaciół swym najbardziej ujmującym uśmiechem, wrócił do swego gabinetu nieco uspokojony, bo po wyjściu Gondy'ego zgiełk ustał jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki.

## 5. Nieszczęście poprawia pamięć

Anna wróciła do swej domowej kaplicy pełna gniewu.

— Jak to! — zawołała załamując piękne ręce. — Lud patrzył, jak moja świekra, Maria Medycejska, kazała wtrącić do więzienia Kondeusza, pierwszego księcia krwi; lud patrzył, jak kardynał wyganiał moją świekrę, jego dawną regentkę; lub patrzył, jak pan de Vendôme, czyli syn Henryka IV, jest więziony w Vincennes; i nic nie mówił, kiedy znieważono i więziono tych magnatów, nic nie mówił, kiedy im grożono! A o jednego Broussela tyle gwałtu! Jezu, co się dzieje z powagą królewską!

Anna, ani się tego domyślając, dotknęła najgorętszego miejsca. Lud nie ujął się za książętami, ale stanął za Brousselem, bo chodziło o plebejusza, bo broniąc Broussela lud czuł instynktownie, że samego siebie broni.

Przez ten czas Mazarini przechadzał się wzdłuż i wszerz po swym gabinecie, spoglądając od czasu do czasu na swoje piękne, weneckie lustro, całe popękane gwiaździcie.

— Cóż — mówił — wiem, smutna to sprawa, kiedy się jest zmuszonym ustąpić w taki sposób. Ale jeszcze przyjdzie pora odwetu. Co mi tam Broussel! To pusty dźwięk, nie żadna persona.

Mazarini, choć był tak zręcznym politykiem, omylił się tym razem: Broussel był personą, a nie pustym dźwiękiem.

I kiedy nazajutrz Broussel wjeżdżał do Paryża w wielkiej karecie, mając u boku swego syna Louviers'a, a z tyłu, za pudłem Friqueta, zbrojny lud tłumnie gromadził się na jego drodze, a krzyki “Niech żyje Broussel! Niech żyje nasz ojciec!”, rozlegające się ze wszystkich stron, huczały w uszach Mazariniego jak głos pogrzebowego dzwonu. Szpiedzy kardynała i królowej zewsząd przynosili niedobre wieści, które minister przyjmował z niepokojem, a królowa z



obojętnością. Wydawało się, że w umyśle królowej dojrzeła jakieś wielkie postanowienie, co podwajało obawy Mazariniego. Znał dumną księżnę i bardzo się bał postanowień Anny Austriaczki.

Koadiutor wrócił do parlamentu, tak witany, że król, królowa i kardynał, wszyscy troje wzięci razem, nigdy nie spotkali się z tak królewskim przyjęciem jak on w tym dniu. Na jego wniosek wydano edykt wzywający mieszczan do składania broni i burzenia barykad. Teraz już wiedzieli, że starczy im jednej godziny, żeby znów stanąć pod bronią, i jednej nocy, żeby odbudować barykady.

Wiórek wrócił do swojego sklepu. Zwycięstwo ułaskawia, więc Wiórek nie bał się już, że go powieszą; był przeświadczony, że gdyby próbowano go zaaresztować, lud stanąłby w jego obronie, jak to uczynił był dla Broussela.

Rochefort oddał szwoleżerów kawalerowi d'Humieres; dwóch już nie mogło się stawić do apelu, ale kawaler, który był frondystą w głębi ducha, nawet słuchać nie chciał o odszkodowaniu.

Żebrak wrócił na swoje miejsce pod kościołem Świętego Eustachego i znów jedną ręką podawał wodę święconą, a drugą wyciągał po datek. I nikt się nie domyślał, że dwie te ręce pomagały w obluzowaniu fundamentalnego kamienia społecznego gmachu — królewskiej władzy.

Louvieres był zadowolony i dumny; pomścił się na Mazarinim, którego nie cierpiał, i przyczynił się walnie do uwolnienia ojca z więzienia. Imię jego było z lękiem powtarzane w Palais-Royal. I ze śmiechem też mówił do radcy, przywróconego na łono rodziny:

— Jak sądzisz, ojcze? Gdybym teraz poprosił królową o kompanię, czyby mi ją dała?

D'Artagnan skorzystał z chwili spokoju, żeby wysłać Raula, którego z największym trudem udało mu się utrzymać w zamknięciu podczas zamieszek i który koniecznie chciał oddać swoją szpadę albo jednej, albo drugiej stronie. Raul z początku robił trudności, ale d'Artagnan przemówił w imieniu hrabiego

de La Fere. Raul złożył więc wizytę pani de Chevreuse i wyjechał do armii.

Jeden tylko Rochefort uważał, że wszystko się skończyło nie najlepiej: napisał do księcia de Beaufort wzywając go do przyjazdu, a teraz księżę przyjedzie i zastanie w Paryżu spokój.

Poszedł więc do koadiutora i zapytał go, czy nie należałoby zawiadomić księcia, żeby nie przyjeżdżał. Gondy jednak pomyślał chwilę i rzekł:

— Nie, niech przyjedzie.

— Przecież wszystko już się skończyło — rzekł de Rochefort.

— Skończyło! Drogi hrabio, wszystko się zaledwie zaczęło.

— Co pozwala panu w to wierzyć?

— Znajomość serca królowej; ona nie pogodzi się z klęską.

— Czyżby coś szykowała?

— Mam nadzieję.

— Czy pan już coś wie?

— Wiem, że napisała do jego książęcej wysokości, wzywając go, żeby jak najspieszniej wrócił z armii.

— W takim razie ma pan słuszność — rzekł Rochefort. — Niech pan de Beaufort przyjeżdża.

Jeszcze tegoż samego wieczora rozeszła się wieść, że jego książęca wysokość przybył do Paryża.

Była to wiadomość całkiem zwykła i całkiem naturalna, ale nabrała olbrzymiego rozgłosu, podobno z winy gadatliwości pani de Longueville, której jego książęca wysokość — z dawna pomawiany o to, że czuje dla siostry tkliwość przekraczającą granicę uczuć braterskich — jakoby zwierzał się.

Wynikało z tych zwierzeń, że królowa ma groźne zamiary.

Już tego samego wieczora, w którym jego książęca wysokość przybył, bardziej świadomi rzeczy mieszczanie, ławnicy i dowódcy straży miejskiej w swoich dzielnicach chodzili po znajomkach mówiąc:

— Dlaczego nie mielibyśmy zabrać króla i umieścić go w Ratuszu? Żle

czynimy, pozwalając wychowywać go naszym wrogom, którzy mu dają złe rady. Gdyby natomiast wychowaniem króla pokierował, o, choćby pan koadiutor, król wyrósłby na Francuza i kochałby naród.

Noc, choć pozornie cicha, nie była spokojna; nazajutrz znów ujrzano szare i czarne płaszcze, patrole zbrojnych kupców i bandy żebraków.

Królowa spędziła tę noc na naradzie w cztery oczy z jego księżącą mością; o północy wprowadzono go do jej domowej kaplicy, a wyszedł stamtąd dopiero o piątej rano.

O godzinie piątej królowa udała się do gabinetu kardynała. Ona jeszcze się nie położyła, natomiast kardynał już wstał.

Układał odpowiedź dla Cromwella. Z dziesięciu dni, których zażądał od Mordaunta, już upłynęło sześć.

— Trudno — mówił sobie — kazałem mu trochę poczekać, ale pan Cromwell zbyt dobrze wie, czym są rewolucje, żeby miał mi to mieć za złe.

Odczytywał właśnie z upodobaniem pierwszy paragraf swego pisma, kiedy lekko zapukano w drzwi, które prowadziły na pokoje królowej. Tylko Anna Austriaczka mogła przychodzić tymi drzwiami. Kardynał wstał i otworzył.

Królowa była w nocnym stroju, w którym wyglądała jeszcze bardzo ponętnie, bowiem, jak Diana de Poitiers i Ninon, Anna Austriaczka wyróżniała się tym spośród innych kobiet, że była piękna przez całe życie. Tego ranka zaś wyglądała jeszcze ładniej niż zwykle, bo oczy jej miały blask, jaki daje spojrzeniu wewnętrzna radość.

— Co ci się stało, pani? — zapytał Mazarini. — Wyglądasz jak uosobienie dumy?

— Tak, Giulio — rzekła — dumy i radości, bo znalazłam sposób na zdławienie tej hydry.

— Jesteś wielkim politykiem, moja królowo — rzekł Mazarini. — Obaczmy, jaki to sposób.

I ukrył to, co był napisał do Cromwella, wsuwając rozpoczęty list pod

czysty papier.

— Chcą mi odebrać króla, wiesz o tym? — powiedziała królowa.

— Wiem, niestety; a mnie powiesić.

— Nie dostaną króla.

— A i mnie nie powieszają, benone<sup>2</sup>.

— Posłuchaj: chcę im wykraść mego syna, siebie, a wraz ze mną i ciebie; chcę, żeby to wydarzenie, które z dnia na dzień zmieni postać wszystkich rzeczy, odbyło się w tajemnicy, do której dopuszczeni będą tylko ty, i ja i jeszcze trzecia osoba.

— A kto jest tą trzecią osobą?

— Jego książęca wysokość.

— Więc przyjechał, jak mi doniesiono?

— Wczoraj wieczorem.

— I widziałaś go, pani?

— Pożegnałam go przed chwilą zaledwie.

— Czy on pochwala ten projekt?

— Rada pochodzi od niego.

— A Paryż?

— Zmusi go głodem do zdania się na naszą łaskę.

— Zamysł, zaiste, największej miary, ale widzę w nim jedną niedogodność.

— Jaką?

— Niemożliwość.

— Słowo nie mające treści. Nie ma rzeczy niemożliwych.

— W projekcie.

— W wykonaniu. Czy mamy pieniądze?

— Trochę mamy — rzekł Mazarini drżąc, że Anna Austriaczka zechce sięgnąć do jego sakiewki.

---

<sup>2</sup> Benone (wł.) — bardzo dobrze.

— Mamy wojsko?

— Pięć albo sześć tysięcy ludzi.

— Mamy odwagę?

— Ogromną.

— Więc wszystko pójdzie łatwo. O, wyobrażasz sobie, Giulio? Paryż, ten wstrętny Paryż budzi się pewnego ranka bez królowej i bez króla, otoczony, obleżony, głodny, mający za całe oparcie swój głupi parlament i swego chudego, krzywonogiego koadiutora!

— Bardzo ładnie, bardzo ładnie — rzekł Mazarini. — Już to widzę, ale nie widzę sposobu, w jaki można by osiągnąć ten piękny wynik.

— Ja znajdę sposób.

— A czy wiesz, pani, czym jest wojna, wojna domowa, zażarta, zacięta, bezlitosna?

— A tak, tak, wojna — rzekła Anna Austriaczka — tak, chcę obrócić w popiół to nieposłuszne miasto; chcę ugasić pożogę we krwi; chcę, żeby straszliwy przykład uwiecznił zbrodnię i karę. Nie cierpię, nienawidzę Paryża!

— Pięknie, Anno, widzę, że stałaś się krwiożercza. Strzeż się, pani, minęły czasy Malatestów i Castruccio Castracani<sup>3</sup>. Zetną ci głowę, moja piękna królowo, a szkoda by jej było.

— Pan sobie żarty stroi! Giulio!

— Czy to naprawdę żarty? Wojna z całym narodem to rzecz niebezpieczna; spójrz pani na swego brata, Karola I, kiepsko z nim, bardzo kiepsko.

— Jesteśmy we Francji, a ja jestem Hiszpanką.

— Tym gorzej, per Baccho, tym gorzej, wolałbym, żebyś pani była Francuzką, a ja Francuzem. Mniej by nas obojga nienawidzono.

— Ale pochwała pan mój projekt?

---

<sup>3</sup> Malatesta — arystokratyczna rodzina włoska (XIII—XVI w.) należąca do wrogiego cesarzowi stronnictwa gwelfów. W walce z cesarstwem zginęło wielu jej członków. Castruccio castracani(1281—1328) — arystokrata włoski, został uwięziony podstępem przez władców Lukki jako człowiek niebezpieczny.

— Owszem, pochwałę, jeśli przekonam się, że jest wykonalny.

— Jest, ja ci to mówię, szykuj się do wyjazdu.

— Ja! Ja zawsze jestem przyszykowany do wyjazdu, ale jak wiesz, pani, jakoś nie wyjeżdżam... i nie przypuszczam, żeby to miało nastąpić tym razem.

— Ostatnie słowo: czy pan wyjedzie, jeśli ja wyjadę?

— Postaram się.

— Zabijasz mnie, Giulio, twoim nieustannym strachem. Czego się tak boisz?

— Wielu rzeczy.

— Jakich?

Żartobliwy wyraz znikł z twarzy Mazariniego. Kardynał zasepił się.

— Anno — rzekł — jesteś tylko kobietą i jako kobieta możesz sobie do woli znieważać mężczyzn, pewna swojej bezkarności. Oskarżasz mnie pani o to, że się boję; boję się mniej niż ty, pani, bo przecież to nie ja chcę uciekać.

Przeciwko komu wrzeszczą? Przeciwko pani czy przeciwko mnie? Kogo chcą wieszać? Panią czy mnie? A jednak ja stawiam czoło burzy, choć mnie pomawiasz o tchórzostwo, bez czezej brawury, bez przechwałek, bo to nie moja specjalność, ale trwam. Naśladuj mnie, pani, im mniej krzyku, tym więcej skutku. Zbyt głośno krzyczysz, do niczego nie dojdiesz. I ty, pani, mówisz o ucieczce!

Mazarini wzruszył ramionami, ujął królową za rękę i podprowadził do okna.

— Spójrz — rzekł.

— Patrzę. No i co? — odparła królowa zaślepiona uporem.

— Ano to właśnie. Co widzisz, pani, z tego okna? Są to, jeśli mnie wzrok nie myli, mieszczanie w pancerzach i hełmach, uzbrojeni w zacne muszkiety jak za czasów Ligi i którzy tak pilnie wpatrują się w okno, z którego ty, pani, na nich patrzysz, że dojrzą cię, jeśli będziesz tak szeroko rozsuwać zasłonę. Teraz podejdź, proszę, do tego okna; co widzisz? Plebs uzbrojony w halabardy, który

strzeże twoich bram. Do któregokolwiek okna tego pałacu zaprowadziłbym cię, z każdego zobaczyłabyś to samo; twoje bramy są strzeżone, okienka twoich piwnic są strzeżone i muszę ci powtórzyć to, co poczciwy La Ramee mówił mi o panu de Beaufort: jeśli się nie zmienisz w ptaka albo w mysz, nie wyjdiesz.

— A jednak pan de Beaufort wyszedł.

— Liczysz, pani, że uda ci się wyjść w taki sam sposób?

— Więc jestem uwięziona?

— Dalibóg — rzekł Mazarini — przecież dowodzę ci tego już od godziny.

I spokojnie zasiadł do pisania listu przerwane wejściem królowej. Anna, drżąca z gniewu, czerwona z upokorzenia, wyszła z gabinetu, gwałtownie zatrzaskując za sobą drzwi. Mazarini nawet się nie obejrzał.

Wróciwszy na pokoje królowa osunęła się na fotel i rozplakała się. Po czym, tknięta nagłą myślą, wstała:

— Jestem ocalona! — rzekła. — O, tak, tak, znam człowieka, który potrafi mnie wyprowadzić z Paryża. Zbyt długo nie pamiętałam o nim.

I ciągnęła dalej, w zamyśleniu, lecz z nutą radości w głosie:

— Jaka ja niewdzięczna, przez dwadzieścia lat nie pamiętałam o człowieku, którego powinnam była zrobić marszałkiem Francji. Moja świekra obsypała złotem, zaszczytami i karesami Conciniego, który ją zgubił; król zrobił Vitry'ego marszałkiem Francji w nagrodę za morderstwo, a ja zostawiłam w zapomnieniu i nędzy tego szlachetnego d'Artagnana, który mnie ocalił.

Podbiegła do stolika, na którym znajdował się papier i atrament, i zabrała się do pisania.

## 6. Widzenie

D'Artagnan spał tej nocy w pokoju Portosa. Dwaj przyjaciele zwykle nocowali razem, odkąd czasy stały się niespokojne. Szpady kładli pod poduszkę, a na stole, w zasięgu ręki, pistolety.

D'Artagnan jeszcze spał i śnił, że niebo zaciąga się wielką, żółtą chmurą, że z tej chmury spada złoty deszcz, a on podstawia swój kapelusz pod rynnę.

Portos zaś śnił, że drzwiczki jego karety są za małe, by się mogły na nich zmieścić wszystkie herby, jakie mógł kazać sobie wymalować.

Zostali zbudzeni o siódmej przez służącego, nie noszącego liberii, który miał list do d'Artagnana.

— Od kogo? — zapytał Gaskończyk.

— Od królowej — odpowiedział służący.

— Co takiego? — zapytał Portos podnosząc się na łóżku. — Co on gada?

D'Artagnan poprosił służącego, żeby przeszedł do sąsiedniej izby, i skoro posłaniec zamknął drzwi za sobą, zerwał się z łóżka i szybko przeczytał list. Portos zaś przyglądał mu się wybałuszając oczy i nie śmiejąc się doń ani słowem odezwać.

— Przyjacielu Portosie — rzekł d'Artagnan podając mu list — masz, oto jest nareszcie twój tytuł barona i mój patent kapitana. Weź, przeczytaj i oceń.

Portos wyciągnął rękę, wziął list i drżącym głosem odczytał następujące słowa:

*Królowa chce mówić z panem d'Artagnanem, niech się uda za posłańcem.*

— No i co? — rzekł Portos. — Nie widzę w tym nic niezwykłego.



— Ale za to ja widzę w tym wiele niezwykłego — odparł d'Artagnan. — Jeżeli mnie wzywają, znaczy, że sprawy bardzo się powikłały. Pomyśl tylko, jak ogromny przewrót musiał się dokonać w umyśle królowej, żeby po dwudziestu latach mogło wydobyć się na powierzchnię jej pamięci wspomnienie mojej osoby.

— Racja — rzekł Portos.

— Wyostrz szpadę, baronie, nabij pistolety, każ podsypać owsa koniom, bo ci ręczę, że jeszcze dziś coś się zdarzy, i sza!

— A może to zasadzka, zastawiona, żeby się nas pozbyć? — rzekł Portos, zawsze podejrzliwy, czy jego przyszła wielkość nie jest aby komuś solą w oku.

— Jesliby to była zasadzka — rzekł d'Artagnan — bądź spokojny, już ja bym to zwąchał. Prawda, Mazarini jest Włochem, ale za to ja jestem Gaskończykiem.

I d'Artagnan szybko się ubrał.

Kiedy Portos, wciąż jeszcze leżąc, zapinał mu płaszcz, zapukano do drzwi po raz drugi.

— Proszę wejść — powiedział d'Artagnan.

Wszedł drugi służący.

— Od jego eminencji kardynała Mazariniego — rzekł.

D'Artagnan spojrzał na Portosa.

— Sprawa się gmatwa — rzekł Portos. — Od czego zacząć?

— Otóż właśnie świetnie się składa — rzekł d'Artagnan. — Jego eminencja wzywa mnie, żebym się u niego stawił za pół godziny.

— O, to świetnie.

— Przyjacielu — rzekł d'Artagnan zwracając się do służącego — powiedz jego eminencji, że za pół godziny stawię się po rozkazy.

Służący uklonił się i wyszedł.

— Szczęśliwie się składa, że nie widział tamtego — odezwał się znów d'Artagnan.

— Sądziś więc, że cię nie wzywają oboje w tej samej sprawie?

— Nie sędzę, ale pewny jestem, że nie.

— Prędzej, prędzej, d'Artagnanie, śpiesz się. Pamiętaj, że czeka na ciebie królowa, po królowej kardynał, po kardynale ja.

D'Artagnan przywołał służącego Anny Austriaczki.

— Jestem gotów, przyjacielu — rzekł. — Prowadź.

Służący poprowadził go ulicą Petits-Champs, po czym skręciwszy w lewo, wprowadził do ogrodu przez furtkę od ulicy Richelieu; następnie weszli na ukryte schody i d'Artagnan znalazł się w domowej kaplicy.

Dziwne uczucie, którego sam nazwać nie umiał, przyśpieszyło bicie serca porucznika. Utracił już ufność młodości, a doświadczenie ukazało, mu całą wagę minionych wydarzeń. Wiedział, czym jest wielkość książąt i majestat królów, przywykł do zachowywania przyzwoitej odległości między swoim miernym stanem a wybrańcami fortuny i urodzenia. Niegdyś zbliżył się do Anny Austriaczki jako młodzieniec składający hołd kobiecie. Dziś było to już co innego: szedł do niej tak, jak idzie szary żołnierz do sławnego wodza.

Lekki szmer zakłócił ciszę kaplicy. D'Artagnan zadrżał, bo ujrzał, że jakaś biała ręka podnosi kotarę, i po kształcie, białości i piękności poznał tę królewską rękę, którą dano mu pewnego dnia do ucałowania.

Weszła królowa.

— To ty, panie d'Artagnan — rzekła, zatrzymując' na oficerze spój rzenie pełne tkliwego smutku — to ty, tak, poznaję pana. A teraz spójrz na mnie, jestem królową, czy mnie poznajesz?

— Nie, najjaśniejsza pani — odparł d'Artagnan.

— Czyżbyś już nie pamiętał — ciągnęła Anna Austriaczka tym urzekającym tonem, jaki umiała nadać swojemu głosowi, kiedy chciała — że królowa potrzebowała niegdyś młodego rycerza, dzielnego i oddanego, że tego rycerza znalazła i że choć on miałby prawo przypuszczać, iż zapomniała o nim, ona zachowała jego wspomnienie w swoim sercu.

— Nie, najjaśniejsza pani, nic nie wiem o tym — rzekł muszkieter.

— Tym gorzej, panie — rzekła Anna Austriaczka. — Tym gorzej, w każdym razie dla królowej, gdyż królowa potrzebuje dzisiaj takiej samej odwagi i takiego samego oddania.

— Jak to! — rzekł d'Artagnan. — Królowa, otoczona tak licznym gronem oddanych sobie sług, mądrych doradców, ludzi tak wybitnych i zasługą, i urzędem, raczyła zwrócić spojrzenie na prostego, szarego żołnierza.

Anna zrozumiała ukrytą wymówkę, lecz nie rozgniewało jej to, raczej wzruszyło. Skromność i bezinteresowność gaskońskiego szlachcica już nieraz ją zawstydzaly; dała się zwyciężyć jego wielkoduszności.

— Może to i prawda, coś rzekł o tych, którzy mnie otaczają, panie d'Artagnan — rzekła królowa — ale ja ufam tylko tobie jednemu. Wiem, że służysz panu kardynałowi, lecz zechciej usłużyć i mnie, a ja zapewnię ci piękną przyszłość. Powiedz, panie, czy zrobiłbyś dla mnie dziś to samo, co niegdyś zrobił dla królowej ów szlachcic, którego nie znasz?

— Uczynię wszystko, co wasza królewska mość rozkaże — rzekł d'Artagnan.

Królowa pomyślała chwilę, a widząc oględne zachowanie się muszkietera, zapytała:

— Może chciałbyś odpocząć?

— Nie wiem, bo nigdy nie odpoczywałem, najjaśniejsza pani.

— Czy masz przyjaciół?

— Miałem trzech; dwaj wyjechali z Paryża, nie wiem dokąd. Pozostał mi trzeci, który jak mi się zdaje, należy do ludzi, co znali kawalera, o którym wasza królewska mość raczyła wspomnieć.

— To dobrze — rzekła królowa — pan i pański przyjaciel jesteście warcii we dwóch tyle, co cała armia.

— Co rozkażesz mi zrobić, najjaśniejsza pani?

— Proszę tu wrócić o piątej, wtedy panu powiem; ale niech pan nikomu nie

wspomina o tym, że go wzywała.

— Nikomu nie wspomnę, najjaśniejsza pani.

— Przysięgnij na Chrystusa.

— Najjaśniejsza pani, nigdy jeszcze nie zламаłem słowa; jeśli mówię nie, to znaczy, że nie.

Królowa, choć zaskoczona tym językiem, do jakiego jej nie przyzwyczaili dworacy, uznała, że jest to korzystne świadectwo zapału, z jakim d'Artagnan jest gotów jej usłużyć i dopomóc w przeprowadzeniu tego, co chciała. Chytry Gaskończyk nieraz ukrywał swą przebiegłość pod pozorami takiej szorstkiej szczerości.

— Czy królowa ma dla mnie jeszcze jakieś rozkazy w tej chwili? — zapytał.

— Nie, panie — odparła Anna Austriaczka — możesz tymczasem odejść i wróc o piątej.

D'Artagnan skłonił się i wyszedł.

O, do licha! — rzekł sobie, skoro się znalazł za drzwiami. — Zdaje się, że mnie tu bardzo potrzebują!

Po czym, ponieważ już minęło pół godziny, przeszedł przez galerię i zapukał do drzwi kardynała.

Bernouin wprowadził go.

— Stawiam się na rozkaz, eminencjo — rzekł d'Artagnan.

I jak to miał we zwyczaju, szybko rozejrzał się dokoła siebie i spostrzegł, że Mazarini ma przed sobą zapieczętowany list, położony na biurku pismem do spodu, tak żeby nie można było zobaczyć, do kogo jest adresowany.

— Wraca pan od królowej? — zapytał Mazarini wpatrując się uważnie w d'Artagnana.

— Ja, eminencjo? Kto to panu powiedział?

— Nikt, ale wiem o tym.

— Przykro mi niezmiernie, ale muszę ci powiedzieć, eminencjo, że się

mylisz — odpowiedział beczelnie Gaskończyk, wierny przyrzeczeniu, jakie dał Annie Austriaczce.

— Otworzyłem drzwi przedpokoju i widziałem, że przychodzisz z drugiego końca galerii.

— Bo mnie wprowadzono ukrytymi schodami.

— Po co?

— Tego nie wiem; pewnie zaszło jakieś nieporozumienie.

Mazarini wiedział, że niełatwo jest zmusić d'Artagnana, by powiedział to, co postanowił zataić. Zaniechał też tymczasem dociekania tajemnicy Gaskończyka.

— Pomówmy więc o moich sprawach — rzekł — skoro o swoich nie chce pan mówić.

D'Artagnan skłonił się.

— Czy lubi pan podróże? — zapytał kardynał.

— Spędziłem całe życie na traktach.

— Czy coś mogłoby zatrzymać pana w Paryżu?

— Nie zatrzyma mnie w Paryżu nic z wyjątkiem wyższego rozkazu.

— Dobrze. Oto list, który należy doręczyć podług adresu.

— Podług adresu, eminencjo? Przecież go nie ma. Rzeczywiście, choć po jednej stronie listu widniała pieczęć, odwrotna strona była całkiem czysta.

— Bo list ma dwie koperty — rzekł Mazarini.

— Rozumiem, i pierwszą kopertę mam rozerwać dopiero po przybyciu do jakiejś tam miejscowości.

— Zrozumiałeś znakomicie, panie d'Artagnan. Bierz list i ruszaj w drogę. Masz przyjaciela, pana du Vallon, którego bardzo cenię. Weźmiesz go ze sobą.

O, do licha — rzekł sobie d'Artagnan — wie, żeśmy słyszeli jego wczorajszą rozmowę, i chce nas wysłać z Paryża.

— Czyżbyś się pan wahał? — zapytał Mazarini.

— Nie, eminencjo, natychmiast wyjeżdżam. Tylko miałbym pewną

prośbę...

— Jaka? Powiedz.

— Żeby jego eminencja zechciał zająć do królowej.

— Kiedy?

— Teraz.

— Po co?

— Żeby jej powiedzieć tylko tyle: “Wysyłam pana d’Artagnana w drogę i polecam mu wyjechać natychmiast”.

— Więc jak stąd wynika, widziałeś pan królową — rzekł Mazarini.

— Miałem już zaszczyt powiedzieć jego eminencji, że być może, iż zaszło nieporozumienie.

— Co to znaczy? — zapytał Mazarini.

— Czy mogę ponowić moją prośbę, eminencjo?

— Dobrze, idę do królowej. Proszę tu na mnie zaczekać.

Mazarini rozejrzał się uważnie, czy aby w którejś z szaf nie został klucz, i wyszedł.

Minęło dziesięć minut, podczas których d’Artagnan robił wszystko, co było w jego mocy, żeby poprzez pierwszą kopertę przeczytać, co było napisane na drugiej, ale mu się tego nie udało dopiąć.

Mazarini wrócił blady i żywo czymś przejęty. Usiadł za biurkiem.

D’Artagnan przyjrzał mu się tak, jak się przed chwilą przyglądał listowi, lecz koperta kardynalskiego oblicza była równie nieprzenikniona jak i koperta listu.

Oj, oj! — rzekł sobie Gaskończyk — ma wyraźnie obrażoną minę.

Czyżbym mu się naraził? Namyśla się: czyżby chciał mnie posłać do Bastylii?

Wolnego, eminencjo! Tylko napomknij o tym, a duszę cię i zostaję frondystą.

Będą mnie na rękach nosić, jak pana Broussela, a Atos ogłosi mnie francuskim Brutusem<sup>4</sup>. To by była heca!

I Gaskończyk, galopując na swej rączej wyobraźni, już widział wszystkie

<sup>4</sup> Marcus Junius Brutus (86—42 p.n.e.) — zabójca jedynowładcy Juliusza Cezara, przedstawiony jako ideał cnót republikańskich.

korzyści, jakie dałoby się wyciągnąć z takiego obrotu rzeczy.

Lecz Mazarini nie kwapił się do wydawania tego rodzaju rozkazu, odwrotnie, stał się słodki jak miód.

— Miałaś słuszość, drogi panie d'Artagnan — rzekł. — Jeszcze nie możesz jechać.

— A! — odparł d'Artagnan.

— Oddaj mi więc, proszę, ów list.

D'Artagnan oddał list. Mazarini upewnił się, czy pieczęć nie jest naruszona.

— Będziesz mi dziś po południu potrzebny — rzekł. — Bądź łaskaw przyjsć tu znów za dwie godziny.

— Za dwie godziny, eminencjo, mam spotkanie, na które nie mogę się nie stawić — odrzekł d'Artagnan.

— Tym się nie niepokój — rzekł Mazarini — to jest to samo.

Dobrze — pomyślał d'Artagnan. — Tak przypuszczałem.

— Przyjdź więc o piątej i przyprowadź ze sobą tego zacnego pana du Vallon, ale zostaw go na przedpokoju: chcę porozmawiać z tobą sam na sam.

D'Artagnan skłonił się. A kłaniając się mówił sobie:

Oboje ten sam rozkaz, oboje o tej samej porze, oboje w Palais-Royal; odgaduję. Ech, pan de Gondy zapłaciłby sto tysięcy liwrów za taką wiadomość.

— Namyślasz się? — zapytał niespokojnie kardynał.

— Tak, zastanawiam się, czy mamy być uzbrojeni czy nie.

— Uzbrojeni po zęby — rzekł Mazarini.

— Dobrze, eminencjo, będziemy uzbrojeni.

D'Artagnan pożegnał się, wyszedł i pośpieszył powtórzyć przyjacielowi tę obiecującą rozmowę z Mazarinim, co wprawiło Portosa w radość nie do opisania.

## 7. Ucieczka

Miasto nie było jeszcze całkiem spokojne, lecz w Palais-Royal wrzała uciecha, kiedy d'Artagnan zjawił się tam około godziny piątej po południu. Nie było w tym nic dziwnego: królowa oddała ludowi Broussela i Blancmesnila. A więc królowa mogła się już niczego więcej nie obawiać, skoro lud już niczego więcej nie żądał. Nie osiadłym zaś jeszcze resztkom wzburzenia trzeba było tylko dać czas się uspokoić, podobnie jak po burzy nieraz i wielu dni trzeba, żeby opadła fala.

Odbył się tedy wielki festyn, do którego powód dał powrót zwycięzcy spod Lens. Zaproszono książąt i księżniczki; już od południa na dziedzińcu pełno było karet. Po obiedzie miano grać w karty u królowej.

Anna Austriaczka była tego dnia czarująca, błyszczała urodą i dowcipem, nigdy jeszcze nie widziano jej w tak świetnym humorze. Dojrzewający plan zemsty dodawał blasku oczom i uśmiechu ustom.

Kiedy wstawano od stołu, Mazarini dyskretnie wymknął się. D'Artagnan stawił się już i czekał nań w przedpokoju. Kardynał wszedł z uśmiechniętym obliczem, wziął oficera za rękę i wprowadził go do swego gabinetu.

— Drogi panie d'Artagnan — rzekł minister siadając — dam panu największy dowód zaufania, jaki minister może dać oficerowi.

D'Artagnan skłonił się.

— Mam nadzieję — rzekł — że mi go dajesz, eminencjo, bez ukrytej myśli i z przeświadczeniem, że jestem tego godny.

— Najgodniejszy ze wszystkich, drogi przyjacielu, i dlatego zwracam się właśnie do ciebie.

— W takim razie wyznam ci szczerze, eminencjo — rzekł d'Artagnan — że już od dawna czekam na taką okazję. Powiedz więc szybko, co masz mi do



powiedzenia.

— Drogi panie d'Artagnan — odparł Mazarini — losy państwa znajdują się dzisiejszego wieczoru w twoich rękach.

Zatrzymał się.

— Zechciej mi wyjaśnić, eminencjo, o co idzie. Czekam.

— Królowa postanowiła odbyć niewielką podróż, do Saint-Germain, razem z królem.

— Aha — rzekł d'Artagnan — czyli że królowa chce wyjechać z Paryża.

— Rozumie pan, kaprys kobiecy.

— Tak, rozumiem doskonale — odparł d'Artagnan.

— Dlatego właśnie wezwała cię dziś rano i poleciła ci powrócić o piątej.

— I dlatego kazała mi przysięgać, że nikomu nie wspomnę o tym spotkaniu! — szepnął d'Artagnan. — Ach, kobiety! Choć królowe, zawsze zostają kobietami.

— Czyżbyś nie pochwalał tej podróży, mój kochany panie d'Artagnan? — zapytał niespokojnie Mazarini.

— Ja, eminencjo? — odparł d'Artagnan. — A dlaczegóż by?

— Bo wzruszyłeś ramionami.

— W taki sposób rozmawiam zwykle sam ze sobą, eminencjo.

— Więc pochwalasz tę podróż, panie d'Artagnan?

— Ani pochwalam, ani nie pochwalam, eminencjo. Czekam na pańskie rozkazy.

— Dobrze. Zaraz przyszło mi na myśl, że do odwiezienia króla i królowej do Saint-Germain ty będziesz człowiekiem najodpowiedniejszym.

Dubeltowy oszust! — pomyślał sobie d'Artagnan.

— Widzisz więc — ciągnął dalej Mazarini, widząc niewzruszoną obojętność d'Artagnana — że jak ci to powiedziałem, losy państwa znajdują się w twoich rękach.

— Tak, eminencjo, czuję całą odpowiedzialność tego zadania.

- Ale podejmujesz się go?
- Podejmuję się, jak zwykle.
- Sądzisz, że jest ono wykonalne?
- Wszystko jest wykonalne.
- Czy sądzisz, że będziecie zaczepieni po drodze?
- To się może zdarzyć.
- I co zrobisz w takim razie?
- Przejdę przez tych, którzy mnie zaczepiają.
- A jeżeli przez nich nie przejdiesz?
- W takim razie tym gorzej dla nich, przejdę po nich.
- I odstawisz króla i królową do Saint-Germain zdrowych i całych?
- Tak.
- Ręczysz głową?
- Ręczę głową.
- Jesteś bohaterem, mój kochany — rzekł Mazarini, z podziwem patrząc

na muszkietera.

D'Artagnan uśmiechnął się.

— A ja? — rzekł Mazarini po chwili milczenia i utkwiał przenikliwe spojrzenie w d'Artagnanie.

— Jak to, a pan, eminencjo?

— A gdybym i ja chciał wyjechać?

— To byłaby trudniejsza sprawa.

— Czemu?

— Jego eminencja mógłby zostać poznany.

— Nawet w tym przebraniu? — rzekł Mazarini.

I podniósł płaszcz przykrywający fotel, na którym leżał kompletny strój do konnej jazdy, perłowszary i wiśniowy, lamowany srebrem.

— Jeśli się jego eminencja przebierze, rzecz stanie się łatwiejsza.

— No! — odetchnął Mazarini.

— Ale trzeba będzie zrobić to, co sam mówiłeś, eminencjo, przed kilkoma dniami, że na naszym miejscu zrobiłbyś.

— Cóż takiego trzeba będzie zrobić?

— Krzyczeć: “Precz z Mazarinim!”

— Będę krzyczał.

— Po francusku, i to w dobrej francuszczyźnie, eminencjo, musisz uważać na akcent; wybito nam sześć tysięcy Andegaweńczyków na Sycylii, bo źle mówili po włosku. Strzeż się, żeby Francuzi nie powetowali sobie na twojej osobie Sycylijskich Nieszporów<sup>5</sup>.

— Dołożę wszelkiego starania.

— Na ulicach jest pełno uzbrojonych ludzi — mówił dalej d’Artagnan — czy jesteś pan pewny, że nikt nie zna zamiaru królowej?

Mazarini zamyślił się.

— Bo przedsięwzięcie, które mi, eminencjo, proponujesz, mogłoby być nie lada gratką dla zdrajcy. O napad nietrudno, wszystko dałoby się usprawiedliwić ślepym przypadkiem.

Mazarini zadrżał, ale zreflektował się, że człowiek, który miałby zamiar zdradzić, nie ostrzegałby.

— Toteż — odparł spiesznie — nie zaufałbym lada komu, czego dowodem jest to, że wybrałem cię, panie d’Artagnanie, byś mi towarzyszył.

— Nie wyjedzie pan razem z królową?

— Nie — rzekł Mazarini.

— Więc wyjedzie pan po królowej?

— Nie — powtórzył Mazarini.

— A! — rzekł d’Artagnan zaczynając rozumieć.

— Tak, mam swój plan — mówił dalej kardynał. — Jeśli wyjadę z królową, podwoję grożące jej niebezpieczeństwo, jeśli wyjadę po królowej, jej

---

<sup>5</sup> W poniedziałek wielkanocny 1282 r. Sycylijczycy wymordowali wszystkich okupujących wyspę Francuzów. Sygnałem do rzezi były dzwony na nieszpory, tak że wydarzenie to przeszło do historii jako Nieszpory Sycylijskie.

wyjazd podwoi niebezpieczeństwo grożące mnie. Prócz tego, skoro dwór będzie już ocalony, o mnie mogliby zapomnieć; możni tego świata bywają niewdzięczni.

— To prawda — rzekł d'Artagnan, zerkając mimo woli na diament królowej, który Mazarini miał na palcu.

Mazarini zauważył kierunek tego spojrzenia i nieznacznie odwrócił pierścień kamieniem do spodu.

— Nie chcę więc dopuścić do sytuacji, w której mogliby się okazać niewdzięczni wobec mnie — rzekł kardynał ze swym przebiegłym uśmiechem.

— Prawdziwie chrześcijańskie miłosierdzie okazuje ten, kto nie wodzi bliźniego swego na pokuszenie — rzekł d'Artagnan.

— Toteż i dlatego właśnie chcę wyjechać przed królową — rzekł Mazarini.

D'Artagnan uśmiechnął się: człowiek tak sprytny jak on umiał ocenić tę iscie włoską przebiegłość.

Mazarini spostrzegł uśmiech i skorzystał z chwili:

— A więc najpierw mnie wywieziesz z Paryża, prawda, mój drogi panie d'Artagnan?

— Niełatwe zadanie, eminencjo — rzekł d'Artagnan przyoblekając swe oblicze w wyraz powagi.

— Jednak nie miałeś pan tych obiekcji, kiedy chodziło o króla i królową — rzekł Mazarini patrząc nań tak bacznie, by żadne drgnienie twarzy d'Artagnana nie mogło ujść jego uwagi.

— Król i królowa to moja królowa i mój król, eminencjo — odpowiedział muszkietier — moje życie do nich należy, jestem im winien życie. Jeśli oni go zażądają, mnie nie wolno się wahać.

— Słusznie — szepnął cicho Mazarini — a ponieważ do mnie twoje życie nie należy, muszę je sobie kupić, prawda?

I westchnąwszy głęboko, zaczął odwracać pierścień na palcu.

D'Artagnan uśmiechnął się.

Ci dwaj ludzie mieli jedną wspólną cechę: przebiegłość. Gdyby odznaczyli się w równiej mierze także i odwagą, niejednej wielkiej rzeczy mogliby dokonać we dwu.

— Toteż — rzekł Mazarini — rozumiesz, że prosząc cię o tę usługę, mam zamiar ci się odwdzięczyć.

— Jego eminencja ma jedynie zamiar? — zapytał d'Artagnan.

— Bierz — rzekł Mazarini zdejmując pierścień z palca. — Drogi panie d'Artagnan, oto diament, który był niegdyś twój, jest więc rzeczą słuszną, żeby do ciebie wrócił; weź go, uczyn mi tę łaskę.

D'Artagnan nie pozwolił Mazariniemu nalegać długo, wziął pierścień, spojrział, czy aby nie wstawiono innego kamienia, a upewniwszy się, że jest najczystszej wody, wsunął go sobie na palec z niewymownym zadowoleniem.

— Bardzo go lubiłem — rzekł Mazarini, żegnając pierścień przeciągłym spojrzeniem — ale mniejsza, daję go panu z wielką przyjemnością.

— A ja, eminencjo — odparł d'Artagnan — przyjmuję go tak samo, jak mi został dany. Teraz zaś pomówmy o pańskiej sprawie. Chce pan wyjechać przed wszystkimi?

— Tak, koniecznie.

— O której godzinie?

— O dziesiątej.

— A o której godzinie wyjedzie królowa?

— O północy.

— Owszem, tak można; najpierw przewiozę pana, eminencjo, zostawię cię za roгатką i wrócę po królową.

— Znakomicie, ale jak mnie wywieziesz z Paryża, panie d'Artagnan?

— O, to już moja sprawa.

— Daję ci wolną rękę, bierz orszak tak znaczny, jak sam uznasz za stosowne.

D'Artagnan potrząsnął głową.

— A jednak wydaje mi się, że jest to najpewniejszy sposób — rzekł Mazarini.

— Tak, dla pana, eminencjo, ale nie dla królowej.

Mazarini przygryzł wargi.

— Więc — rzekł — jak zrobimy?

— Trzeba mi zawierzyć, eminencjo.

— Hm — mruknął Mazarini.

— I trzeba powierzyć mi w całości wykonanie tego przedsięwzięcia.

— Jednakże...

— Albo poszukać sobie kogoś innego — dokończył d'Artagnan odwracając się.

Co to? — rzekł sobie Mazarini — zdaje mi się, że ma zamiar wyjść razem z diamentem. I przywołał go:

— Panie d'Artagnan, drogi panie d'Artagnan — odezwał się serdecznie.

— Słucham, eminencjo.

— Więc odpowiadasz za wszystko?

— Za nic nie odpowiadam, zrobię, co będę mógł.

— Co będziesz mógł?

— Tak.

— A więc zgoda, polegam na tobie.

Wielcem z tego kontent — rzekł sobie d'Artagnan.

— Zatem będziesz tu o wpół do dziesiątej?

— A jego eminencja będzie już gotów?

— Oczywiście, będę gotów.

— A więc tak, jak się rzekło, eminencjo. Teraz zaś zechciej mnie pan zaprowadzić do królowej.

— Po co?

— Chciałbym otrzymać rozkazy z własnych ust jej królewskiej mości.

— Poleciała mi, żebym ci je przekazał.

— Mogła czegoś zapomnieć.

— Zależy ci na widzeniu się z królową?

— To rzecz nieodzowna, eminencjo.

Mazarini przez chwilę wahał się, d'Artagnan nieustępliwie trwał w swoim zamiarze.

— Więc chodźmy — rzekł Mazarini — wprowadzę pana, ale ani słowa o naszej rozmowie.

— To, co zostało powiedziane między nami, dotyczy tylko nas dwóch, eminencjo — rzekł d'Artagnan.

— Przysięgasz pan, że nic nie powiesz?

— Ja nigdy nie przysięgam, eminencjo. Mówię tak lub nie; a ponieważ jestem szlachcicem, dotrzymuję słowa.

— Widzę, że muszę ci zaufać bez zastrzeżeń, panie d'Artagnan.

— Tak będzie najlepiej, wierz mi, eminencjo.

— Chodźmy — powtórzył Mazarini.

Mazarini wprowadził d'Artagnana do domowej kaplicy królowej i tu mu polecił zaczekać.

D'Artagnan nie czekał długo. W pięć minut po nim weszła do kaplicy królowa, ubrana w strój galowy. W tym stroju wyglądała na trzydzieści pięć lat zaledwie i była piękna jak zawsze.

— To ty, panie d'Artagnan — rzekła uśmiechając się życzliwie — dziękuję ci, żeś nalegał, żeby się zobaczyć ze mną.

— Proszę o wybaczenie, najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan — ale chciałem otrzymać rozkazy z własnych ust waszej królewskiej mości.

— Wiesz, o co chodzi?

— Tak, najjaśniejsza pani.

— Przyjmujesz zlecenie, jakie ci powierzam?

— Z wdzięcznością.

— To dobrze; bądź tutaj o północy.

— Będę.

— Panie d'Artagnan — rzekła królowa — zbyt dobrze znam twoją bezinteresowność, bym miała w tej chwili mówić ci o mojej wdzięczności, ale ci przysięgam, że nie zapomnę tej drugiej przysługi, tak jak niegdyś zapomniałam pierwszej.

— Wasza królewska mość może pamiętać albo zapomnieć wedle własnej chęci i nie wiem, o czym mówisz, najjaśniejsza pani.

I d'Artagnan skłonił się.

— Idź już, panie d'Artagnan — rzekła królowa ze swoim najpiękniejszym uśmiechem — idź i powróć o północy.

Pożegnała go skinieniem ręki i d'Artagnan wyszedł, a wychodząc spojrzał na zawieszoną kotarą drzwi, przez które weszła królowa, i spostrzegł czubek aksamitnego trzewika, wystający spod fałd tkaniny.

Ślicznie! — rzekł sobie. — Mazarini podsłuchiwał, żeby się przekonać, czy go nie wydam. Prawdę rzekłszy, ten włoski błazen nie jest wart, żeby mu uczciwy człowiek służył.

D'Artagnan stawiał się jednak o umówionej porze; wpół do dziesiątej wszedł do przedpokoju.

Bernouin oczekiwał go i natychmiast wprowadził.

Zastał kardynała w świeckim stroju. Prezentował się bardzo dobrze w tym ubiorze, który nosił, jak już się rzekło, z wykwintem, lecz był bardzo blady i nieco drżał.

— Sam? — rzekł Mazarini.

— Tak, eminencjo.

— A gdzie zacny pan du Vallon? Czy nie zaszczyca nas swoim miłym i towarzystwem?

— A jakże, eminencjo, czeka w swojej karecie.

— Gdzie?

— Przy furtce ogrodu Palais-Royal.



— Więc pojedziemy w jego karecie?

— Tak, eminencjo.

— I bez eskorty, wyjąwszy was dwóch?

— Czyż to nie dosyć? Wystarczyłby jeden z nas.

— Doprawdy, drogi panie d'Artagnan — rzekł Mazarini — twoja zimna krew mnie przeraża.

— Wydaje mi się, że przeciwnie, powinna napawać otuchą waszą eminencję.

— A Bernouina nie wezmę ze sobą?

— Nie będzie miejsca, przyjedzie później.

— Chodźmy — rzekł Mazarini — skoro mam cię słuchać we wszystkim.

— Jeszcze jest czas się cofnąć — rzekł d'Artagnan — wasza eminencja ma jeszcze całkowitą swobodę wyboru.

— O nie, o nie! — rzekł Mazarini. — Jedźmy.

I zeszli ukrytymi schodami, a d'Artagnan czuł, że ramię kardynała, oparte o jego muszkieterskie ramię, drży.

Przeszli przez dziedzińce Palais-Royal, gdzie stały jeszcze nieliczne karety najbardziej zapóźnionych gości, przeszli przez ogród i dotarli do furtki.

Mazarini próbował ją otworzyć kluczem, który wyjął z kieszeni, ale ręka tak mu drżała, że nie mógł trafić do otworu w zamku.

— Pozwól, eminencjo — rzekł d'Artagnan.

Mazarini dał mu klucz, d'Artagnan otworzył i włożył klucz do swojej kieszeni; postanowił tędy wrócić.

Stopień był spuszczonej, drzwiczki otwarte. Stał przy nich Muszkiet, Portos siedział w karecie.

— Wsiądź, eminencjo — rzekł d'Artagnan.

Mazarini nie dał sobie tego dwa razy powtarzać i szybko wsiadł do karety.

D'Artagnan wsiadł za kardynałem, Muszkiet zamknął drzwiczki i postępując głośno, wgramolił się na tylne siedzenie. Próbował wymówić się od

tej wyprawy, udając, że go jeszcze boli rana, ale d'Artagnan rzekł mu tak:

— Zostań, jeśli wolisz, drogi panie Muszkiet, ale uprzedzam cię, drogi panie Muszkiet, że Paryż ma być tej nocy spalony.

Wobec tego Muszkiet nie pytał już o nic więcej i oświadczył, że jest gotów iść za swym panem i za panem d'Artagnanem choćby na sam koniec świata.

Kareta ruszyła statecznym truchtem, który w niczym nie zdradzał, że ludziom jadącym w niej bardzo się śpieszy. Kardynał otarł czoło chustką i rozejrzał się.

Po lewej ręce miał Portosa, po prawej ręce d'Artagnana. Strzeżli drzwiczek i chronili go z obu stron.

Na przedniej ławeczce leżały dwie pary pistoletów, jedna para przed Portosem, druga para przed d'Artagnanem; prócz tego obaj przyjaciele mieli przy boku szpady.

O sto kroków od Palais-Royal zatrzymał karete patrol.

— Kto jedzie? — odezwał się dowódca.

— Mazarini! — odpowiedział d'Artagnan wybuchając śmiechem.

Kardynał uczył, że włosy podnoszą mu się na głowie.

Żart wydał się arcyprzedni; mieszczenie, widząc tę karete bez herbów i bez eskorty, nigdy by nie przypuścili, że naprawdę można by popełnić tak wielką lekkomyślność.

— Szczęśliwej podróży! — zawołali.

I przepuścili ich.

— A co? — odezwał się d'Artagnan — co myślisz, eminencjo, o tej odpowiedzi.

— O mistrzu chytróści! — zawołał Mazarini.

— Racja — rzekł Portos — już rozumiem...

W połowie ulicy Petits-Champs zatrzymał karete drugi patrol.

— Kto jedzie?! — krzyknął dowodzący patrolem.

— Cofnij się eminencjo — rzekł d'Artagnan.

Mazarini cofnął się tak głęboko między dwóch przyjaciół, że całkowicie skrył się za ich plecami.

— Kto jedzie? — powtórzył niecierpliwie ten sam głos.

I d'Artagnan poznał, że ludzie z patrolu już chwytają konie za uzdy. Wychylił się z karety do pół ciała.

— Hej, Wiórek! — zawołał.

Dowodzący podszedł bliżej; był to rzeczywiście Wiórek. D'Artagnan poznał głos swego dawnego służącego.

— Jak to — rzekł Wiórek — to pan?

— Ano tak, dobry Boże, to ja, przyjacielu. Nasz drogi Portos otrzymał pchnięcie szpadą i odwożę go do jego wiejskiej rezydencji w Saint-Cloud.

— O, naprawdę? — rzekł Wiórek.

— Portosie — rzekł znów d'Artagnan — jeżeli jeszcze możesz mówić, mój drogi Portosie, odezwij się choć słówkiem do tego zacnego Wiórka.

— Wiórku, przyjacielu — odezwał się zbolalym głosem Portos — jestem bardzo chory i jeślibyś gdzie spotkał medyka, to mi go z łaski swojej przyślij.

— Ach, mój Boże, cóż za nieszczęście — rzekł Wiórek. — I jak się to stało?

— Wszystko ci opowiem — rzekł Muszkiet.

Portos głośno jęknął.

— Przepuść nas, Wiórku — szepnął d'Artagnan — albo nie dojedzie żyw: płuca są naruszone, przyjacielu.

Wiórek potrząsnął głową jak człowiek, który chce powiedzieć: w takim razie sprawa jest kiepska.

Po czym odwróciwszy się do swoich ludzi rzekł:

— Przepuścić, to przyjaciele.

Kareta ruszyła, a Mazarini, który wstrzymał był oddech, odważył się wreszcie odsapnąć.

— Bricconi<sup>6</sup> — szepnął.

Tuż przed bramą Saint-Honore natknęli się na trzeci zbrojny patrol; ten składał się z ludzi o podejrzanym gębach, którzy bardziej niż na cokolwiek innego wyglądali na rzezimieszków. Byli to ludzie żebraka od Świętego Eustachego.

— Uwaga, Portosie — rzekł d'Artagnan.

Portos sięgnął ku pistoletom.

— Co się dzieje? — zapytał Mazarini.

— Wygląda mi na to, żeśmy się dostali w złe towarzystwo, eminencjo.

Do drzwiczek karety zbliżył się człowiek trzymający w ręku coś w rodzaju kosi.

— Kto jedzie? — zapytał ów człowiek.

— Ej, hultaju — rzekł d'Artagnan — nie poznajesz karety jego książęcej wysokości.

— Książę, nie książę, otwieraj — rzekł ów człowiek — strzeżemy bramy i nikt tędy nie przejedzie bez naszej wiedzy.

— Co robimy? — zapytał Portos.

— Do kaduka! Przejedziemy! — rzekł d'Artagnan.

— Ale w jaki sposób przejedziemy? — zapytał Mazarini.

— Przez środek albo po łbach. Stangret, cwałem.

Stangret podniósł bat.

— Ani kroku dalej — rzekł ów człowiek, który wyglądał na dowódcę — albo poprzecinamy pęciny waszym koniom.

— Do licha, szkoda by było — odezwał się Portos — bydlęta kosztowały mnie każde po sto pistolów.

— Zapłacę ci za nie po dwieście — rzekł Mazarini.

— Pięknie, ale jeśli im podetną pęciny, to nam poucinają szyje.

— Jeden z nich zbliża się od mojej strony — rzekł Portos — zabić go?

---

<sup>6</sup> Bricconi (wł.) — hultaje.

— Tak, pięścią, jeśli możesz; damy ognia tylko w ostateczności.

— Mogę — rzekł Portos.

— Zatem, proszę, otwieraj! — odezwał się d'Artagnan do człowieka z kosą, ujmując jeden z pistoletów za lufę i szykując się do zadania ciosu kolbą.

Człowiek z kosą zbliżył się.

A kiedy się zbliżył, d'Artagnan, żeby mieć większą swobodę ruchów, wychylił się do połowy przez drzwiczki. Oczy jego spotkały się z oczami żebraka, które oświetlił blask latarni.

Widać poznał muszkietera, bo bardzo zbladł; widać d'Artagnan też go poznał, bo włosy mu się zjeżyły na głowie.

— Pan d'Artagnan! — zawołał i cofnął się o krok. — Pan d'Artagnan! Przepuścić!

D'Artagnan byłby mu, być może, odpowiedział, ale w tejże chwili usłyszano odgłos ciosu, jakby maczuga spadła na łeb wołu: to Portos powalił pięścią człowieka, który się od jego strony zbliżył.

D'Artagnan odwrócił się i ujrzał, że nieszczęsny człek leży martwy na ziemi, o cztery kroki od karety.

— W konie! — krzyknął na stangreta. — Cwałem!

Stangret zaciął konie batem, szlachetne zwierzęta skoczyły. Usłyszeli krzyki — zapewne krzyki przewracanych ludzi. I odczuli dwa wstrząsy: dwa konie przejechały po czymś miękkim i okrągłym.

Na chwilę zrobiło się cicho. Kareta minęła bramę.

— Na Cours-la-Reine! — krzyknął stangretowi d'Artagnan. — Po czym odwrócił się do Mazariniego.

— A teraz, eminencjo — rzekł mu — możesz zmówić pięć *Pater noster* i pięć *Ave Maria*, żeby podziękować Bogu za ocalenie; jesteś ocalony, jesteś wolny.

Mazarini tylko stęknął w odpowiedzi, nie mógł uwierzyć w ten cud.

W pięć minut później kareta zatrzymała się, przybyli na Cours-la-Reine.

— Czyś zadowolony, eminencjo, ze swojej eskorty? — zapytał muszkieter.

— Jestem zachwycony, panie d'Artagnan — odparł Mazarini, ośmieliwszy się wreszcie wysunąć głowę przez drzwiczki. — A teraz uczyn' tyleż samo dla królowej.

— To będzie mniej trudne — rzekł d'Artagnan wyskakując z karety. — Panie du Vallon, polecam twojej opiece jego eminencję.

— Bądź spokojny — rzekł Portos wyciągając rękę.

D'Artagnan uścisnął rękę Portosa i potrząsnął nią.

— Aj! — zawołał Portos.

D'Artagnan ze zdziwieniem spojrzał na przyjaciela.

— Co ci się stało? — zapytał.

— Zdaje się, że sobie zwichnął przegub — odrzekł Portos.

— Do licha, bo też i walisz bez opamiętania.

— Trzeba było, tamten chciał do mnie wygarnąć z pistoletu; ale jak tyś sobie poradził ze swoim człowiekiem?

— O, mój to nie był człowiek — rzekł d'Artagnan.

— A co to było?

— Widmo.

— I co?

— I zakląłem je.

Tyle tylko wyjaśniewszy, d'Artagnan zabrał z przedniej ławeczki pistolety, zatknął je sobie za pas, owinał się w płaszcz i nie chcąc wracać przez tę samą roгатkę, przez którą wjechali, poszedł w kierunku bramy Richelieu.

## 8. Kareta pana koadiutora

D'Artagnan czasu miał dosyć, nie wrócił więc przez bramę Saint-Honore, lecz obrał okreśną drogę i wszedł do miasta przez bramę Richelieu. Tam zbliżyła się doń straż, żeby zobaczyć, kto idzie, a kiedy po kapeluszu z piórem i lamowanym płaszczu poznano, że jest porucznikiem muszkietierów, otoczono go, żeby zmusić do zawołania: "Precz z Mazarinim!" To zachowanie się zaniepokoiło go w pierwszej chwili. Lecz kiedy się dowiedział, o co idzie, krzyknął, co żądano, tak donośnym głosem, że i najwybredniejsi zostali ukontentowani.

Poszedł ulicą Richelieu, rozmyślając o sposobie, w jaki można by wywieźć z kolei królową — gdyż o wyjechaniu z Paryża w karecie z herbami Francji nawet i marzyć nie było po co — aż nagle spostrzegł, że przed bramą pałacyku pani de Guemenee stoi pewien ekwipaż.

Olśnił go nagły pomysł.

O, do kaduka! — rzekł sobie — to byłby przedni fortel.

Podszedł bliżej i przyjrzał się herbom umieszczonym na drzwiczkach karety i liberii siedzącego na koźle stangreta.

Przyszło mu to tym łatwiej, że stangret spał w najlepsze.

— Tak, to kareta pana koadiutora — rzekł — na honor, zaczynam wierzyć, że Opatrzność nam sprzyja.

Wsiadł chyłkiem do karety i pociągając za jedwabny sznur, który był przywiązany do małego palca stangreta, rzekł:

— Do Palais-Royal.

Stangret, nagle zbudzony ze snu, ruszył tam, gdzie kazano, ani się domyślając, że rozkaz zgoła nie od jego pana pochodzi. Szwajcar właśnie zamykał kraty, lecz widząc ten świetny ekwipaż, domyślił się, że to ktoś możny

przybywa, i przepuścił karete, która zatrzymała się pod kolumnadą.

Stangret dopiero teraz spostrzegł, że z tyłu nie było lokai.

Pomyślał, że widać pan koadiutor rozesłał ich, zeskoczył więc z kozła nie wypuszczając z rąk lejców i otworzył drzwiczki.

Z kolei d'Artagnan zeskoczył na ziemię i kiedy stangret, poznawszy, że to nie jego pan, przerażony cofnął się o krok, schwycił go lewą ręką za kołnierz, a prawą przyłożył mu pistolet do gardła.

— Spróbuj słówko pisnąć — rzekł d'Artagnan — a zginiesz.

Stangret po wyrazie twarzy tego, który doń tak się odezwał, poznał, że wpadł w zasadzkę, i stał z rozdziawioną gębą i wybaluszonymi oczami. Po dziedzińcu przechadzali się dwaj muszkietierowie. D'Artagnan przywołał ich z nazwiska.

— Panie de Belliere — rzekł do jednego z nich — zrób mi tę grzeczność i odbierz lejce z rąk tego poczciwego człowieka, wsiądź na kozioł, podjedź pod drzwi ukrytych schodów i tam na mnie zaczekaj. Jest to sprawa wielkiej wagi i służba dla króla.

Muszkietier, który wiedział, że jego porucznik nigdy by nie spletał nikomu złośliwego figla pod pokrywką służby dla króla, usłuchał bez słowa, choć rozkaz wydał mu się osobliwy.

D'Artagnan zwrócił się do drugiego muszkietera:

— Panie du Verger — rzekł — pomóż mi odprowadzić tego człowieka w bezpieczne miejsce.

Muszkietier, sądząc, że jego porucznik zaaresztował jakiegoś przebranego księcia, skłonił się i obnażając szpadę, dał znak, że jest gotów.

Weszli po schodach — d'Artagnan pierwszy, za nim więzień, a za więźniem muszkietier — przeszli przez przedsionek i weszli do przedpokoju Mazariniego.

Bernouin niecierpliwie wyczekiwał wieści o swoim panu.

— No i jak, panie? — zapytał.



— Wszystko jak najlepiej, mój drogi panie Bernouin, ale mam tu, proszę cię, człowieka, którego trzeba umieścić w bezpiecznym miejscu.

— Gdzie, panie?

— Gdzie ci się podoba, byleby miejsce przez ciebie wybrane miało okiennice zamykane na kłódkę i drzwi zamykane na klucz.

— Owszem, panie, mamy tu takie miejsce — rzekł Bernouin.

I zaprowadzono nieszczęsnego stangreta do gabinetu, który miał zakratowane okna i mocno przypominał celę więzienną.

— A teraz, drogi przyjacielu — rzekł d'Artagnan — prosiłbym najuprzejmiej, przekaz w moje ręce swój kapelusz i płaszcz.

Stangret, jak łatwo się domyślić, nie stawiał oporu. Tak był zresztą oszołomiony tym, co mu się przydarzyło, że chwiał się na nogach i coś bełkotał nieskładnie, jakby był pijany. D'Artagnan wręczył jego płaszcz i kapelusz lokajowi.

— A teraz, panie du Verger — rzekł d'Artagnan — będziesz tu siedział, zamknięty razem z tym człowiekiem, póki wam Bernouin nie otworzy drzwi. Będzie to warta dość długa i bardzo mało zajmująca, wiem o tym, ale rozumiesz — dorzucił poważnie — tak trzeba dla dobra króla.

— Podług rozkazu, panie poruczniku — odpowiedział muszkieter widząc, że idzie o poważną sprawę.

— Aha, prawda — rzekł d'Artagnan — gdyby ten człowiek usiłował uciekać albo krzyczeć, przesyjesz go szpadą.

Muszkieter skinął głową na znak, że skrupulatnie wypełni rozkaz. D'Artagnan wyszedł, zabierając ze sobą Bernouina. Biła północ.

— Zaprowadź mnie do domowej kaplicy królowej — rzekł — uprzedź ją, że czekam, weź tę paczkę i połóż ją, razem ze starannie nabitym muszkietem, na koźle karety, która stoi przy ukrytych schodach.

Bernouin wprowadził d'Artagnana do domowej kaplicy. Tu muszkieter usiadł i zamyślił się.

W Palais-Royal wszystko odbywało się tak jak co dzień. O dziesiątej, jak już powiedzieliśmy, już niemal wszyscy zaproszeni goście odjechali. Ci, którzy mieli uciekać razem z dworem, zostali zawiadomieni, że mają stawić się między północą a godziną pierwszą na Cours-la-Reine.

O dziesiątej Anna Austriaczka poszła do króla. Księcia d'Anjou, jego młodszego brata, już położono spać, a mały Ludwik jeszcze się bawił ołowianymi żołnierzami w bitwę, co było jego ulubioną rozrywką. Jego dwaj mali dworzanie bawili się razem z nim.

— Laporcie — rzekła królowa — już pora położyć do łóżka jego królewską mość.

Król poprosił, żeby mu jeszcze pozwolono się pobawić; mówiąc, że mu się nic a nic nie chce spać, ale królowa nie ustąpiła.

— Przecież jutro, Ludwiku, masz pojechać o szóstej rano do Conflans, do kąpieli. Zdaje mi się, że sam mnie o to prosiłeś.

— Masz słuszość, pani — rzekł król — i jestem gotów odejść do sypialni, jeśli zechcesz mnie pocałować. Laporcie, daj lichtarz kawalerowi de Coislin.

Królowa dotknęła ustami białego i gładkiego czoła, które mały król podsunął jej do ucałowania z powagą już zalatującą etykietą.

— Uśnij szybko, Ludwiku — rzekła królowa — bo będziesz musiał wcześniej wstać.

— Dołożę wszelkich starań, żeby ci być posłusznym, pani — rzekł mały Ludwik — ale wcale mi się nie chce spać.

— Laporcie — rzekła cicho Anna Austriaczka — weź jakąś nudną książkę i poczytaj jego królewskiej mości, ale sam się nie rozbieraj.

Król wyszedł z kawalerem de Coislin, który niósł mu lichtarz. Drugiego pazika odprowadzono do jego komnatki.

Królowa zaś wróciła na swoje pokoje. Jej damy, czyli pani de Bregy, panna de Beaumont, pani de Motteville i jej siostra Sokratina, którą tak nazywano, ponieważ była bardzo mądra, właśnie przyniosły do garderoby resztki z obiadu

— zwykłą kolację Anny Austriaczki.

Królowa wydała rozkazy, porozmawiała o obiedzie, którym miał ją za dwa dni podejmować markiz de Villequier, wyznaczyła osoby, które miały mieć zaszczyt asystowania jej, oznajmiła, że nazajutrz ma zamiar jeszcze raz udać się na mszę do Val-de-Grace i Beringhenowi, swemu pierwszemu pokojowcowi, zapowiedziała, że jej będzie towarzyszył.

Kiedy damy skończyły kolację, królowa udała wielkie zmęczenie i przeszła do swojej sypialni. Pani de Motteville, która tego dnia pełniła przy niej służbę, poszła za nią i pomogła się jej rozebrać. Królowa położyła się do łóżka, przez kilka minut pogawędziła serdecznie ze swą damą dworu i pożegnała ją.

Wtedy to właśnie d'Artagnan wjeżdżał na dziedziniec Palais-Royal w karecie koadiutora.

W chwilę potem wyjechały z dziedzińca karety dam dworu i krata zamknęła się za nimi.

Biła północ.

Pięć minut po północy Bernouin zapukał do sypialni królowej. Przyszedł tajnym przejściem, prowadzącym z komnat kardynała.

Anna Austriaczka otworzyła mu osobiście.

Była już ubrana, to znaczy, że na powrót włożyła pończochy i otuliła się w długi, nocny strój.

— To ty, Bernouin — rzekła. — Czy pan d'Artagnan przyszedł?

— Tak, najjaśniejsza pani, jest w kaplicy i czeka, aż wasza królewska mość będzie gotowa.

— Jestem gotowa. Idź, powiedz Laportowi, żeby obudził i ubrał króla, a potem pójdz do marszałka de Villeroy i zawiadom go w moim imieniu.

Bernouin skłonił się i wyszedł.

Królowa weszła do kaplicy oświetlonej jedną tylko lampką z weneckiego szkła. Zobaczyła d'Artagnana. Czekał stojąc.

— To pan? — odezwała się.

— Tak, najjaśniejsza pani.

— Jest pan gotów?

— Jestem gotów.

— A pan kardynał?

— Dojechał szczęśliwie. Czeką na waszą królewską mość na Cours-la-Reine.

— W jakiej karecie pojedziemy?

— Wszystko przewidziałem, karetę czeka na dole na waszą królewską mość.

— Chodźmy do króla.

D'Artagnan skłonił się i poszedł za królową.

Mały Ludwik był już ubrany, jeszcze tylko trzewiki i kaftan trzeba mu było włożyć. Ze zdziwieniem dał się ubierać, zarzucając pytaniami Laporta, który mu odpowiadał wciąż jednym i tym samym zdaniem.

— To z rozkazu królowej, najjaśniejszy panie.

Łóżko nie zostało jeszcze przykryte i było widać prześcieradła króla, tak zużyte, że aż dziurawe w wielu miejscach.

Był to jeszcze jeden wynik sknerstwa Mazariniego.

Królowa weszła, d'Artagnan zatrzymał się na progu. Dziecko, ujrawszy ją, wymknęło się z rąk Laportowi i podbiegło do matki.

Królowa skinęła na d'Artagnana, żeby podszedł bliżej.

D'Artagnan usłuchał.

— Synu — rzekła Anna Austriaczka, wskazując królowi muszkietera, który stał spokojnie z odkrytą głową — oto pan d'Artagnan, kawaler dzielny jak jeden z twoich ulubionych dawnych bohaterów, o których opowiadają ci moje niewiasty. Dobrze zapamiętaj sobie jego nazwisko i dobrze mu się przypatrz, żebyś nie zapomniał jego twarzy, gdyż tej nocy odda on nam wielką usługę.

Mały król popatrzył na oficera swymi wielkimi, o dumnym wejrzeniu oczami i powtórzył:

— Pan d'Artagnan?

— Tak, mój synu.

Mały król wolno podniósł rączkę i podał ją muszkieterowi. D'Artagnan przykląkł na jedno kolano i ucałował tę dłoń.

— Pan d'Artagnan — powtórzył Ludwik. — Dobrze, pani, zapamiętam.

W tej chwili usłyszano zbliżającą się wrzawę.

— Co to? — zapytała królowa.

— Zaraz — odpowiedział d'Artagnan, wytyżając swój ostry słuch i swój przenikliwy wzrok. — Tak, to lud się burzy.

— Trzeba uciekać — rzekła królowa.

— Wasza królewska mość powierzyła mi przeprowadzenie tej sprawy, trzeba zostać i dowiedzieć się, czego chcą.

— Panie d'Artagnan!

— Ręczę za wszystko.

Nic nie udziela się tak szybko jak ufność. Królowa, silna duchem i odważna, natychmiast i w najwyższym stopniu wyczuwała obie te cnoty u innych.

— Czyń, jak uważasz — rzekła. — Zdaję się na ciebie.

— Czyż wasza królewska mość zechce się zgodzić, bym w tej sprawie wydawał rozkazy w jej imieniu?

— Rozkazuj.

— Czego znów chce ten lud? — zapytał król.

— Zaraz się dowiemy, najjaśniejszy panie — odparł d'Artagnan. I szybko wyszedł z komnaty.

Zgiełk rósł; wydawało się, że już całkowicie okrążył Palais-Royal. Słychać było z zewnątrz krzyki, ale nikt nie mógł zrozumieć, o co chodzi krzyczącym. Było oczywiste, że lud buntuje się i czegoś domaga. Półubrany król, królowa i Laporte zostali tak, jak stali, i tam, gdzie stali, nasłuchując i czekając.

Przybiegł Comminges, który tej nocy miał służbę w Palais-Royal. Miał

około dwustu ludzi na dziedzińcach i w stajniach, więc oddał ich do dyspozycji królowej.

— No i co tam? — zapytała Anna Austriaczka, widząc wchodzącego d'Artagnana — co się dzieje?

— Najjaśniejsza pani, rozeszła się wieść, że królowa opuściła Palais-Royal uwożąc ze sobą króla. Lud chce się przekonać, że tak nie jest, i grozi, że zburzy Palais-Royal, jeśli nie zobaczy króla.

— O, tym razem przebrała się miarka — rzekła królowa. — Już ja im dowiodę, że nie wyjechałam.

D'Artagnan po wyrazie twarzy królowej poznał, że ma zamiar wydać rozkaz, który rozdrażni lud do ostatka. Zbliżył się do niej i odezwał się po cichu:

— Czy wasza królewska mość wciąż jeszcze mi ufa?

Głos ten przejął ją dreszczem.

— Tak, panie, ufam ci bez zastrzeżeń — odrzekła. — Mów.

— Czy królowa zechce posłuchać mojej rady?

— Mów.

— Zechciej, najjaśniejsza pani, odprawić pana de Comminges rozkazując mu, żeby się zamknął razem ze swymi ludźmi w kordegardach i w stajniach.

Comminges spojrział na d'Artagnana tym zawistnym wzrokiem, jakim każdy dworak patrzy na nowego wybrańca pańskiej łaski.

— Słyszałeś, panie de Comminges? — rzekła królowa.

D'Artagnan ze zwykłą sobie bystrością zrozumiał niespokojne spojrzenie Commingesa. Podszedł do niego.

— Panie de Comminges — rzekł mu — wybacz mi. Obydwaj służymy królowej, prawda? Teraz na mnie kolej, żeby jej usłużyć, więc nie zazdrość mi tego szczęścia.

Comminges skłonił się i wyszedł.

— Trudno — rzekł sobie d'Artagnan — oto mam o jednego wroga więcej.

— A teraz — rzekła królowa zwracając się do d'Artagnana — co więcej

trzeba uczynić? Gdyż jak pan słyszysz, zgiełk nie cichnie, lecz rośnie.

— Najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan — lud chce zobaczyć króla, trzeba więc, żeby go zobaczył.

— Jak go ma zobaczyć? Gdzie? Na balkonie?

— Nie, najjaśniejsza pani, tu, w sypialni, śpiącego w łóżku.

— O, najjaśniejsza pani, pan d'Artagnan ma ze wszech miar rację! — zawołał Laporte.

Królowa zamyśliła się i uśmiechnęła uśmiechem kobiety, której nie jest obca obłuda.

— To prawda — szepnęła.

— Panie Laporte — rzekł d'Artagnan — wyjdź za kraty Palais-Royal i oznajmij ludowi, że się zadość stanie jego prośbie i że za pięć minut nie tylko zobaczy króla, ale zobaczy go w jego własnym łóżku. Dodaj, że król śpi i że królowa prosi, aby się uciszono, żeby go nie obudzić.

— Ale przecież nie wszyscy, tylko deputacja z dwóch albo czterech osób?

— Wszyscy, najjaśniejsza pani.

— Ależ pomyśl, panie, że nas zatrzymają aż do rana.

— Potrwa to najwyżej kwadrans. Ręczę za wszystko, najjaśniejsza pani.

Wierzaj mi, znam lud, to wielki dzieciak, wszystko da się z nim zrobić pieszczotą. Zobaczywszy śpiącego króla stanie się cichy, łagodny i nieśmiały jak jagnię.

— Idź. Laporte — rzekła królowa.

Mały król zbliżył się do matki.

— Dlaczego mamy zrobić to, czego się domagają ci ludzie? — zapytał.

— Bo tak trzeba, mój synu.

— Czyżbym już nie był królem, skoro mówi mi się: „bo tak trzeba”?

Królowa nic nie odrzekła.

— Najjaśniejszy panie — rzekł d'Artagnan — czy wasza królewska mość pozwoli zadać sobie jedno pytanie?

Ludwik XIV odwrócił się, zdumiony, że ktoś ośmiela się odezwać doń pierwszy. Królowa ścisnęła syna za rękę.

— Pytaj — rzekł król.

— Waszej królewskiej mości nieraz zapewne zdarzało się — podczas zabawy w parku w Fontainebleau albo na dziedzińcu pałacu w Wersalu — ujrzeć, że niebo nagle pociemniało, i usłyszeć huk grzmotu?

— Tak, oczywiście.

— Więc właśnie, i choć wasza królewska mość miał ochotę dalej się bawić, ów głos grzmotu mówił mu: “Wracaj, najjaśniejszy panie, bo tak trzeba”.

— Oczywiście, panie, ale mówiono mi, że głos grzmotu jest głosem Boga.

— A więc, najjaśniejszy panie — rzekł d’Artagnan — posłuchaj zgiełku, jaki czyni lud, a przekonasz się, że jest on wielce podobny do huku grzmotu.

Rzeczywiście, straszliwa wrzawa niosła się w tej chwili na nocnym wietrze.

I nagle ucichła.

— Słyszysz, najjaśniejszy panie? — rzekł d’Artagnan. — Powiedziano ludowi, że śpisz, widzisz więc, że wciąż jesteś królem.

Królowa spojrzała ze zdziwieniem na tego niezwykłego człowieka, którego straceńcza odwaga stawiała z najdzielniejszymi na równi, którego przebiegłość i subtelny dowcip stawiała na równi z najmoźniejszymi.

Wszedł Laporte.

— I cóż, Laporcie? — zapytała królowa.

— Najjaśniejsza pani — odpowiedział — spełniło się przewidywanie pana d’Artagnana: uspokoili się jakby za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Zaraz otworzą przed nimi wrota i za pięć minut tu będą.

— Laporcie — rzekła królowa — gdybyś położył jednego z twoich synów na miejscu króla, my wyjechalibyśmy przez ten czas.

— Jeśli wasza królewska mość tak rozkaże — odrzekł Laporte — moi synowie, jak i ja, są do usług królowej.



— O nie — rzekł d'Artagnan — gdyż jeśliby któryś z nich znał jego królewską mość i zauważył podstęp, wszystko byłoby stracone.

— Masz słuszość, panie, zawsze masz słuszość — rzekła Anna Austriaczka. — Laporcie, połóż króla do łóżka.

Laporte ułożył w łóżku niemal całkiem ubranego króla i przykrył go kołdrą aż po brodę.

Królowa pochyliła się nad nim i pocałowała go w czoło.

— Udawaj, że śpisz, Ludwiku — rzekła.

— Dobrze — odparł król — ale nie życzę sobie, żeby mnie któryś z tych ludzi dotknął.

— Najjaśniejszy panie, ja tu jestem — rzekł d'Artagnan — i ręczę ci, że gdyby choć jeden ośmielił się na takie zuchwalstwo, życiem by je przypłacił.

— Co teraz należy robić? — zapytała królowa. — Bo już ich słyszę.

— Panie Laporte, wyjdź im naprzeciw i jeszcze raz nakaż, żeby byli cicho. Najjaśniejsza pani, czekaj tam, przy drzwiach. Ja stoję u wezgłowia króla, gotów za niego zginąć.

Laporte wyszedł, królowa stanęła przy kotarze, d'Artagnan wśliznął się za zasłony łóżka.

Potem usłyszano głuchy odgłos ostrożnie stawianych kroków; nadchodziła wielka rzesza ludzi. Królowa własnoręcznie podniosła kotarę, kładąc palec na ustach.

Ujrawszy królową, nadchodzący ludzie zatrzymali się w postawie wyrażającej szacunek.

— Wejdźcie, panowie, wejdźcie — powiedziała królowa.

A wtedy ten tłum pospólstwa zawahał się, jakby się nagle zawstydził: spodziewał się oporu, spodziewał się sprzeciwu, spodziewał się, że wyłamię kraty i przewróci strażę. Kraty same się otworzyły, a król, na pozór przynajmniej, nie miał u swego wezgłowia żadnej straży prócz matki.

Ci, co byli na przodzie, coś zaszepotali niewyraźnie i spróbowali się cofnąć.

— Ależ wejdźcie, panowie — rzekł Laporte — skoro królowa pozwala.

Wtedy jeden śmielszy od innych odważył się przekroczyć próg i wszedł do sypialni na palcach. Inni poszli za jego przykładem i pokój napełnił się tak cicho, jakby wszyscy ci ludzie byli najpokorniejszymi i najwierniejszymi dworzanami. Daleko za drzwiami widać było głowy tych, co nie mogąc wejść, postawali na palcach. D'Artagnan wszystko widział przez szparę, którą sobie zrobił w zasłonie. W człowieku, który wszedł pierwszy, poznał Wiórka.

— Panie — odezwała się do niego królowa, poznawszy, że jest zapewne wodzem tych wszystkich ludzi — pragnęliście zobaczyć króla, a ja zgodziłam się go wam pokazać. Zbliżcie się, obejrzyjcie go i powiedzcie, czy wyglądamy na ludzi, co by mieli zamiar uciekać.

— Nie, zaiste — odpowiedział Wiórek, trochę zaskoczony tym niespodziewanym zaszczytem, jaki go spotkał.

— Powiedzcie więc moim zacnym i wiernym paryżanom — odezwała się znów Anna Austriaczka z uśmiechem, którego wyraz jakże był zrozumiały dla d'Artagnana — że widzieliście króla, który leżał w łóżku i spał, i królową, też już gotową do udania się na spoczynek.

— Powiem to, najjaśniejsza pani, i ci, którzy mi tu towarzyszą, także to powtórzą, ale...

— Ale co? — zapytała Anna Austriaczka.

— Niech mi wasza królewska mość wybaczy — rzekł Wiórek — ale czy to na pewno król leży w tym łóżku?

Anna Austriaczka zadrżała.

— Jeśli jest wśród was ktoś, kto zna króla — rzekła — niech się zbliży i niech powie, czy to jego królewska mość śpi w tym łóżku.

Jakiś człowiek owinięty w płaszcz, którego połą twarz sobie zasłaniał, podszedł, pochylił się nad łóżkiem i spojrzał.

D'Artagnanowi wydało się w pierwszej chwili, że ów człowiek ma niedobry zamiar, i już sięgał ręką do szpady, ale kiedy człowiek ów się pochyłał,

płaszcz odsunął się nieco, odkrywając część jego twarzy, i d'Artagnan poznał koadiutora.

— Tak, to król — rzekł ów człowiek prostując się. — Niech Bóg błogosławi jego królewską mość.

— Tak — powtórzył półgłosem dowódca — tak, niech Bóg błogosławi jego królewską mość.

I w tych ludziach, którzy weszli tu tak gniewni, gniew przemienił się w litość. Wszyscy z kolei polecili boskiej opiece królewskie dziecię.

— A teraz — odezwał się Wiórek — podziękujmy królowej, przyjaciele, i chodźmy stąd.

Wszyscy się uklonili i wyszli, tak jak weszli, po kilku i bez hałasu. Wiórek, który wszedł pierwszy, wyszedł ostatni. Królowa zatrzymała go.

— Jak się nazywasz, przyjacielu? — zapytała.

Wiórek odwrócił się, wielce zdziwiony tym pytaniem.

— Widzisz — rzekła królowa — czuję się zaszczycona twymi odwiedzinami tak samo, jakbyś był księciem, i pragnę znać twoje nazwisko.

Aha, właśnie — pomyślał sobie Wiórek — żeby mnie później potraktować jak księcia, dziękuję.

D'Artagnan drżał, żeby Wiórek, dając się wziąć na pochlebstwo jak ów kruk z bajki, nie powiedział swojego nazwiska i żeby królowa, poznawszy je, nie dowiedziała się, że Wiórek niegdyś u niego służył.

— Najjaśniejsza pani — odpowiedział z szacunkiem Wiórek — nazywam się Dulaurier — do usług waszej królewskiej mości.

— Dziękuję, panie Dulaurier — odrzekła królowa — a czym się zajmujesz?

— Najjaśniejsza pani, mam sklep z sukniem przy ulicy Bourdonnais.

— Tyle chciałam wiedzieć — rzekła królowa — wielce ci jestem zobowiązana, panie Dulaurier, jeszcze o mnie usłyszysz.

— Aha, szukaj tatka latka — szepnął d'Artagnan wychylając się zza

zasłony — trzeba przyznać, że imć Wiórek jest nie w ciemię bity, zaraz poznać, że się wychował w dobrej szkole.

Aktorzy tej niezwyklej sceny przez chwilę trwali bez słowa, tylko spoglądając na siebie, królowa stojąca przy drzwiach, d'Artagnan wyłoniony do głowy ze swej kryjówki, król oparty na łokciu i gotów znów paść na łóżko przy najlżejszym hałasie, który by wskazywał, że tłum pospólstwa wraca. Ale hałas się nie zbliżał, przeciwnie, coraz bardziej się oddalał i wreszcie całkiem ucichł.

Królowa odetchnęła; d'Artagnan otarł wilgotne czoło; król zsunął się z łóżka i rzekł:

— Jedźmy.

W tej chwili wrócił Laporte.

— I co tam? — zapytała królowa.

— Najjaśniejsza pani — odparł pokojowiec — szedłem za nimi aż do krat. Oznajmili swoim kamratom, że widzieli króla i że królowa z nimi rozmawiała, i poszli sobie precz, wielce kontenci i dumni z siebie.

— A, nędzne łotry! — szepnęła królowa. — Drogo zapłacą za zuchwalstwo, ja im to obiecuję.

Po czym zwracając się do d'Artagnana rzekła:

— Panie d'Artagnan, jeszcze nigdy nikt nie radził mi tak trafnie jak ty dzisiejszej nocy. Radź więc dalej: co mamy teraz uczynić?

— Panie Laporte — rzekł d'Artagnan — ubierz do końca króla.

— Więc możemy wyjechać? — zapytała królowa.

— Kiedy tylko zechcesz, najjaśniejsza pani. Zejdź po ukrytych schodach, czekam przed drzwiami.

— Niech pan już idzie — powiedziała królowa. — Idę za panem.

D'Artagnan zszedł na dół; kareta czekała przed drzwiami, muszkieter siedział na koźle.

D'Artagnan wziął zawiniątko, które Bernouin na jego polecenie złożył u stóp muszkietera. Był tam, jak czytelnik pamięta, kapelusz i płaszcz stangreta

pana de Gondy.

Płaszcz zarzucił sobie na ramiona, kapelusz włożył na głowę.

Muszkietier zszedł z kozła.

— Panie de Belliere — rzekł d'Artagnan — idź i uwolnij swego kolegę, który pilnuje stangreta. Potem obaj wsiądźcie na koń, zajedźcie do oberży "Pod kózką" przy ulicy Tiquetonne, weźmiecie mego konia i konia pana du Vallon, osiodłacie je jak na wojnę, wyjedziecie z Paryża, prowadząc je za uzdy, i udacie się na Cours-la-Reine. Jeśli na Cours-la-Reine nie zastaniecie już nikogo, jedźcie do Saint-Germain. Służba dla króla.

Muszkietier dotknął ręką kapelusza i odszedł, żeby wykonać otrzymane rozkazy.

D'Artagnan wlaźł na kozioł.

Miał dwa pistolety za pasem, muszkiet w nogach i gołą szpadę przy sobie.

Ukazała się królowa; za nią szedł król i księżę d'Anjou, jego brat.

— Kareta pana koadiutora! — zawołała cofając się o krok.

— Tak, najjaśniejsza pani — odrzekł d'Artagnan — ale wsiądź śmiało; ja powożę.

Królowa aż krzyknęła z podziwu i wsiadła do karety. Następnie wsiedli król i księżę i zajęli miejsca po obu stronach matki.

— Chodź, Laporcie — powiedziała królowa.

— Jakże to, najjaśniejsza pani! — rzekł pokojowiec — mam jechać w tej samej karecie co ich królewskie moście?

— Nie o dworską etykietę chodzi dzisiaj, ale o ocalenie króla. Wsiądź, Laporcie.

Laporte usłuchał.

— Trzeba spuścić zasłony w oknach — rzekł d'Artagnan.

— Ale czy się to nie wyda podejrzanę? — zapytała królowa.

— Niech wasza królewska mość będzie spokojna — odparł d'Artagnan — mam gotową odpowiedź.

Spuszczono zasłony i pojechali galopem przez ulicę Richelieu. Kiedy zbliżali się do bramy, ruszył na ich spotkanie dowódca straży na czele dwunastu ludzi. W rękę trzymał latarnię.

D'Artagnan dał mu znak, żeby podszedł bliżej.

— Poznajesz tę karete? — zapytał dowódcę straży.

— Nie — odpowiedział dowódca.

— Przyjrzyj się herbom.

Dowódca straży oświetlił drzwiczki latarnią.

— To herby pana koadiutora — powiedział.

— Ciszej, pan koadiutor spędza tam słodkie chwile z panią de Guemenee.

Dowódca straży roześmiał się.

— Otwierajcie roгатkę — rzekł. — Wiem, co to znaczy. I zbliżając się do zasłoniętego okna, zawołał:

— Życzę dużo szczęścia jego wielbności!

— A, wścibski człowieku! — krzyknął d'Artagnan. — Przepędzą mnie z twojej winy.

Brama zaskrzypiała w zawiasach, d'Artagnan, widząc przed sobą drogę wolną, silnie zaciął konie biczem i pojechali tęgim kłusem. W pięć minut później zatrzymali się obok karety kardynała.

— Muszkiet! — krzyknął d'Artagnan — otwórz drzwiczki karety jej królewskiej mości!

— To on! — rzekł Portos.

— Jako stangret! — zawołał Mazarini.

— I to w karecie koadiutora! — odezwała się królowa.

— Corpo di Dio!<sup>7</sup> panie d'Artagnan — rzekł Mazarini. — Wart jesteś tyle złota, ile ważysz.

---

<sup>7</sup> Corpo di Dio! (wł.) — Na Boga!

9. W jaki sposób d'Artagnan i Portos zarobili jeden dwieście dziewiętnaście, a drugi dwieście piętnaście ludwików na sprzedaży słomy.

Mazarini chciał natychmiast ruszać do Saint-Germain, ale królowa oświadczyła, że zaczeka na osoby, którym tu naznaczyła spotkanie. Natomiast ofiarowała kardynałowi miejsce Laporta. Kardynał przyjął je i przesiadł się z jednej karety do drugiej.

Nie bez przyczyny rozniosła się wieść, że król ma w nocy opuścić Paryż: dziesięć czy dwanaście osób znało tajemnicę tej ucieczki już od godziny szóstej po południu i choć były najbardziej godne zaufania, nie mogły wydać rozkazów dotyczących swojego wyjazdu tak, by nic z tego nie przeciekło na zewnątrz. Zresztą każda z tych osób miała jeszcze jedną czy też dwie osoby, których losy żywo ją obchodziły, a ponieważ nikt nie wątpił, że królowa, opuściwszy Paryż, zgotuje mu srogą zemstę, każdy uprzedził przyjaciół albo krewnych. Tym sposobem wieść o ucieczce rozsypywała się niby proch palny po ulicach miasta.

Pierwszą karetą, jaka nadjechała po ekwipażu królowej, była kareta jego książęcej mości. Znajdowali się w niej pan de Conde, księżna i księżna rezydentka. Obie księżne zostały zbudzone wśród nocy i pojęcia nie miały, o co chodzi.

W drugiej karecie przybył książę Orleański, księżna, księżniczka i ksiądz de La Riviere, nieodłączony faworyt i najbliższy doradca księcia.

W trzeciej przybyli pan de Longueville i książę de Conti, brat i szwagier jego książęcej mości. Wysiedli, podeszli do karety króla i królowej i złożyli swe uszanowanie jego królewskiej mości.

Królowa zajrzała w głąb karety, której drzwiczki były otwarte, i zobaczyła,

że jest pusta.

— A gdzie pani de Longueville? — zapytała.

— Rzeczywiście, gdzie moja siostra? — zapytał jego książęca mość.

— Pani de Longueville jest cierpiąca, najjaśniejsza pani — odpowiedział książę — i zleciła mi, bym przeprosił waszą królewską mość w jej imieniu.

Anna zerknęła wymownie ku Mazariniemu, kardynał odpowiedział jej nieznacznym ruchem głowy.

— Co ty na to, kardynale? — zapytała królowa.

— Cóż, paryżanie będą mieli zakładniczkę — odpowiedział kardynał.

— Dlaczego nie wyjechała? — po cichu zapytał brata jego książęca mość.

— Cicho — odpowiedział — widocznie ma swoje powody.

— Ona nas zgubi — szepnął książę.

— Ona nas ocali — rzekł de Conti.

Karety zjeżdżały się coraz liczniej. Jeden po drugim przybyli marszałek de La Meilleraie, marszałek de Villeroy, Guitaut, Villequier, Comminges; z kolei zjawili się dwaj muszkietierowie, prowadząc za uzdy konie d'Artagnana i Portosa. D'Artagnan i Portos wskoczyli na siodła. Stangret Portosa zajął miejsce Portosa i d'Artagnana na koźle królewskiej karety, Muszkiet zaś zajął miejsce Portosowego stangreta, powożąc, z przyczyn tylko jemu znanych, stojąc, co upodobniło go do starożytnego Automedona<sup>8</sup>.

Królowa, choć tak zajęta, szukała oczyma d'Artagnana, ale Gaskończyk, jak zwykle przezorny, już znikł w tłumie.

— Jedźmy przodem — rzekł do Portosa — i naszykujmy sobie w Saint-Germain przyzwoite kwatery, bo nikt się o nas nie zatroszczy. A jestem ogromnie zmęczony.

— Ja już się dosłownie przewracam, takim senny — rzekł Portos. — I pomyśleć, że obyło się bez żadnej utarczki. Zaiste, paryżanie są bardzo głupi.

— A może nie tyle oni są głupi, co my jesteśmy bardzo chytry? — rzekł

---

<sup>8</sup> Automedon — wg Iliady woźnica Achilleśa.



d'Artagnan.

— I to możliwe.

— Jak twoja ręka?

— Lepiej. Jak myślisz, chyba już tym razem dochrapaliśmy się?

— Czego?

— Ty swego stopnia, a ja swojego tytułu, co?

— Na honor, chyba tak, byłbym skłonny iść o zakład. Zresztą jeśli oni zapomną, ja im przypomnę.

— Słysząc głos królowej — rzekł Portos. — Zdaje mi się, że chce jechać wierzchem.

— Ba, ona chciałaby, ale...

— Ale co?

— Ale kardynał nie zechce. Panowie — ciągnął d'Artagnan zwracając się do muszkietarów — będziecie towarzyszyli karecie królowej. Nie odstępujcie drzwiczek. My jedziemy przygotować kwatery.

I d'Artagnan razem z Portosem pogalopowali w kierunku Saint-Germain.

— Jedźmy, panowie — odezwała się królowa.

I królewska karetka ruszyła, a za nią reszta karetek i więcej niż pięćdziesięciu jeźdźców.

Przybyli do Saint-Germain bez wypadku. Królowa, wysiadając z karetki, zobaczyła, że jego książęca mość już czeka, stojąc z odkrytą głową, żeby jej podać rękę.

— Paryżanie będą mieli śliczną niespodziankę, kiedy się obudzą — powiedziała Anna Austriaczka promieniejąc radością.

— To wojna — rzekł książę.

— Trudna rada, niech będzie wojna. Czyż nie mamy przy sobie zwycięzcy spod Rocroi, spod Nortlingen i spod Lens?

Książę uklonił się w podziękę.

Była już trzecia nad ranem. Królowa pierwsza weszła do zamku, a za nią

wszyscy; około dwustu osób towarzyszyło jej w ucieczce.

— Moi drodzy — rzekła śmiejąc się królowa — rozgoście się w zamku, jest duży, miejsca dla nikogo nie zabraknie. Ale ponieważ nas tu nie oczekiwano, dowiaduję się właśnie, że łóżka są tylko trzy, jedno dla króla, jedno dla mnie...

— I jedno dla Mazariniego — dopowiedział cicho jego książęca mość.

— A ja, czy mam spać na podłodze? — zapytał Gaston Orleański wielce zaniepokojony, choć się niby to uśmiechał.

— Nie, książę — rzekł Mazarini — trzecie łóżko jest przeznaczone dla waszej książęcej mości.

— A pan, kardynale? — zapytał książę.

— Ja się w ogóle nie położę — rzekł Mazarini. — Muszę pracować. Gaston kazał się zaprowadzić do komnaty, w której było łóżko, nie troszcząc się o to, gdzie prześpią tę noc jego żona i córka.

— Ale za to ja się kładę — rzekł d'Artagnan. — Chodźmy, Portosie.

Portos poszedł za d'Artagnanem, jak zwykle bez zastrzeżeń ufając pomysłowości przyjaciela.

Szli obok siebie przez plac zamkowy, a Portos aż oczy wytrzeszczał dziwując się, co też d'Artagnan tak oblicza zawzięcie na palcach.

— Czteryście, po pistolu za sztukę, razem czteryście pistoli.

— Racja — przytaknął Portos — czteryście pistoli, ale za co te czteryście pistoli?

— Nie, pistol to za mało — ciągnął dalej d'Artagnan — rzecz jest warta ludwika.

— Co jest warte ludwika?

— Czteryście po ludwiku, razem czteryście ludwików.

— Czteryście? — zapytał Portos.

— Tak, osób jest dwieście, a trzeba co najmniej po dwa na osobę. Licząc na osobę po dwa, będzie czteryście.

— Ale czego czterysta?

— Posłuchaj — rzekł d'Artagnan.

A że najprzeróżniejsi ludzie wylegli na plac, żeby się pogapić na przyjazd dworu, dokończył po cichu, szepcząc przyjacielowi w ucho.

— Rozumiem — rzekł Portos — jak mi Bóg miły, rozumiem znakomicie! Dla każdego dwieście ludwików, pięknie, ale co o tym powiedzą?

— Powiedzą, co się im spodoba; zresztą nikt się nie dowie, że to my.

— Ale kto się zajmie sprzedażą?

— Czy nie ma Muszkiet?

— A moja liberia? — rzekł Portos. — Poznają moją liberię.

— Przewróci kaftan do góry podszewką.

— Na wszystko znajdziesz radę, mój kochany! — zawołał Portos. — I skądże ty, u diaska, czerpiesz te swoje wszystkie pomysły?

D'Artagnan uśmiechnął się.

Dwaj przyjaciele skręcili w pierwszą z brzegu ulicę, Portos zapukał do drzwi domu z prawej strony, zaś d'Artagnan zapukał do drzwi domu z lewej strony.

— Trzeba nam słomy — powiedzieli.

— Nie mamy słomy, panowie — odrzekli ludzie, którzy im otworzyli — ale zwróćcie się do handlarza paszą.

— A gdzie mieszka handlarz paszą?

— Przy tej samej ulicy, w ostatniej bramie.

— Na prawo czy na lewo?

— Na lewo.

— A u kogo by jeszcze można dostać słomy w Saint-Germain?

— U oberżysty spod "Barana w Koronie" i u Grubego Ludwika, dzierzawcy.

— Gdzie oni mieszkają?

— Przy ulicy Ursulines.

— Obydwaj?

— Tak.

— Dobrze.

Przyjaciele kazali sobie dokładnie określić, gdzie mieszkają także i ci dwaj, po czym d'Artagnan poszedł do handlarza paszą i kupił od niego sto pięćdziesiąt snopków słomy — bo tyle było — za sumę trzech pistoli. Następnie poszedł do oberżysty, gdzie zastał Portosa, który już właśnie kupił dwieście snopków za podobną sumę. Wreszcie dzierżawca Ludwik odprzedał im snopków sto osiemdziesiąt. Zdobyli tedy razem czterysta trzydzieści snopków.

Więcej słomy w Saint-Germain nie było.

Załatwienie tych trzech transakcji zabrało im nie więcej niż pół godziny. Pouczonego należycie Muszkiet kreowano zarządcą powstałego naprędce przedsiębiorstwa. Przykazano mu, żeby ani jednego źdźbła słomy nie wypuścił z rąk poniżej ludwika za snopek, i powierzono jego pieczy snopków za czterysta trzydzieści ludwików.

Muskiet kiwał głową i nic a nic nie rozumiał z tej całej spekulacji.

D'Artagnan, objuczony trzema snopkami słomy, wrócił do zamku, gdzie wszyscy, drżąc z zimna i słaniając się z senności, zazdrośnie patrzyli na króla, królową i księcia spoczywających w połowych łózkach.

Wejście d'Artagnana do sali wywołało wybuch powszechnego śmiechu, on jednak, nawet uwagi nie zwróciwszy na te ogólne zainteresowanie się jego osobą, zaczął sobie mościć słomiane posłanie tak zręcznie, tak starannie i z taką lubością, że aż ślinka pociekła na ten widok tym sennym nieborakom, którzy nie mieli gdzie zasnąć.

— Słoma! — odezwały się wołania. — Słoma! Skąd! Skąd można dostać słomy?

— Ja zaprowadzę — ofiarował się Portos.

I poprowadził chętnych do Muszkiet, który skwapliwie rozdawał snopki po ludwiku za sztukę. Narzekano, że trochę drogo, lecz kiedy się bardzo chce

spać, któż by nie zapłacił dwóch czy czterech ludwików za kilka godzin dobrego snu?

D'Artagnan wciąż ustępował swego łóżka, które też zaczynał rozścielać aż dziesięć razy, a ponieważ mniemano, że jak wszyscy płacił po ludwiku za snopek, zgarnął trzydzieści ludwików w niespełna pół godziny. O piątej nad ranem cena słomy wzrosła do osiemdziesięciu liwrów za snopek, a i za tyle już jej nie było można dostać.

D'Artagnan przezornie odstawił dla siebie cztery snopki. Zabrał klucz od komnaty, w której je zamknął, i razem z Portosem poszli, żeby się obrachować z Muszkietem. Ów godny intendent najniewinniej w świecie wręczył im czterysta trzydzieści ludwików, a jeszcze sto zatrzymał dla siebie.

Muskiet, który nie wiedział, co się wydarzyło w zamku, nie mógł zrozumieć, dlaczego sam nie wpadł wcześniej na pomysł sprzedawania słomy.

D'Artagnan wysypał złoto do kapelusza i w powrotnej drodze rozrachował się z Portosem. Obaj zarobili po dwieście piętnaście ludwików.

Portos teraz dopiero spostrzegł się, że nie ma słomy dla siebie, wrócił więc do Muszkietu, ale Muszkiet rozprzedał wszystko do ostatniego źdźbła, nic sobie nie zostawiając.

Portos poszedł więc po ratunek do d'Artagnana, który z lubością myśląc o bliskim już odpoczynku, mościł sobie ze swych czterech snopków słomy łoże tak miękkie, z tak wygodnie podwyższonym wezgłowiem i tak szczelnie zakryte w nogach, że sam król byłby mu go pozazdrościł, gdyby nie spał tak słodko w swoim łóżku.

D'Artagnan za żadną cenę nie chciał zepsuć swojego posłania na rzecz Portosa, natomiast za cenę czterech ludwików, które mu przyjaciel wyliczył na rękę, zgodził się spać razem z nim.

Wsunął szpadę pod wezgłowie, pistolety umieścił obok siebie, położył u nóg płaszcz, na płaszczu kapelusz i wyciągnął się rozkosznie na słomie, szeleszczącej pod jego ciężarem. I kiedy już go ogarniało lube półsenne

rozmarzenie, spowodowane posiadaniem dwustu dziewiętnastu ludwików zarobionych w ciągu kwadransa, zza drzwi komnaty rozległo się wołanie, które rozbudziło go w jednej chwili.

— Pan d'Artagnan! — wołał jakiś głos. — Pan d'Artagnan!

— Tutaj! — odpowiedział Portos — tutaj!

Portos szybko pojął, że jeśli d'Artagnan pójdzie, całe łóżko dostanie się jemu.

Wszedł jakiś oficer.

D'Artagnan podniósł się na łokciu.

— Czy to pan jest panem d'Artagnanem? — zapytał oficer.

— Tak, panie, a o co chodzi?

— Przysłano mnie po pana.

— Kto przysłał?

— Jego eminencja.

— Niech pan odpowie jego eminencji, że idę spać i że radzę mu po przyjaźni, żeby zrobił to samo.

— Jego eminencja nie położył się i nie położy się tej nocy i prosił, żeby pan natychmiast przyszedł.

— A żeby zaraza udusiła tego Mazariniego, który nie umie spać we właściwym czasie! — szepnął d'Artagnan. — Po co on mnie wzywa? Żeby mnie zrobić kapitanem? W takim razie przebaczam mu.

— Chciałbym go zachować jako pamiątkę od jego eminencji. Mazarini westchnął.

— W Anglii wydaje się dużo, eminencjo, a szczególnie będąc posłem

nadzwyczajnym.

— O, Anglicy to ludzie wielce umiarkowani, którzy od czasu rewolucji żyją w surowej prostocie — rzekł Mazarini. — Ale co robić, trudno.

Otworzył szufladę i wyjął z niej sakiewkę.

— Co powiesz o tysiącu talarów? D'Artagnan wydał dolną wargę.

— Powiem, eminencjo, że to mało, bo zapewne nie pojedę sam.

— Właśnie, i ja także liczę, że pan du Vallon, zacny szlachcic, zechce ci towarzyszyć — odparł Mazarini. — Wiedz bowiem, że jest to człowiek, którego w całej Francji najbardziej kocham i szanuję, po tobie oczywiście, mój kochany panie d'Artagnan. '

— Tym bardziej więc, eminencjo — rzekł d'Artagnan, wskazując na sakiewkę, której Mazarini wciąż jeszcze nie opuszczał z ręki — jeśli tak szczerze go kochasz i cenisz, zrozumiesz...

— Niech będzie! Przez wzgląd na niego dodam dwieście talarów.

— Sknero! — mruknął d'Artagnan. — Ale po powrocie — dodał głośno — chyba będziemy mogli liczyć pan Portos na swoją baronię, a ja na swój stopień?

— Słowo Mazariniego.

Wolałbym mieć czyjeś inne słowo — rzekł sobie po cichu d'Artagnan. Po czym zapytał głośno: — Czy mógłbym przed wyjazdem złożyć uszanowanie jej królewskiej mości?

— Jej królewska mość śpi — odparł spiesznie Mazarini — a pan musisz bezzwłocznie wyruszyć. Idź już, panie d'Artagnan.

— Jeszcze słowo, eminencjo: jeśli będą się bić tam, gdzie jadę, czy' mam się bić?

— Zrobisz to, co ci rozkaże osoba, do której cię posyłam.

— Dobrze, eminencjo — odparł d'Artagnan wyciągając rękę po sakiewkę — więc żegnaj.

D'Artagnan wolno władował sakiewkę do swojej obszernej kieszeni, po czym zwrócił się do oficera:

— Panie — rzekł — zechciej, proszę, obudzić z kolei na rozkaz jego eminencji pana du Vallon i rzec mu, że czekam na niego w stajniach.

Oficer wyszedł z pośpiechem, który się wydał d'Artagnanowi nie bezinteresowny.

Portos, wygodnie ułożywszy się z kolei na posłaniu, już zaczynał wedle swego zwyczaju dźwięcznie chrapać, kiedy uczuł, że ktoś go trąca w ramię. Wydało mu się, że to d'Artagnan, więc się nie ruszył.

— Z rozkazu kardynała! — rzekł oficer.

— Co? — zapytał Portos otwierając zaspane oczy. — Co pan mówi?

— Mówię, że jego eminencja wysyła pana do Anglii i że pan d'Artagnan czeka w stajniach.

Portos głęboko westchnął, wstał, wziął kapelusz, pistolety, szpadę i płaszcz i wyszedł, rzucając spojrzenie pełne żalu na łóżko, w którym obiecywał sobie tak dobrze się wyspać.

Ledwie się odwrócił, oficer już leżał na posłaniu, a zanim zdążył przekroczyć próg drzwi, jego spadkobierca zachrapał z kolei tak, że aż się ściany zatrzęśły. Rzecz tym łatwiej zrozumiała, że był on jedynym człowiekiem w tym zacnym gronie, wyjąwszy króla, królową i pana Gastona Orleańskiego, który spał darmo.



## 10. Przychodzą wiadomości o Atosie i Aramisie

D'Artagnan poszedł prosto do stajni. Właśnie zaczęło świtać. Odszukał swego konia i konia Portosa; stały przywiązane do drabin, lecz za drabinami było pusto. Żał mu się zrobiło nieszczęsnych zwierząt, poszedł więc w kąt stajni, gdzie dojrzał nieco słomy, która jakimś cudem ocalała z nocnej grabieży. Lecz kiedy ją zagarnął nogą, natrafił czubkiem buta na jakieś miękkie ciało, które, widocznie trącone w jakieś czułe miejsce, krzyknęło, dźwignęło się i uklęknęło, trąc sobie oczy. Był to Muszkiet. Nie zostało dla niego słomy, więc urządził sobie posłanie ze słomy odebranej koniom.

— Muszkiet! — rzekł d'Artagnan — wstawaj, ruszamy w drogę! Muszkiet, poznawszy głos przyjaciela swego pana, wstał spiesźnie, a wstając upuścił kilka ludwików, nieprawnie zarobionych w nocy.

— Oho! — rzekł d'Artagnan, podnosząc jednego ludwika i wachając go — dziwnie pachnie to złoto, zdaje mi się, że słomą.

Muszkiet zaczerwienił się tak uczciwie i tak bardzo się zmieszał, że Gaskończyk roześmiał się i rzekł mu:

— Portos wpadłby we wściekłość, mój kochany panie Musz, aleja ci wybaczam. Pamiętajmy tylko, że to złoto ma być driakwią na naszą ranę, mój -chwacie. No, nie martw się, dalej, do roboty.

Muszkietowi natychmiast rozjaśniło się oblicze, ochoczo osiodłał konia własnego pana i nie stękając zbyt, dosiadł swego wierzchowca.

Tymczasem zjawił się Portos z wielce posępnym obliczem i zdumiał się niezmiernie, widząc, że d'Artagnan jest zrezygnowany, a Muszkiet niemal wesół.

— No i co? — zapytał. — Czy jesteś wreszcie kapitanem, a ja baronem?

— Właśnie jedziemy po patenty — odparł d'Artagnan — a Mazarini je

nam podpisze, jak wrócimy.

— A dokąd jedziemy? — zapytał Portos.

— Najpierw do Paryża — odpowiedział d'Artagnan. — Muszę tam uregulować kilka spraw.

— Jedźmy do Paryża — rzekł Portos. I pojechali obaj do Paryża.

Kiedy dojechali do bram miasta, zdumiał ich groźny wygląd stolicy. Lud, zebrany wokół połamanej na kawałki karety, wrzeszczał złorzecząc, osoby zaś, które chciały uciec, czyli starzec i dwie kobiety, zostały uwięzione przez straż.

Lecz kiedy d'Artagnan i Portos zażądali, przeciwnie, żeby ich wpuścić, urządzono im istną owację. Sądzone, że zdezerterowali ze stronnictwa królowej, i chciano ich sobie zjednać.

— Co robi król? — pytano.

— Śpi.

— A Hiszpanka?

— Śni.

— A przekłety Włoch?

— Czuwa. Więc trzymajcie się, bo jeśli wyjechali, to na pewno wiedzieli po co. Ale że w ostatecznym obrachunku wy na pewno jesteście silniejsi — ciągnął dalej d'Artagnan — nie znęcajcie się nad starcami i kobietami, ale zabierzcie się do rzeczywistych wrogów.

Lud z przyjemnością wysłuchał tych słów i puścił wolno damy, które podziękowały d'Artagnanowi wymownym spojrzeniem.

— Teraz naprzód! — rzekł d'Artagnan.

I pojechali dalej, przeprawiając się przez barykady, przeskakując przez łańcuchy. Wszyscy ich zaczepiali, wszyscy ich wypytywali, a oni też wypytywali o wszystko.

Na placu przed Palais-Royal d'Artagnan ujrzał sierżanta uczącego musztry pięciuset czy sześciuset mieszczan: był to Wiórek, który spożytkował na rzecz pachółków miejskich swoje wspomnienia z piemonckiego pułku.

Przechodząc koło d'Artagnana, poznał swego dawnego chlebobawcę.

— Dzień dobry, panie d'Artagnan — rzekł z dumną miną Wiórek.

— Dzień dobry, panie Dulaurier — odpowiedział d'Artagnan. Wiórek stanął jak wryty i wytrzeszczał oczy na d'Artagnana; pierwszy szereg widząc, że dowódca zatrzymał się, też przystanął, a za nim drugi, trzeci i wszystkie, aż do ostatniego.

— Okropnie pocieszni ludziska z tych mieszczan! — rzekł d'Artagnan do Portosa.

I pojechał dalej.

W pięć minut później zeskakiwał z konia przed gospodą "Pod Kózką".

Piękna Magdalena wybiegła mu na spotkanie.

— Droga pani Turquaine — rzekł d'Artagnan — jeżeli masz pieniądze, zakop je, a prędko, jeżeli masz klejnoty, ukryj je, i to zaraz, jeżeli masz dłużników, ściągnij od nich należności, jeżeli masz wierzycieli, nie płac im.

— A to dlaczego? — zapytała Magdalena.

— Bo Paryż zostanie obrócony w perzynę, jak nie przymierzając Babilon, o którym to mieście słyszałaś zapewne.

— A pan mnie opuszcza w takiej chwili?

— Tak, i to zaraz — odrzekł d'Artagnan.

— Dokąd pan jedzie?

— Ech, gdybyś mi to mogła powiedzieć, moja duszko, wyświadczyłabyś mi nieocenioną usługę.

— O mój Boże, mój Boże!

— Czy masz dla mnie listy? — zapytał d'Artagnan, ruchem ręki dając poznać swojej gospodyni, że może sobie oszczędzić lamentów, ponieważ nie zdadzą się na nic.

— Jest jeden list, który dopiero co przyniesiono.

I podała d'Artagnanowi list.

— Od Atosa! — zawołał d'Artagnan, poznając wprawne i piękne pismo

przyjaciela.

— O! — rzekł Portos — zajrzyjmy, co też pisze.

D'Artagnan otworzył list i przeczytał:

*Drogi d'Artagnanie, drogi du Vallon, moi mili przyjaciele Być może po raz ostatni otrzymujecie wiadomości ode mnie. Obaj z Aramisem popadliśmy w wielkie nieszczęście, ale podtrzymuje nas Bóg, odwaga i wspomnienie naszej przyjaźni. Pamiętajcie o Raulu. Polecam Waszej opiece dokumenty, które są w Blois. Jeślibyście w ciągu dwu i pół miesiąca nie mieli od nas wieści, zapoznajcie się z ich treścią. Uściskajcie z całego serca wicehrabiego w zastępstwie oddanego Warn przyjaciela*

*Atosa*

— Pewnie, że go uściskam, do kaduka! — rzekł d'Artagnan. — Tym bardziej że będzie to nam po drodze. A jeżeli zdarzy mu się nieszczęście utracić naszego biednego Atosa, zostanie z tym dniem moim synem.

— Ja zaś — rzekł Portos — zrobię go swoim całkowitym spadkobiercą.

— Zobaczymy, co jeszcze pisze Atos.

*Jeślibyście się gdzieś natknęli na niejakiego pana Mordaunt, strzeżcie się go. Więcej nie mogę powiedzieć w liście.*

— Pan Mordaunt! — rzekł ze zdziwieniem d'Artagnan.

— Pan Mordaunt, dobrze zapamiętam to nazwisko — rzekł Portos. — Ale spójrz, jest jeszcze dopisek Aramisa.

— Rzeczywiście — rzekł d'Artagnan.

I przeczytał:

*Nie zdradzamy Warn miejsca naszego pobytu, Drodzy  
Przyjaciele, bo znamy Wasze braterskie do nas przywiązanie i dobrze  
wiemy, że przybylibyście, by razem z nami zginąć.*

— Do kroćset! — przerwał mu Portos, a tak potężny gniew buchnął z tego okrzyku, że Muszkiet aż podskoczył w przeciwległym kącie pokoju — czyżby im groziła śmierć?

D'Artagnan czytał dalej:

*Atos przekazuje Ci Raula, ja Ci przekazuję zemstę. Jeśli uda Ci  
się, szczęśliwym trafem, spotkać niejakiego Mordaunt, powiedz  
Portosowi, żeby go odprowadził gdzie na bok i żeby mu skręcił kark.  
Więcej nie mogę Warn napisać w liście.*

*Aramis*

— Jeśli tylko o to idzie — rzekł Portos — rzecz jest nietrudna.

— Przeciwnie — odezwał się posepnie d'Artagnan — rzecz jest niemożliwa.

— A to dlaczego?

— Bo właśnie z owym Mordaunt mamy się spotkać w Boulogne i potem przeprowadzić do Anglii.

— A gdybyśmy tak, miast jechać do owego Mordaunta, pojechali do naszych przyjaciół? — odezwał się Portos czyniąc gest, który mógłby przerazić całą armię.

— Też o tym pomyślałem — odparł d'Artagnan — ale list nie ma ani daty, ani pieczęci.

— Prawda — rzekł Portos.

I zaczął przemierzać krokami pokój jak człowiek, który od zmysłów odchodzi, gestykułując i co chwila dobywając szpady z pochwy do jednej

trzeciej długości.

D'Artagnan natomiast stał jak człowiek, którego poraził cios, a na twarzy jego malowało się głębokie strapienie.

— O, to źle — powtarzał — Atos obraża nas; chce zginąć bez nas, to źle.

Muskiet, widząc rozpacz ich obu, zalał się łzami w swoim kącie.

— Dość — rzekł d'Artagnan. — To się nie zda na nic. Jedźmy uściskać Raula, jak postanowiliśmy. Może on ma wieści od Atosa.

— Przednia myśl — rzekł Portos. — Doprawdy, mój kochany d'Artagnanie, jak ty to robisz — nie wiem, ale zawsze wpadniesz na dobry pomysł. Jedźmy uściskać Raula.

— Biada temu, co by w tej chwili spojrział krzywo na mojego pana — rzekł sobie Muskiet. — Nie dałbym złamanego szeląga za jego skórę.

Wsiedli na koń i pojechali. Dojechawszy do ulicy Saint-Denis, napotkali wielkie zbiegowisko gawiedzi. Okazało się, że koadiutor pokazuje zachwyconym i rozradowanym paryżanom pana de Beaufort, który właśnie powrócił z Vendómois.

Mając ze sobą pana de Beaufort, lud paryski nabrał przeświadczenia, że nikt go nie zwycięży.

Dwaj przyjaciele skręcili w boczną uliczkę, żeby się nie spotkać z księciem, i dojechali nią do roгатki Saint-Denis.

— Czy to prawda — zapytały jeźdźców straże — że pan de Beaufort przybył do Paryża?

— Prawda najszczerza — odparł d'Artagnan — a jej dowodem to, że wysłała nas właśnie na spotkanie panu de Vendôme, swemu ojcu, który też ma wkrótce nadjechać.

— Niech żyje pan de Beaufort! — zakrzyknęły straże.

I rozstąpiły się z szacunkiem, żeby przepuścić wysłanników potężnego księcia.

Znalazłszy się za roгатką, ci dwaj ludzie, nie znający, co zmęczenie i

zniechęcenie, puścili się w drogę, pożerając przestrzeń; ich konie mknęły lotem strzał, a oni wciąż rozmawiali o Atosie i Aramisie.

Muskiet cierpiał wszystkie męki, jakie tylko można sobie wyobrazić, lecz jako służący doskonały, pocieszał się myślą, że jego dwaj panowie też cierpią srodze, chociaż w inny sposób. Bowiem uważał już d'Artagnana za swego drugiego pana, a rozkazy jego wypełniał nawet jeszcze skwapliwiej i dokładniej niż rozkazy Portosa.

Obóz znajdował się między Saint-Omer i Lambe. Dwaj przyjaciele, nadkładając drogi, zboczyli do obozu i przywieźli dokładne wieści o ucieczce króla i królowej, o czym głuche słuchy już dotarły do żołnierzy. Raula zastali przed namiotem. Leżał na sianie, a jego koń podskubywał je ukradkiem. Młodzieniec miał zaczerwienione oczy i wydawał się wielce przygnębiony. Marszałek de Grammont i hrabia de Guiche wrócili do Paryża i biedny chłopiec został zupełnie sam.

Po chwili Raul podniósł wzrok i ujrzał dwóch jeźdźców, którzy mu się przypatrywali. Poznał ich i pobiegł ku nim, otwierając ramiona.

— Ach, to wy, drodzy przyjaciele! — zawołał. — Czy przybywacie po mnie? Czy mnie zabierzecie ze sobą? Czy przywozicie mi wieści od mego opiekuna?

— Czyżbyś nie miał wieści od niego? — zapytał d'Artagnan.

— Niestety, nie mam, panie, i naprawdę nie wiem, co się z nim stało. Przez to, och, przez to jestem taki niespokojny, że nieraz aż płacę.

Rzeczywiście, dwie wielkie łzy spłynęły po ogorzałych policzkach młodzieńca.

Portos odwrócił głowę, żeby Raul nie wyczytał z jego pocziwego, tłustego oblicza, co się dzieje w jego sercu.

— Cóż, u licha! — rzekł d'Artagnan, wzruszony, jak mu się to od dawna nie zdarzyło — nie wpadaj w desperację, przyjacielu. Wprawdzie ty nie masz listu od hrabiego, za to my mamy list... mamy list...

— Naprawdę?! — zawołał Raul.

— I to nawet wielce pomyślny — dodał d'Artagnan widząc radość, jaką sprawiła młodzieńcowi ta nowina.

— Ma pan ten list? — zapytał Raul.

— Tak, to znaczy, miałem go — rzekł d'Artagnan udając, że szuka. — Zaczekaj, powinien być o tu, w tej kieszeni. Pisz, że niedługo wróci, prawda, Portosie?

D'Artagnan, choć Gaskończyk, nie chciał sam jeden dźwigać ciężaru tego kłamstwa.

— Tak — rzekł Portos odchrząknawszy.

— Niech pan mi pokaże ten list — prosił młodzieniec.

— Ojoj, jeszcze niedawno go czytałem. Czyżbym go zgubił? A, do licha, kieszeń jest dziurawa!

— Tak, panie Raulu, tak — odezwał się Muszkiet — list był bardzo pocieszający. Jak mi panowie czytali, to ażem się popłakał z radości.

— Ale czy pan chociaż wie, gdzie jest hrabia, panie d'Artagnan? — zapytał Raul, któremu twarz zaczynała się rozjaśniać.

— Jakże by! — odparł d'Artagnan. — Pewnie że wiem, do kaduka! Ale to tajemnica.

— Nie dla mnie, spodziewam się.

— Nie, nie dla ciebie, toteż powiem ci, gdzie jest.

Portos wlepił zdumiony wzrok w d'Artagnana.

— Co by tu mu, u licha, powiedzieć, żeby przypadkiem nie spróbował się tam wypuścić na poszukiwanie Atosa? — mruknął d'Artagnan.

— Gdzie więc jest, panie? — zapytał cichym, proszącym głosem Raul.

— Jest w Konstantynopolu.

— U Turków! — zawołał przerażony Raul. — Dobry Boże, co też pan mówi!

— Czyżbyś się przeląkł? — odparł d'Artagnan. — Et, Turcy to fraszka dla



takich ludzi jak hrabia de La Fere i ksiądz d'Herblay.

— O, więc jego przyjaciel jest razem z nim? — rzekł Raul — to mnie trochę uspokaja.

Istny szatan z tego d'Artagnana. Ależ on ma dowcip! — mówił sobie Portos, olśniony pomysłowością przyjaciela.

— A teraz — rzekł d'Artagnan, któremu spieszno już było zmienić temat rozmowy — weź te pięćdziesiąt pistołów, które hrabia przysłał dla ciebie razem z listem. Podejrzewam, że nie masz już pieniędzy i że ci się mocno przydadzą.

— Mam jeszcze dwadzieścia pistołów, panie.

— To nic, bierz, będziesz miał razem siedemdziesiąt.

— A jeśli chciałbyś więcej... — rzekł Portos sięgając ręką w zanadrze.

— Dziękuję — powiedział rumieniając się Raul. — Dziękuję panu stokrotnie.

W tym momencie na widnokręgu pojawił się Olivain.

— Aha, właśnie — rzekł d'Artagnan tak, żeby go służący słyszał — czyś kontent z Olivaina?

— Owszem, w miarę.

Olivain udał, że nie usłyszał, i wszedł do namiotu.

— Co masz temu hultajowi do zarzucenia?

— Jest łakomy — rzekł Raul.

— Och, panie! — odezwał się Olivain, wyłaniając się spod namiotu na dźwięk tego oskarżenia.

— Jest po trosze złodziej.

— Och, och, panie.

— A przede wszystkim jest straszny tchórz.

— Och, och, och, pan mnie zniesławia! — rzekł Olivain.

— Do pioruna! — odezwał się d'Artagnan — dowiedz się, imć Olivainie, że tchórze nie mogą służyć u takich, jak my, panów. Podkradaj swojego pana, wyjadaj mu konfitury i spijaj wino, ale nie bądź tchórzem, niech cię ręka boska

broni, bo ci uszy poobcinam. Spójrz na pana Muszkiet, poproś, żeby ci pokazał zaszczytne rany, jakie otrzymał w naszej służbie, i zobacz, ile godności dodało jego obliczu męstwo.

Muszkiet znalazł się w siódmym niebie i chętnie uściskałby d'Artagnana, ale nie śmiał. Natomiast poprzysiął sobie, że się da za niego posiekać, jeśli się nadarzy okazja.

— Odpraw tego hultaja, Raulu — mówił dalej d'Artagnan — gdyż jeśli jest tchórzem, pewnego dnia na pewno okryje się sromotą.

— Mój pan mówi, żeś tchórz — zawołał Olivain — bo niedawno chciał się bić z jednym kornetem z pułku pana de Grammont, a ja nie chciałem mu towarzyszyć.

— Panie Olivain, służącemu nie wolno nie słuchać swego pana — rzekł surowo d'Artagnan.

Po czym odprowadził go na bok.

— Dobrześ zrobił — rzekł — jeśli twój pan nie miał racji, i masz tu talara. Ale jeśli go kto obraził, masz się dać pokrajać na ćwierci stając obok niego albo ci język obetnę i wytrę ci nim gębę. To sobie zapamiętaj.

Olivain skłonił się i włożył talara do kieszeni.

— A teraz, drogi Raulu — rzekł d'Artagnan — jedziemy obaj z panem du Vallon, bo jesteśmy wysłani. Do kogo — powiedzieć ci nie mogę, bo sam tego nie wiem; ale jeśli byś czego potrzebował, pisz do pani Magdy Turquaine, gospoda "Pod Kózką", ulica Tiquetonne, i ciągnij z tej kasy jak od bankiera. Ale nie przeholuj, muszę cię bowiem uprzedzić, że jednak nie jest tak pełna jak kasa pana d'Emery.

I uściskawszy swego tymczasowego pupila, przekazał go w potężne ramiona Portosa, które go dźwignęły z ziemi i przez chwilę przytrzymały na zacnym sercu groźnego olbrzyma.

— Jedźmy — rzekł d'Artagnan. — W drogę.

I pojechali do Boulogne, gdzie zatrzymali pod wieczór konie, mokre od

potu i białe od piany.

Nie opodał miejsca, w którym przystanęli na krótki odpoczynek przed wjazdem do miasta, stał młody, czarno odziany mężczyzna, który najwidoczniej na kogoś tu czekał i który, odkąd zoczył przybyłych, nie spuszczał z nich wzroku.

D'Artagnan zbliżył się doń, a widząc, że nie odrywa spojrzenia od jego osoby, rzekł:

— Hej, przyjacielu, nie lubię, żeby się ktoś tak na mnie gapił!

— Panie — rzekł młodzieniec, nie odpowiadając na zaczepkę — czy nie przybywa pan z Paryża?

D'Artagnan pomyślał sobie, że nieznajomy może po prostu jest ciekawy nowin ze stolicy.

— Tak, panie — odpowiedział nieco łagodniejszym tonem.

— Czy masz się pan zatrzymać “Pod Herbami Anglii”?

— Tak, panie.

— Czy nie przybywasz pan w poselstwie od jego eminencji pana kardynała Mazariniego?

— Tak, panie.

— W takim razie — rzekł młodzieniec — szuka pan mnie. Nazywam się Mordaunt.

— Aha! — rzekł sobie po cichu d'Artagnan — to przed nim mnie ostrzega Atos.

— Aha! — szepnął Portos — to jego mi kazał udusić Aramis.

Obydwaj uważnie spojrzeli na młodzieńca.

On zaś mylnie zrozumiał znaczenie ich spojrzeń.

— Czyżbyście nie ufali memu słowu? — zapytał. — W takim razie jestem gotów dostarczyć wam wszelkich dowodów.

— Nie, panie — rzekł d'Artagnan — wierzymy ci, mów, co nam wypada dalej czynić.

— To dobrze — rzekł Mordaunt. — Jedziemy natychmiast, panowie, bo dziś właśnie mija ostatni dzień zwłoki, której zażądał ode mnie kardynał. Mój statek jest gotowy i gdybyście się nie zjawili, byłbym odpłynął sam, gdyż generał Oliver Cromwell pewnie już niecierpliwie wyczekuje mojego powrotu.

— Proszę — rzekł d'Artagnan — więc jesteście wysłani do generała Olivera Cromwella?

— Czyż nie macie listu do niego? — zapytał młodzieniec.

— Mam list w podwójnej kopercie, którą rozerwać powinienem dopiero w Londynie. Ale skoroś mi pan powiedział, do kogo jest list, nie ma po co zwlekać tak długo.

I d'Artagnan rozerwał kopertę. Ukazał się adres:

*Do pana Olivera Cromwella, generała wojsk narodu  
angielskiego.*

— O! — rzekł d'Artagnan — niezwykle zlecenie.

— Któż to taki, ów Oliver Cromwell? — zapytał po cichu Portos.

— Dawny piwowar — odpowiedział d'Artagnan.

— Czyżby Mazarini chciał zarobić na sprzedaży piwa, jak my zarobiliśmy na sprzedaży słomy? — zapytał Portos.

— Prędzej, prędzej, panowie — rzekł niecierpliwie Mordaunt. — Jedźmy.

— Jak to, bez wieczerzy? — rzekł Portos. — Czy pan Cromwell nie może trochę poczekać?

— Owszem, ale ja nie mogę.

— Pan? — zapytał Portos. — A pan niby co?

— Śpieszy mi się.

— Ba, to, że się panu śpieszy, mnie nie obchodzi — rzekł Portos — i zjem wieczerzę z pańskim pozwoleniem albo bez pańskiego pozwolenia.

Przygaszone oczy młodzieńca zajarzyły się i już się wydawały gotowe

cisnąć błyskawicę, ale się pohamował.

— Panie Mordaunt — odezwał się d'Artagnan — trzeba wybaczyć zgłodniałym podróżnym. Zresztą nasza wieczerza nie o wiele opóźni pański odjazd. Pojedziemy klusem do oberży. Niech pan już rusza piechotą do portu, my przekasimy byle co i staniemy tam w tym samym czasie co i pan.

— Róbcie, co się wam żywnie podoba, panowie, byleśmy wyjechali — rzekł Mordaunt.

— Chwała Bogu! — mruknął Portos.

— Nazwa statku? — zapytał d'Artagnan,

— “Standard”.

— Dobrze. Za pół godziny będziemy na wybrzeżu.

I spiąwszy konie ostrogami, pognali ku oberży “Pod Herbami Anglii”.

— No i co powiesz o tym młodzieńcu? — zapytał galopując d'Artagnan.

— Powiem, że mi się nie podoba — odparł Portos — i że aż mnie świerzbiło, żeby pójść za radą Aramis.

— Przed tym broń cię Boże, drogi Portosie, ten człowiek jest wysłannikiem generała Cromwella i sędzę, nie najlepiej by nas przyjęto, gdybyśmy się zjawili u niego z wiadomością, żeśmy skręcili kark jego zausznikowi.

— Jak chcesz — rzekł Portos. — Ja przekonałem się, że Aramis zawsze dobrze radzi.

— Posłuchaj — rzekł d'Artagnan — kiedy nasze poselstwo się skończy...

— To co wtedy?

— Jeśli będzie nas odwoził do Francji...

— To co wtedy?

— Wtedy się zobaczy.

Na tym rozmowa urwała się, bo dwaj przyjaciele przybyli do oberży “Pod Herbami Anglii” i z wielkim smakiem zjedli wieczerzę; po czym nie zwlekając udali się do portu. Bryg czekał, gotów do odpłynięcia; po jego pokładzie niecierpliwie przechadzał się Mordaunt.

— Nie do wiary — mówił d'Artagnan, kiedy płynęli łodzią do "Standardu"  
— nie do wiary, jak mi ten młodzieniec przypomina kogoś, kogo znałem, ale kogo? Nie umiem powiedzieć.

Przybyli do schodków i w chwilę potem znaleźli się na statku.

Lecz załadunek koni trwał dłużej niż załadunek ludzi i bryg dopiero o ósmej wieczorem mógł podnieść kotwicę.

Mordaunt nie mógł ustać w miejscu, tak się niecierpliwił, i rozkazał, żeby natychmiast wciągnąć żagle na maszty.

Portos, zmordowany trzema bezsennymi nocami i siedemdziesięcioma milami przebytymi na siodle, odszedł do swojej kajuty i zasnął.

D'Artagnan, pokonując odrazę, jaką czuł do Mordaunta; przechadzał się razem z nim po pokładzie i plótł, co mu ślina na język przyniosła, żeby go nakłonić do rozmowy.

Muskiet cierpiał na morską chorobę.

*Szkot dla grosza marnego  
sprzedał króla swego*

Teraz zaś już czas, żeby czytelnik porzucił pokład "Standardu", płynącego spokojnie nie do Londynu, jak mniemali d'Artagnan i Portos, ale do Durham, bo tam polecono się udać Mordauntowi w listach, które otrzymał z Anglii podczas pobytu w Boulogne, i żeby poszedł wraz z nami do królewskiego obozu, położonego nad rzeką Tyne, w pobliżu miasta Newcastle.

To tam, między dwiema rzekami, już na granicy Szkocji, ale jeszcze na ziemi angielskiej, stoją namioty wielkiej armii. Jest północ. Ludzie, których po gołych kolanach, krótkich spódniczkach, pstrych pledach i piórach zdobiących czapki nietrudno rozpoznać jako szkockich górali, niedbale pełnią wartę. Księżyc, przesuwając się za gęstymi chmurami, ilekroć na swej drodze znajdzie jakąś szparę w obłokach, oświetla muszkiety wartowników i ukazuje wyraźnie kontury murów, dachów i wież miasta, które Karol I oddał był właśnie wojskom parlamentu, tak samo jak Oxford i Newart, które jeszcze trzymały z nim spodziewając się ugody.

Na jednym z krańców obozu, obok ogromnego namiotu, pełnego szkockich oficerów odbywających tam coś na podobieństwo narady, której przewodził stary hrabia de Loeven, ich wódz, jakiś mężczyzna w stroju do konnej jazdy śpi, leżąc na murawie i ściskając szpadę w prawej ręce.

O jakie pięćdziesiąt kroków dalej drugi mężczyzna, też w strój do konnej jazdy odziany, gawędzi ze szkockim wartownikiem; i dobrze widać, choć cudzoziemiec, oswojony z językiem angielskim, pilnie wsłuchuje się w odpowiedzi Szkota, mówiącego dialektem hrabstwa Perth.

Kiedy zegary miasta .Newcastle wybiły godzinę pierwszą, śpiący otworzył oczy i wykonawszy wszystkie gesty człowieka budzącego się z głębokiego snu, rozejrzał się uważnie dokoła. Przekonawszy się, że jest sam, wstał i okrążając trawnik, przeszedł obok kawalera, który gawędził z wartownikiem. Ten zaś widocznie wszystkiego już się dowiedział, gdyż po chwili pożegnał się ze Szkotem i jak gdyby bez specjalnego zamiaru poszedł w tę samą stronę, w której znikł był pierwszy kawaler.

Tamten czekał na niego, ukryty w cieniu stojącego im na drodze namiotu.

— Więc co, drogi przyjacielu? — zapytał najczystszy francuskim językiem, jakim się kiedykolwiek odezwano od Rouen aż po Tours.

— To, mój drogi, że nie ma czasu do stracenia i że trzeba zawiadomić króla.

— Cóż takiego się dzieje?

— Za długo byłoby mówić; zresztą i tak za chwilę wszystkiego się dowiesz. Każde słowo wymówione tutaj grozi zgubą. Chodźmy do milorda de Wintera.

I poszli obaj w przeciwną stronę obozu, a że cała jego powierzchnia nie miała więcej niż pięćset stóp kwadratowych, szybko stanęli przed namiotem tego, którego szukali.

— Czy twój pan śpi, Tony? — zapytał po angielsku jeden z kawalerów służącego, który leżał na posłaniu w pierwszej części namiotu, będącej niby przedpokojem.

— Nie, panie hrabio — odpowiedział służący — chyba jeszcze nie śpi albo od bardzo niedawna, bo rozstawszy się z królem, przez dobre dwie godziny nic tylko chodził i chodził, i jego kroki ucichły zaledwie z dziesięć minut temu. Zresztą — dorzucił służący uchylając zasłony namiotu — możecie się panowie sami przekonać.

Rzeczywiście, de Winter siedział przy otworze zastępującym okno, przez który przedostawało się do wnętrza orzeźwiające powietrze nocy, i smętnie



śledził oczyma księżyc wędrujący, jak to już rzekliśmy przed chwilą, wśród gęstych, czarnych chmur.

Dwaj przyjaciele zbliżyli się do de Wintera, który wpatrywał się w niebo oparłszy głowę na rękę. Nie usłyszał, że podchodzą, i siedział w tej samej pozycji, póki nie uczył, że ktoś kładzie mu dłoń na ramieniu. Wtedy odwrócił się, poznał Atosa i Aramisa i przywitał się z nimi.

— Czy zauważyliście — rzekł do nich — jaką krwawą barwę ma księżyc dzisiejszej nocy?

— Nie — odrzekł Atos — wydaje mi się taki jak zwykle.

— Ależ spójrz, kawalerze — rzekł de Winter.

— Wyznam panu — powiedział Aramis — że jak i hrabia de La Fere, nie dostrzegam w nim nic osobliwego.

— Hrabio — rzekł Atos — w położeniu tak niepewnym, jak jest nasze, trzeba przyglądać się uważnie ziemi, a nie niebu. Czy przyjrzałeś się naszym Szkotom i czy jesteś ich pewny?

— Szkotom? — zapytał de Winter. — Jakim znów Szkotom?

— Ano naszym, do kroćset! — odparł Atos — tym, którym król zaufał swą swobodę, Szkotom hrabiego de Loeven.

— Nie — rzekł de Winter.

Po czym znów się odezwał:

— Proszę, powiedzcie mi, czy nie widzicie, jak ja, że całe niebo zasnuło się czerwonym blaskiem?

— Nie widzimy tego — odparli równocześnie Atos i Aramis.

— Powiedzcie mi — ciągnął de Winter, tylko tą jedną myślą owładnięty — czy prawdą jest, co mówią we Francji, jakoby Henryk IV, w wilię dnia, w którym został zamordowany, widział plamy krwi na szachownicy, grając w szachy z panem de Bassompierre?

— Tak — odparł Atos — mnie samemu nieraz o tym marszałek opowiadał.

— Więc to prawda! — szapnął de Winter. — I nazajutrz Henryk IV został

zabity.

— Ale jaki związek z tobą, hrabio, może mieć to przewidywanie Henryka IV? — zapytał Aramis.

— Żadnego, panowie, i rzeczywiście, chyba rozum stracił rozmawiając z wami o takich rzeczach, kiedy wasze zjawienie się o tej porze w moim namiocie świadczy, że przychodzicie zapewne z jakąś ważną nowiną.

— Tak, milordzie — rzekł Atos — chciałbym mówić z królem.

— Z królem? Ależ król śpi.

— Mam dla niego ważną i pilną wiadomość.

— Czy nie można by jej odłożyć do jutra?

— Król musi się o wszystkim dowiedzieć natychmiast, może zresztą i tak już jest za późno.

— Więc wejdźmy, panowie — rzekł de Winter.

Namiot de Wintera stał tuż obok królewskiego; łączyło je coś na kształt korytarza. Korytarza tego pilnował nie wartownik, ale zaufany pokojowiec Karola I, aby w nagłej potrzebie król mógł porozumieć się bezzwłocznie ze swym wiernym sługą.

— Ci panowie są ze mną — rzekł de Winter.

Służący skłonił się i przepuścił ich.

Rzeczywiście, na polowym łóżku, w czarnym kaftanie, w długich butach, pasa tylko rozluźniwszy i położywszy obok siebie swój filcowy kapelusz, spał król Karol, zmożony nieprzewartą potrzebą odpoczynku. Zbliżyli się doń, a Atos, który szedł pierwszy, przez chwilę patrzył w milczeniu na tę szlachetną, tak bladą twarz, obramowaną długimi, czarnymi włosami, co przylgnęły do skroni spotniałych od niedobrego snu i aż sinych od widocznych pod skórą żył, które wydawały się nabrzmiące od łez pod zmęczonymi oczami.

Atos głęboko westchnął; król spał tak lekko, że to westchnienie obudziło go.

Otworzył oczy.

— O? — rzekł podnosząc się na łokciu. — To ty, hrabio de La Fere?

— Tak, najjaśniejszy panie — odparł Atos.

— Czuwasz, kiedy ja śpię, i zapewne przynosisz mi jakąś nowinę?

— Niestety, najjaśniejszy panie — odparł Atos — wasza królewska mość odgadł trafnie.

— Jest to więc niedobra nowina? — zapytał król, smutnie się uśmiechając.

— Tak, najjaśniejszy panie.

— Trudno, mimo to rad widzę jej zwiastuna. Ilekroć, hrabio, przychodzisz do mnie, zawsze mi tym sprawiasz przyjemność. Przysłała mi ciebie Henrieta, ciebie, którego przywiązanie nie zna ani ojczyzny, ani nieszczęścia. Jakakolwiek by była nowina, którą mi przynosisz, mów śmiało.

— Najjaśniejszy panie, pan Cromwell przybył tej nocy do Newcastle.

— O — rzekł król — żeby się ze mną bić?

— Nie, najjaśniejszy panie, żeby cię kupić.

— Co mówisz?

— Mówię, najjaśniejszy panie, że wojskom szkockim należy się czterysta tysięcy funtów szterlingów.

— Zaległego żołdu, tak, wiem. Już niemal od roku moi dzielni i wierni Szkoci biją się dla honoru.

Atos uśmiechnął się.

— Otóż, najjaśniejszy panie, choć honor to piękna rzecz, już im się znudziło bić dla honoru jedynie i tej nocy sprzedali cię za dwieście tysięcy liwrów, czyli za połowę tego, co im się należy.

— Niemożliwe! — zawołał król. — Niemożliwe, żeby Szkoci sprzedali swego króla za dwieście tysięcy liwrów!

— Jednak Żydzi sprzedali swego Boga za trzydzieści srebrników.

— I jakież to Judasz dokonał tego haniebnego targu?

— Hrabia de Loeven.

— Jesteś tego pewny?

— Słyszałem go na własne uszy.

Król westchnął tak głęboko, jakby mu serce pękło, i opuścił głowę na rękę.

— O, Szkoci! — odezwał się. — Szkoci, których swymi wiernymi nazywałem; Szkoci, którym zaufałem, kiedy mogłem uciec do Oxfordu; Szkoci, moi ziomkowie; Szkoci, moi bracia! Czy aby jesteś tego całkiem pewny.

— Leżąc za namiotem hrabiego de Loeven, podniosłem płótno; wszystko słyszałem.

— Kiedyż ma się dokonać ten wstrętny targ?

— Dziś z samego rana. Jak więc widzisz, najjaśniejszy panie, nie ma czasu do stracenia.

— Na co czasu, skoro sam mówisz, że mnie sprzedano?

— Na przeprowienie się przez Tyne, dotarcie do Szkocji i połączenie się z lordem Montrose, który cię nie sprzeda.

— A co ja będę robił w Szkocji? Mam prowadzić wojnę podjazdową? Taka wojna jest niegodna króla.

— Przykład Roberta Bruce<sup>9</sup> powinien cię rozgrzeszyć, najjaśniejszy panie.

— Nie, nie! Już za długo walczę; jeśli mnie sprzedali, niech mnie wydadzą i niech spadnie na nich wieczysta hańba tej zdrady.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Atos — król, być może, powinien tak postąpić, ale nie mąż i ojciec. Przybyłem tu w imieniu twojej małżonki i borki i tych dwojga twoich dzieci, które są jeszcze w Londynie, i mówię ci: żyj, najjaśniejszy panie, Bóg tak chce.

Król wstał, dopiął pas, przypasał szpadę i ocierając chustką spotniałe czoło, zapytał:

— Cóż więc trzeba uczynić?

— Najjaśniejszy panie, czy, masz wśród twego wojska jeden pułk, na którym mógłbyś polegać?

— De Winter — rzekł król — czy ufasz wierności swego pułku?

---

<sup>9</sup> Robert Bruce (XIV w.) — król szkocki. Wyzwolił Szkocję spod panowania angielskiego.

— Najjaśniejszy panie, są to tylko ludzie, a ludzie stali się słabi albo źli. Ufam ich wierności, ale za nią nie zaręczę; powierzyłbym im swoje życie, ale wahałbym się powierzyć im życie waszej królewskiej mości.

— W takim razie — rzekł Atos — choć nie ma pułku, jest nas trzech, pewnych i oddanych ludzi, to wystarczy. Siadaj na konia, najjaśniejszy panie, stań między nami. Przeprowadzimy się przez Tyne, dopadniemy Szkocji i będziemy ocaleni.

— Czy też tak mi radzisz, de Winter? — zapytał król.

— Tak najjaśniejszy panie.

— A ty, panie d'Herblay?

— Tak najjaśniejszy panie.

— Niech się więc stanie, jak chcecie. De Winter, wydaj rozkazy.

De Winter wyszedł; przez ten czas król skończył się ubierać. Kiedy pierwszy brzask zaczynał już sączyć się przez szpary namiotu, de Winter wrócił.

— Wszystko gotowe, najjaśniejszy panie — rzekł.

— A my? — zapytał Atos.

— Milczek i Blaisois trzymają wasze konie już osiodłane.

— W takim razie — rzekł Atos — nie traćmy ani chwili i jedźmy.

— Jedźmy — rzekł król.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Atos — czy wasza królewska mość nie zawiadomi swoich przyjaciół?

— Moich przyjaciół? — rzekł Karol I, smutnie potrząsając głową. — Nie mam przyjaciół prócz was trzech. Jednego przyjaciela od lat dwudziestu, który nigdy o mnie nie zapomniał, dwóch przyjaciół od tygodnia, których ja nie zapomnę nigdy. Chodźmy, chodźmy, panowie.

Król wyszedł z namiotu. Koń już czekał, gotowy, Był to bułany koń, na którym Karol I jeździł już od trzech lat i którego bardzo lubił. Koń, widząc go, zarżał z radości.

— O, byłem niesprawiedliwy — rzekł król — oto jeszcze jeden jeśli nie

przyjaciel, to przynajmniej kochające mnie stworzenie. Ty mi zostaniesz wierny, prawda, Artusie?

A koń jakby zrozumiał i przysunął swe parujące chrapy do twarzy króla, podniósł wargi, radośnie pokazując białe zęby.

— Tak, tak — mówił król głaszcząc go ręką — tak, dobry Artus, jestem kontent z ciebie.

Ze zwinnością, która czyniła króla jednym z najpierwszych jeźdźców Europy, Karol wskoczył na siodło i odwracając się do Atosa, Aramisa i de Wintera, rzekł:

— Dalej, panowie, czekam.

Ale Atos stał bez ruchu, wyteżając wzrok i wyciągając rękę w kierunku ciemnej linii, rozciągającej się po brzegu rzeki Tyne na przestrzeni dwa razy dłuższej niż obóz.

— Co to jest, o, ta linia? — rzekł, bo mu resztki nocnego mroku, jeszcze nie rozproszone przez świt, nie pozwalały dobrze widzieć. — Co to jest, ta linia? Wczoraj jej nie widziałem.

— To na pewno mgła wstaje z rzeki — rzekł król.

— Najjaśniejszy panie, to coś bardziej spoistego od mgły.

— Rzeczywiście, widzę jakby jakiś czerwony wał — rzekł de Winter.

— To nieprzyjaciel wychodzi z Newcastle i oskrzydla nas! — zawołał Atos.

— Nieprzyjaciel — powtórzył król.

— Tak, nieprzyjaciel. Już za późno. Spójrzcie! Spójrzcie, tam, pod słońce, tam, w stronę miasta. Widzicie, jak lśnią pancerze żelaznych hufców?

Nazywano tak pancerny pułk, z którego Cromwell zrobił sobie swoją przyboczną straż.

— Dobrze — rzekł król — przekonamy się, czy jest prawdą, że mnie moi Szkoci zdradzili.

— Co chcesz uczynić! — zawołał Atos.

— Dać rozkaz natarcia i razem z nimi przejść tym podłym buntownikom po brzuchach.

I król, spiąwszy konia ostrogami, pomknął ku namiotowi hrabiego de Loeven.

— Jedźmy za nim — rzekł Atos.

— Jedźmy — rzekł Aramis.

— Czyżby król był ranny? — zapytał de Winter. — Widzę na ziemi plamy krwi.

I puścił się śladem obu przyjaciół. Atos zatrzymał go.

— Jedź, hrabio, i zbierz swój pułk — rzekł. — Przewiduję, że niezadługo będzie nam potrzebny.

De Winter zawrócił w miejscu, a dwaj przyjaciele pojechali dalej. Król po dwu sekundach osadził konia przed namiotem naczelnego wodza wojsk szkockich. Zeskoczył z siodła i wszedł.

Zastał generała w otoczeniu najwyższych dowódców.

— Król! — zakrzyknęli wstając i patrząc po sobie ze zdumieniem.

Rzeczywiście, stał między nimi Karol, w kapeluszu na głowie, ze ściągniętymi brwiami, i uderzał szpicrutą po bucie.

— Tak, panowie — rzekł — król we własnej osobie, król, który przychodzi, by zażądać od was sprawozdania z tego, co się dzieje.

— Cóż się takiego stało, najjaśniejszy panie? — zapytał hrabia de Loeven.

— Stało się, panie hrabio — rzekł król, nie mogąc dłużej opanować gniewu — że generał Cromwell przybył tej nocy do Newcastle i że ty wiesz o tym, a mnie nie zawiadomiono, że nieprzyjaciel wyszedł z miasta i zamyka nam przeprawę przez Tyne; że twoje straże na pewno dostrzegły ten manewr, a mnie nie zawiadomiono; stało się, żeście zawarli haniebnny układ, w którym sprzedaliście mnie parlamentowi za dwieście tysięcy funtów szterlingów, więc niechby mnie bodaj zawiadomiono o tym układzie. Oto co się stało, panowie. Odpowiedzcie i usprawiedliwcie się, bo was oskarżam.

— Najjaśniejszy panie — wybełkotał hrabia de Loeven — wasza królewska mość został wprowadzony w błąd jakimś fałszywym doniesieniem.

— Na własne oczy widziałem, jak armia nieprzyjacielska zachodzi mi drogę do Szkocji — rzekł Karol — i mógłbym bez mała powiedzieć, że na własne uszy słyszałem targi o warunki sprzedaży.

Szkoccy wodzowie popatrzyli na siebie i teraz oni z kolei ściągnęli brwi.

— Najjaśniejszy panie — szepnął hrabia de Loeven, załamując się pod brzemieniem wstydu — najjaśniejszy panie, jesteśmy gotowi dać ci dowody swojej wierności.

— Żądam tylko jednego dowodu — rzekł król. — Uszykujcie wojsko do bitwy i ruszajmy na wroga.

— To być nie może najjaśniejszy panie — rzekł hrabia.

— Co? To być nie może! A cóż takiego stoi na przeszkodzie?! — zawołał Karol I.

— Wasza królewska mość wie dobrze, że między nami i wojskiem angielskim jest rozejm — odpowiedział hrabia.

— Jeśli jest rozejm, wojsko angielskie zerwało go, wychodząc z miasta wbrew warunkom, w myśl których miało go nie opuszczać; więc powtarzam wam, panowie, że macie przebić się razem ze mną przez tę armię i wrócić do Szkocji, a jeśli tego nie uczynicie, w takim razie cóż, wybierajcie jedno z dwóch imion, którymi ludzie, powodując się pogardą i wstrętem, nazywają innych ludzi: albo jesteście tchórze, albo jesteście zdrajcy.

Szkotom oczy zapalały i jak się to często w podobnych wypadkach zdarza, ze skrajnego wstydu przerzucili się w skrajny bezwstyd. I dwaj naczelnicy klanów, z dwóch stron podchodząc do króla, odezwali się:

— A więc tak, przyrzekliśmy, że uwolnimy Anglię i Szkocję od tego, który już przez dwadzieścia pięć lat wysysa krew i złoto z Anglii i ze Szkocji. Przyrzekliśmy i przyrzeczenia dotrzemy. Królu Karolu Stuarcie, jesteś naszym więźniem.



I obaj równocześnie wyciągali ręce, by pojmać króla, lecz nim zdążyli choćby końcem palca dotknąć jego osoby, padli obaj, jeden ogłuszony, drugi martwy.

Jednego Atos powalił gałką pistoletu, drugiego Aramis przeszył szpadą na wylot.

Po czym — kiedy hrabia de Loeven i inni wodzowie cofnęli się, zdumieni tą nieoczekiwaną pomocą, spadła jakby z nieba temu, którego już uważali za swojego jeńca — Atos i Aramis wyprowadzili króla z namiotu wiarołomców, do którego zapędził się tak lekkomyślnie, i wskoczywszy na konie trzymane w pogotowiu przez służących, wszyscy trzej wrócili galopem do namiotu królewskiego.

Jadąc ujrzeli de Wintera, który przybywał na czele swego pułku. Król dał mu znak, by jechał z nimi.

## 12. Mściciel

Weszli wszyscy czterej do namiotu. Nie mieli planu działania; trzeba było się naradzić i coś postanowić. Król osunął się na fotel.

— Jestem zgubiony — rzekł.

— Nie, najjaśniejszy panie — odpowiedział mu Atos — jesteś jedynie zdradzony.

Król westchnął głęboko.

— Zdradzony, zdradzony przez Szkotów, wśród których się urodziłem, których zawsze przenosiłem nad Anglików. O, nędznicy!

— Najjaśniejszy panie — rzekł Atos — nie pora rozpaczać, pora dowieść, żeś jest królem i szlachcicem. Wstań, wstań, najjaśniejszy panie. Masz tu trzech ludzi, którzy cię przynajmniej nie zdradzą, możesz być spokojny. Ach, gdyby nas tu było pięciu! — szepnął myśląc o d'Artagnanie i Portosie.

— Co mówisz? — zapytał Karol wstając.

— Mówię, najjaśniejszy panie, że jest tylko jeden sposób. Milord de Winter ręczy za swój pułk albo prawie że ręczy. Nie upierajmy się przy słowach: on stanie na czele swoich ludzi; my dwaj weźmiemy cię między siebie, najjaśniejszy panie, przebijemy się przez wojsko Cromwella i przedostaniemy się do Szkocji.

— Jest jeszcze jeden sposób — rzekł Aramis — żeby jeden z nas przebrał się w szaty króla i wziął jego konia: kiedy się na niego rzucą, król, być może, przejedzie.

— Rada jest dobra — rzekł Atos — i jeśli jego królewska mość zechce uczynić jednemu z nas ten zaszczyt, wielce będziemy mu za to wdzięczni.

— Co sądzisz o tej radzie, de Winterze? — zapytał król, z podziwem patrząc na tych dwóch ludzi, którzy zaprzątnięci byli tym jedynie, by jak

najwięcej z grożących mu niebezpieczeństw ściągnąć na swoje własne głowy.

— Sądzę, najjaśniejszy panie, że jeśli jest jakiś sposób ocalenia waszej królewskiej mości, to ten właśnie, który podsunął pan d'Herblay. Więc błagam cię pokornie, byś szybko dokonał wyboru, gdyż nie mamy czasu do stracenia.

— Lecz jeśli się zgodzę — będzie to śmierć lub co najmniej więzienie dla tego, który zajmie moje miejsce.

— Będzie to dlań zaszczyt, bo ocali swego króla! — zawołał de Winter.

Król ze łzami w oczach popatrzył na starego przyjaciela, zdjął wstęgę orderu Świętego Ducha, który założył był, żeby uhonorować dwóch towarzyszących mu Francuzów, i zawiesił ją na szyi de Wintera, który uklęknął, żeby przyjąć ten straszliwy dowód przyjaźni i zaufania swojego monarchy.

— Słusznie — rzekł Atos — on dawniej służy królowi niż my.

Król usłyszał te słowa i odwrócił się, wciąż mając łzy w oczach.

— Panowie — rzekł — zaczekajcie chwilę, dla każdego z was mam wstęgę.

Podszedł do szafy, w której znajdowały się jego ordery, i wyjął dwie wstęgi orderu podwiązki.

— Te ordery nam nie przystoją — rzekł Atos.

— A dlaczegóż to, panie? — zapytał Karol.

— Są to ordery bez mała królewskie, my zaś jesteśmy zwykłymi szlachcicami.

— Przyjrzyj się, proszę, wszystkim ziemskim tronom i znajdź mi tam serca zaciejsze od waszych. Nie, nie, samych siebie krzywdzicie, panowie, ale ja tu jestem i oddam wam sprawiedliwość. Uklęknij, hrabio.

Atos uklęknął. Król przepasał go przez pierś wstęgą, na skos od lewego ramienia, jak nakazywał obyczaj, i podnosząc szpadę, miał zwykłej formuły: “Czynię cię kawalerem orderu podwiązki, bądź waleczny, wierny i prawy”, rzekł:

— Jesteś waleczny, wierny i prawy, czynię cię kawalerem orderu

podwiązki.

Po czym, zwracając się do Aramisa, powiedział:

— Twoja kolej, panie kawalerze.

I król, takich samych słów używając, Aramisa z kolei pasował na kawalera orderu podwiązki, de Winter zaś tymczasem zdejmował z niego przy pomocy giermków pancerz, żeby w nim tym lepiej móc ująć za króla. Po dopełnieniu obu ceremonii Karol ucałował Atosa i Aramisa.

— Najjaśniejszy panie — rzekł de Winter, który w obliczu śmiertelnego niebezpieczeństwa, na jakie się dobrowolnie wystawiał z miłości dla swego pana, odzyskał całą swą siłę i całą odwagę — jesteśmy gotowi.

Król popatrzył na trzech szlachciców.

— Więc trzeba uciekać — rzekł.

— Ucieczka poprzez nieprzyjacielskie szeregi — rzekł Atos — we wszystkich krajach świata nazywa się natarciem.

— Umrę więc ze szpadą w dłoni — rzekł Karol. — Panie hrabio, panie kawalerze, jeśli jeszcze będę kiedyś królem...

— Najjaśniejszy panie, zaszczyciłeś nas ponad nasz stan; to my przeto winni ci jesteśmy wdzięczność. Ale nie traćmy czasu, bo już straciliśmy go aż za wiele.

Król po raz ostatni wszystkim trzem uścisnął dłonie, zamienił się z de Winterem na kapelusze i wyszedł.

Pułk de Wintera stał w szyku na płaskiej wyżynie, wynoszącej się nad obóz; król poszedł w tę stronę razem z trzema przyjaciółmi.

Szkocki obóz wyglądał, jakby się przebudził nareszcie, ludzie powychodzili spod namiotów i ustawiali się jak do bitwy.

— Widzicie? — rzekł król. — Może się opamiętali i postanowili bić?

— Jeśli się opamiętali, najjaśniejszy panie — odparł Atos — pójdą za nami.

— Słusznie — rzekł król. — Co robimy?

— Przypatrzmy się wojsku nieprzyjaciela — rzekł Atos.

I wszyscy czterej wyteżyli wzrok, wpatrując się w tę linię, którą wzięli o świcie za mgłę, a która teraz, w pierwszych promieniach słońca, ukazała się im jako armia uszykowana do bitwy. Powietrze było czyste i przejrzyste, jak zwykle o tej porannej godzinie. Wyraźnie było widać pułki, chorągwie, a nawet barwy mundurów i maść koni.

Wtem ujrzeli, że na niewielkim wzgórzu, nieco wysuniętym przed nieprzyjacielski szyk, pojawił się niski, krępy i tęgi mężczyzna; otaczało go kilku oficerów. Skierował lunetę ku grupie czterech ludzi, wśród których znajdował się król.

— Czy ten człowiek zna osobiście waszą królewską mość? — zapytał Aramis.

Król uśmiechnął się.

— Ten człowiek to Cromwell — rzekł.

— Nasuń głębiej kapelusz, najjaśniejszy panie, żeby nie zauważył zamiany.

— Ach! — rzekł Atos — tyle czasu straciliśmy!

— Więc ruszajmy — rzekł król.

— Czy sam wydasz rozkazy, najjaśniejszy panie? — zapytał Atos.

— Nie, ciebie, hrabio, mianuję moim naczelnym wodzem — rzekł król.

— Słuchaj więc, milordzie de Winter — rzekł Atos. — A ty, najjaśniejszy panie, proszę, zechciej się nieco oddalić; to, o czym będziemy mówili, nie należy do waszej królewskiej mości.

Król uśmiechnął się i cofnął o trzy kroki.

— Mój plan jest taki — mówił dalej Atos: — rozdzielimy nasz pułk na dwa szwadrony; ty, milordzie, staniesz na czele pierwszego szwadronu; jego królewska mość i my na czele drugiego szwadronu. Jeśli nic nam nie zajędzie drogi, uderzymy razem, żeby się przebić przez nieprzyjacielski szyk i dopaść Tyne, przez którą przeprawimy się albo brodem, albo w pław. Jeśli, odwrotnie, zastąpią nam drogę, ty ze swymi ludźmi dacie się wybić do ostatniego, my z

królem jedziemy naprzód. Skoro przedostaniemy się na brzeg rzeki, choćby stali w potrójnym szyku, jeśli twój szwadron spełni swój obowiązek, my damy radę.

— Na koń! — rzekł de Winter.

— Na koń! — rzekł Atos. — Wszystko już umówione i postanowione.

— Dalej, panowie, naprzód! — rzekł król. — I przyjmijmy dawny wojenny okrzyk francuski: Montjoie i Saint-Denis! Okrzyk angielski jest teraz przez zbyt wielu zdrajców powtarzany.

Wsiedli na konie, król na konia de Wintera, de Winter na konia króla, po czym de Winter stanął w pierwszym szeregu pierwszego szwadronu, a król, mając Atosa po prawej, a Aramisa po lewej ręce, stanął w pierwszym szeregu drugiego szwadronu.

Przyglądało się tym przygotowaniom całe wojsko szkockie, znieruchomiłe i oniemiałe ze wstydu.

Zobaczyli, że niektórzy oficerowie wychodzą z szeregów i łamią szpady.

— Widzicie? — rzekł król. — To mnie pociesza, nie wszyscy są zdrajcami.

W tym momencie zagrzemiał głos de Wintera.

— Naprzód! — krzyknął.

Pierwszy szwadron ruszył, za nim drugi i w pędzie zjechali z wyżyny. Pułk pancерnej jazdy, mniej więcej równy liczbą, rozwinął się za wzgórzem i biegł im naprzeciw wyciągniętym galopem.

Król wskazał ich Atosowi i Aramisowi.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Atos — przewidzieliśmy to i jeśli ludzie de Wintera spełnią swój obowiązek, ten przypadek nie zgubi nas, lecz ocali.

W tej chwili poprzez zgiełk, jaki czyniły cwałujące i rżące konie, usłyszano okrzyk de Wintera:

— Szpady w dłoń!

Na ten rozkaz wszystkie szpady dobyte z pochew zalsniły jak błyskawice.

— Dalej, panowie! — krzyknął z kolei król, upojony tym zgiełkiem i tym widokiem — dalej panowie, szpady w dłoń!

Lecz choć król pierwszy dał przykład, tylko Atos i Aramis usłuchali rozkazu.

— Jesteśmy zdradzeni — rzekł cicho Karol.

— Zaczekajmy jeszcze — powiedział Atos — może nie poznali głosu waszej królewskiej mości i czekają na rozkaz dowódcy szwadronu.

— Czy nie słyszeli głosu swego pułkownika? Lecz patrzcie! — krzyknął król, osadzając konia tak gwałtownie, że aż przysiadł, i chwytając za uzdę konia Atosa.

— O, podli! O, nędzni! O, zdrajcy! — krzyczał de Winter, a tymczasem jego ludzie, złamawszy szyki, rozproszyli się po równinie.

Zostało najwyżej z piętnastu, którzy zebrali się przy nim i czekali, żeby stawić czoło natarciu pancерnej jazdy Cromwella.

— Pójdźmy razem z nimi zginąć — rzekł król.

— Pójdźmy zginąć — rzekł Atos i Aramis.

— Do mnie, wierne serca! — zawołał de Winter.

Jego głos dotarł aż do dwóch przyjaciół, którzy ruszyli cwałem.

— Nie ma pardonu! — krzyknął po francusku w odpowiedzi na głos de Wintera inny głos, na dźwięk którego Atos i Aramis zadrżeli.

De Winter zaś, usłyszawszy ten głos, zbladł i bez mała w kamień się obrócił.

Był to głos jeźdźca, który na wspaniałym czarnym koniu pędził na czele angielskiego pułku i w zapale wyprzedził go o jakie dziesięć kroków.

— To on! — szepnął de Winter, któremu oczy znieruchomiały, a szpada wysunęła się z dłoni i zawisła na pendencie.

— Król! Król! — zakrzyknęło kilku jeźdźców zmylonych błękitną wstęgą i bułanym koniem de Wintera. — Brać go żywcem!

— Nie, to nie król! — zawołał pierwszy jeździec. — Nie dajcie się oszukać! Prawda, milordzie de Winter, że nie jesteś królem? Prawda, że jesteś moim stryjem?

I w tejże chwili Mordaunt, bo on to był, wycelował z pistoletu w de Wintera. Strzelił. Kula przeszła pierś starego szlachcica, który drgnął w siodle i osunął się w ramiona Atosa, szepcząc:

— Mściciel!

— Przypomnij sobie moją matkę! — wrzasnął Mordaunt przejeżdżając mimo, rwany naprzód wściekłym galopem swego konia.

— Nędzniku! — krzyknął Aramis i z bliska wypalił doń z pistoletu, kiedy obok niego przelatywał; ale tylko podsyпка zapaliła się i strzał nie padł.

W tej chwili cały pułk wpadł na garstkę tych, co wytrwali, i obaj Francuzi zostali okrążeni, otoczeni, ściśnięci. Atos, upewniwszy się, że de Winter nie żyje, puścił z ramion jego martwe ciało i krzyknął dobywając szpady:

— Dalej, Aramisie, za honor Francji!

I dwaj Anglicy, którzy się znaleźli najbliżej, padli ugodzeni śmiertelnie.

Rozległ się wściekły wrzask i trzydzieści kling zabłysło nad ich głowami.

Nagle jakiś człowiek wypadł z angielskich szeregów; roztrącił je, skoczył na Atosa, otoczył go drżącymi z pośpiechu ramionami i wyrwał mu szpadę, szepcząc do ucha:

— Cicho! Poddaj się. Jeśli mnie się poddasz, to jakbyś się nie poddał.

Zaś jakiś olbrzym chwycił za obie ręce Aramisa, który darmo usiłował się wyrwać z tego straszliwego uścisku.

— Poddaj się — rzekł olbrzym, wpatrując się weń uporczywie. Aramis podniósł głowę, Atos obejrzał się.

— D'Art... — krzyknął Atos, ale Gaskończyk zatkał mu dłonią usta.

— Poddaję się — rzekł Aramis oddając szpadę Portosowi.

— Ognia! Ognia! — krzyczał Mordaunt zawracając ku miejscu, w którym się znajdowali dwaj przyjaciele.

— A na co? — rzekł pułkownik. — Wszyscy się poddali.

— To syn Milady! — rzekł Atos do d'Artagnana.

— Poznałem go.



— To mnich! — rzekł Portos do Aramisa.

— Wiem.

Szeregi zaczęły się rozluźniać. D'Artagnan trzymał za uzdę konia Atosa, Portos konia Aramisa. Obydwaj starali się wyprowadzić swoich jeńców jak najdalej z pola bitwy.

Cały ten ruch odsłonił miejsce, na którego padło ciało de Wintera. Mordaunt, wiedziony instynktem nienawiści, znalazł go i przyglądał się z ohydnym uśmiechem, schyliwszy się z konia.

Atos, choć tak opanowany, sięgnął ręką ku olstrom, w których tkwiły jeszcze pistolety.

— Co robisz? — rzekł d'Artagnan.

— Pozwól mi go zabić.

— Nie daj poznać najmniejszym gestem, że go znasz, albo będziemy wszyscy czterej zgubieni.

Po czym zwrócił się do młodzieńca:

— Piękna zdobycz! — zawołał. — Piękna zdobycz, przyjacielu Mordaunt! Każdy z nas ma swego, pan du Vallon i ja: kawalerowie orderu podwiązki, bagatelka!

— Ale — zawołał Mordaunt, patrząc nabiegłymi krwią oczyma na Atosa i Aramisa — ale, to, zdaje mi się, Francuzi?!

— Na honor, nawet nie wiem. Czy jesteś Francuzem, panie? — zapytał Atosa d'Artagnan.

— Jestem nim — odpowiedział z powagą Atos.

— W takim razie, mój kochany panie, zostałeś jeńcem swego ziomka.

— Ale król? — rzekł z rozpaczą Atos. — Król? D'Artagnan silnie ścisnął rękę swego jeńca i rzekł mu:

— Ano, wzięliśmy i króla.

— Tak — rzekł Aramis — podłą zdradą.

Portos, miażdżąc przyjacielowi nadgarstek, rzekł z uśmiechem:

— Cóż chcesz, kawalerze, wojnę wygrywa się nie tylko siłą, ale i podstępem: spójrz.

Rzeczywiście, ujrzano w tej chwili, że szwadron, który miał osłaniać ucieczkę Karola, jedzie na spotkanie angielskiego pułku i otacza króla, który szedł sam, pieszo, przez pole. Król był na pozór spokojny, ale widoczne było, ile musi cierpieć, żeby się tak spokojnym wydać; toteż pot spływał mu z czoła i wciąż ocierał sobie skronie i wargi chustką, która miała ślady krwi, ilekroć ją od ust odejmował.

— Oto Nabuchodonozor<sup>10</sup>! — zawołał jeden z pancernych Cromwella, stary purytanin, i zapalały mu oczy na widok tego, którego nazywał tyranem.

— Co też ty mówisz? Nabuchodonozor? — odezwał się z przerażającym uśmiechem Mordaunt. — Nie, to król Karol I, dobry król Karol, który wydziedzicza swoich podwładnych, żeby po nich brać schedę.

Karol spojrział na zuchwalca, który się tak odezwał, ale nie poznał kto to. Natomiast spokojny, boski majestat jego oblicza sprawił, że Mordaunt spuścił oczy.

— Witajcie, panowie — rzekł ujrzawszy swych przyjaciół, jednego w rękach d'Artagnana, drugiego w rękach Portosa. — Nieszczęśliwy to dzień, ale nie z waszej winy, chwała Bogu. Gdzie jest mój stary de Winter?

Obaj przyjaciele odwrócili głowy i milczeli.

— Tam gdzie i Strafford! — odezwał się przeraźliwy głos Mordaunta.

Król zadrzał: szatan uderzył celnie. Strafford był to wieczny wyrzut sumienia Karola, cień jego dni, widmo jego nocy.

Król rozejrzał się dokoła i ujrzał leżące u jego stóp ciało. Ciało de Wintera.

Król nie krzyknął, nie uronił ani jednej łzy, tylko twarz mu jeszcze bardziej zbladła, stała się aż sina. Przyklęknął na jedno kolano, podniósł głowę de Wintera, pocałował go w czoło, zdjął z jego szyi wstęgę Świętego Ducha i pobożnym ruchem zawiesił ją sobie na piersi.

<sup>10</sup> Nabuchodonozor (VI w. p.n.e.) — słynny z okrucieństwa król Babilonu, podbił Judeę i zburzył Jerozolimę.

— Więc de Winter zabity? — zapytał d'Artagnan wpatrując się w martwe ciało.

— Tak — rzekł Atos — przez własnego bratanka.

— Pięknie! Pierwszy z nas już odszedł — szepnął d'Artagnan. — Niechaj śpi w spokoju, był to prawy szlachcic.

— Karolu Stuarcie — odezwał się pułkownik dowodzący angielskim pułkiem, podchodząc do króla, który już odebrał od poległego przyjaciela insygnia swojej królewskości — czy się poddajesz?

— Pułkowniku Thomlison — rzekł Karol — król nie poddaje się nigdy, człowiek ustępuje przed siłą, to wszystko.

— Oddaj szpadę.

Król dobył szpady i przełamał ją na kolanie.

W tej chwili koń bez jeźdźca, ociekający pianą, z pałającym okiem, z rozdętymi chrapami, przybiegł i poznawszy swego pana, zatrzymał się przed nim, rżąc radośnie: był to Artus.

Król uśmiechnął się, pogłaskał go ręką i lekko wskoczył na siodło.

— Dalej, panowie — rzekł — prowadźcie mnie, dokąd chcecie.

Po czym, odwracając się żywo, dodał:

— Zaczekajcie! Wydało mi się, że de Winter poruszył się, więc jeśli żyje jeszcze, zaklinam was na to, co dla was najświętsze, nie opuszczajcie tego zacnego szlachcica.

— O, bądź spokojny, królu Karolu — rzekł Mordaunt — kula przeszła serce.

— Nie odzywajcie się ani słowem, żadnego gestu nie czyńcie, nie ważcie się nawet spojrzeć ani na mnie, ani na Portosa — rzekł do Atosa i Aramisa d'Artagnan — bo Milady nie umarła, jej duch żyje w ciele tego szatana.

I oddział ruszył ku miastu, uprawdzając swój królewski łup; lecz w połowie drogi adiutant generała Cromwella doręczył pułkownikowi Thomlisonowi rozkaz odstawienia króla do Holdenby-Castle.

Równocześnie zaś słano we wszystkie strony gońców, by obwieścić Anglii i całej Europie, że król Karol Stuart został jeńcem generała Cromwella.

Szkoci patrzyli na to wszystko z muszkietem u nogi, szpadą w pochwie.

## 13. Oliver Cromwell

— Idziecie do generała, panowie? — zapytał Mordaunt d'Artagnana i Portosa. — Wiecie, że was wezwał do siebie po bitwie.

— Najpierw musimy umieścić w bezpiecznym miejscu naszych jeńców — odparł Mordauntowi d'Artagnan. — Czy wiesz, panie Mordaunt, że ci dwaj szlachcice są warci każdy ponad tysiąc pięćset pistoli?

— O, możecie być spokojni — rzekł Mordaunt, patrząc na nich wzrokiem, w którym nadaremnie usiłował stłumić okrucieństwo — moi żołnierze upilnują ich, jak należy, rękę wam za nich.

— Ja sam jeszcze lepiej ich upilnuję — odparł d'Artagnan. — Zresztą niewiele trzeba: zacnej izby z wartownikiem w drzwiach albo po prostu ich słowa, że nie będą próbowali ucieczki. Załatwimy się z tym szybko, po czym będziemy mieli zaszczyt stawić się u generała i zapytać, co nam rozkaże zawieźć w odpowiedzi jego eminencji.

— Zatem macie zamiar wkrótce odjechać? — zapytał Mordaunt.

— Nasze poselstwo jest skończone i nic nas już nie zatrzymuje w Anglii z wyjątkiem woli wielkiego człowieka, do którego zostaliśmy wysłani.

Młodzieniec zagryzł wargi i pochyliwszy się do sierżanta, szepnął mu na ucho:

— Idź za tymi ludźmi krok w krok i nie strać ich z oczu. A kiedy dowiesz się, gdzie mieszkają, wróć i czekaj na mnie przy bramie miejskiej.

Sierżant skinął głową na znak, że spełni rozkaz.

Wtedy, miast towarzyszyć jeńcom, których prowadzono do miasta, Mordaunt skierował się w stronę wzgórza, z którego Cromwell przypatrywał się bitwie i gdzie już mu rozstawiono namiot.

Cromwell rozkazał, by nie wpuszczać do niego nikogo, lecz wartownik,

który znał Mordaunta i wiedział, że jest jednym z najbliższych powierników generała, pomyślał, że zakaz nie może dotyczyć młodzieńca.

Mordaunt podniósł więc płótno namiotu i ujrzał Cromwella siedzącego przy stole, z twarzą ukrytą w dłoniach; był doń odwrócony plecami.

Czy Cromwell usłyszał hałas, jaki sprawiło wejście Mordaunta, czy też nie usłyszał, nie wiadomo; dość, że się nie obejrzał.

Mordaunt stanął przy drzwiach.

Wreszcie po dobrej chwili Cromwell dźwignął swe ciężkie czoło i jakby instynktownie czując, że ktoś za nim stoi, powoli odwrócił głowę.

— Powiedziałem, że chcę być sam! — zawołał ujrzawszy młodzieńca.

— Nie sądziłem, że ten zakaz dotyczy i mnie, panie generale — rzekł Mordaunt — lecz jeśli tak rozkażesz, jestem gotów wyjść.

— A, to ty, Mordaunt — rzekł Cromwell, wyraźnym wysiłkiem woli rozjaśniając cię, który mu legł na oczach. — Skoro już jesteś, dobrze, zostań.

— Chcę ci powinszować, generale.

— Powinszować. A czego?

— Ujęcia Karola Stuarta. Jesteś teraz panem Anglii.

— Byłem nim o wiele bardziej dwie godziny temu — rzekł Cromwell.

— Jak to, generale?

— Anglia potrzebowała mnie, żeby pojmać tyrana, teraz tyran jest pojmany. Czy widziałeś go?

— Tak, panie — rzekł Mordaunt.

— Jak się zachował?

Mordaunt zawahał się, ale prawda jakby przemocą z ust mu się wydarła.

— Spokojnie i godnie — odparł.

— Co powiedział?

— Kilka słów pożegnania do swoich przyjaciół.

— Do swoich przyjaciół — szepnął Cromwell — więc on ma jeszcze przyjaciół?

Po czym dodał głośniej:

— Czy się bronił?

— Nie, panie, opuścili go wszyscy, wyjąwszy trzech czy czterech ludzi, więc nie miał możliwości się bronić.

— Komu oddał szpadę?

— Nie oddał szpady, złamał ją.

— Dobrze zrobił; lecz miast ją łamać, zrobiłby jeszcze lepiej, gdyby się nią był nieco szczęśliwiej posługiwał.

Milczeli przez chwilę.

— Pułkownik regimentu, który stanowił eskortę króla Karola, został, zdaje mi się, zabity? — zapytał Cromwell, przenikliwie patrząc na Mordaunta.

— Tak, panie.

— Przez kogo? — zapytał Cromwell.

— Przeze mnie.

— Jak się nazywał?

— Lord de Winter.

— Twój stryj?! — zawołał Cromwell.

— Mój stryj — odparł Mordaunt. — Zdrajcy Anglii nie należą do mojej rodziny.

Przez chwilę Cromwell przypatrywał się młodzieńcowi, po czym, z owym głębokim smutkiem, który tak trafnie potrafił oddać Szekspir, rzekł:

— Wiernie służysz, Mordauncie, ale twoja wierność przeraża.

— Kiedy Pan rozkazuje — rzekł Mordaunt — nie wolno się wahać, jeśli takie są Jego wyroki. Abraham podniósł nóż na Izaaka, a Izaak był jego synem.

— Tak — rzekł Cromwell — ale Pan nie dał, żeby się dopełniła ofiara.

— Dobrze patrzyłem dokoła — odrzekł Mordaunt — alem nie dojrzał ani kozła, ani koźlęcia, zabłąkanego w zaroślach na równinie.

Cromwell skłonił głowę.

— Jesteś najsilniejszym z silnych, Mordauncie — rzekł. — A Francuzi jak

się spisali?

— Dzielnie, panie generale — odparł Mordaunt.

— Tak, tak — szepnął Cromwell — Francuzi dzielnie się biją i jeśli moja luneta nie kłamie, wydawało mi się, że ich widział w pierwszym szeregu.

— Tam byli — rzekł Mordaunt.

— Za tobą jednakże — rzekł Cromwell.

— To nie wina Francuzów, ale ich koni.

Znów umilkli.

— A Szkoci? — zapytał Cromwell po chwili.

— Dotrzymali słowa — odparł Mordaunt. — Nie ruszyli się.

— Podli — szepnął Cromwell.

— Ich oficerowie chcą cię zobaczyć, panie.

— Nie mam czasu. Czy im zapłacono?

— Jeszcze w nocy.

— Niech więc idą precz, niech wracają w swoje góry i niech tam ukryją swą hańbę, jeśli góry będą na to dość wysokie; nic mi do nich ani im do mnie. A teraz odejść, Mordauncie.

— Nim odejść rzekł Mordaunt — chcę zwrócić się do ciebie, panie mój, z kilkoma pytaniami i z prośbą.

— Do mnie?

Mordaunt skłonił się.

— Przychodzę do ciebie, mój bohaterze, mój opiekunie, mój ojczu, żeby cię zapytać: czyś zadowolony ze mnie, panie?

Cromwell spojrzał na niego ze zdziwieniem. Młodzieniec nawet nie drgnął.

— Tak — odparł Cromwell — odkąd cię znam, zawsze nie dość że spełniałeś swój obowiązek, ale robiłeś więcej, niż wymagałem od ciebie, byłeś wiernym przyjacielem, zręcznym pośrednikiem, walecznym żołnierzem.

— Czy pamiętasz, panie, że ja pierwszy podsunąłem ci pomysł ułożenia się ze Szkotami, żeby odstąpili swego króla?



— Tak, pomysł był twój, to prawda; ja wówczas jeszcze nie posunąłem się tak daleko w pogardzie dla ludzi.

— Czy byłem dobrym posłem we Francji?

— Tak, i zyskałeś od Mazariniego to, czegom żądał.

— Czy zawsze walczyłem ofiarnie za twoją sławę i za twoje interesy?

— Może aż za ofiarnie; zarzuciłem ci to przed chwilą. Ale do czego zmierzasz zadając mi te wszystkie pytania?

— By ci rzec, milordzie, że nadeszła chwila, w której możesz mnie jednym słowem nagrodzić za moje wszystkie służby.

— Prawda! — rzekł ze szczyptą pogardy Oliver. — Racja, zapomniałem, że każda służba wymaga nagrody, żeś mi służył i że cię jeszcze nie nagrodziłem.

— Panie, możesz mnie wynagrodzić w tej oto chwili i to powyżej moich pragnień.

— W jaki sposób?

— Nagrodę mam pod ręką, już ją bez mała trzymam.

— Cóż to za nagroda? — zapytał Cromwell. — Czy ci ofiarowano złoto? Czy pragniesz awansu? Czy się domagasz namiestnictwa?

— Czy dasz mi, panie, to, o co cię poproszę?

— Obaczmy wprzód, co to jest?

— Kiedy mówiłeś mi, panie: idź, wykonaj rozkaz, czym ci odpowiedział kiedy: obaczmy wprzód, jaki?

— Lecz jeśli twe żądanie jest niemożliwe do spełnienia?

— Kiedy żądałeś czegoś i mnie zleciłeś spełnienie tego żądania, czym ci odpowiedział kiedy: to niemożliwe?

— Cóż to za prośba, że tak długo szykujesz pod nią grunt?

— O, bądź spokojny, panie generale — rzekł nareszcie wprost Mordaunt. — Nie zrujnuję cię.

— Obiecuję ci więc, że twoją prośbę uwzględnię, o ile będzie to w mojej mocy — rzekł Cromwell. — Proś.

— Panie generale — rzekł Mordaunt. — Dziś rano wzięto dwóch jeńców. O nich cię proszę.

— Czyżby tak znaczny okup ofiarowali? — zapytał Cromwell.

— Nie, są to, jak mniemam, ludzie niebogaci, panie generale.

— Czyżby to byli twoi przyjaciele?

— Tak, panie generale! — zawołał Mordaunt — to moi przyjaciele, moi najmilsi przyjaciele, i oddałbym własne życie za ich życie.

— Dobrze, Mordauncie — rzekł Cromwell, nie bez radości stwierdzając, że młodzieniec jest jednak lepszym, niż sądził, człowiekiem — dobrze, daję ci ich i nawet nie chcę wiedzieć, kim są ci ludzie. Zrób z nimi, co ci się podoba.

— Dzięki, panie! — zawołał Mordaunt. — Dzięki, odtąd życie moje do ciebie należy i gdybyś mi je zabrał, jeszcze byłbym ci dłużny. Dzięki, suto zapłaciłeś mi za moje służby.

Po czym padł Cromwellowi do kolan i nie zważając na protesty purytańskiego generała, który bronił się lub udawał, że się broni przed tym nieledwie królowi przynależnym hołdem, podniósł do ust jego rękę i ucałował ją.

— Cóż to! — rzekł Cromwell zatrzymując go, kiedy zerwawszy się z kolan, chciał odejść — nie chcesz żadnej więcej nagrody? zaszczytów? złota?

— Dałeś mi wszystko, co mogłeś mi dać, milordzie, i z tym dniem nasze rachunki zostały wyrównane na zawsze.

I Mordaunt wybiegł z namiotu generała, a radość aż rozpierała mu serce i aż biła z oczu.

Cromwell odprowadził go spojrzeniem.

— Zabił własnego stryja — szepnął. — Straszne, kim są ci, którzy mi służą. Być może, ten, choć niby to niczego ode mnie nie żąda, w obliczu Boga wymógł na mnie więcej niż ci, którzy się będą domagali złota złupionego z całych prowincji i chleba odebranego nędzaczom; nikt mi nie służy darmo.

Karol, który jest moim więźniem, być może ma jeszcze przyjaciół, ale ja ich nie

mam.

Westchnął i znów się pogrążył w zadumie, którą był mu przerwał Mordaunt.

## 14. Szlachta

Kiedy Mordaunt podążył do namiotu Cromwella, d'Artagnan i Portos odprowadzili swoich jeńców do domu, który został im w Newcastle wyznaczony na mieszkanie.

Nie uszło uwagi Gaskończyka, że Mordaunt dał sierżantowi jakieś zlecenie; toteż nakazał spojrzeniem Atosowi i Aramisowi, żeby zachowali najściślejszą ostrożność. Aramis i Atos jechali więc w milczeniu obok tych, którym się poddali, co im zresztą nie przychodziło z trudem, obydwaj bowiem byli własnymi myślami pochłonięci.

Chyba nikt i nigdy jeszcze tak się nie zdumiał jak Muszkiet, kiedy stanąwszy w progu ujrzał zbliżających się czterech przyjaciół, a za nimi sierżanta i dziesięciu żołnierzy. Oczy sobie przecierał, nie mogąc uwierzyć, że to naprawdę Atos i Aramis, ale musiał wreszcie skapitulować wobec rzeczywistości. Lecz kiedy już miał wybuchnąć głośną radością, Portos nakazał mu milczenie jednym z tych spojrzeń, od których nie ma odwołania.

Muszkiet stał tedy jak przyklejony do drzwi, czekając, aż się owo przedziwne zdarzenie wyjaśni. Najmocniej zaś wstrząsnęło nim to, że czterej przyjaciele mieli takie miny, jakby go w ogóle nie poznali.

Dom, do którego d'Artagnan i Portos zaprowadzili Atosa i Aramisa, został im w przeddzień wyznaczony na mieszkanie przez generała Cromwella; stał na rogu ulicy, miał niewielki ogródek i stajnie wychodzące na ulicę sąsiednią.

Okna parteru, jak często w prowincjonalnych miasteczkach, były zakratowane i mocno przypominały okna więzienne.

Dwaj przyjaciele przepuścili jeńców przodem i stanęli na progu, poleciwszy Muszkietowi, by odprowadził cztery konie do stajni.

— Dlaczego nie wchodzimy razem z nimi? — zapytał Portos.

— Bo wprzód należy się dowiedzieć, czego chcą od nas sierżant i tych ośmiu czy dziewięciu ludzi, co mu towarzyszą — odparł d'Artagnan.

Sierżant i jego ludzie już rozgościli się w ogródku. D'Artagnan zapytał, czego chcą i po co tu przyszli.

— Otrzymaliśmy rozkaz — rzekł sierżant — że mamy wam pomóc w pilnowaniu jeńców.

O to nie można się było gniewać, przeciwnie, temu, co się zdobył na tak troskliwą grzeczność, należała się słuszna wdzięczność i musieli ją udać.

D'Artagnan podziękował sierżantowi i dał mu koronę, żeby wypił za zdrowie Cromwella.

Sierżant odpowiedział, że purytanie nie piją, i wsunął koronę do kieszeni.

— Ach! — rzekł Portos — cóż za okropny dzień, kochany d'Artagnanie.

— Co też ty mówisz, Portosie! Okropny dzień? Dzień, w którym odnaleźliśmy naszych przyjaciół?

— Tak, ale w jakich okolicznościach.

— Racja, że okoliczności niefortunnie się zbiegły — rzekł d'Artagnan — ale co tam! Chodźmy do nich i spróbujmy rozejrzeć się w położeniu.

— Jest bardzo zawikłane — rzekł Portos — i teraz rozumiem, dlaczego Aramis polecał mi tak usilnie, abym udusił tego obrzydliwego Mordaunta.

— Cicho, na rany boskie! — rzekł d'Artagnan. — Nie wymawiaj tego nazwiska!

— Przecież mówię po francusku, a tamci są Anglikami — rzekł Portos.

D'Artagnan popatrzył na Portosa z podziwem, jaki w rozsądnym człowieku musi wzbudzić każda rzecz niezwykła, jakakolwiek by była.

Po czym, ponieważ Portos też nań patrzył, ani rusz nie mogąc zrozumieć, czemu się też tak dziwi, d'Artagnan trącił go lekko, mówiąc:

— Wejdźmy.

Portos szedł pierwszy, d'Artagnan drugi; d'Artagnan starannie zamknął za sobą drzwi i uściskał po kolei obu przyjaciół.

Atos był śmiertelnie smutny, Aramis, nic nie mówiąc, popatrzył kolejno na Portosa i na d'Artagnana, a spojrzenie jego tak było wymowne, że d'Artagnan zrozumiał je.

— Chcicie wiedzieć, jak się stało, że tu jesteśmy? — rzekł. — Cóż, mój Boże, nietrudno zgadnąć. Mazarini kazał nam zawieźć list do generała Cromwella.

— Lecz jak się stało, że was widzę obok Mordaunta? — rzekł Atos. — Obok Mordaunta, przed którym cię przestrzegałem, d'Artagnanie!

— I którego radziłem ci udusić, Portosie! — rzekł Aramis.

— Wciąż Mazarini. Cromwell posłał Mordaunta do Mazariniego, Mazarini posłał nas do Cromwella. W tym wszystkim jest jakaś fatalność.

— Tak, masz słuszność, d'Artagnanie, fatalność, która nas rozdziela i gubi. A więc, mój drogi Aramisie, nie mówmy o tym więcej i przygotujmy się na przyjęcie losu, jaki jest nam pisany.

— Na krew Pańską, przeciwnie, pomówmy o tym, bo zostało postanowione raz na zawsze, że będziemy razem, choćbyśmy różnym sprawom służyli.

— O, tak, służymy sprawom zgoła różnym — rzekł uśmiechając się Atos — bo i powiedz, proszę, jakiej wy tu sprawie służycie? Ach, d'Artagnanie, zobacz, do czego cię używa Mazarini, ten marny, lichy człowiek! Czy wiesz, jakiej zbrodni stałeś się dziś współwinny? Zbrodni pojmania króla, jego hańby, jego śmierci.

— O! o! o! — rzekł Portos — tak mniemasz?

— Przesadzasz, Atosie — rzekł d'Artagnan — do tego jeszcze daleko.

— Mój Boże, odwrotnie, bardzo blisko. Po co się aresztuje króla? Kto chce go szanować jak pana, ten nie kupuje go jak niewolnika. Czy sądzisz, że Cromwell zapłacił za niego dwieście tysięcy funtów szterlingów po to, żeby go znów posadzić na tronie? Przyjaciele, oni go zamordują, bądźcie pewni, a to jest jeszcze najmniejszą zbrodnią z tych, jakie popełnić mogą. Lepiej ściąć króla, niż go spoliczkować.

— Cóż, nie będę się z tobą sprzeczał, możliwe, że i tak się stanie — rzekł d'Artagnan. — Ale co nam do tego? Jestem tutaj, bom żołnierz, bo służę swoim panom, czyli tym, którzy mi płacą żołd. Przysięgałem posłuszeństwo, więc słucham; ale wy, którzyście nie przysięgali, po co wy tutaj jesteście i jakiej tu sprawie służycie?

— Sprawie najświętszej, jaka może istnieć na świecie — odparł Atos — sprawie nieszczęścia, tronu i religii. Przyjaciel, żona, córka uczynili nam zaszczyt, wzywając naszej pomocy. Służyliśmy im według naszych słabych możliwości i Bóg uwzględnił nasze chęci, choć sił nie stało. Możesz inaczej myśleć, d'Artagnanie, możesz widzieć te sprawy w inny sposób, przyjacielu. Nie będę cię przekonywał, ale muszę ci przyganić.

— O! o! — odezwał się d'Artagnan — a mnie co, u Boga Ojca do tego, że pan Cromwell, który jest Anglikiem, buntuje się przeciw swojemu królowi, który jest Szkotem? Ja jestem Francuzem, mnie to wszystko nie obchodzi. Dlaczego więc chcesz mnie uczynić za to odpowiedzialnym?

— Ano właśnie — odezwał się Portos.

— Bo cała szlachta to bracia, bo jestem szlachcicem, bo królowie wszystkich krajów są pierwszymi między szlachtą, bo ślepy plebs, głupi i niewdzięczny, zawsze się lubuje poniżaniem tego, co jest wyższe niżli on; i to ty, d'Artagnanie, szlachcic tak starego rodu, szlachcic o tak pięknym nazwisku, szlachcic z tak wyśmienitą szpadą u boku, przyczyniłeś się do wydania króla tym piwowarom, krawcom i woźnicom! O! d'Artagnanie, jako żołnierz możeś i spełnił swój obowiązek, ale jako szlachcic zawiniłeś, ja ci to mówię.

D'Artagnan żuł łądyżkę jakiegoś kwiatka, nie odpowiadał i był wyraźnie zbity z pantałyku, bo kiedy odwracał wzrok od wzroku Atosa, spotykał spojrzenie Aramis.

— Ty zaś, Portosie — ciągnął dalej hrabia, jakby ulitowawszy się konfuzji d'Artagnana — ty, najlepsze serce, najlepszy przyjaciel, najlepszy żołnierz, jakiego kiedykolwiek znałem, ty, zacnością swej duszy godny urodzić się na

stopniach tronu, ty, którego mądry król na pewno by wcześniej czy później wynagrodził, ty, mój drogi Portosie, ty, szlachcic z wzięcia, z upodobań i z odwagi —jesteś tyle samo winien co i d'Artagnan.

Portos aż poczerwieniał, nie tyle ze wstydu, ile z przyjemności; spuścił jednak głowę, jakby się zmieszał.

— Tak, tak — rzekł — zdaje mi się, że masz słuszność, mój kochany hrabio.

Atos wstał.

— No, już — rzekł podchodząc do d'Artagnana i wyciągając rękę — no, już, nie bocz się na mnie, drogi synu, bo wszystko, com ci nagadał, było powiedziane jeśli nie głosem ojca, to sercem ojca. Wierz mi, że łatwiej by mi było podziękować ci, żeś mi ocalił życie, i ani słowem nie napomknąć o tym, co czuję.

— Zapewne, zapewne, Atosie — odparł d'Artagnan, dłoń mu ściskając — ale że też ty zawsze miewasz uczucia, na jakie nie każdego stać. Bo i któż by uwierzył, że rozumny człowiek może porzucić swój dom, Francję, swego wychowanka, przemiłego młodzieńca — coś wiemy o tym, bośmy go odwiedzili w obozie — żeby biec dokąd? Na pomoc przegniłemu i zmurszałemu tronowi, który lada dzień runie jak stara rudera. Uczucia, o których mówisz, są piękne bez wątpienia, tak piękne, że aż nadludzkie.

— Jakiegolwiek by one były, d'Artagnan — odparł Atos, nie dając się schwytać w sidła, które jego przyjaciel z gaskońską przebiegłością zastawił na jego ojcowskie przywiązanie do Raula — wiesz dobrze w głębi serca, że są słuszne; ale źle czynię wdając się w spór z moim panem. D'Artagnanie, jestem twoim jeńcem, traktuj mnie tedy jak jeńca.

— Co, do kaduka! — rzekł d'Artagnan — dobrze wiesz, że niedługo nim będziesz.

— O, nie niedługo — rzekł Aramis — bo nas zapewne potraktują tak jak tych, których wzięto do niewoli pod Philiphaugh.



— A jakże ich potraktowano?

— Jak? — odparł Aramis. — Połowę powieszono, połowę rozstrzelano.

— Więc ręczę wam — rzekł d'Artagnan — ja wam ręczę, że póki mieć będę choć jedną kroplę krwi w żyłach, nie zostaniecie ani powieszoni, ani rozstrzelani. Na krew Pańską, niech no tu przyjdą. Zresztą, czy widzisz te drzwi, Atosie?

— Widzę, więc co z tego?

— Ano to, że kiedy zechcecie, wyjdziecie tymi drzwiami, gdyż od tej chwili obaj z Aramisem jesteście wolni jak wiatr.

— Dziękuję ci z całego serca, mój dzielny d'Artagnanie — odparł Atos — ale to nie ty rozporządzasz nami; te drzwi są strzeżone, d'Artagnanie, dobrze wiesz o tym.

— Ojej, więc je wyważycie — rzekł Portos. — Iluż ich tam jest? Raptem dziesięciu ludzi.

— Dla nas czterech byłaby to fraszka, dla nas dwóch jest to za wiele. Nie, widzicie, rozbici na dwie części, jak teraz, nie przymierzając, jesteśmy, musimy zginąć. Los nas przestrzegł, pomnijcie: na trakcie do Vendómois ty, d'Artagnanie, taki dzielny, i ty, Portosie, taki waleczny, taki silny, zostaliście pobici; dziś przyszła kolej na mnie i na Aramisa. Otóż nie zdarzyło się to nigdy, póki byliśmy razem, we czterech. Zgińmy więc, jak zginął de Winter. Jeśli o mnie chodzi, oświadczam, że nie zgodzę się uciekać inaczej jak razem, we czterech.

— Niemożliwe — rzekł d'Artagnan — jesteśmy na służbie u Mazariniego.

— Wiem to i nie będę nalegał więcej: nic nie zdziałały moje racje. Widać były kiepskie, skoro nie przekonały umysłów tak prawych jak wasze.

— Zresztą, gdyby nawet ich przekonały — rzekł Aramis — nie wolno nam narażać naszych dwóch najlepszych przyjaciół, d'Artagnana i Portosa. Bądźcie spokojni, panowie, przyniesiemy wam zaszczyt ginąc. Jeśli o mnie idzie, jestem dumny, że pójdę na spotkanie kul, a choćby i sznura, razem z tobą, Atosie, bo

jeszcześ nigdy mi się nie wydał tak wielki jak dziś.

D'Artagnan nic nie mówił, za to zgryzłszy całą łądkę kwiatka, zaczął przygryzać własne palce.

— Więc wyobrażacie sobie, że was tu ktoś zabije? — odezwał się wreszcie. — A to niby po co? Komu zależy na waszej śmierci? Zresztą jesteście naszymi jeńcami.

— O, nierozumny! — rzekł Aramis — czy nie znasz Mordaunta? Otóż wiedz, że choć zamieniłem z nim tylko jedno spojrzenie, wyczuwałem w tym spojrzeniu, że jesteśmy skazani na śmierć.

— Nie mogę odżalować, zem go nie udusił, jak mi, Aramisie, poradziłeś — rzekł Portos.

— A ja kpię sobie z Mordaunta! — zawołał d'Artagnan. — Na Boga, jeśli mi będzie zbytnio zawadzał, rozgniotę jak robaka. Nie uciekajcie więc, nie potrzeba, bo przysięgam wam, że jesteście tu równie bezpieczni, jak byliście dwadzieścia lat temu, ty, Atosie, przy ulicy Ferou, a ty, Aramisie, przy ulicy Vaugirard.

— Widzisz? — rzekł Atos, wyciągając rękę ku jednemu z dwóch zakratowanych okien, które oświetlały pokój — za chwilę będziesz wiedział, czego się trzymać, bo właśnie nadjeżdża.

— Kto?

— Mordaunt.

Rzeczywiście, spojrzawszy w kierunku wskazanym ręką Atosa, d'Artagnan ujrzał pędzącego galopem jeźdźca. Był to Mordaunt. D'Artagnan wybiegł z pokoju.

Portos chciał mu towarzyszyć.

— Zostań — rzekł d'Artagnan — ale jeśli usłyszysz, że bębnię palcami w drzwi, wyjdź także.

## 15. Chryste Panie!

Kiedy Mordaunt zajechał przed dom, zobaczył d'Artagnana stojącego na progu i żołnierzy leżących na trawie w ogródku, z bronią.

— Hola! — krzyknął, a głos miał zdławiony po szybkiej jeździe — są jeńcy?

— Tak, panie — odparł sierżant, spiesznie podnosząc się z trawy. Jego ludzie też się zerwali na nogi i skwapliwie podnosili ręce do kapeluszy.

— Dobrze. Czterech ludzi, żeby ich zabrać i niezwłocznie odprowadzić do mojej kwatery.

Czterej żołnierze zaczęli się szykować.

— A bo co takiego? — odezwał się d'Artagnan z tą kpiącą miną, jaką czytelnicy nasi nieraz już widywali, odkąd z nim zawarli znajomość. — Co takiego, proszę pana?

— A to, panie d'Artagnan — rzekł Mordaunt — że rozkazuję czterem ludziom, by zabrali jeńców, których wzięliśmy dziś rano, i odprowadzili ich do mojej kwatery.

— A dlaczegoż to? — zapytał d'Artagnan. — Przepraszam za ciekawość, ale chyba nie dziwisz się, panie Mordaunt, że pragnę, byś mnie oświecił w tej materii.

— Dlatego, że jeńcy teraz do mnie należą — odparł wyniośle Mordaunt — i że mogę dysponować nimi, jak mi się spodoba.

— Wolnego, wolnego, mój młody panie — rzekł d'Artagnan. — Coś mi się zdaje, że się mylisz. Jeńcy należą się zazwyczaj tym, którzy ich wzięli, a nie tym, którzy patrzyli, jak ich brano. Mogłeś wziąć do niewoli milorda de Wintera, który był twoim stryjem, powiadają; wolałeś go zabić, twoja sprawa. My, pan du Vallon i ja, mogliśmy zabić tych dwóch szlachciców, ale woleliśmy

ich wziąć do niewoli. Co kto lubi.

Mordauntowi zbladły wargi.

D'Artagnan zrozumiał, że sprawy stoją kiepsko, i zaczął bębnić palcami marsza na drzwiach.

Po pierwszym takcie wyszedł Portos i stanął z drugiej strony drzwi, na progu, głową sięgając górnej framugi futryny.

Manewr nie uszedł uwagi Mordaunta.

— Panie d'Artagnan — rzekł z trudem hamując się, by nie wybuchnąć — opór stawiałbyś daremnie. Przed chwilą jeńcy zostali dani mnie, a dał mi ich wódz naczelny, a mój wielmożny opiekun, generał Oliver Cromwell.

Słowa te spadły na d'Artagnana niby grom. Krew uderzyła mu do skroni, w oczach na mgnienie zrobiło się ciemno. Przejrzał okrutny zamiar młodzieńca — i instynktownie sięgnął ręką ku rękojeści szpady.

Portos zaś wciąż patrzył na d'Artagnana, żeby wiedzieć, co ma robić, żeby naśladować każdy jego ruch.

D'Artagnanowi to utkwione w nim spojrzenie Portosa nie dodało otuchy, przeciwnie, zaniepokoiło go i zaczął żałować, że sam wmieszał brutalną siłę swego przyjaciela w sprawę, z której jak to pojął w lot, można było wybrnąć jedynie fortem.

Gwałt zgubiłby nas wszystkich — mówił sobie w duchu — d'Artagnanie, przyjacielu kochany, dowiedz temu młodemu padalcowi, że przewyższasz go nie tylko siłą, ale i przebiegłością.

— A — rzekł zginając się w głębokim ukłonie — od tego trzeba było zacząć, panie Mordaunt. Więc przychodzisz od generała Olivera Cromwella, najświetniejszego wodza naszych czasów?

— Wprost od niego przybywam, panie — odparł Mordaunt, zeskakując z konia i rzucając cugle jednemu z żołnierzy — wprost od niego przybywam.

— Czemuż nie powiedziałeś tego od razu, drogi panie Mordaunt — mówił dalej d'Artagnan. — Cała Anglia należy do pana Cromwella i jeśli w jego

imieniu żadasz ode mnie jeńców, chyle głowę, panie, jeńcy są twoi, bierz ich.

Mordaunt zbliżył się z rozjaśnionym obliczem, a przerażony Portos, z niewymownym zdumieniem patrząc na d'Artagnana, już otwierał usta, żeby się odezwać.

D'Artagnan nadepnął mu na but i wtedy dopiero Portos zrozumiał, że przyjaciel udaje, że to jakiś fortel.

Mordaunt postawił nogę na pierwszym schodku i z kapeluszem w rękę chciał przejść między dwoma przyjaciółmi, dając znak czterem żołnierzom, by szli za nim.

— Zaraz, chwileczkę — rzekł z niezmiernie uprzejmym uśmiechem d'Artagnan, kładąc rękę na ramieniu młodzieńca — skoro wielmożny generał Cromwell rozporządził się moimi jeńcami na twoją korzyść, zapewne dał ci akt darowizny na piśmie.

Mordaunt stanął jak wryty.

— Dał ci liścik do mnie, dokumencik, stwierdzający, że przybywasz w jego imieniu. Zechciej, proszę, oddać mi ów dokumencik, żebym go miał na swoje usprawiedliwienie odstępując ci moich rodaków. Inaczej — pojmujesz, panie, choć jestem przeświadczony, że generał Cromwell niczego złego im nie życzy — rzecz wypadłaby nieładnie.

Mordaunt cofnął się i pojmując, o co idzie, rzucił d'Artagnanowi straszliwe spojrzenie; ale d'Artagnan odpowiedział mu najuprzejmiejszym i najprzyjaźniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek zajaśniał na ludzkiej twarzy.

— Jeśli ja ci to mówię, panie — rzekł Mordaunt — chyba nie znieważysz mnie wątpiąc o moim słowie?

— Ja! — zawołał d'Artagnan — ja miałbym wątpić o twoim słowie! Niechże mnie Bóg broni, mój kochany panie Mordaunt! Przeciwnie, mam cię za godnego i zacnego szlachcica, sądząc z pozorów. Ale czy chcesz, panie, bym pomówił z tobą otwarcie? — ciągnął dalej d'Artagnan, a twarz jego wyrażała jak najpoczciwszą szczerość.

— Mów, panie — rzekł Mordaunt.

— Otóż pan du Vallon, którego tu widzisz, jest bogaty, ma czterdzieści tysięcy liwrów renty, więc nie dba o pieniądze. Nie mówię za niego, lecz za siebie.

— Więc co zatem, panie?

— Ano to, że ja bogaty nie jestem; w Gaskonii to nie dyshonor, panie Mordaunt, tam nikt nie jest bogaty, a przeświatnej pamięci Henryk IV, który był królem wszystkich Gaskończyków, jak jego królewska mość Filip IV jest królem wszystkich Hiszpanów, nigdy nie miał grosza przy duszy.

— Kończże, panie d'Artagnan — rzekł Mordaunt. — Już wiem, ku czemu zmierzasz, i jeśli powstrzymuje cię to, co mam na myśli, łatwo da się usunąć tę trudność.

— Otóż to! Wiedziałem, żeś jest chłopak nie w ciemię bity — rzekł d'Artagnan. — Tak, o to mi idzie, w tym sęk. Jestem żołnierzem jedynie i tylko to mam, co mi moja szpada przyniesie, czyli więcej ran niż talarów. Otóż biorąc dziś rano do niewoli tych dwóch Francuzów, którzy są znamienitego rodu, jak mniemam, dwóch kawalerów orderu podwiązki, ni mniej, ni więcej, powiedziałem sobie: Zrobiłem majątek. Mówię: dwóch, bo w podobnych przypadkach pan du Vallon, człowiek bogaty, zawsze odstępuje mi swoich jeńców.

Mordaunt, który całkiem dał się zwieść dobrodusznej wielomówności d'Artagnana, uśmiechnął się z miną człowieka, który świetnie rozumie racje, jakie mu zostały wyluszczone, i odpowiedział życzliwie:

— Za pół godziny będę miał podpisany rozkaz, panie d'Artagnan, i dwa tysiące pistoli razem z rozkazem. Ale tymczasem pozwól mi zabrać jeńców.

— Nie — odparł d'Artagnan. — Cóż dla ciebie znaczy pół godziny zwłoki? Jestem człowiekiem akuratnym, panie Mordaunt, załatwmy wszystkie sprawy za porządkiem.

— Hola, mój panie, bo mógłbym siłą zabrać jeńców — rzekł Mordaunt. —

Ja tu rozkazuję.

— Ach, panie Mordaunt — rzekł d'Artagnan uśmiechając się przyjaźnie — choć ja i pan du Vallon mieliśmy zaszczyt podróżować w pańskim towarzystwie, od razu widać, że nas nie znasz. Zaczyna my szlachta i zdolni jesteśmy, we dwu, zabić ciebie i twoich ośmiu ludzi. Na miły Bóg, panie Mordaunt, nie upieraj się, bo jeśli ktoś się upiera, i ja się zaczynam upierać i staję się okrutnie uparty. A ten tu pan — mówił d'Artagnan dalej — w takich wypadkach staje się jeszcze bardziej uparty niż ja i jeszcze okrutniej zawzięty; nie licząc, że jesteśmy wysłani przez pana kardynała Mazariniego, który zastępuje króla Francji, z czego wynika, że w tej chwili my reprezentujemy króla i kardynała, co sprawia, że jako posłowie, jesteśmy nietykalni, o czym pan Oliver Cromwell, zaiste nie mniejszy polityk niż wódz, na pewno dobrze wie. Poproś go więc o rozkaz na piśmie. Cóż cię to kosztuje, mój ty kochany panie Mordaunt?

— Tak jest, rozkaz na piśmie — rzekł Portos, zaczynając rozumieć zamiar przyjaciela. — Tylko tego chcemy od pana.

Jakkolwiek Mordaunt wielką miał chęć uciec się do użycia przemocy, jako człowiek rozsądny musiał przyznać słuszność racjom, które mu wyłuszczył d'Artagnan. Prócz tego zawsze imponowała mu reputacja muszkietera, to zaś, co sam widział tego ranka, jeszcze go utwierdziło w wysokim mniemaniu o jego osobie. Zastanowił się. A ponieważ nie wiedział, jak głęboka przyjaźń łączy czterech Francuzów, wszystkie jego niepokoje znikły wobec argumentu okupu, argumentu wielce zresztą przekonującego.

Postanowił więc pojechać nie tylko po rozkaz, ale i po dwa tysiące pistoli, bo na tyle sam oszacował obu jeńców.

Mordaunt wsiadł więc na konia i poleciwszy sierżantowi, żeby pilnował Francuzów jak oka w głowie, ruszył galopem i znikł.

— Dobrze! — rzekł sobie d'Artagnan — kwadrans na dojechanie do namiotu, kwadrans na powrót, to więcej niż nam trzeba.

Po czym przysunął się do Portosa i ani na jotę nie zmieniawszy wyrazu twarzy, by ci, którzy by śledzili go, mogli mniemać, że mówi w dalszym ciągu o tym samym, rzekł zaglądając przyjacielowi w oczy:

— Drogi Portosie, posłuchaj uważnie... Naprzód ani słowa naszym przyjaciołom o tym, coś tu usłyszał; nie trzeba, żeby wiedzieli, jaką im świadczymy przysługę.

— Dobrze — rzekł Portos. — Rozumiem.

— Idź do stajni, tam zastaniesz Muszkiet. Osiodłacie konie, włożycie pistolety w olstra, wyprowadzicie konie, o, na tamtą ulicę i będziecie je trzymali w pogotowiu, żeby w każdej chwili można było ruszyć. Reszta należy do mnie.

Portos usłuchał o nic nie pytając, wzruszający w swojej ślepej wierze w przyjaciela.

— Już idę — rzekł — tylko zajrzę jeszcze do pokoju, w którym są Aramis i Atos, dobrze?

— Nie, nie potrzeba.

— W takim razie zrób mi tę grzeczność i zabierz moją sakiewkę, którą zostawiłem na kominku.

— Bądź spokojny, zabiorę.

Portos poszedł więc swym powolnym, spokojnym krokiem do stajni, a żołnierze, między którymi przechodził, nie mogli utaić zachwytu, jaki wzbudzał w nich jego wysoki wzrost i potężna budowa, choć był to przecież Francuz. Na rogu ulicy spotkał Muszkietę i zabrał go ze sobą.

Teraz dopiero d'Artagnan wszedł do pokoju, pogwizdując melodyjkę, którą zaczął sobie świstać wtedy, kiedy Portos wyruszył do stajni.

— Mój kochany Atosie — rzekł — przemyślałem twoje argumenty i przekonały mnie. Naprawdę, szczerze żałuję, że się wpakowałem w tę całą kabałę. Mazarini to cham, masz słuszość. Postanowiłem tedy uciec razem z wami. Rzecz jest przesądzona, nie ma o czym dłużej gadać, szykujcie się. Wasze szpady stoją, o tam, w tamtym kącie; nie zapomnijcie ich, jest to



narzędzie, które może się nam mocno przydać w położeniu, w jakim znaleźliśmy się. Aha, to mi przypomina sakiewkę Portosa. Jest, świetnie.

I d'Artagnan włożył sakiewkę do kieszeni. Atos i Aramis ze zdumieniem przyglądali się temu wszystkiemu.

— Co, u licha, cóż w tym tak niezwykłego? — zapytał d'Artagnan. — Czemu się dziwicie? Byłem ślepy; Atos otworzył mi oczy, ot i wszystko. Chodźcie no tutaj.

Atos i Aramis podeszli.

— Widzicie tę ulicę? — zapytał d'Artagnan. — Tam będą czekały konie. Wyjdziecie przez drzwi, skróćcie w lewo, wskoczycie na siodła i tyle. O nic się nie troszczcie, tylko bacznie zważajcie na hasło. A hasłem będzie, kiedy krzyknę: “Chryste Panie!”

— Ale parol, że pojedziesz razem z nami, d'Artagnanie — rzekł Atos.

— Przysięgam wam na Boga.

— Dobrze! — zawołał Aramis. — Na okrzyk “Chryste Panie!” wychodzimy, roztrącamy wszystko, co nam na drodze stanie, biegniemy do koni, wskakujemy na siodła i ruszamy galopem, czy tak?

— Tak, świetnie.

— Widzisz, Aramisie — odezwał się Atos — zawsze ci mówiłem, że d'Artagnan jest najlepszy z nas wszystkich.

— Ślicznie! — rzekł d'Artagnan. — Komplementy? Zmykamy. Bywajcie.

— Ale uciekasz razem z nami, prawda?

— Ja myślę. Nie zapomnijcie hasła: “Chryste Panie!”

I wyszedł tak, jak wszedł, takim samym krokiem, podejmując melodyjkę, którą gwizdał wchodząc, w tym miejscu, w którym ją przerwał.

Żołnierze grali w karty albo spali. Dwaj, siedząc na uboczu, śpiewali fałszywie psalm: Super flumina Babylonis.

D'Artagnan zawołał sierżanta.

— Mój kochany — rzekł mu — generał Cromwell przysłał po mnie pana

Mordaunt. Proszę cię, żebyś dobrze pilnował jeńców.

Sierżant pokręcił głową na znak, że nie rozumie po francusku. Wtedy d'Artagnan wytłumaczył mu na migi to, czego nie mógł mu wytłumaczyć słowami.

Sierżant skinął głową na znak, że zrozumiał.

D'Artagnan poszedł do stajni; konie były już osiodłane, wszystkie, i jego koń także. Czyli razem pięć.

— Niech każdy z was bierze jednego konia za uzdę — rzekł do Portosa i Muszkiet — i jedźcie skręcając w lewo, tak, żeby Atos i Aramis mogli was zobaczyć z okna.

— Zatem przyjdą? — zapytał Portos.

— Za chwilę.

— Nie zapomniałeś mojej sakiewki?

— Nie, bądź spokojny.

— Dobrze.

Portos i Muszkiet udali się na wskazane miejsce, a każdy prowadził za uzdę jednego luźnego konia.

D'Artagnan zaś, zostawszy sam, skrzesał ognia, zapalił kawałek hubki dwukrotnie większy od ziarnka soczewicy wsiadł na konia, wjechał w sam środek żołnierzy i przystanął na wprost domu.

Tu, głaszcząc konia ręką, nieznacznie wsunął mu kawałek tłęcej się hubki w ucho.

Tylko jeździec tak świetny jak d'Artagnan mógł się na coś podobnego poważyć; oparzone ogniem zwierzę natychmiast stanęło dęba i skoczyło jak wściekłe.

Żołnierze, których koń o mało co nie stratował, rozpierzchli się w okamgnieniu.

— Do mnie! do mnie! — krzyczał d'Artagnan. — Trzymajcie, trzymajcie! Mój koń się wściekł!

Rzeczywiście, koń w jednej chwili pokrył się białą pianą, a oczy miał takie, jakby miała z nich wytrysnąć krew.

— Do mnie! — dalej krzyczał d'Artagnan, bo żołnierze nie śmieli mu przyjść z pomocą. — Do mnie! Pomóżcie, bo się zabiję! Chryste Panie!

Ledwie to d'Artagnan krzyknął, drzwi otworzyły się i Atos, i Aramis, każdy ze szpadą w dłoni, wypadli na dwór. Dzięki fortelowi d'Artagnana droga była wolna.

— Jeńcy uciekają! Jeńcy uciekają! — wrzasnął sierżant.

— Łapać! Trzymać! — wrzasnął d'Artagnan, popuszczając cugli rozszalałemu koniowi, który puścił się pędem, przewracając po drodze dwóch czy czterech żołnierzy.

— Stać! Stać! — wrzeszczeli żołnierze, biegnąc po porzuconą broń. Ale jeńcy już na koniach i raz znalazłszy się na siodłach, nie tracili czasu; puścili się ku najbliższej miejskiej bramie. Będąc w połowie ulicy dostrzegli Milczka i Blaisoisa, którzy szukali swoich panów.

Na znak dany przez Atosa Milczek pojął, co się święci, i obaj z Blaisoisem zaczęli gonić grupę czterech jeźdźców mknących na podobieństwo kurzawy, których pędzący z tyłu d'Artagnan jeszcze przynaglał krzykiem. Przejechali pod sklepieniem bramy jak gromada widm, mimo straży, które nawet nie próbowały ich zatrzymać, i znaleźli się w szczerym polu.

Przez ten czas żołnierze wciąż wrzeszczeli: stać! stać! a sierżant, który pojął wreszcie, że go wystrychnięto na dudka, rwał sobie włosy z głowy.

W tejże właśnie chwili ukazał się jeździec pędzący galopem i wymachujący trzymanym w ręku papierem.

To Mordaunt wracał z rozkazem.

— Jeńcy! — krzyknął zeskakując z konia.

Sierżantowi nie stało siły, żeby odpowiedzieć; wskazał na otwarte na oścież drzwi i pusty pokój. Mordaunt wbiegł na schody, zrozumiał wszystko, krzyknął, jakby mu trzewia z brzucha wyszarpięto, i padł zemdlony na

kamienny próg.

## 16. W którym dowiedzione zostaje, że nawet i w najtrudniejszej sytuacji wielkie serca nigdy nie tracą odwagi, a dobre żołądki — apetytu

Gromadka jeźdźców, nie zamieniwszy ani słowa i nie obejrzawszy się za siebie ani razu, mknęła wyciągniętym galopem, przeprawiając się po drodze przez rzeczkę, której nazwy żaden z nich nie znał, i zostawiając po lewej ręce miejscinę, będącą, według mniemania Atosa, miasteczkiem Durham.

Dojrzeli wreszcie nieduży las i po raz ostatni spiąwszy ostrogami konie, skierowali je w tamtą stronę.

Skoro już znikli za zasłoną zieleni, dość gęstą, by ich ukryć przed wzrokiem tych, którzy by ich ścigać mogli, przystanęli, żeby się naradzić. Dwu służącym powierzyli pieczę nad końmi, żeby wytchnęły nieco, choć nie rozsiodłane i nie rozkiełznane, a Milczka postawili na straży.

— Pójdź no najpierw, niechże cię uściskam, przyjacielu — rzekł Atos do d'Artagnana — pójdź, nasz zbawco, pójdź, ty najprawdziwszy spośród nas bohaterze.

— Atos ma słuszość, podziwiam cię — rzekł z kolei Aramis biorąc go w ramiona. — Do jakich zaszczytów doszedłbyś u boku mądrego władcy z tym niezawodnym okiem, stalowym ramieniem i wszystko zwyciężającym umysłem!

— Dobrze już, dobrze — rzekł Gaskończyk. — Niech będzie, przyjmujemy wszystko, obaj z Portosem, uściski i podziękowania. Czasu mamy dosyć, możemy nim szafować, co prawda to prawda.

Atos i Aramis, którym d'Artagnan przypomniał w ten sposób, że Portosowi też coś niecoś zawdzięczają, i jemu z kolei uściśnęli dłoń.

— A teraz — rzekł Atos — w tym rzecz, żeby nie pędzić po wariacku na złamanie karku, ale żeby obmyślić jakiś plan działania. Co będziemy robili?

— Co będziemy robili, do kaduka? Chyba nietrudno powiedzieć.

— Więc powiedz, d'Artagnanie.

— Pojedziemy do najbliższego portu morskiego, złożymy się z naszych skromnych zasobów, wynajmiemy statek i przeprowimy się do Francji. Jeśli o mnie chodzi, dam na to wszystko, co mam, do ostatniego grosza. Największy skarb to życie, a nasze, nie ma się co łudzić, wisi w tej chwili na włosku.

— A co ty, du Vallon, o tym powiesz? — zapytał Atos.

— Ja — odparł Portos — jestem tegoż zdania co i d'Artagnan. Anglia to paskudny kraj.

— Jesteście więc zdecydowani opuścić ją, czy tak? — zapytał Atos d'Artagnana.

— Na krew Pańską! — rzekł d'Artagnan. — A cóż by nas tu mogło zatrzymywać?

Atos zamienił spojrzenie z Aramisem.

— Jedźcie zatem, przyjaciele — rzekł wzdychając.

— Jak to jedźcie? — rzekł d'Artagnan — chyba: jedźmy!

— Nie, mój drogi — odparł Atos. — Trzeba się nam będzie rozstać.

— Rozstać się! — zawołał d'Artagnan, oszołomiony tą nieoczekiwaną nowiną.

— E, tam — rzekł Portos. — A po cóż byśmy się mieli rozstawać, skoro jesteśmy razem?

— Bo wasza misja została spełniona, więc możecie, a nawet i powinniście wrócić do Francji, ale z naszą jeszcze nie koniec.

— Wasza misja nie została spełniona? — rzekł d'Artagnan, ze zdziwieniem patrząc na Atosa.

— Nie przyjacielu — odparł Atos swym głosem tak łagodnym, a tak zarazem stanowczym. — Przybyliśmy tu, żeby bronić Karola I, źleśmy go

bronili, teraz powinniśmy go uratować.

— Uratować króla! — powtórzył d'Artagnan, spoglądając na Aramisa tak, jak przed chwilą spojrział na Atosa.

Aramis tylko przytaknął skinieniem głowy.

Twarz d'Artagnana przyoblekła się w wyraz głębokiego współczucia. Zaczynał mniemać, że ma do czynienia z ludźmi niespełna rozumu.

— Nie uwierzę, byś mówił serio, Atosie — odezwał się. — Król znajduje się między wojskiem, które go prowadzi do Londynu, wojskiem tym dowodzi pułkownik Harrison, rzeźnik czy też syn rzeźnika, mniejsza z tym. Proces jego królewskiej mości odbędzie się zaraz po jego przybyciu do Londynu, za to ci ręczę; słyszałem na ten temat niejedno z ust samego Oliviera Cromwella, więc wiem, czego się trzymać w tym względzie.

Atos i Aramis zamienili ze sobą jeszcze jedno spojrzenie.

— A po zakończeniu procesu wyrok będzie bezzwłocznie wykonany — mówił dalej d'Artagnan. — O, panowie purytanie to ludzie prędcy, nie zasypiają gruszek w popiele.

— Na jaką karę, według twego mniemania, może być skazany król? — zapytał Atos.

— Bardzo się boję, żeby to nie była kara śmierci; zanedo mu dokuczali, by im miał przebaczyć, więc zostało im tylko jedno wyjście: zabić go. Czyżbyście nie wiedzieli, co powiedział pan Olivier Cromwell, kiedy podczas jego bytności w Paryżu pokazano mu wieżę Vincennes, w której zamknięty był pan de Vendôme?

— Cóż takiego powiedział? — zapytał Portos.

— Że jeśli już brać się za książąt, to zaczynać od głowy.

— Znam to powiedzenie — rzekł Atos.

— Czyżbyś więc sądził, że teraz, kiedy ma króla, nie wprowadzi w czyn swojej maksymy?

— Oczywiście, jestem tego nawet całkiem pewny, ale to jeszcze jeden

argument za tym, żeby nie opuścić tej dostojnej a zagrożonej głowy.

— Atosie, w obłęd wpadasz!

— Nie, przyjacielu — odparł łagodnie szlachcic — ale widzisz, de Winter przyjechał po nas do Francji i zaprowadził nas do królowej Henriety. Jej królewska mość zaszczyciła nas, pana d'Herblay i mnie, prośbą o pomoc dla swego małżonka. A my zobowiązaliśmy się słowem wobec jej królewskiej mości, że wszystko oddamy jego sprawie, nasze siły, nasz rozum, nasze życie wreszcie; trzeba więc słowa dotrzymać. Czy też tak mniemasz, d'Herblay?

— Tak — rzekł Aramis. — Obiecaliśmy.

— Prócz tego — mówił dalej Atos — jest też i drugi wzgląd. Posłuchajcie mnie uważnie. We Francji wszystko w tej chwili jest płaskie i małe. Mamy dziesięcioletniego króla, który nie wie jeszcze, czego chce; mamy królową, którą zaślepiała spóźniona namiętność; mamy ministra, który tak rządzi Francją, jakby była dużą fermą, czyli że orze ją intrygą i włoską chytrą i troszczy się o to jedynie, ile złota da mu się z niej zebrać; mamy książąt, którzy się buntują, ale egoistycznie, myśląc tylko o własnej korzyści i dążąc do tego jedynie, by wyrwać Mazariniemu z rąk parę sztabek złota i parę strzępów władzy. Służyłem im nie z zapału — Bóg mi świadkiem, że wiem, ile są warci — ale dla zasady. Dziś to co innego; dziś spotkałem na drodze mego żywota niedolę wielkiej miary, niedolę królewską, niedolę europejską i związałem się z nią. Jeśli uda nam się ocalić króla, będzie to piękny czyn; jeśli za niego umrzemy — będzie to czyn wielki.

— Więc jak widzę, z góry wiecie, że musicie zginąć — rzekł d'Artagnan.

— Liczymy się z tym i tylko to nas boli, że zginiemy z dala od was.

— I cóż poczniecie w obcym, wrogim kraju?

— W młodości podróżowałem po Anglii, mówię po angielsku jak Anglik, a i Aramis zna język jako tako. Ach, gdybyście wy byli razem z nami, drodzy przyjaciele! Z tobą d'Artagnanie, z tobą, Portosie, znów we czterech, pierwszy raz po dwudziestu latach, moglibyśmy stawić czoło nie tylko Anglii, ale trzem



królestwom.

— Czy obiecaliście waszej królowej — odezwał się z przekąsem d'Artagnan — że wdrzecie się do wieży Londyńskiej, że zabijecie sto tysięcy żołnierzy, że stoczycie zwycięską walkę z wolą całego narodu i ambicją człowieka takiego jak ten, który zwie się Oliverem Cromwellem? Nie widzieliście go, ani ty, Atosie, ani ty, Aramisie. Więc dowiedzcie się, że jest to człowiek genialny, który mocno mi przypomina naszego kardynała, tamtego, wielkiego kardynała! Sami dobrze wiecie. Nie przeceniajcie więc swoich zobowiązań. W imię nieba, Atosie, nie czyńcie bezużytecznej ofiary. Daję słowo, kiedy patrzę na ciebie, zdaje mi się, że widzę rozumnego człowieka, ale kiedy mi odpowiadasz, zdaje mi się, że mam do czynienia z szaleńcem. Nuże, Portosie, pomóżże mi. Co ty o tym wszystkim myślisz, odezwij się wreszcie.

— Nic dobrego — odparł Portos.

— No widzicie — ciągnął d'Artagnan, zniecierpliwiony tym, że Atos, zamiast jego słuchać, wydawał się słuchać jakiegoś głosu, który w nim samym gadał — nigdyście jeszcze nie wyszli źle na moich radach. Możesz mi wierzyć, Atosie, że wasza misja została spełniona, spełniona z honorem. Wracajcie do Francji razem z nami.

— Przyjacielu — rzekł Atos — nasze postanowienie jest niewzruszone.

— Może jest jeszcze jakaś przyczyna, której nie zdradziłeś nam?

Atos uśmiechnął się.

D'Artagnan z gniewem uderzył się po udzie i jeszcze spróbował perswadować, wynajdując najbardziej przekonujące argumenty, ale Atos odpowiadał na nie tylko spokojnym i łagodnym uśmiechem, a Aramis przeczącymi ruchami głowy.

— W takim razie — krzyknął wreszcie ze złością d'Artagnan — w takim razie, skoro uparliście się, dobrze, zostawmy nasze kości w tym zakazanym kraju, gdzie jest wiecznie zimno, gdzie pogoda to mgła, mgła to deszcz, a deszcz to istny potop; gdzie słońce jest podobne do księżyca, a księżyc do białego sera.

Słusznie, czy tu się umrze, czy gdzie indziej — co za różnica, skoro raz przecież trzeba umierać!

— Zastanów się jednak, przyjacielu — rzekł Atos — że w ten sposób umrzesz wcześniej.

— Et, trochę wcześniej, trochę później, nie ma się o co targować!

— Jeśli coś mnie dziwi — odezwał się sentencjonalnie Portos — to to jedynie, że się to jeszcze nie stało.

— Stanie się to, nie martw się, Portosie — rzekł d'Artagnan. — Zatem zgoda — ciągnął dalej Gaskończyk. — I jeśli Portos nie ma nic przeciwko temu...

— Ja — rzekł Portos — zrobię jak wy zechcecie. Zresztą to, co hrabia de La Fere powiedział przed chwilą, wydało mi się bardzo piękne.

— Ale twoja przyszłość, d'Artagnanie? Twoje ambicje, Portosie?

— Nasza przyszłość, nasze ambicje! — zawołał z gorączkową swadą d'Artagnan. — A po cóż mielibyśmy się o to troszczyć, skoro ratujemy króla? Jak go uratujemy, skrzykujemy jego przyjaciół i stronników, bijemy purytanów, zdobywamy na powrót całą Anglię, wracamy razem z nim do Londynu i sadzamy go z paradą na tronie...

— A on robi nas książętami i parami — dokończył Portos, któremu oczy aż zabłyśły z radości, choć oglądał tę świetną przyszłość jedynie w opowieści, wielce przypominającej baśń.

— Albo o nas zapomina — rzekł d'Artagnan.

— E! — skrzywił się Portos z niedowierzaniem.

— Mój Boże, zdarza się i tak, przyjacielu Portosie. Zdaje mi się nawet, że my sami wyświadczyliśmy niegdyś królowej Annie Austriaczce przysługę nie o wiele mniejszą od tej, którą dziś wyświadczyć chcemy Karolowi I, co zgoła nie przeszkodziło królowej Annie Austriaczce zapomnieć o nas na dwadzieścia lat.

— Lecz mimo to, d'Artagnanie, czy żałujesz, żeś jej tę przysługę wyświadczył? — zapytał Atos.

— Nie, na honor — odparł d'Artagnan — a nawet ci wyznam, że ilekroć zdarzyło mi się być w kiepskim humorze, właśnie to wspomnienie było mi pociechą.

— Widzisz więc, d'Artagnanie, że choć książęta bywają niewdzięczni, Bóg nigdy niewdzięczny nie jest.

— Wiesz co, Atosie? — rzekł d'Artagnan — wierzę święcie, że jeślibyś spotkał na ziemi diabła, tak byś go zagadał, że poszedłby za tobą do nieba.

— A więc? — zapytał Atos, wyciągając rękę do d'Artagnana.

— Więc zgoda — odparł d'Artagnan. — Uważam, że Anglia to kraj ze wszech miar uroczy, i zostaję, ale pod jednym warunkiem...

— Jakim?

— Że nikt mnie nie będzie zmuszał, bym się nauczył po angielsku.

— A teraz — odezwał się triumfującym tonem Atos — przysięgam ci, przyjacielu, na tego Boga, który nas słyszy, i na moje imię, żadną plamą nie skalane, jak dufam, że wierzę w istnienie potęgi, która czuwa nad nami. i mam niepłonną nadzieję, że wszyscy czterej jeszcze zobaczymy Francję.

— Dałby Bóg! — rzekł d'Artagnan — ja bowiem wyznać ci muszę, jestem wręcz odmiennego zdania.

— Drogi, kochany d'Artagnan! — rzekł Aramis. — Jest on między nami niby te opozycyjne parlamenty, które zawsze mówią „nie”, a robią “tak”.

— Owszem, i jak gdyby nigdy nic, ratują ojczyznę — rzekł Atos.

— Ślicznie. A teraz skoro wszystko zostało postanowione — rzekł Portos zacierając ręce — może byśmy pomyśleli o obiedzie. O ile pamiętam, nawet i w najsrońszych w naszym życiu terminach, zawsze jedliśmy obiad.

— Aha, właśnie, gadaj tu o obiedzie w kraju, gdzie jako najsmakowitszą potrawę jadają gotowaną baraninę i pijają piwo jako najsmakowitszy napój. Jakież cię diabeł podkusił, żeś przyjechał właśnie do takiego kraju. Atosie? O, przepraszam — dodał uśmiechając się — zapomniałem, że już nie jestem Atosem. Ale mniejsza z tym, powiedz, Portosie, jaki masz plan sprokurowania

obiadu?

— Plan!

— Tak, chyba masz jakiś plan?

— Nie, mam tylko apetyt.

— Do kroćset! Ja też mam apetyt, ale nie w tym sęk. Apetyt to nie dość, trzeba jeszcze znaleźć coś do zjedzenia, chyba że zaczniemy skubać trawkę jak nasze konie...

— Ach! — westchnął Aramis, który zgoła nie był tak oderwany od spraw ziemskich jak Atos — czy pamiętacie, jakie świetne ostrygi jedliśmy w Parpaillot?

— I te pieczonki z baranów pasionych na słonych łąkach! — dorzucił Portos oblizując wargi koniuszkiem języka.

— Lecz czyż nie mamy, Portosie, naszego Muszkiet, który tak dobrze nas karmił w Chantilly? — zapytał d'Artagnan.

— W samej rzeczy — odparł Portos — mamy Muszkiet. Wprawdzie odkąd został moim intendentem, mocno utył i skapcaniał, ale trudno, zawołajmy go.

I chcąc go skaptować, zawołał:

— Hej! Musz!

Musz zbliżył się z wielce żalonym obliczem.

— Co ci jest kochany panie Musz? — zapytał d'Artagnan. — Czyś nie chory?

— Nie, panie, ale bardzo głodny — odpowiedział Muszkiet.

— Znakomicie się składa, mój kochany panie Musz, bo wezwaliśmy cię właśnie w tej sprawie. Czy nie mógłbyś nam schwytać w sidła kilka sztuk miłych króliczków i tych ślicznych przepióreczek, z których przyrządzałeś potrawki i gulasze w gospodzie pod... o, na honor, nie mogę sobie przypomnieć jej nazwy.

— W gospodzie pod... — odezwał się Portos. — Na honor! I ja też nie

pamiętam.

— Mniejsza z tym; a także schwycić na łąso jedną i drugą butelczynę tego starego burgunda, który tak skutecznie wyleczył ze zwicłnięcia ręki twego pana?

— Niestety, proszę pana — odparł Muszkiet — boję się, że wszystko, co pan wyliczył, należy do rzadkości w tym okropnym kraju, i mniemam, że uczynimy lepiej prosząc o gościnę pana dworku, który widać na skraju lasu.

— Jak to, więc w okolicy jest jakiś dworek? — zapytał d'Artagnan.

— Tak, proszę pana, jest — odparł Muszkiet.

— Więc zrobimy, jak radzisz, przyjacielu, wprosimy się na obiada do gospodarza owego dworku. Co o tym myślicie, panowie? Powiedzcie, czy rada Musza nie wydaje się wara ze wszech miar rozumna?

— Hola, hola — rzekł Aramis — a jeżeli się okaże, że gospodarz to purytanin?

— Tym lepiej, do kaduka! — rzekł d'Artagnan. — Jeżeli jest to purytanin, powiemy mu, że wzięto króla, a on, dla uczczenia tej nowiny, zarżnie dla nas wszystkie białe kury, jakie ma.

— A jeżeli to stronnik króla?

— W tym wypadku przyoblecemy nasze oblicza w wyraz żałoby i oskubiemy jego czarne kury.

— Szczęśliwy z ciebie człowiek — rzekł uśmiechając się Atos — wszystko bierzesz na wesoło.

— Cóż chcesz? — odparł d'Artagnan — pochodzę z kraju, nad którym niebo jest bez jednej chmurki.

— Nie to, co tu — westchnął Portos, wyciągając rękę, żeby się przekonać, czy nie kropla deszczu była sprawczynią chłodnego muśnięcia w policzek, jakie uczuł przed chwilą.

— Jedźmy, jedźmy — rzekł d'Artagnan. — Jeszcze jeden powód więcej, żeby już wreszcie ruszyć. Hola, Milczek!

Zjawił się Milczek.

— No i jakże tam, przyjacielu Milczku, czy coś zobaczyłeś? — zapytał d'Artagnan.

— Nic — odparł Milczek.

— Durniu! — odezwał się Portos — nawet nas nie ścigają. Ho, gdybyśmy to my byli na ich miejscu!

— Racja, a szkoda — rzekł d'Artagnan. — Chętnie zamieniłbym kilka słów z Mordauntem w tym zacisznym lasku. Przyznacie, że trudno o lepsze miejsce, żeby bez hałasu rozłożyć człowieka na ziemi.

— Stanowczo — rzekł Aramis. — Moim zdaniem, panowie, syn nie dorósł do matki.

— O, przyjacielu — odparł Atos — zaczekaj, jeszcze nie minęły dwie godziny, jakeśmy się z nimi rozstali, jeszcze nie wie, w którą udaliśmy się stronę, jeszcze nie wie, gdzie jesteśmy. Powiem, że nie dorósł do matki, kiedy postawimy stopę na francuskiej ziemi, jeśli nie zostaniemy przedtem zabici albo otruci.

— Póki co, zjedzmy jednak obiad — rzekł Portos.

— Na honor, racja — rzekł Atos — bo bardzo już jestem głodny.

— Biada wam, czarne kury — rzekł Aramis.

I czterej przyjaciele, prowadzeni przez Muszkietę, pojechali w stronę dworku, niemal tak jak niegdyś beztroscy i weseli, bo byli wreszcie razem, we czterech i w zgodzie, jak to powiedział Atos.

## 17. Cześć zwyciężonemu majestatowi

Zbiegowie nasi, zbliżywszy się do dworku, zobaczyli, że ziemia jest stratowana, jakby przejeżdżała tędy niedawno znaczniejsza liczba jeźdźców. Przed drzwiami ślady stawały się jeszcze widoczniejsze: jeźdźcy musieli się tu zatrzymać.

— Do kaduka! — rzekł d'Artagnan — sprawa jest jasna jak słońce: przejeżdżał tędy król ze swoją eskortą.

— O, psiakość! — rzekł Portos. — W takim razie na pewno wszystko wyjedli.

— E! — rzekł d'Artagnan — przecież jakaś kurka ocalała.

Zeskoczył z konia i zapukał do drzwi, ale nikt nie odpowiedział. Pchnął drzwi, które nie były zamknięte, i zobaczył, że pierwsza izba jest całkiem pusta.

— No i co tam? — zapytał Portos.

— Nie widzę nikogo — odparł d'Artagnan. — O! O!

— Co takiego?

— Krew!

Na dźwięk tego słowa trzech przyjaciele zeskoczyli z koni i weszli do pierwszej izby, lecz d'Artagnan już pchnął drzwi prowadzące do następnej komnatki i z wyrazu jego twarzy można było wywnioskować, że zobaczył coś niezwykłego.

Trzej przyjaciele zbliżyli się i ujrzeli mężczyznę, młodego jeszcze, który leżał na podłodze w kałuży krwi.

Widocznie chciał się doczołgać do łóżka, ale zabrakło mu siły i padł tam, gdzie dotarł.

Atos pierwszy podszedł do nieboraka; wydało mu się, że tamten się poruszył.

— Nie żyje? — zapytał d'Artagnan.

— Jeśli nie żyje, to od niedawna, bo jest jeszcze ciepły — odparł Atos. — Ale nie, serce bije. Hej, przyjacielu!

Ranny westchnął; d'Artagnan nabrał wody w dłonie i prysnął mu nią w twarz.

Ranny otworzył oczy, spróbował podźwignąć głowę i znów upadł.

Atos chciał więc podnieść mu głowę i oprzeć ją o swoje kolana i spostrzegł przy tym, że rana znajduje się tuż nad mózdzkiem i że czaszka jest naruszona; z rany aż buchała krew.

Aramis zmoczył w wodzie ręcznik i przyłożył go do rany. Pod wpływem zimnego okładu ranny oprzytomniał i po raz drugi otworzył oczy.

Popatrzył ze zdziwieniem na tych, którzy współczuli mu, jak się wydawało, i usiłowali przyjść mu z pomocą, ile mogli.

— Jesteś między przyjaciółmi — odezwał się po angielsku Atos — więc nie lękaj się, i jeśli ci starczy siły, opowiedz, co ci się przydarzyło.

— Król... — szepnął ranny. — Król wzięty...

— Widziałeś go? — zapytał też po angielsku Atos.

Ranny nie odpowiedział.

— Mów śmiało — rzekł Atos — jesteśmy wierni słudzy jego królewskiej mości.

— Czy to aby prawda? — zapytał ranny.

— Przysięgamy na nasz szlachecki honor.

— Zatem mogę mówić z wami szczerze?

— Mów szczerze.

— Jestem bratem Parry'ego, pokojowca jego królewskiej mości... Atos i Aramis przypomnieli sobie, że de Winter tak właśnie nazywał lokaja, którego zastali w korytarzu prowadzącym do królewskiego namiotu.

— Znamy go — rzekł Atos — nigdy nie odstępował króla.

— Tak, nigdy go nie odstępował — rzekł ranny. — A kiedy król został



pojmany, pomyślał o mnie. Przejeżdżali w pobliżu mojego domu, więc poprosił w imieniu króla, żeby się tu zatrzymać. Przystano na tę prośbę. Król był jakoby głodny, wprowadzono go do tej izby, żeby tu spożył posiłek i ustawiono warty przy drzwiach i przy oknach. Parry znał tę izbę, gdyż odwiedzał mnie parokrotnie, kiedy najjaśniejszy pan przebywał w Newcastle. Wiedział, że w podłodze jest kłapa, przez którą wchodzi się do lochu, i że tym lochem można się przedostać do sadu. Dał mi znak. Zrozumiałem. Ale widocznie pilnujący króla też ten znak spostrzegli i zaczęli się mieć na baczności. Nie wiedząc, że przejrano nasze zamysły, jednego tylko pragnąłem: ocalić króla. Udałem więc, że muszę pójść po drzewo, wiedząc, że nie ma czasu do stracenia. Wszedłem w podziemne przejście prowadzące do loszku, z którego wchodziło się do izby przez podnoszoną kłapę. Podparłem głową deskę i kiedy Parry po cichu zasuwiał zasuwę w drzwiach, dawałem znaki królowi, żeby do mnie podszedł. Niestety, nie chciał; rzec by można, że taka ucieczka była mu wstrętna. Ale Parry złożył ręce i błagał, ja też zaklinałem króla, żeby nie gardził tą okazją. Wreszcie zgodził się za mną pójść. Na szczęście szedłem przodem; król postępował w tyle, w odległości kilku kroków. I nagle ujrzałem, że w podziemnym korytarzu urasta coś na kształt wielkiego cienia. Chciałem krzyknąć, żeby ostrzec króla, ale nie zdążyłem. Coś uderzyło mnie tak potężnie, jakby mi się dom zwałił na głowę, i zemdlałem.

— Dobry i zacny Angliku! Wierny sługo! — rzekł Atos.

— Kiedym odzyskał zmysły, leżałem tam, gdzie upadł. Wyczołgałem się na podwórze. Król już odjechał razem z eskortą. Zużyłem z godzinę chyba, żeby się z podwórza dowlec aż tu, ale zabrakło mi sił i zemdlałem po raz wtóry.

— A jak się w tej chwili czujesz, panie?

— Bardzo źle — odparł ranny.

— Co możemy dla ciebie uczynić? — zapytał Atos.

— Pomóżcie mi się położyć na łóżku; to mi przyniesie ulgę, jak mniemam.

— Czy masz kogoś, kto by się mógł tobą zaopiekować?

— Moja żona jest w Durham, rychło patrzeć, jak wróci. Ale wy, czy wam niczego nie trzeba, czy niczego nie pragniecie?

— Zjawiliśmy się tu w zamiarze wproszenia się na obiad.

— Mój Boże, wszystko zabrali, nie zostawili w domu ani kawałeczka chleba.

— Słyszysz d'Artagnanie? — rzekł Atos. — Trzeba będzie gdzie indziej poszukać obiadu.

— Teraz już mi wszystko jedno — odparł d'Artagnan. — Całkiem straciłem apetyt.

— I ja także, na honor — rzekł Portos.

Przenieśli rannego do łóżka. Wezwany przez nich Milczek opatrzył mu ranę. Milczek tylekroć miał okazję parać się z szarpiami i kompresami w służbie czterech przyjaciół, że stał się całkiem niezłym medykiem. Zbiegowie tymczasem przeszli do pierwszej izby i zaczęli się naradzać.

— Wiemy już teraz, czego się trzymać — rzekł Aramis. — Wiemy, że król i jego eskorta tędy przejeżdżali; trzeba nam więc skierować się w stronę przeciwną. Czy też jesteś tego zdania, Atosie?

Atos nie odpowiedział. Namyslał się.

— Tak — rzekł Portos — kierujemy się w stronę przeciwną. Jeśli pojedziemy za eskortą, na naszej drodze wszystko będzie doszczętnie wyjedzone i w końcu pomrzemy z głodu. Cóż to za przeklęty kraj z tej Anglii! Pierwszy raz w życiu będę bez obiadu. A obiad to mój ulubiony posiłek.

— A co ty sądzisz, d'Artagnanie? — zapytał Atos. — Czy podzielasz zdanie Aramisa?

— Nie, nie dzielam go — odparł d'Artagnan — wręcz przeciwnie. . — Jak to! Chcesz, żebyśmy jechali za eskortą?! — zawołał z przestachem Portos.

— Też nie: żebyśmy jechali razem z nią.

Oczy Atosa zabłyśły radością.

— Żebyśmy jechali razem z eskortą! — zawołał Aramis.

— Pozwól skończyć d'Artagnanowi; wiesz przecież, że on zawsze dobrze radzi — rzeki Atos.

— Jedno jest oczywiste — powiedział d'Artagnan. — Trzeba jechać tam, gdzie nie będą nas szukać. Otóż to pewne, że nie będą nas szukać u purytanów; jedźmy więc do purytanów.

— Słusznie przyjacielu, rada jest wyśmienita — rzekł Atos. — Miałem to samo rzec, aleś mnie uprzedził.

— Więc też jesteś tego zdania? — zapytał d'Artagnan.

— Tak. Mordaunt na pewno wykalkuluje sobie, że zechcemy opuścić Anglię, i będzie nas szukał w portach, a my tymczasem dostaniemy się do Londynu razem z królem. Skoro się znajdziemy w Londynie, mogą nas szukać — nie znajdą. W mieście mającym milion mieszkańców łatwo jest się schować, nie licząc szans — ciągnął Atos spoglądając na Aramis — jakie nam taka podróż daje.

— Tak — odparł Aramis — rozumiem.

— Ja za to nie rozumiem — rzekł Portos — ale trudno; skoro i d'Artagnan, i Atos są jednego zdania, na pewno ta rada jest najlepsza.

— Lecz czy się nie wydamy podejrzani pułkownikowi Harrisonowi? — zapytał Aramis.

— Ho, do kata! — rzekł d'Artagnan. — Otóż właśnie na niego liczę. Pułkownik Harrison to swój człek. Widział nas aż dwa razy u generała Cromwella; wie, żeśmy zostali do niego posłani z Francji przez monsignora Mazariniego; będzie nas traktował jak braci. Zresztą czyż nie jest synem rzeźnika? Jest, prawda? Otóż Portos pokaże mu, jak się zabija wołu jednym uderzeniem pięści, a ja jak się przewraca byka trzymając go za rogi. To nam pozyska jego zaufanie.

Atos uśmiechnął się.

— Jesteś najlepszym towarzyszem, jakiego znam — rzekł wyciągając dłoń do Gaskończyka — i wielka to radość dla mnie, żeś cię znów odnalazł, drogi

synu.

Atos, jak już wiemy, zwracał się tym słowem do d'Artagnana w chwilach największego przyływu czułości.

W tym momencie z drugiej izby wyszedł Milczek. Ranny został opatrzony i poczuł się lepiej.

Czterej przyjaciele pożegnali się z nim i zapytali, czy nie zechciałby im dać jakiegoś zlecenia do brata.

— Powiedziałem mu — odparł ten dzielny człowiek — żeby dał znać królowi, że mnie nie zabili i że się wyliżę. Choć tak niewiele znaczę, jestem pewny, że jego królewska mość żałuje mnie i wyrzuca sobie, że za niego zginął.

— Bądź spokojny — rzekł d'Artagnan. — Król dowie się o tym jeszcze przed wieczorem.

I ruszyli dalej. Drogi nie sposób było zmylić; ta, którą jechać postanowili, znaczyła się wyraźnym śladem po równinie.

Przez dwie godziny jechali w milczeniu, aż nagle d'Artagnan, który otwierał pochód, zatrzymał się na rozstaju.

— O! — rzekł. — Są.

Rzeczywiście, w odległości około pół mili widać było liczny poczet jeźdźców.

— Drodzy przyjaciele — rzekł d'Artagnan — oddajcie wasze szpady panu Muszowi, który je wam wręczy w stosownym miejscu i czasie, i nie zapomnijcie przypadkiem, że jesteście naszymi jeńcami.

Po czym ruszyli kłusa, choć konie mieli już cokolwiek zmęczone, i wkrótce dogonili eskortę.

Król spokojnie jechał na samym przedzie, otoczony częścią Harrisonowego pułku. Trzymał się godnie; można by rzec, że jedzie z dobrej woli.

Kiedy spostrzegł Atosa i Aramisa, z którymi nawet się nie pożegnał, bo mu nie dano czasu, i wyczytał ze wzroku obydwóch szlachciców, że ma jeszcze

przyjaciół, i to tuż, blisko, choć będących, jak mniemał, w niewoli, blade policzki aż mu się zaróżowiły z radości.

D'Artagnan, zostawiwszy przyjaciół pod strażą Portosa, podjechał na sam przód orszaku i zbliżył się do Harrisona, który rzeczywiście przypomniał sobie, że go widywał u Cromwella, i przywitał tak grzecznie, jak tylko mógł to uczynić człowiek podobnej kondycji i podobnego usposobienia. Stało się tak, jak d'Artagnan przewidywał: pułkownik nie miał i nie mógł mieć żadnych podejrzeń.

Wkrótce zatrzymano się: król miał na tym postoju spożyć obiad. Tym razem jednakże przedsięwzięto środki ostrożności; bano się, żeby znów nie próbował uciekać. W izbie gospody ustawiono stolik dla króla i duży stół dla oficerów.

— Zje pan obiad ze mną? — zapytał Harrison d'Artagnana.

— Do licha! — odparł d'Artagnan — byłaby to dla mnie ogromna przyjemność, ale mam tu ze sobą towarzysza, pana du Vallon, i moich dwóch jeńców, których nie chcę spuścić z oka, więc zbyt wielu by nas było do pańskiego stołu. Jest lepsze wyjście: niech pan każe postawić dla nas stół w którymś kącie izby i niech pan nam przyśle coś niecoś do zjedzenia ze swojego stołu, gdyż bez tego jest rzeczą całkiem możliwą, że pomrzemy z głodu. W ten sposób zjemy jednak obiad razem, bo w tej samej izbie.

— Niech i tak będzie — rzekł Harrison.

Rzecz załatwiono tak, jak sobie tego d'Artagnan życzył, i kiedy muszkieter wszedł na zaproszenie pułkownika do gospody, zastał króla siedzącego już przy stoliku, gdzie mu usługiwał Parry, Harrisona i jego oficerów siedzących w gromadzie przy dużym stole, a w kącie — miejsca czekające na niego i jego towarzyszy.

Stół, przy którym zasiedli purytańscy oficerowie, był okrągły i bądź to z przypadku, bądź z umyślnego prostactwa, Harrison ulokował się tyłem do króla.

Król widział czterech wchodzących szlachciców, ale udał, że nie zwraca na

nich uwagi.

Zasiedli przy przeznaczonym dla nich stole w taki sposób, żeby być przodem do wszystkich. Przed sobą mieli stół oficerów i stolik króla.

Harrison, chcąc uczcić swych gości, posyłał im najlepsze dania ze swego stołu. Ku zmartwieniu czterech przyjaciół wina nie było. Atos przyjmował to obojętnie, ale d'Artagnan, Portos i Aramis krzywili się za każdym razem, ilekroć wypadło im łyknąć piwa — napoju dobrego w sam raz dla purytanów.

— Na honor, pułkowniku — rzekł d'Artagnan — szczerze ci jesteśmy wdzięczni za twoje uprzejme zaproszenie, gdyż gdyby nie ty, musielibyśmy się zapewne obejść bez obiadu, jak obeszliliśmy się bez śniadania. Mój przyjaciel du Vallon podziela moją wdzięczność, bo był już okrutnie głodny.

— Jeszcze jestem głodny — rzekł Portos, kłaniając się pułkownikowi Harrisonowi od swego stołu.

— Musieliście się obejść bez śniadania? O, to poważna przykrość! Ale w jakież sposób do tego doszło? — zapytał śmiejąc się pułkownik.

— W nader prosty sposób, pułkowniku — odparł d'Artagnan. — Spieszno mi było was dogonić, więc żeby się to stać mogło jak najprędzej, obrałem tę samą drogę co i wy, czego nie powinien był uczynić taki doświadczony, jak ja, kwatermistrz. Wiadomo bowiem, że tam, którądy przeszedł pułk tak zacny i dzielny jak twój, nic jadalnego nie zostaje. Pojmujesz tedy, pułkowniku, jak wielki spotkał nas zawód, kiedy przybywszy do ślicznego dworku, stojącego na skraju jakiegoś lasu — a który to dworek ze swym czerwonym dachem i zielonymi okiennicami wyglądał z daleka tak odświętnie i zachęcająco — zamiast w nim znaleźć kury, które już szykowaliśmy się piec, i szynki, które już szykowaliśmy się smażyć, ujrzeliśmy tylko jakiegoś nieboraka, skapanego... A, do kata! pułkowniku, powinszuj w moim imieniu temu z twoich oficerów, który zadał ów cios, bo był świetnie zadany, tak świetnie, że aż podziw wzbudził w panu du Vallon, moim przyjacielu, który też się umie gracko posługiwać pięścią.

— O, tak! — odparł śmiejąc się Harrison i spojrzał na jednego z siedzących

za stołem oficerów — kiedy Groslow bierze się do rzeczy, nie trzeba po nim poprawiać.

— A, więc to ten pan! — rzekł d'Artagnan, pozdrawiając grzecznym ukłonem oficera — żałuję, że nie zna francuskiego, bo chciałem mu powinszować.

— Przyjmuję z miłą chęcią i dziękuję za powinszowanie — odezwał się w niezłej francuszczyźnie oficer. — Mieszkałem bowiem w Paryżu przez trzy lata.

— W takim razie spieszno mi powiedzieć panu — mówił dalej d'Artagnan — że cios był zadany tak dobrze, iż o mały włos, a byłby zabił tego nieboraka.

— Zdawało mi się, że go zabił na dobre — rzekł Groslow.

— Nie. Niewiele brakowało, to prawda, ale nie umarł.

I d'Artagnan wymawiając te słowa spojrzał na Perry'ego, który stał przed królem z trupiobladyim czołem, chcąc dać poznać pokojowcowi, że ta wiadomość jest dla niego przeznaczona.

Król przysłuchiwał się tej rozmowie z sercem w niewymownie przykry sposób ściśniętym, bo nie wiedział, ku czemu zmierza francuski oficer, i oburzyło go wyliczanie tych okrutnych szczegółów, ukrytych pod płaszczykiem beztroski.

Dopiero po usłyszeniu jego ostatnich słów odetchnął z ulgą.

— O, do diaska! — rzekł Groslow — mniemałem, że mi się lepiej udało. Gdyby nie było stąd tak daleko do domu tego nędznika, zawróciłbym, żeby go dobić.

— I dobrze byś pan zrobił, jeśli się obawiasz, że się może wylizać — rzekł d'Artagnan — gdyż co na pewno wiesz, jeśli rana zadana w głowę nie zabije od razu, człowiek leczy się z niej w ciągu jednego tygodnia.

I d'Artagnan spojrzał po raz drugi na Perry'ego. Na twarzy pokojowca rozlała się tak wielka radość, że Karol podał mu rękę i uśmiechnął się. Parry schylił się nad ręką swego pana i z szacunkiem ją ucałował.

— Naprawdę, d'Artagnanie — rzekł Atos — jesteś człowiekiem wielkiego

dowcipu i równie wielkiego serca. Ale jakie wrażenie wywarł na tobie król?

— Owszem, przypada mi do gustu jego fizjonomia — odparł d'Artagnan.

— Wydaje mi się szlachetny i dobry.

— Tak, ale daje się brać — rzekł Portos. — To wada.

— Mam wielką chęć wypić za zdrowie króla — rzekł Atos.

— Dobrze, pozwól, że ja wzniosę toast — odpowiedział d'Artagnan.

— Wznies — zgodził się Atos.

Portos popatrzył na d'Artagnana, nic posiadając się z podziwu, jak nieprzebrane są zasoby gaskońskiego dowcipu, z których towarzysz jego czerpał bez ustanku.

D'Artagnan wziął swój cynowy kubek, nappełnił go i wstał.

— Panowie — rzekł do swych kompanionów — wypijmy, proszę, zdrowie tego, który naszej uczcie przewodzi. Za naszego pułkownika, żeby wiedział, że będziemy mu służyli wiernie przez całą drogę do Londynu, a także i potem.

A ponieważ d'Artagnan mówiąc tak patrzył na Harrisona, Harrison, sądząc, że toast jego dotyczy, wstał i uklonił się czterem przyjaciołom, którzy utkwivszy wzrok w królu Karolu, wypili wszyscy razem. Harrison też więc opróżnił swoją szklanę, niczego nie podejrzewając.

Karol podsunął swój kubek Perry'emu, który wlał weń kilka kropli piwa, bo król jadł i pił to samo co wszyscy, po czym, podniósłszy do ust kubek, spojrzał, teraz on z kolei, na czterech przyjacioł, wypił i podziękował im szlachetnym uśmiechem.

— Dalej, panowie — zawołał Harrison, odstawiając szklanę i żadnego nie mając względu dla znakomitego jeńca, którego eskortował. — W drogę!

— Gdzie będziemy nocowali, pułkowniku?

— W Tirsk — odpowiedział Harrison.

— Parry — rzekł król, także wstając i obracając się do swego pokojowca — podaj mi konia. Chcę jechać do Tirsk.

— Na honor! — rzekł d'Artagnan do Atosa — twój król zyskał sobie moje



serce i jestem skłonny zrobić dla niego wszystko.

— Jeżeli mówisz szczerze — odparł Atos — król nie dojedzie do Londynu.

— Dlaczego miałby nie dojechać?

— Dlatego że go wcześniej uprowadzimy.

— O, tym razem, Atosie — rzekł d'Artagnan — słowo daję, żeś oszalał.

— Czy już macie gotowy projekt? — zapytał Aramis.

— Ho, jeśli by był dobry projekt, rzecz byłaby całkiem możliwa — rzekł Portos.

— Ja nie mam projektu — rzekł Atos — ale d'Artagnan coś wymyśli.

D'Artagnan wzruszył ramionami i pojechali w dalszą drogę.

## 18. D'Artagnan znajduje sposób

Atos znał d'Artagnana być może lepiej niż d'Artagnan samego siebie. Wiedział, że w ten awanturniczy, gaskoński umysł dość jest rzucić myśl, jak w bogatą i żyzną glebę dość jest rzucić ziarno. Zgoła więc nie zbity tym z tropu, że przyjaciel tylko ramionami wzruszył, spokojnie jechał dalej, rozmawiając z nim o Raulu, który to wątek, jak pamiętamy, jeszcze tak niedawno temu puścił mimo uszu.

Dojechali do Tirsk już późną nocą. Czterej przyjaciele na pozór nie okazywali żadnego zainteresowania środkami ostrożności, jakie przedsięwzięto wobec osoby króla. Odeszli na nocleg do domu stojącego nieco na uboczu, a że niebezpieczeństwo mogło im zagrozić w każdej chwili, ulokowali się wszyscy w jednej izbie, zabezpieczywszy sobie odwrót na wypadek ataku. Służący zostali rozstawieni na czatach; Milczek położył się w poprzek drzwi na wiązce słomy.

D'Artagnan był zamyślony i jakby wyzbył się chwilowo zwykłej gadatliwości. Nie odzywał się, tylko wciąż pogwizdywał i spacerował między łózkami a oknem. Portos za to, który zwykle widział wszystko tylko po wierzchu, wciąż go zagadywał. D'Artagnan odpowiadał monosylabami. Atos i Aramis zerkali na siebie i uśmiechali się.

Dzień był męczący, a przecież, wyjąwszy Portosa, który miał sen tak samo niezawodny jak apetyt, przyjaciele spali kiepsko.

Nazajutrz rano d'Artagnan wstał pierwszy. Już był w stajni, już obejrzał konie, już wydał rozkazy na cały dzień, a Atos i Aramis jeszcze się nie podnieśli z łóżek, Portos zaś jeszcze chrapał.

O ósmej rano ruszono w dalszą drogę, w tym samym szyku co i poprzedniego dnia. D'Artagnan jednak odłączył się od jadących nieco z boku przyjaciół i zrównał się z panem Grosłowem, chcąc silniej zadzierzgnąć węzeł

zawartej poprzedniego dnia znajomości.

Groslow, któremu mile pochlebiali pochwały Francuza, przywitał go życzliwym uśmiechem.

— Daję słowo, panie kapitanie — rzekł d'Artagnan — szczęśliwy jestem, że spotkał człowieka mówiącego moim nieszczęsnym językiem. Pan du Vallon, mój przyjaciel, jest kawalerem wielce melancholijnego usposobienia i z trudem da się wyciągnąć z niego trzy słowa na dzień, zaś moi dwaj jeńcy nie są w nastrojach do pogawędki, co łatwo pojąć.

— To są zażarci stronnicy króla — rzekł Groslow.

— Tym bardziej też są nam krzywi, że wzięliśmy Stuarta, któremu jak się spodziewam, urządzenie należyty i przystojny proces.

— A pewnie — odparł Groslow. — Po to go prowadzimy do Londynu.

— I jak mniemam, nie traci go pan z oka?

— Do licha, ja myślę! Sam pan widzi — dorzucił śmiejąc się oficer — że mam orszak prawdziwie królewski.

— Tak, w dzień nie ucieknie, nie ma strachu, ale w nocy?

— W nocy zdwajamy ostrożność.

— A w jaki sposób go pilnujecie?

— Ośmiu ludzi znajduje się wciąż w jego pokoju.

— Do diabła! — rzekł d'Artagnan. — Dobrze jest strzeżony. Lecz prócz tych ośmiu wystawiacie pewnie strażę i przed domem? Prowadząc takiego jeńca nie można być za ostrożnym.

— Nie, przed domem nie wystawiamy straży. Po co? Niech pan sam powie, co mogą dwaj ludzie bez broni przeciwko ośmiu uzbrojonym ludziom?

— Jak to, dwaj ludzie?

— Ano dwaj, król i jego pokojowiec.

— Więc mu zostawiono pokojowca?

— Tak. Stuart prosił, żeby mu wyświadczyć tę łaskę, i pułkownik Harrison zgodził się. Ponieważ jest królem, nie może jakoby sam się ubierać i rozbierać.

— Doprawdy, kapitanie — rzekł d'Artagnan, postanawiając w dalszym ciągu stosować wobec angielskiego oficera metodę schlebiania, która tak dobre dawała wyniki — im dłużej słucham pana, tym mocniej podziwiam, jak swobodnie i wykwintnie wyraża się pan po francusku. Prawda, że mieszkałeś w Paryżu przez trzy lata; ja jednak choćbym mieszkał w Londynie całe życie, nie doszedłbym do tak świetnego władania językiem angielskim, to pewne. Coś porabiał, kapitanie, w Paryżu?

— Mój ojciec, który jest kupcem, umieścił mnie tam u swojego wspólnika, który w zamian posłał do mego ojca swego syna. Takie wymiany to w rodzinach kupieckich zwyczajna rzecz.

— I spodobał ci się Paryż?

— Tak, ale mocno by się wam przydała rewolucja w rodzaju naszej. Nie przeciwko waszemu królowi, który jest jeszcze dzieckiem, ale przeciwko temu włoskiemu kutwie, który jest kochankiem waszej królowej.

— O, tak, całkiem się zgadzam z pańskim zdaniem, i nie trzeba by na to długo czekać, gdybyśmy mieli z tuzin takich jak pan oficerów, ludzi bez przesądów, czujnych i twardych. O, szybko poradzilibyśmy sobie z Mazarinim i urządzilibyśmy mu procesik kubek w kubek jak ten, który wy waszemu królowi urządzicie.

— Ale wydawało mi się, że jesteś, panie, u niego na służbie — rzekł oficer — i że to on cię wysłał do generała Cromwella?

— Znaczy się, że jestem w służbie u króla i że wiedząc, że kardynał musi kogoś posłać do Anglii, prosiłem usilnie, żeby mnie tę misję powierzył. Szczerze bowiem pragnąłem poznać tego genialnego człowieka, który w tej chwili stoi na czele trzech królestw. Toteż generał Cromwell zaproponował nam, panu du Vallon i mnie, byśmy dobyli szpad za honor starej Anglii, sam widziałeś, panie, że nie zmarnowaliśmy okazji.

— Tak, wiem, szarżowaliście razem z panem Mordaunt.

— Po jego prawej i po lewej stronie. Do kaduka, bardzo to waleczny i

znamienity młodzieniec! Widziałeś, kapitanie, jak gracko się zmierzył z własnym stryjaszkiem?

— Więc zna pan Mordaunta? — zapytał oficer.

— Nawet dobrze. Mogę chyba rzec, że jesteśmy przyjaciółmi; pan du Vallon i ja przybyliśmy razem z nim z Francji.

— Podobno kazaliście mu długo na siebie czekać w Boulogne?

— Cóż, to nie była moja wina — rzekł d'Artagnan. — Znajdowałem się w takim położeniu jak pan dziś: musiałem strzec króla.

— O proszę! — rzekł Grosłow. — A jakiego znów króla?

— Naszego, do kroćset! Małego kinga, Ludwika XIV.

I d'Artagnan uchylił kapelusza. Anglik zrobił tak samo, przez grzeczność.

— Długoś go pilnował?

— Przez trzy noce, i na honor, zawsze je będę z przyjemnością wspominał.

— Widać młody król jest bardzo sympatyczny?

— Król! Król spał jak suseł.

— Cóż więc chciałeś powiedzieć?

— Chciałem powiedzieć, że przyjaciele moi, oficerowie z gwardii i z muszkietarów, przychodzili, żeby mi dotrzymać towarzystwa, i piliśmy, i grali po całych nocach.

— O, tak! — rzekł wzdychając Anglik — to prawda, wy Francuzi jesteście wesołymi kompanami.

— Czyżbyś, panie, nie grywał podczas służby?

— Nigdy — rzekł Anglik.

— W takim razie musi się panu potężnie nudzić na nocnej warcie i bardzo panu współczuję — rzekł d'Artagnan.

— Racja — odparł oficer — że mnie szczerze przerażenie ogarnia, kiedy się zbliża moja kolej. Ciężko czuwać przez całą noc, wlecze się to i wlecze.

— Pewnie, jeśli człowiek czuwa sam albo tylko w towarzystwie tępych żołnierzy; lecz jeśli się czuwa z wesołym kompanem, jeśli po stole toczą się

złoto i kości, noc mija jak sen. Nie lubisz grać, kapitanie?

— Przeciwnie.

— Na przykład w lancknechta?

— Przepadam za lancknechtem, we Francji grałem w to niemal co wieczór.

— A odkąd jest pan w Anglii?

— Nie miałem w ręku kubka ani kart.

— Żal mi pana — rzekł d'Artagnan z miną wyrażającą najgłębsze współczucie.

— Zaraz — rzekł Anglik — już wiem, co zrobimy.

— Co takiego?

— Jutro mam wartę.

— Przy Stuarcie?

— Tak. Przyjdź, panie d'Artagnan, żeby mi dotrzymać towarzystwa przez noc.

— Niemożliwe.

— Niemożliwe?

— Całkiem niemożliwe.

— A czemu?

— Każdej nocy grywam z panem du Vallon. Czasami w ogóle się nie kładziemy... Dziś na przykład graliśmy jeszcze o świcie.

— Więc co?

— Ano, nudziłby się, gdybym z nim nie grał.

— Czy to dobry gracz?

— Widziałem, jak przegrywał dwa tysiące pistoli śmiejąc się do rozpuku.

— Więc niech go pan przyprowadzi.

— Jak? A nasi jeńcy?

— A, do licha, racja — rzekł oficer. — Ale każcie ich popilnować waszym służącym.

— Aha, żeby uciekli! — rzekł d'Artagnan. — Już ja wolę uważać.

— Czyżby to byli jacyś znakomici ludzie, że tak ci na nich zależy?

— Do kroćset! Jeden to bogaty pan z Turenii; drugi to kawaler maltański, wysokiego rodu. Umówiliśmy się z nimi o okup: po dwa tysiące funtów po powrocie do Francji. Więc nie chcemy ani na chwilę odstępować tych ludzi, o których nasi służący wiedzą, że to milionerzy. Biorąc ich przeszukaliśmy im po trosze kieszenie i przyznam ci się, kapitanie, że to z ich sakiewki czerpiemy co noc, pan du Vallon i ja. Może jednak udało się im schować przed nami jakiś szlachetny kamień, jakiś cenny diament, więc jesteśmy jak skąpcy, którzy nie rozstają się ze swoim skarbem. Umówiliśmy się, że będziemy nieustannie pilnować naszych jeńców, i kiedy ja śpię, pan du Vallon czuwa.

— Aha, więc to tak — rzekł Groslow.

— Teraz już wiesz, kapitanie, co mnie zmusza do odrzucenia twego uprzejmego zaproszenia, które mnie tym bardziej kusi, że nie masz nic nudniejszego nad grę z wciąż tym samym partnerem; szczęście się wiecznie wyrównuje i po miesiącu okazuje się, żeś ani zyskał, ani stracił.

— Ach — odparł Groslow wzdychając — jest coś nudniejszego: jeśli się w ogóle nie gra.

— Rozumiem to — rzekł d'Artagnan.

— Ale zaraz — odezwał się żywo Anglik — czy ci pańscy jeńcy to niebezpieczni ludzie?

— Pod jakim względem?

— Czy byliby zdolni do jakiegoś desperackiego czynu?

D'Artagnan wybuchnął śmiechem.

— Chryste Panie! — zawołał — jednego febra trzęsie, bo jakoś nie może przywyknąć do pańskiej pięknej ojczyzny, drugi to kawaler maltański, lękliwy jak panienka. Zresztą na wszelki wypadek odebraliśmy im wszystko, nawet i składane nożyki, i kieszonkowe nożyczki.

— Więc przyprowadź i ich — rzekł Groslow.

— Jak to, zgodziłby się pan? — zapytał d'Artagnan.

— Tak, przecież mam ośmiu ludzi.

— Więc?

— Czterej będą ich pilnowali, czterej będą pilnowali króla.

— Słusznie — rzekł d'Artagnan — można by tę rzecz tak urządzić, choć narobię panu wielkiego ambarasu.

— Trudno, przyjdźcie, panowie. Zobaczycie, że wszystko urządzę należycie.

— O, o to się nie boję — rzekł d'Artagnan — takiemu jak ty, kapitanie, człowiekowi zawierzyłbym życie z zamkniętymi oczami.

Ostatnie pochlebstwo wyrwało z oficerskiego gardła ów rechot satysfakcji, który czyni ludzi przyjaciółmi tych, co go wywołali, bowiem wynika z mile połączanej próżności.

— Zaraz — odezwał się d'Artagnan — a gdybyśmy tak już dziś zaczęli? Chyba nic nie stoi na przeszkodzie?

— Czemu?

— Naszej partyjce lancknehta.

— Nic a nic, w samej rzeczy — rzekł Groslow.

— Zatem proszę, dziś kapitanie, przyjdiesz do nas, a my jutro ci oddamy wizytę. Jeśliby ci się nie spodobali nasi jeńcy, którzy jak wiesz, są zażartymi stronnikami króla, będziesz się mógł, kapitanie, rozmyślić, a zawsze przepędzimy wesoło jedną noc.

— Świetnie. Dziś wieczór u was, jutro u Stuarta, pojutrze u mnie.

— A następnych wieczorów w Londynie. E, do czarta! — rzekł d'Artagnan — widzisz, kapitanie, że wszędzie można wesoło spędzać czas.

— Tak, jeśli się spotka Francuzów, i to takich Francuzów, jak pan... — odparł Groslow.

— I jak pan du Vallon; przekonasz się, kapitanie, co to za chwyt i zaciekły frondysta, człowiek, który o mały figiel byłby na śmierć przytrzasnął Mazariniego między drzwiami; ale kardynał używa go, bo się go boi.



— Owszem — rzekł Groslow — dobrze mu patrzy z twarzy i choć go nie znam, podoba mi się.

— Jak go poznasz, kapitanie, wtedy go dopiero należycie ocenisz. Oho, co to? Już mnie przyzywa. Przepraszam, ale jesteśmy tak zaprzyjaźnieni, że się nie umie obejść beze mnie. Wybaczysz mi?

— Jakże! Oczywiście.

— Do wieczora.

— U pana?

— U mnie.

Dwaj oficerowie zamienili ukłony, po czym d'Artagnan wrócił do swoich towarzyszy.

— O czymże ty, u diaska, tak gadasz i gadasz z tym buldogiem? — zapytał Portos.

— Mój kochany, nie wyrażaj się w taki sposób o panu Groslowie, który należy do moich serdecznych przyjaciół.

— Do twoich przyjaciół! — rzekł Portos. — Ten morderca bezbronnych kmiotków?

— Ciii, nic nie mów, mój drogi Portosie. Owszem, tak, pan Groslow to człek nieco popędliwy, racja, ale odkryłem w nim dwie ogromne zalety: jest głupi i próżny.

Portos aż oczy wytrzeszczył ze zdumienia. Atos i Aramis popatrzyli na siebie i uśmiechnęli się; znali d'Artagnana i wiedzieli, że nic na darmo nie czyni.

— Zresztą sam będziesz miał okazję go ocenić — odezwał się znów d'Artagnan.

— Dlaczego?

— Wieczorem przedstawię ci go, przyjdzie do nas na karty.

— O! — rzekł Portos, któremu aż oczy zabłysły na dźwięk tego słowa — a czy on aby bogaty?

- Jest synem jednego z największych londyńskich kupców.
- Grywa w lancknehta?
- Namiętnie.
- A w basetę?
- Pasjami.
- A w bribri?
- Wyśmienicie.
- Dobrze — rzekł Portos — będziemy mieli przyjemną noc.
- Tym przyjemniejszą, że będzie ona zapowiedzią jeszcze miłszej nocy.
- Dlaczego?
- Bo dziś my go zapraszamy na karty, a jutro on nas zaprasza.
- Dokąd?

— Powiem ci później. Teraz należy się zająć jedną tylko sprawą: żeby przyjąć jak najgodniej Grosłowa, kiedy nas swą osobą zaszczyci. Zatrzymamy się na nocleg w Derby; niech Muszkiet rusza przodem i jeśli w tym mieście znajdzie się choć jedna flaszką wina, niechaj ją kupi. Byłoby też niezłe, gdyby przyszykował coś niecoś na wieczerzę, w której wy nie weźmiecie udziału, ty, Atosie, dlatego, że masz gorączkę, ty zaś, Aramisie, dlatego, że jesteś kawalerem maltańskim i że nie lubisz prostackiej mowy takich jak my żołdaków, że się rumienisz przy każdym grubszym słowie. Czy wszystko słyszeliście?

— Tak — rzekł Portos — ale niech mnie diabli porwą, jeśli cokolwiek zrozumiałem.

— Portosie, przyjacielu mój, wiesz przecie, że po ojcu jestem potomkiem proroków, a po matce potomkiem Sybilli<sup>11</sup> i że zwykłem się wyrażać poprzez przypowieści i zagadki. Niechaj ci, co mają uszy, słuchają, a ci, co mają oczy, niechaj patrzą, więcej tymczasem powiedzieć nie mogę.

— Rób, jak uważasz, przyjacielu — rzekł Atos. — Jestem pewny, że robisz

---

11 Sybilla — w starożytności — wieszczka.

to, co należy.

— A ty, Aramisie, czy zgadzasz się z Atosem?

— Całkowicie, drogi d'Artagnan.

— Ślicznie — rzekł d'Artagnan — oto prawdziwi wierni, dla których przyjemnie jest brać się do robienia cudów; nie tacy jak ten niewierny Portos, który musi aż zobaczyć i dotknąć, żeby uwierzyć.

— To prawda — rzekł Portos z arcychytrą miną — że okrutny ze mnie niedowiarek.

D'Artagnan klepnął go po ramieniu, a ponieważ dojeżdżali już do miejscowości, w której zatrzymać się mieli na śniadanie, rozmowa urwała się.

Koło piątej po południu, jak zostało postanowione, pchnęli przodem Muszkiet. Muszkiet po angielsku wprawdzie nie mówił, ale odkąd był w Anglii, spostrzegł, że Milczek, przywykły do wyrażania się gestami, świetnie obchodzi się bez słów. Zaczął się więc uczyć gestykulacji u Milczka i po kilku lekcjach u mistrza tak znakomitego doszedł do jakich takich wyników. Blaisois pojechał razem z nim.

Kiedy czterej przyjaciele wjechali w główną ulicę miasta Derby, ujrzeli Blaisois na progu jakiegoś okazałego domostwa; to tu im przyszykowano kwaterę.

Przez cały dzień nie zbliżali się do króla, nie chcąc budzić podejrzeń. Obiad także zjedli sami, we czwórkę, a nie u stołu pułkownika Harrisona, jak poprzedniego dnia.

O umówionej porze zjawił się Grosłow. D'Artagnan przyjął go tak, jakby byli od dwudziestu lat zaprzyjaźnieni. Portos zmierzył go spojrzeniem od stóp do głów, po czym uśmiechnął się stwierdziwszy, że choć tak piękny zadał cios bratu Parry'ego, jemu nie dorównuje siłą. Atos i Aramis zrobili, co mogli, żeby ukryć wstręt, jaki w nich budziła ta prostacka i chamska natura.

W sumie Grosłow wydał się zadowolony z przyjęcia.

Atos i Aramis odegrali swoje role jak należy. O północy wycofali się do

drugiej izby, drzwi której, pod pozorem ostrożności, zostawiono otwarte.

D'Artagnan wyszedł zresztą razem z nimi, wydając Grosłowa na łup Portosowi.

Portos wygrał od Grosłowa pięćdziesiąt pistoli i kiedy gość wyszedł wreszcie, przyznał, że jest on o wiele przyjemniejszym towarzyszem, niż się u to z początku wydawało.

Grosłow zaś postanowił powetować sobie nazajutrz na d'Artagnanie przegraną do Portosa i żegnając się z Gaskończykiem przypomniał mu jeszcze raz o wieczornym spotkaniu.

Powiadamy: wieczorem, bo gracze rozstali się o czwartej rano.

Dzień minął całkiem zwyczajnie; d'Artagnan jeździł od kapitana Grosłowa do pułkownika Harrisona, a od pułkownika Harrisona do swoich przyjaciół. Komuś, kto by nie znał d'Artagnana, mogłoby się wydawać, że zawsze jest taki towarzyski, lecz przyjaciele jego, czyli Atos i Aramis, widzieli, ile gorączkowego podniecenia jest w jego wesołości.

— Co on knuje? — zastanawiał się Aramis.

— Zaczekajmy — odpowiedział Atos.

Portos nie mówił nic, za to z nie ukrywanym upodobaniem przeliczał, sztuka po sztuce, pięćdziesiąt wygranych od Grosłowa pistoli, które spoczywały w wewnętrznej kieszeni jego kamizelki.

Wieczorem, tuż po przyjeździe do miejscowości Ryston, d'Artagnan zebrał swych przyjaciół. Z twarzy jego znikł wyraz niefrasobliwej wesołości, który niby maskę nosił był przez cały dzień. Atos ścisnął rękę Aramisa.

— Chwila się zbliża — rzekł.

— Tak — odparł d'Artagnan, który to usłyszał — tak, chwila się zbliża.

Tej nocy, panowie, ocalimy króla.

Atos zadrżał, oczy mu zapalały.

— D'Artagnan — rzekł, nagle zwątpiwszy, choć już miał nadzieję — nie żartujesz, prawda? Byłoby to zbyt bolesne dla mnie.

— Dziwny z ciebie człowiek, Atosie — odparł d'Artagnan. — Czemu mi

tak nie ufasz? Gdzież to i kiedy widziałeś, żebym sobie stroił żarty z serca przyjaciela i życia króla? Powiedziałem ci i raz jeszcze powtarzam, że tej nocy ocalimy Karola I. Kazałeś mi poszukać sposobu, więc znalazłem sposób.

Portos patrzył na d'Artagnana z głębokim podziwem. Aramis uśmiechnął się ufnie. Atos był blady jak śmierć i drżał na całym ciele.

— Mów — rzekł Atos.

Portos aż wytrzeszczył oczy, Aramis zawisł, rzec by można, na wargach d'Artagnana.

— Jesteśmy zaproszeni do pana Grosłowa na całą noc, wiecie o tym?

— Tak — odparł Portos — musieliśmy mu obiecać, że mu damy sposobność odegrania się.

— Ślicznie. Ale czy wiecie, gdzie mu damy tę sposobność?

— Nie.

— U króla.

— U króla! — zawołał Atos.

— Tak, panowie, u króla. Kapitan Grosłow ma tej nocy straż przy osobie jego królewskiej mości i żeby weselej przepędzić nudne godziny warty, zaprosił nas, byśmy mu dotrzymali towarzystwa.

— Wszystkich czterech? — zapytał Atos.

— Ano chyba, do kaduka! Wszystkich czterech; czy możemy zostawić naszych jeńców?

— To mi pomysł! — rzekł Aramis.

— Więc jak to będzie? — rzekł Atos, któremu serce biło jak młotem.

— Więc pójdziemy do Grosłowa, my ze szpadami, wy ze sztyletami. We czterech lekko sobie poradzimy z ośmioma kpami i ich głupim dowódcą. Co ty na to, panie Portosie?

— Ja? Uważam, że rzecz jest łatwa — odparł Portos.

— Przebierzemy króla za Grosłowa. Muszkiet, Milczek i Blaisois będą na nas czekać z osiodłanymi końmi za rogiem pierwszej ulicy. Wskoczmy na

konie i jeszcze przed świtem będziemy o dwadzieścia mil stąd. Chyba plan niezły, co Atosie?

Atos położył obie ręce na ramionach d'Artagnana i popatrzył mu w oczy, uśmiechając się spokojnie i serdecznie.

— Tyle ci powiem, przyjacielu — rzekł — że na całej kuli ziemskiej nie ma człowieka, który by ci sprostał w szlachetności i w odwadze. Kiedy my mniemaliśmy, żeś obojętny na naszą boleść — choć jako żywo, mogłeś jej nie podzielać, żadnej nie popełniając zdróżności — ty jeden spośród nas znajdujesz to, czego my szukaliśmy daremnie. Tedy powtarzam ci, d'Artagnan, żeś jest z nas wszystkich najlepszy, i błogosławię cię, i kocham, mój najmilszy synu.

— Swoją drogą, że też ja nie wpadłem na ten pomysł! — rzekł Portos uderzając się dłonią w czoło. — A to takie proste.

— Lecz jeśli dobrze zrozumiałem — odezwał się Aramis — trzeba będzie zabić wszystkich, prawda?

Atos zadrżał i bardzo zbladł.

— Do kata! — rzekł d'Artagnan — trzeba będzie. Długom się głowił, czy nie dałoby się tego uniknąć, ale wyznam wam, że nic innego wymyślić nie mogłem.

— Trudno — rzekł Aramis — sprawa jest tak ważna, że nie wolno się przed niczym cofnąć. Jak się mamy zachować?

— Obmyśliłem dwa plany.

— Obaczmy, jaki jest pierwszy — rzekł Aramis.

— Jeśli wszyscy czterej będziemy w izbie, na mój znak, a tym znakiem będzie słowo “nareszcie”, każdy z was zatapia sztylet w sercu najbliższej stojącego żołnierza, a my z Portosem robimy to samo. Najpierw więc zabijemy czterech ludzi; szansę zatem staną się równe, ponieważ będzie nas czterech przeciwko pięciu. Tych pięciu albo się podda, a wtedy zakneblujemy im usta, albo się będzie bronić i wtedy ich pozabijamy. Gdyby jakimś trafem nasz

Amfitrion<sup>12</sup> zmienił zdanie i tylko Portosa i mnie dopuścił do stołu gry, cóż! Wtedy każdy z nas będzie musiał starczyć za dwóch. Rzecz potrwa nieco dłużej i odbędzie się nieco hałaśliwiej, ale wy będziecie czekać na dworze, ze szpadami, i usłyszawszy zgiełk wpadniecie do środka.

— Lecz jeśli oni was powalili? — rzekł Atos.

— Niemożliwe; ci piwosze są na to za ciężcy i za niezgrabni. Zresztą będziesz kłuł w gardła, Portosie, taki sztych zabija na miejscu i nie pozwala krzyczeć.

— Dobrze — rzekł Portos — zanosি się, że będą jatki.

— Straszne! Straszne! — rzekł Atos.

— Ejże, człowieku tkliwego serca — odparł d'Artagnan — w bitwie zdarzały ci się gorsze rzeczy. Zresztą, przyjacielu — ciągnął dalej — jeśli znajdujesz, że życie króla nie jest warte tyle, ile ma kosztować, zawiadomię Grosłowa, że jest chory.

— Nie — odparł Atos — przepraszam cię, przyjacielu, masz słuszość, wybacz mi.

W tej chwili drzwi otworzyły się i stanął w nich żołnierz.

— Pan kapitan Grosłow — odezwał się kiepską francuszczyzną — każe zawiadomić pana d'Artagnana i pana du Vallon, że na nich czeka.

— Gdzie? — zapytał d'Artagnan.

— W izbie angielskiego Nabuchodonozora — odpowiedział żołnierz, zakuty purytanin.

— Dobrze. Powiedz kapitanowi Grosłowowi, że idziemy — odpowiedział w świetnej angielszczyźnie Atos, któremu krew buchnęła do twarzy na dźwięk tej zniewagi wyrządzonej królewskiemu majestatowi.

Purytanin wyszedł. Służącym wydano rozkaz, żeby osiodłali osiem koni i żeby czekali, nie oddalając się od siebie i nie zsiadając z siodła, za rogiem ulicy znajdującej się w odległości jakich dwudziestu kroków od domu, w którym

---

12 Amfitrion — postać z mitologii greckiej. W przenośni: człowiek gościnny, wydający ucztę.

zatrzymał się na nocleg król.



## 19. Partia lancknechta

Była już godzina dziewiąta wieczorem. Wartę zmieniano o ósmej; kapitan Groslow czuwał więc przy królu już od godziny.

D'Artagnan i Portos, obaj przy szpadach, i Atos, i Aramis, obaj z ukrytymi na piersi sztyletami, zbliżyli się do domu, który był na tę noc więzieniem Karola Stuarta. Dwaj ostatni szli za swymi zwycięzcami, pokorni i bezbronni na pozór, jak jeńcy.

— Na honor! — zawołał Groslow ujrawszy ich — już przestawałem na was liczyć.

D'Artagnan podszedł doń i odezwał się po cichu:

— Bośmy się przez chwilę wahali, pan du Vallon i ja.

— A dlaczegoż to? — zapytał Groslow.

D'Artagnan wskazał spojrzeniem na Atosa i Aramisa.

— O, z przyczyny ich przekonań? O to mniejsza — odparł Groslow. — Nawet przeciwnie — dorzucił śmiejąc się — na pewno pragną zobaczyć Stuarta, więc go zobaczą.

— Czy przesiedzimy tę noc w pokoju króla? — zapytał d'Artagnan.

— Nie, ale w pokoju sąsiednim, a że drzwi pozostaną otwarte, więc wyjdzie na to, że będziemy bez mała w jego sypialni. Spodziewam się, że jesteście przy pieniądzach? Bo uprzedzam, że mam zamiar diabelnie was ograć tej nocy.

— Słyszysz, kapitanie? — odparł d'Artagnan podzwaniając złotem, które miał w kieszeniach.

— Very good<sup>13</sup> — rzekł Groslow i otworzył drzwi do pokoju. — Tędy panowie, proszę za mną.

---

13 Very good (ang.) — bardzo dobrze.

I wszedł pierwszy.

D'Artagnan odwrócił się ku przyjaciołom. Portos był niefrasobliwy, jakby tu przyszedł na zwykłą grę w karty; Atos był blady, lecz zdecydowany; Aramis ocierał chustką czoło, nieco wilgotne od potu.

Ośmiu żołnierzy już było na straży: czterej znajdowali się w pokoju króla, dwaj stali u drzwi prowadzących z pokoju do pokoju, jeszcze dwaj u drzwi, przez które weszli czterej przyjaciele. Na widok ich gołych szpad Atos uśmiechnął się; więc nie będą to jatki, ale walka.

Z tą chwilą stał się niemal wesół.

Karol, którego widzieli przez otwarte drzwi, leżał na łóżku, w ubraniu, przykryty wełnianą derką.

U jego wezłowia siedział Parry i czytał — po cichu, tak jednak, żeby król, słuchający z zamkniętymi oczami, mógł usłyszeć — rozdział z katolickiej Biblii.

Zwykła łożówka, postawiona na czarnym stole, oświetlała twarz króla, wyrażającą już tylko rezygnację, i twarz jego wiernego sługi, o ileż bardziej stroskaną i niespokojną.

Parry przerywał od czasu do czasu, sądząc, że król zasnął. Wtedy król otwierał oczy, uśmiechał się i mówił:

— Czytaj dalej, mój poczciwy Parry, słucham.

Groslow poszedł aż na próg tej królewskiej sypialni, ostentacyjnie włożył kapelusz, który podczas witania się z gośćmi trzymał w ręku, chwilę przyglądał się pogardliwie prostemu i wzruszającemu widokowi starego sługi, który czytał Biblię swemu uwięzionemu panu, upewnił się, że żołnierze stoją tam, gdzie ich na warcie postawił, i obracając się ku d'Artagnanowi, spojrzał triumfującym okiem na Francuza, jakby się dopraszał pochwały dla swojej taktyki.

— Znakomicie — rzekł d'Artagnan. — Na Boga, byłby z pana nie lada generał.

— A co, panie d'Artagnan — rzekł Groslow — powiedz, przecież Stuart nie ucieknie, póki ja będę przy nim na straży?

— Nie, zaiste — odpowiedział d'Artagnan. — Chyba żeby mu z nieba spadli pomocnicy.

Oblicze Grosłowa poweselało.

Ponieważ Karol Stuart oczy miał przez cały czas zamknięte, nie wiadomo było, czy zauważył bezczelność purytańskiego kapitana. Lecz kiedy się rozległ dobitny głos d'Artagnana, powieki króla uniosły się jakby mimowolnie.

Parry zaś zadrżał i przestał czytać.

— Czemu przerywasz, Parry? — zapytał król. — Czytaj dalej, mój poczciwy Parry, chyba żeś się już zmęczył.

— Nie, najjaśniejszy panie — odparł pokojowiec.

I znów zaczął czytać.

W pierwszym pokoju przygotowano stół, a na stole, przykrytym kilimkiem, stały dwie zapalone świece, dwa kubki, leżały kości i karty.

— Proszę, siadajcie, panowie — rzekł Grosłow. — Ja tu, naprzeciw Stuarta, którego tak chętnie oglądam, a osobliwie w jego obecnym położeniu. Ty, panie d'Artagnan, naprzeciwno, mnie.

Atos zaczerwienił się z gniewu, d'Artagnan spojrzał na niego i ściągnął brwi.

— Ślicznie — rzekł d'Artagnan — ty, panie hrabio de La Fere, siądź po prawej ręce pana Grosłowa; ty, panie kawalerze d'Herblay, siądź po jego lewej ręce, ty, du Vallon, przy mnie. Ty będziesz stawiał na mnie, a panowie na pana Grosłowa.

W ten sposób d'Artagnan miał po swej lewej ręce Portosa i mógł się z nim porozumieć kolaniem, naprzeciw zaś siebie Atosa i Aramisa, z którymi mógł się porozumiewać spojrzeniem.

Na dźwięk nazwisk hrabiego de La Fere i kawalera d'Herblay Karol otworzył oczy i mimo woli uniósłszy nieco swą szlachetną głowę, objął wzrokiem wszystkich aktorów tej sceny.

W tej chwili Parry przewrócił kilka kartek Biblii i głośno odczytał werset z

Jeremiasza:

“Bóg rzekł: Słuchajcie słów proroków, sług moich, których wam posyłam, dobrawszy ich z wielką rozwagą, i których zawiodłem między was”.

Czterej przyjaciele spojrzeli na siebie. Słowa, które Parry odczytał, były znakiem, że król odgadł rzeczywistą przyczynę ich zjawienia się w jego kwaterze.

Oczy d’Artagnana zajarzyły się radośnie.

— Pytałeś mnie, kapitanie, czy jestem przygotowany do gry? — rzekł wykładając na stół dwadzieścia pistoli.

— Aha, właśnie — odparł Grosłow.

— Więc tak ci na to odpowiem — rzekł d’Artagnan: — dobrze pilnuj swego skarbu, mój drogi panie Grosłow, bo ręczę ci, że nie wyjdziemy stąd, póki go nie zabierzemy.

— Ja zaś nie oddam go wam bez walki — odparł Grosłow.

— Tym lepiej — rzekł d’Artagnan. — Będzie bitwa, mój drogi kapitanie, będzie bitwa. Wiesz albo i nie wiesz, na co zagięliśmy parol.

— Ho, wiem, dobrze wiem! — rzekł Grosłow wybuchając swym prostackim śmiechem — wy Fracuzi wszędzie nic, tylko guzów szukacie.

Karol usłyszał wszystko i wszystko zrozumiał. Lekki rumieniec wystąpił mu na twarz. Żołnierze, którzy pilnowali go, zobaczyli, że powoli rozprostowuje swe znużone ciało i pod pozorem nadmiernego gorąca buchającego z rozpalonego pieca odsuwa szkocki koc, pod którym jak powiedzieliśmy, leżał całkowicie ubrany.

Atos i Aramis zadrżeli z radości, widząc, że król nie rozebrał się na noc.

Zaczęła się gra. Szczęście tego wieczoru odwróciło się i sprzyjało Grosłowowi, który wciąż miał, co trzeba, i wciąż wygrywał. Już setka pistoli przesunęła się z jednej strony stołu na drugą. Grosłow był w siódmym niebie.

Portos, który przegrał pięćdziesiąt pistoli, wygranych poprzedniego, dnia, a prócz tego jeszcze ze trzydzieści własnych, zrobił się wielce ponury i wciąż

trącał kolanem d'Artagnana, jakby pytał, czy nie pora już przejść do innej gry. Atos i Aramis też wciąż zerkali badawczo, ale d'Artagnan ani drgnął.

Wydzwoniła godzina dziesiąta; usłyszano przechodzący ront.

— Ile takich rontów wysyłacie? — zapytał d'Artagnan wyjmując z kieszeni nowe sztuki złota.

— Pięć — rzekł Groslow — mają obchód co dwie godziny.

— Słusznie — rzekł d'Artagnan — bardzo roztropnie.

Usłyszano oddalające się kroki patrolu.

D'Artagnan, którego Portos znów trącił kolanem, po raz pierwszy odpowiedział tym samym.

Tymczasem przyciągnięci grą i widokiem złota, działającym tak przemożnie na wszystkich ludzi, żołnierze, którzy mieli stać na warcie w pokoju króla, przybliżyli się powoli aż do progu i stamtąd, wzniosłszy się na palce, zaglądali przez plecy d'Artagnana i Portosa. Ci, co pilnowali drzwi, też podeszli, spełniając w ten sposób pragnienia czterech przyjaciół, którzy woleli mieć ich pod ręką, niż się za nimi uganiać po wszystkich kątach. Wartownicy, którym zlecono pilnowanie drzwi wejściowych, wprawdzie wciąż jeszcze szpady mieli gołe, ale teraz, wsparci o ich ostrza, przyglądali się graczom.

Atos, im chwila była bliższa, tym się wydawał spokojniejszy. Jego białe, arystokratyczne ręce bawiły się ludwikami, które giął i prostował tak łatwo, jakby złoto było cyną. Aramis, mniej opanowany, wciąż sięgał w zanadrze. Portos, który wciąż przegrywał, niecierpliwił się i coraz silniej napierał kolanem.

D'Artagnan odwrócił się, niedbale obejrzał się za siebie i zobaczył, że Parry stoi między dwoma żołnierzami, a Karol, wsparty na łokciu, składa dłonie, jakby się zwracał do Boga z żarliwą modlitwą. D'Artagnan pojął, że chwila nadeszła, że wszyscy są na stanowiskach i czekają już tylko na słowo: "Nareszcie", które jak pamiętamy, było umówionym znakiem.

Rzucił więc ostrzegawcze spojrzenie Atosowi i Aramisowi, a oni odsunęli

niecو swe krzesła, żeby zyskać większą swobodę ruchów.

Po raz drugi trącił Portosa kolanem, a Portos wstał, jakby chciał sobie rozprostować zdrętwiałe nogi. Wstając zaś upewnił się, czy aby szpada lekko wychodzi z pochwy.

— Do kroćset! — rzekł d'Artagnan — znów przegrałem dwadzieścia pistoli. Na honor, kapitanie Grosłow, masz za duże szczęście, tak nie może być dłużej.

I znów wyjął dwadzieścia pistoli z kieszeni.

— Ostatnia gra, kapitanie. Te dwadzieścia pistoli stawiam na jedną kartę. Na ostatnią.

— Dwadzieścia pistoli? Niech będzie — zgodził się Grosłow.

I odkrył dwie karty, jak to wynikało z reguł gry, dla d'Artagnana króla, dla siebie asa.

— Król! — rzekł d'Artagnan. — Dobra wróżba, imć Grosłowie — dodał — strzeż się króla.

A choć d'Artagnan tak świetnie sobą władał, niezwykle brzmienie jego głosu sprawiło, że Grosłow zadrżał.

Kapitan zaczął odwracać karty jedną po drugiej. Jeśliby odwrócił wpierw asa, wygrałby; jeśliby odwrócił króla, przegrał.

Odwrócił króla.

— Nareszcie! — rzekł d'Artagnan.

Na te słowa Atos i Aramis wstali, Portos cofnął się o krok.

I już miały błysnąć sztylety i szpady, gdy nagle drzwi otworzyły się i w progu stanął Harrison, w towarzystwie nieznanego, szczelnie okrytego płaszczem.

Za nimi załśniły muszkiety pięciu czy sześciu żołnierzy.

Grosłow wstał spieszenie, zawstydzony, że go tak zaskoczono przy winie, kościach i kartach. Ale Harrison, zgoła na niego nie zwracając uwagi, wszedł razem ze swym towarzyszem do pokoju króla.

— Karolu Stuarcie — rzekł — przyszedł rozkaz, by cię prowadzić do Londynu nie zatrzymując się ani w dzień, ani w nocy. Przygotuj się więc, bo ruszamy bez zwłoki.

— Od kogóż to wyszedł ten rozkaz? — zapytał król. — Czy od generała Olivera Cromwella?

— Tak — odparł Harrison — oto jest pan Mordaunt, który go w tej chwili przywiózł i który ma pilnować, by go wykonano.

— Mordaunt! — szepnęli czterej przyjaciele patrząc na siebie. D'Artagnan zagarnął ze stołu do swojej obszernej kieszeni wszystkie pieniądze, jakie obaj z Portosem przegrali. Atos i Aramis stanęli tuż za nim. Usłyszawszy brzęk i szelest Mordaunt odwrócił się, poznał ich i wydał okrzyk dzikiej radości.

— Zdaje się, że wpadliśmy — rzekł po cichu d'Artagnan do swoich przyjaciół.

— Jeszcze nie — rzekł Portos.

— Pułkowniku! Pułkowniku! — zawołał Mordaunt. — Zdrada! Każ otoczyć pokój. Ci czterej Francuzi uciekli z Newcastle i na pewno chcą porwać króla. Trzeba ich aresztować.

— O, młodzieńcze! — rzekł d'Artagnan dobywając szpady — taki rozkaz dać łatwo, ale wykonać trudniej.

Po czym, zasłoniwszy się straszliwym młyńcem, krzyknął:

— Do odwrotu, przyjaciele, do odwrotu!

Rzucił się ku drzwiom i dwóch żołnierzy, którzy ich strzegli, obalił z tak błyskawiczną szybkością, że nie zdążyli odwieść kurków. Atos i Aramis runęli za nim. Portos tworzył ariergardę i zanim żołnierze, oficerowie i pułkownik zdolali się opamiętać, wszyscy czterej wypadli na ulicę.

— Ognia! — krzyknął Mordaunt. — Ognia za nimi!

Posłano więc kilka strzałów z muszkietu, ale dały one tylko taki skutek, że ujrzano, jak czterej zbiegowie, zdrowi i cali, znikają za rogiem ulicy.

Konie czekały na umówionym miejscu. Służący tylko cugle rzucili swoim

panom, którzy znaleźli się na siodłach z szybkością najwytrawniej-szych jeźdźców.

— Naprzód! — krzyknął d'Artagnan — spiąć konie i w cwał!

Pomknęli za d'Artagnanem po drodze, którą już przebyli podczas dnia, czyli kierując się w stronę Szkocji. Miasteczko nie miało bram ani murów, wyjechali więc zeń bez przeszkody.

Minąwszy ostatni dom, d'Artagnan ujechał jeszcze z pięćdziesiąt kroków i zatrzymał konia.

— Stój! — krzyknął.

— Jak to stój?! — zawołał Portos. — Chciałeś powiedzieć: naprzód, co koń wyskoczy.

— Nie, mój drogi — rzekł d'Artagnan. — Tym razem będą nas gonić; zaczekajmy więc, aż wyjadą z miasta i pognają za nami szkockim traktem. A kiedy nas w galopie miną, udamy się w przeciwną stronę.

Nie opodał przepływał strumień, przez który był przerzucony most. D'Artagnan wjechał z koniem pod sklepienie mostu, przyjaciele jego tak samo postąpili.

Nim upłynęło dziesięć minut, usłyszeli zbliżający się szybko galop całej gromady jeźdźców. W pięć minut później jeźdźcy przemknęli cwałem ponad ich głowami, ani się domyślając, że ci, których gonią, są od nich tylko sklepieniem mostu oddzieleni.



## 20. Londyn

Kiedy tętent koński ucichł w dali, d'Artagnan wyjechał na brzeg rzeczki i ruszył na przełaj po równinie, kierując się, ile możliwości, w stronę Londynu. Trzej przyjaciele cwałowali za nim w milczeniu, póki miasto, które objechali szerokim łukiem, nie zostało daleko w tyle.

— Tym razem — odezwał się d'Artagnan, skoro wreszcie uznał, że się już dostatecznie oddalili od miejsca, z którego uciekli, żeby z galopu przejść w kłusa — zdaje mi się, że wszystko przepadło na amen i że najlepiej zrobimy wracając do Francji. Co ty na to, Atosie? Chyba przyznasz, że projekt jest rozumny?

— Na pewno, drogi przyjacielu — odparł Atos. — Lecz ty sam przed kilkoma dniami powiedziałeś rzecz więcej niż rozumną, bo wielkoduszną i szlachetną. Powiedziałeś: “Tutaj umrzemy”. Przypominam ci twoje własne słowa.

— Et! — odezwał się Portos — śmierć to fraszka i myśl o niej nie powinna nas trapić, skoro nie wiemy, co to jest. Natomiast dręczy mnie myśl o porażce. Sprawy przybrały taki obrót, że jak widzę, trzeba nam będzie wydać wojnę Londynowi, prowincjom, całej Anglii, z czego wynika, że w końcu będziemy musieli zostać pobici.

— Musimy być świadkami tej wielkiej tragedii aż do końca — rzekł Atos. — Nie opuszczajmy Anglii aż dopiero po wszystkim, cokolwiek by się stało. Czy i ty też tak myślisz, Aramisie?

— Jota w jotę, drogi przyjacielu. Prócz tego przyznam się wam, że nie pogniewałbym się spotkać jeszcze raz Mordaunta. Moim zdaniem, mamy z nim rachunek, który należałoby wyrównać, a przecież nie jest naszym zwyczajem wyjeżdżać z jakiegoś kraju nie spłaciwszy tego rodzaju długu.

— A, to co innego — rzekł d'Artagnan — ten argument trafia mi do przekonania. Jeśli o mnie chodzi, przyznam się, że gdyby było trzeba, jestem gotów zostać w Londynie i na rok, byleby się spotkać z rzeczonym Mordauntem. Lecz zamieszkajmy u pewnego człowieka i tak się zachowujmy, żeby żadnych nie budzić podejrzeń, w tej chwili bowiem szuka już nas sam pan Cromwell, a o ile mogę wnosić, pan Cromwell nie żartuje. Atosie, czy znasz w tym mieście gospodę, w której znalazłaby się czysta pościel, rostbef upieczony jak się patrzy i wino nie z chmielu ani z jałowca?

— Zdaje mi się, że mam to, o co ci chodzi — rzekł Atos. — De Winter zaprowadził nas kiedyś do człowieka będącego, jak powiadał, z pochodzenia Hiszpanem, który przyjął obywatelstwo angielskie dla gwinei swych nowych rodaków. Co ty na to, Aramisie?

— Projekt zatrzymania się u seniora Pereza wydaje mi się ze wszech miar roztropny i jeśli o mnie idzie, zgadzam się. Powołamy się na wspomnienie biednego de Wintera, którego wydawał się wielce szanować. Powiemy mu, że przybyliśmy z ciekawości, żeby zobaczyć, co się dzieje. Każdy z nas będzie mu płacił jedną gwineę dziennie i spodziewam się, że dzięki tym wszystkim ostrożnościom będziemy mogli dość bezpiecznie mieszkać u niego.

— Zapominasz o jeszcze jednej ostrożności, Aramisie, i to dość istotnej.

— O jakiej?

— Że musimy się przebrać w inne ubrania?

— Na co? — rzekł Portos. — Po co mamy zmieniać ubrania? W tych jest nam przecież całkiem wygodnie.

— Żeby nas nie poznano — rzekł d'Artagnan. — Nasze suknie mają jednakowy krój, a nieledwie i barwę, która od pierwszego rzutu oka zdradza "Frenchmana". Otóż zgoła mi aż tak nie zależy na kroju mojego kaftanu albo na kolorze moich portek, bym miał z miłości do nich narażać się, że mnie powieszają w Tyburn albo wyślą w podróż po Indiach. Kupię sobie strój brązowy. Zauważyłem, że te purytańskie kpy przepadają za kolorem brązowym.

— Czy aby odszukasz seniora Pereza? — zapytał Atosa Aramis.

— Bez trudu, mieszka przy Green-Hall Street, w “Bedford's Tavern”; mogę zresztą chodzić po Londynie z zamkniętymi oczyma.

— Chciałbym już tam być — rzekł d'Artagnan. — Moim zdaniem, musimy dojechać do Londynu przed świtem, choćbyśmy mieli na śmierć zajeździć konie.

— Zatem ruszajmy — rzekł Atos — gdyż jeśli się nie mylę w obliczeniach, zostało nam zaledwie osiem do dziesięciu mil.

Przyjaciele ruszyli z kopyta i koło piątej rano rzeczywiście dojechali do Londynu. U bramy, przez którą weszli do miasta, zatrzymała ich straż, ale Atos odpowiedział swą znakomitą angielszczyzną, że są wysłani przez pułkownika Harrisona do jego kolegi pana Pridge'a z wieścią o rychłym przyjeździe króla. Ta odpowiedź spowodowała pytania dotyczące pojmania Karola I, ale Atos podawał szczegóły tak dokładne i tak wiarygodne, że jeśli strażnicy mieli z początku jakieś podejrzenia, teraz rozpierchły się one bez śladu. Czterech przyjaciół przepuszczono wśród pozdrowień i powinszowań purytańskich.

Atos nie rzucał słów na wiatr; od razu trafił do “Bedford's Tavern”, której właściciel poznał go też natychmiast i wielce ucieszony z przybycia tak licznej i świetnej kompanii, kazał wyprzątnąć co szybciej swoje najparadniejsze pokoje.

Choć dopiero zaczynało świtać, nasi czterej podróżni wjechawszy do Londynu, zastali już wielki ruch w całym mieście. Już wczoraj rozeszła się wieść, że król prowadzony przez pułkownika Harrisona przybywa do stolicy, i wielu jej mieszkańców w ogóle nie kładło się spać, obawiali się bowiem, że Stuart — jak go nazywali — może przybyć w nocy i że mogliby nie zobaczyć jego wjazdu do miasta.

Projekt przebrania się został przyjęty, jak pamiętamy, jednomyślnie, wyjąwszy lekki opór Portosa. Zajęli się więc wprowadzeniem pomysłu w czyn. Gospodarz kazał przynieść sobie najprzeróżniejszą odzież, jakby chciał całkowicie odnowić swe zapasy garderoby. Atos wybrał ubiór czarny, który

przedzierzgnął go w statecznego mieszczanina, Aramis, nie chcąc rozstać się ze szpadą, wybrał ciemny ubiór wojskowego kroju; Portosa znęcił czerwony kaftan i spodnie koloru zielonego; d'Artagnan, który z góry ustalił barwę swoich przyszłych sukni, musiał sobie tylko dobrać najstosowniejszy odcień i w upragnionym brunatnym ubraniu wyglądał niemal do złudzenia na kupca cukrem, który się wycofał z interesów.

Milczek i Muszkiet mogli śmiało ująć za już przebranych, ponieważ nie nosili liberii. Milczek zresztą był doskonałym wcieleniem flegmatycznego, suchego, sztywnego i powściągliwego Anglika, Muszkiet zaś — Anglika brzuchatego, pyzatego, który lubi wesoło pohulać.

— A teraz — rzekł d'Artagnan — zrobimy rzecz najgłówniejszą: zetniemy włosy, żeby nie narażać się na zniewagi motłochu. Nie będąc już szlachcicami z braku szpad, stańmy się purytanami z uczesania. Jest to, jak wiecie, szczególnie niezmiernie ważny, który odróżnia stronników Cromwella od stronników króla.

Na to słuszne żądanie d'Artagnana ani rusz nie chciał się zgodzić Aramis. Za wszelką cenę pragnął zachować swoje włosy, które miał istotnie piękne i które starannie pielęgnował, i dopiero Atos, całkiem obojętny na to wszystko, musiał mu dać przykład. Portos bez oporu oddał swą głowę w ręce Muszkietu, który śmiało zaczął ciachać nożycami po jego gęstej i twardej czuprynie. D'Artagnan sam się przystrzygł, w tak oryginalny sposób, że głowa jego upodobniła się wielce do medalu z czasów Franciszka I czy Karola IX.

— Wyglądamy jak straszydła — orzekł Atos.

— Zdaje mi się, że od każdego z nas tak cuchnie purytaninem, że aż dreszcz przenika — stwierdził Aramis.

— Zimno mi w łeb — rzekł Portos.

— A ja czuję, że miałbym ochotę pójść na ryby — stwierdził d'Artagnan.

— A teraz — rzekł Atos — skoro nie mogąc poznać samych siebie, nie musimy się obawiać, że inni nas poznają, chodźmy zobaczyć wjazd króla. Jeśli przez całą noc był w drodze, musi już być blisko Londynu.

Czterej przyjaciele wmieszali się tedy w tłum, a po dwóch godzinach czekania głośnie wrzaski i wielki ruch zwiastowały im, że Karol wreszcie przybywał. Wysłano mu naprzeciw karetę, a olbrzymi Portos, który całą cizbę przewyższał o głowę, już z daleka tę karetę dojrzał i oznajmił im o tym. D'Artagnan wspiął się na palce, a Atos i Aramis pilnie słuchali, co mówią ludzie w tłumie, chcąc zdać sobie sprawę z powszechnej opinii. Karetą przejechała; d'Artagnan poznał Harrisona i Mordaunta, którzy eskortowali ją po obu stronach. W tłumie, który uważnie obserwowali Atos i Aramis, wszyscy głośno zlorzeczyli Karolowi.

Atos wrócił zrozpaczony.

— Mój drogi.— rzekł d'Artagnan — upierasz się daremnie, ręczę ci własnym honorem, że sprawa jest kiepska. Jeśli o mnie idzie, zajmuję się nią tylko przez wzgląd na ciebie i przez to jakieś, można by rzec, artystyczne zamiłowanie do wtrącania się po muszkietersku do polityki. Uważam, że byłoby rzeczą wielce ucieszną, gdyby się nam udało sprzątnąć sprzed nosa ofiarę temu stadu rozwrzeszczanych małąp i zakpić sobie z nich na potęgę. Zastanowię się nad tym.

Już nazajutrz Atos, stanąwszy w oknie swego pokoju, wychodzącym na najruchliwsze dzielnice śródmieścia, usłyszał, jak pachołkowie okrzykują bill parlamentu<sup>14</sup>, pozywający przed kratki eks-króla Karola I pod zarzutem zdrady i nadużycia władzy.

D'Artagnan stanął obok Atosa. Aramis studiował mapę. Portos był pochłonięty dojadaniem ostatnich smakowitych kęsów pożywnego śniadania.

— Bill parlamentu! — zawołał Atos. — Niemożliwe, żeby parlament wydał taki bill.

— Posłuchaj — rzekł d'Artagnan — ja po angielsku rozumiem niewiele, ale angielski to po prostu francuski zepsuty złą wymową i przecież słyszę wyraźnie: Parliament's bill, co ma znaczyć: "bill parlamentu", albo niech mnie

---

14 Bill (ang.) — uchwała.

Bóg skarże, jak tu oni mówią.

Właśnie wszedł gospodarz; Atos skinął nań, żeby się zbliżył.

— Czy to parlament wydał ów bill? — zapytał go po angielsku.

— Tak, milordzie, parlament czysty.

— Jak to, parlament czysty. Czyżby były dwa parlamenty?

— Przyjacielu — przerwał mu d'Artagnan — ponieważ ja po angielsku nie rozumiem, za to wszyscy rozumiemy po hiszpańsku, zrób nam tę grzeczność i rozmawiaj z nami w swym języku ojczystym, którego pewnie z przyjemnością używasz, jeśli się trafi okazja.

— Świetny pomysł — rzekł Aramis.

Portos nie zabierał głosu w tej sprawie, gdyż jak już mówiliśmy, uwaga jego bez reszty skupiała się na kości kotleta, którą ogryzał z jej mięsnej powłoki.

— Pytałeś mnie o coś, panie? — zapytał gospodarz po hiszpańsku.

— Pytałem — odparł w tym samym języku Atos — o parlament. Czyżby były aż dwa: jeden czysty i jeden nieczysty?

— Cóż za dziwna rzecz! — odezwał się Portos, wolno podnosząc głowę znad misy i ze zdumieniem patrząc na przyjaciół. — Czyżbym już zdążył się nauczyć po angielsku? Rozumiem, co mówicie.

— Bo mówimy po hiszpańsku, mój drogi — odparł Atos ze zwykłą sobie zimną krwią.

— A, do licha! — rzekł Portos — szkoda, znałbym o jeden język więcej.

— Dlatego powiedziałem “parlament czysty”, senior — odparł gospodarz — że miałem na myśli parlament, który sam pułkownik Pridge oczyścił.

— Zaiste! — rzekł d'Artagnan — Anglicy to ludzie ogromnie pomysłowi. Wróciwszy do Francji będę musiał podsunąć tę myśl panu Mazariniemu i panu koadiutorowi. Jeden oczyści parlament w imieniu dworu, drugi w imieniu ludu i w ten sposób parlamentu już w ogóle nie będzie.

— Któż to taki ów pułkownik Pridge? — zapytał Atos — i w jaki sposób się zabrał do oczyszczania parlamentu?

— Pułkownik Pridge — odparł Hiszpan — to dawny woźnica, człowiek wielce sprytny, który jeżdżąc swoim wozem, jedno zauważył: że jeśli się spotka na drodze kamień, łatwiej jest go podnieść i odrzucić, niż po nim kołem przejechać. Otóż na dwustu pięćdziesięciu i jednego członka, z których się składał parlament, stu osiemdziesięciu i jeden zawadzali mu i mogliby wyrzucić jego polityczny wóz. Wziął ich więc, jak niegdyś brał kamienie, i wyrzucił z izby.

— Chytrze! — rzekł d'Artagnan, który będąc człowiekiem przede wszystkim sprytnym, potrafił ocenić spryt, gdziekolwiek by się z nim nie spotkał.

— Więc wszyscy wyrzuceni byli stuartystami? — zapytał Atos.

— Bez wątpienia, senior, i na pewno uratowaliby króla.

— Do licha — zagrzmał uroczyście Portos. — Czyli że byli w większości.

— I ty sądzisz — rzekł Aramis — że król zgodzi się stanąć przed takim trybunałem?

— Nie ma innego wyjścia — odparł Hiszpan. — Jeśliby próbował odmówić, lud go zmusi.

— Dziękuję ci, imć Perezie — rzekł Atos — teraz już wiem wszystko.

— I może wreszcie uwierzysz, że to przegrana sprawa, Atosie — rzekł d'Artagnan — i że nie damy rady wszystkim Harrisonom, Joyce'om, Pridge'om i Cromwellom?

— Król zostanie przez trybunał uwolniony — rzekł Atos — milczenie jego stronników świadczy o istnieniu spisku.

D'Artagnan wzruszył ramionami.

— A jeśliby się nawet ośmielili skazać swojego króla — rzekł Aramis — skazą go na wygnanie albo na więzienie w najgorszym razie.

D'Artagnan zaczął gwizdać, jakby powątpiewał.

— Cóż, przekonamy się — rzekł Atos — mniemam bowiem, że będziemy chodzili na posiedzenia.

— Panowie nie będą potrzebowali długo czekać — rzekł gospodarz — posiedzenia zaczynają się jutro.

— Jak to?! — zawołał Atos. — Czyżby proces przygotowano jeszcze przed pojmaniem króla?

— Bez wątpienia — odparł d'Artagnan — postępowanie sądowe rozpoczęło się tego dnia, w którym go kupiono od Szkotów.

— Czy wiecie — rzekł Aramis — że jest to dzieło naszego przyjaciela Mordaunta, który jeśli sam nie dobił targu, to przynajmniej grunt pod tę transakcję przygotował?

— A czy wy wiecie — rzekł d'Artagnan — że tego pana Mordaunta zabiję, gdzie by mi się nie nawinał pod rękę?

— To wstrętne — rzekł Atos — zabijać takiego łotra.

— Właśnie dlatego go zabiję, że jest łotr — odparł d'Artagnan. — O, drogi przyjacielu, chyba tak często naginałem się do twoich chęci, że ty mógłbyś być wyrozumialszy dla moich. Zresztą tym razem, czy ci się to podoba, czy nie, oświadczam wam, że ów Mordaunt zginie z mojej ręki.

— I z mojej — rzekł Portos.

— I z mojej — rzekł Aramis.

— Rozczulająca jednomyślność! — zawołał d'Artagnan — i wielce stosowna dla zacnych mieszczan, którymi przecież jesteśmy. Chodźmy się przejść po mieście; sam Mordaunt nie poznałby nas z odległości czterech kroków w takiej mgle. Chodźmy się jej napić.

— Dobrze — rzekł Portos — zawsze będzie jakaś odmiana po piwie. I czterej przyjaciele wyszli, żeby jak się to potocznie mówi, zaczerpnąć świeżego powietrza.



## 21. Proces

Nazajutrz liczne straże przyprowadziły Karola I przed wysoki trybunał, który miał go sądzić.

Tłum zalał ulice i domy sąsiadujące z gmachem sądu. Czterej przyjaciele, nie uszedłszy i kilku kroków, zostali zatrzymani przez ten żywy mur, stanowiący przeszkodę niemal nie do przebycia. Na dobitkę jacyś mężczyźni z ludu, barczyści i prędcy do zwady, tak mocno popchnęli Aramisę, że Portos podniósł swoją straszliwą pięść i spuścił ją na umączoną gębę jakiegoś piekarza, która natychmiast odmieniła barwę i zalała się krwią zgnieciona jak przejrzałe winogrono. Powstał wielki tumult. Jacyś trzech mężczyźni chcieli się rzucić na Portosa, ale Atos odsunął jednego, d'Artagnan drugiego, a trzeciego Portos przerzucił sobie ponad głowę. Paru Anglików, amatorów walki na pięści, oceniając szybkość i zręczność, z jakimi wykonany został ten manewr, zaczęło klaskać. I niewiele brakowało, a porwaliby triumfalnie na ramiona Portosa i jego przyjaciół, którzy już się zaczęli obawiać, że zginą zatłuczeni pięściami; lecz naszym czterem podróżnym, którzy unikali wszystkiego, co mogłoby zwrócić na nich uwagę, udało się ujść przed owacją. To jednak zyskali na owym popisie siłackim, że tłum się rozstał przed nimi i że osiągnęli to, co przed chwilą jeszcze wydawało się im nie do osiągnięcia, czyli wejście do gmachu sądu.

Cały Londyn cisnął się do drzwi trybun, toteż kiedy czterem przyjaciołom udało się na jedną z nich przedostać, zastali trzy pierwsze ławy już zajęte. Było to niewielkie nieszczęście dla ludzi, którzy pragnęli nie zostać poznani. Usiedli w dalszych rzędach, wielce radzi, że się dostali choć tu, wyjąwszy Portosa, który chciał się popisać swoim czerwonym kaftanem i zielonymi spodniami i żałował, że nie siedzi w pierwszym rzędzie.

Ławy ustawione były amfiteatralnie i czterej przyjaciele ze swych górnych

miejsce widzieli całą salę. Przypadek sprawił, że weszli na trybunę środkową i znaleźli się na wprost fotela przygotowanego dla Karola I.

Koło godziny jedenastej przed południem król ukazał się na 'progu sali. Wszedł otoczony strażą, ale w kapeluszu na głowie i ze spokojnym obliczem i powiódł po całej sali spojrzeniem tak pewnym siebie, jakby tu przychodził przewodniczyć zebraniu uległych poddanych, a nie odpowiadać na oskarżenia sądu buntowników.

Sędziowie, dumni, że mają okazję upokorzyć króla, szykowali się najwidoczniej na użycie praw, które przywłaszczyli sobie: jakiś woźny sądowy podszedł do Karola I i powiedział mu, że zwyczaj wymaga, by oskarżony zdejmował przed sądem kapelusz.

Karol, nie odpowiedziawszy ani słowem, nacisnął kapelusz głębiej i odwrócił głowę w inną stronę. Następnie, kiedy woźny oddalił się, usiadł na fotelu ustawionym naprzeciwko przewodniczącego i zaczął się uderzać po bucie trzcinką, którą trzymał w ręku.

Parry, który mu towarzyszył, stanął za fotelem.

D'Artagnan, miał przyglądać się temu całemu ceremoniałowi, patrzył na Atosa, na którego twarzy malowały się te wszystkie wzruszenia, jakie królowi siłą panowania nad sobą udało się ukryć. Wzburzenie Atosa, człowieka tak opanowanego i spokojnego, przeraziło d'Artagnana.

— Spodziewam się — rzekł pochyliwszy się do jego ucha — że weźmiesz przykład z jego królewskiej mości i nie dasz się zabić jak baran w tej klatce.

— Bądź spokojny — odpowiedział Atos.

— O, o! — ciągnął dalej d'Artagnan — zdaje się, że się czegoś boją, bo podwajają strażę; dotąd mieliśmy tylko halabardy, a otóż mamy i muszkiety. Teraz wystarczy dla wszystkich; halabardy pilnują publiczności z parteru, muszkiety są na naszą intencję.

— Trzydziestu, czterdziestu, pięćdziesięciu, siedemdziesięciu ludzi — porachował wchodzących Portos.

— Ejże — rzekł Aramis — zapominasz o oficerze, Portosie, a zdaje mi się, że warto i jego policzyć.

— Rety! — rzekł d'Artagnan.

I aż zbladł ze złości, bo poznał Mordaunta, który, z obnażoną szpadą, prowadził muszkietarów. Ustawili się za królem, czyli na wprost trybun.

— Może nas poznał? — ciągnął dalej d'Artagnan — bo w takim razie uciekłbym, nie czekając. Nie mam najmniejszej ochoty na to, by mi siłą narzucono rodzaj śmierci, wolę sam sobie wybrać. A zastrzelenie w więziennej celi zgoła mi się nie uśmiecha.

— Nie — rzekł Aramis. — Nie zobaczył nas. Widzi tylko króla. Rany boskie, jakim wzrokiem patrzy na niego ten zuchwalec! Czyżby i jego królewską mość tak samo nienawidził jak nas?

— Do kaduka! — rzekł Atos — my odebraliśmy mu tylko matkę, a król wyzuł go z imienia i z fortuny.

— To prawda — rzekł d'Artagnan — ale cicho! Przewodniczący sądu coś mówi do króla.

Rzeczywiście, przewodniczący Bradshaw odezwał się do dostojnego oskarżonego:

— Stuart — rzekł — będę wywoływał nazwiska twoich sędziów. Słuchaj więc i jeśliś miał jakieś zastrzeżenie, zwróć się z nim do sądu.

Król, jakby te słowa nie do niego były skierowane, odwrócił głowę w inną stronę.

Przewodniczący czekał, a ponieważ żadna odpowiedź nie padła, na chwilę zrobiło się cicho.

Ze stu sześćdziesięciu trzech wyznaczonych sędziów tylko siedemdziesięciu trzech mogło odpowiedzieć, reszta bowiem przestraszyła się współudziału w tym czynie i nie przyszła.

— Przystępuję do wywoływania nazwisk — rzekł Bradshaw, jakby nie zauważył nieobecności trzech piątych zgromadzenia.

I zaczął odczytywać kolejno nazwiska sędziów obecnych i nieobecnych. Obecni odpowiadali głosem silniejszym albo słabszym, w zależności od tego, czy mieli odwagę własnych przekonań czy nie. Krótka chwila ciszy następowała po nazwiskach nieobecnych, które powtarzano dwukrotnie.

Z kolei padło nazwisko pułkownika Fairfaxa, po czym nastąpiła jedna z tych krótkich, lecz uroczystych chwil ciszy, które świadczyły o nieobecności członków, co nie chcieli brać osobiście udziału w tym sądzie.

— Pułkownik Fairfax? — powtórzył Bradshaw.

— Fairfax? — odpowiedział drwiący głos, a srebrzyste jego brzmienie zdradziło, że to głos kobiety — ma za dużo rozumu, żeby tu być!

Potężny wybuch śmiechu przywitał te słowa, wypowiedziane z odwagą, jaką kobiety czerpią z własnej słabości, słabości, która chroni je przed wszelką zemstą.

— Głos kobiety! — zawołał Aramis. — O, na honor, wiele bym dał, żeby była młoda i ładna.

I wszedł na ławę, próbując zajrzeć na trybunę, z której się ów głos odezwał.

— Na mą duszę! — rzekł — urocza. Spójrzże, d'Artagnan, wszyscy na nią patrzą i pomimo wzroku samego Bradshawa nawet nie zbladła.

— To sama lady Fairfax — rzekł d'Artagnan — pamiętasz, Portosie? Widzieliśmy ją razem z jej mężem u generała Cromwella.

Po chwili zgiełk spowodowany tym niezwykłym epizodem ucichł i wywoływanie potoczyło się dalej swoim torem.

— Ci hultaje przerwą posiedzenie, kiedy się spostrzegą, że jest ich za mało — rzekł hrabia de La Fere.

— Nie znasz ich, Atosie. Zobacz, jak się uśmiecha Mordaunt, zobacz, jak patrzy na króla. Czy jest to spojrzenie człowieka, który się boi, że ofiara mogłaby się mu wymknąć? Nie, nie, to uśmiech zaspokojonej nienawiści, uśmiech zemsty, pewnej, że się już wkrótce nasyci. A, przeklęty bazyliuszku, szczęśliwy będzie dla mnie dzień, w którym skrzyżuję z tobą coś więcej niż.

spojrzenie.

— Król jest naprawdę piękny — rzekł Portos — i spójrzcie tylko, jak starannie odziany, choć przecie więzień. Pióro u jego kapelusza jest warte najmniej pięćdziesiąt pistoli, przyjrzyj mu się, Aramisie.

Skończywszy wywoływanie nazwisk, przewodniczący nakazał odczytanie aktu oskarżenia.

Atos zbladł: jeszcze raz omylił się w swych rachubach. Choć sędziowie zeszli się w niewystarczającej liczbie, wszczęto postępowanie procesowe, a więc król był skazany zawczasu.

— Przecież ci powiedziałem, Atosie — rzekł wzruszywszy ramionami d'Artagnan. — Ale ty wciąż nie wierzysz. A teraz zbierz odwagę i słuchaj, bez zbytnej irytacji, bardzo cię proszę, wszystkich szkaradziejstw i horrendów, jakie ten czarno odziany jegomość będzie wygadywał o swoim królu, bezkarnie i z urzędu.

Rzeczywiście, jeszcze nigdy dotąd nie znieważyla królewskiego majestatu oskarżycielska mowa tak brutalna i tak krwiożercza, pełna najpodlejszych obelg. Do tej pory tylko mordowano królów i dopiero ich trupom urągano.

Karol I słuchał przemówienia oskarżyciela bardzo uważnie, mimo uszu puszczając obelgi, zapamiętując skargi, a kiedy nienawiść już nazbyt się pieniała, kiedy oskarżyciel zawczasu przemieniał się w kata, odpowiadał pogardliwym uśmiechem. Było to jednak dzieło mistrzowskie, choć przerażające, a nieszczęśliwy król odnalazł w nim każdą swoją lekkomyślność wyogromnioną do zdrady, a każdą omyłkę wyogromnioną do zbrodni.

D'Artagnan z należytą pogardą obserwował, jak płynie ten potok obelg, niektóre jednak zarzuty oskarżyciela trafiły mu do rozsądku.

— Muszę przyznać — rzekł — że gdyby karano za lekkomyślność i lekkoduchostwo, ten biedny król, owszem, zasługiwałby na karę; lecz wydaje mi się, że ta kara, którą w tej chwili przyszło mu odcierpieć, byłaby już dostatecznie sroga.

— Kara w żadnym razie nie mogłaby spotkać króla — rzekł Aramis — a jedynie jego ministrów, bo pierwszy artykuł konstytucji mówi, że “Król nie może zawinić”.

Gdybym się nie bał zakłócić powagi tej chwili — myślał sobie Portos, wpatrując się w Mordaunta i tylko jego widząc — zeskoczyłbym na dół z trybuny, w trzech susach dopadłbym Mordaunta i udusiłbym go. Wziąłbym go za nogi i jakbym zaczął nim wywijać młyńce, tobym położył pokotem tych wszystkich, pożał się Boże, muszkietierów, którzy tak kiepsko małpują naszych, francuskich. Przez ten czas d’Artagnan, taki pomysłowy i przytomny, może by znalazł sposób ocalenia króla. Muszę o tym pogadać z d’Artagnanem.

Atos zaś miał wypieki na twarzy, zacisnął pięści, zagryzł wargi aż do krwi i aż pienił się cały na swej ławie, rozwścieczony tą sądową zniewagą ciągnącą się bez końca i królewską cierpliwością, wystawioną na tak długotrwałą próbę. Ten człowiek o nieugiętym ramieniu i niewzruszonym sercu cały trząsał się i dygotał.

Wreszcie oskarżyciel zakończył swoją mowę słowami:

— Niniejsza skarga została przez nas wniesiona w imieniu narodu angielskiego.

Po tych słowach szmer przeszedł przez trybuny i nagle głos już nie kobiecy tym razem, ale męski, donośny i gniewny, zagrzemiał tuż za d’Artagnanem:

— Łzesz! Dziewięć dziesiątych narodu brzydzi się tym, coś tu powiedział.

Był to głos Atosa, który nie władając sobą, wstał i wyciągnąwszy rękę odpowiedział publicznemu oskarżycielowi.

Na te słowa król, sędziowie, publiczność, wszyscy zwrócili oczy ku trybunie, na której znajdowali się czterej przyjaciele. Mordaunt też spojrział i poznał szlachcica, przy którym już stali trzej inni Francuzi, bladzi i groźni. Oczy mu zapalały radośnie, bo odnalazł tych, których ślubował sobie odnaleźć i zgładzić choćby za cenę życia. Wściekłym ruchem przywołał ze dwudziestkę swoich muszkietierów i wskazując palcem trybunę, na której stali jego wrogowie, zawołał:

— Ognia, tam, w tę trybunę!

Lecz szybki jak myśl d'Artagnan już schwycił Atosa wpół ciała, Portos porwał na ręce Aramisa, zeskoczyli z ław, wypadli na korytarz, zbiegli ze schodów i dali nura w tłum. A tymczasem w sali spuszczone lufy muszkieterów groziły trzem tysiącom publiczności, póki błagania o litość i krzyki trwogi nie powstrzymały w zapędzie żołnierzy i nie zapobiegły masakrze.

Karol również poznał czterech Francuzów; jedną rękę przyłożył do serca, żeby stłumić jego przyśpieszone bicie, drugą zakrył sobie oczy, żeby nie widzieć, jak będą mordowani jego wierni przyjaciele.

Mordaunt, blady i trzęsący się z gniewu, wybiegł z sali z obnażoną szpadą w dłoni, w asyście dziesięciu halabardników i szukał w tłumie, i pytał, ciężko dysząc, i wreszcie wrócił nikogo nie znalazłszy.

Zamęt był nieopisany. Przez dobre pół godziny nikt nie był w stanie przekrzyknąć zgiełku. Sędziowie patrzyli nieufnie na trybuny, przekonani, że każdej chwili może paść z którejś nowy grom. Trybuny, widząc wycelowane w siebie muszkiety, wciąż były niespokojne i wzburzone. W każdym z widzów ciekawość walczyła o lepsze ze strachem.

Wreszcie sala uspokoiła się.

— Co masz do powiedzenia na swoją obronę? — zapytał Bradshaw króla.

Wtedy król, nie zdejmując kapelusza z głowy, wstał, nie jak pokorny więzień, ale jak dumny panujący, i odezwał się tonem nie oskarżonego, ale sędziego:

— Zanim przystąpicie do zadawania pytań mnie, najpierw wy mi odpowiedzcie. W Newcastle byłem wolny i zawarłem traktat z obydwoma izbami. A wy, lekceważąc postanowienia traktatu, których ja przestrzegałem, kupiliście mnie od Szkotów, niedrogo, wiem o tym, i ta oszczędność przynosi zaszczyt waszemu rządowi. Lecz czyżbyście sądzili, że przestałem być waszym królem dlatego, żeście za mnie zapłacili jak za niewolnika? O, nie! Odpowiadając wam zapomniałbym, kim jestem. Więc wam nie będę

odpowiadał, póki mi nie udowodnicie, że macie prawo mnie pytać.

Odpowiadając wam uznałbym was za swoich sędziów, a ja was uznaję tylko za swoich katów.

I wśród grobowej ciszy Karol, spokojny, wyniosły i wciąż w kapeluszu na głowie, siadł na swym fotelu.

— Czemuż nie ma tu moich Francuzów! — szepnął dumnie, zwracając wzrok ku trybunie, na której mu się na chwilę ukazali. — Zobaczyliby, że ich przyjaciel jest godny, by go bronić, póki żyje. I by go opłakiwać po śmierci.

Lecz nadaremnie szukał w głębinach tłumu i nieledwie prosił Boga o pociechę i ukojenie, jakimi byłaby dlań ich obecność. Wszędzie dookoła widział tylko otepiałe i zalęknione twarze; czuł, że musi samotnie walczyć z nienawiścią i okrucieństwem.

— Cóż, niech i tak będzie — rzekł przewodniczący, widząc, że Karol postanowił niezłomnie nie odezwać się więcej — osądzimy cię, choć odmawiasz odpowiedzi. Jesteś oskarżony o zdradę, nadużywanie władzy i o morderstwo. Świadkowie poświadczą. Teraz idź, bo skoro odmawiasz zeznań, zakończymy przewód na następnym posiedzeniu.

Karol wstał, odwrócił się i zobaczył, że Parry jest blady jak ściana, a skronie ma zwilgotniałe od potu.

— Cóż ci się stało, mój drogi Parry? — zapytał. — Czym się przejąłeś tak mocno?

— O, najjaśniejszy panie! — rzekł Parry błagalnie i ze łzami w oczach — najjaśniejszy panie, wychodząc z sali nie patrz w lewo.

— Dlaczegoż to, Parry?

— Nie patrz, błagam cię, najjaśniejszy panie.

— Co tam jest, powiedzże! — rzekł Karol, usiłując zajrzeć poprzez szereg stojących za nim straży.

— Jest coś, ale nie będziesz patrzył, najjaśniejszy panie, prawda? Bo oni tam wyłożyli na stół topór, którym się ścina zbrodniarzy. To szkaradny widok!



Nie patrz, najjaśniejszy panie, zaklinam cię.

— Głupcy! — rzekł Karol — czyżby mniemali, że jestem takim jak oni tchórzem? Dobrześ zrobił uprzedzając mnie. Dziękuję ci, Parry.

Trzeba było już opuścić salę, więc król wyszedł za swoimi strażnikami.

Rzeczywiście, z lewej strony drzwi połyskiwał posepnym odbłaskiem czerwonego sukna, na którym go położono, stalowy topór na długim trzonie wypolerowany rękami kata.

Znalazłszy się obok stołu Karol stanął i odwrócił się z uśmiechem.

— Ho, ho! — rzekł i roześmiał się — topór! Straszycie pomysłowe i godne tych, którzy nie wiedzą, co to szlachcic. Nie boję się ciebie, katowski toporze — dodał, trącając go cienką i giętką trzcinką, którą trzymał w ręku — uderzam cię i czekam z cierpliwością, jak na chrześcijanina przystało, żebyś mi się odwzajemnił.

I z istic królewską pogardą wzruszywszy ramionami, poszedł dalej, zostawiając za sobą osłupiały tłum tych, co się cisnęli do stołu, żeby zobaczyć, jaki będzie wyraz twarzy króla, kiedy ujrzy ten topór, który miał odciąć jego głowę od ciała.

— Jako żywo, Parry — mówił król idąc dalej — ci wszyscy ludzie mają mnie, niech im Bóg wybaczy, za kupca indyjskiej bawełny, a nie za szlachcica przywykłego do błysku stali. Czyżby myśleli, że jestem gorszy od pierwszego lepszego rzeźnika?

Tak mówiąc doszedł do drzwi. Ci, którym się nie udało dostać na trybuny, zbiegli się stojąc w długich szeregach, chcieli nacieszyć wzrok bodaj zakończeniem widowiska, którego część najciekawsza im przepadła. Ujrawszy tę nieprzebraną ciżbę, usianą wielką liczbą złowrogich, ziejących nienawiścią twarzy, król westchnął cicho.

Tyle ludzi! — pomyślał — i ani jednego wiernego przyjaciela.

A kiedy wymawiał w duchu te słowa zwątpienia i zniechęcenia, tuż obok, jakby w odpowiedzi, odezwał się czyjś głos:

— Cześć pokonanemu majestatowi!

Król odwrócił się żywo, mając łzy w oczach i w sercu.

Był to stary żołnierz z jego przybocznej straży, który widząc uwięzionego króla przechodzącego mimo, chciał mu oddać ostatni hołd.

Lecz biedak w tejże chwili został niemal na śmierć zatłuczony gałkami szpad.

Wśród tych, którzy się na niego rzucili, król poznał kapitana Grosłowa.

— Biedny człowiek! — rzekł Karol. — Czy nie za wielka kara za tak drobną przewinę?

I ze ściśniętym sercem szedł dalej, lecz zanim uszedł sto kroków, jakiś rozwścieczony furiat, wychyliwszy się między żołnierzami tworzącymi szpaler, plunął mu w twarz, jak niegdyś Żyd niegodny i przeklęty plunął w twarz Jezusa z Nazaretu.

Głośne wybuchy śmiechu i ponure pomruki rozległy się równocześnie. Tłum odsunął się, przybliżył, zafalował jak burzliwe morze, a królowi wydało się, że wśród tych żywych fal widzi iskrzące się oczy Atosa.

Karol otarł twarz i uśmiechając się smutnie, rzekł:

— Nieszczęśliwy! Za pół korony plunąłby w twarz własnemu ojcu.

Król nie omylił się; ujrzał rzeczywiście Atosa i jego przyjaciół, którzy znów się wmieszawszy w cizbę, odprowadzali ostatnim spojrzeniem króla męczennika.

Kiedy żołnierz pozdrowił Karola, w Atosie serce aż topniało z radości i skoro ów nieszczęśliwy odzyskał przytomność, mógł znaleźć w kieszeni dziesięć gwinei, które wsunął mu tam francuski szlachcic. Lecz kiedy podły opryszek plunął w twarz uwięzionemu królowi, Atos sięgnął ręką po sztylet.

D'Artagnan zatrzymał tę rękę i ochrypłym głosem zawołał:

— Co czynisz!

D'Artagnan nigdy jeszcze nie odezwał się takim tonem ani do Atosa, ani do hrabiego de La Fere.

Atos opamiętał się.

D'Artagnan ujął go pod ramię, dał znak Portosowi i Aramisowi, żeby się nie oddalali, i stanął tuż za człowiekiem z obnażonymi ramionami, który jeszcze się śmiał ze swego niecnego żartu i przyjmował powinszowania paru innych rozbestwionych drabów.

Człowiek ów odszedł wreszcie w kierunku śródmieścia. D'Artagnan, wciąż trzymając pod ramię Atosa, ruszył za nim, dając znak Portosowi i Aramisowi, żeby też szli.

Człowiek z obnażonymi ramionami, który wyglądał na rzeźnickiego pomocnika, wszedł z dwoma towarzyszami w spadzistą i odludną uliczkę prowadzącą nad rzeką.

D'Artagnan puścił ramię Atosa i szedł teraz tuż za człowiekiem, który zelżył króla.

Wyszedszy nad brzeg rzeki tamci trzej spostrzegli, że jacyś ludzie idą za nimi trop w trop, więc zatrzymali się i bezczelnie patrząc na Francuzów, rzucili kilka obraźliwych uwag pod ich adresem.

— Nie umiem po angielsku, Atosie — rzekł d'Artagnan — ale ty umiesz; bądź mi więc tłumaczem.

Przyśpieszyli kroku, wyminęli tamtych trzech, po czym d'Artagnan nagle odwrócił się, zaszedł drogę rzeźnickiemu pomocnikowi i dotykając jego piersi wskazującym palcem rzekł do przyjaciela:

— Powtórz mu, Atosie: “Zachowałeś się podle, zelżyłeś bezbronnego człowieka, plunąłeś w twarz twojemu królowi, więc zginiesz”.

Atos, trzymany przez d'Artagnana za rękę i jak widmo blady, przetłumaczył te niezwykle słowa opryszkowi, który z ich ponurej treści i z groźnego spojrzenia d'Artagnana poznał, że szykuje się coś niedobrego, i chciał się brać do obrony. Widząc jego ruch, Aramis sięgnął po szpadę.

— Nie, nie trzeba szpady — rzekł d'Artagnan. — Szpada jest dla ludzi honorowych.

I chwytając rzeźnika za gardło, zawołał:

— Portosie, zatłucz mi tego łotra jednym uderzeniem pięści!

Portos podniósł swe straszliwe ramię, zamachnął się nim jak procą, że aż świsnęło w powietrzu, i ciężka pięść spadła z głuchym łoskotem na czaszkę łotra, miażdżąc ją.

Rzeźnik upadł, jak pada wół pod młotem.

Jego towarzysze chcieli krzyczeć, chcieli uciekać, ale nie stało im głosu, a nogi ugięły się pod nimi.

— Powiedz im, Atosie, i to jeszcze: “Tak zginą wszyscy, którzy zapomną, że bezbronny i niewolny człowiek jest święty, że uwięziony król w dwójnasób jest przedstawicielem Pana”.

Atos powtórzył słowa d’Artagnana.

Tamci dwaj, oniemiaли i ze zjeżonymi włosami, patrzyli na ciało swego towarzysza leżącego w kałuży krwi, po czym, odzyskawszy nagle głos i siły, rzucili się do ucieczki, wrzeszcząc i składając ręce.

— Sprawiedliwości stało się zadość! — rzekł Portos ocierając czoło.

— A teraz — rzekł d’Artagnan do Atosa — zaufaj mi i opanuj się; ja się zajmę wszystkim, co dotyczy króla.

## 22. White-Hall

Parlament skazał Karola Stuarta na śmierć, co było łatwo przewidzieć. Procesy polityczne to zwykle tylko czcza formalność, gdyż te same namiętności wnoszą oskarżenie i wydają wyrok. Taka jest straszna logika rewolucyj.

Choć przyjaciele nasi spodziewali się takiego wyroku, był to dla nich bolesny cios. D'Artagnan, którego umysł nigdy nie pracował tak sprawnie i owocnie jak w najkrytyczniejszych chwilach, poprzysiągł jeszcze raz, że niebo i ziemię poruszy, żeby nie dopuścić do krwawego zakończenia tej tragedii. Ale w jaki sposób, tego jeszcze nie wiedział dokładnie. Wszystko zależeć miało od okoliczności. Tymczasem zaś, żeby móc szczegółowo ustalić plan działania, należało zyskać na czasie, czyli za jaką bądź cenę nie dopuścić, by stracenie odbyło się już nazajutrz, jak Postanowili sędziowie. Sposób na to był tylko jeden — musieli porwać kata Londynu.

W razie zniknięcia kata wyrok nie mógłby być wykonany. Pewnie, że sprowadzono by wtedy kata z najbliższego Londynowi miasta, ale w ten sposób zyskałoby się przynajmniej dzień, a jeden dzień w takim położeniu to być może ocalenie. D'Artagnan podjął się tego najtrudniejszego zadania.

Sprawą nie mniej ważną było zawiadomienie Karola Stuarta, że przyjaciele będą go próbowali uratować, żeby ile możliwości pomógł swym obrońcom, a przynajmniej żeby nie zrobił czegoś, co by mogło ich wysiłki udaremnić. Tego niebezpiecznego zadania podjął się Aramis. Karol Stuart prosił, by zezwolono biskupowi Juxonowi na odwiedzenie go w jego więzieniu w White-Hall. Mordaunt zjawił się u biskupa jeszcze tegoż wieczora z zawiadomieniem, że król pragnie jego duchowej pomocy i że Cromwell zezwala na te odwiedziny. Aramis postanowił wymóc na Juxonie, bądź groźbą, bądź perswazją, zgodę, żeby to on poszedł do pałacu White-Hall zamiast biskupa i w jego kapłańskie

szaty przebrany.

Atos wreszcie podjął się przygotowania środków ucieczki z Anglii na każdy wypadek, powodzenia czy niepowodzenia.

Był już wieczór; nazaczyli sobie spotkanie o godzinie jedenastej w gospodzie i rozeszli się, żeby wykonać te trzy tak trudne przedsięwzięcia.

Pałacu White-Hall pilnowały trzy pułki jazdy i czujniejszy od straży nieustanny niepokój Cromwella, który przyjeżdżał, odjeżdżał, słał swoich generałów i swoich szpiegów.

Sam w swojej pałacowej komnacie oświetlonej blaskiem dwu świec skazany na śmierć monarcha patrzył smutnie na przepych swej minionej wielkości, a obraz życia oglądany w tej ostatniej godzinie wydawał mu się świetniejszy i miłszy niż kiedykolwiek.

Parry nie opuścił swego pana i od chwili ogłoszenia wyroku nie przestał płakać.

Karol Stuart, podparty łokciami na stole, patrzył na medalion, w który oprawione były dwa portrety: jego żony i jego córki. Czekał, aż przyjdzie Juxon, a po Juxonie męczeństwo.

Myśl jego zatrzymywała się niekiedy na tych dzielnych francuskich szlachcicach, którzy mu się wydawali o sto mil odlegli, bajeczni, nieprawdziwi, podobni do postaci widywanych we śnie, które po przebudzeniu znikają.

Bo i rzeczywiście Karol zastanawiał się chwilami, czy to, co mu się przydarzyło, nie jest aby snem albo gorączkowym majakiem.

Wtedy wstawał, robił kilka kroków, jakby chciał się ocknąć z koszmaru, podchodził do okna i widział, że pod oknem lśnią muszkiety straży.

Wtedy musiał się przed sobą przyznać, że nie śpi i że ten krwawy sen to rzeczywistość.

W milczeniu wracał na swój fotel, znów opierał łokcie na stole, głowę ujmował w dłonie i rozmyślał.

Dobry Boże! — mówił sobie w duchu — gdybym przynajmniej miał za

spowiednika jednego z tych luminarzy Kościoła, których dusza zgłębiła wszystkie tajniki życia, wszystką nędzę wielkości, to może głos jego zagłuszyłby głos rozpaczający w mojej duszy. Lecz będę miał księdza pospolitego umysłu, któremu na moje nieszczęście zniszczyłem karierę i fortunę. Będzie mówił mi o Bogu i o śmierci tak, jak mówi o nich z każdym konającym, nie rozumiejąc, że umierający król zostawia tron przywłaszczycielowi, kiedy jego własne dzieci nie mają już nawet chleba. .

I zbliżywszy do ust medalion, wyszeptał po kolei imiona swoich wszystkich dzieci.

Noc była mglista i ciemna. Pobliski zegar powoli wydzwaniał godziny. Nikłe światło dwóch świec napełniało tę ogromną i wysoką komnatę widmami, na które kładły się jakieś niesamowite odblaski. Widma — byli to przodkowie króla Karola, wyłaniający się ze swych złoconych ram; odblaski — były to błękitnawe płomyki, drgające i pełgające wśród gasnącego na kominku węgla.

Ogromny smutek owładnął Karolem. Ukrył twarz w dłoniach i rozmyślał o świecie, tak pięknym, kiedy się go opuszcza, a raczej kiedy on nas opuszcza, o pieśczołach dzieci, tak słodkich i miłych, zwłaszcza kiedy człowiek rozłączony jest ze swymi dziećmi i nigdy ich już nie ma zobaczyć. Potem wspominał żonę, istotę tak szlachetną i dzielną, która podtrzymywała go do ostatniej chwili. Wyjął z zanadru diamentowy krzyż i gwiazdę Orderu Podwiązki, które mu przysłała przez tych dzielnych Francuzów, i ucałował je: a pomyślawszy, że ona ujrzy oba te przedmioty wtedy, kiedy on będzie już spoczywał w grobie, zimny i z uciętą głową, uczuł, że go przenika lodowaty dreszcz, będący niby płaszcz zarzucony przez śmierć jeszcze przed zgonem.

Wtedy, w tej komnacie, która zawarła w sobie tyle świetnych królewskich wspomnień, przez którą przewinęło się tylu dworzan i pochlebców, król — sam, ze zrozpaczonym sługą, którego słaby duch nie mógł podtrzymać jego ducha — stracił odwagę, osłabł i pogrzyżył się w tych ciemnościach i chłodzie zimowym. I — któż by uwierzył? — ten król, który czekał na śmierć tak dumnie i odważnie,

z uśmiechem poddając się boskiemu wyrokowi, wytarł w półmroku łzę, która spadła mu z oka na stół i drżała na złotym hacie serwety.

Nagle w korytarzu rozległy się kroki, drzwi otworzyły się, pochodnie napełniły komnatę światłem i dymem i duchowny, przyodziany w szaty biskupie, wszedł razem z dwoma strażnikami, których Karol oddalił rozkazującym ruchem ręki.

Strażnicy wyszli; w komnacie znów stało się mroczno.

— Juxon! — zawołał Karol — Juxon! Dziękuję ci, mój ostatni przyjacielu, przybywasz w stosownej chwili.

Biskup rzucił ukośne, niespokojne spojrzenie na człowieka, który szlochał przy kominku.

— Uspokój się, Parry — rzekł król — przestań płakać, bo Bóg przyszedł do nas w odwiedzinie.

— Jeśli to Parry — rzekł biskup — mogę mówić bez obawy. Pozwól tedy, najjaśniejszy panie, że przywitam jego królewską mość i powiem mu, kim jestem i po co przychodzę.

Na widok tej twarzy, na dźwięk tego głosu Karol byłby niechybnie krzyknął, lecz Aramis przyłożył sobie palec do ust i złożył głęboki ukłon przed królem Anglii.

— Kawaler... — szepnął Karol.

— Tak, najjaśniejszy panie — przerwał mu głośnie Aramis — tak, biskup Juxon, wierny kawaler Chrystusowy, który stawia się na wezwanie waszej królewskiej mości.

Karol złożył dłonie; poznał d'Herblaya i zdumiony, oszołomiony patrzył na tego człowieka, jednego z czterech ludzi, co choć cudzoziemcy, niczym prócz nakazu własnego sumienia nie przynagleni, walczyli tak uparcie przeciw woli narodu i przeciw losowi króla.

— To ty, panie? — rzekł. — To ty! Jakaś tu dotarł? Jezus, Maria, gdyby cię poznano, byłbyś zgubiony.



Parry stał, a cała jego postać wyrażała naiwny i głęboki podziw.

— Nie troszcz się o mnie, najjaśniejszy panie — rzekł Aramis, wciąż gestem zalecając królowi milczenie — myśl o sobie jedynie. Przyjaciele twoi czuwają, jak widzisz. Co zrobimy, tego jeszcze nie wiem, ale czterej ludzie zdecydowani na wszystko wiele mogą. Tymczasem przez całą noc nie zamykaj oka, nie dziw się niczemu i bądź na wszystko przygotowany.

Karol potrząsnął głową.

— Przyjacielu — rzekł — czy wiecie, że nie mam czasu do stracenia i że jeśli chcecie działać, musicie się pośpieszyć? Czy wiecie, że jutro o dziesiątej rano mam umrzeć?

— Najjaśniejszy panie, do tej pory stanie się coś, co uniemożliwi wykonanie wyroku.

Król ze zdziwieniem spojrział na Aramisa.

W tej chwili pod oknem królewskiej komnaty rozległ się dziwny hałas — jakby zrzucano drzewo z wozu.

— Czy słyszysz? — zapytał król.

Razem z tym hałasem zabrzmiał krzyk bólu.

— Słyszę — odparł Aramis — ale nie rozumiem, co to za hałas ani skąd ten krzyk.

— Kto krzyknął, nie wiem — rzekł król — ale powiem ci, co znaczy ten hałas. Czy wiesz, że mam być ścięty pod tym oknem? — dodał, wyciągając rękę w stronę ciemnego, pustego placu, po którym krążyli jedynie żołnierze i chodziły jedynie warty.

— Tak, najjaśniejszy panie — odparł Aramis — wiem.

— Dowiedz się, że to drzewo, które zrzucają, to belki i deski, z których zbudowany będzie szafot dla mnie. Widać jakiś robotnik zranił się przy wyładunku.

Aramis mimo woli zadrżał.

— Widzisz więc — rzekł Karol — że wasze wysiłki będą daremne. Jestem

skazany, zostawcie mnie mojemu losowi.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Aramis odzyskując utracony na chwilę spokój — choć wzniosą ci szafot, nie będą mogli znaleźć wykonawcy.

— Co chcesz powiedzieć? — zapytał król.

— Chcę powiedzieć, że w tej chwili kat jest już porwany albo przekupiony; jutro szafot będzie gotów, ale kata nie będzie, więc odłożą stracenie na pojutrze.

— I co? — zapytał król.

— A jutro w nocy uprowadzimy cię, najjaśniejszy panie — odparł Aramis.

— W jaki sposób?! — zawołał król, a twarz mu się mimo woli rozjaśniła radośnie.

— O, panie! — szepnął Parry składając dłonie — bądź błogosławiony, ty i wszyscy twoi.

— W jaki sposób? — powtórzył król. — Powinienem wiedzieć, bym mógł pomóc wam, jeśli będzie trzeba.

— Nie wiem jeszcze, najjaśniejszy panie — odparł Aramis — ale najczujniejszy, najodważniejszy i najzyczliwszy ci z nas czterech powiedział mi rozstając się ze mną: “Kawalerze, powiedz królowi, że jutro o dziesiątej wieczorem uprowadzimy go”. A jeśli tak rzekł, to tak będzie.

— Powiedz mi, jakie jest nazwisko twego szlachetnego przyjaciela, bym mógł zachować dla niego wieczystą wdzięczność, czy uda mu się, czy. nie — rzekł król.

— D’Artagnan, najjaśniejszy panie, ten sam, który już by cię był ocalił, gdyby pułkownik Harrison nie zjawił się tak wcześnie.

— W głowie się nie mieści, co z was za ludzie! — rzekł król. — Gdyby mi opowiadano o takich, nie uwierzyłbym.

— A teraz, najjaśniejszy panie — powiedział Aramis — posłuchaj, co ci rzeknę: ani na chwilę nie zapominaj, że pracujemy nad ocaleniem cię; na wszystko zważaj, wszystkiego słuchaj, wszystko tłumacz sobie — byle śpiewka, byle gest tych, co się do ciebie zbliżą, wszystko może być znakiem.

— O, kawalerze! — zawołał król — i cóż ci odpowiem? Żadne słowa, choćby z dna serca wyrwane, nie wyrażą mojej wdzięczności. Jeśli się wam powiedzie, będę wam wdzięczny nie za to, że króla ocalicie, nie; władza, potęga, oglądana z szafotu, jak ja je w tej chwili oglądam, to marny blichtr, przysięgam wam; ale zachowacie męża żonie, ojca dzieciom. Kawalerze, uściskaj moją dłoń, jest to dłoń przyjaciela, który cię kochać będzie do ostatniego tchu.

Aramis chciał ucałować królewską rękę, lecz król ujął jego rękę i położył ją sobie na sercu.

W tej chwili wszedł jakiś człowiek, nawet nie zapukawszy do drzwi. Aramis chciał swoją rękę cofnąć, ale król ją zatrzymał.

Ten, który wszedł, był jednym z owych pół księży, pół żołnierzy, od jakich roіło się w otoczeniu Cromwella.

— Czego chcesz? — zapytał król.

— Pragnę wiedzieć, czy spowiedź Karola Stuarta jest już skończona — rzekł przybysz.

— A tobie co do tego? — zapytał król. — Nie jesteśmy jednej wiary.

— Wszyscy ludzie są braćmi — odparł purytanin. — Jeden z moich braci ma umrzeć, więc przychodzę, żeby go przysposobić na śmierć.

— Nie potrzeba — rzekł Parry. — Król obejdzie się bez twojej pomocy.

— Najjaśniejszy panie — szepnął Aramis — bądź z nim ostrożny, to na pewno jakiś szpieg.

— Po odejściu wielbnego doktora biskupa — rzekł król — z miłą chęcią wysłucham pana.

Człowiek o wrednym spojrzeniu wyszedł. Nie uszło uwagi króla, że przez cały czas pilnie przypatrywał się Juxonowi.

— Kawalerze — rzekł król, kiedy drzwi się zamknęły — mniemam, że miałeś słuszność, i że ten człowiek przyszedł tu w niedobrych zamiarach. Uważaj, jak będziesz wychodził, żeby ci się nic złego nie przytrafiło.

— Najjaśniejszy panie — odparł Aramis — dziękuję waszej królewskiej

mości; ale bądź spokojny, pod tą szatą mam drucianą koszulkę i sztylet.

— Idź więc, panie, idź i niech cię Bóg ma w swej świętej opiece, jak mawiałem będąc jeszcze królem.

Aramis wyszedł; Karol odprowadził go aż na próg. Aramis udzielił mu błogosławieństwa, na który to widok i strażnicy pochylili głowy, majestatycznie przeszedł przez pełne żołnierzy przedpokoje, wsiadł do karety i odjechał w towarzystwie swoich dwóch stróżów, którzy go opuścili dopiero przy pałacu biskupim.

Juxon czekał, wielce niespokojny.

— No i co? — zapytał ujrzawszy Aramisa.

— Udało się — odparł — wszystko poszło podług moich pragnień.

Szpiedzy, strażnicy i siepacze wzięli mnie za ciebie, panie, i król błogosławi cię, czekając na twoje błogosławieństwo.

— Niech cię Bóg ma w swej opiece, mój synu, bo twój przykład i mnie dodał wiary i odwagi.

Aramis przebrał się we własne ubranie i własny płaszcz i wyszedł, uprzedziwszy Juxona, że jeszcze raz poprosi go o podobną przysługę.

Na ulicy, nie uszedłszy i dziesięciu kroków, spostrzegł, że idzie za nim jakiś człowiek okryty obszernym płaszczem. Położył dłoń na sztylcie i stanął. Człowiek w płaszczu zbliżył się. Był to Portos.

— Drogi przyjacielu! — rzekł Aramis wyciągając doń rękę.

— Ano widzisz, mój kochany — odezwał się Portos — każdy z nas miał swoje zadanie. Moje na tym polegało, żeby cię strzec, więc cię strzegłem. Widziałeś króla?

— Tak, wszystko w porządku. Gdzie mogą być teraz nasi przyjaciele?

— Umówiliśmy się w gospodzie o jedenastej.

— W takim razie trzeba się pośpieszyć, — rzekł Aramis.

Istotnie, na wieży kościoła Świętego Pawła właśnie wybiło wpół do jedenastej.

Żwawo ruszyli ku gospodarze i przyszli pierwsi. Po nich nadszedł Atos.

— Załatwione! — rzekł, zanim go zdążyli zapytać.

— Czegoś dokonał? — zapytał Aramis.

— Najałem niewielki statek, zwrotny jak piroga, lekki jak jaskółka. Czeka na nas w Greenwich, naprzeciwko Wyspy Psiej. Załoga składa się z szypra i czterech majtków, którzy za cenę pięćdziesięciu funtów szterlingów będą na nas czekali przez trzy noce pod rząd, gotowi do odpłynięcia. Znalazszy się z królem na pokładzie, spłyniemy Tamizą korzystając z odpływu i w dwie godziny znajdziemy się na pełnym morzu. A tam, jak najprawdziwsi piraci, albo popłyniemy wzdłuż brzegów, kryjąc się w zatoczkach skalnych, albo jeśli droga będzie wolna, posterujemy prosto do Boulogne. Gdyby mnie zabito, szyper nazywa się kapitan Roger, a statek “Błyskawica”. To wystarczy, żeby odszukać i kapitana, i statek. Chusta z węzłkami na czterech rogach jest umówionym znakiem. W chwilę potem wszedł z kolei d’Artagnan.

— Opróżniajcie kieszenie — rzekł — żeby zebrać sto funtów szterlingów, bo moje...

I odwrócił obie kieszenie, zupełnie puste.

Sumę zebrano w mgnieniu oka; d’Artagnan wyszedł i w chwilę potem wrócił.

— No! — rzekł — Już! Uff, nie była to łatwa przeprawa.

— Czy kat wyjechał z Londynu? — zapytał Atos.

— W tym sęk właśnie, że to nie byłoby dość pewne. Mógłby wyjechać jedną bramą, a drugą bramą wrócić.

— Gdzież więc jest? — zapytał Atos.

— W piwnicy.

— W jakiej piwnicy?

— W piwnicy naszego gospodarza. Muszkiet siedzi na progu, a tu jest klucz.

— Brawo! — rzekł Aramis. — Ale jak ci cię udało skłonić tego człowieka,

żeby się zgodził zniknąć?

— Sposobem, którym wszystko i do wszystkiego można skłonić na tym świecie — pieniędzmi; słono mnie to kosztowało, ale dał się namówić.

— A ile cię to kosztowało, przyjacielu? — zapytał Atos. — Bo, rozumiecie, teraz, kiedy już poniekąd przestaliśmy być tylko biednymi muszkietierami, którzy nic prócz kaftana na grzbiecie nie mają, wszystkie wydatki powinniśmy ponosić wspólnie.

— Kosztowało mnie to dwanaście tysięcy funtów szterlingów — rzekł d'Artagnan.

— Gdzieś je znalazł? — zapytał Atos. — Czyżbyś sam posiadał tę sumę?

— A słynny diament królowej? — odparł d'Artagnan i westchnął.

— Racja — rzekł Aramis — poznałem go na twoim palcu.

— Więc go odkupiłeś od pana des Essarts? — zapytał Portos.

— Cóż, mój Boże, tak, owszem — odparł d'Artagnan — ale zostało widać zapisane w niebie, że nie będę go miał. Cóż chcecie! Widocznie diamenty są jak ludzie — mają swoje sympatie i swoje antypatie; zdaje się, że ten mnie nie lubi.

— Znaczy, że z katem powiodło się — rzekł Atos — ale niestety, każdy kat ma swego pomocnika, swego pacholka, czyja wiem, jak go zwać.

— Toteż i ten miał swego; ale szczęście nam sprzyja.

— Dlaczego tak powiadasz?

— Kiedy już byłem pewny, że trzeba będzie ubijać jeszcze i drugi interes, przyniesiono tego zucha ze złamaną nogą. Z nadmiernego zapału pojechał aż pod królewskie okna z wozem wiozącym belki i deski. Jedna z belek spadła mu na nogę i złamała kość.

— O! — rzekł Aramis — to pewnie on krzyknął. Będąc u króla słyszałem krzyk.

— Prawdopodobnie — odparł d'Artagnan — lecz że jest to człowiek solidny, obiecał, kiedy go wynoszono, że przyśle w swoim zastępstwie czterech zręcznych rzemieślników, żeby pomogli tym, którzy już budują rusztowanie.

Wróciwszy do swego chlebodawcy, zaraz też, choć ciężko ranny, napisał do mistrza Toma Lowa, swego przyjaciela, cieśli, żeby się udał do White-Hall dopełnić tej jego obietnicy. Oto list posłany przez umyślnego, który miał go odnieść Tomowi Low za dziesięć pensów, a odprzedał mnie za ludwika.

— Na co ci był, u diabła, ten list? — zapytał Atos.

— Nie zgadujesz? — zapytał d'Artagnan, a oczy zabłyśły mu sprytem i wesołością.

— Nie, na mą duszę!

— Posłuchaj tedy, drogi Atosie: ty, który umiesz po angielsku jak sam John Bull<sup>15</sup>, będziesz mistrzem Tomem Lowem, a my trzej będziemy twoimi towarzyszami. Czy zrozumiałeś nareszcie?

Atos aż krzyknął z radości i podziwu, pobiegł do komory, wydobył stamtąd zgrzebne, rzemieślnicze ubrania i czterej przyjaciele przebrali się w nie, po czym wyszli z gospody. Atos niósł piłę, Portos łom, Aramis siekierę, a d'Artagnan młotek i gwoździe.

List katowskiego pacholka przekonał cieślę doglądającego budowy szafotu, że są to ludzie, na których czekano.

---

<sup>15</sup> John Bull — rubaszne przydomkowane nazwisko Anglikom.

## 23. Rzemieślnicy

Wśród nocy Karol usłyszał pod swym oknem wielki hałas; były to uderzenia młotka i siekiery, zgrzyt łomu i piły.

Położył się był w ubraniu na łóżku i już zaczynał zasypiać, kiedy go nagle obudził i poderwał ten hałas. A ponieważ jego fizyczne brzmienie odbijało się straszliwym echem moralnym w królewskiej duszy, Karola znów obiegły przerażające myśli z poprzedniego wieczora. Sam, wśród ciemności i odosobnienia, nie miał siły sprostać tej nowej torturze, która była nadprogramowym dodatkiem do przeznaczonej mu męki, i posłał Parry'ego do wartownika z prośbą o polecenie rzemieślnikom, żeby tak nie hałasowali i żeby mieli wzgląd dla ostatniego snu tego, który był niegdyś ich królem.

Wartownik nie chciał zejść z posterunku, ale przepuścił Parry'ego.

Parry, okrążywszy pałac, podszedł pod okno i na wysokości balkonu, z którego zdjęto balustradę, ujrzał szafot. Choć nie był jeszcze gotowy, już zaczęto go objąć czarnym sukniem.

Szafot ten, wzniesiony do wysokości okna, czyli na jakie dwadzieścia stóp, miał dwie niższe kondygnacje. Parry, choć tak wstrętny mu był ten widok, rozejrzał się, by pośród ośmiu czy dziesięciu wznoszących tę ponurą budowlę rzemieślników odszukać tych, którzy najbardziej dali się we znaki królowi łoskotem swoich narzędzi, i na deskach dolnej kondygnacji dostrzegł dwóch ludzi wyłamujących łomem ostatnie sztaby żelaznej balustrady balkonu. Jeden z nich, prawdziwy olbrzym, pracował niby dawna machina do kruszenia murów, zwana taranem. Przy każdym uderzeniu jego narzędzia kamień rozpryskiwał się. Drugi klęczał i wysuwał ze ściany obluzowane głązy.

To ci dwaj czynili ów hałas, na który skarżył się król.

Parry wszedł do nich po drabinie.



— Moi dobrzy ludzie — rzekł — czy nie moglibyście pracować trochę ciszej? Król śpi, a sen bardzo mu jest potrzebny.

Człowiek, który walił łomem, zatrzymał się wpół gestu i odwrócił głowę, lecz ponieważ stał, Parry nie zdołał dostrzec jego twarzy w ciemnościach gęstniejących pod podłogą szafotu.

Człowiek, który klęczał, też się odwrócił, a ponieważ jego twarz znajdowała się niżej, oświetliła ją latarnia i Parry zobaczył go.

Człowiek ów spojrzał znacząco na pokojowca Karola I i położył sobie palec na ustach.

Zdumiony Parry aż się cofnął.

— Dobrze, dobrze, wracaj do króla i powiedz mu, że jeśliby się źle wyspał tej nocy, następnej nocy lepiej się wyśpi — rzekł w doskonałej angielszczyźnie ów rzemieślnik.

To prostackie odezwanie się, mające tak straszliwy sens, jeśliby je wziąć dosłownie, powitane zostało przez rzemieślników pracujących przy rusztowaniach i na najwyższej kondygnacji szafotu wybuchem ohydnej radości.

Parry zszedł z drabiny. Zdawało mu się, że śni.

Karol czekał go niecierpliwie.

Kiedy Parry wchodził do komnaty, wartownik pilnujący wejścia zajrzał ciekawie przez uchylone drzwi, żeby zobaczyć, co robi król.

Król leżał w łóżku, podparłszy się łokciem.

Parry zamknął drzwi i zbliżył się do króla z twarzą promieniejącą radością.

Najjaśniejszy panie — rzekł cicho — czy wiesz, co to za rzemieślnicy tak hałasują?

— Nie wiem — odparł Karol, smutnie potrząsając głową. — Skądże mógłbym wiedzieć? Przecież ja tych ludzi nie znam.

— Najjaśniejszy panie — rzekł Parry jeszcze ciszej, schylając się nad łóżem swego pana — to hrabia La Fere i jego towarzysze.

— Budują szafot dla mnie? — zapytał zdumiony król.

— Tak, a budując go, wybijają otwór w ścianie.

— Cicho! — szepnął król, z przerażeniem rozglądając się dokoła. —

Widziałeś ich?

— Rozmawiałem z hrabią.

Król złożył dłonie i wzniosł oczy ku niebu. Następnie, po krótkiej a żarliwej modlitwie, zeskoczył z łóżka, podszedł do okna, i rozsunał kotary. Balkon nadal pilnowali wartownicy, tylko że wyrosła za nim ciemna platforma, po której chodzili, podobni do cieni.

Karol nie mógł nic więcej zobaczyć, za to czuł pod stopami, że podłoga aż drga od uderzeń łomu w ścianę. To rozbijali ją jego przyjaciele. Każde z tych uderzeń odbijało się teraz echem w jego sercu.

Parry nie omylił się: poznał Atosa. On to był bowiem; z pomocą Portosa wybijał w murze otwór, który miał służyć jako oparcie jednej z poprzecznych belek rusztowania.

Otwór ten prowadził do jakby antresoli, bardzo niskiej, a znajdującej się tuż pod podłogą królewskiej komnaty. Znalazłszy się w tej antresoli, można było — mając łom i silne Portosowe bary — wyważyć którąś z desek posadzki. Król miał się zsunąć przez tę wyrwę, razem z swymi zbawcami przejść na dolną kondygnację szafotu, całkowicie zasłoniętą czarnym suknem, przebrać się w odzież rzemieślnika, którą dlań już naszykowano. i zwyczajnie, bez pośpiechu zejść na dół razem z czterema przyjaciółmi.

Warty bez żadnych podejrzeń przepuściłyby rzemieślników, którzy pracowali przy budowie szafotu.

Jak już powiedzieliśmy, statek czekał gotowy do odjazdu.

Plan był śmiały, prosty i łatwy, jak wszystko, co się rodzi z odważnej decyzji.

Atos kaleczył tedy swoje piękne, tak białe i smukłe ręce przy podnoszeniu kamieni podważanych przez Portosa. Już mógł przesunąć głowę pod ornamentem zdobiącym dźwigające balkon kroksztyny. Jeszcze dwie godziny, a

będzie się mógł przesunąć cały. Przed świtem otwór miał być gotów i zniknąć pod fałdami obicia, które d'Artagnan miał zawiesić także i na tej stronie rusztowania. D'Artagnan podał się za francuskiego rzemieślnika i wbijał gwoździe z systematycznością godną najwprawniejszego tapicera. Aramis obcinał zbyteczne sukno, które zwisać miało aż do ziemi, zasłaniając rusztowanie szafotu.

Świt zaczynał już wstawać nad dachami. Ognisko z węgla i torfu ułatwiło pracującym rzemieślnikom przetrwanie tej tak mroźnej nocy z dwudziestego dziewiątego na trzydziestego stycznia. Nawet najzawziętsi w pracy co chwila odchodzili, żeby się ogrzać. Tylko Atos i Portos nie odstępowali swej roboty. Toteż o pierwszym brzasku otwór był już gotów. Atos wszedł do środka, zabierając przeznaczone dla króla ubranie w zawiniątku z czarnego sukna. Portos podał mu łom. D'Artagnan zaś i tę tylną ścianę szafotu obił czarnym suknem; był to zaiste czysty zbytek, ale wielce dla nich pożyteczny, draperia zakryła bowiem i otwór, i tego, który się w nim schował.

Atos, żeby się przedostać do królewskiej komnaty, miał pracy na jakie dwie godziny, nie więcej. Według zaś przewidywania czterech przyjaciół została im jeszcze cała doba, ponieważ wobec zniknięcia kata trzeba było posyłać po jego kolegę po fachu aż do Bristolu.

D'Artagnan poszedł przebrać się w swoje brązowe ubranie, a Portos w swój czerwony kaftan. Aramis miał się udać do Juxona i jeśli się da, razem z nim pojechać do króla.

Wszyscy trzej mieli się spotkać w południe na placu przed White-Hall, żeby zobaczyć, co się tam będzie działo.

Przed zejściem z szafotu Aramis podszedł do otworu, za którym skrył się Atos, by mu oznajmić, że znów będzie próbował dotrzeć do Karola.

— Żegnaj więc i trzymaj się dzielnie — rzekł Atos. — Zawiadom króla, jak się rzeczy mają, i powiedz mu, żeby stukał w posadzkę, kiedy będzie sam w komnacie, bym mógł pracować bezpiecznie. Jeśliby Parry mógł dopomóc, mi i

zawczasu podważył dolną płytę kominka, miałbym o tyleż mniej do zrobienia. Ty, Aramisie, staraj się nie odstępować króla. Mów do niego głośno, bardzo głośno, bo będą was podsłuchiwać zza drzwi. Jeśli w komnacie będzie wartownik, zabij go bez ceregieli. Jeśliby ich było dwóch, niech Parry zabije jednego, a ty drugiego. Jeśliby ich było trzech, daj się sam zabić, ale ocal króla.

— Bądź spokojny — rzekł Aramis. — Zabiorę dwa sztylety, żeby jeden dać Parry'emu. Czy to już wszystko?

— Tak, idź, ale przemów do króla i zaklnij go, żeby się nie wzdragał w swej przesadnej szlachetności. Jeśli walka będzie konieczna, niech ucieka, kiedy ty się będziesz bił. Skoro raz zapadnie nad jego głową płyta kominka, a na tej płycie znajdziesz się ty, żywy czy martwy, co najmniej dziesięć minut stracą, nim znajdą otwór, przez który on ucieknie tymczasem. Przez te dziesięć minut ujedziemy szmat drogi i król będzie ocalony.

— Zrobię, jak mówisz, Atosie. Daj rękę, bo może się nie zobaczymy więcej.

Atos objął Aramisa za szyję i uściskał go.

— To dla ciebie — rzekł — d'Artagnanowi zaś powiedz, gdybym zginął, że go kocham jak własnego syna, i uściskaj go w moim imieniu. Uściskaj także naszego dobrego i dzielnego Portosa. Bywaj!

— Bywaj! — rzekł Aramis. — Jestem teraz tak pewny, że król zostanie uratowany, jak jestem pewny, że wytrwam i że ściskam właśnie dłoń najbardziej prawego na świecie człowieka.

Aramis rozstał się z Atosem, zszedł z szafotu i wrócił do gospody, pogwizdując melodię piosenki sławiącej Cromwella. Zastał swych dwu przyjaciół przy stole, obok płonącego kominka. Łapczywie jedli zimną, pieczoną kure, popijając winem porto. Portos jadł, klnąc ile wlezie na tych niecnym członków parlamentu. D'Artagnan jadł milcząc, ale w myśli budował najśmielsze plany.

Aramis powiedział mu, jak się umówili z Atosem. D'Artagnan Przytaknął

skinieniem głowy, Portos głośno wyraził swoją aprobatę.

— Brawo! — rzekł. — Zresztą i my tam będziemy w chwili jego ucieczki; pod szafotem kryjówka jest wyśmienita i wszyscy się w niej zdołamy pomieścić. D'Artagnan, ja, Milczek i Muszkiet zabijemy ośmiu. O Blaisois nie mówię, on się nadaje tylko do trzymania koni. Po dwie minuty na człowieka, razem cztery minuty; Muszkiet jedną straci, więc pięć minut. Przez te pięć minut możecie ujechać z ćwierć mili.

Aramis zjadł naprędce kawałek kury, wypił szklanekę wina i przebrał się.

— Teraz — rzekł — idę do jego wielebności. Ty, Portosie, przyszykuj broń, a ty, d'Artagnanie, pilnuj kata.

— Bądź spokojny, Milczek złuzował Muszkietę i pilnuje dobrze.

— To nic, wzmocnij czujność i ani przez chwilę nie pozostawaj bezczynny.

— Bezczynny! Mój kochany, zapytaj Portosa, już nie żyję, tylko bez ustanku jestem na nogach, jakbym był tancerzem. O, do kroćset, jakże kocham Francję w tej chwili, jak dobrze jest mieć własną ojczyznę, kiedy tak źle człowiekowi w cudzej!

Aramis pożegnał się z nimi tak samo jak z Atosem, czyli że uściskał ich, i poszedł do biskupa Juxona, któremu przedstawił swoją prośbę. Juxon tym łatwiej zgodził się zabrać ze sobą Aramisa, że uprzedził już, iż będzie mu potrzebny do pomocy jeszcze jeden ksiądz, król bowiem na pewno zechce przyjąć komunię, a być może i mszy wysłuchać.

Biskup wsiadł do karety, przyodziany tak jak poprzedniego dnia Aramis. Aramis, którego bladość i smutek jeszcze bardziej zmieniały niż strój diakona, zajął miejsce obok niego. Kareta zatrzymała się przed bramą White-Hall około godziny dziewiątej rano. Na pozór nic się nie zmieniło: przedpokoje i korytarze były pełne straży jak i poprzedniego dnia. Dwaj wartownicy pilnowali drzwi komnaty króla, dwaj inni chodzili pod oknem balkonu po platformie szafotu, na którym stał już katowski pień.

Król był pełen nadziei; kiedy ujrzał Aramisa, nadzieja przemieniła się w

radość. Ucałował Juxona, Aramisowi uścisnął dłoń. Biskup umyślnie głośno i wobec wszystkich zaczął mówić o ich widzeniu się w dniu wczorajszym. Król mu odpowiedział, że słowa, jakie wówczas usłyszał od niego, wydały owoce, i że pragnie jeszcze jednej podobnej rozmowy. Juxon zwrócił się więc do znajdujących się w komnacie, prosząc, żeby go zostawili samego z królem. Wszyscy wyszli.

Skoro drzwi zamknęły się, Aramis zaczął szybko mówić:

— Najjaśniejszy panie, jesteś ocalony. Kat Londynu znikł; jego pomocnik złamał sobie wczoraj nogę tu pod oknem waszej królewskiej mości. To jego krzyk słyszeliśmy. Niewątpliwie już wiedzą o zniknięciu kata, ale najbliższy jest aż w Bristolu, więc nim go stamtąd sprowadzą, będziemy mieli czas co najmniej do jutra.

— A hrabia de La Fere? — zapytał król.

— Pod tobą na dwie stopy, najjaśniejszy panie. Weź szczypce z kominka i stuknij trzy razy, a usłyszysz, że ci odpowie.

Król drżącą ręką wziął szczypce i stuknął trzy razy, w równych odstępach. Na ten znak natychmiast odezwało się spod podłogi zgłuszone, ostrożne stukanie.

— Więc — rzekł król — ten, kto mi odpowiada, to jest...

— Hrabia de La Fere, najjaśniejszy panie — odparł Aramis. — Szykuje drogę, którą wasza królewska mość będziesz mógł uciec. Parry zaś podniesie tę marmurową płytę i przejście będzie otwarte.

— Nie mam żadnego narzędzia — rzekł Parry.

— Weź ten sztylet — rzekł Aramis — lecz uważaj, żeby go zbyt nie wyszczerbić, bo może przyjdzie ci jeszcze zatopić go w czymś innym niż kamień.

— O, Juxon — rzekł Karol, odwracając się do biskupa i ujmując obie jego ręce — Juxon, zapamiętaj prośbę tego, który był twoim królem...

— Który jest nim wciąż i zawsze nim będzie — rzekł Juxon całując

królewską rękę.

— Módl się przez całe życie za tego szlachcica, którego tu widzisz, za tego drugiego, którego słyszysz pod naszymi stopami, i za jeszcze dwóch, którzy gdziekolwiek są w tej chwili, pracują, wiem o tym, nad moim ocaleniem.

— Najjaśniejszy panie — odpowiedział Juxon — woli twojej stanie się zadość. Co dzień, póki żył będę, ofiarowana zostanie Bogu modlitwa za wiernych przyjaciół waszej królewskiej mości.

Atos jeszcze przez pewien czas kuł ścianę i słychać było, że robota przysuwa się coraz bliżej. Nagle nieoczekiwany hałas rozległ się w galerii. Aramis schwycił szczypcę i dał znak, że trzeba przerwać kucie.

Hałas zbliżał się. Był to odgłos wielu równych, miarowych kroków. Czterej mężczyźni stali bez ruchu; wzrok ich był utkwiony w drzwi, które otwarły się wolno i jak gdyby uroczyście.

W sąsiedniej komnacie strażę ustawiły się w szpaler. Komisarz parlamentu, czarno odziany i pełen złowróznej powagi, skłonił się przed królem i rozwinięty pergamin, odczytał mu wyrok, jak zwykle skazańcowi przed wstąpieniem na szafot.

— Co to znaczy? — zapytał Aramis Juxona.

Juxon zrobił ruch, który miał znaczyć, że on także nie rozumie.

— Więc to już dziś? — zapytał król, a jedynie Juxon i Aramis mogli poznać, jak jest przejęty.

— Czyżby cię nie uprzedzono, królu, że stanie się to dzisiaj rana? — odpowiedział czarno odziany człowiek.

— I mam zginąć jak pospolity przestępca, z ręki kata Londynu? — zapytał król.

— Kat Londynu znikł, królu — odparł komisarz parlamentu — ale pewien człowiek ofiarował się go zastąpić. Wykonanie kary opóźni się więc tylko o czas, jaki ci będzie potrzebny do uporządkowania twoich spraw doczesnych i duchowych.

Krople potu, które zaperliły się u nasady włosów Karola, były jedyną widomą oznaką, że się przejął tą nowiną.

Za to Aramis aż zsiniał. Serce ledwie mu biło; przymknął oczy i oparł się ręką o stół. Karol, widząc ten wielki ból, zdawał się zapomnieć o własnym.

Podszedł doń, ujął jego dłoń i uścisnął ją.

— Trudno, przyjacielu — rzekł ze smutnym i serdecznym uśmiechem. — Odwagi.

Po czym zwrócił się do komisarza parlamentu.

— Jestem gotów, panie — rzekł. — Pragnę tylko dwóch rzeczy, które, spodziewam się, nie o wiele opóźnią wasze plany: po pierwsze, chcę przyjąć komunię świętą, po drugie, chcę uściskać moje dzieci i pożegnać się z nimi przed śmiercią. Czy będzie mi to dane?

— Tak, królu — odparł komisarz parlamentu.

I wyszedł.

Aramis, przyszedłszy do siebie, wpił sobie paznokcie w ciało, a z piersi wyrwał mu się głośny jęk.

— O, eminencjo! — zawołał chwytając Juxona za rękę. — Gdzież jest Bóg? Gdzież jest Bóg?

— Synu — odezwał się z mocą biskup — nie widzisz Go, bo ci Go zakryły ziemskie namiętności.

— Moje dziecko — rzekł do Aramisa król — nie rozpaczaj. Pytasz, co czyni Bóg? Bóg patrzy na twoje przywiązanie i na moje męczeństwo i wierz mi, wynagrodzi i jedno, i drugie. O to, co nadchodzi, miej żal do ludzi, nie do Boga. To ludzie każą mi umierać, to ludzie każą ci płakać.

— Tak, najjaśniejszy panie — rzekł Aramis — tak, masz słusność, to do ludzi powinienem mieć żal i to od nich zażądam rachunku.

— Usiądź, Juxon — rzekł król klękając — gdyż pozostało ci jeszcze wysłuchać mnie, a mnie pozostało się wypowiedzieć. Zostań, panie — rzekł do Aramisa, który ruszył ku drzwiom. — Zostań, Parry. To, co tu powiem, choć



pod tajemnicą spowiedzi, mogłoby być powiedziane wobec wszystkich.

Zostańcie, żałuję jednego tylko: że cały świat nie może usłyszeć mnie tak jak wy i razem z wami.

Juxon usiadł, a król, klęcząc przed nim jak najpokorniejszy z wiernych, zaczął się spowiadać.

## 24. Remember

Po skończonej spowiedzi Karol przyjął komunię świętą i poprosił o przyprawienie dzieci. Wybiła godzina dziesiąta; jak słusznie przewidział król, spóźnienie było nieduże.

Ale lud już czekał, gotowy. Wiedział, że ścieżce naznaczone jest na godzinę dziesiątą, tłoczył się więc w ulicach przylegających do pałacu, a król już słyszał daleki szmer, jaki czynią tłum i morze — tłum poruszony namiętnością, morze poruszone burzą.

Weszły dzieci króla: najpierw księżniczka Karolina, za nią księżę Gloucester; byli to jasnowłosa dziewczynka, śliczna i zapłakana, i chłopiec ośmio-, może dziewięcioletni, którego suche oczy i pogardliwie wysunięta wargę świadczyły o już kielkującej dumie. Dziecko przepłakało całą noc, ale w obecności tych wszystkich ludzi nie chciało płakać.

Karol uczuł, że serce w nim omdlewa na widok tych dwojga dzieci, których od dwóch lat nie widział, a które ujrzał dopiero na chwilę przed śmiercią. Łza stanęła mu w oku, więc odwrócił się i otarł ją, bo chciał być silny w obecności tych, którym zostawiał tak ciężką schedę cierpienia i nieszczęścia.

Najpierw przemówił do córki. Przytulił ją i nakazał, żeby była pobożna, cierpliwa i żeby kochała matkę. Potem zwrócił się z kolei do syna, do małego księcia Gloucester. Posadził go sobie na kolanach, chcąc równocześnie tulić go do serca i całować jego twarzą.

— Synu mój — rzekł — idąc tutaj widziałeś na ulicach i w przedpokojach wiele ludzi. Ludzie ci zetną głowę twojemu ojcu, nigdy nie zapomnij o tym. Być może, pewnego dnia, widząc, że jesteś blisko i że mają cię w swojej władzy, zechcą zrobić cię królem z pominięciem księcia Walii i księcia Yorku, twoich starszych braci, którzy są: jeden — we Francji, drugi — nie wiem gdzie. Ale ty

nie jesteś królem, mój synu, i nie możesz stać się nim inaczej jak po śmierci twoich braci. Przysięgnij mi więc, że nie pozwolisz włożyć sobie na głowę korony, jeśli nie będziesz miał do niej słusznego prawa. Bo pewnego dnia, słuchaj uważnie, mój synu, pewnego dnia, jeśliś to uczynił, zetną ci głowę razem z tą koroną, a ty w tym dniu nie będziesz mógł umierać spokojnie i z czystym sumieniem, jak ja dziś umieram. Przysięgnij, mój synu.

Chłopiec włożył swoją małą rączkę w dłoń ojca i powiedział:

— Najjaśniejszy panie, przysięgam waszej królewskiej mości...

Karol przerwał mu:

— Henryku — rzekł — nazywaj mnie ojcem swoim.

— Ojcie mój — powtórzył chłopiec — przysięgam ci, że pierwszej mnie zabiją, niżby mnie mieli zrobić królem.

— Dobrze, mój synu — rzekł Karol. — Teraz ucałujcie mnie, i ty też, Karolino, i nie zapomnijcie o mnie.

— Och, nie, nigdy, nigdy — zawołali obydwójce, obejmując ramionami szyję króla.

— Żegnajcie — rzekł Karol. — Żegnajcie, dzieci. Zabierz je, Juxon; ich łzy odebrałyby mi odwagę, a chcę umierać odważnie.

Juxon wyrwał nieszczęśliwe dzieci z ojcowskiego uścisku i oddał tym, którzy je przyprowadzili.

Po ich wyjściu drzwi pozostały otwarte i każdy, kto chciał, mógł wejść do komnaty.

Król, widząc, że znalazł się sam wśród cizby strażników i gapiów, których coraz więcej zbierało się w komnacie, przypomniał sobie, że hrabia de La Fere jest tuż blisko, pod podłogą, że nie widzi, co się święci, i że wciąż jeszcze ma, być może, nadzieję.

Zląkł się, że Atos lada stuknięcie mógłby wziąć za znak i wracając do pracy, samego siebie wydać. Umyślnie więc nie ruszał się z miejsca, wszystkim obecnym nakazując swoim przykładem, żeby się zachowywali spokojnie.

Król nie omylił się; Atos rzeczywiście był już tuż pod podłogą. Nasłuchiwał, zrozpaczony, że nie słyhać znaku. W swej niecierpliwości . chwilami znów się brał do kucia kamienia, lecz przestawał bojąc się, by go nie usłyszał ktoś niepowołany.

Ta straszliwa beczynność trwała przez dwie godziny. W królewskiej komnacie panowała śmiertelna cisza.

Wreszcie Atos postanowił zbadać przyczynę tej ponurej, głuchej ciszy, którą mącił tylko potężny zgiełk tłumu. Odsunął obicie skrywające wybity w murze otwór i zszedł na środkową kondygnację rusztowania. Nad jego głową, tuż, na cztery palce zaledwie, znajdowała się podłoga ułożona na wysokości balkonowego okna, która stanowiła szafot.

Zgiełk, który do kryjówki docierał stłumiony, teraz buchnął nań w całej swej posepnej grozie i Atos z przerażenia aż drgnął. Poszedł aż na sam skraj rusztowania, rozsunął czarne sukno na wysokości swych oczu i zobaczył, że straszliwa machina jest otoczona żołnierzami na koniach. Za kawalerzystami stał szpaler halabardników. Za halabardnikami stali muszkietierowie, za muszkietierami pierwsze szeregi cizby, która falowała i huczała, do ponurego oceanu podobna.

Co się stało? — zastanawiał się Atos, drżąc bardziej niż sukno, które miał w dłoni. — Lud się tłoczy, żołnierze stoją pod bronią, a wśród gapiów, którzy się wpatrują w okno, widzę d'Artagnana. Na co on czeka? Na co on patrzy? Wielki Boże, czyżby nie upilnował kata?

Nagle na placu zawarczał głucho i żałobnie bęben. Nad głową Atosa rozległ się hałas ciężkich, powolnych kroków. Wydało mu się, że coś na kształt wielkiej procesji stąpa po posadzkach White-Hallu. W chwilę potem zaskrzypiały deski szafotu. Jeszcze raz spojrzął na plac i z zachowania się tłumu dowiedział się tego, czego mu jeszcze nie dawała odgadnąć resztką nadziei tłąca się w głębi serca.

Na placu wszelki zgiełk ucichł. Wszystkie oczy były zwrócone na okno

White-Hallu, a rozchylone usta i wstrzymane oddechy wskazywały, że gawieź czeka na początek jakiegoś straszliwego widowiska.

Odgłos kroków, który Atos już był słyszał raz nad głową ze swojego ukrycia pod podłogą królewskiej komnaty, powtórzył się na szafocie. Szafot ugiął się pod ich ciężarem, tak że deski dotknęły nieledwie głowy nieszczęsnego szlachcica. To zapewne żołnierze stanęli w dwu szeregach.

W tej samej chwili głos dobrze hrabiemu znany, głos szlachetny i silny odezwał się nad jego głową w te słowa:

— Panie pułkowniku, chcę przemówić do ludu.

Atos zadrżał od stóp do głów; z szafotu odezwał się głos króla.

Rzeczywiście, posiliwszy się paroma łykami wina i kawałkiem chleba, Karol, znużony czekaniem na śmierć, postanowił pójść jej naprzeciw i dał znak, że chce już ruszyć.

Otworzono więc oba skrzydła wychodzącego na plac okna i lud ujrzał, że z wnętrza wielkiej komnaty wychodzi w milczeniu człowiek w masce, z toporem w ręku. Poznano więc, że jest to kat. Ów człowiek podszedł do pnia i położył na nim topór.

To był pierwszy hałas, jaki usłyszał Atos.

Następnie za owym człowiekiem, blady, bez wątpienia, ale spokojny, wyszedł pewnym krokiem Karol Stuart między dwoma księżmi. Za nimi kilku oficerów wyższych rangą, którzy mieli asystować przy ścięciu, i eskorta z halabardników, którzy ustawili się po obu stronach szafotu.

Widok człowieka w masce wywołał długotrwały szmer. Każdy był ciekawy dowiedzieć się, kim jest ten nieznany kat, który się zgłosił w samą porę, żeby się odbyć mogło potworne widowisko przyobiecane ludowi, a odłożone już, jak mniemano, na dzień następny. Wszyscy więc pożerali go oczyma, lecz gawieźi udało się zobaczyć tyle tylko, że był to człowiek wzrostu średniego, ubrany całkiem czarno i widocznie już niemłody, bo koniec siwiejącej brody wystawał spod maski, która mu zakrywała twarz.

Lecz kiedy się ukazał król, spokojny, szlachetny i godny, natychmiast wszyscy uciszyli się i każdy mógł usłyszeć, kiedy rzekł, że pragnie przemówić do ludu.

Najwidoczniej ten, do którego prośba została zwrócona, odpowiedział twierdzącym znakiem, bo król zaczął mówić głosem silnym i dźwięcznym, który na wskroś przeniknął Atosowe serce.

Tłumaczył ludowi swe postępowanie i dawał mu przestrogi dotyczące dobra Anglii.

— O — mówił sobie w duchu Atos — czy naprawdę słyszę to, co słyszę, i widzę to, co widzę? Czy jest możliwe, że Bóg opuścił swego przedstawiciela na ziemi aż tak dalece, by mu dać tak nędznie umierać! A ja go nie widziałem! A ja się z nim nie pożegnałem!

Dał się słyszeć dźwięk, jakby ktoś poruszył leżące na pniu katowskim narzędzie śmierci. Król przerwał.

— Nie tykaj topora — rzekł.

I dalej przemawiał do ludu.

Kiedy skończył, nad głową hrabiego nastąpiła lodowata cisza. Przyłożył . sobie dłoń do czoła, a spod tej dłoni pot spływał kroplami mimo panującego mrozu.

Cisza świadczyła, że odbywają się ostatnie przygotowania.

Skończywszy mówić król powiódł po tłumie spojrzeniem pełnym miłosierdzia i zdjęwszy order, który nosił — a była to przysłana mu przez królową diamentowa gwiazda — oddał go księdzu towarzyszącemu Juxonowi. Następnie wyjął z zanadru krzyżyk, również diamentowy, ten sam, który mu razem z gwiazdą przysłała królowa Henrieta.

— Wielebny księże — rzekł do towarzyszącego Juxonowi diakona — ten krzyż będę trzymał aż do ostatniej chwili; wyjmiesz go z mej ręki, kiedy już przestanę żyć.

— Tak, najjaśniejszy panie — odrzekł głos, w którym Atos poznał głos

Aramisa.

Wtedy Karol, który przez cały ten czas miał głowę przykrytą, zdjął kapelusz i rzucił go na deski. Następnie odpiął, jeden po drugim, wszystkie guzy swojego kaftana, zdjął go i rzucił obok kapelusza. A że było chłodno, poprosił o szlafrok, który mu też podano.

Dokonywał tych przygotowań z przerażającym spokojem.

Można by rzec, że król ma się położyć do łóżka, a nie do trumny.

Wreszcie, podnosząc ręką swoje włosy, odezwał się do kata:

— Czy nie będą ci przeszkadzały? Bo można by je związać sznurkiem.

Słowom tym towarzyszyło spojrzenie, którym Karol usiłował, rzekłbyś, przeniknąć pod maskę nieznanego. To szlachetne, spokojne, odważne spojrzenie zmusiło owego człowieka do odwrócenia głowy. Lecz uciekając od przenikliwego wzroku króla, napotkał pałający wzrok Aramisa.

Król, nie otrzymawszy odpowiedzi, zapytał jeszcze raz.

— Wystarczy, jeśli je rozgarniesz na szyi — odezwał się głucho człowiek w masce.

Król oburącz rozgarnął włosy i spojrzał na pień.

— Bardzo niski ten pień — rzekł. — Czy nie macie wyższego?

— To zwykły pień — odpowiedział człowiek w masce.

— Czy zetniesz mi głowę od jednego zamachu? — zapytał król.

— Spodziewam się — odpowiedział kat.

A tym dwu słowom: “spodziewam się”, głos jego nadał tak niesamowite brzmienie, że zadrżeli wszyscy z wyjątkiem króla.

— To dobrze — rzekł król. — A teraz słuchaj, kacie.

Człowiek w masce zbliżył się o krok do króla i oparł się na swym toporze.

— Nie chcę, żebyś mnie zaskoczył zniemacka — rzekł król. — Uklęknię, żeby się pomodlić, ale ty jeszcze nie uderzaj.

— A kiedy mam uderzyć? — zapytał człowiek w masce.

— Kiedy położę głowę na pniu i wyciągnę ręce mówiąc: remember, wtedy

uderzaj, a pewnie.

Człowiek w masce nieznacznie skłonił się.

— Chwila nadeszła, trzeba się rozstać ze światem — rzekł król do tych, którzy go otaczali. — Zostawiam was, panowie, wśród burzy i odchodzę pierwszy do ojczyzny wieczystej pogody. Żegnajcie.

Spojrzał na Aramisa i osobno skinął mu głową.

— A teraz — mówił dalej — odsuńcie się i pozwólcie, proszę, bym się mógł po cichu pomodlić. Ty także odsuń się — rzekł do człowieka w masce — to tylko na chwilę; wiem, że należę do ciebie, ale pamiętaj, żebyś uderzył wtedy dopiero, kiedy dam znak.

I Karol uklęknął, przeżegnał się, zbliżył usta do desek szafotu, jakby chciał je ucałować, po czym, jedną ręką oparłszy się o podłogę, drugą o pień, odezwał się po francusku:

— Hrabio de La Fere, czy jesteś tam i czy mogę mówić z tobą?

Ten głos dźgnął Atosa prosto w serce i przeszył go na wskroś jak lodowato zimna stal.

— Jestem, najjaśniejszy panie — odpowiedział drżąc.

— Wierny przyjacielu, szlachetne serce — rzekł król — nie mogłem zostać ocalony, nie było mi to pisane. A teraz choćbym miał popełnić świętokradztwo, muszę ci coś powiedzieć. Tak, rozmawiałem z ludźmi, rozmawiałem z Bogiem, z tobą rozmawiam na ostatku. Walcząc o sprawę, która mi się wydawała święta, straciłem tron moich ojców i sprzeniewierzyłem dziedzictwo moich dzieci. Został mi milion w złocie, który zakopałem w piwnicach zamku Newcastle przed opuszczeniem tego miasta. Ty jeden wiesz o istnieniu tych pieniędzy; zrób z nich użytek, kiedy uznasz, że nadeszła pora, na korzyść mego najstarszego syna. A teraz, hrabio de La Fere, pożegnaj się ze mną.

— Żegnaj, królu, święty męczenniku — wyszeptał Atos przejęty lodowatą zgrozą.

Na chwilę zrobiło się cicho, a Atosowi wydało się, że król wstaje i znów



kleka.

Po czym głosem dźwięcznym, donośnym, który usłyszano nie tylko na szafocie, ale i na placu, król wyrzekł słowo:

— Remember!

A ledwie go dokończył, straszliwe uderzenie zatrzęsło podłogą szafotu. Kurz wzbił się z sukna i oślepił nieszczęsnego szlachcica. Po czym, kiedy mimowolnym ruchem podniósł głowę i spojrzał w górę, upadła mu na czoło ciepła kropla. Atos cofnął się drgnąwszy z przestachu, a w tej samej chwili krople przemieniły się w czarną kaskadę, która rozprysła się na podłodze.

Atos padł na kolana i przez jakiś czas tak trwał, jakby porażony szaleństwem i niemocą. Wkrótce poznał po malejącym zgiełku, że ciżba rozchodzi się; jeszcze przez chwilę klęczał, nieruchomy, oniemiały, przerażony. Wreszcie odwrócił się i zmoczył róg swej chustki we krwi króla męczennika. Potem, ponieważ tłum coraz bardziej się oddalał, zszedł, rozdarł sukno, przesunął się między końmi, wmieszał się w lud, którego nosił odzienie, i pierwszy wrócił do gospody.

Wszedłszy do swojej izby, przejrzał się w lustrze, zobaczył, że ma wielką, czerwoną plamę na czole, więc dotknął czoła dłonią, odjął ją a ujrzawszy, że jest cała we krwi króla, zemdlał.

## 25. Człowiek w masce

Choć wybiła dopiero czwarta po południu, była już ciemna noc; padał śnieg, gęsty i zmarznięty. Aramis, wróciwszy z kolei do gospody, zastał Atosa jeśli nie bez zmysłów, to zgnębianego do ostatka.

Przy pierwszych słowach przyjaciela hrabia ocknął się z pozornego letargu, w którym był pogrążony.

— No cóż — odezwał się Aramis — los nas zwyciężył.

— Zwyciężył — odparł Atos. — Szlachetny, nieszczęśliwy król!

— Czyżbyś był ranny? — zapytał Aramis.

— Nie, to jego krew.

Hrabia otarł sobie czoło.

— Gdzie byłeś?

— Tam, gdzieśmy się rozstali. Pod szafotem.

— I wszystko widziałeś?

— Nie, ale wszystko słyszałem; niechaj Bóg nie dopuści, bym miał przeżyć jeszcze jedną podobną do tej godzinę. Powiedz, czym aby nie osiwiiał?

— Wiesz zatem, żem go nie odstąpił?

— Słyszałem twój głos do ostatniej chwili.

— Tu jest gwiazda, którą mi dał — rzekł Aramis. — A tu krzyż, który wyjąłem z jego ręki; pragnął, żeby je oddać królowej.

— A tu jest chustka, żeby je zawinąć — rzekł Atos.

I wyjął z kieszeni chustkę, którą umoczył we krwi króla.

— Powiedz mi, co zrobiono z jego nieszczęsnym ciałem? — zapytał Atos.

— Z rozkazu Cromwella będą mu oddane honory królewskie. Złożyliśmy ciało do ołowianej trumny. Medycy balsamują teraz te nieszczęsne szczątki i kiedy skończą swoje dzieło, król zostanie wystawiony w kaplicy, na katafalku.

— Pośmiewisko! — szepnął posepnie Atos. — Będą oddawać honory królewskie temu, którego sami zamordowali!

— To dowodzi — rzekł Aramis — że króla można zamordować, ale że władza królewska nie umiera.

— Niestety — rzekł Atos — był to, być może, już ostatni król-rycerz, jakiego miał ten świat.

— No, no, nie rozpaczaj, hrabio — odezwał się gruby głos ze schodów, po których zadudniły ciężkie kroki Portosa. — Wszyscy jesteśmy śmiertelni, moi wy biedni przyjaciele.

— Późno przychodzisz, kochany Portosie — rzekł hrabia de La Fere.

— Tak — odrzekł Portos — spotkałem po drodze pewnych ludzi i dlatego się spóźniłem. Tańczyli, łąjdacy. Wziąłem jednego za gardło i zdaje mi się, że go cokolwiek przydusił. Właśnie w tejże chwili nadszedł patrol. Na szczęście ten, z którym miałem osobiście do czynienia, przez kilka minut nie mógł się odzywać. Skorzystałem z tego i dałem nura w jakąś małą uliczkę. Tą uliczką dotarłem do innej uliczki, jeszcze mniejszej. I zabłądziłem. Londynu nie znam, po angielsku nie umiem; myślałem, że już was nigdy nie odnajdę, ale w końcu jakoś trafiłem.

— A gdzie d'Artagnan? — zapytał Aramis. — Czyście go nie widzieli? Może mu się co stało?

— Tłum rozdzielił nas — rzekł Portos — i choć bardzo się starałem, nie mogłem go odnaleźć.

— O! — odezwał się z goryczą Atos — za to ja widziałem go; stał w tłumie w pierwszym rzędzie. Dobrze się ulokował, żeby nic nie stracić, a że ostatecznie widowisko było ciekawe, chciał widać obejrzeć je do samego końca.

— O, hrabio de La Fere — odezwał się głos spokojny, choć przytłumiony szybkim marszem — i to ty rzucasz oszczerstwa na nieobecnych?

Wymówka dosięgła Atosa w samo serce. Jednakże wrażenie, jakie zrobił na nim widok d'Artagnana stojącego w pierwszym rzędzie tej bezmyślnej i

okrutnej ciżby, było tak głębokie, że odpowiedział mu tylko tyle:

— To nie są oszczerstwa, przyjacielu. Aramis i Portos niepokoiłi się o ciebie, więc powiedziałem, gdzie byłeś. Nie znałeś króla Karola, był to dla ciebie człowiek obcy, cudzoziemiec, ty go nie musiałeś kochać.

I mówiąc te słowa, wyciągnął rękę do przyjaciela. Ale d'Artagnan udał, że nie widzi gestu Atosa, i nie wysunął swojej ręki spod płaszcza. Atos wolno opuścił wyciągnięta prawicę.

— Uff, zmęczyłem się — westchnął d'Artagnan i usiadł.

— Napij się porta — rzekł Aramis biorąc flaszkę ze stołu i napełniając szklanekę — napij się, to cię postawi na nogi.

— Tak, napijmy się — rzekł Atos, bo było mu przykro, że d'Artagnan czuje się urażony, i chciał się z nim trącić szklaneką. — Napijmy się i opuśćmy ten szkaradny kraj. Statek czeka, jak wiecie; jedźmy jeszcze dziś, nie mamy tu już nic do roboty.

— Panu hrabiemu bardzo się śpieszy — rzekł d'Artagnan.

— Ta zakrwawiona ziemia parzy mi stopy — odparł Atos.

— Nie powiedziałbym, mnie jakoś śnieg nie parzy — odparł spokojnie d'Artagnan.

— I po co niby mielibyśmy tu zostawać? — rzekł Atos. — Teraz, kiedy król nie żyje?

— Więc pan hrabia uważa, że w Anglii nie mamy już nic do roboty? — zapytał niedbale d'Artagnan.

— Nic a nic — odrzekł Atos. — Mógłbym tu co najwyżej zwątpić w boską dobroć i stracić wiarę we własne siły.

— Za to ja — rzekł d'Artagnan — ja, człowiek pospolitego ducha, lubujący się w krwawych widowiskach, ja, co stanąłem o trzydzieści kroków od szafotu, żeby lepiej widzieć, jak spada głowa tego króla, którego nie znałem i który jak widać, był mi całkiem obojętny, ja myślę inaczej niż pan hrabia... ja zostaję.

Atos bardzo zbladł; każdy docinek przyjaciela na wskroś przeszywał mu serce.

— O! Zostajesz w Londynie? — zapytał d'Artagnana Portos.

— Tak — odparł mu. — A ty?

— Tam do licha! — rzekł Portos, z zakłopotaniem zerkając na Aramis i Atosa. — Tam do licha! Jeśli ty zostajesz; to ponieważ przyjechałem razem z tobą, nie wyjadę bez ciebie, nie zostawię cię samego w tym obrzydliwym kraju.

— Dziękuję ci, niezawodny przyjacielu. Zaproponuję ci tedy pewne niewielkie przedsięwzięcie, do którego zabierzemy się we dwu po odjeździe pana hrabiego. Bo kiedym się tak przypatrywał wiadomemu widowisku, przyszła mi do głowy pewna rzecz.

— Jaka? — zapytał Portos.

— Że warto by się dowiedzieć, kim jest ów człowiek w masce, który tak skwapliwie ofiarował się uciąć szyję królowi.

— Człowiek w masce! — zawołał Atos. — Więc kat nie uciekł ci spod zamknięcia?

— Kat? — odparł d'Artagnan. — Kat wciąż jeszcze jest w piwnicy, gdzie jak mniemam, zawarł bliższą znajomość z butelkami naszego gospodarza. Ale dobrze, żeś mi przypomniał...

Podszedł do drzwi.

— Muszkiet! — rzekł.

— Słucham pana — odezwał się głos, który zdawał się wychodzić z wnętrza ziemi.

— Wypuść swojego więźnia — rzekł d'Artagnan. — Już po wszystkim.

— Kim więc jest łotr, który podniósł rękę na swojego króla? — zapytał Atos.

— Katem z amatorstwa, który zresztą, owszem, sprawnie włada toporem, bo jak "się spodziewał" — rzekł Aramis — ściał głowę za jednym zamachem.

— Nie widzieliście jego twarzy? — zapytał Atos.

— Miał maskę — odparł d'Artagnan.

— A ty, Aramisie. który stałeś tak blisko?

— Zobaczyłem tylko, że ma szpakowatą brodę, bo wystawała spod maski.

— Więc był to człowiek już niemłody? — zapytał Atos.

— O — odparł d'Artagnan — to niczego nie dowodzi. Kiedy się kładzie maskę, można sobie i brodę przyprawić.

— Kiep ze mnie, żem za nim nie poszedł — rzekł Portos.

— Ale za to mnie, mój kochany Portosie — rzekł d'Artagnan — przyszło na myśl, że warto by za nim pójść.

Atos zrozumiał wszystko; wstał.

— Przebacz mi, d'Artagnan — rzekł. — Zważyłem o Bogu, mogłem więc i o tobie zważyć. Przebacz mi, przyjacielu.

— To się za chwilę zobaczy — rzekł d'Artagnan z półuśmiechem.

— I co dalej? — pytał Aramis.

— Ano — podjął d'Artagnan — kiedy patrzyłem nie na króla, jak mniema pan hrabia — bo wiem, co to jest człowiek idący na śmierć, choć powinienem już był przywyknąć do tych widoków, wciąż jeszcze są mi przykre — ale na zamaskowanego kata, przyszło mi na myśl, jak już wam powiedziałem, że warto by się dowiedzieć, kto on zacz. Tedy ponieważ przywykliśmy uzupełniać się nawzajem i przychodzić sobie z pomocą, jak jedna ręka przychodzi z pomocą drugiej ręce, rozejrzałem się machinalnie dokoła, żeby zobaczyć, czy nie ma tam gdzie Portosa; bo ciebie Aramisie, poznałem przy królu, a o tobie, hrabio, wiedziałem, że jesteś pod szafotem. I z tego względu przebaczam ci — dodał wyciągając rękę do Atosa — boś musiał tam cierpieć jak potępieniec. Kiedym się więc tak rozglądał dokoła, zobaczyłem tuż obok, z prawej strony, głowę, która była szpetnie, widać, rozplątana, a potem połatana jako tako za pomocą czarnych plastrów. O, do kaduka, myślę sobie, blizna, jakiej sam bym się nie powstydział, i zdaje mi się. żem ja chyba kiedyś ten łeb łatał. Rzeczywiście, był to ów nieszczęsny Szkot, brat Parry'ego, wiecie, ten, na którym Grosłowski

zachciało się próbować swojej pięści i który miał zaledwie pół głowy, kiedyśmy go znaleźli.

— Świetnie pamiętam — rzekł Portos — człowiek, co miał mieć te czarne kury.

— Rzekłeś, Portosie, on, we własnej osobie. Dawał znaki komuś, kto stał z mojej lewej strony; odwróciłem się i poznałem zacnego Milczka, który nie mniej niż ja pożerał oczyma mojego zamaskowanego kata.

— O! — tak się do niego odezwałem. A ponieważ ta sylaba jest skrótem, jakim posługuje się pan hrabia, jeśli doń raczy przemówić, Milczek zrozumiał, że ktoś go przyzywa, i odwrócił się jakby poruszony sprężyną. Również mnie poznał i pokazując palcem człowieka w masce, rzekł:

— He? — Co miało znaczyć: “Czy pan widzi?”

— Do kaduka! — odpowiedziałem mu.

Zrozumieliśmy się znakomicie. Odwróciłem się do naszego Szkota; ten także miał spojrzenie wielce wymowne.

Krótko mówiąc, wszystko skończyło się, jak wiecie, w bardzo ponury sposób. Tłum rozszedł się. Powoli zapadał zmierzch. Odszedłem w kąt placu razem z Milczkiem i ze Szkotem, któremu dałem znak, żeby został z nami, i stamtąd obserwowałem kata. Kat, wróciwszy do królewskiej komnaty, przebierał się; widocznie ochlapał się krwią. Przebrał się, na głowę włożył czarny kapelusz, owinał się płaszczem i znikł. Domyśliłem się, że za chwilę wyjdzie, więc pobiegłem i stanąłem naprzeciwko bramy. Jakoż w pięć minut potem zobaczyliśmy, że schodzi ze schodów.

— Poszedłeś za nim?! — zawołał Atos.

— A pewnie, do licha! — odparł d'Artagnan. — Ale na honor, nie była to łatwa rzecz. Co chwila się oglądał; wtedy musieliśmy się chować albo udawać, że nie zwracamy na niego uwagi. Mogłem go dopaść i łatwo byłoby mi go zabić, ale nie jestem sobek — szykowałem tę gratkę dla Aramisa i dla ciebie, Atosie, żebyście się choć trochę pocieszyli. Wreszcie po półgodzinie marszu

przez najbardziej kręte ulice śródmieścia doszedł do niedużego, samotnego domku, w którym żaden głos i żadne światło nie zdradzało obecności człowieka.

Milczek wyciągnął ze swoich szerokich portek pistolet.

— He? — zapytał pokazując go.

— Nie! — odpowiedziałem.

I zatrzymałem mu rękę. Jak wam już rzekłem, miałem swój plan.

Człowiek w masce zatrzymał się przed niskimi drzwiami i wyjął klucz, lecz zanim go włożył w zamek, obejrzał się, by sprawdzić, czy go kto nie śledzi. Ja byłem ukryty za drzewem, Milczek za węglem; Szkot, który się nie miał za czym schować, padł plackiem na ziemię.

Ten, za którym szliśmy, widocznie nabrał przekonania, że jest sam, bo usłyszałem zgrzyt klucza; drzwi otworzyły się i znikł.

— Łotr! — rzekł Aramis. — Na pewno uciekł po twoim odejściu i już go nie znajdziemy.

— Ejże, Aramisie — rzekł d'Artagnan — zdaje się, że mnie bierzesz za kogoś innego.

— Jednakże — odezwał się Atos — przez czas twojej nieobecności...

— A czyż nie miałem Milczka i Szkota, żeby mnie przez ten czas zastąpili? Ledwie zdążył zniknąć we wnętrzu, osobiście obszedłem cały dom. Przy jednych drzwiach, tych, przez które wszedł, postawiłem Szkota i wytłumaczyłem mu na migi, że gdyby człowiek w czarnej masce wyszedł, ma za nim iść tam, dokąd się uda, Milczek zaś ruszy za nimi obydwoje, a następnie wróci po nas. Potem przy drugim wyjściu ustawiłem Milczka, zlecając mu to samo, i przyszedłem po was. Zwierz siedzi w matni; a teraz — kto chce ruszyć na łowy?

D'Artagnan otarł czoło, a Atos porwał go w ramiona.

— Przyjacielu — rzekł — przebacząc mi postąpiłeś, zaiste, nazbyt szlachetnie. Skrzywdziłem cię, po stokroć cię skrzywdziłem, a przecież już powinienem znać cię. Ale w głębi ludzkiego ducha siedzi jakieś złe лихо, które



nieustannie wątpi.

— Hm! — mruknął Portos — czy ów kat nie był przypadkiem panem Cromwellem, który żeby mieć pewność, że rzecz zostanie należycie wykonana, postanowił zrobić ją własnoręcznie?

— Na pewno nie. Pan Cromwell jest gruby i krępy, a ten jest szczupły, smukły i raczej wysoki niż niski.

— Jakiś żołnierz skazaniec, któremu przyrzeczono łaskę za tę cenę — rzekł Atos. — Tak samo postąpiono niegdyś z nieszczęśliwym de Chalais.

— Nie, nie — ciągnął d'Artagnan — to nie był miarowy chód piechura; nie był to również kołyszący się chód kawalerzysty. Ten człowiek miał ruchy zgrabne, wykwintne. Albo się mocno myślę, albo mamy do czynienia ze szlachcicem.

— Ze szlachcicem! — zawołał Atos. — Niemożliwe. Byłoby to hańbą dla całego stanu szlacheckiego.

— Piękne łowy! — rzekł Portos i roześmiał się, że aż szyby w oknach zadrżały — piękne łowy, do kaduka!

— Czy w dalszym ciągu masz zamiar wyjechać, Atosie? — zapytał d'Artagnan.

— Nie, zostaję — odpowiedział hrabia czyniąc groźny ruch, nic dobrego nie obiecujący temu, na którego intencję został zrobiony.

— Dalej, bierzmy szpady! — rzekł Aramis. — Bierzmy szpady i ani chwili nie traćmy.

Czterej przyjaciele szybko przebrali się w swój szlachecki przyodziewek, przypasali szpady i wezwali Muszkietę i Blaisois, polecając im zapłacić należność gospodarzowi i jako też przyszykować wszystko do wyjazdu, bo według wszelkiego prawdopodobieństwa przyjdzie opuścić Londyn jeszcze tej nocy.

Noc stała się jeszcze ciemniejsza; śnieg wciąż padał. Wydawało się, że legł białym całunem na królobójczym mieście. Godzina była już chyba siódma

wieczorem, na ulicach nie spotykało się przechodniów, ludzie pozamykali się w domach i w rodzinnych gronach rozmawiali po cichu o strasznych wydarzeniach dnia.

Czterej przyjaciele, otuleni w płaszcze, szli przez plac i ulice śródmieścia, tak ludne w dzień, a tak puste tej nocy. D'Artagnan prowadził ich, co pewien czas szukając krzyżyków, które znaczył był sztyletem na murach; ale noc była tak ciemna, że z wielkim trudem udawało mu się odnajdywać te znaki. Tak ostro jednak wyrył mu się w pamięci każdy węgiel, każda studnia, każdy szyld, że po półgodzinnym marszu stanął, razem ze swymi trzema towarzyszami, pod samotnym domem.

D'Artagnan przez chwilę już sądził, że brat Perry'ego poszedł sobie, lecz omylił się: krzepki Szkot, przyzwyczajony do lodów swoich gór, wyciągnął się za węglem i niby posąg strącony z cokołu, nieczuły na zimową niepogodę, leżał przysypany śniegiem. Wstał jednak na widok czterech zbliżających się mężczyzn.

— Jeszcze jeden dobry, wierny sługa! — rzekł Atos. — Chwała Bogu! Spotyka się jeszcze na tym świecie zacnych ludzi. To dodaje otuchy.

— Nie śpiesz się tak ze splataniem wieńców dla naszego Szkota — rzekł d'Artagnan. — Podejrzewam, że ten hultaj nie bezinteresownie się tu znalazł. Powiadają, że ludzie, którzy ujrzeli światło dzienne po drugiej stronie Tweedu<sup>16</sup>, są piekielnie pamiętliwi. Nie zazdroszczę Grosłowski! Mógłby się mieć z pyszna, jeśliby się z nim spotkał.

I wyprzedziwszy przyjaciół o kilka kroków, zbliżył się do Szkota i dał mu się poznać. Potem skinął na swych towarzyszy, żeby podeszli.

— I co? — zapytał Atos po angielsku.

— Nikt nie wyszedł — odpowiedział brat Parry'ego.

— Dobrze. Zostań tu razem z tym człowiekiem, Portosie, i ty także, Aramisie. Mnie niech d'Artagnan zaprowadzi do Milczka.

---

<sup>16</sup> Tweed — rzeczka oddzielająca Szkocję od Anglii.

Milczek, nie mniej zmyślny niż Szkot, znalazł spróchniałą wierzbę i skrył się w jej pustym pniu. Na chwilę, podobnie jak i z pierwszym wartownikiem, d'Artagnan zląkł się, że człowiek w masce wyszedł i że Milczek poszedł za nim.

Nagle z drzewa wyłoniła się głowa i rozległ się cichutki gwizd.

— O! — rzekł Atos.

— Tak! — odpowiedział Milczek.

Podeszli do wierzby.

— Co? — zapytał Atos. — Czy ktoś wyszedł?

— Nie, ale ktoś wszedł — odparł Milczek.

— Mężczyzna czy kobieta?

— Mężczyzna.

— O! — rzekł d'Artagnan — w takim razie jest ich dwóch.

— Chciałbym, żeby ich było czterech — powiedział Atos. — Wtedy siły byłyby równe.

— Może jest ich tam i czterech — odparł d'Artagnan.

— W jaki sposób?

— A czyż nie mogli już czekać w domu jacyś ludzie?

— Można zobaczyć — rzekł Milczek wskazując okno, z którego sączyło się światło przez szczeliny w okiennicach.

— Racja — rzekł d'Artagnan. — Sprowadźmy Portosa i Aramis. Obeszli dom i kiwnęli przyjaciółom, żeby przyszedli.

Obaj spiesznie przybiegli.

— Zobaczyliście co? — zapytali.

— Jeszcze nie, ale zobaczymy — odparł d'Artagnan wskazując na Milczka, który czepiając się szorstkiego muru, wspinał się już na wysokość pięciu, sześciu stóp.

Podeszli blisko wszyscy czterej. Milczek wspinał się dalej ze zręcznością kota. Wreszcie udało mu się schwycić jeden z haków, którymi się przymocowuje okiennice, kiedy są otwarte; równocześnie stopą natrafił na

gzyms, który, widać, wydał mu się wystarczającym punktem oparcia, bo dał znak oznajmiający, że dotarł do celu. I przylgnął okiem do szczeliny w okiennicy.

— Co widzisz? — zapytał d'Artagnan.

Milczek zacisnął dłoń w kulak i wysunął dwa palce.

— Mów — rzekł Atos. — Nie widać twoich znaków. Ilu ich jest?

Milczek przemógł się.

— Dwóch — rzekł. — Jeden naprzeciwko mnie, drugi siedzi tyłem.

— Dobrze. Który siedzi naprzeciwko ciebie?

— Człowiek, którego widziałem, kiedy przechodził.

— Znasz go?

— Chyba go poznaję, jeśli się nie mylę; gruby i krępy.

— Kto to? — po cichu zapytali razem czterej przyjaciele.

— Generał Oliver Cromwell.

Czterej przyjaciele spojrzeli na siebie.

— A ten drugi? — zapytał Atos.

— Jest szczupły i smukły.

— To kat! — powiedzieli razem d'Artagnan i Aramis.

— Widzę tylko jego plecy — mówił Milczek — ale zaraz, poruszył się, odwraca się; jeśli zdjął maskę, będę mógł go zobaczyć... Ach...!

Milczek, jakby trafiony w samo serce, puścił żelazny hak i rzucił się w tył, głucho jęcząc. Portos schwycił go w ramiona.

— Widziałeś go? — zapytali wszyscy czterej.

— Tak — rzekł Milczek, któremu włosy zjeżyły się na głowie, a na czoło wystąpił pot.

— Szczupłego, smukłego człowieka? — pytał d'Artagnan.

— Czyli kata? — pytał d'Artagnan.

— Tak.

— Kto to? — zapytał Portos.

— To on! On! — bełkotał Milczek blady jak śmierć i drżącymi rękoma schwycił swego pana za rękę.

— Ale kto taki? — zapytał Atos.

— Mordaunt... — odpowiedział Milczek.

D'Artagnan, Portos i Aramis aż krzyknęli z radości. Atos cofnął się o krok i przesunął dłonią po czole.

— Ręka losu! — szepnął.

## 26. Dom Cromwella

Był to rzeczywiście Mordaunt, za którym d'Artagnan szedł nie poznawszy go.

Wszedłszy do domu zdjął maskę, zdjął szpakowatą brodę, którą włożył był, żeby się nie dać poznać, wbiegł po schodach, otworzył drzwi i znalazł się w pokoju oświetlonym lampą i ciemną tkaniną obitym, gdzie jakiś mężczyzna siedział za biurkiem i pisał.

Mężczyzną tym był Cromwell.

Cromwell miał w Londynie, jak wieść niesie, dwie, a może nawet i trzy takie kryjówki. Nawet jego własni ludzie nie wiedzieli, gdzie się one mieszczą, i tylko najbliżsi zauszniczy generała znali do nich drogę. Jak pamiętamy, Mordaunt był właśnie jednym z nich.

Kiedy wszedł, Cromwell podniósł głowę.

— To ty, Mordaunt — powiedział. — Późno przychodzisz.

— Generale — odparł Mordaunt — chciałem obejrzeć ceremonię aż do końca i dlatego się spóźniłem.

— O! — rzekł Cromwell — zdaje mi się, że nie zawsze bywasz aż taki ciekawy.

— Zawsze będę patrzył z ciekawością na upadek każdego z wrogów waszej dostojności, a ten nie zaliczał się do najmniejszych. A ty, generale, nie byłeś w White-Hall?

— Nie — odrzekł Cromwell.

Na chwilę umilkli.

— Czy szczegóły są ci już znane? — zapytał Mordaunt.

— Nie, nie znam żadnych. Jestem tutaj od rana. Wiem tylko, że był spisek zmierzający do ocalenia króla.

— Więc wiesz o tym? — zapytał Mordaunt,

— Nic groźnego. Czterej ludzie przebrani za rzemieślników mieli wykraść króla z więzienia i zawieźć do Greenwich, gdzie na nich czekał statek.

— I wiedząc o tym wasza dostojność byłeś tu, z dala od śródmieścia, spokojny i beczynny?

— Owszem, spokojny — odparł Cromwell — ale kto ci mówi, że beczynny?

— Lecz gdyby spisek się udał?

— Chciałem tego.

— Wydawało mi się, że wasza dostojność uważa śmierć Karola I za nieszczęście konieczne dla dobra Anglii?

— Oczywiście — odparł Cromwell. — Tak uważałem i tak uważam. Musiał umrzeć, ale to już wszystko; może byłoby i lepiej, gdyby się to nie stało na szafocie.

— Dlaczego, wasza dostojność?

Cromwell uśmiechnął się.

— Wybacz mi, generale — rzekł Mordaunt — ale jak wiesz, w polityce jestem zaledwie terminatorem i chciałbym przy każdej sposobności korzystać z nauk, których zechce mi udzielać łaskawie mój mistrz.

— Bo wtedy powiedziano by, że go skazał przez sprawiedliwość i że mu pozwoliłem uciec przez miłosierdzie.

— Ale gdyby rzeczywiście uciekł?

— Niemożliwe.

— Niemożliwe?

— Tak, bo przedsięwziąłem stosowne środki.

— I wasza dostojność znasz tych czterech ludzi, którzy postanowili uratować króla?

— Są to czterej Francuzi, z których dwaj zostali wysłani przez królową Henrykę do męża, a dwaj przez Mazariniego do mnie.

— Czyżbyś sądził, generale, że Mazarini polecił im zrobić to, co zrobili?

— Bardzo możliwe, ale się ich wyprze.

— Tak mniemasz?

— Jestem tego pewny.

— Dlaczego?

— Bo się im nie powiodło.

— Dałeś mi, wasza dostojność, dwu z tych Francuzów, kiedy byli tylko tyle winni, że z bronią w ręku stanęli po stronie Karola I. Teraz, kiedy wszyscy czterej dopuścili się zbrodni spisku przeciwko Anglii, czy dasz mi, wasza dostojność, wszystkich czterech?

— Weź ich sobie — rzekł Cromwell.

Mordaunt skłonił się z uśmiechem triumfującym i okrutnym.

— Ale pomówmy jeszcze, proszę cię, o tym nieszczęśliwym Karolu — rzekł Cromwell widząc, że Mordaunt chce mu dziękować. — Czy lud wznosił okrzyki?

— Niewiele. Krzyczano: “Niech żyje Cromwell”, ale nic więcej.

— Gdzie stałeś?

Mordaunt przez chwilę patrzył na generała, próbując wyczytać z jego oczu, czy wie o wszystkim i pyta niepotrzebnie.

Lecz pałający wzrok Mordaunta nie mógł przeniknąć ciemnych głębokości Cromwellowych oczu.

— Stałem tam, skąd mogłem wszystko widzieć i wszystko słyszeć — odpowiedział Mordaunt.

Teraz z kolei Cromwell spojrzał przenikliwie na Mordaunta i z kolei Mordaunt uczynił się nieprzenikniony. Wytrzymał przez kilka sekund ten badawczy wzrok, obojętnie odwrócił oczy.

— Podobno przypadkowy kat bardzo dobrze spełnił swój obowiązek — rzekł Cromwell. — Ścięcie, jak mi przynajmniej doniesiono, zostało wykonane po mistrzowsku.



Mordaunt przypomniał sobie, że Cromwell powiedział mu, iż żadnych szczegółów nie zna, i z tą chwilą nabrał przeświadczenia, że generał był obecny przy egzekucji, przypatrując się jej z ukrycia za kotarą albo za żaluzją okna.

— Istotnie — odrzekł Mordaunt spokojnym głosem i z nieporuszoną twarzą — odciął głowę za jednym zamachem.

— Może to człowiek z fachu? — zapytał Cromwell.

— Tak mniemasz, generale?

— A czemuż nie miałby nim być?

— Ten człowiek nie wyglądał na kata.

— A któż, wyjąwszy kata, chciałby się parać tym wstrętnym rzemiosłem? — zapytał Cromwell.

— Może jakiś osobisty wróg króla Karola — rzekł Mordaunt — który mu ślubował zemstę i w ten sposób dotrzymał ślubów. Może jakiś szlachcic, który by z ważnych racji nienawidził zdetronizowanego króla i wiedząc, że ma uciec i wymknąć się jego zemście, zastąpił mu drogę w masce na twarzy i z toporem w dłoni, niejako wyręczyciel kata, ale jako mandatariusz losu?

— Możliwe — rzekł Cromwell.

— A jeśliby to tak było — rzekł Mordaunt — czy potępiłbyś jego czyn, wasza dostojność?

— Nie moją rzeczą jest go sądzić — odparł Cromwell. — To sprawa między nim i Bogiem.

— Lecz gdybyś, wasza dostojność, znał tego szlachcica?

— Nie znam go, panie Mordaunt — odpowiedział Cromwell — i nie chcę go znać. A cóż mnie obchodzi, kto on jest? Skoro Karol został skazany, nie człowiek ściał mu głowę, lecz topór.

— Jednakże gdyby nie ten człowiek — rzekł Mordaunt — król byłby ocalony.

Cromwell uśmiechnął się.

— Na pewno! Sam powiedziałaś, generale, że go miano wykraść.

— Wykradziono by go i dojechałby do Greenwich. Tam wsiadłby na statek razem ze swymi czterema zbawcami. Ale na statku znajdowali się czterej ludzie należący do mnie i pięć beczek prochu należącego do narodu. Na morzu moi czterej ludzie zeszliby do szalupy i chyba zbyt jesteś zręcznym politykiem, Mordaunt, bym ci musiał resztę tłumaczyć.

— Wiem, na morzu wszyscy wylecieliby w powietrze.

— Otóż właśnie. Wybuch zrobiłby to, czego nie chciał zrobić topór. Król Karol znikłby bez śladu. Powiedziano by, że choć umknął przed sprawiedliwością ludzką, dogoniła go i dosięgła zemsta nieba. My bylibyśmy jedynie jego sędziami, a Bóg byłby jego katem. Oto, ilem stracił przez twojego szlachcica w masce, mój Mordaunt. Widzisz więc, że nie bez powodu nie chcę go znać, bo prawdę rzekłszy, choć intencje miał zapewne najlepsze, nie mogę być mu wdzięczny za to, co uczynił.

— Generale — rzekł Mordaunt — jak zwykle kornie chylę przed tobą czoło. Jesteś głębokim myślicielem — ciągnął dalej — a twój pomysł zaminowanego statku był wręcz arcydziełem.

— Pomysł był głupi — odparł Cromwell — ponieważ stał się niepotrzebny. W polityce arcydziełami są tylko takie pomysły, które wydają owoce; każdy poroniony pomysł jest głupi i jałowy. Pojedziesz zatem jeszcze dziś wieczorem do Greenwich, Mordaunt — dodał Cromwell wstając — dowiesz się o szypra statku “Błyskawica” i pokażesz mu białą chustkę z węzełkami na czterech rogach; taki był umówiony znak. Ludziom każesz zejść na ląd a proch odnieść do Arsenалу, chyba że...

— Chyba że... — powtórzył Mordaunt i twarz rozjaśniła mu się dziką radością, kiedy Cromwell mówił dalej:

— Chyba że ten statek, tak jak jest, może ci się przydać do twoich osobistych zamierzeń.

— O, milordzie, milordzie! — zawołał Mordaunt. — Bóg, czyniąc cię swym wybrańcem, obdarzył cię i swym wzrokiem, przed którym nic się nie

ukryje.

— Zdaje mi się, żeś mnie nazwał milordem? — rzekł śmiejąc się Cromwell. — Możesz tak mówić, kiedy jesteśmy sami, ale musisz uważać, żeby ci się to słowo nie wyrwało w obecności naszych głupich purytanów.

— Czyż nie tak będziesz już wkrótce nazywany, wasza dostojność?

— Mam nadzieję — rzekł Cromwell — ale jeszcze nie pora.

Cromwell wstał i wziął płaszcz.

— Wychodzisz stąd, generale? — zapytał Mordaunt.

— Tak — rzekł Cromwell — spałem tu wczoraj i pozawczoraj, a wiesz, że nie mam zwyczaju sypiać trzy razy pod rząd w tym samym łóżku.

— Więc wasza dostojność dajesz mi urlop na tę noc? — zapytał Mordaunt.

— Nawet i na jutrzejszy dzień, jeśli potrzeba — odparł Cromwell. — Od wczorajszego wieczoru — dodał z uśmiechem — dość się napracowałeś w mojej służbie i jeśli masz jakieś osobiste sprawy do załatwienia, należy ci się wolny czas.

— Dziękuję, generale; zostanie dobrze zużyty, spodziewam się.

Cromwell skinął Mordauntowi głową, po czym, odwracając się, zapytał:

— Masz broń?

— Mam szpadę — rzekł Mordaunt.

— I nikt na ciebie nie czeka przy drzwiach?

— Nikt.

— Tedy powinienes pójść razem ze mną, Mordaunt.

— Dziękuję, generale, ale ty pójdziesz podziemnym korytarzem, więc okrężną drogą; zabrałoby to dużo czasu, a sądząc z tego, coś mi powiedział, już go straciłem aż za wiele. Wyjdę drugimi drzwiami.

— Rób, jak chcesz — rzekł Cromwell.

I nacisnąwszy ręką ukryty guzik, otworzył drzwi, tak dobrze zamaskowane obiciem, że najwprawniejsze oko nie poznałoby, że tam są.

Drzwi, poruszane stalową sprężyną, same się za nim zatrzasnęły.

Było to jedno z tych ukrytych wyjść, które jak nam historia doniosła, znajdowały się we wszystkich tajemnych domkach, w których Cromwell mieszkiwał.

Korytarz przechodził pod nie zabudowaną ulicą i doprowadzał do groty w ogrodzie innego domu, odległego o jakie sto kroków od budynku, który opuścił przed chwilą przysły protektor Anglii. To wyjaśnia, w jaki sposób Cromwell wszedł, choć Milczek nikogo nie widział.

To wtedy właśnie, pod koniec opisaney powyżej sceny, Milczek przez szparę, jaka się utworzyła między nie dosuniętymi kotarami, ujrzał był dwu ludzi i poznał w nich kolejno Cromwella i Mordaunta.

Widzieliśmy, jakie wrażenie wywarła ta nowina na czterech przyjaciółach.

D'Artagnan pierwszy odzyskał sprawność umysłu.

— Mordaunt! — rzekł. — Dzięki niech będą niebu! To sam Bóg go nam zsyła.

— Tak — rzekł Portos. — Teraz wyważymy drzwi i dopadniemy go.

— Przeciwnie — rzekł d'Artagnan — nic nie będziemy wyważać, żadnych hałasów, hałas ściąga ludzi. Zważcie, że jeśli jest tam, jak powiada Milczek, ze swoim godnym siebie panem, na pewno gdzieś o pięćdziesiąt kroków stąd przyczaił się posterunek gwardzistów Cromwella. Hola, Milczek, chodź tu! No jak, możesz się już utrzymać na własnych nogach?

Milczek zbliżył się; przerażenie wróciło mu razem z czuciem, ale trzymał się dzielnie.

— Dobrze — ciągnął d'Artagnan. — A teraz wdrap się jeszcze raz na to okno i powiedz nam, czy Mordaunt jest jeszcze w towarzystwie, czy się szykuje do wyjścia, czy też do spania. Jeśli jest w towarzystwie, zaczekamy, aż zostanie sam; jeśli wyjdzie, przyłapiemy go w drzwiach; jeśli zostanie, wyważymy okno. Z oknem sprawa jest łatwiejsza niż z drzwiami i mniejszy hałas.

Milczek bezszelestnie zaczął się wspinać do okna.

— Pilnujcie drugiego wyjścia, Atosie i Aramisie; my z Portosem

zostaniemy tu.

Atos i Aramis usłuchali.

— I co, Milczku? — zapytał d'Artagnan.

— Sam — odparł Milczek.

— Jesteś pewny?

— Tak.

— Nie widzieliśmy, żeby jego towarzysz wychodził.

— Może wyszedł drugimi drzwiami.

— Co robi?

— Kładzie płaszcz i bierze rękawiczki.

— Dobra nasza — mruknął d'Artagnan.

Portos położył rękę na rękojeści sztyletu i machinalnie wydobył go z pochwy.

— Schowaj sztylet, przyjacielu — rzekł d'Artagnan. — Nie w tym rzecz, żeby od razu uderzyć. Mamy go, wszystko załatwimy po kolei. Winni jesteśmy sobie nawzajem kilka wyjaśnień, będzie to bowiem druga część sceny z Armentieres; miejmy jednakowoż nadzieję, że ten nie posiada potomstwa i że zmiżdżenie tego padalca położy nareszcie kres temu wszystkiemu.

— Ciii! — szepnął Milczek — szykuje się do wyjścia. Zbliża się do lampy. Zdmuchnął ją. Już nic nie widzę.

— Złaż więc, złaż prędko.

Milczek odbił się od ściany i zeskoczył na równe nogi. Śnieg tłumiał odgłos skoku. Zrobiło się całkiem cicho.

— Idź i zawiadom Atosa i Aramisa. Niech staną po obu stronach drzwi. My z Portosem tak samo postąpimy. Jeśli go złapią, niech zaklaszczą, jeśli my go złapiemy, my zaklaszczemy.

Milczek zniknął.

— Portosie, Portosie — rzekł d'Artagnan — ukryj lepiej twoje potężne bary, przyjacielu; trzeba, żeby wyszedł nie widząc nas.

— Byleby tędy wyszedł!

— Cicho — szepnął d'Artagnan.

Portos przylgnął do ściany tak silnie, jakby chciał w nią wejść. D'Artagnan uczynił to samo.

Usłyszeli, jak zadudniły po schodach kroki Mordaunta. Niewidoczny judasz zgrzytnął przesuając się w swych rowkach. Mordaunt wyjrzał i wskutek ostrożności obu przyjaciół nic podejrzanego nie zobaczył. Włożył więc klucz w zamek, drzwi otworzyły się i stanął w progu.

W tejże chwili znalazł się twarzą w twarz z d'Artagnanem.

Chciał zatrzaskać drzwi. Portos rzucił się do klamki i otworzył je na oścież.

Portos klasnął w dłonie trzy razy. Atos i Aramis przybiegli.

Mordaunt zsiniał, ale nie krzyknął, nie zawołał o pomoc.

D'Artagnan następował na Mordaunta i popychając go nieledwie własną pierśią, zmuszał, by wchodził tyłem na schody oświetlone lampą, dzięki czemu Gaskończyk mógł nie tracić z oczu jego rąk. Ale Mordaunt rozumiał, że choćby zabił d'Artagnana, musiałby się jeszcze pozbyć i trzech pozostałych wrogów. Nie uczynił więc żadnego ruchu, który mógłby być poczytany za obronny lub grożący. Doszli tak do drzwi. Mordaunt, czując, iż opiera się o nie plecami, najpierw pomyślał sobie, że tu mu przyjdzie zginąć, lecz się omylił; d'Artagnan wyciągnął rękę i otworzył drzwi. I obaj z Mordauntem znaleźli się w tym samym pokoju, w którym młodzieniec przed dziesięcioma minutami rozmawiał z Cromwellem.

Portos wszedł tuż za nim, sięgnął ręką, zdjął lampę zawieszoną u sufitu i zapalił ją od lampy ze schodów.

Z kolei Atos i Aramis przekroczyli próg i zamknęli drzwi na klucz.

— Zechciej usiąść, proszę — rzekł d'Artagnan podsuwając młodzieńcowi krzesło.

Mordaunt wziął krzesło z rąk d'Artagnana i usiadł, blady, lecz spokojny. W odległości trzech kroków Aramis ustawił trzy krzesła, dla siebie, d'Artagnana i

Portosa.

Atos odszedł na bok i usiadł w najdalszym rogu pokoju, postanawiając, jak się wydawało, pozostać nieruchomym widzem tego, co się tu miało dziać.

Portos siadł po lewej stronie d' Artagnana, Aramis po prawej.

Atos wydawał się przybity. Portos z gorączkową niecierpliwością zacierał dłonie.

Aramis, niby to uśmiechając się, gryzł sobie wargi aż do krwi.

Jeden d' Artagnan był opanowany, przynajmniej na pozór.

— Panie Mordaunt — odezwał się do młodzieńca — skoro po tylu dniach straconych na uganianie się za sobą nawzajem przypadek połączył nas wreszcie, porozmawiajmy trochę, jeśli łaska.

## 27. Rozmowa

Mordaunt został zaskoczony tak znienacka, wchodził po schodach doświadczając tak wielkiego w swych uczuciach zamętu, że jego rozwaga nie mogła działać sprawnie. W pierwszej chwili owładnęło nim całkowicie zdumienie i strach nie do pokonania, jaki zdjąłby każdego człowieka, gdyby jego śmiertelny i mocniejszy odeń wróg schwycił za ramię w tej właśnie chwili, w której on jest przekonany, że ów wróg znajduje się zgoła gdzie indziej i czym innym zgoła jest zajęty.

Ale skoro usiadł, ale skoro się dowiedział, że tamci postanowili odroczyć nieco chwilę ostatecznej rozprawy — wszystko jedno, w jakim zamiarze — skupił swoje wszystkie siły i natężył umysł.

Pałający wzrok d' Artagnana, miast onieśmielić, zelektryzował go, żeby tak rzec, gdyż wzrok ów, choć tak piekący groźbą, był szczery w swojej nienawiści i gniewie. Mordaunt, gotując się schwycić każdą okazję, jaka mu się nadarzy, by się wydobyć z opresji bądź siłą, bądź podstępem, skupił się w sobie, jak czyni zapędzony do nory niedźwiedź, co na pozór nieruchomym okiem śledzi każdy ruch myśliwego, który go wytropił.

Przed wszystkim więc jego oko przesunęło się szybkim spojrzeniem po długiej i mocnej szpadzie, która mu wisiała u biodra; od niechcienia położył lewą rękę na jej rękojeści, przesunął ją w zasięg swojej prawej ręki i usiadł, stosując się do zaproszenia d' Artagnana.

D' Artagnan najwidoczniej czekał na jakąś zaczepkę, by rozpocząć jedną z tych drwiących i groźnych rozmów, jakie tak dobrze umiał prowadzić. Aramis mówił sobie w duchu: “No, teraz użyjemy, słuchając pustej gadaniny!” Portos gryzł wąsa, mruczając: “Po co tyle ceregieli? Zgnieść tego padalca i basta!” Atos skrył się w kącie pokoju, nieruchomy i blady jak marmurowa płaskorzeźba, a



choć się nie ruszał, czuł, że mu czoło wilgotnieje od potu.

Mordaunt milczał upewniwszy się, że każdej chwili może dobyć szpady, założył nogę na nogę i niewzruszony czekał.

Milczenie nie mogło trwać dłużej, nie stając się śmieszne. D'Artagnan zrozumiał to, a ponieważ to on zaprosił Mordaunta, żeby usiąść i “porozmawiać”, pomyślał sobie, że to on też powinien tę rozmowę zacząć.

— Wydaje mi się, panie Mordaunt — rzekł ze swą zjadliwą uprzejmością — że zmieniasz przebrania tak szybko, jak to widziałem u italiańskich mimów<sup>17</sup>, których pan kardynał Mazarini sprowadził z Bergamu. Pewnieś ich oglądał, zaproszony przez kardynała, podczas swojej podróży do Francji.

Mordaunt nie odrzekł nic.

— Jeszcze przed chwilą — ciągnął d'Artagnan — byłeś przebrany, nie, chciałem rzec: ubrany, w suknie mordercy, a teraz...

— A teraz przeciwnie, wygląda na to, że jestem w sukniach człowieka, który ma zostać zamordowany, prawda? — odpowiedział Mordaunt zwięźle i spokojnym głosem.

— O, panie Mordaunt — rzekł d'Artagnan — jakże możesz się wyrażać w taki sposób, będąc w towarzystwie ludzi szlacheckiego rodu i mając taką dobrą szpadę u boku.

— Nie ma tak dobrej szpady, panie, która by sprostała czterem szpadom i czterem sztyletom, nie licząc szpad i sztyletów waszych pomocników, którzy czekają za drzwiami.

— Hola, mój panie, mylisz się — rzekł d'Artagnan — ci, co czekają za drzwiami, nie są naszymi pomocnikami, ale służącymi. Dbajmy, żeby przestrzegać prawdy jak najskrupulatniej.

Mordaunt odpowiedział tylko uśmiechem, który wykrzywił mu ironicznie wargi.

— Ale nie o to idzie — podjął d'Artagnan — wracam do swego pytania. A

---

<sup>17</sup> Mim — aktor grający w pantomimie, tj. sztuce niemej.

pozwoliłem sobie zapytać cię, mój panie, po co właściwie odmieniłeś swój zewnętrzny wygląd. Przecież jak mniemam, dość poręcznie ci było nosić maskę, siwa broda pasowała do ciebie jak ulał, a gdyby jeszcze nadmienił o toporze, którym pokazałeś, jak świetnie umiesz władać, to myślę, że i on, a jakże, przydałby ci się w tej chwili. Więc dlaczegoś się go pozbył?

— Dlatego, że przypomniawszy sobie sprawę z Armentieres, pomyślałem, że przeciwko jednemu toporowi byłoby ich cztery, ponieważ miałem się znaleźć w otoczeniu czterech katów.

— Panie Mordaunt — odpowiedział d'Artagnan najspokojniej w świecie, choć lekkie poruszenie brwi zdradziło, że zaczyna być gniewny — panie Mordaunt, choć do głębi występny i zepsuty, jesteś jeszcze bardzo młody, co jest powodem, że nie wezmę na serio twoich płochych słów. Tak, płochych, gdyż to, co rzekłeś na temat Armentieres, nie ma najmniejszego związku z twoim obecnym położeniem. Przecież twojej pani matce nie mogliśmy dać szpady do ręki i prosić ją, żeby się zmierzyła z nami; ale ciebie, mój panie, młodego kawalera, który włada sztyletem i pistoletem tak, jak to widzieć mieliśmy już okazję, i który nosi szpadę takich jak ta oto rozmiarów, chyba każdy z nas ma prawo poprosić, byś mu zechciał stanąć.

— O! — rzekł Mordaunt — więc chcecie pojedynku?

Wstał, a oko mu zabłysło, jakby był gotów od razu odpowiedzieć na wyzwanie.

Portos też wstał, jak zwykle gotów do bitki.

— Powoli, powoli — odezwał się z wciąż tą samą zimną krwią d'Artagnan — nie śpieszmy się, bo przecież każdy z nas pragnie, by cała rzecz odbyła się według wszelkich prawideł. Siadaj więc, drogi Portosie, i ty, panie Mordaunt, nie gorączkuj się, bardzo proszę. Ułożymy wszystko jak najlepiej; będę z tobą szczery. Przyznaj, panie Mordaunt, że miałbyś wielką ochotę niejednego z nas zabić.

— Nie jednego, lecz wszystkich — odparł Mordaunt.

D'Artagnan zwrócił się do Aramisa i rzekł:

— Wielkie to szczęście, przyznasz chyba, drogi Aramisie, że panu Mordaunt tak dobrze są znane arkana francuskiej mowy; przynajmniej nie będzie między nami nieporozumień i wszystko ułożymy ku obustronnemu zadowoleniu.

Po czym zwracając się do Mordaunta, ciągnął:— Drogi panie Mordaunt, wiedz, że ci panowie odpłacają wzajemnie twoje dobre chęci i że także byliby radzi cię zabić. Powiem ci coś więcej, prawdopodobnie cię zabiją, ale w sposób godny prawego szlachcica; żeby zaś dowieść ci, że tak właśnie rzecz się ma — proszę, stawaj.

To mówiąc d'Artagnan rzucił kapelusz na dywan, odsunął swe krzesło pod ścianę, skinął na przyjaciół, żeby tak samo postąpili, i kłaniając się Mordauntowi z istic francuską dwornością, rzekł:

— Jestem na twoje rozkazy, mój panie, gdyż jeśli nie masz nic przeciwko temu, ja chcę mieć honor bić się z tobą pierwszy, proszę ciebie. Moja szpada jest krótsza od twojej, to prawda, ale nic to; spodziewam się, że ramię uzupełni szpadę.

— Stójcie — rzekł Portos podchodząc — ja zaczynam i szkoda próżnego gadania.

— O nie, pozwól, Portosie — rzekł Aramis.

Atos nie ruszył się. Rzekłbyś, że to posąg; wydawało się, że już nawet nie oddycha.

— Panowie, panowie — odezwał się d'Artagnan — nie gorączkujcie się, po kolei każdy zdąży. Spójrzcie w oczy panu Mordaunt, a wyczytacie z nich, ile w nim wzbudzamy błogosławionej nienawiści. Patrzcie, jak zręcznie dobył szpady. Podziwiajcie, jak przezornie rozgląda się dokoła, czy aby nie napotka gdzie przeszkody, która by mu utrudniła uskakiwanie. No, proszę, czyż to wszystko nie dowodzi wam niezbicie, że pan Mordaunt jest szermierzem wyśmienitym i że szybko zajmiecie moje miejsce, bylebym dał mu okazję się

wykazać? Więc nie ruszajcie się, proszę, jak Atos, którego spokój zalecam wam jako ze wszech miar naśladowania godny, i zostawcie mnie pierwszeństwo, które mi się należy. A zresztą — ciągnął, groźnym gestem dobywając szpady — ja mam najwięcej porachunków z tym panem i ja zacznę. Tak pragnę, tak chcę. Po raz pierwszy d'Artagnan odezwał się tymi słowami do swych przyjaciół. Do tej pory wymawiał je jedynie w myśli.

Portos cofnął się, Aramis wsunął sobie szpadę pod pachę; Atos siedział nieruchomo w ciemnym pokoju, zgoła nie taki spokojny, jak d'Artagnan mniemał; z trudem oddychał.

— Schowaj szpadę do pochwy, kawalerze — powiedział d'Artagnan do Aramisa — pan Mordaunt mógłby cię posądzić o zamiary, których nie masz.

Po czym zwrócił się do Mordaunta.

— Proszę — rzekł. — Czekam na pana.

— A ja was podziwiam, panowie — odparł Mordaunt. — Sprzeczacie się, który pierwszy ma się ze mną bić, ale mnie nie pytacie o zdanie, mnie, którego jakby się zdawało, też to wszystko cokolwiek obchodzi. Wszystkich czterech was nienawidzę, to prawda, ale w różnym stopniu. Spodziewam się, że was wszystkich czterech zabiję, ale mam więcej widoków na zabicie pierwszego niż na zabicie drugiego, drugiego niż trzeciego, a trzeciego niż ostatniego z was. Domagam się więc, byście mi dali prawo wybrać sobie przeciwnika. Jeśli mi tego odmówicie, proszę, zamordujcie mnie, nie będę się bił.

Czterej przyjaciele spojrzeli po sobie.

— Ma słuszość — zgodzili się Portos i Aramis, bo i ten, i ten spodziewał się, że wybór na niego padnie.

Atos i d'Artagnan nic nie rzekli, lecz milczeniem swym wyrazili zgodę.

— A zatem — odezwał się Mordaunt wśród głębokiej i uroczystej ciszy, jaka panowała w tym tajemniczym domu — a zatem na pierwszego przeciwnika wybieram sobie tego z was, który czując się niegodny nosić nazwisko hrabiego de La Fere, sam się nazwał Atosem.

Atos podniósł się z krzesła, jakby jakaś sprężyna postawiła go na nogi. Przez chwilę stał bez ruchu, milcząc, wreszcie, ku wielkiemu zdziwieniu przyjaciół, odezwał się potrząsając głową:

— Panie Mordaunt, pojedynek między nami dwoma jest niemożliwy; uczyni komu innemu zaszczyt, któryś dla mnie przeznaczył.

I na powrót usiadł.

— Aha — rzekł Mordaunt. — Jeden już się zląkł, jak widzę.

— Do stu piorunów! — krzyknął d'Artagnan doskakując do młodzika — kto tu śmiało powiedzieć, że Atos się zląkł?

— Niech mówi, d'Artagnan — wtrącił Atos z uśmiechem pełnym smutku i pogardy.

— Czy jest to twoje postanowienie, Atosie? — zapytał d'Artagnan.

— Nieodwołalne.

— Cóż, dobrze, zatem nie mówmy już o tym.

I znów się zwrócił do Mordaunta.

— Słyszysz, panie Mordaunt — rzekł — że hrabia de La Fere nie chce cię zaszczyścić pojedynekowaniem się z tobą. Wybierz sobie zamiast niego któregoś z nas.

— Skoro nie będę się z nim bił — odparł Mordaunt — jest mi wszystko jedno. Włóżcie kartki z waszymi nazwiskami do kapelusza — będę ciągnął na chybił trafił.

— Myśl jest niezła — rzekł d'Artagnan.

— Rzeczywiście, w ten sposób nikt nie będzie się czuł pokrzywdzony — stwierdził Aramis.

— Nigdy bym nie wpadł na coś podobnego — ozwał się Portos — a przecież to takie proste!

— Dalej, Aramisie — ciągnął d'Artagnan — wypisz nam kartki tym swoim zgrabnym, drobniutkim pismem, którym ostrzegałeś w liście Marię Michon, że matka tego pana ma zamiar zamordować lorda Buckingham.

Mordaunt zniósł bez mrugnięcia okiem tę nową zaczepkę. Stał skrzyżowawszy ramiona i wydawał się tak spokojny, jak tylko może być spokojny człowiek znajdujący się w podobnych okolicznościach. Jeśli nie była to odwaga, była to przynajmniej duma, która jest wielce do odwagi podobna.

Aramis podszedł do Cromwellońskiego biurka, urwał trzy paski papieru jednakowej wielkości, na jednym napisał swoje nazwisko, na dwóch innych nazwiska swoich towarzyszy i wszystkie trzy, jeszcze rozwinięte, pokazał Mordauntowi, który nie czytając skinął głową na znak, że mu całkowicie ufa, po czym, zwinąwszy paski, włożył je do kapelusza i podsunął młodzieńcowi.

Mordaunt sięgnął ręką, wyjął jeden z trzech zwitków i nie czytając, pogardliwie rzucił go na stół.

A, padalec! — szepnął w duchu d'Artagnan. — Oddałbym moje wszystkie nadzieje na stopień kapitana muszkietarów, żeby na tej kartce znajdowało się moje nazwisko!

Aramis rozwinął kartkę, a choć udawał spokój i obojętność, słyszano, że głos mu aż drży z nienawiści i pragnienia.

— D'Artagnan — odczytał.

D'Artagnan z radości aż krzyknął.

— O! Więc jest sprawiedliwość w niebie!

Po czym zwrócił się do Mordaunta.

— Spodziewam się, panie Mordaunt — rzekł — że teraz nie masz żadnych zastrzeżeń.

— Żadnych, panie d'Artagnan — odparł Mordaunt dobywając szpady i opierając sobie jej ostrze o but.

Skoro d'Artagnan nabrał pewności, że jego pragnienie spełni się i że mu się Mordaunt nie wymknie, stał się znów spokojny, opanowany i ze zwykłą sobie w takich razach powolnością zaczął się szykować do tej poważnej przeprawy, która się zowie pojedynkiem. Odwinął mankiety, podeszwą prawego buta zmacał podłogę, lecz wszystko to nie przeszkodziło mu zauważyć, że Mordaunt

po raz drugi rozejrzał się dokoła jakimś podejrzanym spojrzeniem, które raz już muszkietier był w przelocie pochwycił.

— Czyś gotów, panie Mordaunt? — zapytał wreszcie.

— To ja na pana czekam — odparł Mordaunt podnosząc głowę i kierując na d'Artagnana wzrok, którego wyrazu nie sposób opisać.

— Zatem pilnuj się — rzekł Gaskończyk — bo dość biegle władam szpadą.

— Ja też — rzekł Mordaunt.

— Tym lepiej, będę miał spokojniejsze sumienie. No, stawaj.

— Chwileczkę — rzekł młodzieniec — zobowiążcie się pod słowem, panowie, że będziecie nacierali kolejno, jeden po drugim.

— Czy po to się tego domagasz, żeby mieć przyjemność nas znieważać, ty padalcze? — zapytał Portos.

— Nie, żeby mieć spokojniejsze sumienie, jak to powiedział przed chwilą pan d'Artagnan.

— Coś się w tym innego kryje — szepnął d'Artagnan potrząsając głową i rozglądając się dokoła z pewnym zaniepokojeniem.

— Słowo szlachcica — powiedzieli równocześnie Aramis i Portos.

— W takim razie, panowie — rzekł Mordaunt — stańcie łaskawie w którymś z rogów, jak to zrobił pan hrabia de La Fere, który choć bić się nie chce, zna jednak, jak widzę, reguły walki, i dajcie nam miejsce; będzie go nam potrzeba.

— Dobrze — rzekł Aramis.

— Tyle ceregieli! — mruknął Portos.

— Odejdźcie w róg pokoju, panowie — rzekł d'Artagnan. — Nie należy dawać temu panu najmniejszej okazji do postponowania nas, a coś mi się wydaje, że ma na to, za przeproszeniem, szczerą ochotę.

Ta nowa kpina nie wywarła najmniejszego wrażenia na Mordauncie.

Portos i Aramis stanęli w rogu przeciwnym do tego, w którym siedział Atos, zostawiając zapaśnikom środek pokoju. D'Artagnan i Mordaunt stali obaj

w pełnym świetle, gdyż dwie lampy przyświecające tej scenie znajdowały się na biurku Cromwella. Rozumie się samo przez się, że im dalej od biurka — źródła światła — tym było ciemniej.

— Zaczynajmy — rzekł d'Artagnan. — Czyś gotów wreszcie?

— Czekam — odrzekł Mordaunt.

Obydwaj równocześnie posunęli się o krok ku sobie i szpady ich spotkały się ze szczękiem.

D'Artagnan był nazbyt wyborowym szermierzem, żeby się bawić w macanie przeciwnika, jak to się mówi w akademickim języku. Zaatakował świetnym i szybkim sztychem. Mordaunt odparował cios.

— O! — stwierdził uśmiechając się d'Artagnan.

Lecz czasu nie tracił i widząc, że przeciwnik odsłonił się, natarł nań drugim sztychem, prostym, szybkim, do błyskawicy podobnym.

Mordaunt odbił cios ruchem tak nieznacznym, że zmieściłby się w panińskim pierścionku.

— Widzę, że się zabawimy — rzekł d'Artagnan.

— Owszem — szepnął Aramis — ale bawiąc się tak, bądź ostrożny.

— Na krew Pańską, przyjacielu, uważaj — rzekł Portos.

Teraz Mordaunt się uśmiechnął.

— Ależ ty masz szpetny uśmiech, mój panie — rzekł d'Artagnan. — To diabeł nauczył cię uśmiechać się w taki sposób, prawda?

Mordaunt za całą odpowiedź spróbował wyłuskać d'Artagnanowi szpadę z siłą, jakiej Gaskończyk nie spodziewał się znaleźć w tym wątym na pozór ciele. Lecz d'Artagnan, odparowując cięcie ze zwinnością równą zwinności przeciwnika, w porę osłonił się i szpada Mordaunta ześliznęła się po jego szpadzie, nie dotknąwszy piersi.

Mordaunt szybko cofnął się o krok.

— A, cofasz się — rzekł d'Artagnan — odwracasz? Jak chcesz, ja na tym tylko zyskam: przynajmniej nie będę oglądał twojego szkaradnego uśmiechu.



Pan kawaler skrył się w cieniu, tym lepiej. Pewnie nawet nie wyobrażasz sobie, jakie fałszywe masz spojrzenie, a szczególnie kiedy cię strach obleci. Popatrz no w moje oczy, a zobaczysz coś, czego nigdy ci nie pokaże twoje odbicie w lustrze, czyli wzrok uczciwy i szczery.

Mordaunt ani sylabą nie odpowiedział na ten zalew słów, jakim d'Artagnan — nie całkiem stosując się w tym względzie do nakazów dobrego smaku — zwykł był z zasady rozpraszać uwagę swego przeciwnika, lecz wciąż uskakiwał, wciąż się po trochu obracał i wreszcie udało mu się tym sposobem zamienić z d'Artagnanem na miejsca.

Coraz bardziej się uśmiechał. Ten uśmiech zaniepokoił wreszcie Gaskończyka.

— No, dość już, trzeba z tym skończyć — rzekł — hultaj ma ściegna z żelaza, trzeba natrzeć ostrzej.

I teraz on z kolei zaczął atakować Mordaunta, który wciąż się cofał, lecz wyraźnie przez taktykę, nie popełniając ani jednego błędu, z którego mógłby skorzystać d'Artagnan, nie odsłoniwszy się ani na chwilę. A ponieważ pojedynki odbywał się w pokoju i przeciwnicy miejsca nie mieli wiele, noga Mordaunta dotknęła wkrótce ściany, o którą oparł się też i lewą ręką.

— O, tym razem już mi się nie cofniesz więcej, przyjacielu — rzekł d'Artagnan. — Panowie — ciągnął zaciskając wargi i ściągając brwi — czy widzieliście kiedy przygwożdżonego do ściany skorpiona? Nie? No to go zobaczycie.

I nim upłynęła sekunda, zadał Mordauntowi trzy straszliwe pchnięcia. Wszystkie trzy dosięgły, ledwie jednak drasnawszy. D'Artagnan już sam nie rozumiał, skąd ta siła. Trzej przyjaciele przyglądali się sapiąc z przejęcia i pot im wystąpił na czoło.

Wreszcie d'Artagnan, który się przysunął za blisko, cofnął się o krok, żeby się przyszykować do czwartego ciosu, a raczej, żeby go zadać; bo dla d'Artagnana robienie szpada było, jak i gra w szachy, jedną wielką kombinacją,

w której wszystkie ruchy łączyły się ze sobą w jedną całość. Lecz kiedy po szybkiej i krótkiej fincie jeszcze zajadlej zaatakował błyskawicznym ciosem, ściana jakby się rozstąpiła. Mordaunt znikł w otworze, a szpada d'Artagnana uwięzła między krawędziami zatrzaszkującej się pułapki i pękła, jakby była szklana.

D'Artagnan cofnął się o krok. Ściana zamknęła się.

Mordaunt broniąc się tak manewrował, by się oprzeć plecami o ukryte drzwi, przez które, jak widzieliśmy, wyszedł był Cromwell. Przysunąwszy się do ściany, lewą ręką zmacał i nacisnął guzik, po czym znikł, jak znikają w teatrze złe duchy obdarzone władzą przenikania skroś ścian.

Gaskończyk zaklął z furją, na co z przeciwległej strony żelaznej tafli odpowiedział chichot, dziki i złowieszczy, który przejął dreszczem nawet i sceptyka Aramisa.

— Do mnie, panowie! — krzyknął d'Artagnan. — Wyważmy te drzwi!

— To szatan wcielony! — rzekł Aramis biegnąc na wezwanie przyjaciela.

— Wymyka się nam, do kroćset, wymyka! — zawołał Portos napierając swymi szerokimi barami na przepierzenie, które nie drgnęło, podtrzymane jakimś sekretnym mechanizmem.

— Tym lepiej — szepnął głucho Atos.

— A przecież się domyślałem, do kaduka! — mówił d'Artagnan, jeszcze mocując się nadaremnie ze ścianą — przecież domyślałem się. Kiedy ten hultaj zaczął obchodzić wkoło pokój, podejrzewałem, że to manewr, odgadłem, że coś niecnego knuje. Ale kto mógłby się domyślić czegoś podobnego!

— To okropne nieszczęście, a zesłał je na nas jego przyjaciel szatan! — zawołał Aramis.

— To jawne szczęście i od Boga dane — odezwał się Atos z nie skrywaną radością.

— Na honor! — odparł mu d'Artagnan, wzruszając ramionami i odchodząc od drzwi, które ani rusz nie chciały ustąpić — nie poznaję cię, Atosie. Jakże

możesz mówić takie rzeczy takim jak my ludziom, do kroćset! Czyżbyś nie rozumiał położenia?

— Jak to, jakiego znów położenia? — zapytał Portos.

— W takiej grze, kto nie zabije, ten ginie — odparł d'Artagnan. —

Czyżbyś sobie umyślił, mój drogi, w swoim pokutnym lamencie, że mamy się stać ofiarami synowskiej miłości pana Mordaunta? Wyznaj szczerze, jeśli tak uważasz.

— D'Artagnan, przyjacielu mój, co mówisz?!

— Bo prawdę rzekłszy, aż przykro cię słuchać. Łotr naśle tu na nas stu gwardzistów, którzy nas utłuką na proszek w tym móźdierzcu pana Cromwella. Szybko, zabierajmy się stąd; jeśli zostaniemy tu jeszcze przez pięć minut, będzie po nas.

— Tak, masz słusność, ruszajmy — powtórzyli Atos i Aramis.

— A dokąd pójdziemy? — zapytał Portos.

— Do gospody, przyjacielu, po nasze manatki i po konie, a stamtąd, jeśli Bóg pozwoli, do Francji, gdzie przynajmniej architektura domów jest mi znana. Nasz statek czeka. Na honor, i tak mamy jeszcze szczęście!

I d'Artagnan, myśl w czyn wprowadzając, wsunął do pochwy kikut złamanej szpady, podniósł z podłogi kapelusz, otworzył drzwi na schody i zbiegł z nich pierwszy, a za nim trzech jego towarzysze.

Za drzwiami zbiegowie spotkali służących i zapytali ich o Mordaunta, ale służący nie widzieli, żeby ktoś wychodził.

## 28. Żaglowiec „Błyskawica”

D'Artagnan trafnie odgadł: Mordaunt nie miał czasu do stracenia i nie tracił go. Poznał już szybkość decyzji i działania swoich wrogów i wyciągnął stąd odpowiednie wnioski. Tym razem muszkietierowie natrafili na godnego siebie przeciwnika.

Starannie zamknąwszy za sobą drzwi, Mordaunt zsunął się w podziemie, wkładając do pochwy już niepotrzebną szpadę, i dopadłszy sąsiedniego domu, przystanął, żeby się obmacać i zaczerpnąć tchu.

— Dobrze — rzekł — nic, prawie nic, draśnięcia, dwa w ramię, jedno w pierś. Rany zadawane moją ręką są lepsze. Kto nie wierzy, niech zapyta kata z Bethune, mego stryja de Wintera i króla Karola. Teraz nie ma ani sekundy do zmarnowania, bo jedna zmarnowana sekunda może mogłaby ich ocalić, a trzeba, żeby zginęli wszyscy czterej razem, od jednego zamachu, trafieni ludzkim gromem w braku boskiego gromu. Trzeba, żeby zginęli bez śladu, unicestwieni, obrócenii w pył. Biegnijmy więc, bo choćby mi nogi odmówić miały posłuszeństwa, choćby mi serce w piersi miało pęknąć, muszę zdążyć przed nimi.

I Mordaunt ruszył szybkim, ale miarowym krokiem do najbliższych koszar, kawaleryjskich, odległych o jakie ćwierć mili. Przebiegł te ćwierć mili w niespełna pięć minut.

Przyszedłszy do koszar, dał się poznać, wziął najlepszego konia ze stajni, wskoczył na siodło i wyjechał na trakt. W kwadrans później był już w Greenwich.

— Oto i port — szepnął — ten ciemny punkt, tam, to Wyspa Psia. Dobrze! Wyprzedziłem ich o jakie pół godziny... o godzinę, być może. Głupiec ze mnie; małom się nie udławił gnając jak wariat. Teraz — dodał stając w strzemionach,

jakby chciał coś wypatrzyć w dali wśród tej gmatwaniny olinowań i masztów — “Błyskawica”, gdzie jest “Błyskawica”?!

A kiedy w myśli wymawiał te słowa, jakby w odpowiedzi na nie człowiek jakiś, leżący na kupie lin, wstał i zrobił kilka kroków w kierunku Mordaunta.

Mordaunt wyjął z kieszeni chustkę i poruszył nią w powietrzu. Człowiek przypatrywał się temu uważnie, ale stał w tym samym miejscu, nie ruszając się ani w przód, ani w tył.

Mordaunt zawiązał supelki na wszystkich rogach chustki, nieznajomy zbliżył się. Taki był, jak pamiętamy, umówiony znak. Marynarz ten miał na sobie wełnianą opończę, która całkiem zakrywała jego postać i zasłaniała twarz.

— Czy nie przybywasz przypadkiem z Londynu, panie, żeby się przejechać po morzu? — odezwał się.

— Tak, umyślnie po to przybyłem — odparł Mordaunt — chciałbym pojechać na Psią Wyspę.

— Ślicznie. I masz zapewne, panie, swoje wymagania? Chciałbyś wybrać sobie taki a nie inny statek, prawda? Chciałbyś mieć statek zwinny, szybki...

— Jak błyskawica! — odpowiedział Mordaunt.

— W takim razie szukasz, panie, mojego statku. Ja jestem tym szyprem, którego ci trzeba.

— Zaczynam w to wierzyć — rzekł Mordaunt — a uwierzę do reszty, jeśli się przekonam, żeś nie zapomniał, jaki jest znak rozpoznawczy.

— Oto on, panie — rzekł marynarz, wyjmując z kieszeni swojej opończy chustkę z węzełkami na czterech rogach.

— W porządku! — zawołał Mordaunt zeskakując z konia. — A teraz nie ma czasu do stracenia. Każ odprowadzić mojego konia do pierwszej lepszej oberży i wiedz mnie na statek.

— A pańscy towarzysze? — zapytał marynarz. — Mniemałem, że będzie was czterech, nie licząc służących.

— Posłuchaj — rzekł Mordaunt podchodząc do marynarza — nie jestem

tym, na kogo czekasz, jak i ty nie jesteś tym, kogo spodziewają się tu zastać tamci ludzie. Jesteś tu zamiast kapitana Roggersa, prawda? Jesteś tu z rozkazu generała Cromwella, a ja od niego przybywam.

— Rzeczywiście — rzekł szyper — poznaję cię, panie, jesteś kapitanem Mordaunt.

Mordaunt zadrżał.

— O, nie lękaj się — rzekł szyper odsuwając z głowy kaptur, jestem twoim przyjacielem.

— Kapitan Groslow! — zawołał Mordaunt.

— We własnej osobie. Generał przypomniał sobie, że byłem niegdyś oficerem marynarki, i mnie powierzył tę ekspedycję. Czyżby się coś zmieniło?

— Nie, nie. Przeciwnie, wszystko odbędzie się tak, jak zostało ustalone.

— Bo przez chwilę myślałem sobie, że śmierć króla...

— Śmierć króla tylko przyśpieszyła ich ucieczkę. Będą tu za kwadrans, może już za dziesięć minut.

— Więc po co ty tu przybyłeś, panie?

— Żeby razem z tobą zabrać się na statek.

— O, czyżby generał mi nie ufał?

— Nie, ale chcę osobiście dopilnować swojej zemsty. Czy nie masz tu kogo, kto by mógł się zająć moim koniem?

Groslow gwizdnął; pojawił się jakiś marynarz.

— Patryku — rzekł Groslow — zaprowadź tego konia do stajni przy najbliższej oberży. Jeśliby pytali, do kogo należy, powiedz, że do pewnego irlandzkiego szlachcica.

Marynarz odszedł, posłusznie wypełniając rozkaz.

— Czy się nie boisz, że mogliby cię poznać? — zapytał Mordaunt.

— Nie ma obawy, nie poznają mnie w tym przebraniu, w tej opończy i w tych ciemnościach, że choć oko wykol. Zresztą ty sam, panie Mordaunt, nie poznałeś mnie; tym bardziej oni mnie nie poznają.

— Racja — rzekł Mordaunt. — Zresztą będą dalecy od myśli, że mogliby tu spotkać właśnie ciebie. Wszystko gotowe, prawda?

— Tak.

— Ładunek już jest na statku?

— Tak.

— Pięć pełnych beczek?

— I pięćdziesiąt pustych.

— Znakomicie.

— Wieziemy wino porto do Anvers.

— Świetnie. Teraz mnie odwieziesz na pokład i wrócisz tutaj, bo już wkrótce nadjadą.

— Jestem gotów.

— Ważna rzecz, żeby żaden z twoich ludzi nie widział, że wsiadam na statek.

— Na pokładzie mam tylko jednego majtka, za którego rękę jak za samego siebie. Zresztą on cię nie zna i jak i jego towarzysze, posłucha każdego naszego rozkazu, ale o niczym nie wie.

— To dobrze. Chodźmy.

Zeszli na sam brzeg Tamizy. Przy brzegu stała łódka przycumowana żelaznym łańcuchem do palika. Grosłow przyciągnął łódź, przytrzymał w równowadze, kiedy Mordaunt wchodził do niej, po czym sam z kolei skoczył, natychmiast chwycił za wiosła i zaczął nimi manewrować bardzo zręcznie, chcąc dowieść Mordauntowi, że powiedział prawdę, czyli że nie zapomniał swego żeglarskiego rzemiosła.

Po pięciu minutach wydobyli się z gęstwiny statków, które już wówczas były liczne w sąsiadujących z Londynem przystaniach, i Mordaunt mógł dojrzeć żaglowiec do ciemnego punktu podobny, który się kołysał na kotwicy w odległości czterech do pięciu kabli od Psiej Wyspy.

Zbliżywszy się do “Błyskawicy”, Grosłow gwizdnął w szczególny sposób i

zza burty wychyliła się ludzka głowa.

— Czy to ty, kapitanie? — zapytano z pokładu.

— Tak, rzucaj drabinę.

I Groslow, zwinnie i lekko jak jaskółka przesunawszy się pod fokmasztem, stanął obok marynarza.

— Wejdz, panie — odezwał się do swego towarzysza w łodzi. Mordaunt, nie odpowiadając, schwycił się sznura i wdrapał na pokład ze zręcznością i odwagą rzadko spotykaną u szczerów lądowych; pragnienie zemsty zastąpiło wprawę i uczyniło go do wszystkiego zdolnym.

Jak Groslow przewidywał, marynarz pełniący wachtę na pokładzie “Błyskawicy” zdawał się w ogóle nie spostrzec, że jego szyper wrócił nie sam.

Mordaunt i Groslow poszli do kapitańskiej kajuty. Kajuta ta została na pokładzie sklecona naprędce z desek.

Na statku było wygodniejsze pomieszczenie, ale kapitan Roggers odstąpił je był swoim pasażerom.

— A gdzie oni będą? — zapytał Mordaunt.

— W drugim końcu statku — odpowiedział Groslow.

— A tu nie zajrzą aby?

— Nie, nie mieliby po co.

— Świetnie. Ukryję się w twojej kajucie. Wracaj do Greenwich i sprowadź ich. Czy masz szalupę?

— Tę, którą przyjechaliśmy.

— Wydała mi się lekka i solidna.

— To najprawdziwsza piroga.

— Przywiąż ją do rufy konopną liną i włóż do środka wiosła; niech płynie za statkiem. Żeby dość było tylko linę przeciąć. Zaopatrz szalupę w rum i suchary. Jeśliby nam pogoda nie sprzyjała, twoi ludzie będą zadowoleni mając się czym pożywić.

— Stanie się tak, jak każesz, panie. Czy chcesz obejrzeć prochownię?



— Nie teraz, jak wrócisz. Chcę sam założyć lont, żeby mieć pewność, że nie będzie się za długo tlił. Lecz przede wszystkim ukryj dobrze twarz, żeby cię nie poznali.

— Bądź spokojny.

— Idź już, dziesiąta bije w Greenwich.

Rzeczywiście, dziesięć uderzeń dzwonu zabrzmiało ponuro w powietrzu, ciężkim od chmur, które się przetaczały nisko po niebie, niby bałwany jakiegoś milczącego morza.

Groslow zatrzasnął za sobą drzwi, które Mordaunt zamknął od środka, i rozkazawszy stojącemu na wachcie marynarzowi, żeby dobrze czuwał i uważał na wszystko, zszedł do łodzi i odpłynął wiosłując tak energicznie, że aż się piana tworzyła ha wodzie.

Kiedy Groslow przybił do wybrzeża Greenwich, wiał zimny wiatr, a przystań była pusta; wiele statków już odjechało z odpływem. Wysiadając na brzeg, usłyszał coś niby tętent koni galopujących po brukowanym kamieniami trakcie.

— Oho! — rzekł — Mordaunt słusznie mnie przynaglał. Czasu nie było wiele: to oni.

Rzeczywiście, byli to nasi przyjaciele, a raczej ich przednia straż składająca się z d'Artagnana i Atosa. Kiedy dojechali do miejsca, w którym stał Groslow, zatrzymali się, jakby odgadli, że właśnie do niego powinni się zwrócić. Atos zsiadł z konia, spokojnie wyciągnął chustkę z supełkami na czterech rogach i pomachał nią, d'Artagnan zaś, jak zawsze ostrożny, wychylił się z siodła sięgając ręką do olster.

Groslow, nie będąc pewny, czy ci jeźdźcy są rzeczywiście ludźmi, na których czekał, przycupnął był za jednym z wkopanych w ziemię kozłów do zwijania lin, które się tam znajdowały, a ujrzawszy umówiony znak, podniósł się i śmiało podszedł do dwóch szlachciców. Tak szczelnie owinał się w swoją opończę, że niepodobieństwem było dojrzeć jego twarzy. Noc zresztą stała się

tak ciemna, że była to zbyt ostrożność.

Jednakże przenikliwe oko Atosa pomimo ciemności spostrzegło, że to nie Roggers stoi przed nimi.

— Czego chcesz? — zapytał Grosłowa cofając się o krok.

— Chcę ci powiedzieć, milordzie — odparł Grosłow podrabiając akcent irlandzki — że wiem, iż szukasz szypra Roggersa, ale szukasz go daremnie.

— Jak to? — zapytał Atos.

— Dziś rano spadł z bocianiego gniazda i złamał sobie nogę. Ale ja jestem jego kuzynem; opowiedział mi wszystko i zlecił, bym zamiast niego przyjął i zawiózł tam, dokąd tylko zechcą, szlachciców, którzy pokażą mi chustkę z węzełkami na czterech rogach, taką właśnie jak ta, którą ty trzymasz w ręku, i ta, którą ja mam w kieszeni.

Mówiąc tak Grosłow wyjął z kieszeni chustkę, tę samą, którą przedtem pokazał był Mordauntowi.

— To już wszystko? — zapytał Atos.

— Nie wszystko, milordzie, bo jeszcze zostaje siedemdziesiąt pięć funtów, obiecanych mi, kiedy was wysadzę zdrowych i całych w Boulogne albo innym porcie we Francji, który mi wskażecie.

— Co ty o tym sądzisz, d'Artagnanie? — zapytał Atos po francusku.

— Najpierw powtórz, co on powiedział — odparł d'Artagnan.

— Racja — rzekł Atos — zapomniałem, że nie rozumiesz po angielsku.

I powtórzył d'Artagnanowi swoją rozmowę z marynarzem.

— Wygląda mi to dość prawdopodobnie — rzekł Gaskończyk.

— I mnie także — rzekł Atos.

— Zresztą — powiedział d'Artagnan — jeśli ten człowiek nas zwodzi, zawsze zdążymy palnąć mu w łeb.

— A kto nas zawiezie do Francji?

— Ty, Atosie; umiesz tyle rzeczy, że nie uwierzę, byś nie umiał poprowadzić statku.

— Na honor! — odparł Atos uśmiechając się żartobliwie — nie o wiele omyliłeś się, przyjacielu; ojciec przeznaczał mnie niegdyś do służby w marynarce i mam jakie takie pojęcie o sterowaniu okrętem.

— A widzisz! — zawołał d'Artagnan.

— Jedź więc po naszych przyjaciół, d'Artagnan, bo już jedenasta, trzeba się śpieszyć.

D'Artagnan zawrócił po dwóch jeźdźców, którzy z pistoletami w garści przystanęli na straży przy pierwszych domach miasta, w pobliżu jakiejś szopy, i czekali pilnując, czy ktoś nie nadjeżdża traktem. Pod ścianą szopy skryli się trzej inni jeźdźcy i też wydawali się czekać pilnując drogi.

Dwie czujki z traktu byli to Portos i Aramis.

Trzej czekający pod szopą byli to Muszkiet, Blaisois i Milczek. Milczek jednak temu, kto mu się przyjrzał z bliska, ukazywał się w dwuosobowej postaci, siedział bowiem za nim na siodle Parry, który miał odprowadzić do Londynu konie muszkietarów i konie ich służących, oddane oberżyscie na pokrycie długów, które trzeba było wyrównać. Dzięki tej handlowej transakcji czterej przyjaciele mogli zabrać w drogę pewną sumę, jeśli nie pokażną, to przynajmniej wystarczającą w razie opóźnienia czy innych nieprzewidzianych przypadków, jakie mogły ich zaskoczyć w podróży.

D'Artagnan podjechał do Portosa i Aramisa i powiedział im, żeby za nimi poszli, po czym skinęli na służących, rozkazując im zsiąść z koni i zabrać tłumoki.

Parry nie bez żalu rozstał się z przyjaciółmi. Namawiali go, żeby jechał z nimi do Francji, ale stanowczo odmówił.

— Prosta sprawa — powiedział Muszkiet — chce się porachować z Grosłowem.

Jak pamiętamy, kapitan Grosłow rozplątał mu głowę.

Ruszyli do Atosa, który na nich czekał. A tymczasem w d'Artagnanie znów ocknęła się przyrodzona nieufność; wybrzeże wydało mu się za puste, noc za

ciemna, szyper za grzeczny.

Opowiedział Aramisowi, jak się odbyło spotkanie z marynarzem, a Aramis, nieufny nie mniej niż przyjaciel, jeszcze przyczynił się do wzrośnięcia jego wątpliwości.

Gaskończyk lekkim cmoknięciem ostrzegł Atosa o swych niepokojach.

— Nie mamy czasu na podejrzliwość — rzekł Atos. — Łódź czeka, wsiadajmy.

— Zresztą — odezwał się Aramis — podejrzliwość nie zabrania nam wsiąść do łodzi; będziemy pilnowali szypra.

— A jeśliby zaczął kręcić, dam mu w łeb. I już.

— Masz rację, Portosie — rzekł d'Artagnan. — Zatem wsiadajmy. Ruszaj, Muszkiecie!

I d'Artagnan zatrzymał przyjaciół, przepuszczając najpierw służących, żeby wypróbowali kładkę przerzuconą z krawędzi wybrzeża do łodzi.

Trzej służący przeszli bez wypadku.

Za nimi przeszedł Atos, potem Portos, potem Aramis, a na ostatku d'Artagnan, który wciąż nieufnie kręcił głową.

— Co ci się, u licha, stało, przyjacielu? — pytał Portos. — Masz taką minę, że zląkłby się sam Cezar.

— Dziwny port, w którym nie ma żadnych urzędników, żadnych celników, żadnych straży.

— I to cię trapi? — rzekł Portos. — Przecież wszystko idzie jak po maśle.

— Za dobrze idzie, Portosie. Zresztą, co tam, zdajmy się na boską opiekę.

Kładkę zabrano, szyper siadł przy sterze i skinął na jednego z marynarzy, a ten, z pomocą bosaka, zaczął wyprowadzać łódź z labiryntu statków, w który się zapuściła.

Drugi majtek już czekał z lewej strony łodzi, trzymając wiosło.

Kiedy można już było wiosłować, jego towarzysz usiadł przy nim i łódź popłynęła szybciej.

— Nareszcie odjeżdżamy — rzekł Portos.

— Niestety — odparł hrabia de La Fere — odjeżdżamy sami.

— Prawda, ale wszyscy czterej razem i nawet nie draśnięci. Zawszeć to jakaś pociecha.

— Jeszcze nie dojechaliśmy — rzekł d'Artagnan — kto wie, kogo jeszcze spotkamy.

— E, mój kochany — rzekł Portos — jesteś jak kruk, wciąż kraczesz i kraczesz. Kogo mielibyśmy spotkać w tę noc tak ciemną, że już z odległości dwudziestu kroków nic nie widać?

— Tak, ale jutro rano? — odparł d'Artagnan.

— Jutro rano będziemy w Boulogne.

— Pragnę tego całym sercem — rzekł Gaskończyk — i wyznaję szczerze, żem podupał na duchu. Wiesz co, Atosie? Będiesz się śmiać, ale póki można było nas dosięgnąć z muszkietu z wybrzeża albo z zakotwiczonych przy nim statków, wciąż się spodziewałem, że nas tu co do nogi wytłucze jakaś okrutna strzelanina.

— Przecież tak nie mogło być — odezwał się Portos w swej wzruszającej prostocie ducha — bo razem z nami zabiliby i szypra, i majtków.

— A jużci, Mordaunt akurat liczyłby się z tym! Myślisz, że taki z niego skrupulant?

— Ale sprawiło mi satysfakcję — rzekł Portos — że d'Artagnan przyznał się, iż go strach obleciał.

— Nie tylko przyznaję się do tego, ale nawet się tym chlubię. Nie jestem takim nosorożcem jak ty. Hola! A co to?

— “Błyskawica” — rzekł szyper.

— Już przybiliśmy? — zapytał po angielsku Atos.

— Przybijamy — odparł szyper.

Rzeczywiście, po jeszcze kilku ruchach wiosła znaleźli się tuż obok żaglowca.

Marynarz czekał, drabinka była przygotowana; poznał łódź.

Atos wszedł pierwszy, z isticie marynarską zręcznością; Aramis — z wprawą człowieka nawykłego z dawna do sznurowych drabinek i innych mniej i bardziej wymyślnych sposobów pokonywania zakazanych przestrzeni; d'Artagnan jak myśliwy, co nieraz uganiał się za kozicami; Portos — przy użyciu siły, która mu zastępowała wszystko.

Dla służących przeprawa okazała się trudniejsza; nie dla Milczka, istnego dachowego kota, chudego i giętkiego, który potrafił wszędzie się wdrapać, ale dla Muszkiety i dla Blaisois, których majtkowie musieli podsadzać ramionami do wysokości wyciągniętych rąk Portosa, a Portos schwycił ich za kołnierze surdutow i obydwóch postawił na pokładzie.

Kapitan zaprowadził pasażerów do przygotowanej dla nich kajuty, w której mieli wspólnie zamieszkać, po czym chciał odejść, tłumacząc się, że musi jeszcze wydać kilka rozkazów.

— Chwileczkę — rzekł d'Artagnan. — Ile ludzi masz na statku, kapitanie?

— Nie rozumiem — odpowiedział szyper po angielsku.

— Zapytaj go w jego mowie, Atosie.

Atos zapytał o to, czego chciał się dowiedzieć d'Artagnan.

— Trzech — odparł Groslow. — Nie licząc mnie, naturalnie.

D'Artagnan zrozumiał, bo szyper odpowiadając podniósł do góry trzy palce.

— Aha, trzech — rzekł d'Artagnan — zaczynam się stawać spokojniejszy. Mimo to wy się rozgościecie w kajucie, a ja tymczasem obejdę statek.

— Ja zaś — rzekł Portos — zajmę się wieczerzą.

— Projekt jest piękny i szlachetny, wykonaj go, Portosie. Ty zaś, Atosie, pożycz mi Milczka, który od swego przyjaciela Parry'ego nauczył się trochę szwargotać po angielsku; będzie moim tłumaczem.

— Idź, Milczku — rzekł Atos.

Na pokładzie stała latarnia; d'Artagnan wziął ją w jedną rękę, w drugą rękę

wziął pistolet i rzekł do szypra:

— Come.

Come i Goddam<sup>18</sup>, było to już wszystko, co zdołał zapamiętać z angielskiego języka.

D'Artagnan zbliżył się do luku i zszedł pod pokład.

Międypokład podzielony był na trzy części. Ta część, do której d'Artagnan właśnie zszedł, położona między trzecim masztem i rufą, znajdowała się pod podłogą pomieszczenia, w którym Atos, Portos i Aramis już sposobili się do spania. Druga część międzypokładu, zajmująca środek statku, została przeznaczona na mieszkanie dla służących. Trzecia mieściła się pod przednim pokładem, na dziobie, czyli pod skleconą naprędce kajutą dla kapitana, w której się ukrył Mordaunt.

— O! o! — rzekł d'Artagnan, schodząc po schodkach luku i świecąc sobie latarnią trzymaną w ręce wyciągniętej na całą długość ramienia — ileż tu beczek; rzekłbyś: piwnica Ali Baby.

Baśnie z tysiąca i jednej nocy zostały właśnie przetłumaczone po raz pierwszy i były w tej epoce bardzo w modzie.

— Co powiedziałaś, panie? — zapytał po angielsku kapitan.

D'Artagnan z intonacji odgadł, o co mu idzie.

— Chciałbym wiedzieć, co jest w tych beczkach — zapytał stawiając na pierwszej z brzegu latarnię.

Szyper cofnął się ku schodkom, jakby chciał uciec, ale się powściągnął.

— Porto — odpowiedział.

— O, wino porto — rzekł d'Artagnan. — Krzepiąca wiadomość; przynajmniej nie umrzemy z pragnienia.

Po czym zwracając się do Grosłowa, który ocierał z czoła wielkie krople potu, zapytał:

— Czy beczki są pełne?

---

18 Come (ang.) — chodź; Goddam — przekleństwo.

Milczek przetłumaczył pytanie.

— Jedne pełne, inne próżne — odparł Groslow głosem, który pomimo jego wysiłków zdradzał niepokój.

D'Artagnan pukając palcem w beczki stwierdził, że tylko pięć jest pełnych, a reszta pusta, po czym, ku nie słabnącemu przerażeniu Anglika, zaczął zaglądać, świecąc sobie latarnią, między baryłki i stwierdził, że nic tam nie było.

— Chodźmy dalej — rzekł kierując się ku drzwiom prowadzącym do drugiej części międzypokładu.

— Zaraz, zaraz — odezwał się Anglik, który stał z tyłu wciąż wielce niespokojny — drzwi są zamknięte, ja mam klucz.

I szybko wyminąwszy d'Artagnana i Milczka, drżącą ręką włożył klucz w zamek, po czym znaleźli się w drugiej części międzypokładu, gdzie Muszkiet i Blaisois zabierali się właśnie do wieczerzy.

W tym pomieszczeniu na pewno nic się podejrzanego nie kryło; w świetle lampy przyświecającej zacnym biesiadnikom widać było jak na dłoni wszystkie kąty i zakamarki.

Szybko przeszli więc do trzeciej części międzypokładu. Była to kajuta załogi.

Kilka zawieszonych u sufitu hamaków, stół, podtrzymywany podwójną liną na każdym z rogów, dwie spróchniałe i kulawe ławy stanowiły całe umeblowanie. D'Artagnan odchylił dwa czy trzy stare żagle, tuż przy ścianie wiszące, po czym i tu nie znalazłszy nic podejrzanego, wrócił przez luk na pokład.

— A ta komórka? — zapytał. Milczek przetłumaczył Anglikowi słowa muszkietera.

— To moja kajuta — odparł szyper. — Czy chcesz wejść, panie?

— Otwórz drzwi — rzekł d'Artagnan.

Anglik posłusznie otworzył. D'Artagnan wsunął rękę z latarnią przez uchylone drzwi i zajrzał do komórki, a przekonawszy się, jaka jest ciasna, rzekł:



— W porządku, gdyby było na pokładzie jakie wojsko, tu by się nie schowało. Chodźmy, zobaczymy, co Portos przyszykował na wieczerzę.

I skinieniem głowy podziękowawszy szyprowi, wrócił do najparadniejszej kajuty, w której znajdowali się jego przyjaciele.

Portos, jak się zdawało, nic do jedzenia nie znalazł, a jeśli nawet i znalazł, zmęczenie przemogło widać głód, bo kiedy d'Artagnan wszedł, leżał już na płaszczu i spał w najlepsze.

Atos i Aramis, ukołysani łagodnym ruchem pierwszych morskich fal, też już zaczęli drzemać; usłyszawszy, że ich towarzysz wraca, uchylili powiek.

— I co? — zapytał Aramis.

— W porządku — odpowiedział d'Artagnan. — Możemy spokojnie spać.

Wobec tego zapewnienia Aramis znów opuścił głowę. Atos serdecznie skinął swoją na dobranoc, a d'Artagnan, który jak i Portos bardziej potrzebował snu niż jedzenia, odprawił Milczka i położył się na płaszczu, z gołą szpadą pod ręką, w taki sposób, że zatarasował drzwi swoją osobą i każdy, kto by chciał wejść do kajuty, musiałby go trącić.

## 29. Wino porto

Po dziesięciu minutach wszyscy panowie już spali, ale nie spali jeszcze służący, głodni, a przede wszystkim spragnieni.

Blaisois i Muszkiet szykowali sobie posłania składające się z deski i kuferka, a na stole, zawieszonym tak samo jak i stół w kajucie sąsiedniej, kołysały się, razem z całym statkiem, dzban z piwem i trzy szklanki.

— Przekłęte kołysanie! — odezwał się Blaisois. — Czuję, że mi się znów zbiera na torsje jak za poprzednim razem, kiedym płynął do Anglii.

— I żeby tak nic a nic nie mieć na zwalczenie morskiej choroby! — odparł Muszkiet — nic prócz jęczmiennego chleba i wina z chmielu! Fuj!

— A gdzie twoja podróżna flaszka, panie Musz? — zapytał Blaisois; wreszcie sobie umościł posłanie, zataczając się podszedł do stołu, przy którym Muszkiet już siedział, i nie bez trudu dobrnąwszy do ławy, też siadł. — Gdzie twoja podróżna flaszka — powtórzył — czyżbyś ją zgubił?

— O, nie — odparł Muszkiet — ale pilnował jej Parry, a tym diabelnym Szkotom wciąż chce się pić. A tobie, Milczku — zapytał Muszkiet towarzysza, który wrócił właśnie, obszedłszy z d'Artagnanem statek — chce ci się pić?

— Jak Szkotowi — odparł lakonicznie Milczek.

Siadł obok Blaisois i Muszkiet, wyjął z kieszeni kajecik i zaczął robić rachunki, on bowiem pilnował wspólnej kasy i był skarbnikiem muszkietierów.

— Oj, oj, oj! — jęknął Blaisois. — Już mnie ściska w dołku.

— Jeśli cię ssie w dołku — odezwał się mentorskim tonem Muszkiet — powinienes się pożywić.

— Ty to nazywasz pożywieniem? — rzekł Blaisois, a jego żalostnej minie towarzyszyło pogardliwe wyciągnięcie palca, którym pokazał na jęczmienny chleb i dzban z piwem.

— Blaisois — rzekł Muszkiet — pamiętaj, że chleb jest prawdziwym pożywieniem Francuza, a i tak nie każdy Francuz zawsze go ma. Zapytaj Milczka.

— Zgoda, ale piwo? — odparł Blaisois z szybkością pochlebnie świadcząca o bystrości jego dowcipu — czy piwo jest też jego prawdziwym napojem?

— Względem piwa — rzekł Muszkiet zaskoczony pytaniem, bo tej kwestii nie przemyślał — muszę przyznać, że nie, i że piwo jest mu tak szczerze wstrętne jak Anglikowi wino.

— Jakże to, panie Musz? — zapytał Blaisois, zwątpiwszy nagle o głębokości wiedzy Muszkiet, którą w zwykłych okolicznościach życia bez zastrzeżeń podziwiał. — Jakże to, panie Musz, czyżby Anglicy nie lubili wina?

— Anglicy nie cierpią wina.

— Przecież sam widziałem, że je piją.

— Za pokutę; czego dowodem — ciągnął Muszkiet tonem wykluczającym wszelki sprzeciw — że pewien angielski książę umarł, kiedy go wsadzono do beczki z małmazją. Słyszałem, jak ksiądz d'Herblay opowiadał o tym zdarzeniu.

— Głupiec — rzekł Blaisois. — Chciałbym być na jego miejscu.

— Możesz — rzekł Milczek spisując cyfry w coraz to dłuższy słupek.

— Jak to? — zapytał Blaisois — Mogę? Ja?

— Ty — odparł Milczek, dodając zatrzymaną w pamięci czwórkę do następnej kolumny cyfr w słupku.

— Mogę? Ja? Wytlumacz, panie Milczku, co masz na myśli.

Muszkiet milczał, lecz z wyrazu jego twarzy łatwo było zgadnąć, że zgoła nieobojętnie czeka odpowiedzi na natarczywe pytanie Blaisois. Milczek dalej rachował, póki nie zliczył całej sumy.

— Porto — rzekł wtedy, wskazując ręką na przepierzenie, za którym znajdował się składzik, ten, co go razem z d'Artagnanem oglądali w towarzystwie szypra.

— Jak to? Te beczki, którem zauważył przez uchylone drzwi?

— Porto — powtórzył Milczek zabierając się do nowego rachunkowego działania.

— Słyszałem — odezwał się do Muszkiet Blaisois — że porto to wyborne wino hiszpańskie.

— Wyborne — rzekł Muszkiet oblizując sobie wargi koniuszkiem języka — wyborne. Jest też niemało w piwnicach pana barona de Bracieux.

— A może by poprosić tych Anglików, żeby nam sprzedali z butelkę? — zapytał uczciwy Blaisois.

— Sprzedali! — zakpił Muszkiet, w którym nagle ożyły dawne hultajskie instynkty. — Od razu widać, młodzieńcze, żeś jeszcze nie zdążył nabrać życiowego doświadczenia. Po co kupować, jeśli można wziąć?

— Wziąć — rzekł Blaisois — pożądać rzeczy bliźniego swego! To jest zabronione, jak mi się zdaje.

— Gdzie? — zapytał Muszkiet.

— W przykazaniach boskich czy też kościelnych, sam już nie pamiętam, w których. Ale dobrze pamiętam, że stoi tam: “Nie pożądam żony bliźniego swego, ani wołu, ani osła, ani sługi, ani służebnicy, ani żadnej rzeczy, która jego jest”.

— Rozumujesz jak dziecko, panie Blaisois — odparł Muszkiet swym najbardziej protekcyjnym tonem. — Tak, jak dziecko, powtarzam. A gdzieś ty widział, żeby stało w Piśmie świętym, proszę ja ciebie, że Anglik jest bliźnim?

— Tego nigdzie nie ma, co prawda to prawda — odparł Blaisois — w każdym razie, nie przypominam sobie.

— Rozumujesz jak dziecko, powtarzam — odezwał się znów Muszkiet. — Gdybyś był przez dziesięć lat na wojnie, jak Milczek i ja, mój drogi Blaisois, potrafiłbyś odróżnić rzecz bliźniego twego od rzeczy twego nieprzyjaciela. Otóż Anglik to nieprzyjaciel, może nie? A to wino porto należy do Anglików. Zatem do nas należy, ponieważ jesteśmy Francuzami. Czyżbyś nie znał przykazania:

szarp wroga, gdzie się da.

Ta wymowa, poparta autorytetem, jaki Muszkiet czerpał ze swoich długoletnich doświadczeń, całkiem zbiła Blaisois z pantałyku. Spuścił głowę, jakby próbował się skupić, po czym podnosząc nagle czoło, odezwał się tonem człowieka, który znalazł wreszcie nieodparty argument:

— A czy nasi panowie też są twojego zdania, panie Musz?

Muszkiet uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Chciałbyś może, żebym przerwał sen tych znakomitych panów po to, żeby się zapytać: “Wielmożni panowie, wasz sługa Musz ma pragnienie, czy pozwolicie mu się napić?” A cóż może obchodzić pana barona de Bracieux, że mi się chce pić, albo że mi się nie chce pić?

— To bardzo drogie wino — rzeki Blaisois potrząsając głową.

— Choćby było płynnym złotem, panie Blaisois — rzekł Muszkiet — nasi panowie nie pożalowałiby go sobie. Wiedz, że sam pan baron de Bracieux jest dość bogaty, żeby wypić beczkę porta, choćby trzeba było płacić pistola za każdą kropelkę. Więc nie widzę powodu — ciągnął Muszkiet, coraz bardziej w swojej pysze szczodroblivy — dlaczego służący mieliby sobie żałować wina, którego nie pożalowałiby sobie ich panowie?

I Muszkiet wstał, wziął dzban z piwem, opróżnił go co do kropelki przez okienko i majestatycznie podszedł do drzwi prowadzących do sąsiedniej przegrody międzypokładu.

— Oho, zamknięte! — rzekł. — Diabelni Anglicy, cóż to za podejrzliwy naród!

— Zamknięte! — powtórzył Blaisois, a głos jego zdradził, że jest nie mniej od Muszkietu zawiedziony. — O, psiajucha, to dopiero przykrość! I na dobitkę czuję, że mi coraz bardziej mdło.

Muszkiet odwrócił się do Blaisois, a oblicze jego miało wyraz tak żaloszny, że niewątpliwe było, że całkowicie podziela rozczarowanie zacnego chłopca.

— Zamknięte! — powtórzył.

— Ale sam słyszałem przecie, panie Musz — odezwał się Blaisois nie dając tak łatwo za wygraną — jak opowiadałeś, że raz w młodości, a było to bodaj w Chantilly, karmiłeś swego pana i siebie łapiąc przepiórki w sidła, ryby na wędkę i butelki na pętlę.

— A jakże — odparł Muszkiet — to szczerza prawda, niech Milczek poświadczy. Ale piwnica miała okienko, a wino było w butelkach. Nie mogę zarzucić pętli poprzez to przepierzenie ani wyciągnąć na sznurku beczki, która waży jak nic ze dwa kwintale.

— To nie, ale mógłbyś wyłamać ze dwie, trzy deski z przepierzenia — rzekł Blaisois — i wywiercić świderkiem dziurkę w którejś z beczek.

Muszkiet wytrzeszczał swoje okrągłe oczy i spojrzał na Blaisois jak człowiek, który ze zdumieniem odnajduje w drugim człowieku zalety, o jakie nigdy by go nie podejrzewał.

— Racja! — rzekł — to można; ale skąd wziąć dłuto do podważenia desek i świderek do wywiercenia dziurki?

— Skrzynka — odezwał się Milczek nie przerywając sobie rachowania.

— Prawda, skrzynka z narzędziami! — rzekł Muszkiet. — Że też mi to na myśl nie wpadło.

Milczek bowiem pilnował nie tylko wspólnej kasy, ale i broni wszystkich uczestników tej wyprawy; prócz kajetu z rachunkami miał i skrzynkę z narzędziami. A ponieważ Milczek był człowiekiem nader przezornym, skrzynka, starannie ukryta w jego kuferku, zaopatrzona była we wszystkie przyrządy pierwszej potrzeby.

Wśród nich — w całkiem pokaźny świder.

Muszkiet wziął go.

Dłuta nie musiał długo szukać, bo sztylet, który nosił za pasem, zastąpił je z powodzeniem. Muszkiet bez większego trudu znalazł szparę między deskami i natychmiast zabrał się do roboty.

Blaisois przypatrywał się jego pracy z podziwem i niecierpliwością, od

czasu do czasu doradzając całkiem rozsądnie i trafnie, jak wyciągnąć gwóźdź albo którądy podważyć deskę.

W krótkim czasie trzy deski zostały wyjęte.

— Dobra nasza! — rzekł Blaisois.

Muskiet był przeciwieństwem owej żaby z bajki, która uważała się za grubszą, niż w istocie była. Pech chciał, że choć udało mu się zmniejszyć swoje imię o jedną drugą, brzucha zmniejszyć nie mógł. Spróbował przejść przez wyłamany otwór i przekonał się z bólem, że będzie musiał odbić jeszcze co najmniej dwie albo trzy deski, żeby otwór był na jego miarę.

Westchnął i wylazł z dziury, żeby się znów zabrać do roboty.

Tymczasem Milczek, który już zakończył rachunki, wstał, wielce zaciekawiony dokonującą się operacją, zbliżył się do swych dwóch towarzyszy i widział daremne wysiłki Muszkiet, próbującego przedostać się do ziemi obiecanej.

— Ja — odezwał się Milczek.

To jedno słowo mogło starczyć za cały sonet, który jak wiadomo, potrafi starczyć za cały poemat. Muskiet odwrócił się.

— Niby co — ja? — zapytał.

— Ja. Ja przejdę.

— To prawda — rzekł Muskiet, zerkając z ukosa na długą a cienką postać przyjaciela — ty byś przeszedł, i to nawet z łatwością.

— Słuszna racja, on wie, które beczki są pełne — rzekł Blaisois — bo już był w piwnicy razem z panem kawalerem d'Artagnanem. Przepuść pana Milczka, panie Musz.

— Przeszedłbym nie gorzej od Milczka — odezwał się Muskiet cokolwiek dotknięty.

— Tak, ale to by dłużej trwało, a mnie już okrutnie chce się pić. Czuję, że mnie coraz bardziej mdli.

— Więc włącz, Milczku — rzekł Muskiet wręczając temu, który zamiast

niego miał się wypuścić na wyprawę, dzban po piwie i świder.

— Płuczcie szklanki — rzekł Milczek.

Po czym kiwnął przyjacielsko Muszkietowi, żeby mu wybaczył, że dokańcza dzieła, które przez kogo innego tak świetnie zostało rozpoczęte, jak zmija prześliznął się przez wyłamany w przepierzeniu otwór i znikł.

Blaisois wydawał się zachwycony, wręcz wniebowzięty; ze wszystkich czynów dokazanych, odkąd przyjechali do Anglii, przez niezwykłych ludzi, którym miał szczęście towarzyszyć, ten wydał mu się bezsprzecznie najcudniejszy.

— Zobaczysz za chwilę — rzekł Muszkiet spoglądając na Blaisois z wyższością, którą ów przyjmował jako rzecz samą przez się zrozumiałą — zobaczysz za chwilę, Blaisois, jak my pijemy, my, starzy żołnierze, kiedy nas najdzie pragnienie.

— Płaszcz — odezwał się z wnętrza piwniczki Milczek.

— Racja — rzekł Muszkiet.

— Czego on chce? — zapytał Blaisois.

— Żeby zasłonić otwór płaszczem.

— Po co? — zapytał Blaisois.

— Niewiniątko — rzekł Muszkiet. — A gdyby ktoś wszedł?

— To prawda — zawołał Blaisois z podziwem, który stawał się wciąż widoczniejszy — ale nie będzie nic widział.

— Milczek zawsze widzi — odparł Muszkiet — tak samo po nocy jak w dzień.

— Szczęśliwy człek — westchnął Blaisois. — Ja jeśli nie mam świecy, i dwóch kroków nie ujdę, od razu łapię guza.

— Boś w wojsku nie służył — rzekł Muszkiet — tam byś się nauczył znajdować igłę w kominie. Zaraz, cicho. Zdaje mi się, że ktoś idzie.

Muszkiet zagwizdał ostrzegawczo, dając sygnał, jakim obaj służący zwykli byli się porozumiewać za młodu, wrócił do stołu, siadł i kiwnął na Blaisois,



żeby to samo uczynił.

Blaisois posłuchał.

Drzwi otworzyły się. Ukazali się dwaj owinięci w płaszczy mężczyźni.

— Co to? — odezwał się jeden z nich — kwadrans po jedenastej, a wy jeszcze nie śpicie? To niezgodne z regulaminem. Za kwadrans światła mają być pogaszone i wszyscy powinniście chrapać.

Po czym podeszli obaj do drzwi od składziku, do którego zakradł się Milczek, otworzyli je, weszli i zamknęli za sobą.

— Och! — jęknął Blaisois i zadrżał. — Wpadł.

— Kto wie, Milczek to chytry lis — szepnął Muszkiet.

Czekali nastawiając uszu i wstrzymując oddechy.

Minęło dziesięć minut, ale żaden hałas nie wskazywał, by Milczek został odkryty.

Po upływie dziesięciu minut Muszkiet i Blaisois ujrzeli, że drzwi się otwierają. Dwaj mężczyźni w płaszczach wyszli ze składziku, zamknęli drzwi równie ostrożnie, jak to byli uczynili wchodząc, i opuścili kajutę, przykazawszy jeszcze raz służącym, żeby gasili światło i szli spać.

— Posłuchamy? — zapytał Blaisois. — Jakoś mi to wszystko podejrzenie wygląda.

— Powiedzieli, że za kwadrans; mamy jeszcze pięć minut czasu — odparł Muszkiet.

— Może by ostrzec naszych panów?

— Zaczekajmy na Milczka.

— A jeśli tamci go zabili?

— Milczek krzyczałby.

— Wiesz przecie, że to prawie niemowa.

— Usłyszelibyśmy hałas.

— Ale jeżeli nie wróci?

— Już jest.

Rzeczywiście, w tejże chwili Milczek odsunął płaszcz zasłaniający otwór i wszedł. Twarz miał aż siną, a w oczach, szeroko otwartych z przerażenia, widać było malusieńkie źrenice na wywalonych na wierzch, białych gałkach. W rękę trzymał dzban po piwie, czymś napełniony. Przysunął go bliżej światła, jakie dawała okopcona lampka, i wyszeptał jedną tylko sylabę: “o!” tonem tak głębokiej zgrozy, że przestraszony Muszkiet cofnął się, a Blaisois omal nie zemdlął.

Obaj jednakowoż zajrzeli ciekawie do dzbana: był pełny prochu.

Przekonawszy się, że statek wiezie ładunek prochu, a nie wina, Milczek rzucił się do luku i w trzech susach dopadł kajuty, w której spali czterej przyjaciele. Znalazłszy się przy jej drzwiach, otworzył je ostrożnie, natychmiast budząc tym samym d’Artagnana, który za nimi leżał.

Ledwie d’Artagnan ujrzał zmienioną twarz Milczka, zrozumiał, że się coś niezwykłego święci, i chciał zawołać, ale Milczek ruchem szybszym od słowa położył sobie palec na ustach i dmuchnięciem, jakiego nikt by się nie domyślił w tak wątłym ciele, zgasił lampkę palącą się w odległości trzech kroków.

D’Artagnan podniósł się na łokciu. Milczek przykląkł na jedno kolano, wyciągnął szyję i mając wszystkie zmysły napięte do ostatka, szeptał mu na ucho opowieść tak dramatyczną w swej treści, że mogła się obejść śmiało bez dodatkowej wymowy gestów i mimiki twarzy.

Przez ten czas Atos, Portos i Aramis spali snem ludzi, którzy przez tydzień nie zmrużyli oka, a pod pokładem Muszkiet zawiązywał sznurowadła u butów, na wszelki wypadek, Blaisois zaś, z włosami zjeżonymi trwogą, usiłował go naśladować.

Oto co się stało.

Milczek, przedostawszy się przez otwór do sąsiadującej z ich kajutą przegrody, ruszył przed siebie i natrafił na beczkę. Stuknął — beczka była pusta. Przeszedł do następnej — też była pusta; ale trzecia beczka, na której kilkakrotnie powtarzał doświadczenie, odpowiadała dźwiękiem tak głuchym, że

nie sposób się było omylić. Milczek poznał, że jest pełna.

Zatrzymał się więc przy niej, zaczął szukać dogodnego miejsca na wywiercenie świderkiem dziurki i przy tej okazji natrafił ręką na kran.

— Ślicznie — rzekł sobie Milczek — to mi oszczędzi roboty.

Podstawił dzban po piwie, odkręcił kurek i uczył, że zawartość przesącza się powoli z naczynia do naczynia.

Milczek, nie zapomniawszy zakręcić najpierw kurka, już podnosił do ust dzban, jako człowiek zbyt sumienny, by zanieść swoim towarzyszom napój, za którego smak nie mógłby im uczciwie zaręczyć, kiedy usłyszał ostrzegawczy gwizd Muszkietów. Domyślił się, że to zapewne nocny obchód, wsunął się między beczki i ukrył za jedną z nich.

Rzeczywiście, po chwili drzwi otworzyły się i zamknęły przepuściwszy dwóch mężczyzn w płaszczach, tych samych, którzy jak już wiemy, przechodząc dwukrotnie przez kajutę służących, kazali Muszkietowi i Blaisois zgasić światło.

Jeden niósł oszkloną latarnię, szczelnie zamkniętą i tak wysoką, że płomień nie dochodził do szczytu. Co więcej, szybki jej były okryte białym papierem, który zasłaniał, a raczej wchłaniał, światło i ciepło.

Był to Groslow.

Drugi trzymał w ręce coś długiego, giętkiego i zwiniętego, niby białawy sznurek. Twarz miał zakrytą szerokim rondem kapelusza. Milczek, sądząc, że ich sprowadza do piwniczki ta sama, co i jego potrzeba, że jak on przyszli pokosztować wina, coraz bardziej kulił się za swoją beczką, pocieszając się zresztą, że jeśliby go nawet i odkryli, zbrodnia nie będzie znowu taka wielka.

Zbliżywszy się do beczki, za którą się ukrył Milczek, dwaj mężczyźni przystanęli.

— Masz lont? — zapytał po angielsku ten, który niósł latarnię.

— Mam, o tu — odparł drugi.

Na dźwięk jego głosu Milczek zadrżał i uczył, że ziąb przenika go aż do

szpiku kości. Zaczął się powolutku podnosić, aż wreszcie wysunął głowę nad kolistą drewnianą krawędź i pod szerokim rondem kapelusza poznał bladą twarz Mordaunta.

— Jak długo może się tlić ten lont? — zapytał Mordaunt.

— Lont...? Ano, z pięć minut — odparł szyper.

Ten głos także nie był Milczkowi obcy. Spojrzał też z kolei na drugiego mężczyznę i poznał Grosłowa.

— Uprzedź zatem swoich ludzi, żeby byli w pogotowiu, nie mówiąc im, o co idzie — rzekł Mordaunt. — Czy szalupa płynie za statkiem?

— Jak pies za swoim panem, uwiązana na konopnym powrozie.

— A więc kiedy zegar pokaże kwadrans po dwunastej, zbierzesz ludzi, zejdziecie bez hałasu do szalupy...

— Podpaliwszy przedtem lont?

— To moja rzecz. Chcę być pewny mojej zemsty. Czy wiosła są w łodzi.

— Wszystko przygotowane.

— Dobrze.

— Zatem tak, jak umówione.

Mordaunt ukląkł i umocował jeden koniec lontu w kranie, żeby dość było już tylko podpalić go z drugiego końca. Dokonawszy tego wyjął zegarek.

— Zapamiętałeś sobie? Kwadrans po północy — rzekł wstając — czyli... Spojrzał na zegarek.

— Czyli za dwadzieścia minut.

— Tak, panie Mordaunt — odparł Grosłowa — ale muszę jeszcze raz cię przestrzec, że zadanie, którego chcesz się podjąć osobiście, nie jest całkiem bezpieczne i że może być lepiej było jednemu z ludzi zlecić podpalenie lontu.

— Mój kochany Grosłowie — odparł Mordaunt — znasz przysłowie: “Cudze ręce lekkie, ale niepewne”? Zastosuję się do tego przysłowia.

Milczek wszystko usłyszał, choć nie wszystko zrozumiał, ale wzrok uzupełnił niedoskonałą znajomość języka; zobaczył i poznał dwóch

śmiertelnych wrogów muszkietarów; widział, jak Mordaunt zakłada lont; usłyszał przysłowie, które Mordaunt, jakby chcąc mu ułatwić, powiedział po francusku; wreszcie zmacał zawartość trzymanego w ręku dzbana i zamiast płynu, na który czekali Muszkiet i Blaisois, wyczuł ziarnka grubego prochu, które mu się z chrzęstem rozgniatały w palcach. ,

Mordaunt oddalił się razem z szyprem. Przy drzwiach przystanął nasłuchując.

— Słyszysz, jak śpią? — zapytał.

Rzeczywiście, przez deski pokładu słyhać było chrapanie Portosa.

— Sam Bóg ich wydał w nasze ręce — rzekł Grosłow.

— I tym razem — rzekł Mordaunt — już sam diabeł ich nie ocali.

Po czym obydwaj wyszli.

Milczek zaczekał, póki nie zgrzytnął w zamku zasuwany rygiel, a kiedy nabrał pewności, że jest sam, wstał wolno, opierając się o ścianę.

— O! — rzekł ocierając rękawem wielkie krople potu, które mu wystąpiły na czoło — łaska boska, że Muszkietowi zachciało się pić!

Co prędzej przelazł przez dziurę i jeszcze mu się zdawało, że a nuż śni, ale widok prochu w dzbanie po piwie dowiódł mu, że to nie sen, a śmiertelny koszmar na jawie.

D'Artagnan, jak się łatwo domyślić, słuchał tych wszystkich szczegółów z coraz większym zainteresowaniem. Nie czekając, aż Milczek skończy, ostrożnie wstał, przybliżył usta do ucha Aramisa, który spał przy nim z lewej strony, i dotykając równocześnie jego ręki, żeby zapobiec wszelkiemu gwałtowniejszemu poruszeniu, rzekł mu:

— Kawalerze, wstawaj, ale po cichu, nie hałasuj.

Aramis obudził się. D'Artagnan jeszcze raz powtórzył to samo, ściskając go za rękę. Aramis usłuchał.

— Masz po swojej lewej stronie Atosa; zbudź go i ostrzeż tak samo jak ja ciebie.

Aramisowi łatwo udało się obudzić Atosa, który miał sen lekki jak zwykle u wrażliwych i nerwowych ludzi. Trudniej poszło z obudzeniem Portosa. Już chciał pytać, dlaczego, z jakiej racji wyrządzają mu tak wielką przykrość i przerywają sen, ale d'Artagnan zamiast wyjaśnienia zatkał mu dłonią usta.

Wtedy nasz Gaskończyk objął przyjaciół ramionami i zamknąwszy w ich kręgu trzy głowy, niemal że czołami się stykające, rzekł:

— Moi kochani, natychmiast opuścimy ten statek albo wszyscy zginiemy.

— Oho! — odezwał się Atos. — Znowu?

— Czy wiecie, kto jest kapitanem statku?

— Nie.

— Kapitan Groslow.

Trzej muszkietierowie drgnęli, z czego d'Artagnan wywnioskował, że jego przemowa zaczyna robić wrażenie na przyjaciółach.

— Groslow — mruknął Aramis — a, do licha!

— Któż to taki, ten Groslow? — zapytał Portos. — Nie przypominam go sobie.

— Ten, który rozplatał łeb Parry'emu, a teraz szykuje się, żeby nam porozbijać głowy.

— Wolne żarty!

— A czy wiecie, kto jest jego porucznikiem?

— Jego porucznikiem? Nie ma go — rzekł Atos. — Na statku, którego załoga składa się z czterech ludzi, nie bywa porucznika.

— Być może, ale pan Groslow nie jest byle zwykłym sobie kapitanem; on ma porucznika, a porucznikiem tym jest pan Mordaunt.

Tym razem muszkietierowie już nie tylko drgnęli; tym razem krzyknęli bez mała. To nazwisko miało tak tajemnicze i zgubne działanie na tych niezwycięzonych ludzi, że już na sam jego dźwięk odczuwali strach.

— Co pocniemy? — zapytał Aramis.

— Owładniemy statkiem — rzekł Aramis.

— I zabijemy go — rzekł Portos.

— Statek jest zaminowany — rzekł d'Artagnan. — Te beczki, którem wzięły za baryłki z portem, zawierają proch. Kiedy Mordaunt dowie się, że został poznany, wysadzi w powietrze wszystko, i swoich, i nas, a na honor, zbyt mi jest obmierzła osoba tego pana, bym pragnął zjawić się właśnie w jego towarzystwie, bądź w niebie, bądź w piekle.

— Czy masz jakiś plan? — zapytał Aramis.

— Mam.

— Jaki?

— Czy mi ufacie?

— Rozkazuj — powiedzieli razem trzej muszkietierowie.

— No to chodźcie!

D'Artagnan zbliżył się do nisko położonego okienka przypominającego odpływnik, które było jednak wystarczająco duże, żeby człowiek mógł przez nie przejść. Otworzył je uważając, żeby zawiasy nie zgrzytnęły.

— Tędy droga — rzekł.

— A do licha! — rzekł Aramis — okropnie tam zimno, drogi przyjacielu.

— Zostań, jeśli wolisz, ale cię uprzedzam, że tu będzie wkrótce bardzo gorąco.

— Przecież wpływ nie dostaniemy się do lądu.

— Za statkiem płynie szalupa uwiązana na linie; dopłyniemy do szalupy i przetniemy linę. To wszystko. Dalej, panowie!

— Zaraz — rzekł Atos — gdzie służący?

— Jesteśmy — odpowiedzieli Muszkiet i Blaisois, których Milczek przyprowadził chcąc zgromadzić w kajucie wszystkie siły. Weszli przez luk znajdujący się tuż przy drzwiach tak cicho, że nikt tego nie spostrzegł.

Trzej przyjaciele stali nieruchomo, patrząc przez niewielki otwór na straszliwy widok, który d'Artagnan odsłonił przed nimi odsuwając okiennicę.

I zaiste, każdy, kto choć raz oglądał ten widok, wie, że nic tak nie przeraża

człowieka jak wzburzone morze, przetaczające z głuchym pomrukiem swoje czarne fale w bladej poświacie księżyca.

— Do kaduka! — rzekł d'Artagnan — czyżbyśmy się wahali? Jeżeli my będziemy się wahać, co zrobią nasi lokaje?

— Ja się tam nie waham — rzekł Milczek.

— Ja zaś umiem pływać tylko w rzece, proszę panów — rzekł Blaisois. — Uprzedzam.

— A ja w ogóle nie umiem pływać — rzekł Muszkiet.

Tymczasem d'Artagnan już się wysunął przez otwór.

— Jesteś więc zdecydowany, przyjacielu? — zapytał Atos.

— Tak — odparł Gaskończyk. — Dalej, Atosie, jesteś człowiekiem doskonałym, każ duchowi zapanować nad materią. Ty, Aramisie, dopilnuj służących. Ty, Portosie, zabij każdego, kto by nam na drodze stanął.

I d'Artagnan, uściskawszy Atosowi dłoń, wybrał chwilę, w której statek przechylił się na fali ku rufie, a wtedy po prostu zsunął się w wodę, która sięgała mu już do pasa.

Atos poszedł jego śladem, nim statek zdążył się podnieść. Po skoku Atosa "Błyskawica" przechyliła się w przód i ujrzano, jak się naprężyła i wyłania z wody lina, na której przywiązana była szalupa.

D'Artagnan podpłynął do liny i uchwycił się jej.

I czekał uwieszony u tej liny jedną ręką, głowę tylko mając wynurzoną nad powierzchnię wody.

Po sekundzie Atos znalazł się przy nim.

Następnie zza rufy statku ukazały się jeszcze dwie głowy: Aramisa i Milczka.

— Niepokoi mnie Blaisois — rzekł Atos. — Chyba słyszałeś, d'Artagnanie, że powiedział, jakoby umiał pływać tylko w rzece?

— Jeśli się umie pływać, można pływać wszędzie. Do łodzi! Do łodzi!

— A gdzie Portos? Nie widzę Portosa.



— Portos zjawi się, bądź spokojny. Pływa jak sam Lewiatan<sup>19</sup>. Ale Portos jakoś się nie zjawiał; właśnie bowiem rozgrywała się między nim a Muszkietem i Blaisois scena pół komiczna, pół dramatyczna.

Służący, przestraszeni hukiem fal i świstem, wiatru, przerażeni widokiem tej czarnej wody kotłującej się w otchłani, cofali się, miast iść, naprzód.

— Dalej, dalej! — powtarzał Portos. — Do wody!

— Ależ ja nie umiem pływać, proszę pana. Niech mnie pan tu zostawi — błagał Muszkiet.

— I mnie też — błagał Blaisois.

— Zareczam panu, że tylko przeszkadzałbym wam na tej malutkiej łódeczce — przekonywał Muszkiet.

— A ja utopię się, zanim zdołam się na nią wgramolić — przekonywał Blaisois.

— Tam do licha, wyłazić albo was obu uduszę! — rzekł Portos ujmując ich za gardła. — No, Blaisois, naprzód!

Jęk, stłumiony żelazną dłonią Portosa, był jedyną odpowiedzią Blaisois, bo olbrzym, podniósłszy służącego za nogi i za kark, wyrzucił go przez okienko jak deskę i cisnął w morze głową na dół.

— Teraz ty, Musz — rzekł — spodziewam się, że nie opuścisz swego pana.

— Ach, panie — rzekł Muszkiet ze łzami w oczach. — Czemu wracałeś do służby? Tak nam było dobrze w zamku Pierrefonds!

I Muszkiet — nie narzekając więcej, milczący i posłuszny, może przez rzeczywiste przywiązanie, a może pomny na to, co spotkało Blaisois — dał nura w morze głową na dół. W każdym razie był to wielki czyn, bo Muszkiet miał pewność, że idzie na śmierć.

Ale Portos nie należał do ludzi, którzy zostawiliby własnemu losowi wiernego towarzysza. Pan poszedł za swoim służącym natychmiast, tak że oba ciała wpadły w morze z jednym i tym samym pluskiem. I kiedy Muszkiet,

---

<sup>19</sup> Lewiatan — wg Biblii olbrzymi potwór morski.

całkiem oślepiony, wypłynął na powierzchnię, już go trzymała potężna ręka Portosa i bez najmniejszego wysiłku mógł posuwać się w stronę liny, majestatycznie, niby jakiś bóg morski.

W tejże chwili Portos ujrzał, że coś się zakotłowało w zasięgu jego ramienia. Schwycił to coś za czuprynę; był to Blaisois, któremu już płynął na ratunek Atos.

— Zostaw, hrabio — rzekł Portos. — Nie jesteś mi potrzebny.

I potężnym wyrzutem nóg Portos wyłonił się ponad fale niby olbrzym Adamastor<sup>20</sup>, po czym, odepchnąwszy się ledwie trzy razy, dopłynął do czekających nań towarzyszy.

D'Artagnan, Aramis i Milczek pomogli wejść Muszkietowi i Blaisois; potem przyszła kolej na Portosa, który przełaząc przez burtę omal nie wywrócił niewielkiej łodzi.

— A Atos? — zapytał d'Artagnan.

— Jestem — odezwał się Atos, który jak generał dowodzący odwrotem postanowił wejść ostatni i czekał obok łodzi. — Czy są już wszyscy?

— Wszyscy — odparł d'Artagnan. — Czy masz sztylet, Atosie?

— Mam.

— Więc przetnij linę i chodź.

Atos wyciągnął zza pasa stalowy sztylet i przeciął linę: żaglowiec zaczął się oddalać, łódź została, już tylko ruchem fal poruszana.

— Chodź, Atosie — rzekł d'Artagnan.

I podał rękę hrabiemu de La Fere, który wreszcie wszedł do łodzi.

— W sam czas — rzekł Gaskończyk. — A teraz zobaczycie coś ciekawego.

---

20 Adamastor — olbrzym morski z poematu portugalskiego poety Camoensa Luizjada.

## 30. Ręka losu

Rzeczywiście, ledwie d'Artagnan zdążył wymówić te słowa, z żaglowca, który już zaczynał znikać w ciemnościach i mgle, usłyszano gwizdek.

— To coś znaczy, jak sami wiecie — rzekł Gaskończyk.

W tym momencie na pokładzie zabłysła latarnia, ukazując cienie poruszające się na rufie.

Nagle przeszył powietrze straszliwy wrzask, wrzask rozpacz, i jakby wrzask ów chmury porozpędzał, zasłona skrywająca księżyc rozsunała się i na tle nieba rozsrebrzonego bladą poświatą ujrzano wyraźnie szare żagle i czarne olinowanie “Błyskawicy”.

Cienie biegały jak oszalałe po pokładzie, a beładnej bieganinie towarzyszyły rozpaczliwe krzyki.

Wśród tych wrzasków na rufie ukazał się Mordaunt z pochodnią w ręku.

Cienie, co jak oszalałe, biegały po statku, byli to Groslow i jego ludzie, którzy zebrali się na pokładzie w porze naznaczonej przez Mordaunta. On sam zaś, posłuchawszy pod drzwiami kajuty, czy muszkietierowie śpią, zszedł pod pokład, uspokojony ciszą panującą w ich kwaterze.

Bo i rzeczywiście, któż mógłby się domyślić tego, co się stało?

Mordaunt otworzył więc drzwi składziku i rzucił się do lontu; trawiony pragnieniem zemsty i pewny swego, jak wszyscy, których Bóg oślepią, podpalił nasycony siarką knot.

Przez ten czas Groslow i marynarze zebrali się na rufie.

— Przyciągnijcie linę i przyholujcie szalupę — rozkazał Groslow. Jeden z marynarzy siadł okrakiem na burcie, schwycił linę i pociągnął; lina nie stawiała oporu.

— Lina przecięta! — zawołał marynarz. — Nie ma łodzi!

— Jak to! Nie ma łodzi? — krzyknął Grosłow przypadając do parapetu. — To niemożliwe!

— Ale tak jest — rzekł marynarz. — Spójrz sam, kapitanie, za statkiem nic nie płynie, a zresztą o, proszę, oto koniec liny.

To wtedy Grosłow wydał z siebie ryk, który usłyszeli muszkietierowie.

— Co się stało?! — zawołał Mordaunt, który wyszedłszy przez luk, przybiegł także na rufę, z pochodnią w ręku.

— Wrogowie wymknęli się nam! Przecięli linę i uciekli w szalupie! Mordaunt jednym susem dopadł do kajuty i kopnął drzwi.

— Pusta! — krzyknął. — A, szatani!

— Dogonimy ich — rzekł Grosłow. — Nie mogą być daleko, zatopimy ich najeżdżając na łódź.

— Tak, a ogień? — rzekł Mordaunt. — Już zapalony.

— Co?

— Lont!

— Tysiąc beczek! — zawył Grosłow rzucając się do luku. — Może jeszcze zdążę!

Mordaunt odpowiedział mu okropnym śmiechem i twarz mając wykrzywioną bardziej jeszcze nienawiścią niż strachem, a błędnym wzrokiem szukając nieba, żeby rzucić mu ostatnie bluźnierstwo, cisnął w morze najpierw swą pochodnię, a potem sam skoczył w fale.

W tejże chwili, kiedy Grosłow już stawiał stopę na pierwszym schodku luku, statek otworzył się jak krater wulkanu. W niebo trysnął ogień z taką mocą, jakby sto armat wystrzeliło równocześnie. Zapłonęło powietrze, pełne palących się odłamków drewna, po czym straszliwa błyskawica zgasła, wirujące odłamki posypały się w wodę, gdzie też po kolei gasły, i po chwili, gdyby nie drganie powietrza, można by mniemać, że nic się nie stało.

Tylko żaglowiec znikł z powierzchni morza, a Grosłow i jego ludzie przepadli w odmętach.

Czterej przyjaciele widzieli wszystko; nie umknął im żaden szczegół tego straszliwego dramatu. Kiedy na chwilę oblał ich jaskrawy błysk, który oświetlił morze w promieniu co najmniej pół mili, można by było zobaczyć, jak znieruchomieli, każdy w innej postawie wyrażającej grozę, której nie mogli nie doznać, choć mieli serca ze spiżu. Wkrótce ognisty deszcz spadł wokół nich, po czym wulkan zgasł, jak już rzekliśmy, i wszystko pograżyło się w ciemnościach: burzliwy ocean i łódź kołysząca się na falach.

Przez chwilę milczeli, przygnębieni. Portos i d'Artagnan, którzy się wzięli do wiosł, machinalnie trzymali je podniesione nad wodą, opierając się o nie całym ciężarem ciała i kurczowo zaciskając dłonie na drewnie.

— Na honor! — odezwał się Aramis przerywając wreszcie tę śmiertelną ciszę — sędzę, że tym razem już się naprawdę skończyło.

— Do mnie, milordowie! Na pomoc! Na pomoc! — krzyknął rozpaczliwie głos, którego dźwięk dobiegł aż do czterech przyjaciół, głos podobny do wołania chyba jakiegoś morskiego ducha.

Spojrzeni na siebie. Nawet Atos zadrżał.

— To on, to jego głos — szepnął.

Wszyscy milczeli, bo wszyscy, jak Atos, poznali ten głos. I tylko ich oczy o rozszerzonych źrenicach zwróciły się tam, gdzie przed chwilą znikł żaglowiec, z nadludzkim napięciem próbując przebić ciemność.

Po chwili z ciemności wyłonił się człowiek; zbliżał się płynąc ze wszystkich sił.

Atos wolno wyciągnął rękę i wskazał go palcem towarzyszom.

— Tak, tak — rzekł d'Artagnan — a jakże, widzę go.

— Znów on — rzekł Portos i westchnął niczym miech kowalski. — Co, u licha, czyżby był z żelaza?

— O Boże! — szepnął Atos.

Aramis i d'Artagnan coś sobie szeptali na ucho.

Mordaunt zrobił jeszcze kilka ruchów i rozpaczliwie wyciągając z wody

rękę, krzyknął:

— Litości! Panowie, litości, w imię nieba! Siły mnie opuszczają, zginę!

Głos błagający pomocy był tak żalony, że obudził współczucie w sercu Atosa.

— Nieszczęśliwy — szepnął.

— Ślicznie — odezwał się d'Artagnan — tylko tego brak, żebyś go zaczął żałować. Słowo daję, zdaje mi się, że ku nam płynie. Czyżby myślał, że go zabierzemy? Wiosłuj, Portosie, wiosłuj.

I d'Artagnan, dając przykład, zanurzył w morzu swoje wiosło. Dwa pchnięcia sprawiły, że łódź oddaliła się o jakieś dwadzieścia sążni.

— O, przecież mnie nie porzucicie, przecież nie dacie mi zginąć! Przecież nie będziecie bez litości! — wołał Mordaunt.

— Aha! — odpowiedział Mordauntowi Portos — zdaje mi się, że cię wreszcie mamy, mój ty chwacie. Stąd już nam nie uciekniesz, chyba że przez drzwi do piekła.

— O, Portosie! — szepnął hrabia de La Fere.

— Dajże spokój, Atosie. Na honor, robisz się śmieszny z tą twoją wieczną szlachetnością. Oświadczam ci, że jeśli się zbliży do łodzi na odległość dziesięciu stóp, roztrzaskam mu łeb uderzeniem wiosła.

— O, litości...! Zaczekajcie, panowie...! Litości... Zlitujcie się nade mną! — wołał młodzieniec, a oddech mu się rwał i chwilami, kiedy głowa znikwała przykryta falą, bulgotał na powierzchni lodowato zimnej wody.

D'Artagnan, który nie tracąc z oka żadnego poruszenia Mordaunta, skończył swoją rozmowę z Aramisem, wstał.

— Panie — rzekł zwracając się do płynącego — idź precz, z łaski swojej. Twoja skrucha jest zbyt świeżej daty, byśmy w nią mogli na serio uwierzyć. Zechciej zważyć, że statek, w którym chciałeś nas upiec, jeszcze dymi na kilka stóp pod wodą i że położenie, w jakim ty się znajdujesz, jest istnym łożem z róż w porównaniu z łożem, jaki chciałeś nam zgotować, a jaki zgotowałeś Grosłowskiemu i jego towarzyszom.

— Panowie — odezwał się Mordaunt głosem jeszcze bardziej rozpaczliwym — przysięgam wam, że moja skrucha jest szczerą! Panowie, jestem młody, mam zaledwie dwadzieścia trzy lata! Panowie, powodowała mną słuszna nienawiść, chciałem pomścić moją matkę i każdy z was zrobiłby to, co ja zrobiłem!

— Phi! — rzekł d'Artagnan widząc, że Atos coraz bardziej mięknie — to zależy.

Mordaunt podpłynął tak blisko, że jeszcze trzy, cztery ruchy rąk, a dosięgnąłby łodzi; bliskość śmierci dała mu, rzekłbyś, że nadprzyrodzoną siłę.

— Niestety! — wołał dalej — więc mam umierać! Więc zabijecie syna, jak zabiliście matkę! A przecież nie jestem winien; podług wszystkich praw boskich i ludzkich syn powinien pomścić matkę. Zresztą — dodał składając dłonie — jeśli to była zbrodnia, skoro żałuję, skoro błagam o przebaczenie, powinniście mi przebaczyć!

Chyba siły zaczęły go już opuszczać, bo jakby się nie mógł dłużej utrzymać na wodzie i fala przykryła mu głowę tłumiąc głos.

— O, serce mi się kraje! — rzekł Atos.

Mordaunt znów wypłynął.

— A ja uważam — rzekł d'Artagnan — że trzeba z tym wreszcie skończyć. Panie morderco własnego stryja, panie kacie króla Karola, panie podpalaczu, wzywam cię, byś sobie poszedł na dno! Tak, jeśli podpłyniesz jeszcze bliżej do łodzi, rozwalę ci głowę moim wiosłem.

Mordaunt, jakby w straceńczej rozpacz, podpłynął bliżej. D'Artagnan ujął oburącz wiosło, Atos wstał.

— D'Artagnan! D'Artagnan! — zawołał. — D'Artagnan, synu mój, zaklinam cię! Ten nieszczęśliwy zginie, a straszna to rzecz pozwolić ginąć człowiekowi i nie podać mu ręki, kiedy dość jest tę rękę wyciągnąć, żeby go ocalić. O, moje serce mi tego zabrania, nie mogę się oprzeć własnemu sercu, trzeba, żeby żył!

— Do kaduka! — rzekł d'Artagnan — czemu nie oddajesz się od razu, ze związanymi rękoma i nogami, na pastwę tego łotra? Po co czekać, skoro cię to i tak nie minie? O hrabio de La Fere, widzę, że chcesz zginąć z jego ręki. Otóż wiedz, że ja, twój syn, jak mnie nazywasz, ja się na to nie godzę.

D'Artagnan po raz pierwszy oparł się proście Atosa wyrażonej w taki sposób. Dotychczas zawsze ustępował, ilekroć hrabia nazwał go synem.

Aramis spokojnie wyciągnął szpadę, którą płynąc przeniósł nad wodą w zębach.

— Jeśli się uchwyci ręką łodzi — rzekł — odetnę mu rękę jak królobójcy, którym jest.

— A ja — rzekł Portos — zaczekajcie...

— Co chcesz zrobić? — zapytał Aramis.

— Skoczę w wodę i uduszę go.

— O, panowie! — zawołał Atos głosem, którego błagalnemu brzmieniu niepodobna było się oprzeć — bądźmy ludźmi, bądźmy chrześcijanami!

D'Artagnanowi wyrwało się westchnienie bardzo podobne do jęku; Aramis spuścił szpadę, Portos usiadł.

— Spójrzcie — ciągnął Atos — spójrzcie, już widać śmierć na jego twarzy. Jego siły są u kresu. Jeszcze minuta, a przepadnie w otchłani. O, nie obarczajcie mnie tym straszliwym wyrzutem sumienia, nie zmuszajcie mnie, bym też z kolei umarł ze wstydu! Przyjaciele, darujcie mi życie tego nieszczęśliwego, a będę was błogosławił, będę was...

— Ginę — szepnął Mordaunt. — Pomocy!... pomocy!...

— Zyskajmy jedną minutę — rzekł Aramis pochylając się w lewo do d'Artagnana. — Machnij raz wiosłem — dodał pochylając się w prawo do Portosa.

D'Artagnan nie odpowiedział ani słowem, ani ruchem. Zaczynał mięknąć, wzruszony zarówno błaganiami Atosa, jak i widokiem, jaki miał przed oczyma. Tylko Portos sam jeden poruszył wiosłem, a ponieważ wiosło z drugiej strony



pozostało nieruchome, łódź skręciła, dzięki czemu Atos znalazł się jeszcze bliżej rozpaczliwie walczącego ze śmiercią Mordaunta.

— Panie hrabio de La Fere! — wołał Mordaunt — panie hrabio de La Fere! Do ciebie się zwracam, ciebie błagam, ulituj się nade mną!... Gdzie jesteś, panie hrabio de La Fere? Nic nie widzę!... Konam... Pomocy! Pomocy!

— Oto jestem, panie Mordaunt — powiedział Atos, wychylając się i wyciągając rękę do Mordaunta ruchem jak zwykle szlachetnym i godnym. — Oto jestem. Uchwyc się mojej ręki i wejdź do naszej łodzi.

— Wolę na to nie patrzeć — rzekł d'Artagnan — ta słabość jest mi wstrętna.

I odwrócił się do Portosa i Aramisa, którzy cofnęli się ku środkowi łodzi, jakby się bali dotknąć tego, któremu Atos nie bał się podać ręki.

Mordaunt najwyższym wysiłkiem uniósł się i uchwycił się wyciągniętej ku sobie ręki tak gwałtownie jak ostatniej nadziei.

— Dobrze — rzekł Atos. — Teraz połóż drugą rękę, o tu.

I wyciągnął drugie ramię, dając mu drugi punkt oparcia, tak że jego głowa niemal dotykała głowy Mordaunta i że ci dwaj śmiertelni wrogowie objęli się niby dwaj bracia.

Mordaunt zgrabiętymi palcami schwycił Atosa za kołnierz kaftana.

— Dobrze — rzekł hrabia. — Jesteś ocalony, już się więcej nie lękaj.

— O moja matko! — krzyknął Mordaunt głosem, w którym zabrzmiała nie dająca się opisać nienawiść, i oczy mu zapalały. — Mogę ci dać tylko jedną ofiarę, ale będzie to przynajmniej ta, którą byś sama wybrała!

I kiedy d'Artagnan krzyczał, kiedy Portos podnosił wiosło, a Aramis szukał miejsca, w które by mógł uderzyć, łódź, silnie pchnięta, przechyliła się, Atos został wciągnięty w wodę, a Mordaunt z triumfalnym wrzaskiem schwycił swą ofiarę za gardło i żeby sparaliżować jej ruchy, oplatał jej nogi swymi nogami ze zręcznością węża.

Przez chwilę, nie krzycząc, nie wzywając pomocy, Atos usiłował utrzymać

się na powierzchni morza, ale ciągnięty ciężarem, coraz głębiej się zanurzał. Jeszcze przez mgnienie widać było jego długie włosy rozrzucone na fali, po czym wszystko znikło i tylko rozbiegające się kręgi wody, które też z kolei zaczęły znikać, wskazywały miejsce, w którym morze pochłonęło ich obu.

Trzej przyjaciele zamarli, z otwartymi ustami, z oczami wychodzącymi z orbit, z wciągniętymi ramionami, oniemiaли ze zgrozy, nieruchomi, bez tchu prawie z oburzenia i rozpacz. Wyglądali jak kamienne posągi i tylko słycać było, jak im biją serca. Pierwszy Portos odzyskał zmysły i garściami zaczął rwać sobie włosy z głowy.

— O! o! — wołał ze szlochaniem tym bardziej rozdzierającym, że wydobywało się z piersi takiego właśnie jak on człowieka. — O, Atosie! Atosie! O serce szlachetne! Biada, biada nam, którzy daliśmy ci zginąć!

— O, tak! — powtórzył d'Artagnan — biada nam!

— Biada! — szepnął Aramis.

W tej chwili, w środku szerokiego kręgu oświetlonego promieniami księżyca, w odległości czterech, może pięciu sążni od barki, wir, taki sam jak wtedy, gdy odmęt wchłonał dwu ludzi, znów się pojawił na wodzie i ujrano najpierw włosy, potem twarz, bladą, z oczami otwartymi, lecz martwymi, potem ciało, które pionowo aż po pierś wyłoniwszy się z morza, osunęło się bezwładnie na wznak, kołysane ruchem fal.

W piersi trupa tkwił sztylet o złotej, lśniącej rękojeści.

— Mordaunt! Mordaunt! Mordaunt! — krzyknęli trzej przyjaciele. — To Mordaunt!

— Ale Atos?! — zawołał d'Artagnan.

Nagle łódź przechyliła się w lewo pod nowym i nieoczekiwanym ciężarem, a Milczek aż wrzasnął z radości. Wszyscy się odwrócili i ujrano Atosa. Był blady, oczy miał jak zgasłe, ręce mu drżały. Oparł się o krawędź łodzi i odpoczywał. Cztery pary niecierpliwych ramion natychmiast pochwyliły go i wniosły do barki, i Atos uczuł, że się rozgrzewa, wraca do życia, odradza od

pieszczot i uścisków pijanych radością przyjaciół.

— Czyś aby nie ranny? — zapytał d'Artagnan.

— Nie — odparł Atos. — A on?

— O, on, tym razem, chwała Bogu, już skołał na amen! Spójrz!

I d'Artagnan, zmuszając Atosa, żeby spojrzeł w tamtym kierunku, pokazał mu pływające na wznak na rozkołysanym morzu ciało Mordaunta, które to zalewane falą, to znów na jej grzbiet wynoszone, wydawało się wciąż jeszcze ścigać czterech przyjaciół łączym i nienawistnym spojrzeniem.

Wreszcie znikło pod wodą. Atos patrzył na to wzrokiem wyrażającym smutek i litość.

— Brawo, Atosie! — rzekł Aramis z niezwykłą sobie czułością.

— Piękny cios! — zawołał Portos.

— Mam syna — rzekł Atos. — Chciałem żyć.

— Nareszcie! — rzekł d'Artagnan. — Bóg się w to wmieszał!

— To nie ja go zabiłem — szepnął Atos — ale los.

## 31. W którym Muszkiet, uratowawszy się przed upieczeniem, o mało co nie został zjedzony

Po straszliwej scenie, którą powyżej opisaliśmy, głęboka cisza na długo zapanowała w łodzi. Księżyc, który się ukazał na chwilę, jakby sam Bóg postanowił, by żaden szczegół tego wydarzenia nie został przed oczyma patrzących zakryty, znikł za chmurami. Wszystko znów pogrążyło się w ciemności, tak strasznej wśród wszelkiej pustyni, a osobliwie wśród tej płynnej pustyni, która się nazywa oceanem, i tylko słychać było świst zachodniego wiatru między grzbietami fal.

Pierwszy Portos przerwał milczenie.

— Niejedno widziałem — rzekł — ale nic jeszcze nie przejęło mnie tak jak to, com przed chwilą oglądał. A przecież choć jeszcze wszystko się gotuje we mnie, powiadam wam, że jestem niewiarogodnie szczęśliwy. Jakby mi ciężar stu funtów zdjęto z piersi. Nareszcie swobodnie oddycham!

I Portos rzeczywiście odetchnął z hałasem, który zaszczyt przynosił potężnej sile jego płuc.

— Ja nie powiedziałbym o sobie tego co ty, Portosie — odezwał się Aramis. — Wciąż jeszcze jestem wystraszony. Do tego stopnia, że własnym oczom nie ufam, że nie dowierzam temu, com sam widział, że wciąż się rozglądam dookoła i spodziewam się każdej chwili znów ujrzeć, jak się wyłania z morza ten łotr, trzymając w ręku sztylet, który mu utkwiał w sercu.

— O, ja już tam jestem o to spokojny — odrzekł Portos. — Sztylet tkwił pod szóstym zębem, pogrążony aż po gardę. Nie mam ci tego za złe, Atosie, przeciwnie. Jeśli się uderza, to właśnie tak uderzać należy. Toteż odżyłem teraz, odetchnąłem, nareszcie mi wesoło.

— Nie śpiesz się tak, Portosie, jeszcze nie pora trąbić na zwycięstwo — rzekł d'Artagnan. — Jeszcze nigdy nie zagrażało nam tak wielkie, jak teraz, niebezpieczeństwo. Bo człowiek może zwyciężyć człowieka, ale żywiołu nie zwycięży. A jesteśmy w tej chwili na morzu, w nocy, bez przewodnika, w kruchej łodzi. Dość, by jeden silniejszy podmuch wiatru przewrócił tę łódź, a będzie po nas.

Muskiet głęboko westchnął.

— Jesteś niewdzięczny, d'Artagnan — odezwał się Atos. — Tak, niewdzięczny, boś zwątpił w Opatrzność właśnie teraz, kiedy nas wszystkich dopiero co ocaliła w tak cudowny sposób. Czyżbyś mniemał, że przeprowadziła nas, trzymając za rękę, przez tyle niebezpieczeństw po to, żeby nas przy samym końcu opuścić? Nie. Wyjechaliśmy z zachodnim wiatrem, który wciąż jeszcze wieje. — Atos poszukał gwiazdy polarnej. — Tu jest Wielki Wóz, a więc tam jest Francja. Płynmy z wiatrem, a póki nie zmieni kierunku, będzie nas pchał ku brzegom Calais albo Boulogne. Jeśli łódź się przewróci, jesteśmy dość mocni i dość dobrze płynamy, w każdym razie pięciu z nas, żeby ją odwrócić albo żeby się jej uczepić, jeśliby tamto przerastało nasze siły. Ale znajdujemy się na szlaku wszystkich statków idących z Douvres do Calais i z Portsmouth do Boulogne. Gdyby ślady ich mogły się trwale wyryć w wodzie, uczyniłyby istny wąwóz w tym miejscu, w którym jesteśmy. A zatem, skoro się rozjaśni, na pewno spotkamy jakąś rybacką łódź, która nas zabierze.

— Ale jeśli jej nie spotkamy, a wiatr, na przykład, skręci na północ?

— Wtedy — rzekł Atos — byłaby inna sprawa i odnaleźlibyśmy ziemię dopiero po tamtej stronie Atlantyku.

— Czyli że pomarlibyśmy z głodu — rzekł Aramis.

— To więcej niż prawdopodobne — odparł hrabia de La Fere.

Muskiet westchnął po raz wtóry, jeszcze żałośniej niż za pierwszym razem.

— Ejże, Musz, co ci jest, że tak wciąż wzdychasz? — zapytał Portos. — To

się robi nudne.

— To mi jest, że mi zimno, panie — odparł Muszkiet.

— Niemożliwe — rzekł Portos.

— Niemożliwe? — zapytał zdziwiony Muszkiet.

— Oczywiście. Ciało masz pokryte warstwą tłuszczu, przez którą powietrze nie przenika. Coś innego się w tym kryje, mów szczerze.

— A więc powiem, tak, proszę pana, przeraża mnie właśnie owa warstwa tłuszczu, którą pan tak wychwala.

— Dlaczegoż to, Musz? Mów śmiało, ci panowie pozwalają.

— Bo proszę łaski pana, przypominam sobie, że w bibliotece zamkowej w Bracieux jest dużo książek z opisami podróży, wśród nich zaś opis podróży Jana Mocqueta, słynnego podróżnika z czasów króla Henryka IV.

— Więc co?

— Ano, proszę pana — rzekł Muszkiet — w tych książkach często jest mowa o przygodach na morzu i o przypadkach podobnych do tego, jaki nam w tej chwili grozi.

— Mów dalej, Musz — rzekł Portos. — To bardzo ciekawa zbieżność.

— Ano, proszę pana, Jan Mocquet powiada, że w takim przypadku zgłodniiali podróżnicy mają okropny zwyczaj zjadania się nawzajem, zaczynając od...

— Od najtłustszego! — zawołał d'Artagnan, nie mogąc pohamować śmiechu, choć położenie było poważne.

— Tak, proszę pana — odparł Muszkiet nieco zgorszony tym wybuchem wesołości — i za pozwoleniem, chcę powiedzieć panu, że nie widzę w tym żadnego powodu do śmiechu.

— Ten poczciwy Musz jest istnym uosobieniem przywiązania — rzekł Portos. — Zakład, żeś już się widział rozebrany na ćwierci i zjadany przez twojego pana.

— Tak, proszę pana, choć wyznać muszę, że radość z tego, jaką słusznie w

mym sercu odgadłeś, nie jest wolna od pewnej domieszki smutku. Ale nie żałowałbym się za bardzo, gdybym umierając miał pewność, że się panu jeszcze i po śmierci przydam.

— Muszu — rzekł wzruszony Portos — jeśli wrócimy jeszcze do mojego zamku w Pierrefonds, dostaniesz na własność dla ciebie i twoich potomków winnicę, która jest położona nad fermą.

— I nazwiesz ją Winnicą Przywiązania, Muszkiecie — rzekł Aramis — żeby przekazać najdalszym wiekom pamięć o tej ofiarności.

— Kawalerze — rzekł d'Artagnan wciąż jeszcze się śmiejąc — zjadłbyś poledwicę z Musza bez większego wstrętu, prawda? A szczególnie po dwóch, trzech dniach postu.

— O, na honor, nie! — odparł Aramis — wolałbym poledwicę z Blaisois; krócej go znamy.

Łatwo się domyślić, że podczas tej wymiany żartów, której celem było przede wszystkim odwrócenie od umysłu Atosa wspomnienia sceny, co się tak niedawno temu rozegrała, z wyjątkiem Milczka, który wiedział, że jego niebezpieczeństwo na pewno by ominęło, służący byli cokolwiek zaniepokojeni.

Milczek natomiast, jak zwykle niemy, nie brał żadnego udziału w rozmowie, za to zamaszyście pracował obydwoma wiosłami.

— Wiosłujesz? — zapytał go Atos.

Milczek odpowiedział znakiem twierdzącym.

— Po co wiosłujesz?

— Żeby się rozgrzać.

Rzeczywiście, choć wszyscy rozbitkowie trzęśli się z zimna, milczący Milczek był aż spocony.

Nagle Muszkiet krzyknął radośnie i podniósł do góry rękę, w której trzymał flaszkę.

— O! — zawołał podając flaszkę Portosowi — o, jesteśmy ocaleni, proszę pana! Łódź jest zaopatrzona w żywność!

I żwawo poszukawszy pod ławką, spod której wydobył ten cenny przedmiot, wyciągnął po kolei dwanaście takich samych butelek, chleb i ćwiartkę solonej wołowiny.

Nie trzeba chyba mówić, że wskutek tego odkrycia wszyscy, z wyjątkiem Atosa, odzyskali humor.

— Do kaduka! — rzekł Portos, który, jak pamiętamy, już wtedy kiedy wchodzili na żaglowiec, był głodny — zdumiewająca rzecz, jak wrażenia zaostrzają apetyt.

Jednym haustem wypił całą flaszkę i zjadł sam jeden trzecią część chleba i solonej wołowiny.

— A teraz, panowie — rzekł Atos — śpijcie, a w każdym razie próbujcie zasnąć. Ja będę czuwał.

Taka propozycja uczyniona komukolwiek innemu niż nasi śmiałkowie zakrawałaby na kpinę. Przecież byli przemoczeni do kości, wystawieni na lodowaty wiatr, a wzruszenia, jakich doświadczyli przed niedawną chwilą, nikomu nie pozwoliłyby zamknąć oka. Lecz do tych wyborowych natur, do tych żelaznych temperamentów, do tych ciał zaprawionych do wszelkich niewygód sen przychodził w każdej okoliczności i o każdej porze, zawsze, na każde wezwanie.

Toteż po chwili, całkowicie ufając sternikowi, wszyscy, ułożywszy się, jak który mógł, poszli za radą Atosa, a on, siedząc przy sterze i wzrok utkwivszy w niebie, gdzie zapewne wypatrywał nie tylko drogi do Francji, ale i oblicza Boga, sam jeden czuwał, jak to im przyobiecał, zadumany, bezsenny, prowadząc niewielką łódź po właściwym szlaku.

Po kilku godzinach snu podróżnicy zostali zbudzeni przez Atosa.

Morze już się niebieściło w pierwszym brzasku, a przed nimi, na dziesięć strzelań z muszkietu mniej więcej, widać było jakiś ciemny kształt, nad którym wysmignął w górę biały, trójkątny żagiel, wydłużony jak jaskółcze skrzydło.

— Statek! — krzyknęli jednogłośnie trzej przyjaciele, podczas gdy służący



ze swej strony wyrażali radość, każdy innym głosem.

Istotnie, był to frachtowiec z Dunkierki, płynący do Boulogne.

Czterej panowie, Blaisois i Muszkiet połączyli swoje głosy w jeden okrzyk, który rozszedł się po falistej powierzchni morza, Milczek zaś, nie odzywając się, zatknął swój kapelusz na koniec wiosła, żeby przyciągnąć nim spojrzenia tych, których dosięgnie wołanie.

Po kwadransie już holowało ich czółno przysłane z frachtowca. Weszli na pokład stateczku. Milczek przyobiecał szyprowi w imieniu swego pana dwadzieścia gwinei, a że wiatr był pomyślny, nasi Francuzi już o dziewiątej rano stanęli na ojczystej ziemi.

— Jaki się człowiek czuje na niej mocny, do kroćset! — rzekł Portos zanurzając w piachu swe ogromne stopy. — Niechby teraz kto poszukał ze mną zwady, niechby na mnie spojrzał krzywo, niechby mnie zaczepił — zobaczyłby, z kim ma do czynienia. Do kaduka, wyzwiałbym całe królestwo!

— A ja — rzekł d'Artagnan — poprosiłbym cię, byś tego wyzwania nie powtarzał za głośno, Portosie, bo zdaje mi się, że coś za bardzo tu na nas patrzą.

— Myślę sobie! — rzekł Portos. — Podziwiają nas.

— Mnie tam nie zależy na sławie, mój Portosie, przysięgam ci — rzekł d'Artagnan. — Za to widzę ludzi w czarnych sukniach, a w naszym położeniu ludzie w czarnych sukniach napędzają mi stracha, szczerze się przyznam.

— To urzędnicy portowi naznaczający cło na towary — rzekł Aramis.

— Za tamtego kardynała, za wielkiego — rzekł Atos — bardziej uważaliby na nas niż na towary. Ale za tego kardynała możecie być spokojni, przyjaciele, że bardziej będą uważać na towary niż na nas.

— Ja tam im nie dowierzam — rzekł d'Artagnan — i idę między wydmy.

— Czemu nie do miasta? — zapytał Portos. — Wolałbym dobrą oberżę od tej okropnej piaszczystej pustyni, którą Bóg stworzył tylko dla królików. Zresztą chce mi się jeść.

— Rób, jak chcesz, Portosie — rzekł d'Artagnan — ale jeśli o mnie idzie,

jestem zdania, że najbezpieczniejszym miejscem dla ludzi w naszym położeniu jest szczere pole.

I d'Artagnan, pewny, że większość pójdzie za nim, ruszył ku wydmom, nie czekając na odpowiedź Portosa.

Reszta kompanii podążyła jego śladem i wkrótce wszyscy znikli między pagórkami z piasku, nie bez zwrócenia na siebie uwagi.

— A teraz — rzekł Aramis, kiedy już uszli ze ćwierć mili — porozmawiajmy.

— O, nie — rzekł d'Artagnan. — Uciekajmy. Wymknęliśmy się Cromwellowi, Mordauntowi i morzu, trzem otchłaniom, które chciały nas pożerać, ale nie wymkniemy się panu Mazariniemu!

— Masz słuszość, d'Artagnanie — rzekł Aramis — i ja byłbym nawet zdania, że gwoli większego bezpieczeństwa powinniśmy się rozstać.

— Tak, Aramisie, racja — rzekł d'Artagnan. — Rozstańmy się.

Portos już, już chciał przemówić, żeby sprzeciwić się temu postanowieniu, lecz d'Artagnan, ścisnąwszy go za rękę, dał mu do zrozumienia, że nie powinien się odzywać. Portos zawsze ślepo słuchał takich znaków swego towarzysza, którego umysłową wyższość uznawał ze zwykłą sobie pocziwością.

Powstrzymał więc słowa, które już mu się cisnęły na usta.

— Dlaczego mielibyśmy się rozstać? — zapytał Atos.

— Bo Portos i ja — rzekł d'Artagnan — zostaliśmy wysłani przez pana Mazariniego do Cromwella i zamiast służyć Cromwellowi, służyliśmy królowi Karolowi I, co zgoła nie jest jedno i to samo. Wracając razem z panami de La Fere i d'Herblay jawnie przyznajemy się do popełnionej zbrodni. Jeśli zaś wrócimy sami, nasza zbrodnia będzie niepewna, a niepewnością można zaprowadzić ludzi bardzo daleko. Otóż chciałbym wykołować pana Mazariniego.

— A wiesz co? — rzekł Portos — masz słuszość.

— Zapominacie — rzekł Atos — że jesteśmy waszymi jeńcami, że wcale

się nie uważamy za zwolnionych z danego wam słowa i że przyprowadzając nas jako jeńców do Paryża...

— Doprawdy, Atosie — przerwał mu d'Artagnan — aż mi przykro słuchać, jak taki mądry jak ty człowiek wciąż mówi brednie, których powstydziliby się uczniowie z trzeciej klasy. Kawalerze — ciągnął dalej, zwracając się do Aramisa, który dumnie podparłszy się szpadą, wyglądał, jakby po pierwszym słowie Atosa zgodził się z jego zdaniem, choć sam przed chwilą powiedział coś wręcz przeciwnego. — Kawalerze, zrozum przecie, że i teraz, jak zwykle, przesadzam z wrodzonej sobie ostrożności. Portos i ja nic w gruncie rzeczy nie ryzykujemy. Lecz gdyby przypadkiem spróbowano nas zaaresztować w waszej przytomności, to co? Nie aresztuje się siedmiu ludzi tak jak trzech. Szpady ujrzałyby słońce i cała sprawa, już dla wszystkich kiepska, stałaby się czymś wręcz potwornym, co by nas wszystkich czterech zgubiło. Prócz tego, jeśli dwom z nas zdarzy się nieszczęście, czyż nie lepiej, by dwaj inni zostali na wolności, żeby wyciągać przyjaciół z tarapatów, żeby węszyć, pełzać, podkopywać się i wreszcie ich oswobodzić? A zresztą kto wie, czy nie uzyskamy osobno, my od Mazariniego, a wy od królowej, przebaczenia, którego nie dano by wszystkim czterem zebranych do kupy? Dalej, Atosie i Aramisie, idźcie w prawo, ty, Portosie, chodź w lewo, razem ze mną. Panowie niech zmykają przez Normandię, a my najkrótszą drogą jedźmy do Paryża.

— Ale jeśli by których capnęli w drodze, jak damy sobie nawzajem znać o tej katastrofie? — zapytał Aramis.

— Nic łatwiejszego — odparł d'Artagnan — ustalmy marszruty, których będziemy się trzymali skrupulatnie. Jedźcie do Saint-Valery, stamtąd do Dieppe, a z Dieppe traktem do Paryża. My pojedziemy przez Abbeville, Amiens, Peronne, Compiègne i Senlis i w każdej oberży, w każdym domu, w którym się zatrzymamy, będziemy pisać ostrzem noża na murze albo diamentem na szybie wskazówkę, która mogłaby ułatwić poszukiwania tym, co zostaną wolni.

— O, przyjacielu — rzekł Atos — jakże podziwiałbym nieprzebrane

skarby twego umysłu, gdybym nie musiał się zatrzymać z uwielbieniem przy skarbach twego serca!

I wyciągnął rękę do d'Artagnana.

— Czyż lis jest obdarzony geniuszem, Atosie? — odparł Gaskończyk wzruszając ramionami. — Nie, potrafi dusić kury, zwodzić myśliwego i odnajdywać drogę tak w nocy, jak w dzień, to wszystko. Zatem jak umówiliśmy się, tak?

— Tak, tak jak umówiliśmy się.

— Więc podzielmy pieniądze — rzekł d'Artagnan. — Powinno było zostać niecałe dwieście pistoli. Ile zostało, Milczku?

— Sto osiemdziesiąt półludwików, proszę pana.

— W porządku. O, wiwat, otóż i słońce! Dzień dobry, kochane słońce! Choć nie jesteś takie samo jak w Gaskonii, poznaję cię, a przynajmniej tak, jakbym cię poznał. Dzień dobry! Już dawno ciebie nie widziałem.

— No, no, d'Artagnan — rzekł Atos — nie udawaj zucha, przecież masz łzy w oczach. Bądźmy zawsze szczerzy ze sobą. Niech ta szczerłość ukáže to, co jest w nas najlepszego.

— Czyżbyś mniemał, Atosie — odparł d'Artagnan — że łatwo jest opuszczać z zimną krwią, w nie całkiem bezpiecznej chwili, takich dwóch przyjaciół jak ty i Aramis?

— Nie — rzekł Atos — toteż pójdz w me ramiona, mój synu.

— Do licha! — rzekł Portos szlochając — zdaje mi się, że płaczę. Głupie uczucie!

I czterej przyjaciele padli sobie w ramiona, tworząc jedną zespoloną całość. Ci czterej ludzie złączeni braterskim uściskiem mieli w tej chwili zaiste jedną wspólną duszę.

Blaisois i Milczek mieli jechać z Atosem i Aramisem.

Portosowi i d'Artagnanowi wystarczał Muszkiet.

Pieniądze, jak to zwykle bywało, podzielili między siebie równo, po

bratersku; po czym, jeszcze raz uściskał sobie dłonie i jeszcze raz powtórzywszy sobie nawzajem zapewnienie wieczystej przyjaźni, czterej muszkietierowie rozstali się ruszając umówioną marszrutą, ale wciąż oglądali się za siebie i wciąż odsyłali sobie serdeczne słowa, które echo powtarzało między wydmami.

Wreszcie stracili się z oczu.

— Do kroćset, d'Artagnan! — rzekł Portos. — Muszę ci to powiedzieć od razu, bo nie umiałbym skrywać w sercu czegoś, co jest przeciwko tobie: nie poznałem cię w tej okazji.

— Dlaczego? — zapytał uśmiechając się przebiegle d'Artagnan.

— Dlatego, że jeśli jak sam mówisz, Atosowi i Aramisowi grozi prawdziwe niebezpieczeństwo, nie wolno nam było ich opuścić. Przyznam ci się, że byłem już gotów iść z nimi i że jeszcze jestem gotów ich dogonić, nie bacząc na wszystkich Mazarinich, jacy tylko chodzą po tym świecie.

— I miałbyś słuszość, Portosie, gdyby tak się rzeczy miały — odparł d'Artagnan — lecz dowiedz się o pewnej drobnostce, która, choć tak niewielka, odmieni bieg twego rozumowania: to nie im grozi prawdziwe niebezpieczeństwo, ale nam. I rozstaliśmy się z nimi nie po to, żeby ich opuścić, ale po to, żeby ich nie narażać.

— Naprawdę? — rzekł Portos ze zdziwieniem szeroko otwierając oczy.

— Ano bez wątpienia: jeśli ich aresztują, rzecz może się skończyć dla nich najdalej w Bastylii; jeśli aresztują nas, rzecz może się skończyć na placu Greve.

— Och! — rzekł Portos — jakże daleko stamtąd do tej baronowskiej korony, którą mi obiecywałeś, d'Artagnanie!

— Kto wie, może nie tak daleko, jak ci się wydaje, Portosie. Chyba znasz przysłowie: "Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu".

— Ale dlaczego nam grozi większe niebezpieczeństwo niż Atosowi i Aramisowi? — zapytał Portos.

— Dlatego, że oni tylko wypełnili poselstwo zleczone im przez królową

Henriete, my zaś zdradziliśmy poselstwo zleczone nam przez Mazariniego; dlatego, że wysłani jako posłowie do Cromwella, staliśmy się stronnikami Karola; dlatego, że zamiast dopomagać, by spadła ta królewska głowa skazana przez chamów zwanych Mazarinimi, Cromwellami, Joyce'ami, Pridge'ami, Fairfaxami i tak dalej, my próbowaliśmy ją ocalić i o mało nam się to nie udało.

— To, na honor, prawda — rzekł Portos — ale czyżby ci się zdawało, drogi przyjacielu, że wśród tylu ważniejszych zajęć generał Cromwell miał czas myśleć o...

— Cromwell myśli o wszystkim, Cromwell ma czas na wszystko. My zaś nie traćmy naszego, bo wierz mi, drogi przyjacielu, że jest bardzo cenny. Będziemy bezpieczni nie wcześniej jak po zobaczeniu się z Mazarinim, a i wtedy jeszcze...

— Do licha! — rzekł Portos — a co my powiemy Mazariniemu?

— To zostaw mnie, mam pewien plan. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Pan Cromwell jest bardzo silny, pan Mazarini jest bardzo chytry, ale mimo to wolę układać się z nimi niż z nieboszczykiem panem Mordauntem.

— Prawda! — rzekł Portos — jak przyjemnie powiedzieć: “nieboszczyk pan Mordaunt”.

— O tak, na honor! — potwierdził d'Artagnan. — Ale ruszajmy w drogę.

I obaj, ani chwili więcej nie tracąc, ruszyli w stronę paryskiego traktu widocznego w oddali, za nimi zaś pośpieszył Muszkiet, który choć przez całą noc dygotał z zimna, po kwadransie marszu spociał się jak mysz.

## 32. Powrót

Atos i Aramis, trzymając się wytyczonej przez d'Artagnana marszrutę, jechali, jak mogli najszybciej. Zdawało się im, że im bliżej Paryża zostaliby zaaresztowani, tym byłoby dla nich korzystniej.

Każdego wieczora, bojąc się, żeby ich nie zabrano w nocy, ryli bądź na ścianie, bądź na szybie, umówiony znak porozumiewawczy, lecz ku ich wielkiemu zdziwieniu każdego ranka budzili się jeszcze wolni.

W miarę jak się zbliżali do Paryża, wielkie wydarzenia, których byli świadkami, a które tak niedawno temu wstrząsnęły Anglią, zacierały się w ich wspomnieniu niby sen i z kolei wychodziło im na spotkanie to wszystko, co poruszało Paryż i prowincję przez czas ich nieobecności.

Przez te sześć tygodni działo się we Francji tak dużo rzeczy małych, że zebrane razem złożyły się na wielkie wydarzenie. Paryżanie zbudziwszy się rano bez królowej i bez króla, bardzo przykro odczuli swe osamotnienie i nawet nieobecność Mazariniego, choć tak gorąco upragniona, nie wyrównała im utraty dwojga dostojnych zbiegów.

Pierwszym więc uczuciem, jakie poruszyło Paryż, skoro się dowiedział o ucieczce do Saint-Germain, ucieczce, przy której asystowali nasi czytelnicy, było coś na kształt przerażenia, jakie ogarnia dzieci, kiedy się obudzą w nocy w pustym pokoju. Parlament zmiękł i uchwalono, że wyśle się deputację do królowej, żeby ją prosić, by nie pozbawiała dłużej Paryża swojej królewskiej obecności.

Ale królowa, mocno pokrzepiona na duchu zwycięstwem pod Lens i dumna ze swej ucieczki, przeprowadzonej tak szczęśliwie, jeszcze nie ochłonęła z tych wrażeń. Deputacja nie tylko nie dostąpiła zaszczytu dopuszczenia przed oblicze jej królewskiej mości, ale kazano jej czekać na trakcie, gdzie kanclerz —

ten sam kanclerz Seguier, który, jak wiemy z pierwszej części tego dzieła, potrafił szukać pewnego listu tak zawzięcie, że odważył się sięgnąć aż za gors królowej — wreszcie do nich wyszedłszy, doręczył wysłannikom parlamentu ultimatum dworu, w którym powiedziano, że jeśli parlament nie ukorzy się przed królewskim majestatem, we wszystkich kwestiach spornych uznając własną winę, Paryż zostanie nazajutrz obleżony, i że w przewidywaniu tegoż obleżenia książę Orleański już obsadził most w Saint-Cloud, a jego księżęca wysokość, opromieniony chwałą swego zwycięstwa pod Lens, już trzyma Charenton i Saint-Denis.

Na nieszczęście dla dworu, któremu umiarkowana odpowiedź przysporzyła niemało stronników, to pełne pogroźek ultimatum dało efekt odwrotny, niż się spodziewano. Zadrasnęło ono dumę parlamentu i parlament, czując, że ma mocne oparcie w mieszczaństwie, które wymógłszy ułaskawienie Broussela przekonało się o własnej sile, w odpowiedzi na pismo królowej ogłosił kardynała Mazariniego, jawnego sprawcę tych wszystkich nieporządków, wrogiem króla i państwa i rozkazał mu, by jeszcze tego dnia opuścił dwór, a w ciągu tygodnia — Francję, nakazując zarazem wszystkim poddanym króla, by po upływie tego terminu ścigali go, jeśli by nie posłuchał.

Ta energiczna odpowiedź, jakiej dwór zgoła się nie spodziewał, postawiła poza prawem zarazem i parlament, i Mazariniego. Tylko jeszcze nie wiadomo było, kto nad kim weźmie górę: parlament nad dworem czy dwór nad parlamentem.

Dwór zaczął się tedy szykować do natarcia, a Paryż do obrony. Mieszczanie zabrali się do zwykłych zajęć mieszczan w czasie buntu, czyli do zaciągania łańcuchów i wyrywania bruku z ulic, i wśród tej krzątaniny nagle ujrzeli, że przybywają im z odsieczą książę de Conti, brat księcia de Conde, i książę de Longueville, jego szwagier, przyprowadzeni przez pana koadiutora. Więc paryżanie pokrzepili się na duchu, bo mieli za sobą dwu książąt krwi i co ważniejsze, przewagę liczebną. Ta nieoczekiwana pomoc spadła im dziesiątego



stycznia.

Po burzliwej naradzie książę de Conti został mianowany naczelnym wodzem królewskich wojsk przebywających poza Paryżem, a jako przybocznych generałów przydano mu księcia d'Elboeuf, księcia de Bouillon i marszałka de La Mothe. Książę de Longueville, który nie otrzymał żadnego tytułu ani urzędu, zadowolił się funkcją pomocnika swego szwagra.

Co się tyczy księcia de Beaufort, to przybył on z Vendómois, przynosząc ze sobą, jak podaje kronika, ważną minę, piękne i długie włosy oraz tę popularność, która mu dała panowanie nad Halami.

Armia paryska zorganizowała się wtedy z szybkością, z jaką mieszczanie zwykle przedzierzają się w żołnierzy, kiedy ich do tej przemiany popchnie prawdziwy sentyment. Dziewiętnastego stycznia zaimprovizowane wojsko urządziło wycieczkę, bardziej po to, żeby siebie i innych przekonać o własnym istnieniu niż żeby czegoś istotniejszego dokonać. Wyruszyli na tę wycieczkę pod rozwiniętym sztandarem, na którym widniała niezwykła dewiza: "Szukamy naszego króla".

Następne dni zeszły na niewielkich dorywczych wypadkach, których jedynym wynikiem było zagarnięcie paru stad z pastwisk i podpalenie dwóch czy trzech domów.

Sprawy szły tym trybem aż do pierwszych dni lutego, a nasi czterej towarzysze właśnie pierwszego dnia tego miesiąca wylądowali w Boulogne i ruszyli do Paryża po dwu, innymi drogami.

Pod koniec czwartego dnia podróży Atos i Aramis przezornie wyminęli Nanterre, żeby nie wpaść przypadkiem na stronników królowej.

Atos bardzo niechętnie przedsiębrał te wszystkie ostrożności, ale przekonał go Aramis rozsądną uwagą, że nie wolno im postępować lekkomyślnie, bo została im powierzona przez króla Karola ostatnia misja, która otrzymana u stóp szafotu, dopiero u stóp królowej się skończy.

Atos musiał ustąpić.

Przy rogatec podróznicy nasi napotkali silne straże; cały Paryż stał pod bronią. Warty nie przepuściły dwóch szlachciców i wezwano sierżanta.

Sierżant zjawił się natychmiast i z wielce ważną miną, jaką zwykle przybierają łyki, kiedy im się szczęśliwie uda przyodziać w jakąś wojskową godność, zapytał:

— Kim jesteście, panowie?

— Dwaj szlachcice — odparł Atos.

— Skąd przybywacie?

— Z Londynu.

— Co was sprowadza do Paryża?

— Poselstwo do jej królewskiej mości królowej Anglii.

— Tam do licha, czyżby wszyscy się dziś wybierali do królowej Anglii?!

— zawołał sierżant. — Mamy już na posterunku trzech panów, którym właśnie się sprawdza przepustki, a którzy też się udają do jej królewskiej mości. Gdzie wasze przepustki?

— Nie mamy przepustek.

— Jak to, nie macie?

— Nie, przybywamy z Anglii, jak już powiedziałem. Nie wiemy, w jaki sposób ułożyły się we Francji sprawy polityczne, bo opuściliśmy Paryż przed wyjazdem króla.

— A jużci! — rzekł z przebiegłą miną sierżant. — Jesteście zausznikami Mazariniego i chcecie się do nas przedostać, żeby nas szpiegować.

— Drogi przyjacielu — rzekł Atos, który aż do tej pory zdał był trud odpowiadania na Aramisa — gdybyśmy byli zausznikami Mazariniego, mielibyśmy na pewno wszelkie możliwe przepustki. Na twoim miejscu, wierz mi, nie ufałbym przede wszystkim tym, którzy mają dokumenty w najlepszym porządku.

— Wejdźcie do kordegardy — rzekł sierżant. — Wyłóżcie wasze racje dowódcy posterunku.

Skinął na wartowników, żeby się odsunęli, i wszedł do kordegardy, a za nim Atos i Aramis.

W kordegardzie pełno było mieszczan i ludzi z ludu; jedni grali, inni pili, jeszcze inni rozprawiali zawzięcie.

W jednym z kątów siedzieli, nie spuszczeni z oka, przybyli przed chwilą trzech szlachcice, którym oficer sprawdzał przepustki. Oficer ów był w sąsiedniej izbie, bowiem ważność jego urzędu zezwalała mu na korzystanie z osobnego pomieszczenia.

I nowo przybyli, i ci, co przed nimi stanęli u roгатki, z punktu obrzucili się nawzajem, poprzez całą szerokość kordegardy, szybkim a badawczym spojrzeniem. Ci, co przybyli tu pierwsi, nosili długie płaszcze, w których fałdy szczelnie byli owinięci. Jeden z nich, niższy od towarzyszy, trzymał się z tyłu, w cieniu.

Ponieważ sierżant wchodząc oznajmił na cały głos, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa przyprowadza dwóch zauszników Mazariniego, trzech siedzący w kącie szlachcice nastawili uszu i wyostrzyli uwagę. Najniższy z nich, który wyszedł był naprzód o dwa kroki, znów się cofnął i skrył w cieniu.

Na oznajmienie, że nowo przybyli nie mają przepustek, w kordegardzie jednogłośnie uznano, że nie zostaną wpuszczeni do Paryża.

— Nie sędzę — rzekł Atos — przeciwnie, jest wielce prawdopodobne, że zostaniemy wpuszczeni, ponieważ jak się zdaje, mamy do czynienia z rozsądnymi ludźmi. Otóż dość będzie zrobić coś bardzo prostego: podać nasze nazwiska jej królewskiej mości królowej Anglii, a jeśli ona za nas zaręczy, mam nadzieję, że nie będziecie mieli nic przeciwko temu, by nas wpuścić.

Na te słowa uwaga trzymającego się w cieniu szlachcica wzrosła, że aż drgnął ze zdumienia, i to tak nieostrożnie, że spadł mu kapelusz strącony płaszczem, w który chciał się jeszcze szczelniej opatulić. Schylił się i szybko podniósł kapelusz.

— O Boże! — rzekł Aramis trącając Atosa łokciem. — Widziałeś?

— Co? — zapytał Atos.

— Twarz najniższego z tamtych trzech!

— Nie.

— Bo wydało mi się... ale nie, to niemożliwe!

W tej chwili sierżant, który poszedł był do sąsiedniej izby po rozkazy dowódcy posterunku, wrócił i odezwał się podając trzem szlachcicom jakieś papiery:

— W porządku. Przepuść tych trzech panów.

Trzej panowie skinęli mu głowami i co szybciej skorzystali z pozwolenia i wolnej drogi, która się przed nimi na rozkaz sierżanta otworzyła.

Aramis odprowadził ich wzrokiem, a kiedy najniższy przechodził mimo, silnie ścisnął Atosa za rękę.

— Co ci się stało, mój kochany? — zapytał Atos.

— Mam... tak, niewątpliwie, mam przywidzenie.

Po czym zwracając się do sierżanta zapytał:

— Powiedz mi, sierżancie, czy znasz tych trzech panów, którzy dopiero co stąd wyszli?

— Znam ich nazwiska z przepustki: są to panowie de Flamarens, de Chatillon i de Bruy, trzech szlachcice frondyści, którzy udają się do księcia de Longueville.

— Dziwne! — rzekł Aramis bardziej do siebie niż do sierżanta. — Zdawało mi się, że poznaję Mazariniego we własnej osobie.

Sierżant parsknął śmiechem.

— On by się odważył leżać nam w ręce, żebyśmy go powiesili! Nie taki on głupi.

— Cóż — szepnął Aramis — mozem się i omylił, nie mam niezawodnego oka d'Artagnana.

— Kto tu wspomniał d'Artagnana? — zapytał oficer, który w tej właśnie chwili ukazał się na progu swojej izby.

— O! — zawołał Milczek wytrzeszczając oczy.

— Co takiego? — zapytali równocześnie Atos i Aramis.

— Wiórek! — odparł Milczek. — Wiórek... z ryngrafem.

— Pan hrabia de La Fere, pan d'Herblay! — zawołał oficer. — Wrócili panowie do Paryża! O, cóż to za radość dla mnie, proszę panów. Bo zapewne przybywacie po to, żeby się przyłączyć do obu książąt.

— Jak widzisz, mój kochany Wiórku — rzekł Aramis, a Atos uśmiechnął się tymczasem, zobaczywszy, jak ważny urząd zajmuje w mieszczańskie milicji dawny towarzysz Muszkiet, Gryzipiórka i Milczka.

— A pan d'Artagnan, którego, panie d'Herblay, wspomniałeś przed chwilą? Jeśli wolno zapytać, czy panowie wiedzą, co się z nim dzieje?

— Rozstaliśmy się z nim przed czterema dniami, drogi przyjacielu, i byliśmy przekonani, że zdąży przed nami do Paryża.

— Nie, proszę pana. Wiem na pewno, że nie wrócił do stolicy. Może zresztą zatrzymał się w Saint-Germain.

— Nie sądzę, umówiliśmy się "Pod Kózką".

— Zaglądałem tam jeszcze dzisiaj.

— A piękna Magdalena nie ma o nim wiadomości? — zapytał uśmiechając się Aramis.

— Nie, panie, i nie będę ukrywał, że wydała mi się bardzo o niego niespokojna.

— Widzę zatem, że zdążyliśmy pierwsi — rzekł Aramis — bo też i śpieszyliśmy się. Pozwól więc, drogi Atosie, że nie dowiadując się dłużej o naszego przyjaciela, powinszuję panu Wiórkowi.

— O, panie kawalerze — rzekł Wiórek kłaniając się.

— Jesteś porucznikiem — rzekł Aramis.

— Porucznikiem z obietnicą na stopień kapitana.

— Bardzo ładnie — rzekł Aramis. — A jakieś doszedł do tych zaszczytów?

— Najpierw, panowie wiedzą zapewne, że to ja uratowałem pana de

Rochefort?

— Tak, do krośset! Opowiadano nam o tym.

— Przy tej okazji o mało co nie zostałem powieszony przez Mazariniego, co mi zyskało naturalnie jeszcze większą niż przedtem popularność.

— I dzięki tej popularności...

— Nie, dzięki czemuś lepszemu. Panowie zresztą wiedzą, zem służyłem w pułku piemonckim, gdzie miałem honor być sierżantem.

— Tak.

— Otóż pewnego dnia, kiedy nikt ani rusz nie potrafił poustawiać w szeregi ciżby zbrojnych mieszczan, którzy wciąż ruszali jedni z lewej nogi, drudzy z prawej nogi, mnie się udało ich zmusić, żeby ruszyli wszyscy z tej samej nogi, i zrobiono mnie porucznikiem na polu ćwiczeń.

— Już rozumiem — rzekł Aramis.

— Macie teraz u siebie całe mnóstwo szlachty, co? — zapytał Atos.

— Ano mamy. Najpierw mamy, jak panowie zapewne wiedzą, księcia de Conti, księcia de Longueville, księcia de Beaufort, księcia d'Elboeuf, księcia de Bouillon, księcia de Chevreuse, pana de Brissac, marszałka de La Mothe, pana de Luynes, margrabiego de Vitry, księcia de Marcillac, margrabiego de Noirmoutiers, hrabiego de Fiesques, margrabiego de Laigues, hrabiego de Montresor, margrabiego de Seville i czy ja wiem, kogo jeszcze.

— A pana Raula de Bragelonne? — zapytał Atos głosem, który zdrzął lekko. — D'Artagnan mówił mi, że na wyjeździe polecił go twojej opiece, mój poczciwy Wiórku.

— Tak, panie hrabio, polecił mi go, jakby był jego rodzonym synem, i muszę panu powiedzieć, zem go ani na chwilę nie straciłem z oka.

— Powiedz zatem — rzekł Atos głosem zmienionym z radości — czy jest zdrów? Czy mu się nic złego nie przytrafiło?

— Nic, panie hrabio.

— A mieszka?

— W gospodzie “Pod Karolem Wielkim”, jak zawsze.

— Gdzie spędza dni?

— Albo u królowej angielskiej, albo u pani de Chevreuse. Obaj z hrabią de Guiche nie rozstają się.

— Dziękuję, Wiórku, dziękuję — rzeki Atos podając mu rękę.

— Och, panie hrabio — odparł Wiórek dotykając końcami palców tej ręki.

— Co czynisz, hrabio? Podajesz rękę dawnemu służącemu? — szepnął Aramis.

— Przyjacielu — rzekł Atos — dał mi wiadomości o Raulu.

— A co panowie mają zamiar teraz zrobić? — zapytał Wiórek, który nie dosłyszał uwagi Aramisa.

— Wrócić do Paryża, jeżeli nam na to pozwolisz, mój kochany panie Wiórku — rzekł Atos.

— Jak to? Jeśli ja panom pozwolę! Pan drwi sobie ze mnie, panie hrabio; jestem, jak zwykle, tylko waszym sługą.

I uklonił się.

— Przepuścić tych panów — rozkazał. — Ja ich znam, to przyjaciele księcia de Beaufort.

— Niech żyje książę de Beaufort! — zakrzyknął jednym głosem cały posterunek, rozstępując się przed Atosem i Aramisem.

Tylko sierżant podszedł do Wiórka.

— Jak to? Bez przepustek? — szepnął.

— Bez przepustek — odparł Wiórek.

— Zważ, kapitanie — ciągnął sierżant, już z góry nadając Wiórkowi szarżę, która była mu zaledwie obiecana — zważ, że jeden z trzech panów, którzy przed chwilą stąd wyszli, szepnął mi, że to podejrzani ludzie.

— Ja ich znam — rzekł z powagą Wiórek. — I ja za nich ręczę.

Co rzekłszy uściśnął dłoń Milczkowi, który wydał się wielce zaszczycony tym wyróżnieniem.

— Do widzenia, kapitanie — rzekł żartobliwym tonem Aramis. — Gdyby nam się coś przytrafiło, powołamy się na ciebie.

— Panie kawalerze — rzekł Wiórek — w tym jak i w każdej rzeczy jestem do usług panów.

— Hultaj ma spryt, i to niemały — rzekł Aramis dosiadając konia.

— A jakżeby go nie miał mieć — rzekł Atos, też z kolei wskakując na siodło — skoro tak długo czyścił kapelusze swojego pana?



### 33. Posłowie

Dwaj przyjaciele natychmiast ruszyli w dalszą drogę, zjeżdżając z pochyłości, na której leżało przedmieście. Skoro jednak zjechali w dół, ujrzeli ze zdumieniem, że ulice Paryża zamieniły się w rzeki, a place w jeziora. Przez cały styczeń lały rześiste deszcze i Sekwana wystąpiła z brzegów zalewając połowę stolicy.

Atos i Aramis dzielnie wjechali końmi w tę powódź, lecz wkrótce woda sięgnęła biednym zwierzętom aż do piersi i dwaj muszkietierowie przekonali się, że trzeba będzie zsiąść z koni i nająć łódź, co też uczynili, przykazawszy służącym, żeby zaczekali na nich w Halach.

Dojechali więc do Luwru łodzią. Była już głęboka noc, a Paryż — oglądany w świetle kagańców, palących się chwiejnym płomieniem wśród tych wszystkich jezior, z łodziami, w których pływały patrole, błyskając bronią i okrzykując się nawzajem wśród ciemności — przedstawiał sobą widok, który zachwyił Aramisa, człowieka rozmiłowanego w wojowniczych nastrojach tak, jak rzadko spotkać.

Stawili się u królowej, lecz musieli poczekać w przedpokoju. Jej królewska mość bowiem przyjmowała właśnie na audiencji panów, którzy przynieśli jej wieści z Anglii.

— My również — powiedział Atos pokojowcowi, który mu dał tę odpowiedź — my również nie tylko że przynosimy wieści z Anglii, ale sami nawet stamtąd wracamy.

— Jakież więc są nazwiska panów? — zapytał pokojowiec.

— Hrabia de La Fere i kawaler d'Herblay — odpowiedział Aramis.

— O, w takim razie, panie hrabio i panie kawalerze — rzekł pokojowiec usłyszawszy nazwiska, które królowa tyle razy wymawiała w swej nadziei — w

takim razie to co innego j sędzę, że jej królewska mość nie wybaczyłaby mi, gdybym pozwolił wam czekać choćby przez chwilę. Proszę, chodźcie za mną.

I poszedł przodem, a za nim Atos i Aramis.

Doszedłszy do drzwi komnaty, w której się znajdowała królowa, dał im znak, żeby zaczekali, po czym otworzył drzwi.

— Najjaśniejsza pani — rzekł — mam nadzieję, że mi wasza królewska mość wybaczy, że jej rozkazu nie posłuchałem, skoro się dowiem, że ci, których przybycie anonsowałem przed chwilą, to pan hrabia de La Fere i pan kawaler d'Herblay.

Na dźwięk tych dwóch nazwisk królowa wydała okrzyk radości, który obaj szlachcice usłyszeli z sąsiedniej komnaty, gdzie się zatrzymali.

— Biedna królowa! — szepnął Atos.

— O, niech wejdą! Niech wejdą! — zawołała z kolei młoda księżniczka podbiegając do drzwi.

Biedna panienska nie odstępowała matki i miłością córczyną starała się jej wynagrodzić nieobecność swych dwóch braci i dwóch sióstr.

— Wejdźcie, wejdźcie, panowie! — rzekła własnoręcznie otwierając drzwi.

Atos i Aramis weszli do komnaty. Królowa siedziała w fotelu, przed nią zaś stali dwaj z trzech szlachciców, których muszkietierowie spotkali byli w kordegardzie.

Byli to panowie de Flamarens i Gaspard de Coligny, książę de Chatillon, brat tego, który przed siedmioma czy też ośmioma laty został zabity na placu Królewskim w pojedynku, który odbył się z powodu pani de Longueville.

Usłyszawszy nazwiska dwu przyjaciół, cofnęli się o krok i z niepokojem zamienili między sobą po cichu kilka słów.

— I co, panowie?! — zawołała królowa Anglii ujrzawszy Atosa i Aramisa.  
— Nareszcie wróciliście, drodzy przyjaciele, ale kurierzy królowej Francji przegonili was. Kiedy wy dojeżdżaliście do bram Paryża, dwór już otrzymał

wieści z Londynu i właśnie panowie de Flamarens i de Chatillon przynieśli mi najświeższe nowiny od jej królewskiej mości Anny Austriaczki.

Atos i Aramis spojrzeli na siebie. Zdumiewał ich ten spokój, a nawet wręcz radość, jaka lśniła w oczach królowej.

— Proszę, mówcie dalej — rzekła zwracając się do panów de Flamarens i de Chatillon — więc powiedzieliście, że jego królewska mość Karol I, mój małżonek i pan, został skazany na śmierć wbrew woli większości swoich angielskich poddanych?

— Tak, najjaśniejsza pani — bąknął Chatillon.

Atos i Aramis spojrzeli na siebie, coraz bardziej zdziwieni.

— I że kiedy go prowadzono na szafot — mówiła dalej królowa — na szafot! mego pana! mego króla...! i że kiedy go prowadzono na szafot, oburzony lud ocalił go?

— Tak, najjaśniejsza pani — odparł Chatillon tak cichym głosem, że Atos i Aramis, choć przysłuchiwali się pilnie, ledwie tę twierdzącą odpowiedź dosłyszeli.

Królowa złożyła dłonie gestem wyrażającym bezbrzeżną wdzięczność niebu, a córka objęła matkę za szyję ramieniem i całowała ją, mając twarz zalaną łzami radości.

— Teraz nie pozostało nam nic więcej, jak złożyć waszej królewskiej mości nasze najniższe uszanowanie — rzekł Chatillon, któremu ta rola najwidoczniej ciążyła i który coraz bardziej czerwienił się pod uporczywym i badawczym spojrzeniem Atosa.

— Jeszcze chwilę, panowie — rzekła królowa zatrzymując ich skinieniem. — Jeszcze chwilę, proszę! Oto panowie de La Fere i d'Herblay, którzy jak mogliście usłyszeć, przybywają prosto z Londynu i którzy, być może, jako naoczni świadkowie, opowiedzą o szczegółach wam nie znanych. Powtórzycie je królowej, mojej dobrej siostrze. Mówcie, panowie, mówcie. Słucham. Niczego nie ukrywajcie. Nie oszczędzajcie mi niczego. Skoro jego królewska

mość żyje i skoro honor korony został uratowany, reszta jest mi całkiem obojętna.

Atos zbladł i podniósł rękę do serca.

— Co takiego? — zapytała królowa, która dostrzegła ten ruch i tę bladość.  
— Mówże, panie de La Fere, proszę!

— Wybacz, najjaśniejsza pani — rzekł Atos — ale nie chciałbym nic dodawać do opowieści tych panów, póki nie przyznają sami, że być może, są w błędzie.

— Są w błędzie?! — zawołała królowa z trudem łapiąc oddech. — W błędzie!... Co się stało? O Boże!

— Panie de La Fere — odezwał się do Atosa pan de Flamarens — jeśli jesteście w błędzie, nasza omyłka od królowej pochodzi i jak się spodziewam, chyba nie rościsz sobie praw do poprawiania jej, bo byłby to zarzut kłamstwa postawiony jej królewskiej mości.

— Czyżby od królowej pochodziła ta omyłka? — zapytał Atos tonem spokojnym, ale dobitnym.

— Tak — szepnął Flamarens spuszczać oczy.

Atos westchnął smutnie.

— Czyżby ta omyłka nie pochodziła raczej od człowieka, który panom towarzyszył i któregośmy widzieli z wami w kordegardzie na rogatce Roule? — zapytał z chłodną i obelżywą grzecznością Aramis. — Gdyż jeśli nie omyliliśmy się, hrabia de La Fere i ja, było was trzech, kiedy wjeżdżaliście do Paryża?

Chatillon i Flamarens zadrżeli.

— Tłumacz się jaśniej, hrabio! — zawołała królowa, której niepokój z chwili na chwilę wzrastał. — Czytam rozpacz na twoim czole, twoje usta nie śmia mi powiedzieć jakiejś strasznej wieści, twoje ręce drżą... O, mój Boże, mój Boże, co się stało?!

— O Boże! — krzyknęła księżniczka padając na kolana obok królowej. — Miej litość nad nami!

— Panie de La Fere — rzekł Chatillon — jeśli przynosisz jakąś okropną nowinę, postąpisz jak człowiek okrutny obwieszczając ją królowej.

Aramis podszedł do Chatillona tak blisko, że niemal go dotykał.

— Panie Chatillon — odezwał się zaciskając wargi, a w oczach zamigotał mu zły błysk — spodziewam się, że nie rościsz sobie pretensji do pouczania hrabiego de La Fere i mnie, co powinniśmy tu mówić.

Podczas tej krótkiej sprzeczki Atos, wciąż trzymając rękę na sercu, zbliżył się do królowej i spuściwszy głowę, odezwał się drżącym ze wzruszenia głosem:

— Najjaśniejsza pani, osoby krwi królewskiej, które ich własna natura wynosi ponad zwykłych ludzi, otrzymały od nieba serca zdolne do podźwignięcia większych nieszczęść niż serca pospolitych śmiertelników. Bo serca ich są częścią ich wielkości. Wydaje mi się więc, że wielkiej królowej, takiej jak wasza królewska mość, nie godzi się traktować jak kobiety naszego stanu. Królowo, której przeznaczeniem na tej ziemi jest wszelkie męczeństwo, oto wynik poselstwa, które raczyłaś nam powierzyć.

I Atos, klękając przed przerażoną i drżącą królową, wyjął z zanadru szkatułkę zawierającą diamentową gwiazdę, którą królowa dała lordowi de Winterowi przed jego odjazdem, i obrączkę ślubną, którą Karol przed śmiercią dał Aramisowi. Atos ani na chwilę nie rozstawał się z tymi dwoma przedmiotami, odkąd je był otrzymał.

Otworzył szkatułkę i w milczeniu wyrażającym najgłębszy ból podał ją królowej.

Królowa wyciągnęła rękę, wzięła obrączkę, konwulsyjnie przycisnęła ją do ust i nawet nie westchnąwszy, nawet nie zaszlochawszy, wyciągnęła ramiona, zbladła i osunęła się bez zmysłów na ręce swoich kobiet i swojej córki.

Atos ucałował kraj sukni nieszczęśliwej wdowy i podniósł się z godnością, która głębokie wrażenie uczyniła na wszystkich obecnych.

— Ja, hrabia de La Fere — rzekł — szlachcic, który nie skalał się kłamstwem, przysięgam najpierw wobec Boga, a potem wobec tej biednej

królowej, że wszystko, co było w ludzkiej mocy, zrobiliśmy dla ocalenia króla na ziemi angielskiej. Teraz, kawalerze — dodał zwracając się do d'Herblaya — chodźmy, nasz obowiązek został spełniony.

— Jeszcze nie — rzekł Aramis — jeszcze wypadnie nam zamienić kilka słów z tymi panami.

I zwracając się do Chatillona powiedział:

— Panie Chatillon, czy nie zechciałbyś wyjść tylko na chwilę, żeby usłyszeć parę słów, których nie mogę wymówić w obecności królowej?

Chatillon w odpowiedzi tylko skłonił się wyrażając swą zgodę. Atos i Aramis wyszli pierwsi, a za nimi Chatillon i Flamarens. Przeszli w milczeniu przez przedpokój; były tam oszklone drzwi, otwierające się na pusty, ustronny taras. Aramis ruszył w kierunku tarasu. Przy drzwiach stanął i odwrócił się do księcia de Chatillon.

— Panie de Chatillon — rzekł — pozwoliłeś sobie przed chwilą, jak mi się zdawało, potraktować nas bardzo wyniośle. Takie zachowanie nigdy nie byłoby stosowne, a już szczególnie u ludzi, którzy przyszli do królowej jako wysłannicy kłamcy.

— Panie! — zawołał Chatillon.

— Coście zrobili z panem de Bruy? — zapytał ironicznie Aramis. — Czy przypadkiem nie poszedł odmienić sobie twarzy, która nazbyt była podobna do twarzy pana Mazariniego? Wiadomo, że w Palais-Royal znajduje się duża ilość włoskich masek na zmianę, od maski Arlekina aż po maskę Pantalona.

— Wydaje mi się, że szukasz z nami zaczepki, panie kawalerze? — rzekł Flamarens.

— O, panu się tak tylko wydaje!

— Kawalerze! Kawalerze! — rzekł Atos.

— Nie wtrącaj się, Atosie — rzekł mu Aramis gniewnie. — Wiesz dobrze, że nie lubię zawracać w pół drogi.

— Zatem jedź dalej, panie d'Herblay — rzekł Chatillon z wyniosłością w

niczym nie ustępującą wyniosłości Aramis.

Aramis skłonił się.

— Panowie — rzekł — kto inny niż ja i pan hrabia de La Fere kazałby was aresztować, bo mamy kilku przyjaciół w Paryżu; lecz my damy wam możliwość spokojnego wyjechania z miasta. Chodźcie pogawędzić z nami przez pięć minut ze szpadą w dłoni na tym pustym tarasie.

— Chętnie — odparł Chatillon.

— Zaczekajcie chwilę, panowie! — zawołał Flamarens. — Wiem dobrze, że to ponętna propozycja, ale w tej chwili nie możemy jej przyjąć.

— A dlaczegóż to? — zapytał Aramis swym drwiącym tonem. — Czyżby bliskość pana Mazariniego nakazywała wam taką ostrożność?

— O, Flamarens, słyszysz? — rzekł Chatillon. — Nieprzyjęcie wyzwania byłoby plamą na moim nazwisku i na moim honorze.

— Też jestem tego zdania — rzekł Aramis.

— Jednakże wyzwania nie przyjmiesz, a panowie de La Fere i d'Herblay też się do mego zdania przychylią, jestem pewny.

Aramis w niewiarygodnie lekceważący sposób pokiwał głową. Chatillon ujrzał to i sięgnął ręką do szpady.

— Książę — rzekł Flamarens — zapominasz, że dowodzisz jutro wyprawą ogromnej wagi i że wyznaczony przez jego księżęcą wysokość i zatwierdzony przez królową, nie rozporządzasz sobą aż do jutrzejszego wieczoru.

— Dobrze. Zatem do pojutra rano — rzekł Aramis.

— Do pojutra rano bardzo daleko, moi panowie — rzekł Chatillon.

— To nie ja naznaczam ten termin i nie ja proszę o zwłokę — rzekł Aramis. — Zresztą, kto wie — dodał — a nuż spotkamy się na tej wyprawie.

— Masz rację, panie d'Herblay! — zawołał Chatillon. — Bardzo będę rad, jeśli zechcesz się pofatygować aż do bram Charenton.

— Jakżeż, panie Chatillon! Żeby mieć zaszczyt spotkania się z tobą, poszedłbym na sam koniec świata, tym chętniej więc zrobię w tym celu jedną

czy dwie mile.

— Zatem do jutra, panie d'Herblay.

— Liczę na to. Śpieszcie więc do waszego kardynała. Ale przedtem przysięgnijcie na honor, że nie powiecie mu o naszym powrocie.

— Stawiacie warunki?!

— A czemuż byśmy ich nie mieli stawiać?

— Bo warunki mogą stawiać zwycięzcy, a wy jeszcze nimi nie jesteście, panowie.

— Więc wyciągajcie szpady. Nam jest wszystko jedno, my nie dowodzimy jutrzejszą wyprawą.

Chatillon i Flamarens spojrzeli na siebie. W słowach i gestach Aramisa czaiło się tyle drwiny, że przede wszystkim Chatillonowi trudno było utrzymać na wodzy gniew. Lecz po kilku słowach Flamarensa pohamował się.

— Więc zgoda — rzekł — nasz towarzysz, kimkolwiek jest, nie dowie się o tym, co zaszło. Ale przyrzekasz mi, panie d'Herblay, że spotkamy się jutro w Charenton, prawda?

— O to możecie być, panowie, spokojni — odrzekł Aramis.

Czterej szlachcice skłonili się sobie, po czym tym razem Chatillon i Flamarens pierwsi wyszli z Luwru, a za nimi Atos i Aramis.

— Na kogoś się tak uwziął, Aramisie? — zapytał Atos.

— O, do kaduka, na tych, którzy na to zasłużyli.

— Czym ci się narazili?

— Czym się narazili?... Czyżbyś nie zauważył?

— Nie.

— Uśmiechali się szyderczo, kiedyśmy przysięgali, że spełniliśmy w Anglii nasz obowiązek. Otóż albo w to uwierzyli, albo nie. Jeśli uwierzyli, uśmiechali się, żeby nas obrazić. Jeśli nie uwierzyli, obrazili nas tym bardziej i należy ich bezzwłocznie przekonać, że jesteśmy coś niecoś warci. Nie martwię się zresztą, że odłożyli całą sprawę do jutra, bo mniemam, że dziś wieczór



mamy coś lepszego do roboty niż zabawa ze szpadą.

— Cóż takiego mamy do roboty? — zapytał Atos.

— Ano, do kaduka, powinniśmy pojmać Mazariniego.

Atos skrzywił się pogardliwie.

— Takie wyprawy nie przypadają mi do gustu, wiesz o tym, Aramisie.

— Dlaczego?

— Bo są podobne do napadu z zasadzki.

— Doprawdy, Atosie, byłby z ciebie osobliwy generał. Biłbyś się tylko w dzień, uprzedzałbyś przeciwnika, o której godzinie masz zamiar go zaatakować, i wystrzegałbyś się pilnie, żeby nic przeciwko niemu nie przedsiębrać po nocy, bojąc się, że cię może oskarżyć o skorzystanie z ciemności.

Atos uśmiechnął się.

— Wiesz przecie, że nie można odmienić własnej natury — rzekł. — A prócz tego nie wiemy, jak teraz sprawy stoją i czy aresztowanie Mazariniego nie byłoby raczej niedźwiedzią przysługą niż dobrodziejstwem, czy nie przysporzyłoby więcej kłopotu niż triumfu.

— Powiedz wprost, Atosie, że nie pochwalasz mojego zamiaru.

— Nie, przeciwnie, sądzę, że jest on bardzo polityczny, ale...

— Ale co?

— Wydaje mi się, że nie powinieś był żądać od Flamarensa i Chatillona, żeby nie mówili o nas Mazariniemu, bo każąc im to zaprzysięć, właściwie zobowiązałeś się odwrotnie, że nic przeciwko niemu nie uczynisz.

— Ręczę ci, że się do niczego nie zobowiązałem. Uważam, że mam całkowicie wolną rękę. Chodźmy, chodźmy, Atosie, chodźmy!

— Dokąd?

— Do pana de Beaufort albo do pana de Bouillon; opowiemy im, jak się rzecz ma.

— Dobrze, ale pod warunkiem, że zaczniemy od koadiutora. Zawsze to ksiądz, człowiek uczony w kwestiach sumienia; opowiemy mu o naszej

wątpliwości.

— O — rzekł Aramis — on wszystko popsuje, a pomyśl sobie przywłaszczy. Skończmy na nim, ale nie zaczynamy od niego.

Atos uśmiechnął się. Widać było, że ukrywa w sercu myśl, której nie chce głośno wypowiedzieć.

— Niech będzie — rzekł. — Od kogo zaczniemy?

— Od pana de Bouillon, jeśli się zgodzisz; do niego mamy najbliżej po drodze.

— Ale pozwolisz mi na jedno, dobrze?

— Na co?

— Że wstąpię do gospody “Pod Karolem Wielkim” i uściskam Raula.

— Oczywiście, idę z tobą, razem go uściskamy.

Wsiedli obydwaj do łodzi, która ich przywiozła, i kazali jej płynąć do Hal. Tam odnaleźli Milczka i Blaisois, którzy pilnowali ich koni, i wszyscy czterej pojechali na ulicę Guenegaud.

Ale Raula nie zastali w gospodzie “Pod Karolem Wielkim”; w ciągu dnia otrzymał był list od jego książęcej wysokości i natychmiast potem wyjechał razem z Olivainem.

## 34. Trzej namiestnicy naczelnego wodza

Trzymając się, według umowy, raz ustalonego porządku, Atos i Aramis, wyszedłszy z gospody “Pod Karolem Wielkim”, udali się do pałacu księcia de Bouillon.

Noc była ciemna, ale choć już zbliżała się pora, w której ulice cichną zwykle i pustoszeją, wciąż jeszcze rozbrzmiewała tysiącem głosów, które nie dają spać spokojnie obleżonemu miastu. Na każdym kroku spotykało się barykady, na każdym rogu ulicy zaciągnięte łańcuchy, na każdym placyku biwaki. Patrole mijały się wymieniając hasła, gońcy, słani przez różnych dowódców, przemykali się przez place i na koniec ożywione rozmowy, świadczące o wielkim wzburzeniu umysłów, wciąż nawiązywały się między spokojnymi mieszkańcami wychylającymi się z okien swoich domów a ich współobywatelami bardziej wojowniczego usposobienia, którzy szwendali się po ulicach z halabardą na ramieniu albo rusznicą pod pachą.

Atos i Aramis nie uszli i stu kroków, kiedy ich zatrzymały warty stojące na barykadzie, pytając o hasło. Odpowiedzieli, że idą do księcia de Bouillon, żeby mu zanieść ważną wiadomość, więc przepuszczono ich dając im przewodnika, który pod pozorem wskazywania i ułatwiania drogi miał ich pilnować.

Przewodnik ruszył przodem śpiewając:

*Dzielny książę de Bouillon  
cierpi na podagrę...*

Była to najnowsza piosenka, składająca się z wielkiej liczby kupletów, w których każdemu się coś dostało.

Znalazłszy się w pobliżu pałacu de Bouillon, minęli grupę trzech jeźdźców,

którzy widać znali wszystkie hasła, bo jechali bez przewodnika i bez eskorty, a przy barykadach ledwie zamienili kilka słów z tymi, co ich pilnowali.

Przepuszczano ich ze wszelkimi oznakami szacunku, jakie były zapewne ich stanowi należne.

Atos i Aramis zatrzymali się.

— Oho! — rzekł Aramis. — Widzisz, hrabio?

— Widzę — odparł Atos.

— Jak ci się zdaje, kim są ci trzej jeźdźcy?

— A tobie jak się zdaje, Aramisie?

— Przecież to nasi panowie z kordegardy!

— Nie mylisz się. Poznałem pana de Flamarens.

— A ja pana de Chatillon.

— Zaś jeździec w brązowym płaszczu...

— To kardynał.

— We własnej osobie.

— Że też się nie bali zapuścić bez mała pod sam pałac de Bouillon? —

zapytał Aramis.

Atos uśmiechnął się, ale nic nie odrzekł. W pięć minut potem zapukali do bram pałacu księcia.

Przed bramą stały warty, jak zwykle tam, gdzie mieszka wysoki dygnitarz wojskowy. Także i na dziedzińcu znajdował się niewielki oddziałek straży, gotów na rozkazy namiestnika księcia de Conti.

Jak mówiła piosenka, książę de Bouillon miał podagrę i leżał w łóżku, lecz pomimo tej przykrej dolegliwości, która nie dawała mu dosiąść konia już od miesiąca, czyli od początku oblężenia Paryża, kazał prosić do siebie pana hrabiego de La Fere i pana kawalera d'Herblay.

Dwaj przyjaciele zostali więc wprowadzeni do księcia de Bouillon. Chory był w swojej sypialnej komnacie i wprawdzie leżał, ale w otoczeniu najbardziej marsowym, jakie tylko można było sobie wyobrazić. Na wszystkich ścianach

wisiały tylko szpady, pistolety, pancerze i rusznice i łatwo było się domyślić, że pan de Bouillon, kiedy mu podagra popuści, zada nie lada bobu wrogom parlamentu. Tymczasem zaś, ku swemu wielkiemu, jak twierdził, strapieniu, musiał leżeć w łóżku.

— Ach, panowie! — zawołał na widok wchodzących gości i skrzywił się z bólu, bo spróbował się podnieść na łóżku — jacy wy jesteście szczęśliwi! Możecie dosiadać konia, chodzić, ruszać się, walczyć za sprawę ludu! A ja, sami widzicie, jestem przykuty do łóżka. O, przekłeta podagra! — dodał, znów się krzywiąc — przekłeta podagra!

— Wasza wysokość — rzekł Atos — przybywamy z Anglii i ledwie stanąwszy w Paryżu, przychodzimy, żeby się dowiedzieć, jak zdrowie waszej wysokości.

— Wielce wam jestem zobowiązany, panowie, wielce zobowiązany — odparł książę. — Z moim zdrowiem źle, jak sami widzicie. Przekłeta podagra! O, więc przybywacie z Anglii? Król Karol zdrów, jak się przed chwilą dowiedziałem.

— Król Karol nie żyje, wasza wysokość — rzekł Atos.

— Jak to?! — zawołał ze zdumieniem książę.

— Zginął na szafocie, skazany przez parlament.

— Niemożliwe!

— Został ścięty w naszej obecności.

— Cóż więc mówił mi pan de Flamarens?

— Pan de Flamarens? — zapytał Aramis.

— Tak, właśnie stąd wyszedł.

Atos uśmiechnął się.

— Z dwoma towarzyszami? — zapytał.

— Tak, owszem, z dwoma towarzyszami — odparł książę, po czym, z lekka niespokojny dodał: — Może spotkaliście ich?

— Tak, na ulicy wydało mi się, że to oni — rzekł Atos.

I z uśmiechem popatrzył na Aramisa, który mu się odwzajemnił spojrzeniem cokolwiek zdziwionym.

— Przeklęta podagra! — zawołał książę de Bouillon stropiony najwidoczniej.

— Wasza wysokość — rzekł Atos — trzeba być zaiste tak jak ty oddanym sprawie paryżan, żeby tak będąc cierpiącym pozostawać na czele armii. I obydwaj z panem d'Herblay szczerze podziwiamy tę wytrwałość.

— Cóż chcecie, panowie, tak trzeba, a najlepszym przykładem w tej mierze jesteście wy sami, wy, którym mój drogi kolega książę de Beaufort zawdzięcza wolność, a może i życie. Trzeba poświęcać się dla spraw publicznych. Toteż, jak widzicie, poświęcam się, ale wyznam wam, jestem już u kresu sił. Serce dobre, głowa dobra, ale ta przeklęta podagra mnie zabija i wyznam wam, że gdyby dwór przychylił się do moich żądań, żądań słusznych, bo przecież domagam się tylko odszkodowania, które mi obiecał sam dawny kardynał, kiedy mi odbierał moje księstwo Sedanu, tak, wyznam wam, że gdyby dano mi dobra wartości równej tamtym, gdyby mi wyrównano straty wynikłe z nieużytkowania moich ziem, odkąd mi zostały zabrane, czyli od lat ośmiu, gdyby członkom mojego domu nadano tytuł książęcy i gdyby memu bratu de Turennes przywrócono dowodzenie armią — wycofałbym się natychmiast do swoich majątków i niechby się dwór i parlament wadziły ze sobą, ile im się podoba.

— I miałbyś, wasza wysokość, całkowitą rację — rzekł Atos.

— Takie jest twoje zdanie, hrabio de La Fere?

— Z całą pewnością.

— A i twoje także, panie kawalerze d'Herblay?

— Oczywiście!

— A więc powiem wam, panowie — rzekł książę — że według wszelkiego prawdopodobieństwa tak też uczynię. Dwór wystąpił właśnie pierwszy z propozycjami; tylko ode mnie zależy, czy je przyjmę. Do tej chwili nie chciałem się na nie zgodzić, ale ponieważ ludzie tacy jak wy mówią mi, że nie mam racji,

ponieważ co jeszcze ważniejsze, ta przeklęta podagra uniemożliwia mi służenie sprawie paryżan, na honor, mam wielką ochotę pójść za waszą radą i zgodzić się na propozycje, jakie mi poczynił pan de Chatillon.

— Przyjmij je, książę — rzekł Aramis. — Przyjmij.

— Na honor, przyjmę i nawet żałuję, że już bez mała odmówił dziś wieczór... ale jutro odbędzie się następna rozmowa i wtedy zobaczy się.

Dwaj przyjaciele pożegnali księcia ukłonem.

— Idźcie, panowie — rzekł im. — Idźcie, pewnie jesteście bardzo zmęczeni podróżą. Biedny król Karol! Ale cóż, jest w tym wszystkim trochę i jego własnej winy, a my możemy się pocieszyć faktem, że Francja nie ma sobie nic do zarzucenia w tej okazji, że zrobiła wszystko, co mogła, żeby go ocalić.

— O, jeśli o to idzie — rzekł Aramis — jesteśmy świadkami, że zrobiono, co było można, a najwięcej pan Mazarini.

— Ano widzicie, i bardzo się cieszę, że oddaliście mu tę sprawiedliwość. Kardynał to w gruncie rzeczy niezły człowiek i gdyby nie był cudzoziemcem... właśnie, na pewno by go oceniano słuszniej. O, przeklęta podagra!

Atos i Aramis wyszli, a krzyki pana de Bouillon odprowadziły ich aż na przedpokój; biedny książę cierpiał, widać, jak potępieniec. Kiedy znaleźli się za bramą, Aramis zapytał Atosa:

— Co ty o nim myślisz?

— O kim?

— O panu de Bouillon, do licha!

— Przyjacielu, to samo, co myśli o nim piosenka śpiewana przez naszego przewodnika — odparł Atos:

*Dzielny książę de Bouillon  
cierpi na podagrę...*

— Toteż jak zauważyłeś — rzekł Aramis — ani słówkiem mu nie

wspomniałem o przyczynie naszych odwiedzin.

— I postąpiłeś roztropnie, bo przyprawiłbyś go o atak. Chodźmy do pana de Beaufort.

I dwaj przyjaciele ruszyli do pałacu Vendôme.

Dziesiąta biła, kiedy tam stanęli.

Pałac Vendôme był strzeżony nie gorzej od pałacu Bouillon i prezentował się nie mniej marsowo. Warty u wrót, posterunki na dziedzińcu, broń ustawiona w kozły i osiodłane konie uwiązane u pierścieni. Atos i Aramis wjeżdżając w bramę natknęli się na dwóch wyjeżdżających z niej jeźdźców, którzy musieli cofnąć swe wierzchowce, żeby ich przepuścić.

— O, o, panowie! — rzekł Aramis. — Jest to zaiste noc spotkań i przyznam się, że bylibyśmy bardzo nieszczęśliwi, gdyby po tylu spotkaniach dzisiejszych jutro się nam nie udało spotkać z wami.

— W tym względzie — odparł Chatillon, gdyż to on właśnie razem z Flamarenssem wyjeżdżał od księcia de Beaufort — możecie być spokojni; jeśli nie szukając się, wciąż się spotykamy, i to w nocy, tym bardziej spotkamy się w dzień i starając się o to.

— Mam nadzieję, panie de Chatillon — rzekł Aramis.

— A ja jestem tego pewny — odrzekł książę.

Panowie Flamarens i Chatillon odjechali, a Atos i Aramis zsiadli z koni.

Ledwie zdążyli oddać cugle swym służącym i zdjąć płaszcze, podszedł do nich jakiś człowiek i przyjrawszy się im w kiepskim świetle latarni wiszącej na środku dziedzińca, krzyknął ze zdumienia i porwał ich w ramiona.

— Hrabia de La Fere! — wołał. — Kawaler d'Herblay! Skąd wzięliście się w Paryżu?

— Rochefort! — zawołali razem obaj przyjaciele.

— Tak, we własnej osobie. Przyjechaliśmy, jak wiecie, z Vendómois, będzie już cztery czy pięć dni, i szykujemy się, żeby potańcować trochę z Mazarinim. Dalej trzymacie z nami, spodziewam się?



— Bardziej niż kiedykolwiek. A co z księciem?

— Okrutnie zawzięty na kardynała. Wiecie, jaki jest popularny; nasz kochany książę to prawdziwy król Paryża. Ilekroć wyjedzie na miasto, zawsze mało go nie uduszą, tak go witają.

— Tym lepiej — rzekł Aramis. — Ale powiedz mi, to panowie de Flamarens i de Chatillon wyjechali stąd, prawda?

— Tak, książę przyjął ich przed chwilą; przybyli zapewne od Mazariniego, ale też i spotkali się z należytą odprawą, już ja wam ręcę.

— To pięknie — rzekł Atos. — A czy jego wysokość zechciałby przyjąć i nas?

— Jakże, natychmiast! Wiecie, że was książę przyjmie zawsze i o każdej porze. Chodźcie ze mną, ja sam was wprowadzę, chcę mieć ten zaszczyt.

Rochefort ruszył przodem. Przed nim i przed dwoma przyjaciółmi otwierały się po kolei wszystkie drzwi. Kiedy weszli, książę de Beaufort właśnie miał siadać do stołu. Rozliczne zajęcia, jakie miał tego wieczoru, nie pozwoliły mu zjeść wcześniej wieczerzy, lecz choć chwila była tak uroczysta, skoro książę usłyszał z ust Rocheforta nazwiska hrabiego de La Fere i kawalera d'Herblay, wstał z krzesła, z którym już się przysuwał do stołu, i żywo wyszedł im naprzeciw.

— A, do kroćset! Cieszę się, że was widzę, panowie! — rzekł. — Zjecie razem ze mną wieczerzę, prawda? Boisjoli, powiadom Noirmonta, że mam dwóch gości. Znacie Noirmonta, panowie, prawda? To mój kucharz, następca ojca Marteau, który przyrządzał te znakomite pasztety, wiecie jakie. Boisjoli, niech nam przyśle pasztet swojej roboty, ale nie w rodzaju tego, który zrobił był niegdyś dla La Ramee. Chwała Bogu, już nam nie są potrzebne sznurowane drabinki, sztylety i kneble.

— Wasza wysokość — rzekł Atos — nie trzeba, żeby się dla nas trudił twój słynny kucharz, którego liczne a różnorodne talenty są nam dobrze znane. Dziś wieczorem, za pozwoleniem waszej wysokości, będziemy mieli jedynie

zaszczyt zapytać cię, książę, o zdrowie i poprosić o rozkazy.

— O, moje zdrowie jest, jak sami widzicie, znakomite! Zdrowie, które wytrzymało pięć lat Vincennes i towarzystwo pana de Chavigny, wszystkiemu podola. A rozkazy, cóż, na honor, przyznam się, że byłbym w wielkim kłopotcie, gdybym je miał wam dać, zważywszy, że tu każdy na własną rękę wydaje rozkazy i że jeśli tak dalej pójdzie, ja już w ogóle przestanę rozkazywać.

— Naprawdę? — rzekł Atos. — A wydawało mi się, że parlament liczył właśnie na waszą jedność.

— O tak, na naszą jedność! Piękna mi jedność! Z księciem de Bouillon jeszcze pół biedy, ma podagrę, nie rusza się z łóżka, można się z nim dogadać, ale z panem d'Elboeuf i jego słoniowatymi synami... Znacie triolet o księciu d'Elboeuf, panowie?

— Nie, wasza wysokość.

— Niemożliwe! I książę zanucił:

*Pan d'Elboeuf i trzech jego synów  
Wprawiają w zachwyt plac Zamkowy.  
Kuś tyk... to idą z dumną miną  
Pan d'Elboeuf i trzech jego synów,  
Lecz gdy wojennych pora czynów,  
Animusz znika ich marsowy;  
Pan d'Elboeuf i trzech jego synów  
Wprawiają w zachwyt plac Zamkowy<sup>21</sup>.*

— Ale z panem koadiutorem chyba takich kłopotów nie ma? — zapytał Atos.

— Oho, i ile! Z koadiutorem jeszcze trudniej. Niech was Bóg strzeże i zachowa od prałatów warchołów, a szczególnie jeśli noszą pancerz pod sutanną.

---

21 Przełożył Zygmunt Burakowski.

Zamiast siedzieć spokojnie w swoim pałacu biskupim i śpiewać Te Deum po zwycięstwach, których nie odnosimy, albo po zwycięstwach, w których dostajemy w skórę, wiecie, co on robi?

— Nie wiemy.

— Wystawia pułk swego własnego imienia, pułk Koryncki. Mianuje poruczników i kapitanów, jakby był marszałkiem Francji, ni mniej, ni więcej, i pułkowników, jakby był nie przymierzając królem.

— Dobrze — rzekł Aramis — ale kiedy trzeba się bić, zostaje w swoim pałacu arcybiskupim, mam nadzieję?

— Ale skąd, mylisz się, mój drogi d'Herblay! Kiedy trzeba się bić, bije się, a ponieważ po śmierci stryja odziedziczył krzesło w parlamencie, wszędzie go teraz pełno, w parlamencie, w radzie i w bitwie. Książę de Conti to malowany generał, i to jak namalowany! Książę garbus! Tak, kiepsko jest z tym wszystkim, panowie, bardzo kiepsko!

— Zatem wasza wysokość jest niezadowolony? — zapytał Atos zerkając na Aramisa.

— Niezadowolony, hrabio! Powiedz raczej, że moja wysokość jest wściekły. I do tego stopnia, wiecie, wam to mówię, komu innemu nie powiedziałbym, do tego stopnia mi to wszystko obrzydło, że gdyby królowa w nagrodę za wyrządzone mi krzywdy przywołała z wygnania moją matkę, a mnie przyznała prawo do urzędu admirała, który do mego ojca należy i był mi z chwilą jego śmierci obiecany — to, na honor, kto wie, czy nie zabrałbym się do tresowania psów, które nauczyłbym mówić, że są we Francji więksi złodzieje niż pan Mazarini.

Tym razem Atos i Aramis wymienili między sobą nie tylko spojrzenia, ale i uśmiechy; choćby się nie spotkali w bramie z panami de Chatillon i de Flamarens, odgadliby i tak, że tamci tędy przeszli. Toteż ani słowem nie napomknęli o obecności pana Mazariniego w Paryżu.

— Wasza wysokość — rzekł Atos — dziękujemy, żeś zechciał się z nami

zobaczyć. Zjawiając się o tak późnej porze u waszej wysokości, chcielibyśmy jedynie dać mu dowód naszego przywiązania i zapewnić go, że zawsze jesteśmy do jego dyspozycji jako najwierniejsi słudzy.

— Jako moi najwierniejsi przyjaciele, panowie, jako moi najwierniejsi przyjaciele! Dowiedliście, że tak jest, i jeśli się kiedyś pogodzę z dworem, dowiodę wam, mam nadzieję, że i ja też wciąż jestem przyjacielem waszym, a także i tamtych dwóch panów, jakże ich, u licha, nazywacie? D'Artagnan i Portan?

— D'Artagnan i Portos.

— O, właśnie ich dwu. Pamiętaj więc, hrabio de La Fere, pamiętaj, kawalerze d'Herblay, że wam służę zawsze i we wszystkim.

Atos i Aramis skłonili się i wyszli.

— Drogi Atosie — rzekł Aramis — niech mi Bóg wybaczy, ale podejrzewam, żeś się zgodził towarzyszyć mi po to jedynie, żeby mi dać nauzkę.

— Jeszcze nie pora na taką konkluzję, mój kochany — odparł Atos — zaczekaj, aż wyjdziemy od koadiutora.

— Jedźmy więc do pałacu arcybiskupiego — rzekł Aramis.

I pojechali w kierunku Cite.

W pobliżu tej kolebki Paryża ulice były zalane i Atos i Aramis musieli się przesiąść do łodzi.

Było już po godzinie jedenastej, ale wiadano powszechnie, że do koadiutora można przychodzić o każdej porze. Jego niewiarygodna pracowitość robiła dzień z nocy, a noc z dnia, zależnie od potrzeby.

Pałac arcybiskupi wyrastał wprost z wody, a widząc liczne łodzie, jakie otaczały go ze wszystkich stron, można by sobie wyobrazić, że się jest nie w Paryżu, lecz w Wenecji. Łodzie te jeździły i rniwały się we wszystkie strony, zapuszczały się w labirynt ulic Cite albo oddalały się w kierunku Arsenału i wybrzeża Saint-Victor, a wtedy płynęły jak po jeziorze. Jedne z tych łodzi były

ciche i tajemnicze, inne były oświetlone i gwarne. Dwaj przyjaciele prześliznęli się wśród tego mnóstwa barek i przybili do pałacu.

Cały parter pałacu arcybiskupiego był zalany wodą, ale do ścian podostawiano schodki i jedyną zmianą wynikającą z powodzi było, że zamiast wchodzić przez drzwi, wchodziło się przez okna.

W taki też sposób Atos i Aramis wylądowali w przedpokoju prałata. Pełno tu było lokai, bowiem w salonie obok czekało już chyba ze dwustu możnych panów.

— O, Boże! — rzekł Aramis — spójrz no, Atosie. Może ten pyszałek koadiutor każe nam czekać na przedpokoju ku swojej satysfakcji!

Atos uśmiechnął się.

— Drogiego przyjacielu — odparł — każde powodzenie ma swoje ujemne strony, a stanowiska zmieniają ludzi — na to nie ma rady. Koadiutor jest w tej chwili jednym z siedmiu czy ośmiu królów, którzy panują w Paryżu, więc ma swój dwór.

— Racja — rzekł Aramis — ale my nie należymy do jego dworaków.

— Toteż każemy powtórzyć mu nasze nazwiska, a jeśli usłyszawszy je nie każe nas prosić, jak należałoby, cóż, niech się zajmuje w spokoju interesami Francji i swoimi, nie będziemy mu przeszkadzali. Trzeba tylko zawołać lokaja i dać mu pół pistola w łapę.

— Czekaj, a to kto? — zawołał Aramis. — Chyba się nie mylę... Tak... nie... ależ tak, to Gryzipiórek. Chodź tu, hultaju!

Gryzipiórek, który właśnie przechodził przez przedpokój, majestatycznie przyodziany w swe duchowne suknie, odwrócił się marszcząc brwi, żeby zobaczyć, cóż to za zuchwalec zaczepia go w taki sposób. Ledwie jednak poznał Aramisa, tygrys zmienił się w jagnię i posłusznie podszedł do obu szlachciców.

— O rety! — zawołał — to pan, panie kawalerze! To pan, panie hrabio! Wróciliście obaj, a już tacy byliśmy o was niespokojni! O, jakże jestem szczęśliwy, że nareszcie panów widzę.

— Dobrze, dobrze, mój poczciwy Gryzipiórku — rzekł Aramis — wystarczy, dość tych zachwyków. Przyszliśmy do pana koadiutora, ale bardzo się nam śpieszy i chcielibyśmy się z nim zobaczyć natychmiast.

— Jakże! — rzekł Gryzipiórek. — Natychmiast, oczywiście! Rozumie się, że takim panom jak pan kawaler i pan hrabia nikt nie pozwoliłby na siebie czekać. Ale w tej chwili pan koadiutor odbywa tajną konferencję z niejakim panem de Bruy.

— De Bruy! — zawołali razem Atos i Aramis.

— Tak, sam go anonsowałem i dobrze pamiętam nazwisko. Czy pan, panie kawalerze, go zna? — zapytał Gryzipiórek zwracając się do Aramisa.

— Chyba go znam.

— Ja nie mógłbym tego powiedzieć — rzekł Gryzipiórek — bo tak dobrze był okryty płaszczem, że choć się starałem usilnie, nie mogłem nawet czubka jego nosa zobaczyć. Ale wejść, żeby oznajmić panów, i może się tym razem uda lepiej.

— Nie trzeba — rzekł Aramis — zrezygnujemy na dziś z zobaczenia, się z panem koadiutorem, co, Atosie?

— Jak sobie życzysz — odparł Atos.

— Tak, ma zbyt ważne sprawy do omówienia z panem de Bruy.

— Czy mam go zawiadomić, że panowie byli w pałacu?

— Nie, nie warto — rzekł Aramis. — Chodźmy, Atosie.

I dwaj przyjaciele, precysnąwszy się przez tłum lokai, wyszli z pałacu arcybiskupiego odprowadzani przez Gryzipiórka, który tylko największym figurom tak się w pas kłaniał.

— No co? — zapytał Atos, kiedy obaj z Aramisem znów się znaleźli w łodzi — czy zaczynasz wierzyć, przyjacielu, że zatrzymując Mazariniego wyświadczilibyśmy niedźwiedzią przysługę tym wszystkim panom?

— Atosie, jesteś uosobieniem mądrości! — odpowiedział Aramis.

Co najbardziej uderzyło obu przyjaciół, to lekceważenie, z jakim

potraktowano na francuskim dworze straszne wypadki, które się rozegrały w Anglii i które, jak się zdawało, powinny były zaprzętnąć uwagę całej Europy.

Bowiem z wyjątkiem nieszczęśliwej wdowy i królewskiej sieroty, które płakały w jakimś kącie Luwru, nikt nie wydawał się pamiętać, że był kiedyś jakiś król Karol I i że ten król tak niedawno temu zginął na szafocie.

Dwaj przyjaciele nazaczyli sobie spotkanie nazajutrz rano o godzinie dziesiątej, gdyż choć była już głęboka noc, kiedy stanęli przed drzwiami gospody, Aramis doszedł do wniosku, że musi jeszcze poskładać jakieś ważne wizyty, i opuścił Atosa, który poszedł spać.

Nazajutrz spotkali się z uderzeniem godziny dziesiątej. Atos już od szóstej rano był na mieście.

— No i co, masz jakieś wieści? — zapytał Atos.

— Żadnych. Nigdzie nie widziano ani d'Artagnana, ani Portosa. A ty nic nie wiesz?

— Nic.

— Do licha! — zaklął Aramis.

— Rzeczywiście, to spóźnienie wygląda podejrzanie. Pojechali najkrótszą drogą, zatem powinni byli stanąć tu przed nami.

— Dodaj jeszcze — rzekł Aramis — że przecież wiesz, jak szybko potrafi działać d'Artagnan i że nie jest to człowiek, który by choć godzinę zmarnował wiedząc, że na niego czekamy.

— Liczył, jak pewnie sobie przypominasz, że będzie tu piątego.

— Dziś mamy już ósmy. Wieczorem mija ostatni termin naszego spotkania.

— Co zrobimy, jeśli nic się nie zmieni do wieczora? — zapytał Atos.

— Do kroćset! Zaczniemy ich szukać.

— Dobrze — rzekł Atos.

— A Raul? — zapytał Aramis.

Czoło hrabiego spochmurniało.

— Jestem bardzo niespokojny o Raula — rzekł. — Wczoraj dostał jakiś list od księcia de Conde, pojechał do niego do Saint-Cloud i już nie wrócił.

— Czy nie byłeś u pani de Chevreuse?

— Nie zastałem jej. Ale ty, Aramisie, chyba wstąpiłeś do swojej księżnej do Longueville.

— Owszem, byłem u niej.

— I co?

— Też jej nie zastałem, ale zostawiła swój nowy adres.

— Gdzież więc była?

— Konia z rzędem, jeśli zgadniesz.

— Jakżebyś chciał, żebym zgadł, gdzie może być o północy, bo przypuszczam, że poszedłeś do niej rozstawszy się ze mną, więc jakżebyś chciał, powtarzam, żebym zgadł, gdzie bywa o północy najpiękniejsza i najczynniejsza z frondystek?

— W Ratuszu, mój kochany!

— Jak to, w Ratuszu? Czyżby została starszym gildii kupców?

— Nie, ale została królową Paryża per interim<sup>22</sup>, a że nie śmiała od razu zamieszkać w Palais-Royal ani w Tuileries, zamieszkała w Ratuszu, gdzie już wkrótce obdarzy spadkobiercą czy spadkobierczynią naszego kochanego księcia.

— Nic mi o tym nie wspomniałeś, Aramisie — rzekł Atos.

— O, doprawdy? To przez zapomnienie, wybacz.

— Co będziemy robili do wieczora? — zapytał Atos. — Boję się, że cały dzień minie nam beczynn timer.

— Zapomniałeś, przyjacielu, o zajęciach, jakie nas czekają.

— Gdzie?

— A w Charenton, do kroćset! Mam nadzieję, ufając jego obietnicy, że spotkam tam niejakiego pana de Chatillon, którego od dawna nie cierpię.

---

<sup>22</sup> Per interim (łac.) — tymczasowo.



— Ale dlaczego?

— Bo jest bratem niejakiego pana de Coligny.

— A, racja, zapomniałem... który ubiegał się o zaszczyt zostania twoim rywalem. Został też okrutnie ukarany za to zuchwalstwo, mój kochany, i doprawdy, sędzę, że to powinno cię było zadowolić.

— Tak, ale cóż chcesz, to mnie nie zadowoliło. Jestem pamiętliwy i zawzięty; w tym jednym względzie jestem nieodrodnym synem Kościoła. Zresztą, jak dobrze wiesz, Atosie, nic cię nie zmusza, żebyś mi towarzyszył.

— Rzeczywiście! — odparł Atos. — Chyba żartujesz!

— W takim razie, mój kochany, jeżeli postanowiłeś towarzyszyć mi, nie mamy czasu do stracenia. Bębny już grały, spotykałem jadące armaty, widziałem mieszczan ustawiających się w bojowy szyk na placu przed Ratuszem, na pewno będzie bitwa pod Charenton, jak to powiedział wczoraj książe de Chatillon.

— Zdawało mi się — rzekł Atos — że narady, jakie się odbywały tej nocy, może odmienia te wojenne zamiary.

— O, na pewno, ale bitwa się odbędzie choćby dla niepoznaki.

— Biedni ludzie — rzekł Atos — którzy się dadzą zabijać za zwrócenie Sedanu panu de Bouillon, za godność admirała pana de Beaufort i za kardynalski kapelusz pana koadiutora.

— Dobrze, dobrze, mój drogi — rzekł Aramis — przyznaj się, że nie filozofowałbyś tak, gdyby twój Raul nie miał brać udziału w tej potyczce.

— Może i masz rację, Aramisie.

— Chodźmy więc tam, gdzie się biją; to pewny sposób spotkania d'Artagnana, Portosa, a może i Raula.

— Niestety! — odparł Atos.

— Drogi przyjacielu — rzekł Aramis — teraz, kiedy wróciliśmy wreszcie do Paryża, pora już, wierz mi, byś się wyzbył tego zwyczaju nieustannego wzdychania. Na wojnie, do licha, jak na wojnie, Atosie! Czyżbyś przestał być

żołnierzem, a stał się duchownym, czy co? Spójrz, jak pięknie się prezentują tamci maszerujący mieszczanie. Zachwycający widok, do kata! A ten kapitan, widzisz? Rusza się toto jak najprawdziwszy żołnierz.

— Wyszli z ulicy Baraniej.

— Z bębniem na przedzie, jak przystało żołnierzom. Ale spójrzże na tego zucha, jak to się przegina, jak to kroczy.

— Ho! — odezwał się Milczek.

— Co? — zapytał Atos.

— Wiórek, proszę pana.

— Wczoraj porucznik — rzekł Aramis — dziś kapitan, a jutro niechybnie pułkownik; za tydzień ten chwał zostanie marszałkiem Francji.

— Chodźmy, zapytamy go o nowiny — powiedział Atos.

I obaj przyjaciele zbliżyli się do Wiórka, który dumny jak nigdy, że go widzą podczas sprawowania urzędu, raczył łaskawie odpowiedzieć dwóm szlachcom, że ma rozkaz zajęcia pozycji na placu Królewskim razem z dwustu ludźmi stanowiącymi tylną straż paryskich wojsk i ruszenia stamtąd w kierunku Charenton, kiedy zajdzie potrzeba.

Ponieważ Atos i Aramis jechali w tę samą stronę, odprowadzili Wiórka aż na miejsce zbiórki.

Wiórek dość wprawnie ustawił swoich ludzi na placu Królewskim za długim szeregiem mieszczan czekających na ulicy i przedmieściu Saint-Antoine na hasło do bitwy.

— Dzień będzie gorący — odezwał się zadzierzystym tonem Wiórek.

— Tak, na pewno — odparł Aramis — ale stąd daleko do nieprzyjaciela.

— Zmniejszymy tę odległość, panie — odezwał się jakiś dziesiątnik.

Aramis skinął mu głową, po czym zwrócił się do Atosa.

— Nie będziemy chyba obozować na placu Królewskim razem z tymi łykami — rzekł. — Chcesz, ruszamy naprzód. Lepiej będziemy widzieli, co się dzieje.

— No i pan de Chatillon nie przyjdzie do ciebie aż na plac Królewski, prawda? Jedźmy naprzód, przyjacielu.

— A ty nie masz ochoty pogawędzić trochę z panem de Flamarens?

— Przyjacielu — odparł Atos — postanowiłem sobie, że bez koniecznej potrzeby nie dobędę szpady.

— A kiedyż to?

— Wtedy, kiedy musiał dobyć sztyletu.

— Dobrze sobie, jeszcze pamiętasz o Mordauncie! Mój drogi, tylko tego brakowało, żebyś sobie robił wyrzuty, żeś go zabił, takiego łotra!

— Cyt! — rzekł Atos, kładąc sobie palec na usta i uśmiechając się w sobie tylko właściwy, smutny sposób — nie mówmy więcej o panu Mordaunt, to by nam nie przyniosło szczęścia.

I pokłusował w kierunku Charenton, mijając przedmieście i dolinę Fecamp aż czarne od zbrojnych mieszczan.

Rozumie się samo przez się, że Aramis towarzyszył mu strzemię w strzemię.

## 35. Bitwa pod Charenton

Im dalej Atos i Aramis jechali mijając stojące na trakcie pułki, tym mniej widzieli zaśnieżonej broni i pstrych halabard, a tym więcej lśniących pancerzy i połyskujących muszkietów.

— Zdaje mi się, że to tu będzie pole bitwy — rzekł Aramis. — Czy widzisz ten szwadron jazdy, który stoi przed mostem? Już trzymają w garści pistolety. O, uważaj, nadjeżdża artyleria.

— Gdzieś ty nas zaprowadził, mój drogi? — rzekł Atos. — Zdaje mi się, że otoczyły nas twarze należące do oficerów wojsk królewskich. Spójrz, chyba to pan de Chatillon we własnej osobie nadjeżdża ze swymi dwoma brygadierami.

I Atos wydobył szpadę, Aramis zaś, sądząc, że rzeczywiście znaleźli się poza granicą paryskiego obozu, sięgnął do olster.

— Dzień dobry, panowie — przywitał ich książę zbliżając się — widzę, że nie możecie pojąć, co się dzieje, ale wyjaśnię to wam w dwóch słowach. Chwilowo mamy rozejm; odbywa się narada. Jego książęca wysokość, pan de Retz, pan de Bouillon i pan de Beaufort właśnie układają się między sobą. A zatem albo albo: albo się nie dogadają i wtedy spotkamy się, kawalerze, albo się dogadają, a wtedy ja nie będę już skrupowany moimi funkcjami dowódcy i też się spotkamy.

— Miło mi słuchać, jak mówisz, książę — rzekł Aramis. — Pozwól więc, że cię o coś zapytam.

— Słucham cię, panie kawalerze.

— Gdzie się odbywa narada?

— W Charenton, w drugim domu z prawej strony, jeśli się wjeżdża od Paryża.

— I narada nie była przewidziana?

— Nie, panowie. Jest ona, jak się zdaje, wynikiem nowych propozycji, które pan Mazarini poczynił wczorajszego wieczora paryżanom.

Atos i Aramis spojrzeli na siebie i roześmieli się. Dobrze wiedzieli, jakie to były propozycje, komu zostały poczynione i przez kogo.

— A dom, w którym się narada odbywa — zapytał Atos — należy do...

— Do pana de Chanleu, który dowodzi w Charenton waszym wojskiem. Mówię: waszym, bo przypuszczam, żeście frondyści, panowie.

— Tak... prawie — rzekł Aramis.

— Jak to, prawie?

— Ano tak, książę; sam wiesz lepiej niż ktokolwiek, że w tych czasach niełatwo dokładnie określić, kim się właściwie jest.

— Jesteśmy stronnikami króla i książąt — rzekł Atos.

— Chciałbym, żebyśmy się zrozumieli — rzekł Chatillon — król jest u nas, a jego wodzami są książę Orleański i książę de Conde.

— Tak — rzekł Atos — lecz jego miejsce jest w naszych szeregach, razem z panami de Conti, de Beaufort, d'Elboeuf i de Bouillon.

— To być może — odparł Chatillon — i wiadoma rzecz, że jeśli o mnie idzie, mam niewiele sympatii do pana Mazariniego. Nawet i własne interesy wzywają mnie do Paryża; prowadzę tam wielki proces, od którego zawisła moja cała fortuna, i właśnie w tej chwili wracam z narady z moim adwokatem...

— Z Paryża?

— Nie, z Charenton... Pan Viole, którego znacie z nazwiska, poczciwości człowiek, trochę uparty; ale nie darmo jest członkiem parlamentu. Liczyłem wczoraj wieczorem, że się z nim zobaczę, ale nasze spotkanie nie pozwoliło mi się zająć własnymi interesami. A że interesy muszą być załatwione, skorzystałem z rozejmu i oto dlaczego znalazłem się wśród was.

— Czyżby pan Viole udzielał porad prawnych pod gołym niebem? — zapytał Aramis śmiejąc się.

— Tak, panie kawalerze, i to nawet z konia. Dowodzi dziś pięcioma

setkami strzelców i żeby go uhonorować, zjawiłem się u niego w asyście tych dwóch armatek, przy których ujrzeście mnie z tak wielkim, jak mi się zdawało, zdziwieniem. Wyznać muszę, że go w pierwszej chwili nie poznał; nosi długą szpadę na todze, a za pasem ma pistolety, co nadaje mu wygląd wielce groźny, jaki bardzo by was uradował, gdybyście mieli okazję go spotkać.

— Jeśli jest to tak ciekawy widok, można by zadać sobie trud i poszukać pana Viole — rzekł Aramis.

— Musielibyście się pośpieszyć, panowie, bo narada już długo nie potrwa.

— A jeśli rokowania zostaną zerwane nie dając wyników — rzekł Atos — czy będziecie próbowali odbić Charenton?

— Taki mam rozkaz; dowodzę nacierającymi wojskami i zrobię, co będę mógł.

— Książę — rzekł Atos — ponieważ dowodzisz jazdą...

— Przepraszam, jestem wodzem naczelnym.

— Tym lepiej... Zapewne znasz wszystkich swoich oficerów, chcę powiedzieć, wszystkich oficerów starszych rangą.

— Ależ oczywiście, mniej więcej.

— Bądź więc tak grzeczny i powiedz mi, czy nie masz pod swymi rozkazami pana kawalera d'Artagnana, porucznika muszkieterów?

— Nie, panie hrabio, nie ma go z nami. Już więcej jak sześć tygodni temu wyjechał z Paryża w poselstwie do Anglii, jak mówią.

— O tym wiedziałem, ale sądziłem, że powrócił.

— Nie, panie hrabio, i nie wiem o nikim, kto by się z nim widział. Mogę ci tym łatwiej odpowiedzieć na twoje pytanie, że muszkieterowie są z nami i że pan de Cambon pełni tymczasowo funkcje pana d'Artagnana.

Dwaj przyjaciele spojrzeli na siebie.

— Słyszysz... — odezwał się Atos.

— To dziwne — odparł Aramis.

— Musiało im się przytrafić nieszczęście w drodze.

— Mamy dziś ósmego, wieczorem upływa umówiony termin. Jeśli do wieczora nie dowiemy się czegoś o nim, jutro rano ruszamy.

Atos twierdząco skinął głową, po czym odwrócił się.

— A pan de Bragelonne, młodzieniec lat piętnastu, służący pod jego książęcą wysokością? — zapytał, trochę się wstydząc, że tak się zdradza ze swoją ojcowską troską w obecności sceptyka Aramisa. — Czy ma on zaszczyt być ci znanym, książę?

— Tak, oczywiście — odparł Chatillon. — Przybył do nas dziś rano razem z jego książęcą wysokością. Czy należy do twoich przyjaciół, hrabio?

— Tak, książę — odparł Atos nieco wzruszony — i na dowód tego pragnąłbym go zobaczyć. Czy to możliwe?

— Całkiem możliwe, hrabio. Zechciej pojechać ze mną, a zaprowadzę cię do sztabu.

— Halo! — rzekł Aramis oglądając się. — Słyszę jakiś tętent za nami.

— Rzeczywiście, nadjeżdża ku nam liczny orszak jeźdźców — odparł Chatillon.

— Poznają pana koadiutora po kapeluszu z wiechciem Frondy.

— A ja pana de Beaufort po białych piórach.

— Gnają z kopyta. Jego książęca wysokość jest razem z nimi. O, rozstają się, jego książęca wysokość zakreca.

— Biją na alarm! — zawołał Chatillon. — Słyszycie? Trzeba się dowiedzieć, co się dzieje.

Rzeczywiście, widać było żołnierzy biegnących po broń, jeźdźcy, co zeszli byli z koni, wskakiwali na siodła, grały trąbki, warczały bębny; pan de Beaufort dobył szpady.

Ze swej strony jego książęca wysokość nakazał odtrąbić zbiórkę i wszyscy oficerowie królewskiego wojska, którzy na chwilę wmieszali się między wojsko paryskie, biegli do niego.

— Panowie — rzekł Chatillon — rozejm skończony, to wyraźnie widać;

będziemy się bić. Wracajcie więc do Charenton, bo wkrótce ruszę do ataku. Jego książęca wysokość już mnie wzywa.

Rzeczywiście, kornet trzykrotnie podniósł w górę proporczyk jego książęcej wysokości.

— Do widzenia, panie kawalerze! — krzyknął Chatillon.

I pognął galopem za swoją eskortą.

Atos i Aramis zawrócili w miejscu i ruszyli na spotkanie koadiutora i pana de Beaufort. Bo pana de Bouillon schwycił pod koniec narady tak okropny atak podagry, że musiano go odesłać na noszach do Paryża.

Za to pan d'Elboeuf, otoczony niby sztabem swymi trzema synami, uwijał się wzdłuż i wszerz szeregów paryskich wojsk.

Między Charenton i wojskami królewskimi rozesała się tedy wielka pusta przestrzeń, jakby przyszykowana na ostatnie łoże dla trupów.

— Ten Mazarini to prawdziwa hańba Francji — odezwał się koadiutor zaciskając mocniej pas, u którego wisiała szpada, a który nosił modą dawnych prałatów-rycerzy na swej arcybiskupiej szacie. — To cham, co chciałby rządzić Francją jak folwarkiem; toteż Francja nie może się spodziewać szczęścia i spokoju, póki on nie pójdzie precz.

— Widać nie dogadano się w sprawie koloru kapelusza — rzeki Aramis.

W tejże chwili pan de Beaufort podniósł szpadę.

— Panowie — rzeki — niepotrzebnie bawiliśmy się w dyplomację. Chcieliśmy się uwolnić od tego gałgana Mazariniego, ale królowa, której zawrócił głowę, koniecznie chce go mieć za ministra, więc zostaje nam tylko jedna rada: żeby go pobić na łeb, jak się patrzy.

— Dobrze — rzekł koadiutor — oto zwykłe krasomówstwo pana de Beaufort.

— Na szczęście — rzekł Aramis — niedostatki wymowy nadrabia ostrzem swej szpady.

— Phi! — odparł pogardliwie koadiutor — przysięgam wam, że w tej całej



wojnie niczym się szczególnie nie odznaczył.

I też z kolei dobył szpady.

— Panowie — rzekł — nieprzyjaciel już się zbliża ku nam; oszczędzimy mu, spodziewam się, połowy drogi.

I nie dbając, czy kto za nim jedzie, czy nie, pomknął naprzód. Jego pułk, który nosił nazwę pułku Korynckiego, od Koryntu, którego koadiutor był arcybiskupem, ruszył za nim i zaczął bitwę.

Pan de Beaufort zaś pchnął swoją jazdę pod dowództwem pana de Noimoutiers do Etampes na spotkanie konwoju z żywnością, którego niecierpliwie czekano w Paryżu. Pan de Beaufort chciał osłonić konwój.

Pan de Chanleu, komendant placu, stał z głównymi siłami, gotów wytrzymać natarcie, a nawet i próbować pościgu, gdyby nieprzyjaciel został odepchnięty.

Po upływie pół godziny bój rozgorzał wszędzie. Koadiutor, rozdrażniony tym, że wszyscy sławią odwagę pana de Beaufort, dokazywał istnych cudów waleczności. Powołaniem jego była, jak wiadomo, szpada i cieszył się, ilekroć mógł jej dobyć z pochwy, wszystko jedno za co i przeciwko komu. Ale w tej okazji, choć jako żołnierz tak świetnie stawał, jako wódz zbłądził się. Z siedmuset czy ośmuset ludźmi wpadł na trzy tysiące, które w odpowiedzi runęły nań całą masą i odepchnęły koadiutorowych żołnierzy; pułk Koryncki w popłochu zawrócił ku szanom. Lecz ogień artylerii pana de Chanleu zatrzymał królewskie pułki i zachwiał na chwilę ich szykiem. Potrwało to jednak krótko i wojsko uformowało się na nowo za osłoną kilku domków i niewielkiego lasu.

Chanleu uznał, że chwila nadeszła. Na czele dwóch pułków puścił się w pogoń za królewskimi wojskami, lecz jak powiedzieliśmy, królewskie wojska już się sformowały na nowo i zawróciły, dowodzone osobiście przez pana de Chatillon. Natarcie było tak gwałtowne i prowadzone tak świetnie, że Chanleu i jego ludzie zostali bez mała otoczeni. Chanleu nakazał odwrót, który też i rozpoczął się, piędź po piędzi, krok za krokiem. Na nieszczęście po chwili

Chanleu padł, śmiertelnie ugodzony.

Pan de Chatillon widział, jak padał, i głośno obwieścił jego śmierć, co podwoiło zapal królewskiego wojska i posiało popłoch w pułkach, z którymi Chanleu wyszedł z obozu. Każdy myślał już tylko o własnym ocaleniu i nie próbował przedrzeć się do szańców, przy których koadiutor usiłował sformować na nowo swój mocno nadszarpnięty pułk.

Nagle oddział jazdy ruszył naprzeciw zwycięzcom, którzy bezładnie, razem z uciekającymi, już wpadli między szance. Atos i Aramis pędzili na jego czele. Aramis ze szpadą w jednej, a pistoletem w drugiej ręce. Atos ze szpadą w pochwie i pistoletami w olstrach. Atos był spokojny, obojętny jak na paradzie i tylko jego piękna i szlachetna twarz pokryła się smutkiem na widok tylu ludzi posyłanych na rzeź przez upór królewski po jednej stronie i przez zawziętość książąt po drugiej. Aramis, przeciwnie, zabijał i upajał się tym coraz bardziej, jak zwykle. Jego oczy, zawsze lśniące, pałały; jego usta, tak subtelne w kształcie, uśmiechały się złowieszczo; rozdęte nozdrza wchłaniały zapach krwi. Każde cięcie jego szpady było celne, a gałką pistoletu dobijał rannych, którzy próbowali się dźwignąć.

Po przeciwnej stronie, wśród wojsk królewskich, dwaj kawalerowie, jeden w pozłaczanym pancerzu, drugi w zwykłej skórzanej kamizeli, spod której widać było rękawy niebieskiego, aksamitnego kaftana, nacierali w pierwszym szeregu. Kawaler w pozłaczanym pancerzu starł się z Aramisem i zadał pchnięcie szpadą, które Aramis ze zwykłą sobie zręcznością odparował.

— O, to ty, panie de Chatillon! — zawołał. — Witam, czekałem na ciebie!

— Chyba długo nie pozwoliłem ci czekać, panie kawalerze — odparł książę. — Jakkolwiek by było, oto jestem.

— Panie de Chatillon — rzekł Aramis wyciągając z olster drugi pistolet, który zachował na tę okazję — jeśli twój pistolet jest nie nabity, mniemam, że już po tobie.

— Pistolet jest nabity, chwala Bogu — odparł Chatillon.

I księżę, podniósłszy pistolet do twarzy, wymierzył w Aramisa i strzelił. Ale Aramis schylił głowę w chwili, w której ujrzał, że księżę pociąga za spust, i kula przeszła górami, nie trafiwszy.

— Chybiłeś — rzekł Aramis. — Ale ja nie chybię, klnę się na Boga!

— Jeśli ci dam czas! — zawołał pan de Chatillon, spinając ostrogami konia i doskakując do przeciwnika z podniesioną szpadą.

Aramis czekał z tym strasznym uśmiechem, który zawsze miewał na ustach w podobnych okazjach, i Atos, który widząc, że de Chatillon z szybkością błyskawicy spada na Aramisa, już otwierał usta, żeby krzyknąć: “Strzelaj, na litość boską!”, kiedy huknął strzał. Pan de Chatillon rozłożył w krzyż ramiona i zwałił się na wznak na zad konia.

Kula przebiła mu pierś przez szczelinę w pancerzu.

— Umieram! — szepnął księżę. I zwałił się z konia na ziemię.

— Obiecałem ci, księżę, że tak będzie, i bardzo mi przykro, że tak ściśle dotrzymałem słowa. Czy mogę ci w czymś pomóc?

Chatillon poruszył ręką i Aramis już miał zsiąść z konia, kiedy coś go silnie uderzyło w bok. Był to cios szpady, ale ześliznął się po pancerzu.

Odwrócił się. żwawo i schwycił napastnika za rękę, po czym obaj z Atosem równocześnie krzyknęli:

— Raul!

Młodzieniec poznał twarz kawalera d'Herblay, poznał głos swego ojca i spuścił szpadę. Kilku jeźdźców ze strony praskiej rzuciło się w tej chwili na Raula, ale Aramis zasłonił go swoją szpadą.

— Mój jeniec! Z drogi! — krzyknął.

Atos tymczasem schwycił konia swego syna za uzdę i wyprowadził go z utarczki.

W tej chwili jego księżęca wysokość, który wspierał pana de Chatillon w drugiej linii, zjawił się wśród zgłęku bitwy. Poznano go po błysku orlego oka i po ciosach, jakie zadawał. Na jego widok pułk arcybiskupa Koryntu, którego

koadiutorowi pomimo tylu wysiłków nie udało się uszykować po raz wtóry, wpadł w sam środek paryskich wojsk i na łeb, na szyję uciekł w stronę Charenton i minął miasto nie zatrzymując się. Koadiutor, przez własnych żołnierzy zagarnięty do ucieczki, przejechał obok stojących z boku Atosa, Aramisa i Raula.

— Ho ho! — zawołał Aramis, który w swej zawiści nie mógł się nie ucieszyć widokiem koadiutorowej porażki — wasza wielbność znasz chyba Pismo święte?

— A co ma wspólnego Pismo święte z tym, co mi się przytrafiło? — zapytał koadiutor.

— Ano, jego książęca wysokość potraktował cię dziś jak święty Paweł Koryncjan w pierwszym liście.

— Jedźmy już, jedźmy — rzekł Atos. — Żart jest przedni, ale nie należy tutaj czekać na powinszowania. Naprzód, naprzód, a raczej w tył, bo wydaje mi się, że bitwa została przez frondystów przegrana.

— Wszystko mi jedno — odparł Aramis. — Przybyłem tu tylko po to, żeby się spotkać z panem de Chatillon. Spotkałem się z nim i jestem kontent; pojedynek z Chatillonem to zaszczytna rzecz.

— Prócz tego masz i jeńca — rzekł Atos pokazując na Raula.

I trzech jeźdźcy ruszyli z kopyta.

Młodzieniec na widok ojca aż zadrżał był z radości. Jechali strzemię w strzemię; Atos w prawej ręce trzymał lewą rękę Raula.

Kiedy byli już daleko od pola bitwy, Atos zapytał młodzieńca:

— Czego szukałeś w największym ścisku, mój przyjacielu? Nie tam było chyba twoje miejsce, bo jak widzę, nie jesteś uzbrojony, jak się należy, do walki.

— Bo też w ogóle nie miałem się dziś bić, panie hrabio. Zostałem wysłany do pana kardynała i jechałem do Rueil, ale kiedym ujrzał, jak pan de Chatillon prowadzi natarcie, wzięła mnie ochota, żeby stanąć u jego boku. Wtedy to

powiedział mi, że mnie szukali dwaj kawalerowie z paryskiego wojska, i wymienił hrabiego de La Fere.

— Jak to! Wiedziałeś, że tam jesteśmy, i chciałeś zabić kawalera d'Herblay, twego przyjaciela?

— Nie poznałem pana kawalera pod zbroją — odparł czerwieniąc się Raul — a powinienem był go poznać po zręczności i zimnej krwi.

— Dziękuję ci, młody przyjacielu, za komplement — rzekł Aramis. — Łatwo odgadnąć, kto cię uczył manier. Ale powiadasz, że jechałeś do Rueil?

— Tak.

— Do kardynała?

— Oczywiście. Wiozę list od jego książęcej wysokości do jego eminencji.

— Trzeba list zawieźć — rzekł Atos.

— O, wolnego, hrabio, tylko bez zbytecznej wielkoduszności. Co, u licha! Być może, od tego listu zależy nasz los i co ważniejsze, los naszych przyjaciół.

— Ale temu młodzieńcowi nie wolno nie wypełnić obowiązku — rzekł Atos.

— Najpierw, hrabio, zapominasz, że ten młodzieniec jest jeńcem. To, co robimy, to nie gwałt, to prawo wojny. A po drugie: pobitym nie wolno przebierać w środkach. Daj mi ten list, Raulu.

Raul zawahał się i spojrzał na Atosa, jakby chciał z jego oczu wyczytać zasadę, podług której powinien postąpić.

— Oddaj list, Raulu — rzekł Atos. — Jesteś jeńcem kawalera d'Herblay.

Raul niechętnie ustąpił, a Aramis, który nie miał tylu skrupułów co hrabia, schwycił list, przeczytał go szybko i podał Atosowi.

— Ty, który jesteś człowiekiem wierzącym, przeczytaj, a przekonasz po namyśle, że to sama Opatrzność postanowiła nas ostrzec.

Atos wziął list marszcząc swoje piękne brwi, lecz nadzieja, że znajdzie w nim wiadomość o d'Artagnanie, przemogła wstręt, jaki budziła w hrabim sama myśl o tym, że ma list przeczytać. Oto co zawierał list:

*Eminencjo!*

*Dziś wieczorem przyślę Waszej Eminencji, żeby wzmocnić oddział pana de Comminges, dziesięciu ludzi, o których mnie prosisz. Są to dobrzy żołnierze, zdolni stawić czoło dwóm niebezpiecznym przeciwnikom, których zręczności i odwagi tak się obawiasz.*

— O, co to! — rzekł Atos.

— Ano właśnie — odparł Aramis — co sądzisz o tych dwóch przeciwnikach, tak odważnych i zręcznych, że na upilnowanie ich trzeba dodać dziesięciu dobrych żołnierzy, bo oddział Commingesa nie wystarczy. Czyż nie są podobni jak dwie krople wody do d'Artagnana i Portosa?

— Przeszukamy dziś cały Paryż — rzekł Atos — i jeśli do wieczora nie będziemy mieli żadnych wieści, ruszamy traktem do Pikardii. Dam głowę, że dzięki bystrości d'Artagnana szybko znajdziemy wskazówkę, która wszystkie wątpliwości rozproszy.

— Szukajmy w Paryżu, a przede wszystkim zapytajmy Wiórka, czy nie usłyszał czego o swoim dawnym panu.

— Biedny Wiórek, tak lekko o nim mówisz, Aramisie, a on na pewno gdzieś tam leży posiekany. Wyprowadzono tych walecznych mieszczan na rzeź.

Ponieważ było to całkiem prawdopodobne, obaj przyjaciele nie bez niepokoju w sercach wrócili do Paryża przez bramę Tempie i skierowali się na plac Królewski, licząc, że tam zasięgną języka o losie tych nieszczęsnych mieszczan. Toteż wielkie było ich zdziwienie, kiedy ujrzeli, że wciąż jeszcze popijając i pusząc się w najlepsze, biwakują na placu razem ze swym kapitanem, choć rodziny już ich na pewno oplakiwały, słysząc huk armat z Charenton i myśląc, że są w bitwie.

Atos i Aramis zapytali Wiórka, czy nie ma jakich wiadomości o d'Artagnanie, ale Wiórek nic nie wiedział. Chcieli go zabrać ze sobą, lecz oświadczył, że nie może zejść ze swego posterunku bez rozkazu.

Wrócili do gospody dopiero o piątej, mówiąc, że wracają z pola bitwy; nie stracili z oka brązowego konia Ludwika XIII.

— Tysiąc fur beczek! — zaklął Wiórek wróciwszy do swego sklepu przy ulicy des Lombards. — Zostaliśmy pobici na łeb. Nigdy się nie pocieszę.

## 36. Na pikardyjskim trakcie

Atos i Aramis, którym nic zgoła nie groziło w Paryżu, nie łudzili się, że znalazłszy się za jego murami, od razu będą narażeni na wielkie niebezpieczeństwo; wiemy jednak, czym było niebezpieczeństwo dla tych ludzi. Zresztą wyczuwali, że rozwiązanie tej drugiej odysei jest już bliskie i że trzeba się już tylko zdobyć na ostatni, rozstrzygający wysiłek.

Zresztą i Paryż nie był spokojny. Zaczynało braknąć żywności, a jeśli któryś z generałów księcia de Conti potrzebował wzmocnienia swych wpływów, wybuchały niezbyt groźne zamieszki, które uspokajał, zyskując w ten sposób chwilową przewagę nad swymi kolegami.

Podczas jednej z takich właśnie zamieszek pan de Beaufort dopuścił do rozgrabienia domu i biblioteki Mazariniego, żeby dać, jak mówił, coś do ogryzienia temu biednemu ludowi.

Atos i Aramis opuścili Paryż tuż po tym zamachu stanu, a zdarzył się on wieczorem tegoż dnia, w którym paryżanie zostali pobici pod Charenton.

Zostawili Paryż w biedzie, która już stawała się głodem, podminowany strachem, szarpany przez stronnictwa. Jako frondyści i paryżanie, spodziewali się, że w nieprzyjacielskim obozie znajdą tę samą nędzę, te same lęki, te same intrygi. Wielkie też było ich zdziwienie, kiedy przejeżdżając przez Saint-Denis dowiedzieli się, że w Saint-Germain dwór śpiewa, śmieje się i bawi.

Dwaj szlachcice jechali okrężnymi drogami, przede wszystkim, żeby nie wpaść w ręce mazarinistów, których pełno było w Ile-de-France. a po wtóre, żeby uniknąć frondystów, którzy trzymali Normandię i nie omieszkaliby zaprowadzić ich do księcia de Longueville, żeby księżę poznał, kto oni, przyjaciele czy wrogowie. Uniknąwszy tych dwóch niebezpieczeństw, wjechali na trakt z Boulogne do Abbeville i zaczęli posuwać się krok za krokiem,



szukając śladów.

Z początku gubili się w niepewności. Pytali kilku oberżystów, ale nie otrzymali żadnej wskazówki, która by mogła ich objaśnić i pokierować dalszymi poszukiwaniami, aż raptem w Montreuil Atos wyczuł pod swymi delikatnymi palcami coś szorstkiego na powierzchni stołu. Podniósł obrus i odczytał litery, głęboko wryte w drzewie ostrzem noża:

*Port... — d'Art... — 2 luty.*

— Nareszcie! — rzekł Atos pokazując napis Aramisowi. — Chcieliśmy się tu zatrzymać na nocleg, ale nie warto. Jedźmy dalej.

Dosiedli koni i pojechali do Abbeville. Tu znaleźli się w kłopotcie z powodu dużej liczby oberży. Nie można było przecież do wszystkich zajeżdzać. Jak zgadnąć, w której mieszkali ci, których szukali?

— Wierz mi, Atosie — rzekł Aramis — że nie ma co liczyć na znalezienie czegokolwiek w Abbeville. Jeśli my jesteśmy w kłopotcie, nasi przyjaciele też musieli się głowić. Gdyby Portos był sam, zajechałby do najlepszej gospody i pytając o nią, mieliśmyby pewność, że trafimy na ślad jego pobytu. Ale d'Artagnan nie ulega takim słabostkom i choć go Portos zapewniał, że umiera z głodu, on pojechał dalej, nieubłagany jak przeznaczenie; gdzie indziej też trzeba ich szukać.

Pojechali więc dalej, ale nic się nie nadarzyło. Było to zadanie najtrudniejsze, a przede wszystkim najźmudniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek Atos i Aramis przedsiębrali, i gdyby nie honor, przyjaźń i wdzięczność — potrójne zobowiązanie wryte w ich duszach — nasi dwaj podróżnicy już sto razy zrezygnowaliby z grzebania w piachu, wypytywania przechodniów, tłumaczenia sobie wszystkich znaków i śledzenia wszystkich twarzy.

Dojechali tak aż do Peronne.

Atos zaczynał już tracić nadzieję. Ta szlachetna i wrażliwa natura wyrzucała sobie beznadziejność, w jakiej grzęzli obaj z Aramisem. Na pewno

źle szukali, na pewno nie dość uporczywie pytali i nie dość przenikliwie oceniali otrzymane odpowiedzi. Już gotowi byli zawrócić, kiedy jadąc przedmieściem do bram miasta, na białej ścianie domu, stojącego na rogu ulicy okrążającej mury miejskie, wzrok Atosa natrafił na rysunek zrobiony węglem, który z naiwnością dziecinnych gryzmołów Przedstawiał dwóch jeźdźców pędzących co koń wyskoczy. Jeden z jeźdźców trzymał w ręku prostokąt, a na nim po hiszpańsku wypisane były słowa:

*Gonią nas.*

— Spójrz! — zawołał Atos. — To jasne jak słońce. Choć ich gonili, d'Artagnan zatrzymał się tu na pięć minut, co świadczy zresztą, że pogoń nie mogła być zbyt blisko; może udało im się uciec.

Aramis potrząsnął głową.

— Gdyby uciekli, już zobaczylibyśmy ich do tej pory albo choć usłyszeliśmy o nich.

— Masz słuszość, Aramisie, jedźmy dalej.

Niepokoju i niecierpliwości dwóch szlachciców żadne pióro nie opisałoby. Niepokój dręczył czułe i wierne serce Atosa, niecierpliwość dręczyła umysł Aramisa, nerwowy i tak bardzo skłonny do desperacji. Toteż pędzili co koń wyskoczy przez trzy czy cztery godziny, niczym tamci dwaj jeźdźcy z rysunku na ścianie. Raptem w wąskim wąwozie ściśniętym między dwoma wzgórzami zobaczyli, że droga jest w połowie zatarasowana przez ogromny głaz. Na zboczu jednego z pagórków jeszcze widniał ślad miejsca, w którym głaz się poprzednio znajdował, a głębokość jamy, jaka po nim pozostała, świadczyła, że głaz nie mógł się sam stoczyć, że go strącono umyślnie, ciężar zaś kamienia dowodził, że aby go poruszyć, potrzebne było ramię jakiegoś Enceladona<sup>23</sup> albo Briareosa<sup>24</sup>.

Aramis zatrzymał konia.

---

23 Enceladon — patrz obj. str. 92 (t. I).

24 Briareos — wg mitologii greckiej sturęki olbrzym, syn Uranosa (nieba) i Gai (Ziemi).

— Widzisz, Atosie? — rzekł patrząc na głaz. — To mi pachnie Ajaksem Telamończykiem<sup>25</sup> albo Portosem. Proszę cię, hrabio, zsiądźmy i obejrzyjmy tę skałę.

Zsiedli obaj z koni. Głaz został tu położony umyślnie po to, żeby zamknąć drogę konnym. Z początku leżał w poprzek całej drogi, ale widocznie jacyś jeźdźcy, natknąwszy się na tę przeszkodę, zsiedli z koni i odsunęli kamień nieco na bok.

Dwaj przyjaciele obejrżeli głaz ze wszystkich stron dostępnych dla oka, ale nic niezwykłego na nim nie znaleźli. Wezwali więc Blaisois i Milczka. We czterech z trudem odwrócili kamień. Na stronie, która przylegała przedtem do ziemi, był napis:

*Goni nas ośmiu szwoleżerów. Jeśli dotrzemy do Compiegne, zatrzymamy się "Pod Pawiem w Koronie"; oberżysta jest naszym przyjacielem.*

— Nareszcie coś określonego — rzekł Atos. — Czy tak, czy siak, będziemy wiedzieli, czego się trzymać. Jedźmy "Pod Pawia w Koronie".

— Oczywiście — zgodził się Aramis — lecz jeśli chcesz tam dojechać, dajmy wytchnąć koniom, są już prawie ochwaczone.

Aramis mówił prawdę. Zatrzymali się w pierwszej przydrożnej karczmie. Konie dostały podwójną miarkę owsa namoczonego w winie, dali im trzy godziny odpoczynku, po czym ruszyli w dalszą drogę. Ludzie też już niemal padali ze zmęczenia, ale podtrzymywała ich nadzieja.

W sześć godzin później Atos i Aramis wjechali do Compiegne i zapytali o oberżę "Pod Pawiem w Koronie". Pokazano im szyld przedstawiający satyra w koronie na głowie.

Dwaj przyjaciele zsiedli z koni, zgoła nie dziwując się temu

---

25 Ajaks Telamończyk — bohater grecki z wojny trojańskiej, słynny z olbrzymiej siły.

arcywyszukanemu szyldowi, który w innych okolicznościach Aramis na pewno by skrytykował. W środku zastali zacnego oberżystę, łysego i pękatego jak Chińczyk z porcelany, zapytali go, czy nie zatrzymywali się u niego, na krótko lub na dłużej, dwaj szlachcice ścigani przez szwoleżerów. W odpowiedzi oberżysta wyjął ze skrzyni złamane ostrze rapieru.

— Poznajecie to? — zapytał.

Atos, spojrzawszy raz jeden na to ostrze, rzekł:

— To spada d'Artagnana.

— Dużego czy małego? — zapytał oberżysta.

— Małego — odpowiedział Atos.

— Widzę, że jesteście przyjaciółmi tych panów.

— Zatem mów, co się z nimi stało.

— Ano wpadli na moje podwórze na ochwaconych koniach i nim zdążyli zamknąć bramę, ośmiu szwoleżerów, którzy ich gonili, też wpadło do środka.

— Ośmiu! — rzekł Aramis. — Dziwi mnie, że d'Artagnan i Portos, tacy dzielni ludzie, dali się aresztować ośmiu szwoleżerom.

— Toteż, panowie, ośmiu ludzi nie dałoby sobie z nimi rady, gdyby nie zwerbowali sobie na mieście ze dwudziestu żołnierzy z królewsko-włoskiego pułku, który u nas stacjonuje, skutkiem czego wasi dwaj przyjaciele zostali dosłownie przytłoczeni liczbą.

— Aresztowali ich! — rzekł Atos. — A czy wiadomo za co?

— Nie, panie, zabrano ich natychmiast i nic mi nie zdążyli powiedzieć. Dopiero po ich odjeździe znalazłem ten kawałek szpady na miejscu potyczki, kiedym pomagał zbierać dwu zabitych i pięciu czy sześciu rannych.

— A oni? — zapytał Aramis. — Czy im się co nie stało?

— Nie, panie, nie zdaje mi się.

— Dobrze — rzekł Aramis — zawszeć to jakaś pocięcha.

— Czy wiesz, gdzie ich poprowadzono? — zapytał Atos.

— W stronę Louvres.

— Zostawmy tu Blaisois i Milczka — rzekł Atos — niech jutro wracają do Paryża z naszymi końmi, które na pewno padłyby nam w dalszej drodze, i bierzmy konie pocztowe.

— Bierzmy konie pocztowe — zgodził się Aramis.

Posłano po pocztowe konie. Przez ten czas dwaj przyjaciele szybko zjedli obiad; chcieli móc od razu jechać dalej, jeśliby się im udało znaleźć w Louvres jakąś wskazówkę.

Przybyli do Louvres. Gospoda była tu tylko jedna. Piło się w niej likier, słynny i w naszych czasach, a wyrabiany już wtedy.

— Zatrzymajmy się tu — rzekł Atos. — D'Artagnan na pewno nie przepuścił takiej okazji, nie żeby wypić kieliszek likieru, ale żeby zostawić dla nas wskazówkę.

Weszli i kazali sobie podać dwa kieliszki likieru przy szynkwasio, bo tak też pewnie zrobili d'Artagnan i Portos. Na szynkwasio, przy którym zwykle pito, leżała cynowa płytka. Na płytce ktoś grubą szpilką wydrapał:

*Rueil, D.*

— Są w Rueil! — zawołał Aramis, który pierwszy spostrzegł napis.

— Jedźmy do Rueil — rzekł Atos.

— Włazimy wilkowi w paszczę — zauważył Aramis.

— Gdybym był takim przyjacielem Jonasza<sup>26</sup>, jakim jestem d'Artagnana — rzekł Atos — poszedłbym za nim aż do brzucha wieloryba, a ty, Aramisie, razem ze mną.

— Stanowczo, mój drogi hrabio, przy tobie i ja staję się lepszym człowiekiem. Gdybym był sam, wątpię, czy pojechałbym tak od razu do Rueil, nie podejmując żadnych ostrożności. Ale gdzie ty pojedziesz, tam i ja pojedę.

Zmienił konie i ruszyli do Rueil.

---

<sup>26</sup> Jonasz — prorok biblijny; wg podania przebywał trzy dni w brzuchu wieloryba.

Atos, sam o tym nie wiedząc, doradził Aramisowi i sobie w najlepszy sposób. Wysłannicy parlamentu przybyli właśnie do Rueil na te słynne narady, które potrwać miały trzy tygodnie i dać w wyniku kulejący pokój, w którego następstwie jego książęca wysokość został aresztowany. Pełno więc było w Rueil wysłanych przez paryżan adwokatów, prezydentów, radców, wszelkiego rodzaju sadowników. Dwór zaś ściągnął liczną szlachtę, roilo się od oficerów i straży. Każdemu więc, kto chciał pozostać niewidocznym, łatwo było zniknąć w tym tłumie. Zresztą na okres pertraktacji zawarto rozejm i aresztowanie w takiej chwili dwóch szlachciców, choćby i najzagorzalszych frondystów, byłoby jawnym pogwałceniem prawa.

Dwóm przyjaciółom wydawało się, że wszyscy są zaprzątnięci trapiącymi ich myślami. Wchodzili w największy ścisk, wierząc, że natychmiast coś usłyszą o d'Artagnanie i Portosie, ale wszyscy byli zajęci tylko paragrafami i odszkodowaniami. Atos orzekł wreszcie, że trzeba pójść wprost do ministra.

— Przyjacielu — sprzeciwił się Aramis — to, co mówisz, brzmi bardzo pięknie, ale opamiętaj się, bo dla własnego bezpieczeństwa musimy pozostać w ukryciu. Jeśli damy się poznać w taki czy też inny sposób, natychmiast połączymy się z naszymi przyjaciółmi w jakimś lochu, z którego nas sam diabeł nie wydobędzie. Starajmy się odnaleźć ich nie przez taki przypadek, ale z własnej i nieprzymuszonej woli. Aresztowano ich w Compiègne i zaprowadzono do Rueil, jak się na pewno dowiedzieliśmy w Louvres. Po przybyciu do Rueil zostali przesłuchani przez kardynała, który po tym przesłuchaniu albo ich zatrzymał przy sobie, albo wysłał do Saint-Germain. W Bastylji na pewno ich nie ma, bo Bastylię trzymają frondyści i syn Broussela jest w niej komendantem. Nie umarli, bo śmierć d'Artagnana narobiłaby huku. Portos zaś wydaje mi się wieczny jak sam Pan Bóg, choć nie tak cierpliwy. Nie traćmy nadziei, czekajmy i zostańmy w Rueil, bo mam przeświadczenie, że oni tu są. Co ci jest, Atosie? Strasznie zbladłeś.

— Bo przypomniałem sobie — odparł niemal drżącym głosem Atos — że

w zamku w Rueil pan de Richelieu kazał wybudować jakąś straszną sekretną celę...

— O, bądź spokojny — rzekł Aramis. — Pan de Richelieu był szlachcicem równym nam wszystkim z urodzenia, a wyższym od nas urzędem. Mógł, niczym król, sięgnąć po głowę każdego z nas i dotknąwszy jej sprawić, by się chwiać zaczęła na karku. Ale pan Mazarini to cham, który może nas najwyżej brać za kołnierze jak pacholek grodzki. Pociesz się więc, przyjacielu, bo dalej twierdzą, że d'Artagnan i Portos są w Rueil żywi i że się im powodzi nie najgorzej.

— Żałuję — rzekł Atos — żeśmy się nie postarali, by nas koadiutor włączył do delegacji; przybywszy tym sposobem do Rueil moglibyśmy brać udział w obradach.

— Razem z tymi okropnymi łykami w togach? Cóż za pomysł, mój kochany! Czy wierzysz, że będzie tam mowa o wolności albo o więzieniu dla d'Artagnana i Portosa? Nie, jestem zdania, że trzeba nam poszukać innego sposobu.

— Wracam zatem do mego pierwszego pomysłu — odparł Atos. — Najlepszy sposób postępowania to otwartość i szczerść. Pójdę nie do Mazariniego, ale do królowej i powiem jej: „Najjaśniejsza pani, oddaj nam naszych przyjaciół, którzy służyli ci tak wiernie!”

Aramis potrząsnął głową.

— Jest to ostatni środek, do jakiego zawsze będziesz mógł się uciec, Atosie, ale uwierz mi i użyj go tylko w ostateczności. To się zawsze zdąży. A tymczasem szukajmy dalej.

Szukali więc dalej i tak pilnie się wypytywali, tylu ludzi ciągnęli za języki, chwytając się tysiącznych i najbardziej pomysłowych pozorów, że natknęli się w końcu na szwoleżera, który się im przyznał, że należał do eskorty odprowadzającej d'Artagnana i Portosa z Compiegne do Rueil. Gdyby nie szwoleżerowie, nikt by się nie dowiedział, że przybyli do tego miasta.

Atos wciąż wracał do pomysłu zobaczenia się z królową.

— Żeby się zobaczyć z królową — mówił mu Aramis — wpierw trzeba się zobaczyć z kardynałem; a ledwie zobaczylibyśmy się z kardynałem, zapamiętaj sobie moje słowa, Atosie, natychmiast odnaleźlibyśmy naszych przyjaciół, ale zgoła nie tam, gdzie chcemy. Otóż takie spotkanie z nimi wcale mi się nie uśmiecha, przyznam otwarcie. Żeby działać skutecznie i szybko, musimy być wolni.

— Zobaczę się z królową — rzekł Atos.

— Cóż, przyjacielu, jeśli zdecydowałeś się na to szaleństwo, to przynajmniej uprzedź mnie, proszę, na dzień z góry.

— Po co?

— Bo skorzystam z tej okazji, żeby skoczyć do Paryża.

— Do kogo?

— Mój Boże! Czy ja wiem? Może do pani de Longueville? Jest tam wszechmocna, pomoże mi. Tylko daj mi znać przez kogoś, jeśli zostaniesz aresztowany, a wtedy od razu wrócę.

— Dlaczego nie chcesz ryzykować aresztowania razem ze mną, Aramisie?

— Nie, dziękuję, wolę nie.

— Jeśli i nas aresztują i jeśli wszyscy czterej się połączymy, nic nam się nie może stać. Po dwudziestu czterech godzinach wszyscy czterej będziemy wolni.

— Mój drogi, odkąd zabiłem Chatillona, bożyszcze wszystkich dam z Saint-Germain, zbyt wiele powstało huku dokoła mojej osoby, bym się nie miał podwójnie bać więzienia. Może królowa posłuchałaby w takim razie rady Mazariniego, a Mazarini na pewno doradziłby, żeby mnie oddać pod sąd.

— Czyżbyś przypuszczał, Aramisie, że ona kocha tego Włocha aż tak, jak mówią?

— Przecież kochała Anglika.

— Cóż, mój drogi, jest kobietą!

— O, nie, Atosie, mylisz się, ona jest królową.



— Drogi przyjacielu, poświęcę się i poproszę Annę Austriaczkę o posłuchanie.

— Bądź zdrow, Atosie, jadę zebrać wojsko.

— A po co?

— Żeby z nim oblegać Rueil.

— Gdzie się spotkamy?

— Pod szubienicą kardynała.

I przyjaciele rozstali się. Aramis wrócił do Paryża. Atos zaś zaczął szukać dostępu do królowej.

## 37. Wdzięczność Anny Austriaczki

Atos dostał się do Anny Austriaczki o wiele łatwiej, niż się był spodziewał. Po pierwszej próbie wszystko poszło nad podziw gładko i posłuchanie zostało mu wyznaczone na następny dzień po wstaniu królowej z łóżka, przy której to ceremonii urodzenie dawało mu prawo być obecnym.

W apartamentach pałacu Saint-Germain było bardzo tłoczno. Anna Austriaczka jeszcze nigdy, ani w Luwrze, ani w Palais-Royal, nie była otoczona taką liczbą dworzan; tyle tylko, że dobór się zmienił, bo tłum ten składał się z pośledniejszej szlachty, najpierwsi zaś panowie Francji byli przy księciu de Conti, przy księciu de Beaufort i przy koadiutorze.

Na dworze było zresztą bardzo wesoło. Osobliwość tej całej wojny polegała na tym, że więcej w niej było kupletów niż armatnich strzałów.

Dwór śpiewał złośliwe piosenki o paryżanach, paryżanie śpiewali złośliwe piosenki o dworze, a rany, choć nie śmiertelne, niemniej jednak były bolesne, bo zadane bronią szyderstwa.

Lecz wśród powszechnej wesołości i pozornej płochości wszystkie umysły zaprzątnięte były jednym wielkim zagadnieniem: czy Mazarini nadal zostanie ministrem i faworytem? Czy Mazarini, co jak chmura przyszedł z południa, pójdzie precz, przegnany wiatrem, który go sprowadził? Wszyscy na to czekali, wszyscy tego pragnęli i minister wiedział, że hołdy i pochlebstwa pokrywają nienawiść, kiepsko schowaną pod strachem i zabieganiem o korzyści. Czuł się niepewnie, nie wiedząc, na co może liczyć i na kim się może oprzeć.

Sam jego książęca wysokość, który dla niego się bił, nigdy nie przepuścił okazji, żeby go wykpić albo poniżyć, a parokrotnie nawet, kiedy zdarzyło się Mazariniemu objawić swą wolę zwycięzcy spod Rocroi, książę spojrział nań w sposób, który wyraźnie dawał do zrozumienia, że choć go broni, nie czyni tego

ani z przekonania, ani z zapału.

Wtedy kardynał szukał pomocy u królowej, będącej jedynym jego oparciem, lecz już niejednokrotnie wydawało mu się, że i ono zaczyna się chwiać pod jego ręką.

Kiedy nadeszła pora posłuchania, dano znać hrabiemu de La Fere, że dostanie je wprawdzie, ale będzie musiał chwilę zaczekać, bo królowa ma właśnie naradę z ministrem.

Była to prawda. Paryż przysłał nową deputację, która miała skuteczniej poprowadzić rokowania i królowa naradzała się z Mazarinim, w jaki sposób ma przyjąć tych wysłanników.

Najwyższe osoby w państwie były rzeczywiście ogromnie zajęte i Atos nie mógł wybrać gorszej chwili do wstawienia się za swymi przyjaciółmi, marnymi atomami zagubionymi wśród zawieruchy.

Ale Atos był człowiekiem nieugiętym, który nie cofał raz powziętego postanowienia, jeśli postanowienie to, w jego mniemaniu, wypływało z sumienia i nakazane było przez obowiązek. Domagał się, żeby go wprowadzono, mówiąc, że choć nie jest wysłannikiem ani pana de Conti, ani pana de Beaufort, ani pana de Bouillon, ani pana d'Elboeuf, ani koadiutora, ani pani de Longueville, ani Broussela, ani parlamentu i przychodzi w swoim własnym imieniu, to jednak ma rzeczy wielkiej wagi do powiedzenia jej królewskiej mości.

Po skończonej naradzie królowa wezwała go do gabinetu.

Atos wszedł i wymienił swoje nazwisko. Nazwisko to zbyt często brzmiało w uszach jej królewskiej mości i zbyt często drgało w jej sercu, by Anna Austriaczka mogła go nie pamiętać; jednakże ani drgnęła i tylko patrzyła na szlachcica z uporczywością, na jaką mogą sobie pozwolić tylko kobiety królowe, czy z urody, czy z urodzenia.

— Chcesz więc ofiarować nam swoje usługi, hrabio? — zapytała po chwili milczenia Anna Austriaczka.

— Tak, najjaśniejsza pani, chcę jeszcze raz ofiarować ci moje usługi — odparł Atos niemile zaskoczony tym, że królowa zdawała się zgoda go nie poznawać.

Atos był człowiekiem wielkiego serca, a więc bardzo kiepskim dworzaninem.

Anna ściągnęła brwi. Mazarini, który siedząc przy stole przeglądał jakieś papiery, jakby był zwykłym sekretarzem królowej, podniósł głowę.

— Mów, hrabio — rzekła królowa.

Mazarini znów się zabrał do czytania.

— Najjaśniejsza pani — rzekł Atos — dwaj przyjaciele moi, dwaj najbardziej nieustraszeni słudzy waszej królewskiej mości, pan d'Artagnan i pan du Vallon, wysłani do Anglii przez pana kardynała, znikli nagle, natychmiast po wylądowaniu na ziemi francuskiej, i nikt nie wie, co się z nimi stało.

— Co dalej? — zapytała królowa.

— Apeluje więc do twej wielkoduszności, najjaśniejsza pani, żeby się dowiedzieć, co się stało z tymi dwoma szlachcicami, rezerwując sobie na później, jeśli trzeba będzie, odwołanie się do twej sprawiedliwości.

— Panie hrabio — odparła Anna Austriaczka z wyniosłością, która wobec pewnych ludzi stawała się impertynencją — więc tylko po to przerywasz nam ważne zajęcia, którymi jesteśmy pochłonięci? To jest sprawa policji. A chyba wiesz, mój panie, a przynajmniej powinieneś wiedzieć, że nie mamy policji, odkąd nie jesteśmy w Paryżu.

— Sądzę, że wasza królewska mość — odparł Atos kłaniając się z chłodnym szacunkiem — nie potrzebuje pytać policji, żeby się dowiedzieć, co się stało z panami d'Artagnan i du Vallon, i że gdyby zechciała zapytać pana kardynała o tych dwóch szlachciców, pan kardynał mógłby jej odpowiedzieć, nie pytając nikogo z wyjątkiem własnej pamięci.

— Ależ, niech mi Bóg wybaczy! — rzekła Anna Austriaczka, we właściwy sobie sposób pogardliwie wysuwając dolną wargę — ale zdaje mi się, że sam

go, hrabio, o to pytasz.

— Tak, najjaśniejsza pani, i mam niemal prawo pytać, bo chodzi o pana d'Artagnana, o pana d'Artagnana, czy słyszysz mnie, najjaśniejsza pani? — rzekł Atos z intonacją, która miała pochylić czoło królowej pod ciężarem wspomnień kobiety.

Mazarini zrozumiał, że czas już przyjść Annie Austriaczce z pomocą.

— Panie hrabio — rzekł — chętnie powiem ci to, czego jej królewska mość nie wie, czyli, co się stało z tymi dwoma szlachcicami. Złamali rozkazy i są w więzieniu.

— Błagam więc waszą królewską mość — rzekł z niezłomnym spokojem Atos, w ogóle nie odpowiadając Mazariniemu — by kazała wrócić wolność panom d'Artagnan i du Vallon.

— To, o co mnie, hrabio, prosisz, jest sprawą dyscypliny wojskowej i nie do mnie należy — odpowiedziała królowa.

— Pan d'Artagnan nigdy tak nie odpowiedział, kiedy szło o usłużenie waszej królewskiej mości — odparł Atos kłaniając się z godnością.

I cofnął się o dwa kroki ku drzwiom, ale zatrzymał go Mazarini.

— Też wracasz z Anglii, panie hrabio? — zapytał dając znak królowej, która wyraźnie zbladła i szykowała się wydać jakiś ostry rozkaz.

— Tak i byłem obecny przy ostatnich chwilach króla Karola I — odparł Atos. — Biedny król, który jedynie słabością zawinił, a którego poddani ukarali tak surowo; bo trony w tej chwili chwieją się i wiernym sercom nie na dobre wychodzi służenie interesom panujących. Pan d'Artagnan już drugi raz jeździł do Anglii; za pierwszym razem szło o ocalenie honoru wielkiej królowej; za drugim razem o ocalenie życia wielkiemu królowi.

— Panie kardynale — odezwała się Anna Austriaczka do Mazariniego głosem, którego prawdziwego brzmienia, choć tak nawykła do udawania, nie umiała ukryć — zobacz, czy da się coś zrobić dla tych szlachciców.

— Najjaśniejsza pani — odparł Mazarini — zrobię wszystko, co wasza

królewska mość zechce.

— Zrób to, o co prosi pan hrabia de La Fere. Wszak takie jest pańskie nazwisko, prawda?

— Mam jeszcze jedno, najjaśniejsza pani; nazywam się Atos.

— Najjaśniejsza pani — rzekł Mazarini z uśmiechem, który wskazywał, że z łatwością rozumie królową w pół słowa — możesz być spokojna, twoje życzenie zostanie spełnione.

— Słyszałeś, panie hrabio? — rzekła królowa.

— Tak, najjaśniejsza pani, i tegom się właśnie spodziewał po sprawiedliwości waszej królewskiej mości. A zobaczę moich przyjaciół, prawda, najjaśniejsza pani? Chyba wasza królewska mość właśnie to rzec chciałaś?

— Tak, zobaczysz ich, panie hrabio. Ale, ale, jesteś we Frondzie, prawda?

— Służę królowi, najjaśniejsza pani.

— Tak, na swój sposób.

— W sposób, jaki przystoi prawdziwemu szlachcicowi; a znam tylko jeden — odpowiedział dumnie Atos.

— Idź już, panie hrabio — rzekła królowa żegnając Atosa skinieniem ręki.

— Otrzymałeś to, co pragnąłeś otrzymać, a my wiemy wszystko, co pragnęliśmy wiedzieć.

Po czym, kiedy kotara na drzwiach spadła za Atosem, odezwała się do Mazariniego.

— Kardynale — rzekła — każ aresztować tego zuchwałego szlachcica, zanim wyjdzie z dziedzińca.

— Myślałem o tym — odparł Mazarini — i jestem szczęśliwy, że wasza królewska mość daje mi rozkaz, o który właśnie chciałem ją prosić. Te zabijaki, którzy do naszych czasów przenieśli obyczaje poprzedniego panowania, są dla nas bardzo uciążliwi; a skoro dwaj już siedzą pod kluczem, zamknijmy i trzeciego.

Atos nie ze wszystkim dał się oszukać królowej. W jej głosie było coś, co

uderzyło go, a co wydawało się grozić obiecując. Lecz nie był on człowiekiem, którego byle podejrzenie mogło spłoszyć, a szczególnie wtedy, kiedy przecież powiedziano mu wyraźnie, że wkrótce swych przyjaciół zobaczy. Czekał więc w jednym z pokoi przylegających do gabinetu, w którym odbyła się audyencja, wierząc, że albo tu do niego przyprowadzą d'Artagnana i Portosa, albo że ktoś po niego przyjdzie, żeby go do nich zaprowadzić.

Czekając tak podszedł do okna i bezmyślnie wyglądał na dziedziniec. Zobaczył, że wchodzi deputacja paryżan, która przybywała, aby ostatecznie ustalić miejsce konferencji i złożyć wyrazy szacunku królowej. Byli tam radcy parlamentarni, urzędnicy, sędziowie, adwokaci i kilku panów ze szlachty wmieszanych między nich. Okazała eskorta czekała na nich za bramą.

Atos zaczął patrzeć uważniej, gdyż wydało mu się, że poznaje kogoś w tym tłumie, lecz nagle uczuł, że czyjaś ręka lekko dotyka jego ramienia.

Odwrócił się.

— O, pan de Comminges! — rzekł.

— Tak, panie hrabio, to ja właśnie i z poleceniem, za które najmocniej cię z góry przepraszam.

— Cóż to za polecenie? — zapytał Atos.

— Zechciej mi oddać swoją szpadę, hrabio.

Atos uśmiechnął się i otworzył okno.

— Aramisie! — krzyknął.

Jakiś szlachcic odwrócił się: ten, którego Atos poznał, jak mu się zdawało. Szlachcic ów był Aramisem. Przyjaźnie pozdrowił hrabiego.

— Aramisie — rzekł Atos — aresztują mnie.

— Dobrze — odpowiedział z flegmą Aramis.

— Panie Comminges — rzekł Atos, odwracając się do Commingesa i podając mu dwornym ruchem rękojeść szpady — oto moja szpada. Zechciej mi ją przechować starannie, by mi ją zwrócić, kiedy wyjdę z więzienia. Zależy mi na niej; król Franciszek I dał ją memu dziadkowi. W tamtych czasach dawano

broń szlachcicom, a nie odbierano im broni. Dokąd mnie zaprowadzisz?

— Ależ... do mego pokoju tymczasem — rzekł Comminges. — Królowa oznaczy miejsce twego późniejszego mieszkania.

Atos, nie odezwawszy się więcej ani słowem, poszedł za Commingesem.



## 38. Królewskość pana Mazariniego

Aresztowanie nie narobiło hałasu, nie wywołało skandalu; dokonało się niemal całkiem niepostrzeżenie. W niczym też nie zakłóciło biegu wydarzeń i deputacja wysłana przez miasto Paryż została uroczyście zawiadomiona, że za chwilę stanie przed obliczem królowej.

Królowa przyjęła ją milcząca i wyniosła, jak zwykle. Wysłuchiwała utyskiwań i próśb deputatów, lecz kiedy skończyli swe przemowy, nikt nie mógł zaręczyć, że Anna Austriaczka usłyszała je, twarz jej bowiem przez cały czas nie drgnęła.

Za to Mazarini, obecny przy tym posłuchaniu, świetnie słyszał, czego domagają się deputaci; było to żądanie odesłania go, ni mniej, ni więcej, sformułowane jasno i wyraźnie.

Przemówienia skończyły się, lecz królowa wciąż milczała.

— Panowie — odezwał się Mazarini — chcę przyłączyć się do waszych próśb i błagać królową, by zechciała położyć kres niedoli swoich poddanych. Zrobiłem wszystko, com mógł, by ulżyć ich niedoli, a jednak, jak mówicie, publicznym mniemaniem jest, że ja jej zawiniłem, nieszczęsny cudzoziemiec, który nie umiałem się spodobać Francuzom. Niestety, nie rozumiano mnie i trudno się temu dziwić: zająłem miejsce najświetniejszego męża, jaki kiedykolwiek był podporą berła królów Francji. Wspomnienie pana de Richelieu miażdży mnie. Daremnie walczyłem z tym wspomnieniem. Gdybym był ambitny i próżny, lecz ja nim nie jestem i chcę dać na to dowód. Uznaję się za zwyciężonego, zrobię to, czego się domaga lud. Paryżanie też nie są bez winy, ale któż jest bez winy, panowie? Paryż dość już został ukarany, dość się polało krwi, dość klęsk spadło na miasto pozbawione swego króla i sprawiedliwości. Moja osoba nie znaczy aż tyle, bym miał prawo rościć sobie pretensje do

skłócenia królowej z jej królestwem. Skoro domagacie się, żebym odszedł, cóż, odejdę.

— A zatem — szepnął Aramis w ucho swojego sąsiada — pokój zawarty i pertraktacje są zbyt ciężkie. Trzeba tylko odstawić pana Mazariniego pod dobrą strażą do najdalszej granicy i pilnować, żeby nie wrócił przez tę samą albo jakąś inną z granic.

— Wolnego, panie kawalerze, wolnego — odparł ów sadownik, do którego się zwracał Aramis. — Do licha! Ależ z ciebie gorączka! Zaraz widać, żeś szlachcic. Jeszcze trzeba omówić i uzgodnić kwestię odszkodowań i wynagrodzeń.

— Panie kanclerzu — rzekła królowa zwracając się do tego samego Seguiera, którego już tak dawno znamy — otworzysz narady; będą się odbywać w Rueil. Pan kardynał powiedział rzeczy, które bardzo mnie poruszyły. Dlatego też nie odpowiadam wam obszerniej. Jeśli zaś idzie o wyjazd czy pozostanie, czuję zbyt wielką wdzięczność dla pana kardynała, bym miała w czymkolwiek ograniczać jego swobodę. Pan kardynał zrobi to, co sam zechce.

Przelotna bladość pokryła na chwilę myślące oblicze pierwszego ministra. Spojrzał niespokojnie na królową, lecz twarz jej była tak nieprzenikniona, że i on, jak inni, nie mógł z niej wyczytać, co się dzieje w sercu Anny.

— A w oczekiwaniu na decyzję pana Mazariniego — dodała królowa — proszę, żeby była mowa wyłącznie o królu.

Deputaci skłonili się i wyszli.

— Jak widzę — odezwała się królowa, kiedy ostatni z nich opuścił komnatę — ustępujesz, kardynale, przed tymi skrybami i palestrantami.

— Dla dobra waszej królewskiej mości, najjaśniejsza pani — odparł Mazarini patrząc przenikliwym okiem na królową — nie ma ofiary, jakiej nie byłbym gotów ponieść.

Anna spuściła głowę i pogрузzyła się w zadumie, co się jej zdarzało często. Stało jej w pamięci wspomnienie Atosa. Dumna postawa szlachcica, jego

słowa, odważne i godne zarazem, i widma, jakie te słowa wskrzeszały, wszystko to przypominało jej upajająco poetyczną przeszłość: młodość, urodę, blask dwudziestoletniej miłości i ciężkie boje sprzymierzeńców, i krwawy koniec Buckinghama, jedyne go mężczyzny, jakiego naprawdę kochała, i bohaterstwo jej nikomu nie znanych obrońców, którzy ją ocalili przed podwójną nienawiścią Richelieugo i króla.

Mazarini patrzył na nią, i teraz, kiedy mniemała, że jest sama i że jej nie otacza już ciżba podpatrujących wrogów, odczytywał myśli z jej twarzy, jak się śledzi na czystym jeziorze chmury — odbicie nieba, tak podobne do myśli.

— A więc trzeba będzie ustąpić przed burzą — szepnęła Anna Austriaczka — kupić pokój, czekać cierpliwie i pokornie na lepsze czasy?

Mazarini uśmiechnął się gorzko, usłyszawszy te słowa, które świadczyły, że królowa wzięła propozycję ministra na serio.

Anna miała głowę spuszczoną i nie widziała tego uśmiechu, lecz nie słysząc żadnej odpowiedzi na swoje pytanie, podniosła głowę.

— Nie odpowiadasz mi, kardynale. O czym myślisz?

— Myślę o tym, najjaśniejsza pani, że ten zuchwały szlachcic, którego kazaliśmy aresztować Commingesowi, napomykał o panu Buckinghamie, którego pozwoliłaś zamordować, i o pani de Chevreuse, którą pozwoliłaś wygnąć, i o panu de Beaufort, którego pozwoliłaś uwięzić. A jeśli nie napomknął i o mnie, to dlatego jedynie, że nie wie, czym dla ciebie jestem.

Anna Austriaczka zadrżała, urażona do żywego w swej dumie. Zarumieniła się i żeby powstrzymać się z odpowiedzią, wbiła sobie paznokcie w piękne ręce.

— Jest to człowiek rozumny, honorowy i dowcipny, a prócz tego zdecydowany. Wiesz coś o tym, prawda, najjaśniejsza pani? Więc mu w dowód mej dla niego łaskawości powiem, w czym się omylił względem mojej osoby. Bo i rzeczywiście, to, co mi proponują, jest bez mała abdykacją, a abdykacja to sprawa warta namysłu.

— Abdykacja! — rzekła Anna — zdawało mi się, panie kardynale, że

abdykują jedynie królowie.

— A czyż nie jestem prawie królem, i to zgoła królem Francji? — odparł Mazarini. — Ręczę ci, najjaśniejsza pani, że suknia ministra, rzucona na królewskie łoże, bardzo podobna jest w nocy do królewskiego płaszcza.

W taki sposób Mazarini upokarzał ją najczęściej, a Anna w milczeniu schylała głowę. Bo tylko Elżbieta i Katarzyna II potrafiły być równocześnie i kochankami, i królowymi dla swych faworytów.

Anna Austriaczka popatrzyła z czymś na kształt lęku w groźną twarz kardynała, który w takich chwilach potrafił zdobyć się nawet i na wielkość.

— Panie kardynale — rzekła — czyż nie powiedziałam, czyż nie słyszałeś, jak powiedziałam tym ludziom, że zrobisz, co sam zechcesz?

— W takim razie — odparł Mazarini — zdaje mi się, że powinienem chcieć zostać. Jest to nie tylko mój interes, ale śmiałbym powiedzieć, że i twój ratunek, królowo.

— Zostań więc, panie, niczego bardziej nie pragnę, ale w takim razie nie pozwól mnie znieważać.

— Mówisz o pretensjach buntowników i o tonie, w jakim je wyrażają? Cierpliwości! Obrali sobie teren, na którym jestem lepszym niż oni generałem — rokowania. Pobjemy ich, po prostu zwłócząc. Już są głodni; za tydzień będzie z tym dużo gorzej.

— Cóż, mój Boże, tak, wiem, że się na tym skończy, panie kardynale. Ale nie tylko o nich idzie, to nie oni znieważyli mnie w sposób najdotkliwszy dla mnie.

— Ach, rozumiem cię, pani. Chcesz mówić o wspomnieniach, jakie wciąż budzą w tobie ci trzej czy tam cztery szlachcice. Ale już ich uwięziliśmy, a dość zawinili, by można ich było potrzymać w zamknięciu tak długo, jak to nam będzie na rękę. Jeden jeszcze nie wpadł nam w ręce i kpi sobie z nas tymczasem. Ale, do licha, w końcu i jego przyłączymy do reszty towarzystwa.

Dokazywaliśmy trudniejszych rzeczy, jak mi się zdaje. Najpierw przez

ostrożność kazałem osadzić w Rueil, czyli pod moim bokiem, pod moim okiem, w zasięgu mojej ręki, dwóch najważniejszych. Jeszcze dziś i trzeci podzieli ich losy.

— Póki będą w więzieniu, wszystko będzie dobrze — rzekła Anna Austriaczka — ale pewnego dnia wyjdą.

— Tak, jeśli ich uwolnisz, najjaśniejsza pani.

— Och — westchnęła Anna Austriaczka, odpowiadając swoim własnym myślom — tu się żałuje Paryża.

— Dlaczego?

— Dla Bastylii, panie kardynale, takiej potężnej i takiej dyskretnej.

— Najjaśniejsza pani, rokowania dadzą nam pokój; pokój odda nam Paryż; Paryż odda nam Bastylię i nasi czterej junacy zgniją w niej.

Anna Austriaczka lekko zmarszczyła brwi, a Mazarini ucałował na pożegnanie jej rękę.

I po tym geście, pół pokornym, pół szarmanckim, wyszedł. Anna Austriaczka odprowadziła go spojrzeniem, a im kardynał był dalej, tym wyraźniejszy się stawał pogardliwy uśmiech na jej ustach.

— Wzgardziłam miłością kardynała, który nigdy nie mówił: “zrobię”, ale: “robię” — szepnęła. — Tamten znał miejsca odosobnienia pewniejsze niż Rueil, jeszcze bardziej skryte i nieme niż Bastylia. O, świat wyrodnije!

## 39. Ostrożności

Opuściwszy Annę Austriaczkę Mazarini ruszył do Rueil, gdzie mieszkał. W tych niespokojnych czasach Mazarini jeździł w licznej asyście, a teraz nawet i w przebraniu. Jak już powiedzieliśmy, kardynał w stroju świeckim wyglądał na bardzo dorodnego szlachcica.

Na dziedzińcu starego zamku wsiadł do karety i w Chatou przejechał przez Sekwanę. Jego książęca wysokość przydał mu eskortę z pięćdziesięciu szwoleżerów, nie tyle po to, żeby go chronić, ile po to, żeby pokazać deputowanym, jak łatwo jest o wojsko generałom królowej i jak dowolnie mogą je w każdej chwili rozsyłać.

Atos, pod czujnym okiem Commingesa, konno i bez szpady, jechał w milczeniu za kardynałem. Milczek, którego pan jego zostawił przed zamkową bramą, usłyszał wiadomość o aresztowaniu, kiedy Atos krzyknął był do Aramisa, i na znak dany przez hrabiego stanął, nie odezwawszy się ani słowem, obok Aramisa, jakby nic się nie stało.

To prawda, że Milczek przez dwadzieścia dwa lata służby u swojego pana widział, jak wydobywał się on z tyłu już opresji, że nic nie było w stanie zaniepokoić wiernego służącego.

Deputaci natychmiast po posłuchaniu wrócili do Paryża i jechali . przed kardynałem, w odległości pięciuset kroków. Atos mógł więc patrząc przed siebie oglądać plecy Aramisa, a złotolity pas i dumna postawa, które tak go wyróżniały spośród tego tłumu, przyciągały Atosowe spojrzenie w tej samej mierze co i nadzieja na uwolnienie, jaką w nim pokładał, i przyzwyczajenie, zażyłość i życzliwa ciekawość, jakie zawsze towarzyszą przyjaźni.

Aramis, przeciwnie, udawał, że wcale nie dba o to, że Atos jedzie za nim. Obejrzał się tylko raz; prawda, że wtedy, kiedy dojechali do zamku.

Przypuszczał, że Mazarini może zostawić swego nowego więźnia w małym zameczku obronnym, który pilnował mostu, a który był w rękach królowej, dowodzony przez oddanego jej kapitana. Ale nie stało się tak. Atos minął Chatou jadąc za karetą kardynała.

Tam, gdzie droga do Rueil odchodzi w bok od paryskiego traktu, Aramis znów się obejrzał. Tym razem przewidywania nie omyliły go. Mazarini skręcił w prawo i Aramis mógł widzieć jak, więzień znika za drzewami na zakręcie. Atos w tejże chwili tą samą myślą tknięty też się obejrzał. Dwaj przyjaciele zamienili zwykłe skinienia głowy, a Aramis, jakby na pożegnanie, podniósł rękę do kapelusza. Tylko Atos mógł zrozumieć, iż przyjaciel daje mu znak, że już ma pomysł.

W dziesięć minut później Mazarini wjechał na dziedziniec zamku, który kardynał, jego poprzednik, kazał przebudować dla siebie w Rueil.

Kiedy wysiadłszy z karety stanął na pierwszym stopniu schodów, podszedł do niego Comminges.

— Eminencjo — zapytał — gdzie wasza eminencja każe umieścić hrabiego de La Fere?

— Gdzie? W pawilonie pomarańczami, naprzeciwko budynku, w którym jest kordegarda. Chcę okazać względy hrabiemu de La Fere, ponieważ jest on więźniem jej królewskiej mości.

— Eminencjo — dorzucił nieśmiało Comminges — hrabia prosi, żeby go zaprowadzić do pana d'Artagnana, który jest osadzony z rozkazu jego eminencji w pawilonie myśliwskim, naprzeciwko pomarańczami.

Mazarini zamyślił się.

Comminges zrozumiał, że się zastanawia.

— Stoi tam bardzo silny posterunek — dodał — czterdziestu pewnych ludzi, wypróbowanych żołnierzy, prawie sami Niemcy, zatem nie mający żadnych stosunków z frondystami i żadnych powiązań z Frondą.

— Jeśli osadzimy tych trzech ludzi razem, panie de Comminges — odparł

Mazarini — musielibyśmy podwoić strażę, a nie jesteśmy tak zasobni w obrońców, by sobie pozwalać na takie zbytki.

Comminges uśmiechnął się. Mazarini spostrzegł to i zrozumiał ten uśmiech.

— Pan ich nie zna, panie Comminges, ale ja ich znam, i z własnego doświadczenia, i z opowiadań. Poleciałem im, żeby pomogli królowi Karolowi i istnych cudów dokazywali, żeby go ocalić; toteż gdyby się w to nie wmieszał ślepy los, drogi król Karol byłby teraz z nami, cały i bezpieczny.

— Lecz jeśli tak dobrze służyli waszej eminencji, dlaczego wasza eminencja trzyma ich w więzieniu?

— W więzieniu! — rzekł Mazarini — a od kiedyż to Rueil jest więzieniem?

— Odkąd są w Rueil więźniowie.

— Ci panowie nie są moimi więźniami, Comminges — rzekł Mazarini uśmiechając się swym szyderczym uśmiechem — są to moi goście, goście tak cenni, że mazałem wstawić kraty w okna i założyć zasuwę na drzwiach zajmowanych przez nich pokoi z obawy, by im się nie sprzykrzyło dotrzymywanie mi towarzystwa. Ale choć na pozór wydają się więźniami, bardzo wysoko ich cenię, a na dowód tego chcę odwiedzić hrabiego de La Fere i porozmawiać z nim w cztery oczy. Więc żeby nam nikt nie przeszkodził w tej rozmowie, zaprowadź go, jak ci już polecałem, panie Comminges, do pomarańczarni. Wiesz przecież, że tam się zwykle udaję na przechadzkę, więc podczas przechadzki wstąpię do niego i porozmawiamy. Choć uważają go za mego wroga, ja mam wiele sympatii dla hrabiego i jeśli będzie rozsądny, może dogadamy się z nim.

Comminges skłonił się i wrócił do Atosa, który czekał, pozornie obojętny, a w rzeczywistości bardzo niespokojny, na wynik tej rozmowy.

— I co? — zapytał porucznika gwardii.

— Panie hrabio — odparł Comminges — jest to podobno niemożliwe.



— Panie de Comminges — rzekł Atos — przez całe życie byłem żołnierzem, więc wiem, co to rozkaz. Lecz nie przekraczając rozkazu mógłbyś mi wyświadczyć pewną przysługę.

— Chcę, i z całego serca, panie hrabio — odpowiedział Comminges. — Odkąd wiem, kim jesteś i jakie usługi oddałeś niegdyś jej królewskiej mości, odkąd wiem, jak bliski ci jest młodzieniec, który tak dzielnie przyszedł mi z pomocą w dniu aresztowania tego starego hultaja Broussela, jestem na twoje usługi, z wyjątkiem tego, co się tyczy służby.

— Dziękuję, panie Comminges, niczego więcej nie pragnę i chcę cię prosić o coś, co cię na żadne służbowe przykrości nie narazi.

— A jeśliby nawet i naraziło trochę, panie hrabio — odparł z uśmiechem Comminges — mów, czego ci trzeba. Niewiele bardziej niż ty kocham pana Mazariniego; służę królowej, co zmusza mnie do służby zarazem i kardynałowi, ale jej służę z radością, a jemu niechętnie. Mów więc, proszę; czekam i słucham.

— Ponieważ uważano za stosowne powiedzieć mi, że pan d'Artagnan jest tutaj — rzekł Atos — sądzę, że nic nie stoi na przeszkodzie, by i on się dowiedział, że ja tu jestem.

— W tym względzie, panie hrabio, nie otrzymałem żadnego rozkazu.

— A zatem bądź tak uprzejmy i zechciej przekazać mu pozdrowienia ode mnie i powiedzieć, że jestem jego sąsiadem. Powiedz mu też i to, coś mi przed chwilą powiedział, a więc że pan Mazarini umieścił mnie w pawilonie pomarańczami, by mnie móc odwiedzić, i to także, że skorzystam z tego zaszczytu, jaki kardynał zechce mi łaskawie wyświadczyć, by uzyskać odeń pewne ulgi w naszej niewoli.

— Która nie potrwa długo — dodał Comminges. — Pan kardynał sam mi powiedział, że w Rueil nie ma więzienia.

— Ale są sekretne cele — odparł uśmiechając się Atos.

— O, to całkiem inna sprawa — rzekł Comminges. — Tak, wiem, że tradycja o nich wspomina, ale człowiek niskiego urodzenia, jakim jest kardynał,

Włoch, który przybył szukać szczęścia do Francji, nigdy nie ośmieli się na użycie takiego bezprawia w stosunku do takich jak my ludzi; toż by to był jawny gwałt! To się mogło zdarzyć za czasów tamtego kardynała, który był wielkim panem, ale monsignore Mazarini! Wolne żarty! Sekretne cele to królewskie sposoby zemsty, których nie będzie się chwycił taki łajdak jak on. Wiadomo, żeś został aresztowany, panie hrabio, wkrótce będzie wiadomo, że i twoi przyjaciele są uwięzieni, a cała francuska szlachta zażądałaby od niego wyjaśnienia, gdybyście znikli. Nie, nie, uspokój się, sekretnymi celami w Rueil już od dziesięciu lat można straszyć chyba tylko dzieci. Niczego się nie obawiaj w tym względzie. Ja, ze swej strony, zawiadomię pana d'Artagnana o twoim przybyciu. Kto wie, czy za dwa tygodnie ty, hrabio, nie wyświadczysz mi wzajemnie takiej przysługi.

— Ja, panie Comminges?

— A bez wątpienia; czyż nie mogę ja z kolei zostać więźniem pana koadiutora?

— Wierzaj mi, że w takim wypadku — rzekł Atos kłaniając się — zrobię, co będę mógł, żeby ci uprzyjemnić niewolę.

— Czy zechcesz, hrabio, spożyć razem ze mną kolację? — zapytał Comminges.

— Dziękuję, panie Comminges, jestem w nie najlepszym humorze i spędziłbyś ze mną straszny wieczór. Dziękuję.

Comminges odprowadził więc hrabiego do pokoju położonego na parterze pawilonu, który przytykał do pomarańczami stanowiąc niejako jej dalszy ciąg. Do pomarańczami szło się przez obszerny dziedziniec, pełen żołnierzy i dworzan. Dziedziniec ten miał kształt podkowy. Budynek, w którym znajdowały się apartamenty Mazariniego, stał pośrodku; do jednego skrzydła dziedzińca przylegał pawilon myśliwski, w którym był d'Artagnan, do drugiego zaś — pomarańczarnia, do której zaprowadzono Atosa. Dalej zaczynał się park.

Atos wchodząc do pokoju, w którym miał zamieszkać, zobaczył przez

starannie zakratowane okno mury i dachy.

— Co to za budynek? — zapytał.

— To tył pawilonu myśliwskiego, w którym są zamknięci pańscy przyjaciele — odparł Comminges. — Na nieszczęście okna wychodzące na tę stronę zostały zamurowane jeszcze za czasów tamtego kardynała. Budynki te nieraz służyły za więzienie i pan Mazarini zamykając was w nich tylko przywrócił im ich dawne przeznaczenie. Gdyby okna nie były zamurowane, mógłbyś się, hrabio, pocieszać rozmową na migi ze swymi przyjaciółmi.

— Czy jesteś pewny, panie de Comminges — rzekł Atos — że kardynał zaszczyca mnie swymi odwiedzinami?

— Tak przynajmniej powiedział, panie hrabio.

Atos westchnął patrząc na kraty w oknach.

— Tak, racja — rzekł Comminges — to niemal więzienie; niczego nie brak, nawet krat. Bo też i cóż za dziwaczny pomysł wpadł ci do głowy, tobie, który należysz do samego kwiatu szlachty, żeby zajaśnieć prawością i męstwem wśród tych wszystkich łyków z Frondy! Doprawdy, hrabio, gdybym chciał szukać przyjaciół w szeregach wojsk królewskich, pomyślałbym najpierw o tobie... Frondysta, ty, hrabia de La Fere, stronnik jakiegoś Broussela, jakiegoś Blancmesnila, jakiegoś Viole'a. Aż wymawiać przykro! Można by pomyśleć, że twoja pani matka była córką jakiegoś sądowego skryby. Ty jesteś frondysta!

— Na honor, drogi panie de Comminges — rzekł Atos — trzeba było wybierać między Mazarinim i Frondą. Długom się wsłuchiwał w dźwięk tych dwu słów i wreszcie wybrałem to drugie; jest ono przynajmniej francuskie. A jestem frondysta nie z panami Brousselem, Blancmesnilem i Viole'em, ale z panami de Beaufort, de Bouillon i d'Elboeuf, z książętami, nie z sędziami, radcami i skrybami. Zresztą służba u pana kardynała daje, owszem, miłe wyniki. Spójrz na tę ścianę bez okien, panie de Comminges, ona ci coś opowie o wdzięczności Mazariniego.

— O, tak — potwierdził śmiejąc się Comminges — a zwłaszcza jeśli

powtórzy wszystkie przekleństwa, jakimi w nią ciska od tygodnia pan d'Artagnan.

— Biedny d'Artagnan! — rzekł Atos z tą szlachetną melancholią, jaka była jedną z głównych cech jego charakteru — człowiek taki dzielny, taki dobry, taki straszny dla wrogów tych, których kocha! Masz tam dwóch niepotulnych więźniów, panie de Comminges, i współczuję ci, że cię obarczono odpowiedzialnością za tych dwóch ludzi nie do poskromienia.

— Nie do poskromienia! — powtórzył, też się uśmiechając z kolei, Comminges. — Widzę, że chcesz mnie nastraszyć, panie hrabio. Pierwszego dnia po uwięzieniu pan d'Artagnan szukał zwady ze wszystkimi żołnierzami i niższymi oficerami, chcąc zapewne, żeby mu dano szpadę. Trwało tak przez dwa dni i część trzeciego, ale potem zrobił się spokojny i potulny jak baranek. Teraz wciąż śpiewa gaskońskie piosenki, od których mało nie poumieramy ze śmiechu.

— A pan du Vallon? — zapytał Atos.

— O, z nim inna sprawa. Przyznam, że to przerażający szlachcic. Pierwszego dnia powywałował wszystkie drzwi jednym naciśnięciem ramienia i już spodziewałem się, że zobaczę, jak wychodzi z Rueil tak, jak Samson wyszedł z Gazy<sup>27</sup>. Ale i jemu odmienił się humor na wzór pana d'Artagnan. Teraz nie tylko że się przyzwyczaił do zamknięcia, ale nawet żartuje sobie.

— Tym lepiej — rzekł Atos — tym lepiej.

— A czyżbyś się spodziewał, hrabio, że będzie inaczej? — zapytał Comminges, który zestawivszy to, co Mazarini powiedział o swych więźniach, z tym, co o nich mówił hrabia de La Fere, zaczynał doznawać pewnego niepokoju.

Ze swej strony Atos zrozumiał, że ta poprawa w samopoczuciu jego przyjaciół wynika bez wątpienia z planu, jaki ułożył d'Artagnan. Nie chciał więc im zaszkodzić, zbytnio ich wychwalając.

<sup>27</sup> Samson — siłacz żydowski. Wg Biblii uwięziony przez wrogów Izraela Filistynów w ich stolicy Gazie, wyszedł z miasta wyłamawszy i wziąwszy na plecy bramę.

— Oni? — rzekł — to paliwody. Jeden jest Gaskończyk, drugi jest Pikardyjczyk. Obaj łatwo się zapalają, ale prędko gasną. Sam się o tym przekonałeś, panie de Comminges, a to, coś mi przed chwilą powiedział, potwierdza moje słowa.

Comminges był tegoż zdania, wyszedł więc uspokojony i Atos został sam w wielkim pokoju, gdzie stosownie do rozkazu kardynała traktowano go ze wszystkimi względami, jakie się należą szlachcicowi.

Z dokładniejszą oceną położenia czekał zresztą na owe słynne odwiedziny, przez samego Mazariniego obiecane.

## 40. Rozum i ramię

A teraz przejdźmy z pomarańczami do pawilonu myśliwskiego.

W głębi dziedzińca, tam gdzie za portykiem z jońskich kolumn widać było psiarnie, stał podłużny budynek, który niby wyciągnięte ku sobie dwa ramiona zamykał z pawilonem pomarańczami półkole dziedzińca.

W tym to właśnie budynku, na parterze, siedzieli zamknięci d'Artagnan i Portos, dzieląc wspólnie dłużące się godziny niewoli, tak przykrej dla ich temperamentów.

D'Artagnan, niby tygrys, ze skupieniem w oczach i chwilami porykując głucho, chodził tam i z powrotem wzdłuż krat wielkiego okna wychodzącego na czeladne podwórze. Portos w milczeniu przeżuwał smakowity obiad, którego resztki tylko co sprzątnięto.

Pierwszy, choć wyglądał jak człowiek niespełna rozumu, rozmyślał; drugi, choć wyglądał jak człowiek poważnie zamyślony, spał. Ale go widać trapiły jakieś niedobre sny, bo chrapał bardzo nieregularnie, raz ciszej, raz znów głośniej.

— O, zapada zmrok — odezwał się d'Artagnan. — Pewnie już jest czwarta mniej więcej. Wkrótce będzie sto osiemdziesiąt trzy godziny, odkąd tu siedzimy.

— Ech! — mruknął Portos, żeby mu niby to odpowiedzieć.

— Słyszysz, ty wieczny śpiochu? — rzekł d'Artagnan zirytowany, że ktoś może spać nawet i w dzień, kiedy jemu tak trudno było i w nocy zasnąć.

— Co? — zapytał Portos.

— To, co powiedziałem.

— A coś powiedział?

— Powiedziałem — powtórzył d'Artagnan — że już blisko sto

osiemdziesiąt trzy godziny tu siedzimy.

— To twoja wina — rzekł Portos.

— Dobrze sobie! Moja wina?

— Tak, przecież ci mówiłem, żeby wyjść.

— Wyłamując kraty albo wyważając drzwi?

— A pewnie.

— Portosie, ludzie tacy jak my nie wychodzą tak prosto i łatwo.

— Na honor — rzekł Portos — już ja bym tam wyszedł z tą prostotą i tą łatwością, którymi, zdaje mi się, nazbyt gardzisz.

D'Artagnan wzruszył ramionami.

— Widzisz, nie wystarczy wyjść z tego pokoju — rzekł.

— Drogi przyjacielu — odparł Portos — zdaje mi się, żeś dziś w nieco lepszym humorze. Więc wytłumacz mi, dlaczego nie wystarczy wyjść z tego pokoju.

— Nie wystarczy, bo nie mając ani broni, ani hasła, nie uszlibyśmy i pięćdziesięciu kroków, a już by nas zatrzymała warta na dziedzińcu.

— No to co? — odparł Portos. — Zabilibyśmy wartownika i zabrali mu broń.

— Owszem, ale taki Szwajcar ma twardy łeb i nim by skonał, krzyknąłby albo przynajmniej jęknął, zwabiając kolegów z posterunku. Urządzą obławę, nas, ludzi jak lwy, wezmą jak lisy i wpakują do lochu, gdzie nawet nie będziemy mieli pociechy oglądania tego obrzydliwego nieba, które tak się ma do nieba w Tarbes, jak księżyc do słońca. Do kroćset, gdybyśmy mieli kogoś na zewnątrz, kto by nam mógł dostarczyć wiadomości o moralnej i fizycznej topografii tego zamku, o tym, co Cezar nazywał miejscem i obyczajem, jak mi przynajmniej powtarzano... Et, i pomyśleć, że przez dwadzieścia lat, kiedy to nie miałem co robić, nie przyszło mi do głowy, żeby choć na godzinę wpaść do Rueil i obejrzeć sobie tę miejscowość.

— A co to szkodzi? — zapytał Portos. — Chodźmy stąd, było, nie było.

— Mój drogi — rzekł d'Artagnan — czy wiesz, dlaczego mistrzowie cukiernicy nigdy nie własnoręcznie nie robią?

— Nie — odparł Portos — ale chętnie bym się dowiedział.

— Dlatego, że mają stracha, żeby się im w obecności uczniów ciasto nie przypaliło albo krem nie zwarzył.

— Bo co by się stało?

— A to, że śmiano by się z nich, a nie trzeba, żeby się śmiano z mistrzów cukierników.

— Ale jaki związek z nami mają mistrzowie cukiernicy?

— Taki, że i nam żaden z naszych ryzykanckich czynów nie powinien się nie udać, że nie możemy dopuścić, żeby się śmiano z nas. Nie udało się nam ostatnio w Anglii, zostaliśmy pobici i jest to plama na naszej reputacji.

— Przez kogo zostaliśmy pobici? — zapytał Portos.

— Przez Mordaunta.

— Owszem, aleśmy Mordaunta utopili.

— Wiem o tym i to nas po trosze rehabilituje wobec potomności, jeśli potomność będzie się nami zajmowała, oczywiście. Ale posłuchaj, Portosie: choć i pana Mordaunta nie należało lekceważyć, pan Mazarini wydaje mi się silny w zgoła inny sposób niż pan Mordaunt i jego tak łatwo nie utopimy. Więc trzymajmy się na wodzy i grajmy ostrożnie, gdyż — dodał d'Artagnan i westchnął — wprowadzie my we dwu jesteśmy, być może, i warci tyle co ośmiu innych, ale nie tyle co czterech, sam wiesz których.

— To prawda — rzekł Portos odpowiadając westchnieniem na Westchnienie d'Artagnana.

— A zatem, Portosie, rób tak jak ja, chodź i chodź wzdłuż i wszerz, póki nie dotrze do nas jakaś wieść od naszych przyjaciół albo póki nam jakiś dobry pomysł nie zaświta; ale nie śpij nieustannie, bo nic tak nie obezwładnia umysłu jak sen. Cóż, to, co nas czeka, jest być może nie tak poważne, jak się nam z początku zdawało. Nie sędzę, by pan Mazarini miał zamiar poucinać nam



głowy, bo nie ścięto by nam głów bez procesu, proces narobiłby hałasu, hałas ściągąłby naszych przyjaciół, a wtedy oni nie pozwoliliby mu tego zrobić.

— Jak ty trafnie rozumujesz — rzekł z podziwem Portos.

— Owszem, nieźle — odparł d'Artagnan. — A zatem, widzisz, jeśli nam nie wytoczą procesu, jeśli nam nie poucinają głów, muszą nas trzymać tutaj albo nas przenieść gdzie indziej.

— Tak, muszą koniecznie — potwierdził Portos.

— Jest więc rzeczą niemożliwą, by Aramis, ten chytry tropiciel, i Atos, ten mądry szlachcic, nie odszukali naszego więzienia. I dopiero wtedy, na honor, przyjdzie pora.

— Tak, tym bardziej że tu wcale nie jest nam tak źle, z jednym wyjątkiem jednakże.

— Jakim?

— Czyś nie zauważył, d'Artagnan, że już trzy dni z rzędu podają nam duszoną baraninę?

— Nie, ale jeśli zjawi się na stole po raz czwarty, poskarżę się, bądź spokojny.

— I przykrzy mi się czasem za domem; już tak dawno nie oglądałem swoich zamków.

— Ba, zapomnij o nich na jakiś czas. Wrócimy do nich, chyba że pan Mazarini zrówna je z ziemią.

— Sądzisz, że pozwoliliby sobie na taką tyranie? — zapytał niespokojnie Portos.

— Nie, to do tamtego kardynała pasowały takie przedsięwzięcia. Nasz jest zbyt małoduszny, by się na coś podobnego odważyć.

— Uspokoileś mnie, d'Artagnanie.

— Zatem rób dobrą minę tak jak ja; żartujmy z wartownikami, zabawiajmy żołnierzy, skoro nie możemy ich przekupić. Bądź z nimi łaskawszy, Portosie, kiedy podejda pod nasze kraty. Do tej pory zawsze im tylko pięść pokazywał, a

twoja pięść, Portosie, to widok nazbyt godny szacunku, żeby mógł być pociągający. Ach, dużo dałbym za choć z pięćset ludwików.

— I ja też — rzekł Portos, nie chcąc pozostać w tyle za szczodrobiwością d'Artagnana. — Dałbym i... sto pistoli.

W tym momencie rozmowę więźniów przerwało wejście Commingesa, przed którym szedł strażnik i dwaj służący, niosący wieczerzę w kobiałce pełnej mis i półmisków.

— Dobrze — rzekł Portos — znowu baranina!

— Drogi panie de Comminges — rzekł d'Artagnan — dowiedz się, że przyjaciel mój, pan du Vallon, jest gotów posunąć się do ostateczności, jeśli pan Mazarini będzie nas dalej uporczywie karmił tym gatunkiem mięsa.

— Oświadczam nawet — rzekł Portos — że niczego nie tknę, jeśli zaraz nie zabiorą tej baraniny.

— Zabierzcie baraninę — rozkazał Comminges. — Chcę, żeby pan du Vallon ze smakiem zjadł wieczerzę, tym bardziej że mam dla niego nowinę, która, jestem pewny, zaostrzy mu apetyt.

— Czyżby pan Mazarini rozstał się z tym światem? — zapytał Portos.

— Nie, przykro mi, ale muszę powiedzieć panu, że jest przy najlepszym zdrowiu.

— Szkoda — rzekł Portos.

— A co to za nowina? — zapytał d'Artagnan. — Nowina to w więzieniu owoc tak rzadki, że wybaczysz mi, mam nadzieję, moją niecierpliwość, prawda, panie de Comminges? Tym bardziej, żeś nam dał do zrozumienia, iż jest to dobra nowina.

— Czy byłbyś kontent, panie d'Artagnan, dowiadując się, że pan hrabia de La Fere jest zdrów? — odpowiedział Comminges.

Małe oczka d'Artagnana omal że wyszły z orbit.

— Czy byłbym kontent! — zawołał. — Byłbym więcej niż kontent, byłbym szczęśliwy!

— A więc on sam polecił mi przekazać wam pozdrowienia i powiedzieć, że jest zdrów.

D'Artagnan omal nie podskoczył z radości. Krótkim spojrzeniem przekazał Portosowi swoją myśl. Jeśli Atos wie, gdzie jesteśmy — tak mówiło spojrzenie — jeśli nam przesyła pozdrowienia, znaczy to, że już wkrótce Atos zacznie działać.

Portos nie był za bardzo wprawny w porozumiewaniu się spojrzeniami, ale tym razem, ponieważ na dźwięk imienia Atosa doświadczył tego samego wrażenia co i d'Artagnan, rozumiał.

— Zaraz — odezwał się nieśmiało Gaskończyk — pan hrabia de La Fere, jak powiadasz, panie de Comminges, polecił ci pozdrowić pana du Vallon i mnie?

— Tak, panie d'Artagnan.

— Zatem widziałeś się z nim?

— Bez wątpienia.

— A gdzie, jeśli wolno zapytać.

— Bardzo blisko stąd — odparł z uśmiechem Comminges.

— Bardzo blisko stąd — powtórzył d'Artagnan, któremu aż zaśniły oczy.

— Tak blisko, że gdyby okna wychodzące na pomarańczarnię nie były zamurowane, moglibyście go widzieć z miejsca, w którym stoicie.

Krąży w okolicy zamku — pomyślał d'Artagnan. Po czym odezwał się głośno: — Spotkałeś go na polowaniu? — rzekł. — W parku może?

— Nie, bliżej, jeszcze bliżej. Spójrzcie, o, za tą ścianą — rzekł Comminges stukając w ścianę.

— Za tą ścianą? A co jest za tą ścianą? Przyprawiono mnie tu w nocy, więc niech mnie diabli porwą, jeśli wiem, gdzie jestem.

— Zatem wyobraź sobie jedno, panie d'Artagnan — rzekł Comminges.

— Wyobrażę sobie wszystko, co tylko pan zechce.

— Wyobraź sobie, panie d'Artagnan, że w tej ścianie jest okno.

— I co?

— A to, że z tego okna zobaczyłbyś pana hrabiego de La Fere w jego oknie.

— Więc pan hrabia de La Fere mieszka w zamku?

— Tak.

— W jakim charakterze?

— W takim samym charakterze jak i wy, panowie.

— Atos jest więźniem?

— Przecież sami wiecie — odparł Comminges śmiejąc się — że w Rueil nie ma więźniów, ponieważ nie ma i więzienia.

— Nie igrajmy słowami, panie de Comminges. Atos został aresztowany?

— Wczoraj w Saint-Germain, wychodząc od królowej. D'Artagnanowi bezwładnie opadły ramiona. Rzekłbyś, że go poraził grom.

Bladość niby biała chmura przesunęła się po jego ogorzałym czole, ale natychmiast znikła.

— Uwięziony! — rzekł.

— Uwięziony! — powtórzył po nim przygnębiony Portos.

Raptem d'Artagnan podniósł głowę, a w oczach jego zalśnił krótkotrwały blask, nie dostrzeżony nawet przez Portosa. Po czym znów wpadł w przygnębienie, z jakiego na mgnienie się ocknął.

— No, no! — rzekł Comminges, który miał szczerzy afekt dla d'Artagnana, odkąd porucznik tak znaczną oddał mu przysługę, wydostając go w dzień aresztowania Broussela z rąk paryżan — no, nie rozpaczaj, panie d'Artagnan. Nie wydaje mi się, bym ci przyniósł smutną nowinę, do tego daleko! Podczas tej wojny los nas wszystkich jest niepewny. Śmieję się więc z przypadku, który umieścił waszego przyjaciela tak blisko ciebie i pana du Vallon, miast rozpaczać z tego powodu.

Lecz ta pociecha żadnego wrażenia nie wywarła na d'Artagnanie i nie rozjaśniła jego sposepniałej twarzy.

— A jak się hrabia trzyma? — zapytał Portos, który widząc, że d'Artagnan nie podtrzymuje rozmowy, skorzystał, żeby się też raz odezwać.

— Ależ trzyma się świetnie — odparł Comminges. — Z początku, jak i wy, wydawał mi się zrozpaczony, ale kiedy się dowiedział, że pan kardynał ma go jeszcze dziś wieczorem odwiedzić...

— O! — przerwał mu d'Artagnan — pan kardynał ma odwiedzić hrabiego de La Fere?

— Tak, kazał go o tym zawiadomić, a pan hrabia de La Fere, usłyszawszy tę nowinę, polecił mi powiedzieć wam, że skorzysta z zaszczytu, jaki mu wyświadczy kardynał, żeby bronić waszej sprawy i własnej.

— O, drogi hrabia! — rzekł d'Artagnan.

— Piękna sprawa — burknął Portos. — Wielki zaszczyt! Do kaduka! Hrabia de La Fere, którego ród jest skoligacony z rodzinami Montmorency i Rohan, jest chyba wart Mazariniego.

— Mniejsza z tym — rzekł swym najpotulniejszym tonem d'Artagnan. — Jeśli się nad tym zastanowić, mój kochany du Vallon, jest to dla hrabiego de La Fere duży zaszczyt, jest to przede wszystkim rzecz budząca nie byle jaką nadzieję; odwiedziny, ba, a nawet, moim zdaniem, jest to tak wielki zaszczyt dla więźnia, że chyba pan de Comminges myli się.

— Jak to! Ja się mylę?

— Może to nie pan Mazarini pójdzie w odwiedziny do hrabiego de La Fere, ale pan de La Fere zostanie do pana Mazariniego wezwany?

— Nie, nie, nie! — rzekł Comminges, człowiek dbały o skrupulatność. — Świetnie słyszałem, co mi powiedział kardynał. To on przyjdzie w odwiedziny do hrabiego de La Fere.

D'Artagnan usiłował pochwycić jakieś spojrzenie Portosa, żeby sprawdzić, czy jego towarzysz rozumie doniosłość tych odwiedzin, ale Portos nie patrzył w jego stronę.

— Więc pan kardynał ma zwyczaj przechadzania się po zamkowej

pomarańczami? — zapytał d'Artagnan.

— Zamyka się w niej każdego wieczora — odparł Comminges. — Zdaje mi się, że właśnie tam rozmyśla o sprawach państwa.

— W takim razie — rzekł d'Artagnan — zaczynam wierzyć, że hrabia de La Fere zostanie zaszczycony wizytą jego eminencji. Pewnie zresztą eminencja nie chodzi tam sam?

— Nie, w asyście dwóch żołnierzy.

— I będzie rozmawiał o wszystkim w obecności dwóch obcych ludzi?

— Żołnierze to Szwajcarzy z małych kantonów i mówią tylko po niemiecku. Zresztą wedle wszelkiego prawdopodobieństwa będą czekać za drzwiami.

D'Artagnan wbijał sobie paznokcie w dłonie, żeby zmusić swoją twarz do wyrażenia tylko tego, co chciał pokazać na zewnątrz.

— Pan Mazarini powinien mieć się na baczności i nie wchodzić samemu do hrabiego de La Fere — rzekł — bo hrabia de La Fere musi być wściekły.

Comminges zaczął się śmiać.

— Na honor! Doprawdy mógłby kto pomyśleć, żeście ludożercy! Pan hrabia de La Fere to dworny szlachcic, a zresztą nie ma żadnej broni. Na pierwszy krzyk jego eminencji przybiegliby dwaj żołnierze, którzy mu zawsze towarzyszą.

— Dwaj żołnierze — powtórzył d'Artagnan, jakby usiłował coś sobie przypomnieć — dwaj żołnierze, tak, to dlatego co wieczora słyszę, jak wołają dwóch ludzi, a potem widzę, jak ci dwaj spacerują pod moim oknem nieraz i przez pół godziny.

— Ano właśnie, czekają na kardynała, a raczej na Bernouina, który woła ich, kiedy kardynał wychodzi.

— Dorodne chłopcy, na honor!

— To pułk, który był w Lens, i który jego książęca wysokość dał kardynałowi dla większego splendoru.

— O, panie de Comminges — rzekł d'Artagnan, jakby chciał podsumować jednym słowem całą tę długą rozmowę — byleby jego eminencja zmiękł i zgodził się dać hrabiemu de La Fere naszą wolność!

— Pragnę tego z całego serca — odparł Comminges.

— Więc gdyby zapomniał przypadkiem o tych odwiedzinach, nie uważałbyś za rzecz zdrożną przypomnieć mu słówkiem o tej sprawie?

— Ależ nie, przeciwnie.

— To mnie uspokaja nieco.

To zręczne odwrócenie toku rozmowy na pewno wydałoby się mistrzowskim manewrem każdemu, kto mógł czytać w duszy Gaskończyka.

— A teraz — ciągnął — ostatnia łaska, o jaką cię poproszę, mój drogi panie de Comminges.

— Jestem do usług, panie d'Artagnan.

— Czy zobaczysz hrabiego de La Fere?

— Jutro rano.

— Czy zechcesz oddać mu od nas pozdrowienia i powtórzyć, że proszę, by uzyskał dla mnie taki sam zaszczyt, jaki jego spotkał?

— Pragniesz, panie d'Artagnan, żeby pan kardynał tu przyszedł?

— Nie, znam swoje miejsce i tak wymagający nie jestem. Niech jego eminencja uczyni mi tę łaskę i zechce mnie wysłuchać, to wszystko, czego pragnę.

— O! — szepnął Portos potrząsając głową — nigdy bym nie uwierzył, że d'Artagnan może coś takiego powiedzieć. Jak nisko spada człowiek w nieszczęściu!

— Uczynię to — rzekł Comminges.

— Zapewnij też hrabiego, że się czuję znakomicie i żeś mnie widział smutnym, ale pogodzonego z losem.

— Robisz mi przyjemność, panie d'Artagnan, mówiąc w taki sposób.

— To samo powiesz o panu du Vallon.

— O, co to, to nie! — zawołał Portos, — Ja tam zgoła się z moim losem nie pogodziłem.

— Ale się pogodzisz, przyjacielu.

— Nigdy!

— Pogodzi się, panie de Comminges. Znam go lepiej niż on sam siebie i wiem, że ma całe mnóstwo zalet, o które nawet się nie podejrzewa. Siedź cicho, drogi du Vallon, pogodzisz się z losem.

— Do widzenia, panowie — pożegnał się Comminges — dobrej nocy.

— Postaramy się, żeby była dobra.

Comminges skłonił się i wyszedł. D'Artagnan odprowadził go wzrokiem, wciąż trwając w swej potulnej postawie, z wyrazem rezygnacji na twarzy. Ale ledwie drzwi zamknęły się za kapitanem gwardii, podbiegł do Portosa i uściskał go z radością, co do której nie sposób się było omylić.

— O, o! — rzekł Portos — co się znów stało? Czyżbyś tracił piątą klepkę, mój biedny przyjacielu?

— Stało się — rzekł d'Artagnan — że jesteśmy ocaleni.

— Ja tam tego nie widzę — odparł Portos. — Przeciwnie, widzę, że wszyscy wpadliśmy, z wyjątkiem Aramisa, i że szansę na wyjście stąd zmniejszyły się, odkąd jeszcze jeden z nas znalazł się w pułapce pana Mazariniego.

— O, nie, Portosie, mój przyjacielu, ta pułapka była dobra na dwóch; na trzech jest za słaba.

— Nie rozumiem nic a nic — rzekł Portos.

— Nie szkodzi — odparł d'Artagnan. — Siadajmy do stołu i pokrzepmy nasze siły, będą nam potrzebne w nocy.

— Co będziemy robili w nocy? — zapytał Portos coraz bardziej zaintrygowany.

— Prawdopodobnie będziemy podróżowali.

— Ależ...



— Siadaj do stołu, drogi przyjacielu, przy jedzeniu najlepiej mi się myśli.  
Po wieczery, kiedy moje plany do reszty dojrzeją, wszystko ci opowiem.

Choć Portos bardzo pragnął zapoznać się z projektem d'Artagnana, znał jego obyczaje tak dobrze, że siadł do stołu nie nalegając więcej i zabrał się do jedzenia z apetytem, który pięknie świadczył o zaufaniu, jakie miał do d'Artagnanowej wyobraźni.

## 41. Ramię i rozum

Wieczera była milcząca, lecz nie smutna, bo twarz d'Artagnana rozjaśniała się od czasu do czasu jednym z tych przebiegłych uśmiechów, jakie zwykle się na niej pojawiały, kiedy był w dobrym humorze. Portos ani jednego z tych uśmiechów nie tracił i przy każdym wydawał okrzyk czy pomruk, którym dawał poznać przyjacielowi, że choć nie zna pomysłu, jaki się w jego mózgu gotuje, towarzyszy mu w wysiłku.

Przy wetach d'Artagnan wyciągnął się na krześle, skrzyżował nogi i zaczął się kołysać z miną człowieka całkowicie zadowolonego z siebie.

Portos podparł obu rękami brodę, położył łokcie na stole i patrzył na d'Artagnana tym ufny spojrzeniem, jakie nadawało temu olbrzymowi wygląd tak wzruszająco dobroduszny.

— A więc? — odezwał się po chwili d'Artagnan.

— A więc? — powtórzył Portos.

— Więc mówiłeś, mój kochany?...

— Ja? Nic nie mówiłem.

— Owszem, mówiłeś, że masz ochotę stąd wyjść.

— A, no tak, tak, ochoty mi nie brak.

— I dodałeś, że żeby wyjść stąd, dość by ci było wyważyć drzwi albo ścianę.

— Prawda, tak mówiłem i dalej tak mówię.

— A ja ci odpowiadałem, Portosie, że jest to sposób kiepski, że nimbyśmy i sto kroków uszli, złapano by nas i zabito, chyba że mielibyśmy ubrania, żeby się przebrać, i broń, żeby się nią obronić.

— To prawda, potrzeba nam ubrań i broni.

— Otóż mamy je, przyjacielu Portosie — rzekł d'Artagnan wstając — i

jeszcze coś lepszego.

— O! — rzekł Portos rozglądając się.

— Nie rozglądaj się, jeszcze nie warto, wszystko to przyjdzie do nas samo we właściwej chwili. O której godzinie, mniej więcej, widzieliśmy wczoraj tych dwóch spacerujących gwardzistów szwajcarskich?

— Zdaje mi się, że jaką godzinę po zapadnięciu zmroku.

— Jeśli dziś wyjdą o tej samej porze co wczoraj, nie będziemy dłużej niż kwadrans czekali na przyjemność oglądania ich.

— To prawda, że nie będziemy czekali dłużej niż kwadrans.

— Ramię masz mocne jak zawsze, prawda, Portosie?

Portos odpiął rękaw, zawinął koszulę i z lubością popatrzył na swoje muskularne ramiona, grube jak udo przeciętnego człowieka.

— Owszem — rzekł — ujdzie.

— Tak że mógłbyś, nie wysiliwszy się zbytnio, zrobić kółko z tych szczypiec i korkociąg z tej łopatki?

— Na pewno — odparł Portos.

— Przekonajmy się — rzekł d'Artagnan.

Olbrzym wziął oba wymienione przedmioty i z największą łatwością, bez żadnego widocznego wysiłku, wykonał obie przemiany, których chciał jego towarzysz.

— Proszę! — rzekł.

— Wspaniale! — odparł d'Artagnan. — Doprawdy, Portosie, natura hojnie cię obdarowała.

— Słyszałem kiedyś — rzekł Portos — o niejakim Milonie z Krotony, który robił bardzo niezwykle rzeczy, na przykład rozrywał sznur zaciskając go sobie na głowie, zabijał wołu uderzeniem pięści i zanosił go do domu na plecach, zatrzymywał konie za tylną nogę i tak dalej, i tak dalej. Kazałem sobie opowiadać o tych czynach tam u mnie, w Pierrefonds, i zrobiłem wszystko, co on zrobił, z wyjątkiem zerwania sznura przez napięcie żył w skroniach.

— Bo twoja siła nie w głowie się mieści, Portosie — rzekł d'Artagnan.

— Nie, moja siła mieści się w ramionach i w barkach — odpowiedział dobrodusznie Portos.

— A zatem, mój kochany, podejźmy do okna i użyj swojej siły na wyrwanie jednej sztaby z krat. Zaczekaj, niech zgaszę lampę.

Portos podszedł do okna, oburącz schwycił sztabę, wczepił się w nią, pociągnął ku sobie i zgiął w łuk, tak że oba końce wyszły z otworów w kamieniu, w których tkwiły od trzydziestu lat, zamurowane cementem.

— Ślicznie, przyjacielu — rzekł d'Artagnan. — Tego kardynał nigdy by nie dokonał, choć jest tak genialnym człowiekiem.

— Czy wyłamać jeszcze więcej sztab? — zapytał Portos.

— Nie, to wystarczy; człowiek przejdzie.

Portos spróbował i wychylił się za okno do pół ciała.

— Tak, człowiek przejdzie — potwierdził.

— Rzeczywiście, otwór jak się patrzy. Teraz wysuń ramię.

— Którędy?

— Przez ten otwór.

— Po co?

— Za chwilę się dowiesz. Wysuń ramię.

Portos usłuchał ślepo jak żołnierz i wysunął ramię spomiędzy sztab.

— Świetnie — rzekł d'Artagnan.

— Dobrze nam idzie?

— Jak na kółkach, drogi przyjacielu.

— To świetnie. A teraz co mam robić?

— Nic.

— Już skończone?

— Jeszcze nie.

— Chciałbym jednak zrozumieć — rzekł Portos.

— Posłuchaj, drogi przyjacielu, powiem ci w dwóch słowach, na czym

rzecz polega. Drzwi kordegardy otwierają się, jak widzisz.

— Tak, widzę.

— Zaraz przyślą na nasze podwórze, przez które pan Mazarini będzie przechodził idąc do pomarańczami, dwóch gwardzistów, co mu mają towarzyszyć.

— Właśnie wychodzą.

— Byleby zamknęli drzwi kordegardy. Dobrze, zamykają drzwi.

— Co dalej? .

— Cicho! Mogliby nas usłyszeć.

— Więc się niczego nie dowiem?

— Owszem, będziesz się dowiadywał stopniowo, w miarę wykonywania.

— Wolałbym jednak...

— Będziesz miał przyjemność z niespodzianki.

— A wiesz, racja! — rzekł Portos.

— Cicho.

Portos stał niemy i nieruchomy.

Rzeczywiście, dwaj żołnierze szli w stronę okna zacierając ręce, gdyż działo się to, jak już powiedzieliśmy, w lutym i mróz był siarczysty.

W pewnej chwili drzwi kordegardy znów się otworzyły i jednego z żołnierzy odwołano. Żołnierz opuścił kolegę i wrócił.

— Wciąż dobrze idzie? — zapytał Portos.

— Lepiej, niż się spodziewałem — odpowiedział d' Artagnan. — Teraz słuchaj. Zawołam tego żołnierza i zacznę z nim gawędzić, jak było wczoraj z którymś z jego kolegów, pamiętasz?

— Tak, ale ani słowa nie zrozumiałem z tego, co mówił.

— Racja, że wymowę miał dość osobliwą. Za to nie strać ani słowa tego, co ja ci powiem. Wszystko zależy od wykonania, Portosie.

— Dobrze, wykonanie to moja mocna strona.

— Wiem o tym dobrze, do licha! Toteż liczę na ciebie.

— Mów.

— Więc zawołam tego żołnierza i zacznę z nim gawędzić.

— To już mówiłeś.

— Staną z lewej strony, tak żeby on znalazł się przy twojej prawej ręce, kiedy wejdzie na ławkę.

— A jeżeli nie wejdzie?

— Wejdzie, bądź spokojny. Kiedy wejdzie na ławkę, wyciągniesz swoje potężne ramię i schwycisz go za gardło. Potem podniesiesz go, jak Tobiasz<sup>28</sup> podniósł rybę za skrzela, i wciągniesz do naszego pokoju, dbając, by tak mocno ścisnąć, żeby nie mógł krzyczeć.

— Tak — rzekł Portos — ale jeśli go uduszę?

— Cóż, byłoby raptem o jednego Szwajcara mniej; ale go nie udusisz, mam nadzieję. Położysz go ostrożnie, o tu, zakneblujemy go i przywiążemy gdzieś tam, wszystko jedno. W ten sposób będziemy mieli jeden mundur i jedną szpadę.

— Cudownie! — rzekł Portos patrząc z najgłębszym podziwem na d'Artagnana.

— Co? — mruknął Gaskończyk.

— Tak — odezwał się Portos po namyśle — ale jeden mundur i jedna szpada to na nas dwóch nie wystarczy.

— A czyż nie ma jego kolegi?

— Racja — zgodził się Portos.

— Więc kiedy zakaszlę, wyciągnij ramię, bo będzie pora.

— Dobrze.

Obaj przyjaciele zajęli swoje stanowiska. Tak stanęli, że Portos był całkowicie ukryty w rogu okna.

— Dobry wieczór, kolego — odezwał się d'Artagnan swym najuprzejmiejszym głosem, starannie miarkując jego skalę.

---

<sup>28</sup> Tobiasz — wg Starego Testamentu schwycił i upiekł ogromną rybę, która chciała go pożreć.

— Cień topry panu — odpowiedział żołnierz.  
— Nie za ciepło dziś na przechadzkę! — rzekł d'Artagnan.  
— Brr! — odpowiedział żołnierz.  
— I myślę, że z przyjemnością wypiłbyś, panie, szklaneczkę wina?  
— Żglaneczgę wina? S przyjemnoździą.  
— Ryba bierze! Ryba bierze! — szepnął d'Artagnan do Portosa.  
— Rozumiem — odparł Portos.  
— Mam tu butelkę — rzekł d'Artagnan.  
— Pudelgę?  
— Tak.  
— Bełną pudelgę?  
— Pełniuteńką i do ciebie należy, jeśli zechcesz wypić za moje zdrowie.  
— Aha, pefnie że sehcę — rzekł żołnierz zbliżając się.  
— Chodź tu i weź ją, przyjacielu.  
— Parco chętnie. Staje mi się, sze tu jest łafka.  
— Jest. Mój Boże, można by powiedzieć, że tu umyślnie po to stoi! Wejdz na ławkę... O, tak, właśnie tak, przyjacielu.

I d'Artagnan zakaszłał.

W tejże chwili Portos spuścił ramię, jego stalowa garść, szybka jak błyskawica i mocna jak kleszcze schwyciła szyję żołnierza, podniosła go dławiając, wciągnęła do wnętrza przez otwór, nie bacząc, że mógłby się pokiereszować o kraty, i złożyła na posadzce, gdzie d'Artagnan, zostawiwszy mu czas potrzebny na złapanie tchu, zakneblował go własną chustką, a zakneblowawszy zaczął rozbierać z szybkością i zręcznością człowieka, który wyuczył się tego rzemiosła na polu bitwy.

Następnie przyjaciele nasi włożyli związanego i zakneblowanego żołnierza do kominka, w którym przedtem starannie zgasili ogień.

— Jedna szpada i jedno ubranie już jest — rzekł Portos.

— Te ja biorę — rzekł d'Artagnan. — Jeśli chcesz mieć drugie ubranie i

drugą szpadę, trzeba powtórzyć kolejkę. Uwaga! Widzę, że drugi żołnierz właśnie wychodzi z kordegardy i idzie w tę stronę.

— Sądzę — rzekł Portos — że powtarzanie tej operacji byłoby nieroztropne. Mówią, że nic się nie udaje dwa razy w ten sam sposób. Jeślibym go chybił, wszystko by przepadło. Wyjdę, pochwycę go niespodzianie, zaknebluję i podam tobie.

— Dobrze, tak będzie lepiej — rzekł Gaskończyk.

— Stój w pogotowiu — powiedział Portos wysuwając się przez otwór. Rzecz odbyła się tak, jak Portos obiecał. Olbrzym zaczął się po drodze i kiedy żołnierz przechodził mimo, schwycił go za gardło, zakneblował, wsunął, podobnego do mumii, w otwór między kratami w oknie i tuż za nim wszedł z powrotem.

Rozebrali drugiego jeńca tak, jak rozebrali pierwszego. Położyli na łóżku, przywiązali pasami, a że łóżko było z masywnego dębu, a pasy dubeltowe, mogli być tak samo spokojni o tego jak i o pierwszego.

— Tak — odezwał się d'Artagnan — idzie jak z płotka. Teraz przymierz no, Portosie, ubranie tego zucha. Wątpię, żeby wlało. Ale jeśli ci w nim będzie ciasno, nie bój się; wystarczy pas, a przede wszystkim kapelusz z czerwonymi piórami.

Przypadek sprawił, że drugi Szwajcar był olbrzymiego wzrostu, więc z wyjątkiem kilku szwów, które pękły, wszystko ułożyło się jak najpomyślniej.

Przez pewien czas słychać było tylko szelest sukna. Portos i d'Artagnan pośpiesznie przebierali się.

— Już! — odezwali się obaj równocześnie. — Wam zaś, koledzy — dodali zwracając się do żołnierzy — włos z głowy nie spadnie, jeśli będziecie się grzecznie zachowywali; ale jeśli się który ruszy — zginie!

Żołnierze leżeli jak trusie. Poznali po garści Portosa, że sprawa jest poważna i że nie ma żartów.

— A teraz — rzekł d'Artagnan — chętnie byś się pewnie dowiedział co



dalej, prawda, Portosie?

— Tak, bardzo chętnie.

— A więc wychodzimy na podwórze.

— Tak.

— Zajmujemy miejsca tych dwóch zuchów.

— Dobrze.

— Chodzimy sobie tam i z powrotem.

— To się przyda, zważywszy, że ciepło nie jest.

— Za chwilę pokojowiec zawoła wartę, jak wczoraj i przedwczoraj.

— Odezwiemy się?

— Nie, nie odezwiemy się, przeciwnie.

— Jak chcesz. Nie zależy mi, żeby się odzywać.

— Zatem nie odezwiemy się. Naciśniemy głębiej kapelusze i będziemy eskortowali jego eminencję.

— Dokąd?

— Tam, dokąd idzie, do Atosa. Czyżbyś sądził, że będzie mu przykro zobaczyć się z nami?

— O! — zawołał Portos. — O, rozumiem!

— Zaczekaj, nie krzycz jeszcze, Portosie, bo dam ci słowo, że jeszcze nie wiesz wszystkiego — rzekł drwiąco Gaskończyk.

— Co się dalej stanie? — zapytał Portos.

— Chodź za mną — odparł d'Artagnan. — Kto dożyje, zobaczy.

Przesunął się przez otwór i lekko zeskoczył na podwórze. Portos poszedł za nim tą samą drogą, choć z większym wysiłkiem i mniejszą zręcznością.

Słyszał było, jak związani żołnierze drżą w pokoju ze strachu.

Ledwie d'Artagnan i Portos stanęli na ziemi, otworzyły się jakieś drzwi i głos pokojowca zawołał:

— Warta!

Równocześnie otworzyły się drzwi kordegardy i jakiś inny głos krzyknął:

— La Bruyere i du Barthois, odmaszerować!

— Zdaje się, że się nazywam La Bruyere — rzekł d'Artagnan.

— A ja du Barthois — rzekł Portos.

— Gdzie jesteście? — zapytał pokojowiec, którego oślepione światłem oczy nie mogły naturalnie dojrzeć w ciemnościach naszych dwóch bohaterów.

— Jezdźmy — rzekł d'Artagnan.

Po czym odwracając się do Portosa zapytał:

— Co ty na to, panie du Vallon?

— Na honor, byle tak dalej; a powiem, że bardzo ładnie.

## 42. Sekretne cele pana Mazariniego

Dwaj przebrani żołnierze poszli z powagą za pokojowcem. Otworzył im najpierw drzwi przedpokoju, potem drugie drzwi, prowadzące do salonu stanowiącego jakby poczekalnię, i wskazał dwa taborety.

— Rozkaz jest krótki — rzekł im — pozwolić wejść tu tylko jednej osobie, tylko jednej, rozumiano? Nikomu więcej. Tej osoby macie we wszystkim słuchać. Co do powrotu żadnych nieporozumień nie będzie; zaczekajcie, aż po was przyjdę.

Pokojowcem tym był nie kto inny jak Bernouin, który świetnie znał d'Artagnana, bo go od sześciu czy ośmiu miesięcy dziesiątki razy wprowadzał do kardynała. Więc d'Artagnan zamiast odpowiedzi odburknął tylko *ja*, możliwie najmniej gaskońskie, a najbardziej niemieckie.

Na Portosie zaś d'Artagnan wymógł obietnicę, że się w żadnym wypadku nie odezwie. A gdyby się znalazł w ostateczności, wolno mu co najwyżej dać za całą odpowiedź jedno słowo: *tarteifl*<sup>29</sup>, przysłowiowe i uroczyste.

Bernouin wyszedł zamykając drzwi.

— O, o! — odezwał się Portos słysząc zgrzyt klucza w zamku. — Zdaje mi się, że mają tu stały zwyczaj zamykania ludzi. Widzę, żeśmy tylko zamienili więzienie: zamiast być więźniami tam, jesteśmy nimi w pomarańczami. Nie wiem, czy coś zyskaliśmy na tym.

— Portosie, przyjacielu mój — szepnął d'Artagnan — nie wążp o Opatrzności i pozwól mi się namyślić i zastanowić.

— A, namyślaj się i zastanawiaj — rzekł Portos zły, że rzeczy przyjęły taki obrót, a nie inny.

— Przeszliśmy osiemdziesiąt kroków — szepnął d'Artagnan — weszliśmy

---

<sup>29</sup> Tarteifl (przekręcone niem.: der Teufel) — diabeł, do diabła.

na sześć schodów i znaleźliśmy się, jak to zauważył mój nieoceniony przyjaciel du Vallon, w owym drugim, równoległym do naszego, pawilonie, który nosi miano pawilonu pomarańczami. Hrabia de La Fere powinien być niedaleko, tylko że drzwi są pozamykane.

— Wielki mi szkopał! — rzekł Portos. — Jednym pchnięciem ramienia...

— Na Boga, Portosie, przyjacielu! — rzekł d'Artagnan — oszczędzaj się, bo twoje popisy siłackie mogą spaść w cenie, jeśli będziesz nimi szafował bez potrzeby. Czyś nie usłyszał, że ma tu ktoś przyjść?

— Usłyszałem.

— Ano widzisz, on nam pootwiera drzwi.

— Ale, mój kochany — rzekł Portos — jeśli ów ktoś nas pozna i poznawszy nas zacznie krzyczeć, będziemy zgubieni; bo chyba nie będziesz ode mnie wymagał, bym zatłukł pięścią albo udusił duchownego! Takie obyczaje są dobre wobec Anglików i Niemców.

— O, niech mnie Bóg strzeże i ciebie także! — odparł d'Artagnan. — Młody król może i byłby nam za to dosyć wdzięczny, ale królowa nie wybaczyłaby nam tego, a z nią nie należy zadzierać. Zresztą, niepotrzebnie rozlewać krew! Nigdy! Przenigdy! Mam swój plan. Daj mi działać, a będziemy śmiać się na końcu.

— Proszę cię, działaj — rzekł Portos. — Już bardzo chciałbym się pośmiać.

— Cicho! — rzekł d'Artagnan. — Ów zapowiedziany ktoś już się zbliża.

Usłyszeli z sąsiedniej sali, czyli z przedpokoju, odgłos lekkich kroków. Skrzypnęły zawiasy w drzwiach i ukazał się mężczyzna w stroju szlachcica, owinięty w brunatny płaszcz, w filcowym kapeluszu z szerokim rondem spuszczonej na oczy i z latarnią w ręku.

Portos przylgnął do ściany, ale nie potrafił stać się aż tak niewidoczny, by go mógł nie spostrzec człowiek w płaszczu. Człowiek ów podał mu latarnię i rzekł:

— Zapal lampę u sufitu.

Po czym zwrócił się do d'Artagnana:

— Rozkaz znasz — rzekł.

— Ja — odpowiedział Gaskończyk, zdecydowany trzymać się niezmiennie tej jednej próbki języka niemieckiego.

— Tedesco — rzekł człowiek w płaszczu — *va bene*<sup>30</sup>.

I podszedłszy do drzwi znajdujących się naprzeciwko tych, przez które wszedł był, otworzył je i zniknął zamykając je za sobą.

— A teraz — rzekł Portos — co robimy?

— Teraz posłużymy się twoim ramieniem, jeśli drzwi są zamknięte, przyjacielu Portosie. Każda rzecz ma swój czas i temu, kto umie czekać, wszystko samo wchodzi w rękę w odpowiedniej chwili. Ale najpierw zatarasujemy jak należy pierwsze drzwi, potem zaś pójdziemy za człowiekiem w płaszczu.

Dwaj przyjaciele natychmiast wzięli się do roboty i zastawili drzwi wszystkimi meblami, jakie się znajdowały w komnacie, co tym bardziej uniemożliwiło wejście, że drzwi otwierały się do środka.

— Ślicznie — rzekł d'Artagnan — teraz jesteśmy pewni, że nikt nas nie najdzie zniecka od tyłu. Dalej, naprzód.

Podeszli do drzwi, za którymi znikł był Mazarini; były zamknięte. I D'Artagnan daremnie próbował je otworzyć.

— Teraz właśnie należy użyć siły twojego ramienia — rzekł. — Pchaj, przyjacielu Portosie, ale ostrożnie, żeby nie narobić hałasu. Niczego nie wyważaj, rozłącz tylko oba skrzydła, to wszystko.

Portos oparł się swym potężnym ramieniem o jedno ze skrzydeł, które się ugięło, a d'Artagnan wsunął wtedy ostrze swojej szpady między rygiel i skobel zamku. Rygiel, ścięty ukośnie, ustąpił i drzwi otworzyły się.

— Nieraz ci mówiłem, przyjacielu Portosie, że z kobietami i z drzwiami

---

30 *Tedesco, va bene* (wł.) — Niemiec, w porządku.

zawsze dojdzie się do ładu, byle łagodnie.

— To prawda — rzekł Portos — że wielki z ciebie moralista.

— Wejźmy — rzekł d'Artagnan.

Weszli. Za szybą, w świetle kardynalskiej latarni postawionej na ziemi na środku galerii, widać było drzewa pomarańczowe i granatowce zamkowego zimowego ogrodu, ustawione w długie rzędy, które tworzyły szeroką aleję środkową i dwie boczne, węższe alejki.

— Nie ma kardynała — rzekł d'Artagnan. — Jest tylko latarnia, gdzie, on, do diabła, wlaź?

I zaczął przeszukiwać jedną z bocznych alejek, skinąwszy na Portosa, aby wziął się do przeszukiwania drugiej. Nagle zobaczył, że z lewej strony jedna donica jest wysunięta z rzędu, a na jej miejscu znajduje się duży stwór.

Dziesięciu ludzi dobrze by się zmachało przesuając tę donicę, ale poruszona jakimś mechanizmem odsunęła się łatwo, razem z taflą posadzki, na której stała.

D'Artagnan, jak powiedzieliśmy, ujrzał na jej miejscu otwór, a w otworze stopnie kręconych schodków.

Wezwał ruchem ręki Portosa i pokazał mu otwór i schodki.

Dwaj mężczyźni ze zdumieniem popatrzyli na siebie.

— Jak to?

— Gdybyśmy chcieli tylko złota — odezwał się cichutko d'Artagnan — mielibyśmy okazję wzbogacić się na całe życie. Czyż nie rozumiesz, Portosie, że u dołu tych schodków znajduje się, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, ów słynny skarbiec kardynała, o którym tyle mówią, i że dość by nam było zejść, opróżnić jedną skrzynię, zamknąć w środku kardynała na dwa spusty, wyjść, zabierając tyle złota, ile dalibyśmy radę udźwignąć, i odstawić na miejsce to pomarańczowe drzewko, a nikt w świecie nie zapytałby nas, skąd się wziął nasz majątek, nawet sam kardynał.

— Byłaby to rzecz warta zachodu dla chamów — odparł Portos — ale

niegodna, zdaje mi się, dwóch szlachciców.

— Też jestem tego zdania — rzekł d'Artagnan — i powiedziałem: “gdybyśmy chcieli tylko złota...”, ale my czego innego chcemy.

W tejże chwili, kiedy d'Artagnan właśnie pochylił się nad otworem, żeby posłuchać, co się dzieje w lochu, suchy i metaliczny dźwięk jakby poruszonego worka ze złotem dobiegł do jego ucha. D'Artagnan drgnął. Natychmiast potem zamknięto jakieś drzwi i na schodach ukazał się pierwszy odblask światła.

Mazarini zostawił swoją latarnię w pomarańczami, chcąc, żeby myślano, że się tam niby to przechadza. A schodząc do swego ukrytego skarbcza świecił sobie woskową świeczką.

— He, jest czym opłacić pięciu radców parlamentu i dwóch paryskich generałów! — odezwał się po włosku, wchodząc na schody i oglądając worek dobrze wypchany realami. — Ja też jestem znakomitym wodzem, tylko że na swój sposób wojuję.

D'Artagnan i Portos przyczaili się, każdy w innej bocznej alejce, za ogromnymi donicami, i czekali.

Mazarini zbliżył się na trzy kroki do d'Artagnana i nacisnął ukrytą w ścianie sprężynę. Tafla posadzki przesunęła się i stojące na niej drzewko pomarańczowe samo wróciło na swoje miejsce w rzędzie.

Wtedy kardynał zdmuchnął świeczkę, włożył ją do kieszeni i wziął latarnię.

Dobrze! My też mamy ten zamiar — pomyślał d'Artagnan. — Pójdziemy razem.

I poszli wszyscy trzej. Pan Mazarini szedł aleją środkową, a Portos i d'Artagnan alejkami bocznymi. Obaj starannie omijali długie pasma światła, jakie co krok kładły się między donicami od kardynalskiej latarni.

Kardynał doszedł do drugich oszklonych drzwi, nie zauważywszy, że nie jest sam, bo miękki piasek tłumiał kroki jego dwóch towarzyszy.

Następnie skręcił w lewo, w korytarz, na który Portos i d'Artagnan nie zwrócili przedtem uwagi. Lecz kiedy już miał otworzyć drzwi z korytarza,

przystanął i zamyślił się.

— O, diavolo — rzekł. — Zapomniałem, co mi zalecił Comminges! Trzeba zabrać żołnierzy i postawić ich przy tych drzwiach, żeby się nie znaleźli na łasce tego poczwórnego diabła. Chodźmy.

I niecierpliwie zawrócił.

— Nie fatyguj się, eminencjo — odezwał się d'Artagnan, stając z jedną nogą wysuniętą naprzód, z kapeluszem w ręku i serdecznym uśmiechem na twarzy. — Szliśmy za jego eminencją krok w krok i już tu jesteśmy.

— Tak, już jesteśmy — powtórzył Portos.

I równie uprzejmie uklonił się.

Mazarini spoglądał na nich kolejno zdumionymi oczyma. Poznał obu i jęknąwszy z przerażenia, wypuścił z rąk latarnię.

D'Artagnan podniósł ją; na szczęście nie zgasła upadając.

— O, cóż za nieostrożność, eminencjo — rzekł d'Artagnan. — Niebezpiecznie chodzić tu bez światła, jego eminencja mógłby się jeszcze uderzyć o jakąś donicę albo wpaść w jaką dziurę.

— Pan d'Artagnan — wyszeptał Mazarini nie mogąc ochłonąć ze zdumienia.

— Tak, eminencjo, to ja. I mam zaszczyt przedstawić ci pana du Vallon, mego najlepszego przyjaciela, którym jego eminencja był łaskaw tak serdecznie się niegdyś interesować.

I d'Artagnan skierował światło latarni na radosną twarz Portosa, który zaczynał rozumieć, o co idzie, i ogromnie był z tego dumny.

— Szedłeś, eminencjo, do hrabiego de La Fere? — ciągnął d'Artagnan. — Nie przeszkadzaj sobie. Zechciej pokazać nam drogę, a pójdziemy z tobą.

Mazarini powoli odzyskiwał przytomność umysłu.

— Czy długo już jesteście w pomarańczami, panowie? — zapytał drżącym głosem, myśląc o swej niedawnej wizycie w skarbcu.

Portos już otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale d'Artagnan dał mu znak i



usta Portosa, jakby oniemiałe, zaczęły się powoli zamykać.

— Przed chwilą przyszliśmy, eminencjo — odparł d'Artagnan.

Mazarini odetchnął: nie bał się już o swój skarb, bał się tylko o siebie.

Po wargach przemknęło mu coś na kształt uśmiechu.

— Chodźmy — rzekł. — Złapaliście mnie w potrzask, panowie, i uznaję się za pokonanego. Chcecie prosić mnie o wolność, prawda? Daję wam ją.

— O, eminencjo! — rzekł d'Artagnan. — Jesteś niezmiernie dobry, ale my już jesteśmy wolni, za to chcieliśmy cię prosić o coś innego.

— Już jesteście wolni? — zapytał zdumiony Mazarini.

— Niewątpliwie, natomiast ty, eminencjo, być nim przestałeś i teraz cóż, trudno, takie jest prawo wojny, musisz się wykupić.

Mazarini uczył dreszcz przeszywający go aż do serca. Spojrzenie jego, tak przenikliwe, daremnie badało drwiące oblicze Gaskończyka i obojętne oblicze Portosa. Obydwa były ukryte w cieniu i sama Sybilla Kumańska nic nie umiała by z nich wyczytać.

— Wykupić się — powtórzył Mazarini.

— Tak, eminencjo.

— A ile będzie mnie to kosztowało, panie d'Artagnan?

— Mój Boże, jeszcze nie wiem, eminencjo. Zapytamy hrabiego de La Fere, jeśli pozwolisz. Zechciej więc otworzyć drzwi prowadzące do jego pokoju, a za dziesięć minut będziesz wiedział ile.

Mazarini zadrżał.

— Eminencjo — rzekł d'Artagnan — sam widzisz, że traktujemy cię z największym szacunkiem, ale musimy cię uprzedzić, że nie mamy czasu do stracenia. Otwórz więc, proszę, eminencjo, te drzwi i zechciej zapamiętać raz na zawsze, że przy najmniejszym ruchu, jaki zrobiłbyś, żeby uciec, przy najlżejszym okrzyku, jaki wydałbyś, żeby wezwać pomocy, my musielibyśmy uciec się do najostrożniejszych środków, o co nie można by mieć do nas żalu w wyjątkowym położeniu, w jakim znaleźliśmy się.

— Bądźcie spokojni, panowie — odparł Mazarini. — Nie będę nic usiłował. Daję wam na to słowo honoru.

D'Artagnan dał znak Portosowi, żeby zdwoić czujność, po czym zwrócił się do Mazariniego:

— Teraz, eminencjo, wejdź z łaski swojej do hrabiego de La Fere.

## 43. Układy

Mazarini odsunął zasuwę dwuskrzydłowych drzwi i na progu ukazał się Atos czekający na wizytę znakomitego gościa, o której uprzedził go Comminges.

Na widok Mazariniego skłonił się.

— Wasza eminencjo — rzekł — niepotrzebnie kazałeś sobie towarzyszyć; zaszczyt, jaki mnie spotyka, jest zbyt wielki, bym mógł o tym zapomnieć.

— Toteż, drogi hrabio — odezwał się d'Artagnan — jego eminencja wcale nie życzył sobie naszego towarzystwa. To du Vallon i ja nalegaliśmy, może nawet z przesadną usilnością, ale bardzo pragnęliśmy cię zobaczyć.

Usłyszawszy ten głos, dźwięczący tak szyderczo, ujrawszy gest, jaki towarzyszył głosowi, Atos aż drgnął ze zdumienia.

— D'Artagnan! Portos! — zawołał.

— We własnych osobach, drogi przyjacielu — rzekł d'Artagnan.

— We własnych osobach — powtórzył Portos.

— Co to znaczy? — zapytał hrabia.

— Znaczy to — odpowiedział Mazarini próbując uśmiechnąć się, jak to już raz zrobił, a równocześnie przygryzając wargi — znaczy to, że role się zmieniły, że nie ci panowie są mymi więźniami, ale ja jestem więźniem tych panów, tak dalece, że zostałem zmuszony przyjmować warunki miast je stawiać. Ale, panowie, uprzedzam was, że wasze zwycięstwo nie potrwa długo, chyba że mnie zamordujecie. Inaczej szybko nadejdzie moja kolej, przyjdą tu...

— O, eminencjo! — rzekł d'Artagnan — nie groź; to niedobry przykład. Jesteśmy dla waszej eminencji tacy układni, tacy grzeczni. No, odłóżmy na bok dąsy i urazy i porozmawiajmy przyjaźnie.

— Niczego bardziej na pragnę, panowie — rzekł Mazarini — lecz skoro

mam się układać o mój okup, nie chcę, byście uważali położenie swoje za lepsze, niż w istocie jest. Chwytnając mnie w potrzask wpadliście razem ze mną. Jak stąd wyjdziecie? Popatrzcie na kraty, popatrzcie na drzwi, popatrzcie, a raczej wyobraźcie sobie warty, jakie za tymi drzwiami i kratami czuwają, żołnierzy, których pełno na dziedzińcach, i wtedy dopiero układajmy się. Widzicie, chcę wam dowieść, że gram w otwarte karty.

Dobrze — pomyślał sobie d'Artagnan. — Trzymajmy się, chce nam spłatać jakiegoś psikusa.

— Ofiarowałem wam wolność — ciągnął minister — jeszcze raz ją wam ofiarowuję. Chcecie? Nim minie godzina, zostaniecie odkryci, aresztowani albo będziecie zmuszeni mnie zabić, co byłoby okropną zbrodnią i najzupełniej niegodną prawych szlachciców, jakimi jesteście.

Ma rację — pomyślał Atos.

I jak każda myśl, jaka pojawiła się w tej duszy, tylko przez szlachetne uczucia nawiedzanej, i ta również odbiła się w jego oczach.

— Toteż — rzekł d'Artagnan, chcąc pomiarkować nadzieję, jaką dała Mazariniemu milcząca zgoda Atosa — tylko ostateczność mogłaby zmusić nas do tego gwałtu.

— Jeśli zaś przeciwnie — ciągnął Mazarini — pozwolicie mi odejść godząc się w zamian na własną wolność...

— Jakże możesz wymagać, eminencjo — przerwał mu d'Artagnan — żebyśmy się zgodzili na tę wolność, skoro możesz ją nam odebrać, jak sam powiadasz, w pięć minut po obdarowaniu nas? I jak cię znam, eminencjo — dodał — na pewno nam ją odbierzesz.

— Nie, słowo kardynała...: Nie wierzycie mi?

— Eminencjo, nie wierzę kardynałom, którzy nie są księżmi.

— Więc słowo ministra.

— Już nim, eminencjo, nie jesteś, jesteś więźniem.

— Zatem słowo Mazariniego. Tym jestem i będę zawsze, spodziewam się.

— Hm — mruknął d'Artagnan — słyszałem o pewnym Mazarinim, który dość lekce sobie ważył swe przysięgi, i boję się, czy nie był to aby któryś z przodków waszej eminencji.

— Panie d'Artagnan — rzekł Mazarini — jesteś człowiekiem wielkiego dowcipu i niezmiernie żałuję, że się z tobą poróżnił.

— Pogódźmy się, eminencjo. Niczego bardziej nie pragnę.

— A gdybym was uwolnił w sposób oczywisty, namacalny...

— O, to co innego — rzekł Portos.

— Zobaczmy, co to za sposób — rzekł d'Artagnan.

— Zobaczmy — powtórzył Atos.

— Przede wszystkim czy się godzicie? — zapytał kardynał.

— Wyłóż nam swój projekt, eminencjo, a wtedy zobaczymy.

— Zwracam wam uwagę, że jesteście zamknięci w potrzasku.

— Dobrze wiesz, eminencjo — rzekł d'Artagnan — że zawsze zostanie nam jeszcze ostatni ratunek.

— Jaki?

— Możemy wszyscy razem zginąć.

Mazarini zadrżał.

— Posłuchajcie — rzekł — u końca korytarza są drzwi, od których klucz mam przy sobie. Drzwi te prowadzą do parku. Wyjdźcie za pomocą tego klucza. Jesteście zwinni, jesteście silni, jesteście uzbrojeni. Skręciwszy w lewo po stu krokach napotkacie mur parkowy. Przejdziecie przez mur i w trzech susach znajdziecie się na drodze i wolni. Znam was teraz dość dobrze, żeby wiedzieć, że gdyby ktoś was zaczepił, nie byłoby to wam przeszkodą w ucieczce.

— O, do kroćset, eminencjo! — rzekł d'Artagnan — to rozumiem, tak i mów! Gdzie ten klucz, którym chcesz nas obdarować?

— Proszę.

— O, eminencjo — rzekł d'Artagnan — chyba zechcesz zaprowadzić nas osobiście aż do tych drzwi?

— Bardzo chętnie — odparł minister — jeśli to ma was uspokoić.  
Mazarini, który nie spodziewał się wywinąć tak tanim kosztem, z promienną  
twarzą przeszedł przez korytarz i otworzył drzwi.

Drzwi wychodziły rzeczywiście na park; trzech zbiegowie przekonali się o  
tym niezbitcie, kiedy nocny wiatr wpadł do korytarza i sypnął im w twarz  
śniegiem.

— A do licha — odezwał się d'Artagnan — cóż za okropna pogoda,  
eminencjo! I ciemno! Nie znamy parku i nigdy nie znajdziemy drogi. Skoro jego  
eminencja był łaskaw odprowadzić nas aż tu, zrób jeszcze kilka kroków, bądź  
tak uprzejmy... zaprowadź nas do muru.

— Dobrze — odparł kardynał.

I szybkim krokiem ruszył na przełaj w kierunku muru, pod którym wszyscy  
czterej stanęli po chwili.

— Czy jesteście kontenci, panowie? — zapytał Mazarini.

— Ja myślę! Jeszcze nie mielibyśmy być kontenci! Do licha! To dopiero  
zaszczyt, żeby księżę Kościoła eskortował trzech ubogich szlachciców. Aha,  
właśnie, eminencjo, powiedziałeś przed chwilą, że jesteśmy odważni, zwinni i  
uzbrojeni.

— Tak.

— Omyliłeś się, tylko pan du Vallon i ja mamy broń; pan hrabia jej nie ma,  
a jeśli nas spotka patrol, trzeba, żebyśmy się mogli obronić.

— Całkiem słusznie.

— Ale skąd weźmiemy szpadę? — zapytał Portos.

— Jego eminencja — rzekł d'Artagnan — pożyczmy hrabiemu swojej, która  
eminencji jest niepotrzebna.

— Bardzo chętnie — rzekł kardynał — i nawet poproszę pana hrabiego,  
żeby ją zechciał zachować jako pamiątkę ode mnie.

— To mi dopiero wytworny gest, co, hrabio? — rzekł d'Artagnan.

— Toteż — odparł Atos — przyrzekam ci, eminencjo, że nigdy się z nią

nie rozstanę.

— Pięknie — rzekł d'Artagnan. — Wzajemna wymiana grzeczności, jakie to wzruszające. Czy nie masz łez w oczach, Portosie?

— Mam — odparł Portos — tylko nie wiem, czy to od tego płaczu, czy od wiatru. Myślę, że od wiatru.

— Teraz, Atosie, włącz na mur — rzekł d'Artagnan — i pośpiesz się. Atos przy pomocy Portosa, który go podniósł jak piórko, znalazł się na szczycie muru.

— Teraz skacz, Atosie.

Atos skoczył i znikł po drugiej stronie.

— Stoisz na ziemi? — zapytał d'Artagnan.

— Tak.

— Bez wypadku?

— Najzupełniej zdrowszy i cały.

— Portosie. uważaj na pana kardynała, kiedy ja będę włąził. Nie, nie trzeba mi twojej pomocy, wejdę sam. Uważaj na pana kardynała, nic więcej...

— Uważam na niego — rzekł Portos. — Jak tam?

— Masz rację, to trudniejsze, niż myślałem, użycz mi swoich pleców, ale nie puszczaj kardynała...

— Nie puszczam go.

Portos użyczyl swoich pleców d'Artagnanowi, a on dzięki tej pomocy w jednej chwili znalazł się na szczycie i siadł okrakiem na murze. Mazarini przymuszał się do uśmiechu.

— Wlaziłeś? — zapytał Portos.

— Tak, przyjacielu, a teraz...

— A teraz co?

— Teraz podaj mi pana kardynała, a gdyby spróbował pisnąć, uduś go.

Mazarini chciał krzyknąć, ale Portos schwycił go oburącz i podniósłszy do góry podał d'Artagnanowi, który go złapał za kołnierz i posadził obok siebie. Po

czym odezwał się groźnym tonem:

— Panie kardynale, w tej chwili skacz na dół do hrabiego de La Fere albo zabiję cię, słowo szlachcica.

— Panie, panie! — zawołał kardynał. — Łamiesz obietnicę.

— Ja? A czyż ja ci cokolwiek obiecywałem, eminencjo?

Mazarini jęknął.

— Jesteście wolni dzięki mnie, panie d'Artagnan — rzekł. — Wasza wolność to mój okup.

— Zgoda, ale gdzie okup za te nieprzebrane skarby schowane w galerii, do których się schodzi nacisnąwszy ukrytą w ścianie sprężynę, co odsuwa donicę, spod której ukazują się schodki? Czy nie należałoby pogadać i o tym, sam powiedz, eminencjo?

— Jezu! — wyszeptał Mazarini ledwie dysząc i złożył dłonie. — Jezu. Boże mój! Jestem człowiekiem zgubionym.

Lecz d'Artagnan, nie zwracając uwagi na te skargi, ujął go pod pachy i ostrożnie zsunął w ręce Atosa, który obojętnie czekał pod murem.

Po czym zwrócił się do Portosa:

— Uchwycić się mojej ręki — rzekł. — Trzymaj się muru.

Portos zrobił wysiłek, od którego aż się mur zatrzęsł, i też z kolei znalazł się na jego szczycie.

— Przedtem nie całkiem zrozumiałem — rzekł — ale teraz już wszystko rozumiem. To ogromnie śmieszne.

— Tak uważasz? — rzekł d'Artagnan — Tym lepiej. Ale żeby było śmieszne aż do samego końca, nie traćmy czasu.

I zeskoczył na dół. Portos zrobił to samo.

— Towarzyszcie panu kardynałowi, panowie — rzekł d'Artagnan. — Ja będę badał teren.

Gaskończyk wy dobył szpadę i ruszył jako przednia straż.

— Którędy trzeba iść, żeby trafić na trakt, eminencjo? — zapytał. —



Zastanów się, zanim odpowiesz, bo jeśli wasza eminencja się omyli, mogą z tego wynikać wielkie przykrości nie tylko dla nas, ale i dla niego.

— Idź wzdłuż muru, panie d'Artagnan — rzekł Mazarini — a na pewno nie zabłądzisz.

Trzej przyjaciele przyśpieszyli kroku, ale po kilku chwilach musieli zwolnić; choć kardynał starał się, nie był w stanie tak prędko iść. Nagle d'Artagnan natknął się na coś ciepłego, co poruszyło się.

— Proszę, koń! — rzekł. — Znalazłem konia, panowie!

— I ja także — rzekł Atos.

— I ja także — rzekł Portos, który pomny na rozkaz wciąż trzymał kardynała za rękę.

— To się nazywa mieć szczęście, eminencjo — rzekł d'Artagnan. — Akurat w tym momencie kiedyś się zaczął skarżyć, że nie możesz iść piechotą...

Lecz kiedy domawiał tych słów, dotknęła jego piersi lufa pistoletu i jakiś głos odezwał się poważnie:

— Nie rusz!

— Milczek! — zawołał d'Artagnan. — Milczek! Co tu robisz? Czy cię niebo zsyla?

— Nie, panie — odparł uczciwy sługa — to pan Aramis kazał mi pilnować koni.

— Więc Aramis tu jest?

— Tak, panie, od wczoraj.

— A co tu robicie?

— Czatujemy.

— Co? Aramis jest tu? — powtórzył Atos.

— Przy furtce zamkowego ogrodu. Tam ma posterunek.

— Więc jest tu was więcej?

— Jest nas sześćdziesięciu.

— Zawiadom ich.

— Lece, panie!

I sądząc, że nikt tak dobrze jak on tego polecenia nie spełni, Milczek puścił się pędem, a trzech przyjaciele, nareszcie znów połączeni, czekali. I jeden tylko pan Mazarini był w bardzo kiepskim humorze.

## 44. W którym zaczynamy wierzyć, że Portos zostanie wreszcie baronem, a d'Artagnan kapitanem

Po dziesięciu minutach nadbiegł Aramis w towarzystwie Milczka i jeszcze ośmiu czy dziesięciu szlachciców. Był ogromnie uradowany i serdecznie uściskał przyjaciół.

— Więc jesteście wolni, bracia! Wolni bez mojej pomocy! Więc pomimo tylu wysiłków nic nie udało mi się dla was zrobić.

— Nie rozpaczaj, przyjacielu, co się odwlecze, to nie uciecze. Co ci się przedtem nie udało, to ci się teraz uda.

— A przecież przedsięwzięłem wszelkie środki — rzekł Aramis. — Uzyskałem od pana koadiutora sześćdziesięciu ludzi; dwudziestu pilnuje parkowego muru, dwudziestu drogi z Rueil do Saint-Germain, dwudziestu jest rozstawionych w lesie. Dzięki tej strategii udało mi się przechwycić dwa listy Mazariniego do królowej.

Mazarini nastawił uszu.

— Ale mam nadzieję — rzekł d'Artagnan — żeś je uczciwie odesłał panu kardynałowi.

— O, na pewno — odparł Aramis — będę się z nim jeszcze patyczkował! W jednym z tych listów kardynał oznajmia królowej, że jego skrzynie są puste i że jej królewska mość nie ma już pieniędzy, w drugim zawiadamia, że każe przewieźć jej więźniów do Melun, bo Rueil wydaje mu się miejscem nie dość bezpiecznym. Pojmujesz, drogi przyjacielu, ile najlepszych nadziei rozbudził we mnie ten list. Zaczaiłem się z moimi sześćdziesięciu ludźmi, otoczyłem zamek, kazałem trzymać w pogotowiu luźne konie, które powierzyłem opiece naszego rozgarniętego Milczka, i czekałem, aż was wyprowadzą. Liczyłem, że nastąpi to

jutro rano, i spodziewałem się, że nie uwolnię was bez potyczki. Jesteście wolni już dziś wieczór, wolni bez walki, tym lepiej. Jak udało się wam uciec temu łajdakowi Mazariniemu? Pewnie macie mnóstwo powodów, żeby się na niego uskarżać?

— Nie tak wiele — odparł d'Artagnan.

— Naprawdę?

— Powiem więcej, możemy go tylko pochwalić.

— Niemożliwe!

— Ależ tak, naprawdę; to dzięki niemu jesteśmy wolni.

— Dzięki niemu?

— Tak. Kazał swojemu pokojowcowi, panu Bernouin, zaprowadzić nas do pomarańczami, a tam poszliśmy razem z nim do hrabiego de La Fere. Wtedy zaproponował nam, że nam zwróci wolność. Zgodziliśmy się, a on posunął swą uprzejmość aż tak daleko, że pokazał nam drogę, odprowadził nas pod parkowy mur, przez który właśnie szczęśliwie przeleźliśmy, kiedyśmy spotkali Milczka.

— O, to mnie po trosze przekonuje do niego — rzekł Aramis — i gdyby tu był, powiedziałbym mu, że nie podejrzewałem go o zdolność do tak szlachetnego postępuku.

— Eminencjo — rzekł d'Artagnan nie mogąc już dłużej wytrzymać — pozwól, że ci przedstawię kawalera d'Herblay, który jak sam mogłeś usłyszeć, pragnie złożyć waszej eminencji swe najniższe poważanie.

I odsunął się, odsłaniając przed zdumionym spojrzeniem Aramisa skonfundowanego Mazariniego.

— Kto to?! — zawołał Aramis. — Kardynał? Piękny łup! Hola! Hola, przyjaciele! Konie, konie prędej!

Przybiegło kilku kawalerów.

— Do kaduka! — rzekł Aramis — więc jednak na coś się przydałem! Eminencjo, zechciej przyjąć moje najgłębsze uszanowanie. Założyłbym się, że to ten święty Krzysztof — Portos dokazał tej sztuki. Aha, właśnie, byłbym

zapomniał...

I coś polecił po cichu jednemu ze swych towarzyszy.

— Sądzę, że przezorność nakazywałaby ruszać — rzekł d'Artagnan.

— Tak, ale jeszcze na kogoś czekamy... na jednego przyjaciela Atosa.

— Na mego przyjaciela? — zapytał Atos.

— O, widzicie? Już pędzi ku nam galopem przez zarośla.

— Panie hrabio! Panie hrabio! — wołał młody głos, na dźwięk którego Atos zadrżał.

— Raul! Raul! — krzyknął hrabia de La Fere.

Młodzieniec zapomniał na chwilę o należnym hrabiemu szacunku i rzucił mu się na szyję.

— Widzisz, panie kardynale? Czyż nie żał by ci było rozdzielać ludzi, którzy się tak kochają jak my? Panowie — ciągnął Aramis zwracając się do swych towarzyszy, którzy z każdą chwilą zbierali się coraz liczniej — panowie, otoczcie jego eminencję dla okazania mu szacunku. Zgodził się bowiem łaskawie towarzyszyć nam. Mam nadzieję, że potraficie okazać mu za to stosowną wdzięczność. Portosie, nie trać z oka jego eminencji.

I Aramis podjechawszy do d'Artagnana i Atosa, którzy naradzali się, przyłączył się do narady.

— Ruszamy — odezwał się po pięciu minutach rozmowy d'Artagnan — w drogę!

— Dokąd jedziemy? — zapytał Portos.

— Do ciebie, drogi przyjacielu, do Pierrefonds, twego pięknego zamku, w którym jego eminencja spotka się z godnym i iście magnackim przyjęciem. Prócz tego zamek jest dobrze położony, ani za blisko, ani za daleko od Paryża; można się będzie stamtąd łatwo porozumiewać ze stolicą. Ruszaj, eminencjo, będziesz tam ugoszczony jak księżę, którym jesteś.

— Podupadły księżę — rzekł żałośnie Mazarini.

— Takie są koleje wojny — rzekł Atos — ale bądź spokojny, że nie

nadużyjemy naszej chwilowej przewagi.

— Nie nadużyjemy, ale skorzystamy z niej — rzekł d'Artagnan.

Przez resztę nocy pędzili z porwanym kardynałem bez wytchnienia, jak za dawnych czasów, Mazarini, zamyślony i ponury, bez sprzeciwu pozwolił się uprowadzać tej rozpedzonej widmowej eskorcie.

Do świtu ujechali dwanaście mil bez zatrzymania; połowa eskorty ciągnęła resztką sił, kilka koni padło.

— Dzisiejsze konie nie umywają się do dawniejszych — stwierdził Portos. — Wszystko wyrodnije.

— Posłałem Milczka do Dammartin — rzekł Aramis. — Ma nam przywieźć pięć wypoczętych koni, jednego dla jego eminencji, a cztery dla nas. Najważniejsze, żebyśmy się nie rozstali z jego eminencją, reszta eskorty później nas dogoni. Byle minąć Saint-Denis, dalej nie mamy się czego obawiać.

Milczek rzeczywiście przyprowadził pięć koni. Szlachcic, do którego posłano go, był przyjacielem Portosa i natychmiast zgodził się, nie żeby je sprzedać, jak mu proponowano, ale dać. W dziesięć minut później orszak zatrzymał się w Ermenonville, a czterej przyjaciele pojechali dalej z nowym animuszem, eskortując pana Mazariniego.

W południe wjechali w aleję prowadzącą do Portosowego zamku.

— O! — rzekł Muszkiet, który cwałował obok d'Artagnana i przez całą drogę ani słowem się nie odezwał — o, może mi pan nie uwierzy, panie d'Artagnan, ale po raz pierwszy od wyjazdu z Pierrefonds odetchnąłem pełną pierśią.

I popędził konia, żeby zawiadomić służbę o powrocie pana du Vallon z przyjaciółmi.

— Jest nas czterech — rzekł do przyjaciół d'Artagnan — będziemy czuwali przy jego eminencji na zmianę, każdy po trzy godziny. Atos niech obejrzy zamek, który trzeba uczynić niezdobytym na wypadek oblężenia, Portos niech dopilnuje zgromadzenia żywności, a Aramis niech zbierze załogę. Czyli

że Atos będzie głównym inżynierem, Portos głównym intendentem, a Aramis komendantem placu.

Umieszczono tymczasem Mazariniego w najpiękniejszej komnacie zamku.

— Panowie — odezwał się, kiedy go tam wprowadzono — chyba nie macie zamiaru długo mnie tutaj więzić w tajemnicy?

— Nie, eminencjo, przeciwnie — odparł d'Artagnan — mamy zamiar jak najszybciej rozgłosić, że cię tu trzymamy.

— Będą was oblegać.

— Liczymy się z tym.

— I co zrobicie?

— Będziemy się bronili. Gdyby pan kardynał de Richelieu, świętej pamięci, jeszcze żył, opowiedziałby ci pewną historię o bastionie świętego Gerwazego, w którym we czterech, z naszymi czterema służącymi i dwunastoma trupami, wytrzymaliśmy szturm całej armii.

— Takie rzeczy udają się tylko raz, panie d'Artagnan, i nie powtarzają się więcej.

— Toteż dziś taka straceńcza odwaga zgoła nam nie jest potrzebna. Jutro wojska paryskie zostaną uwiadomione o wszystkim, a pojutrze już tu staną. I bitwa, miast odbyć się pod Saint-Denis czy pod Charenton, zostanie wydana koło Compiègnes albo koło Villers-Cotterets.

— Jego książęca wysokość pobije was, jak to zwykł czynić.

— To jest możliwe, eminencjo, ale przed bitwą przewieziemy cię po cichu do drugiego zamku naszego przyjaciela du Vallon, a ma on ich aż trzy. Nie chcemy narażać jego eminencji na niebezpieczeństwa wojny.

— Widzę, że trzeba będzie kapitulować — rzekł Mazarini.

— Przed oblężeniem?

— Tak, może teraz warunki będą dogodniejsze.

— O, eminencjo, jeśli idzie o warunki, przekonasz się, jak jesteśmy umiarkowani.

— Zobaczymy, jakie są te wasze warunki.

— Najpierw wypocznij, eminencjo, a my się namyślimy.

— Nie trzeba mi wypoczynku, panowie, chcę się już prędzej dowiedzieć, w czyich jestem rękach, przyjaciół czy wrogów.

— Przyjaciół, eminencjo, przyjaciół!

— Więc mówcie natychmiast, czego się domagacie, bym zobaczył, czy będziemy się mogli ułożyć. Mów, panie hrabio de La Fere.

— Eminencjo — rzekł Atos — dla siebie niczego nie żądam, a dla Francji musiałbym zażądać za wiele. Zrzekam się więc głosu i odstępuję go panu kawalerowi d'Herblay.

Po czym Atos skłoniwszy się cofnął się o krok, oparł o kominek i stanął tam, już tylko przysłuchując się pertraktacjom.

— Mów więc, panie kawalerze d'Herblay — rzekł kardynał. — Czego żadasz? Mów wprost, bez ogródek. Jasno, zwięźle i dokładnie.

— Będę grał w otwarte karty, eminencjo.

— Zatem je wyłóż.

— Mam w kieszeni — rzekł Aramis — spis warunków zgłoszonych ci przedwczoraj w Saint-Germain przez deputację, do której składu należałem i ja. Najpierw trzeba uszanować dawniejsze prawa; wszystkim żądaniom zawartym w spisie zadośćuczyni się.

— Jużemy się prawie zgodzili na te warunki — rzekł Mazarini — przejdźmy więc do żądań osobistych.

— Więc sądzisz, kardynale, że będą i takie? — zapytał z uśmiechem Aramis.

— Sądzę, że nie wszyscy będziecie tak bezinteresowni jak pan hrabia de La Fere — odparł Mazarini zwracając się z ukłonem w stronę Atosa.

— Tak sądzisz, eminencjo? Masz rację — rzekł Aramis. — Szczęśliwy jestem widząc, że wreszcie oddałeś sprawiedliwość hrabiemu. Pan hrabia de La Fere to wyższy duch, który ulata ponad pospolite pragnienia i ludzkie



namiętności. Jest to dusza tak dumna jak niegdyś dusze legendarnych bohaterów. Pan hrabia jest człowiekiem wyjątkowym. Masz słuszość, eminencjo, nie jesteśmy go warci i sami się do tego przed sobą przyznajemy.

— Aramisie! — odezwał się Atos — czyżbyś sobie kpił?

— Nie, mój drogi hrabio, nie kpię, mówię to, co myślimy i co myślą wszyscy, którzy cię znają. Ale masz słuszość, w tej chwili nie o ciebie chodzi, ale o jego eminencję i jego niegodnego sługę kawalera d'Herblay.

— Czego zatem domagasz się, panie, prócz ogólnych warunków, do których jeszcze powrócimy?

— Domagam się, eminencjo, by dano pani de Longueville Normandię oraz zupełne i całkowite przebaczenie i pięćset tysięcy liwrów. Domagam się, by jego królewska mość młody król raczył trzymać do chrztu syna, którego właśnie powiła, i żeby jego eminencja, po wzięciu udziału w uroczystości chrzcina, pojechał złożyć swe uszanowanie Ojcu Świętemu.

— Czyli że chcesz, bym złożył mój urząd ministra i wyjechał z Francji, na wygnanie?

— Chcę, żebyś, eminencjo, został papieżem przy pierwszym wakansie, a wtedy mógłbym cię poprosić o odpust zupełny dla mnie i przyjaciół moich.

Mazarini skrzywił się w trudny do opisanego sposób.

— A ty, panie? — zapytał d'Artagnana.

— Ja, eminencjo — odparł Gaskończyk — zgadzam się z kawalerem d'Herblay we wszystkim z wyjątkiem ostatniego punktu, na który mam pogląd wręcz odwrotny. Będąc najdalszym od żądania, byś, eminencjo, opuścił Francję, chcę, abyś został w Paryżu. Będąc najdalszym od życzenia ci, żebyś został papieżem, pragnę, abyś pozostał pierwszym ministrem, bo jesteś wielkim politykiem, eminencjo. Postaram się nawet, ile będzie w mojej mocy, by jego eminencja wziął górę nad całą Fronądą, ale pod warunkiem, że będzie trochę pamiętał o wiernych sługach króla i że odda pierwszą kompanię muszkietierów komuś, kogo mu wskażę. A ty, du Vallon?

— Proszę, panie du Vallon, teraz ty z kolei mów — rzekł Mazarini.

— Ja — rzekł Portos — pragnę, żeby pan kardynał dla większego splendoru domu, w którym znalazł przytułek, zechciał ku upamiętnieniu tej przygody uczynić moje ziemie baronią i przyobieczać order dla jednego z mych przyjaciół przy pierwszej promocji kawalerów, jaką zrobi jej królewska mość.

— Chyba wiesz, panie du Vallon, że dla otrzymania orderu trzeba się wykazać szlachectwem od kilku pokoleń?

— Mój przyjaciel zrobi to. A zresztą, jeśli by nie mógł, wasza eminencja pouczy go, jak się omija tę formalność.

Mazarini zagryzł wargi — cios był celny — i dość oschle odparł:

— Wszystko razem dość kiepsko się zgadza, moi panowie, gdyż jeśli chciałbym zadowolić jednych, musiałbym się narazić drugim. Jeśli zostanę w Paryżu, nie mogę jechać do Rzymu, jeśli zostanę papieżem, nie mogę być dalej ministrem, a jeśli nie będę ministrem, nie mogę zrobić pana d'Artagnana kapitanem i pana du Vallon baronem.

— Racja — rzekł Aramis. — Toteż ponieważ zostałem w mniejszości, wycofuję swój wniosek w kwestii podróży do Rzymu i dymisji jego eminencji.

— Zatem zostaję ministrem? — zapytał Mazarini.

— Zostajesz ministrem, eminencjo, oczywiście — rzekł d'Artagnan — jesteś potrzebny Francji.

— Więc odstępuję od mego żądania — podjął Aramis. — Jego eminencja zostanie pierwszym ministrem, a nawet faworytem jej królewskiej mości, byleby uczynił to, czego się domagamy dla Francji i dla siebie.

— Proście mnie we własnym imieniu, panowie, i pozwólcie Francji, żeby się ze mną ułożyła, jak sama zechce — odparł Mazarini.

— O nie, o nie! — zawołał Aramis. — Trzeba zawrzeć traktat z frondystami i wasza eminencja zechce zredagować go i podpisać w naszej obecności, zobowiązując się w tymże dokumencie do uzyskania ratyfikacji od królowej.

— Mogę tylko za siebie zareczyć — rzekł Mazarini — za królową ręczyć nie mogę. A jeśli jej królewska mość odmówi?

— O! — odezwał się d'Artagnan — wasza eminencja wie dobrze, że królowa nie odmówi mu niczego.

— Proszę, eminencjo — rzekł Aramis — oto traktat przedstawiony przez deputację frondystów. Zechciej, eminencjo, przeczytać go i przemyśleć.

— Znam go — odparł Mazarini.

— Zatem podpisz.

— Zastanówcie się, panowie, że podpis położony w tych warunkach może być uznany za wymuszony.

— Toteż wasza ekscelencja sam zaświadczy, że podpis został położony dobrowolnie.

— A jeślibym odmówił?

— Wtedy, eminencjo — rzekł d'Artagnan — sam jeden ponosiłbyś odpowiedzialność za skutki tej odmowy.

— Ośmielilibyście się podnieść rękę na kardynała?

— Ty podniosłeś rękę, eminencjo, na muszkieterów jego królewskiej mości.

— Królowa pomści mnie, panowie.

— Nie sądzę, choć wierzę, że nie zbywałoby jej na chęci; ale pójdziemy z waszą eminencją do Paryża, a paryżanie już potrafią nas obronić.

— Jak też wszyscy muszą być teraz niespokojni w Rueil i Saint-Germain! — odezwał się Aramis. — Jak się muszą głowić, gdzie też jest kardynał, co się stało z ministrem, czemu znikł faworyt! Jak cię muszą szukać, eminencjo, po wszystkich zakamarkach! Ile się już namnożyło plotek, a jeśli Fronda już wie o zniknięciu waszej eminencji, jak też Fronda musi triumfować!

— To straszne — szepnął Mazarini.

— Podpisz traktat, eminencjo — rzekł d'Artagnan.

— Lecz jeśli go podpiszę, a królowa odmówi ratyfikacji?

— Ja podejmuję się pojechać do jej królewskiej mości — rzekł d'Artagnan — i uzyskać od niej podpis.

— Strzeż się — rzekł Mazarini — byś się nie spotkał w Saint-Germain z przyjęciem, jakiego masz pełne prawo się spodziewać.

— Co tam! — odparł d'Artagnan — postaram się, żeby mnie mile przyjęto. Mamy na to sposób.

— Jaki?

— Oddam jej królewskiej mości list, w którym wasza eminencja oznajmia jej o zupełnym wyczerpaniu się skarbowych funduszków.

— Co dalej? — zapytał Mazarini blednąc.

— Dalej, kiedy zobaczę, że jej królewska mość ma z tego powodu frasunek, zawiozę ją do Rueil, zaprowadzę ją do pomarańczami i pokażę jej pewną sprężynkę, która przesuwa donicę.

— Dość już, panie — szepnął kardynał — dość! Gdzie jest traktat?

— Proszę, oto jest — rzekł Aramis.

— Sam widzisz, eminencjo, jacy jesteśmy wspaniałomyślni — rzekł d'Artagnan — bo jeszcze niejedno można by zdziałać znając taką tajemnicę.

— Zatem podpisuj, eminencjo — rzekł Aramis podając mu pióro.

Mazarini wstał i zaczął chodzić po pokoju, bardziej zamyślony niż przygnębiony. Nagle przystanął.

— Ale jeśli podpiszę, panowie, jaką będę miał rękojmię? — zapytał.

— Moje słowo, panie kardynale — rzekł Atos.

Mazarini drgnął, odwrócił się do hrabiego de La Fere, przez chwilę patrzył na tę twarz szlachetną i uczciwą, po czym ujął pióro.

— To mi wystarczy, panie hrabio — rzekł.

I podpisał.

— A teraz, panie d'Artagnan — powiedział — zbieraj się do drogi. Zawieziesz królowej do Saint-Germain list ode mnie.

## 45. W którym pokazano, że pióro i groźba działają nieraz szybciej i skuteczniej niż szpada i przywiązanie

D'Artagnan znał życie. Wiedział, że okazja miewa tylko jeden kosmyk włosów, za który można ją pochwyć, i nie należał do ludzi, co daliby jej uciec, lekkomyślnie guzdrząc się. Zorganizował wszystko, żeby odbyć podróż możliwie szybko i bezpiecznie, posyłając przodem zapasowe konie do Chantilly, dzięki czemu mógł w pięć, sześć godzin stanąć w Paryżu. Ale przed wyjazdem pomyślał sobie, że człowiek rozumny i doświadczony nie powinien rzucać się na łeb, na szyję w niepewne, nie zabezpieczywszy sobie należycie odwrotu.

— Bo i rzeczywiście — rzekł do siebie, kiedy już miał siadać na konia i wyruszyć w tym niebezpiecznym poselstwie — Atos w swej wielkoduszności jest istnym bohaterem z powieści. Portos to najpocziwsza natura, ale łatwo ją urobić. Aramis to człowiek hieroglif, nic nie wyczytasz z jego twarzy. Co wyniknie z połączenia tych trzech elementów, kiedy mnie nie będzie, żeby je między sobą godzić?... Kto wie, może i uwolnienie kardynała? Otóż uwolnienie kardynała to ruina naszych nadziei, a te nadzieje są do tej pory jedyną naszą nagrodą za dwadzieścia lat pracy, wobec których prace Herkulesa są dokonaniem karła.

Poszukał więc Aramisa.

— Ty, drogi kawalerze d'Herblay — rzekł mu — jesteś uosobieniem Frondy. Więc nie spuszczaaj się za bardzo na Atosa, który nie dba o niczyje interesy, nawet i o własne, a przede wszystkim nie spuszczaaj się na Portosa, bo Portos, żeby się przypodobać hrabiemu, którego ma za bożyszcze, dopomoże mu do ułatwienia ucieczki panu Mazariniemu, jeśli pan Mazarini będzie miał

dość rozumu, żeby płakać albo udawać rycerskość.

Aramis uśmiechnął się swym przebiegłym, a zarazem stanowczym uśmiechem.

— Nie lękaj się niczego — rzekł — postawiłem warunki. Nie dla siebie pracuję, ale dla innych. Trzeba, żeby moje niewielkie ambicje otrzymały zadośćuczynienie z korzyścią dla tych, którym się ono słusznie należy.

Dobrze — pomyślał sobie d'Artagnan — od tej strony mogę być spokojny.

Uścisnął dłoń Aramisowi i poszedł do Portosa.

— Przyjacielu — rzekł mu — tyłeś się napracował razem ze mną przy budowaniu naszej fortuny, że teraz, kiedy już wkrótce mamy zerwać owoc naszych trudów, byłoby rzeczą niewybaczalnie śmieszoną dać się wystrychnąć na dudków. Nie pozwól się opanować Aramisowi, którego przebiegłość znasz — przebiegłość, możemy to sobie powiedzieć w cztery oczy, me zawsze wyzutą z egoizmu — ani Atosowi, człowiekowi szlachetnemu i bezinteresownemu, ale zobojętniałemu, który niczego dla siebie nie pragnąc, nie rozumie, że inni mogą mieć swoje pragnienia. Co byś powiedział, gdyby jeden albo drugi z naszych dwóch przyjaciół zaproponował ci ułatwienie ucieczki kardynałowi?

— Powiedziałbym, że zbyt wiele trudu kosztowało nas jego pojmanie byśmy go mieli teraz, ot tak sobie, puścić.

— Brawo, Portosie, i miałbyś rację, przyjacielu, gdyż razem z nim puściłbyś swoją baronię, którą już trzymasz w ręku; nie licząc, że Mazarini raz stąd czmychnąwszy, natychmiast kazałby cię powiesić.

— Dobre sobie! Tak mniemasz?

— Jestem tego pewny.

— Więc raczej go zabiję, niżbym mu miał dać uciec.

— I miałbyś słuszność. Rozumiesz, że idzie o nasze własne interesy a nie o to, żeby upiec pieczeń dla frondystów, którzy zresztą trochę inaczej rozumieją politykę niż my, starzy żołnierze.

— Nic się nie bój, przyjacielu — rzekł Portos — będę patrzył przez okno,

jak siądziesz na konia, i odprowadzę cię wzrokiem, póki nie znikniesz, a potem wracam, siadam pod drzwiami kardynała, pod oszklonymi drzwiami, przez które widać całą komnatę. I stamtąd będę miał na wszystko oko, a przy najmniejszym podejrzanym ruchu uduszę go.

Brawo! — pomyślał sobie d'Artagnan — od tej strony, jak sędzę, kardynał będzie dobrze pilnowany.

Uścisnął dłoń pana na Pierrefonds i poszedł do Atosa.

— Drogi Atosie — powiedział — jadę. I jedno chcę ci powiedzieć: znasz Annę Austriaczkę; niewola pana Mazariniego jest jedyną rękojmią mego życia. Jeśli go wypuścicie, zginę.

— Wiedz też, d'Artagnanie, że tylko ten wzgląd sprawił, że się podjął rzemiosła dozorczy więziennego. Daję ci słowo, że zastaniesz kardynała tam, gdzie go zostawił.

To mnie uspokaja bardziej niż wszystkie królewskie podpisy — pomyślał sobie d'Artagnan. — Skoro mam słowo Atosa, mogę jechać.

I d'Artagnan pojechał, sam, mając swą szpadę za jedyną eskortę, ze zwykłą przepustką od Mazariniego, żeby móc się dostać do królowej.

W sześć godzin po wyjeździe z Pierrefonds stanął w Saint-Germain.

Wieść o zniknięciu Mazariniego jeszcze się nie rozeszła. Wiedziała o tym tylko Anna Austriaczka, ale nawet przed najbardziej zaufanymi ludźmi ukrywała swój niepokój. W pokoju d'Artagnana i Portosa znaleziono dwóch związanych i zakneblowanych żołnierzy. Natychmiast zwrócono im swobodę ruchu i słowa, ale nie mogli powiedzieć więcej niż to, co wiedzieli, czyli jak ich pochwycono, związane i rozebrano. O tym zaś, co zrobili Portos i d'Artagnan po wyjściu z pokoju tędy, którą doń byli wciągnęli żołnierzy, Szwajcarzy wiedzieli tyle samo co i wszyscy pozostali mieszkańcy zamku.

Jeden Bernouin wiedział nieco więcej niż inni. Bernouin, widząc, że pan jego jakoś nie wraca, i słysząc, że już północ bije, wybrał się sam do pomarańczami. Już pierwsze drzwi zabarykadowane meblami zbudziły w nim

podejrzenia, lecz z nikim nie chciał się nimi dzielić i cierpliwie torował sobie drogę przez ten zator. Przedostał się wreszcie na galerię i zobaczył, że wszystkie drzwi są pootwierane. Tak samo rzecz się miała z drzwiami do pokoju Atosa i drzwiami do parku. Łatwo odnalazł na śniegu ślady kroków i poszedł nimi. Zaprowadziły go pod mur. Po przeciwnej stronie znalazł te same ślady, a prócz nich ślady końskich kopyt wskazujące, że cała grupa jeźdźców odjechała stąd w kierunku Enghien. Było więc rzeczą niewątpliwą, że kardynał został uprowadzony przez trzech więźniów, ponieważ trzech więźniowie znikli razem z nim. Bernouin pobiegł więc do Saint-Germain, żeby zawiadomić o tym wszystkim królową.

Anna Austriaczka poleciła mu milczeć i Bernouin ściśle wypełnił jej rozkaz. Królowa zaś wtajemniczyła we wszystko tylko jego książęcą wysokość, który natychmiast rozesłał pięciuset czy sześciuset konnych z rozkazem, by przeszukali całą okolicę i przyprowadzili do Saint-Germain każdą grupę podejrzaną i oddalającą się w jakim bądź kierunku od Rueil.

Ponieważ d'Artagnan jechał sam, nie w kilku, ponieważ nie oddalał się od Rueil, ale jechał do Saint-Germain, nikt nie zwrócił na niego uwagi i nie doznał żadnej przeszkody w swej podróży.

Wjechał wreszcie na dziedziniec starego zamku i pierwszą osobą, jaka ujrzała naszego posła, był nie kto inny jak imć Bernouin, który stojąc na progu, wyczekiwał wieści o swym panu.

Na widok d'Artagnana wjeżdżającego konno na dziedziniec Bernouin przetarł ręką oczy, sądząc, że się omylił. Ale d'Artagnan przyjaźnie kiwnął mu głową, zsiadł z konia i rzuciwszy lejce jakiemuś służącemu, który właśnie przechodził tamtędy, podszedł do pokojowca z uśmiechem na ustach.

— Pan d'Artagnan! — zawołał Bernouin wyglądając jak człowiek, który mówi przez sen, dręczony jakimś koszmarem — pan d'Artagnan!

— On we własnej osobie, panie Bernouin.

— Po co pan tu przyjechał?



— Przywiozłem wiadomości od pana Mazariniego, i to całkiem świeże.

— Co się z nim stało?

— Jest zdrów jak pan i ja, panie Bernouin.

— Więc nic mu się nie przytrafiło złego?

— Nic zgoła. Musiał w nagłej potrzebie wyjechać gdzieś w Ile-de-France i poprosił nas, pana hrabiego de La Fere, pana du Vallon i mnie, żebyśmy mu towarzyszyli. Jesteśmy mu tak oddani, że nie mogliśmy tej prośbie odmówić. Wyjechaliśmy wczoraj wieczorem, a teraz wracam.

— Wraca pan!

— Jego eminencja miał coś ważnego do powiedzenia jej królewskiej mości, rzecz tak sekretną i osobistą, że powierzyć tę misję mógł tylko całkiem pewnemu człowiekowi, a zatem mnie wysłał do Saint-Germain. A więc, drogi panie Bernouin, jeśli chcesz usłużyć swemu panu, zechciej zawiadomić jej królewską mość, że przybyłem, i powiedz z czym.

Bernouin sam nie wiedział, czy d'Artagnan mówi poważnie, czy też może żartuje, ale ponieważ było rzeczą oczywistą, że w tej chwili d'Artagnan jest jedynym człowiekiem mogącym rozproszyć niepokój Anny Austriaczki, pokojowiec kardynała, żadnych nie robiąc trudności, poszedł, żeby zawiadomić ją o przybyciu tak niezwykłego posła, a królowa dowiedziawszy się o tym kazała natychmiast prosić pana d'Artagnana.

D'Artagnan wszedł do swej władczyni ze wszystkimi oznakami najgłębszego szacunku.

Zbliżywszy się do niej na odległość trzech kroków, przyklęknął na jedno kolano i podał list.

Był to, jak powiedzieliśmy, zwykły list, pół polecający, pół uwierzytelniający. Królowa przeczytała list i poznała, że z pewnością pisał go sam kardynał, choć nieco drżącą ręką. A że list nic nie mówił o tym, co zaszło, poprosiła d'Artagnana o szczegóły.

D'Artagnan opowiedział wszystko z tą dobroduszną prostotą, jaką się tak

świetnie umiał posługiwać w pewnych okolicznościach.

Im dłużej opowiadał, tym bardziej królowa zdumiewała się. Patrzyła nań i nie mogła zrozumieć, w jaki sposób mógł ten człowiek zdobyć się na podobne przedsięwzięcie i co dziwniejsze, odważyć się opowiadać o nim jej, której interesem, a nawet obowiązkiem było ukarać go.

— Jak to, mój panie! — zawołała królowa czerwona z oburzenia, kiedy d'Artagnan skończył swą opowieść — i ty masz czelność przyznawać się do takiej zbrodni! Samemu opowiadać mi o twojej zdradzie!

— Wybacz, najjaśniejsza pani, lecz wydaje mi się, że albowiem ja się niejasno wyraził, albo też wasza królewska mość źle mnie zrozumiała. Nie ma w tym ani zbrodni, ani zdrady. Pan Mazarini zamknął do więzienia pana du Vallon i mnie dlatego, że nie mogliśmy uwierzyć, by nas wysłał do Anglii po to, byśmy się spokojnie przyglądali, jak ścinają głowę królowi Karolowi I, szwagrowi świętej pamięci króla twego małżonka, małżonkowi królowej Henriety, twej siostry i gościa twego, i że uczyniliśmy wszystko, co było w naszej mocy, żeby uratować życie królewskiego męczennika. Byliśmy więc przekonani, mój przyjaciel i ja, że zaszła tu jakaś pomyłka, której ofiarą padliśmy, i że konieczna jest nam rozmowa z jego eminencją. Otóż żeby taka rozmowa mogła wydać owoce, musi się ona odbywać w spokoju, z dala od zgiewku natrętów. Wobec tego zawieźliśmy pana kardynała do zamku mego przyjaciela i tam rozmówiliśmy się. I otóż, najjaśniejsza pani, okazało się, że było tak, jak przewidywaliśmy: zaszła pomyłka. Pan Mazarini myślał, że miast służyć królowi Karolowi, służyliśmy Cromwellowi, co byłoby hańbą, która z nas spadłaby na niego, a z niego na waszą królewską mość, podłością, która zbrukałaby w samym zarodku panowanie twego znakomitego syna. Lecz daliśmy mu dowód, że rzecz się miała odwrotnie, i gotowi jesteśmy przedstawić ten dowód także i waszej królewskiej mości, prosząc o świadectwo dostojnej wdowy, która oplakuje swego małżonka w Luwrze, gdzie umieściła ją twa królewska wspaniałomyślność. Dowód ten zadowolił go tak całkowicie, że na znak swego

zadowolenia wysłał mnie, jak wasza królewska mość sama widzi, żebym porozmawiał z tobą, najjaśniejsza pani, o wynagrodzeniu słusznie należnym szlachcicom, których skrzywdzono i niesprawiedliwie prześladowano.

— Słucham cię i podziwiam, panie d'Artagnan — rzekł Anna Austriaczka.  
— Doprawdy, rzadko zdarzało mi się oglądać tak niebywałą bezczelność.

— Znów to samo — odparł d'Artagnan — teraz z kolei wasza królewska mość źle rozumiała nasze intencje, jak przedtem pan kardynał.

— Mylisz się, mój panie — odparła królowa — zrozumiałam je tak dobrze, że za dziesięć minut będziesz aresztowany, a za godzinę wyruszę na czele mych wojsk, żeby uwolnić mojego ministra.

— Jestem pewny, że wasza królewska mość nie zrobi rzeczy tak nierozważnej — rzekł d'Artagnan — przede wszystkim dlatego, że jest to zgoła zbyt ciężkie, a mogłoby spowodować najpoważniejsze skutki. Pan kardynał zginąłby, zanim zdołano by go uwolnić, i jego eminencja jest tak mocno przekonany o prawdziwości tego, co mówię, że przeciwnie, prosił mnie, abym w razie podobnych zamiarów ze strony waszej królewskiej mości zrobił wszystko, co będzie w mojej mocy, by cię nakłonić, najjaśniejsza pani, do zaniechania ich.

— W takim razie wystarczy mi, że cię każę aresztować.

— Też nie, najjaśniejsza pani, gdyż moje aresztowanie zostało przewidziane tak samo jak i uwolnienie kardynała. Jeśli jutro do umówionej godziny nie wrócę, pojutrze rano pan kardynał zostanie odwieziony do Paryża.

— Zaraz widać, mój panie, że pozycja twoja postawiła cię z daleka od ludzi i spraw, gdyż inaczej wiedziałbyś, że pan kardynał był już pięć czy sześć razy w Paryżu, i to licząc od chwili naszego wyjazdu, że się widział z panem de Bouillon, z panem de Beaufort, z panem koadiutorem, z panem d'Elboeuf i że żadnemu z nich nawet na myśl nie przyszło, żeby go kazać aresztować.

— Wybacz, najjaśniejsza pani, ale wiem o tym; toteż przyjaciele moi nie zaprowadzą pana kardynała ani do pana de Bouillon, ani do pana de Beaufort, ani do pana koadiutora, ani do pana d'Elboeuf — ponieważ wszyscy ci panowie

prowadzą wojnę na własny rachunek i dając im to, czego każdy żąda, pan kardynał wykpiłby się tanim kosztem — ale oddadzą go parlamentowi, w którym pojedyncze osoby na pewno da się przekupić, ale którego nawet sam pan Mazarini nie kupiłby w całości, bo nawet on tak bogaty nie jest.

— Zdaje mi się — rzekła Anna Austriaczka wpatrując się w d'Artagnana wzrokiem, który u każdej innej kobiety pogardliwy, u królowej był przerażający — zdaje mi się, że grozisz matce twojego króla.

— Najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan — grożę, bo mnie do tego zmuszają. Wywyższam się, bo muszę stanąć na wysokości wydarzeń i osób. Ale uwierz, najjaśniejsza pani, w to, co jest równie szczere jak serce, które bije dla ciebie w tej piersi, uwierz, że byłaś nieustannie bóstwem całego naszego życia, żeśmy, jak sama dobrze wiesz o tym, mój Boże, mało ze dwadzieścia razy narażali życie za waszą królewską mość! Czyż się nie ulitujesz, najjaśniejsza pani, nad swymi sługami, którzy od lat dwudziestu wegetują w cieniu, ani nawet westchnieniem nie zdradziwszy świętych i uroczystych tajemnic, jakie mieli szczęście z tobą dzielić? Spójrz na mnie, na mnie, który mówię do ciebie, najjaśniejsza pani, na mnie, którego oskarżasz, że ośmielam się podnosić głos i grozić. Kim ja jestem? Ubogim oficerem bez majątku, bez domu, bez przyszłości, jeśli wzrok mej królowej, którego szukam już tak długo, nie spocznie na mnie na chwilę. Spójrz na hrabiego de La Fere, tego skończonego szlachcica, na ten sam kwiat rycerstwa. Wystąpił przeciwko swej królowej, a raczej nie, wystąpił przeciwko jej ministrowi, a przecież niczego dla siebie nie żąda. Spójrz wreszcie na pana du Vallon, na tę wierną duszę, na to stalowe ramię; od dwudziestu lat czeka na jedno twoje słowo, które uczyniłoby go z herbu tym, czym jest z uczuć i męstwa. Spójrz wreszcie na twój lud, który przecież coś znaczy dla królowej, na twój lud, który cię kocha, a przecież jest głodny, który chciałby cię błogosławić, a przecież cię... Nie, nie mam racji: twój lud nigdy cię nie przeklnie, najjaśniejsza pani. Teraz zaś wymów jedno słowo, a wszystko się skończy, wojna zamieni się w pokój, łzy w radość, klęski w

szczęście.

Anna Austriaczka z niejakim zdziwieniem patrzyła na marsową twarz d'Artagnana, na której malował się wyraz ogromnego wzruszenia.

— Czemuś nie powiedział tego wszystkiego, zanim zacząłeś działać? — rzekła.

— Bo, najjaśniejsza pani, trzeba było wpierw przekonać waszą królewską mość o czymś, o czym, jak mi się zdaje, wątpiła: że jesteśmy jeszcze coś niecoś warci i że zasługujemy, aby nam oddano sprawiedliwość.

— I to wasze męstwo nie cofnie się przed niczym, jak widzę? — zapytała Anna Austriaczka.

— Nie cofało się przed niczym w przeszłości — odpowiedział d'Artagnan — dlaczegóż więc w przyszłości miałoby się cofnąć?

— I to męstwo w razie odmowy, a więc w razie walki posunęłoby się aż do wykradzenia mnie samej spośród mojego dworu i wydania mnie Frondzie, tak jak chcecie jej wydać mojego ministra?

— Nigdyśmy o tym nie myśleli, najjaśniejsza pani — odparł d'Artagnan z tą gaskońską fanfaronadą, która u niego była jedynie szczerością — ale gdybyśmy tak we czterech postanowili, na pewno dokonalibyśmy i tego.

— Powinnam była wiedzieć — szepnęła Anna Austriaczka — że są to ludzie z żelaza.

— Niestety, najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan — to mi dowodzi, że wasza królewska mość dopiero dziś ma o nas należyte wyobrażenie.

— Cóż — rzekła Anna — ale w końcu je przecież mam.

— Wasza królewska mość odda nam sprawiedliwość. A oddawszy nam sprawiedliwość przestanie traktować nas jak pospolitych ludzi. I zobaczy we mnie posła godnego pertraktować z nią w ważnych sprawach, jakie mu poruczono.

— Gdzie traktat?

— Oto traktat, najjaśniejsza pani.

Anna Austriaczka przebiegła wzrokiem traktat, który jej podał d'Artagnan.

— Widzę tu — rzekła — tylko ogólne warunki. Interesy pana de Conti, pana de Beaufort, pana de Bouillon, pana d'Elboeuf i pana koadiutora są nim zapewnione. Ale wasze?

— Pamiętaliśmy o nich, najjaśniejsza pani, lecz potrafimy umieścić nasze osoby na przynależnym im miejscu. Pomyśleliśmy, że nasze nazwiska nie są godne figurować obok tych znakomitych imion.

— Przypuszczam jednak, że nie omieszkasz przedłożyć mi ustnie waszych życzeń, panie d'Artagnan?

— Mniemam, że jesteś wielką i potężną królową, najjaśniejsza pani, a zatem, że stosownie do swej wielkości i potęgi wynagrodzisz tych, którzy odprowadzą do Saint-Germain jego eminencję.

— Jest to moim zamiarem — odparła królowa. — Proszę, mów.

— Ten, który prowadził pertraktacje (wybacz, że od siebie zaczynam, lecz muszę siebie samego traktować jako osobę ważną nie dlatego, bym sobie to znaczenie przywłaszczył; lecz że mi je dano), ten, który prowadził pertraktacje o wydanie pana kardynała, powinien — jak mi się zdaje, jeśli nagroda ma być godna waszej królewskiej mości — zostać dowódcą gwardii, o, na przykład kapitanem muszkieterów.

— Żądasz miejsca pana de Treville.

— Miejsce wakuje, najjaśniejsza pani, i już od roku, odkąd pan de Treville zrzekł się swego urzędu, jest nie obsadzone.

— Lecz to jest jeden z pierwszych wojskowych urzędów domu króla.

— Pan de Treville był tylko młodszym synem gaskońskiego szlachcica, jak i ja, najjaśniejsza pani, a piastował ten urząd przez dwadzieścia lat.

— Na wszystko znajdujesz odpowiedź, panie d'Artagnan — rzekła Anna Austriaczka.

Wzięła z biurka patent, wypełniła go i podpisała.

— Zaiste, najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan biorąc patent i kłaniając

się — jest to piękna i szlachetna nagroda, lecz znana mi jest niestałość rzeczy ziemskich i człowiek, który by wpadł w niełaskę waszej królewskiej mości, już jutro mógłby ten urząd utracić.

— Czegóż więc jeszcze żadasz? — zapytała królowa rumieniąc się wobec faktu, że umysł, równie jak i jej własny przebiegły, na wskroś przejrzał jej zamysły.

— Stu tysięcy liwrów dla ubogiego kapitana muszkietarów, płatnych w dniu, w którym służby jego przestaną się waszej królewskiej mości podobać.

Anna zawahała się.

— I pomyśleć, że paryżanie — ciągnął d'Artagnan — ofiarowali ongiś uchwałą parlamentu sześćset tysięcy liwrów temu, kto by im wydał kardynała, żywego czy umarłego; żywego, żeby go powiesić, umarłego, żeby trupa rzucić na śmietnik.

— Dobrze — rzekła Anna Austriaczka — żądanie jest umiarkowane, skoro domagasz się od królowej zaledwie szóstej części tego, co ofiarował parlament.

I podpisała asygnatę na sto tysięcy liwrów.

— Co dalej? — zapytała.

— Najjaśniejsza pani, przyjaciel mój, pan du Vallon, jest bogaty, więc nie żąda materialnych korzyści, lecz zdaje mi się, że przypominam sobie, iż między nim i panem Mazarinim była mowa o utworzeniu z jego własności baronii. Rzecz została mu nawet obiecana, o ile dobrze pamiętam.

— Prostack bez urodzenia! — rzekła Anna Austriaczka — będą się wyśmiewać z niego.

— Trudno! — rzekł d'Artagnan. — Ale jednego jestem pewny: że ci, co się roześmieją w jego obecności, po raz drugi już się nie będą śmiać.

— Zgadzam się na baronię — rzekła Anna Austriaczka i podpisała.

— Teraz kolej na kawalera d'Herblay albo księdza d'Herblay, jak wolisz, najjaśniejsza pani.

— Chce zostać biskupem?

— Nie, najjaśniejsza pani, pragnie rzeczy łatwiejszej.

— Jakiej?

— Żeby król zechciał podawać do chrztu syna pani de Longueville.

Królowa zaczerwieniła się.

— Pani de Longueville jest z królewskiego rodu, najjaśniejsza pani.

— Owszem — odparła królowa — ale jej syn?

— Jej syn, najjaśniejsza pani, też nim jest, skoro jest nim mąż jego matki.

— Czy twój przyjaciel nie prosi już o nic więcej dla pani de Longueville?

— Nie, najjaśniejsza pani, przypuszcza bowiem, że jego królewska mość król, racząc zostać chrzestnym ojcem, jej dziecka, ofiaruje matce w podarunku, na wstanie z połogu, co najmniej pięćset tysięcy liwrów, pozostawiając, oczywiście, ojcu zarząd Normandii.

— Jeśli idzie o Normandię, owszem, do tego mogę się zobowiązać — odrzekła królowa — ale gorzej będzie z pięciuset tysiącami liwrów. Pan kardynał wciąż powtarza mi, że państwowy skarbiec jest już pusty.

— Poszukamy razem, najjaśniejsza pani, jeśli wasza królewska mość pozwoli, a pieniądze znajdą się.

— Co dalej?

— Dalej, najjaśniejsza pani?

— Tak.

— To już wszystko.

— Czy nie macie czwartego towarzysza?

— Owszem, najjaśniejsza pani, hrabiego de La Fere.

— O co on prosi?

— Nie prosi o nic.

— O nic?

— O nic.

— Czyż jest na świecie człowiek, który mogąc prosić nie prosiłby?

— Jest, pan hrabia de La Fere, najjaśniejsza pani. Bo pan hrabia de La Fere



nie jest człowiekiem.

— A kimże jest?

— Pan hrabia de La Fere jest półbogiem.

— Czyż nie ma on syna, krewnego, bratanka — owego młodzieńca, o którym mi mówił Comminges, że tak dzielnie sobie poczynął, i który przywiózł sztandary spod Lens razem z panem de Chatillon?

— Ma jak rzekłaś, najjaśniejsza pani, wychowanka, który nazywa się wicehrabia de Bragellone.

— Gdyby dano pułk temu młodzieńcowi, co powiedziałby o tym jego opiekun?

— Może by się zgodził.

— Może!

— Tak, jeślibyś go sama poprosiła, najjaśniejsza pani, żeby przyjął.

— Miałaś słuszność, panie d'Artagnan, mówiąc, że to niezwykle człowiek. Cóż, zastanowimy się nad tym i może go poprosimy. Czy jesteś zadowolony?

— Tak, najjaśniejsza pani. Lecz wasza królewska mość nie podpisała jeszcze jednego dokumentu.

— Jakiego?

— Najważniejszego.

— Zgody na traktat?

— Tak.

— Po co? Jutro podpisuję traktat.

— Wydaje mi się, że o jednym mogę cię zapewnić, najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan: — że jeśli wasza królewska mość nie podpisze dziś zgody na traktat, później nie znajdzie już czasu na podpisanie. Zechciej więc, błagam cię, skreślić u dołu tego projektu napisanego w całości, jak widzisz, ręką pana kardynała: "Zgadzam się na ratyfikowanie traktatu przedłożonego przez paryżan".

Anna nie miała wyjścia, nie mogła się już cofnąć, podpisała. Lecz za ledwie

podpisała, urażona duma wybuchła jak burza i królowa rozpląkała się.

D'Artagnan zadrżał na widok tych łez. W tamtych czasach królowe płakały tak samo jak zwykle kobiety.

Gaskończyk potrząsnął głową. Wydało mu się, że mu te królewskie łzy parzą serce.

— Najjaśniejsza pani — rzekł klękając — spójrz na nieszczęsnego szlachcica, który klęczy u twych stóp. Błaga cię on, żebyś uwierzyła, że jest gotów zrobić wszystko na jedno twoje skinienie. Ufa on sobie, ufa swoim przyjaciołom, chce także ufać swojej królowej. A na dowód, że niczego się nie lęka, że nie chce korzystać z okazji, przyprowadzi waszej królewskiej mości pana Mazariniego bez żadnych warunków. Bierz, najjaśniejsza pani, oto dokumenty z twym najjaśniejszym podpisem; jeśli uznasz, że trzeba mi je oddać, uczynisz tak. Lecz od tej chwili już cię one do niczego nie zobowiązują.

I d'Artagnan, wciąż klęcząc, z okiem pałającym dumą i męstwem, oddał Annie Austriaczce wszystkie dokumenty, które wyrywał jej po jednym z takim wielkim trudem.

Zdarzają się chwile — gdyż choć wszystko nie jest całkiem dobre na tym świecie, nie jest też i całkiem złe — zdarzają się chwile, w których nawet i w najsuchszych i najchłodniejszych sercach kiełkuje podlane łzami silnego wzruszenia jakieś szlachetne uczucie, które wyrachowanie i pycha szybko głuszą, jeśli go od chwili urodzenia jakiś inny sentyment nie wspomůže. Anna przeżywała właśnie jedną z takich chwil. D'Artagnan, poddając się wzruszeniu tak zgodnemu z uczuciami królowej, postąpił przypadkiem w arcydyplomatyczny sposób. I natychmiast też został nagrodzony za swą zręczność albo bezinteresowność, zależnie od tego czy pobudki, które skłoniły go do działania, zechcemy przypisać jego rozumowi czy też jego sercu.

— Miałaś słuszność, panie d'Artagnan — rzekła Anna — nie umiałam cię ocenić. Oto podpisane dokumenty, które ci oddaję z dobrej woli. Idź i co prędzej przywieź mi kardynała.

— Najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan — dwadzieścia lat temu, dobrze pamiętam, zza kotary w Ratuszu miałem zaszczyt ucałować jedną z tych pięknych rąk.

— Oto i druga — rzekła królowa — żeby zaś lewa nie okazała się mniej hojna od prawej (zdjęła z palca diament, prawie taki sam jak pierwszy) weź ten pierścień i zachowaj go na pamiątkę ode mnie.

— Najjaśniejsza pani — rzekł d'Artagnan wstając z kolan — mam jeszcze tylko jedno pragnienie — żeby moje życie było pierwszą rzeczą, jakiej ode mnie zażadasz.

I w sobie tylko właściwy sposób wstał, skłonił się i wyszedł.

— Nie umiałam ocenić tych ludzi — odezwała się Anna Austriaczka patrząc za odchodzącym d'Artagnanem — a teraz już za późno, żebym ich mogła użyć; za rok król będzie pełnoletni.

W piętnaście godzin później d'Artagnan i Portos odprowadzili królowej Mazariniego i otrzymali: jeden swój patent kapitana muszkieterów, drugi swój dyplom barona.

— No co, jesteście zadowoleni? — zapytała Anna Austriaczka. D'Artagnan skłonił się. Portos obracał w palcach swój dyplom i spoglądał na Mazariniego.

— O co jeszcze idzie? — zapytał minister.

— O to eminencjo, że była mowa o obietnicy orderu za pierwszym mianowaniem jego kawalerów.

— Ale przecież wiesz, panie baronie — odezwał się Mazarini — że nie można zostać kawalerem orderu nie udowodniwszy swego szlactwa od pewnej liczby pokoleń.

— O — odparł Portos — to nie dla siebie proszę o błękitną wstęgę, eminencjo.

— Zatem dla kogo? — zapytał Mazarini.

— Dla mego przyjaciela, hrabiego de La Fere.

— Dla niego to inna sprawa — rzekła królowa — jego szlachectwa nie trzeba udowadniać.

— Będzie miał wstęgę?

— Już ją ma.

Tego samego dnia traktat z Paryżem został podpisany i ogłoszono wszędzie, że kardynał zamknął się był na trzy dni, żeby go tym staranniej opracować.

Oto co każdy zyskiwał na tym traktacie:

Pan de Conti otrzymał Damvilliers i wykazawszy się jako wódz uzyskał zgodę na to, że zostanie żołnierzem, a nie kardynałem. Co więcej, zaczął przebąkiwać o małżeństwie z siostrzenicą Mazariniego. Księżę życzliwie przyjął te napomknienia, gdyż nie zależało mu, z kim go ożenią, byleby go ożeniono.

Księżę de Beaufort wrócił na dwór ze wszystkimi honorami, do jakich urodzenie dawało mu prawo, i w pełni wynagrodzono mu wszystkie zniewagi, jakie go spotkały. Otrzymał całkowite przebaczenie dla tych, którzy mu pomagali w ucieczce, obietnicę urzędu admirała, który piastował księżę de Vendôme, jego ojciec, i odszkodowanie za domy i zamki, które parlament bretoński kazał zniszczyć.

Księżę de Bouillon otrzymał ziemie wartości równej jego księstwu Sedanu, odszkodowanie za osiem lat nieużytkowania tego księstwa i tytuł księcia przyznany jemu i członkom jego domu.

Księżę de Longueville — zarząd Pont-de-l'Arche, pięćset tysięcy liwrów dla żony i zaszczyt oglądania swego syna, trzymanego do chrztu przez młodego króla i młodą księżniczkę Henrykę Angielską.

Aramis zawarował sobie, że podczas tej uroczystości Gryziپیórek będzie służył do mszy, słodczy zaś dostarczy Wiórek.

Księżę d'Elboeuf otrzymał zwrot pewnych sum należących się jego żonie, sto tysięcy liwrów dla najstarszego z synów i po dwadzieścia pięć tysięcy dla każdego z trzech pozostałych.

Jeden koadiutor nie otrzymał nic. Obiecano mu wprowadzić pertraktacje z papieżem w sprawie kapelusza, ale wiedział, jak można polegać na obietnicach królowej i Mazariniego. Odwrotnie niż pan de Conti — nie mogąc zostać kardynałem, chcąc nie chcąc, musiał dalej być żołnierzem.

Toteż kiedy cały Paryż cieszył się powrotem króla oznaczonym na następny dzień, jeden Gondy wśród powszechnej wesołości był w tak podłym humorze, że kazał sobie co szybciej przyprowadzić dwóch ludzi, których zwykle wzywał będąc w takim stanie ducha.

Ludźmi tymi byli żebrak od Świętego Eustachego i hrabia de Rochefort.

Stawili się z zwykłą sobie akuratnością i koadiutor spędził na rozmowie z nimi część nocy.

## 46. W którym pokazuje się, że nieraz trudniej królom wrócić do stolicy królestwa aniżeli ją opuścić

Kiedy d'Artagnan i Portos odprowadzili kardynała do Saint-Germain, Atos i Aramis, którzy rozstali się z nimi w Saint-Denis, wrócili do Paryża.

Każdy miał wizytę do złożenia.

Aramis, ledwie zmieniwszy zakurzone buty, udał się do Ratusza, gdzie przebywała pani de Longueville. Na wieść o pokoju księżna zaczęła namiętnie protestować. Wojna czyniła ją królową, pokój zmuszał ją do abdykacji. Oświadczyła, że nigdy nie podpisze traktatu i że chce, aby wojna trwała wiecznie.

Lecz kiedy Aramis przedstawił jej ów pokój we właściwym świetle, czyli ze wszystkimi wynikającymi zeń korzyściami, kiedy jej ofiarował w zamian za niepewne i nie uznane królowanie w Paryżu wiecekrólowanie w Pont-de-l'Arche, czyli w całej Normandii, kiedy brzęknął koło jej uszu pięćuset tysiącami liwrów przyobiecanych przez kardynała, kiedy olśnił oczy zaszczytem, jaki jej wyświadczy król podając do chrztu syna księżnej — pani de Longueville spierała się już tylko przez przyzwyczajenie właściwe wszystkim ładnym kobietom i broniła się po to tylko, żeby się poddać.

Aramis udawał, że wierzy w prawdziwość jej sprzeciwów, chciał bowiem móc sobie przypisać zasługę przekonania jej.

— Pani — rzekł — już raz postanowiłaś sobie pobić jego książęcą wysokość, twego brata, czyli największego wodza naszych czasów, a genialne kobiety, kiedy zechcą, zawsze osiągają cel. Dopięłaś swego — jego książęcą wysokość jest pobity, bo nie może dalej prowadzić wojny. A teraz przyciągnij go do naszego stronnictwa. Odsuwaj go po trochu od królowej, której nie lubi, i

od pana kardynała, którym gardzi. Fronda to komedia, której zaledwie pierwszy akt odegraliśmy. Zobaczymy, jak będzie wyglądał Mazarini na końcu, to znaczy w dniu, w którym jego książęca wysokość dzięki tobie wystąpi przeciwko dworowi.

Pani de Longueville została przekonana. Frondująca księżna była tak pewna wszechwładzy swoich pięknych oczu, iż nie wątpiła, że podziałają nawet i na księcia de Conde, a skandaliczna kronika owych czasów mówi, że zgoła nie było to z jej strony zbyt wysokie mniemanie o sobie.

Atos, pożegnawszy się z Aramisem na placu Królewskim, poszedł do pani de Chevreuse. Była to jeszcze jedna frondystka, którą należało przekonać, i to bardziej uparta od swojej młodej rywalki. Jej traktat nie zawarowywał żadnych korzyści. Pani de Chevreuse nie została mianowana gubernatorem żadnej z prowincji, a gdyby królowa zgodziła się zostać matką chrzestną, mogłaby podawać do chrztu już tylko jej wnuka albo wnuczkę.

Toteż przy pierwszym słowie o pokoju pani de Chevreuse zmarszczyła brwi i pomimo całej logiki, z jaką jej Atos udowadniał, że dalsza wojna jest niemożliwa, obstawała przy swych buńczucznych zapędach.

— Droga księżno — rzekł Atos — pozwól, bym ci powiedział, że wszyscy są zmęczeni wojną, że z wyjątkiem ciebie, pani, i być może pana koadiutora, wszyscy pragną pokoju. Postępowaniem swym sprawisz, że znów będziesz skazana na wygnanie, jak za czasów Ludwika XIII. Wierz mi, przekroczyliśmy już lata, w których zwycięża się za pomocą intryg, a twe piękne oczy nie na to zostały stworzone, żeby gasnąć płacząc za Paryżem, w którym zawsze będą dwie królowe, póki ty w nim jesteś.

— Cóż — odparła księżna — nie mogę prowadzić wojny sama jedna, ale mogę się zemścić na tej niewdzięcznej królowej i jej zarozumiałym faworycie i... słowo księżny, zemszczę się!

— Pani — rzekł Atos — błagam cię, nie szykuj złej przyszłości panu de Bragelonne; już się odznaczył, jego książęca wysokość dobrze mu życzy, jest

młody, pozwólmy młodemu królowi spokojnie zacząć panowanie. Niestety, wybac mi pani mą słabość, ale nadchodzi chwila, w której człowiek odradza się i odmładza w swoich dzieciach.

Księżna uśmiechnęła się na pół tklawie, na pół drwiąco.

— Hrabio — rzekła — obawiam się, że się przekonałeś do dworu. Czy nie masz aby w kieszeni jakiej błękitnej wstęgi?

— Mam, księżno — odparł Atos — mam wstęgę Orderu Podwiązki, którą dał mi na kilka dni przed śmiercią król Karol I.

Hrabia mówił prawdę; nie sływał prośby Portosa i nie wiedział, że ma już inną wstęgę.

— Cóż, trudno, trzeba stać się starą kobietą — rzekła zadumanym głosem księżna.

Atos ujął jej rękę i ucałował. Spojrzała nań i westchnęła.

— Hrabio — rzekła — Bragelonne musi być prześliczną rezydencją. Jesteś człowiekiem wykwinnym; pewnie masz tam wodę, park, kwiaty.

Znów westchnęła i oparła śliczną głowę na kokieteryjnie zgiętej ręce, wciąż jeszcze cudownie kształtnej i białej.

— Co też ty powiedziałaś przed chwilą, księżno? — odezwał się Atos. — Nigdy nie widziałem cię tak młodą, nigdy nie widziałem cię tak piękną!

Księżna potrząsnęła głową.

— Czy pan de Bragelonne zostaje w Paryżu? — zapytała.

— A co ty, księżno, o tym sądzisz? — zapytał z kolei Atos.

— Zostaw mi go, hrabio — odparła księżna.

— Nie, pani, jeśli ty zapomniałaś o historii Edypa<sup>31</sup>, ja o niej pamiętam.

— Doprawdy, jesteś czarujący, hrabio, i chciałabym odwiedzić cię na miesiąc w Bragelonne.

— Czy nie lękasz się, księżno, że przysporzysz mi wielu zawistnych? — odparł hrabia z galanterią.

---

31 Edyp — wg mitologii greckiej król wicz tebański, który sam o tym nie wiedząc, zabił swego ojca.



— Nie, przyjadę incognito, hrabio, jako Maria Michon.

— Jesteś najmiłszą istotą, o pani!

— Ale Raula nie zostawiaj przy sobie.

— Dlaczego?

— Bo jest zakochany.

— On? To jeszcze dzieciak!

— Toteż i kocha dziecko.

Atos zamyślił się.

— Masz słuszość, księżno, to niezwykle uczucie do siedmioletniej dziewczynki może go pewnego dnia unieszczęśliwić. Wojsko wyrusza do Flandrii, Raul pójdzie na wojnę.

— A po powrocie przyślij mi go, ja go opancerzę przeciwko miłości.

— Niestety, pani — rzekł Atos — miłość stała się dziś podobna do wojny, pancierz już nie chroni.

W tej chwili wszedł Raul. Chciał powtórzyć hrabiemu i księżnie to, co mu powiedział hrabia de Guiche, jego przyjaciel: że uroczysty wjazd króla, królowej i ministra ma się odbyć nazajutrz.

Rzeczywiście, nazajutrz od wczesnego rana dwór zaczął się sposobić do wyjazdu z Saint-Germain.

Królowa jeszcze z wieczora w wilię tego kazała wezwać do siebie pana d'Artagnana.

— Panie d'Artagnan — rzekła mu — donoszą mi, że Paryż nie jest spokojny. Będę się bała o króla; jedź przy karecie, po prawej stronie.

— Niech wasza królewska mość będzie spokojna — odparł d'Artagnan. — Odpowiadam za króla.

Skłonił się królowej i wyszedł.

Ledwie d'Artagnan wyszedł od królowej, przystąpił doń Bernouin i zawiadomił, że kardynał oczekuje go w ważnej sprawie. Poszedł więc natychmiast do kardynała.

— Panie d'Artagnan — rzekł kardynał — powiadają, że w Paryżu trwają rozruchy. Będę siedział w karecie po lewej ręce króla, a że ja jestem narażony najbardziej, bądź łaskaw jechać przy lewych drzwiczkach.

— Niech wasza eminencja będzie spokojny — odparł d'Artagnan — włos mu z głowy nie spadnie.

— O, do licha! — rzekł sobie znalazłszy się w przedpokoju — jak z tego wybrnąć? Przecież nie mogę być równocześnie i po prawej, i po lewej stronie karety. Co tam! Będę strzegł króla, a Portos będzie strzegł kardynała.

Układ ten wszystkim dogodził, co się zdarza dość rzadko. Królowa ufała odwadze d'Artagnana, którą miała okazję poznać, a kardynał sile Portosa, o której miał okazję przekonać się na własnej osobie.

Orszak ruszył do Paryża w zawczasu ustalonym porządku: pierwsi jechali Guitaut i Comminges na czele gwardii; za gwardią jechała kareta królewska, której towarzyszyli z jednej strony d'Artagnan, z drugiej strony Portos; dalej muszkietierowie, starzy przyjaciele d'Artagnana od lat dwudziestu dwóch, których porucznikiem był od lat dwudziestu, a od wczoraj — kapitanem.

Skoro przybyli do rogatki, karete królewską powitały głośnie okrzyki: “Niech żyje król!” i “Niech żyje królowa!”. Odezwało się też kilka okrzyków: “Niech żyje Mazarini!”, ale nikt ich nie podjął.

Jechano do Notre Dame, gdzie miało być odśpiewane Te Deum.

Cała ludność Paryża wyległa na ulice. Wzdłuż drogi, którą król miał przejeżdżać, ustawiono szpalery Szwajcarów, lecz że droga była długa, rozstawieni byli co siedem, osiem kroków, i po jednym tylko. Tworzyło to zgoła niewystarczający szaniec i od czasu do czasu ta żywa tama pękała pod naporem fali tłumu i musiała się znów z największym trudem wyrównywać.

Przy każdym takim zerwaniu, zgoła zresztą niegroźnym, bo wynikającym tylko stąd, że paryżanie pragnęli znów zobaczyć nareszcie swego króla i swą królową, których widoku już rok byli pozbawieni, Anna Austriaczka spoglądała z niepokojem na d'Artagnana, a on uspokajał ją uśmiechem.

Mazarini wydał tysiąc ludwików, żeby krzyczano: “Niech żyje Mazarini!”, a okrzyki, jakie jego uszu dobiegały, mógł oszacować najwyżej na dwadzieścia pistoli, toteż niespokojnie spoglądał na Portosa. Olbrzymi strażnik odpowiadał na te spojrzenia: “Bądź spokojny, eminencjo!” swym tak gromkim basem, że na jego dźwięk w Mazariniego wstępowała coraz to większa otucha.

W pobliżu placu Królewskiego zastano jeszcze większe tłumy. Napłynęły one na plac wszystkimi doprowadzającymi doń ulicami i widać było, jak ciżba ludu niby wzburzona rzeka płynie na spotkanie królewskiej karecie przez ulicę Saint-Honore.

Kiedy wjechano na plac, zagrzmiały potężne okrzyki: “Niech żyją ich królewskie moście!” Mazarini wychylił się przez okno. Powitały go dwa czy trzy głosy: “Niech żyje Mazarini!”, lecz niemal natychmiast bezlitośnie zagłuszyły je gwizdy i wyzwiska. Mazarini zbladł i szybko cofnął się do wnętrza.

— Hultajstwo! — mruknął Portos.

D’Artagnan nic nie rzekł, ale podkreślił wąsa tym szczególnym ruchem, który zdradzał, że jego gaskońska żółć zaczyna się burzyć. Anna pochyliła się do ucha młodego króla i szepnęła:

— Wychyl się, synu, i powiedz kilka uprzejmych słów panu d’Artagnanowi.

Młody król wychylił się z okna karety.

— Jeszcze nie przywitałem się z tobą, panie d’Artagnan — rzekł — a przecież poznałem cię natychmiast. To ty stałeś za kotarami mego łóżka tamtej nocy, kiedy paryżanie chcieli zobaczyć, jak śpię.

— I jeśli pozwolisz, najjaśniejszy panie — odparł d’Artagnan — znajdę się przy tobie za każdym razem, ilekroć będzie groziło jakie niebezpieczeństwo.

— Panie du Vallon — odezwał się Mazarini do Portosa — co zrobisz, jeśli runie na nas ta ciżba?

— Zabiję, ilu tylko będę mógł, eminencjo — odparł Portos.

— Hm! — mruknął Mazarini — choć jesteś taki silny i odważny, wszystkich nie dasz rady zabić.

— To prawda — rzekł Portos stając w strzemionach, żeby lepiej ocenić ogrom tłumu — to prawda, że jest ich dużo.

Wolałbym mieć przy sobie tamtego — pomyślał Mazarini.

I cofnął się w głąb karety.

Królową i jej ministra nie bez pewnej racji trapiły niepokoje, a szczególnie tego ostatniego. Tłum, zachowując pozory szacunku, a nawet miłości dla króla i regentki, zaczynał się coraz bardziej burzyć. Słysząc było, jak przebiegają po cizbie pomruki, które występując na powierzchni morza zwiastują nawałnicę, pojawiając się zaś wśród zgromadzonej masy ludzkiej zwiastują rozruchy.

D'Artagnan odwrócił się do muszkieterów i przymrużywszy oko dał im znak niedostrzegalny dla tłumu, ale zrozumiały dla tych dzielnych, wyborowych żołnierzy.

Szeregi końskie się zwały i lekkie drzenie przebiegło przez żołnierzy.

Przy rogate des Sergents musiano się zatrzymać. Comminges, który jechał na czele eskorty, zawrócił i podjechał do karety królowej. Królowa poradziła się spojrzeniem d'Artagnana. D'Artagnan odpowiedział w tej samej mowie.

— Jechać dalej — rzekła królowa.

Comminges wrócił na swoje miejsce. Z trudem udało mu się gwałtownie przerwać żywą rogatkę, jaka im zastąpiła drogę.

Z tłumu odezwały się szemrania, które tym razem godziły już nie tylko w ministra, ale i w króla.

— Naprzód! — krzyknął głośno d'Artagnan.

— Naprzód! — powtórzył Portos.

Lecz jakby cizba tylko na ten okrzyk czekała, żeby wybuchnąć, wszystkie wrogie uczucia, do tej pory hamowane, wytrysły równocześnie. Okrzyki: "Precz z Mazarinim! Śmierć kardynałowi!", buchnęły ze wszystkich stron.

W tejże chwili z ulicy Grenelle-Saint-Honore i z ulicy Koguciej runęły dwa

potoki, zerwały słaby szpaler szwajcarskiej straży i rozlały się, wirując gwałtownie, aż pod nogi koni d'Artagnana i Portosa.

Położenie stało się naprawdę niebezpieczne, bo tłum, który tym razem zagroził drogę królewskiej karecie, składał się z ludzi uzbrojonych, i to nawet lepiej uzbrojonych, niż bywa zwykle motłoch w podobnych okazjach. Można było poznać, że nie powodował nim przypadek, który sprawił, że pewna liczba niezadowolonych spotkała się akurat w jakimś jednym miejscu, ale świadomy zamiar wroga, który zorganizował napad.

Każda z tych dwóch gromad miała swojego wodza. Jeden wydawał się przynależać już nie do ludu nawet, ale zgoła do zacnego cechu żebraków, drugi, choć starał się udawać prostaka, był niewątpliwie szlachcicem; na pierwszy rzut oka było to widoczne.

Obu najoczywiściej popychała do czynu jedna i ta sama siła.

Wszczął się tumult, który wstrząsnął nawet i królewską karetą, po czym tysięczne okrzyki zlały się w jeden wrzask i padły dwa, trzy strzały.

— Do mnie, muszkietierowie! — krzyknął d'Artagnan.

Eskorta rozdzieliła się na dwa szeregi. Jeden ustawił się po prawej stronie karety, drugi po lewej; jeden przyszedł z pomocą d'Artagnanowi, drugi Portosowi.

I zaczęła się utarczka tym straszniejsza, że bezcelowa, tym żałośniejsza, że nikt z tego tłumu nie wiedział, po co ani za kogo się bije.

Jak każdy napór motłochu, uderzenie tej ciżby było straszne. Muszkietierowie, nieliczni, źle ustawieni, nie mogli sprawnie powodować końmi wśród tłoku. Oba szeregi zaczęły się chwiać.

D'Artagnan chciał opuścić żaluzje w oknie karety, lecz młody król wysunął na zewnątrz rękę i rzekł:

— Nie, panie d'Artagnan, chcę widzieć.

— Chcesz widzieć, wasza królewska mość? — powiedział d'Artagnan. —  
Dobrze, a więc patrz!

I odwracając się z furią, która czyniła go tak niebezpiecznym, d'Artagnan skoczył na wodza rebeliantów, który z pistoletem w jednej a szeroką szpadą w drugiej ręce próbował przesieć sobie drogę do drzwiczek karety, walcząc z dwoma muszkieterami.

— Z drogi, do kaduka! — krzyknął d'Artagnan. — Z drogi!

Na ten głos człowiek z pistoletem i szeroką szpadą podniósł głowę, ale było już za późno. Dosięgnął go sztych d'Artagnana; rapier przeszył mu pierś.

— O, na Boga żywego! — krzyknął d'Artagnan, próbując poniewczasie cofnąć szpadę. — Czego tu, u diabła, szukasz, hrabio?!

— Szukam przeznaczonej mi śmierci — odparł Rochefort osuwając się na kolano. — Wylizalem się z trzech ciosów twojej szpady, ale z czwartej się nie wyliżę.

— Hrabio — rzekł d'Artagnan poruszony, jakkolwiek by było — uderzyłem nie wiedząc, że to ty. Jeśli masz umrzeć, przykro by mi było, gdybyś umarł z nienawiścią do mnie w sercu.

Rochefort wyciągnął rękę do d'Artagnana. D'Artagnan uścisnął ją. Hrabia chciał się odezwać, ale krew chlusnęła mu gardłem tłumiąc głos, wyprężył się w ostatniej konwulsji i skonał.

— W tył, hołoto! — krzyknął d'Artagnan. — Wasz wódz zginął, nie macie tu czego szukać!

I rzeczywiście, jakby to hrabia de Rochefort był duszą ataku, który od tej strony szturmował królewską karete, tłum, który posłusznie szedł za nim, ucichł ujrawszy, że padł. D'Artagnan z dwudziestoma muszkieterami pogonił za nim w ulicę Kogucią i ta część napastników znikła niby dym, rozpraszając się po placu Saint-Germain-l'Auxerrois i po wybrzeżu.

D'Artagnan wrócił na odsiecz Portosowi, jeśli się okazała potrzebna, ale Portos po swojej stronie pracował tak samo sumiennie jak d'Artagnan. I tu teren został oczyszczony nie gorzej niż tam i właśnie podnoszono żaluzje na oknie, którą Mazarini, nie tak wojowniczy jak król, przezornie był opuścił.

Portos miał wielce frasobliwą minę.

— Co ci się, u licha, stało, Portosie? Dziwną masz aparycję jak na zwycięzcę.

— Ale ty także wydajesz mi się czymś przejęty — rzekł Portos.

— Bo i jest się czym przejąć, do kaduka! Zabiłem starego przyjaciela.

— Naprawdę? A kogo?

— Biednego hrabiego de Rochefort!

— To coś tak jak ja — rzekł Portos. — Zabiłem przed chwilą człowieka, którego twarz nie jest mi obca. Na nieszczęście trafiłem go w głowę i w jednej chwili krew zalała mu gębę.

— A padając nic nie rzekł?

— A jakże, odezwał się... powiedział: “Uf”!

— Rozumiem — odparł D’Artagnan nie mogąc się powstrzymać od śmiechu — że jeśli nic więcej nie powiedział, to cię niewiele mogło objaśnić.

— No co, panie d’Artagnan? — zapytała królowa.

— Najjaśniejsza pani — odparł — droga jest najzupełniej wolna, wasza królewska mość może jechać dalej.

Rzeczywiście, cały orszak przybył bez żadnego więcej wypadku do Notre Dame przy którym całe duchowieństwo z koadiutorem na czele czekało na króla, królową i ministra, by na ich szczęśliwy powrót odśpiewać Te Deum.

Pod sam koniec nabożeństwa jakiś zadyszany chłopak wpadł do kościoła. Podbiegł do zakrystii, szybko przebrał się za ministranta i przy pomocy tego wzbudzającego szacunek stroju przedarł się przez tłumy zapelniające świątynię, zbliżył się do Gryzipiórka, który w niebieskiej szacie i z gasidłem ozdobionym srebrem w ręku stał poważnie naprzeciw szwajcara przy wejściu do prezbiterium.

Gryzipiórek uczuł, że ktoś go pociąga za rękaw. Spuścił ku ziemi oczy pobożnie wzniesione ku niebu i poznał Friqueta.

— Co się takiego stało, hultaju, że ośmielasz się przeszkadzać mi w

sprawowaniu mojego urzędu? — zapytał kościelny.

— Stało się, panie Gryzipiórku — odparł Friquet — że pan Maillard, wiesz który, podawacz święconej wody od Świętego Eustachego...

— Więc co...

— Ano, dostał cięcie szpadą w głowę podczas bitwy. To ten olbrzym, który, o tam, stoi w ubraniu zahaftowanym na wszystkich szwach, mu go zadał.

— Tak? W takim razie — rzekł Gryzipiórek — musi być z nim kiepsko.

— Tak kiepsko, że umiera i chciałby przed śmiercią wypowiadać się panu koadiutorowi, który, jak mówią, ma władzę odpuszczania najcięższych grzechów.

— I on wyobraża sobie, że pan koadiutor będzie się do niego fatygował?

— Tak, a jakże, podobno pan koadiutor sam mu to przyobiecał.

— Kto ci to powiedział?

— Sam Maillard.

— Więc go widziałeś?

— A jakże, byłem przy nim, kiedy padał.

— A cóżeś ty tam robił? ,

— Co? Krzychałem: “Precz z Mazarinim, śmierć kardynałowi, na szubienicę Włocha!” Przecież właśnie to kazałeś mi krzyzczeć, panie Gryzipiórku.

— Cicho bądź, mały hultaju! — zgromił go Gryzipiórek rozglądając się niespokojnie.

— No i ten biedak Maillard powiedział mi: “Leć do pana koadiutora, Friquet, a jeśli mi go sprowadzisz, zrobię cię moim spadkobiercą”. Pomyśl tylko, ojcie Gryzipiórku, zostać spadkobiercą pana Maillard, podawacza święconej wody od Świętego Eustachego! Co, mógłbym spokojnie założyć ręce na brzuchu. Mniejsza z tym, chciałbym mu wyświadczyć tę przysługę, co ty na to?

— Dam znać panu koadiutorowi — odparł Gryzipiórek.



Po czym wolno i ze wszystkimi oznakami szacunku zbliżył się do prałata, szepnął mu na ucho kilka słów, na które koadiutor odpowiedział twierdzącym skinieniem głowy, i wrócił takim samym krokiem.

— Idź i powiedz konającemu, żeby miał cierpliwość. Jego wielebność będzie u niego za godzinę.

— Ślicznie — odparł Friquet — zrobiłem majątek.

— Aha, właśnie — rzekł Gryzipiórek — a dokąd kazał się zanieść?

— Do wieży Świętego Jakuba, koło Rzeźni.

I zachwycony powodzeniem, jakie uwieńczyło jego poselstwo, Friquet, nie zdejmując stroju ministranta, który zresztą ułatwiał mu szybsze poruszanie się, wyszedł z bazyliki i ile sił w nogach popędził do wieży Świętego Jakuba koło Rzeźni.

Rzeczywiście, skoro skończyła się msza dziękczynna, koadiutor, jak był obiecał, nie rozebrawszy się nawet ze swych pontyfikalnych szat, też z kolei udał się do starej wieży, którą tak dobrze znał.

Zdążył. Ranny, choć czuł się coraz gorzej z chwili na chwilę, żył jeszcze.

Koadiutorowi otwarto drzwi izdebki, w której konał żebrak.

W chwilę potem wyszedł stamtąd Friquet, dzierżąc w ręku wielki, skórzany wór, który zaraz otworzył, skoro się znalazł za progiem, i przekonał się ku swemu zdumieniu, że jest napełniony złotem.

Żebrak dotrzymał danego słowa i zrobił go swoim spadkobiercą.

— O, matko Nanette! — wrzasnął zdumiony Friquet. — O, matko Nanette!

I nie potrafił nic więcej wymówić, lecz choć zabrakło mu języka w gębie, nie zabrakło mu siły w nogach. Puścił się pędem przez ulice i jak Grek z Maratonu padł na placu Aten ze swą gałązką lauru w ręku, tak samo i Friquet, dobiegłszy do progu radcy Broussella, przewrócił się rozsypując po drodze ludwiki, które wylatywały z worka.

Matka Nanette najpierw zebrała ludwiki, a później podniosła Friqueta.

Przez ten czas królewski orszak powrócił do Palais-Royal.

— Pan d'Artagnan, pani matko, to człowiek bardzo dzielny — powiedział młody król.

— Tak, mój synu, i oddał wielkie usługi twojemu ojcu. Pamiętaj o nim w przyszłości.

— Panie kapitanie — rzekł do d'Artagnana wysiadając z karety młody król — jej królewska mość poleciła mi, bym cię zaprosił na dzisiaj na obiad, ciebie i przyjaciela twego, barona du Vallon.

Wielki to był zaszczyt dla d'Artagnana i dla Portosa, toteż Portos był wniebowzięty. Jednakże przez cały czas obiadu zacny szlachcic wydawał się wielce czymś zafrasowany.

— Co też ci się stało, baronie? — zapytał go d'Artagnan, kiedy już schodzili ze schodów. — Przez cały obiad miałeś zatroskaną minę.

— Staralem-się sobie przypomnieć — odparł Portos — gdzie też ja widziałem tego żebraka, którego chyba zabił.

— I nie udało ci się?

— Nie.

— Więc staraj się dalej, przyjacielu, staraj się dalej, a jak sobie przypomnisz, to mi powiesz. Prawda, Portosie?

— Do kroćset, pewnie! — odparł Portos.

## Zakończenie

Wróciwszy do gospody przyjaciele zastali list od Atosa, w którym ich prosił, żeby przyszedli “Pod Karola Wielkiego” nazajutrz rano.

Obaj wcześniej się położyli, ale ani jeden, ani drugi nie mógł zasnąć. Nie dochodzi się bowiem do spełnienia wszystkich pragnień bez tego, by ów osiągnięty cel nie spędził człowiekowi snu z powiek, przynajmniej podczas pierwszej nocy.

Nazajutrz o oznaczonej godzinie poszli obaj do Atosa. Zastali hrabiego i Aramisa w podróżnej odzieży.

— Co to? — rzekł Portos. — Więc wszyscy wyjeżdżamy? Ja też dziś rano już się przyszykowałem do drogi!

— Ano tak, mój Boże! — odparł Aramis. — Nie ma co robić w Paryżu, skoro już nie ma Frondy. Pani de Longueville prosiła mnie, bym pojechał na kilka dni do Normandii. Chce, bym przyszykował dla niej apartamenty w Rouen, póki się będą odbywać chrzciny jej syna. Jadę, żeby wypełnić to zlecenie, a potem, jeśli się nic nowego nie zdarzy, znów się zagrzebię w moim klasztorze w Noisy-le-Sec.

— A ja — rzekł Atos — wracam do Bragelonne. Dobrze wiesz, drogi D’Artagnanie, że jestem już dobrym i porządnym rolnikiem. Raul, biedny chłopiec, nic nie ma prócz mego majątku, więc muszę nad nim czuwać, ponieważ poniekąd tylko powiernikiem jestem.

— A co zrobisz z Raulem!

— Zostawiam go tobie, przyjacielu. Ma być wojna z Flandrią, zabierz go. Boję się, żeby pobyt w Blois nie był niebezpieczny dla jego młodej głowy. Zabierz go i naucz, żeby był dzielny i prawy jak ty.

— A ja — rzekł d'Artagnan — nie mając ciebie, Atosie, będę przynajmniej jego miał, tę kochaną głowę, i choć to jeszcze dzieciak, będzie mi się wydawało, że ty, drogi Atosie, jesteś przy mnie, że mi towarzyszysz i krzepisz mnie, bo cała twoja dusza odrodziła się w tym chłopcu.

Czterej przyjaciele uściskali się ze łzami w oczach.

Po czym rozstali się, nie wiedząc, czy się jeszcze kiedy zobaczą.

D'Artagnan wrócił na ulicę Tiquetonne razem z Portosem, który wciąż się męczył usiłując przypomnieć sobie, kim był ów człowiek, którego zabił. Kiedy przyszli do gospody "Pod Kózką", zastali karetę pana barona czekającą przed drzwiami, z Muszkietem na tylnym siedzeniu.

— Wiesz co, d'Artagnanie — rzekł Portos — ciśnij szpadę i jedź razem ze mną do Pierrefonds, do Bracieux albo do Vallon. Będziemy się starzeli razem, rozmawiając o naszych towarzyszach.

— O, nie! — odparł d'Artagnan — Do kroćset, wkrótce znów się zacnie wojna, ruszę w pole. Spodziewam się, że coś na tym zyskam.

— Kimże chciałbyś jeszcze zostać?

— Marszałkiem Francji, do licha!

— O, o! — odezwał się Portos patrząc na d'Artagnana. Choć znał go tak dawno, przyjaciel zawsze jeszcze potrafił go czymś zadziwić.

— Ruszaj ze mną, Portosie — rzekł d'Artagnan. — Zrobię cię księciem.

— Nie — odparł Portos — Musz nie chce dłużej wojować. Zresztą na mój powrót przyszykowano wielkie uroczystości i liczę, że wszyscy sąsiedzi popękają z zawiści.

— Na to nic ci nie mogę odpowiedzieć — rzekł d'Artagnan, który znał próżność nowo kreowanego barona. — Więc do widzenia, drogi przyjacielu!

— Do widzenia, drogi kapitanie! — rzekł Portos. — Wiesz, że kiedy ci przyjdzie ochota mnie odwiedzić, będziesz zawsze najmiłszym gościem w mojej baronii.

— Wiem — rzekł d'Artagnan — i przyjadę po powrocie z wojny.

— Karetą pana barona czeka — odezwał się Muszkiet.

I dwaj przyjaciele rozstali się uściskawszy sobie dłonie. D'Artagnan pozostał na progu i melancholijnym spojrzeniem odprowadzał odchodzącego Portosa.

Lecz Portos, uszedłszy ledwie dwadzieścia kroków, nagle stanął, uderzył się dłonią w czoło i zawrócił.

— Przypominam sobie! — rzekł.

— Co? — zapytał d'Artagnan.

— Kim był żebrak, którego zabiłem.

— O, naprawdę? Któż to był?

— Ten łajdak Bonacieux.

I Portos uradowany, że nareszcie ma wolną głowę, wrócił do Muszkietu i znikli obaj za rogiem ulicy.

D'Artagnan przez chwilę stał, zamyślony, po czym odwrócił się i ujrzał piękną Magdalенę, bo wyszła aż na próg drzwi, wielce zaniepokojona zaszczytami, które tak wywyższyły d'Artagnana.

— Magdaleno — rzekł d'Artagnan — wynajmiesz mi apartament na pierwszym piętrze. Muszę teraz mieszkać z większą paradą, skoro zostałem kapitanem muszkietierów. Ale zachowaj mi moją izdebkę na piątym pięterku. Nigdy nie wiadomo, co się może jeszcze zdarzyć.

# SPIS ROZDZIAŁÓW

- 1 Żebrak z kościoła Świętego Eustachego
- 2 Wieża Świętego Jakuba koło Rzeźni
- 3 Zamieszki
- 4 Zamieszki zmieniają się w bunt
- 5 Nieszczęście poprawia pamięć
- 6 Widzenie
- 7 Ucieczka
- 8 Kareta pana koadiutora
- 9 W jaki sposób d'Artagnan i Portos zarobili jeden dwieście dziewiętnaście, a drugi dwieście piętnaście ludwików na sprzedaży słomy
- 10 Przychodzą wiadomości o Atosie i Aramisie
- 11 .....
- 12 Mściciel
- 13 Oliver Cromwell1
- 14 Szlachta
- 15 Chryste Panie!
- 16 W którym dowiedzione zostaje, że nawet i w najtrudniejszej sytuacji wielkie serca nigdy nie tracą odwagi, a dobre żołądki — apetytu
- 17 Cześć zwyciężonemu majestatowi
- 18 D'Artagnan znajduje sposób!
- 19 Partia lancknechta
- 20 Londyn
- 21 Proces
- 22 White-Hall
- 23 Rzemieślnicy
- 24 Remember
- 25 Człowiek w masce
- 26 Dom Cromwella
- 27 Rozmowa
- 28 Żaglowiec "Błyskawica"
- 29 Wino porto
- 30 Ręka losu
- 31 W którym Muszkiet, uratowawszy się przed upieczeniem, o mało co nie został zjedzony
- 32 Powrót
- 33 Posłowie
- 34 Trzej namiestnicy naczelnego wodza
- 35 Bitwa pod Charenton
- 36 Na pikardyjskim trakcie

- 37 Wdzięczność Anny Austriaczki
  - 38 Królewskość pana Mazariniego
  - 39 Ostrożności
  - 40 Rozum i ramię
  - 41 Ramię i rozum
  - 42 Sekretne cele pana Mazariniego
  - 43 Układy
  - 44 W którym zaczynamy wierzyć, że Portos zostanie wreszcie baronem, a d'Artagnan kapitanem
  - 45 W którym pokazano, że pióro i groźba działają nieraz szybciej i skuteczniej niż szpada i przywiązanie
  - 46 W którym pokazuje się, że nieraz trudniej królom wrócić do stolicy królestwa aniżeli ją opuścić
- Zakończenie